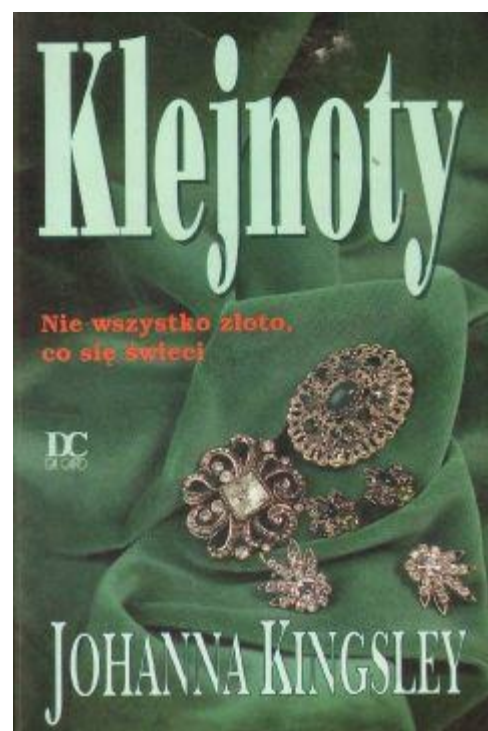


Klejnoty

Nie wszystko złoto,
co się świeci

DC
DIGRO

JOHANNA KINGSLEY



Kingsley Johanna

Klejnoty

Pietra d'Angeli - wnuczka słynnej włoskiej kurtyzany, która podczas drugiej wojny światowej ocaliła swoją bezcenną kolekcję biżuterii, przechowując ją w jednym ze szwajcarskich banków - odziedziczyła po babce nie tylko majątek, ale i zamiłowanie do pięknych, drogich i błyszczących cacek. Jest właścicielką nowojorskiego sklepu

jubilerskiego i słynną projektantką biżuterii. Kiedy sklep zostaje obrabowany i Pietra robi wszystko, by odzyskać kolekcję, trafia na sięgające głęboko w przeszłość tajemnice rodzinne, nierozdzielnie łączące się z klejnotami.

Prolog

Pietra D'Angeli ponownie uniosła dłoń. Pokój tonął w półmroku. Tylko jedna lampka płonęła u wezłowania łóżka, ale nawet w tak nikłym świetle diament na jej palcu mienił się świetlistą tęczą barw.

W życiu widziała niejednego diament - i niejednego oglądała pod lupą - jednak diament, który lśnił na jej palcu, był wart więcej od tamtych nie tylko z powodu właściwości określanych przez jubilerów „poczwórnym K”: kolorem, klarownością, liczbą karatów i doskonałością kroju.

Klejnot był widocznym dowodem zdecydowania pewnego mężczyzny, by spędzić z nią resztę życia.

Czy była gotowa mu się oddać?

Chociaż za cały strój służył jej zwiewny szlafroczek, Pete D'Angeli wymknęła się na taras swojego luksusowego apartamentu. Ogarnęła spojrzeniem aksamitne ciemności spowijające Central Park.

Szeregi latarń połyskiwały jak okruchy lodu. Samotna dorożka jechała stępą zakolami alejki, której łuk graniczył z Piątą Aleją. Nowy Jork nawet o trzeciej nad ranem umiał zapewnić odpowiednią scenerię kochankom.

Dlaczego waha się czy przyjąć uczucia mężczyzny, który ją kocha? Czy ma obowiązek podążać ścieżką wytyczoną dawnymi laty? Droga, którą zainicjowała jej imienniczka Pietra? Poszukiwać skarbu, który nadawał sens życiu jej poprzedników? Czy ma obowiązek przyjść z pomocą ofiarom tych poszukiwań? Czy nie pora zacząć żyć własnym życiem? Sięgnąć po skarby, które składa jej w ofierze miłość?

Kolejny raz uniosła dłoń, sprawdzając czy diament załśni w świetle księżyca.

Nagle zza uchylonych drzwi mieszkania, rozdzierając ciszę nocy rozdzwięczały się dzwonki alarmowe. W jednej sekundzie Pete odwróciła się i wpadła do domu. Była w pół drogi do telefonu, kiedy na horyzoncie pojawiła się Maddy, jej gospoia.

- Boże święty, to chyba ze sklepu, proszę panienki! Widząc przerażenie gosposi, Pete zawróciła od telefonu.

Podeszła do Maddy. Minął już rok od otwarcia sklepu, jednak nigdy jeszcze nie włączył się alarm w mieszkaniu.

Dźwięk przyprawił obie o wstrząs.

- Ktoś musiał się włamać, ale nie przejmuj się, Maddy. Policja będzie za trzy minuty na miejscu. - Pete uścisnęła gosposię. - A teraz zaparz mi prędiutko kawy. Muszę czymś się wzmocnić.

Uspokojona poleceniem, Maddy podreptała do kuchni. Pete odwróciła się, podeszła do nocnego stolniczka i przycisnęła czerwony guzik na obudowie telefonu. Alarm umilkł równie nagle, jak się włączył. Chcąc uzyskać bezpośrednie połączenie ze sklepem, wcisnęła sąsiedni guzik, odpowiedział jej jednak buczący sygnał zajętej linii.

Widocznie z dołu też usiłują się z nią połączyć. Rezygnując z dalszych prób, pospiesznie zaczęła wkładać przygotowane na następny dzień ubranie.

Spódniczka i bluzka przerzucone przez oparcie szeszlona, ze stosowną biżuterią, skrywały naszykowaną pod spodem bieliznę. Na podłodze, obok torebki, stały pantofle z krokodylej skóry. Wskakując w nie, jednocześnie dopinała bluzeczkę z zielonego jedwabiu. Sięgając po szczotkę do włosów, drugą ręką wygładzała spódniczkę z wielbłądziej wełny.

Właśnie zwijała gęste, ciemne włosy w luźny francuski węzeł, kiedy zadzwonił telefon. Zanim podniosła słuchawkę, umocowała fryzurę grzebykami ze srebra ozdobionymi lazurytem.

- Pete, mówi Jim Bateman. Sygnalizuje tylko, że jestem już na miejscu. Gliny też już się biorą do roboty.

- To dobrze, Jim. Zaraz tam będę. Czy szkody są poważne? - spytała szefa ochrony sklepu.

- Włamanie samo w sobie jest już poważną szkodą, Pete. Nie

miałem jeszcze okazji sprawdzić, co zginęło. Jednak na pierwszy rzut oka wygląda, że sporo wartościowych rzeczy wyszło bez szwanku.

Z westchnieniem odłożyła słuchawkę. Nie było czasu na makijaż. Musnęła wargi szminką i wybiegła z pokoju.

Przy windzie dopadła ją Maddy z dymiącą filiżanką kawy. Pete przyjęła napój z wdzięcznością.

- Gdyby ktoś do mnie dzwonił, nie mów gdzie jestem. - Zjechała winda i Pete weszła do środka. - Obojętne czy to będą dziennikarze, czy firma ubezpieczeniowa - nie chcę w sklepie niepotrzebnego zamieszania.

- Zrozumiałam, proszę pani. -

Pete oddała filiżankę gospoście i skinęła głową windziarzowi. Winda ruszyła na dół.

Osiem przecznic dalej przy Piątej Alei reflektory policyjnych wozów utworzyły świetlisty krąg wokół wejścia do nowojorskiego oddziału Tesori, najnowszego, najbardziej luksusowego ogniwa w światowej sieci sklepów firmy, która powstała w Lugano, włoskim zakątku Szwajcarii. Fakt ten upamiętniono w jej nazwie, która po włosku oznaczała „Skarby”. Pierwsze dwadzieścia lat istnienia Tesori upłynęło na zakładaniu oddziałów we wszystkich stolicach Europy czy, jak niektórzy mówili, oplataniu kontynentu „diamentową siatką”. W ostatnim czasie firma poszerzyła się o filie w Caracas, Rio, Tokio i wreszcie w Stanach Zjednoczonych. Nowojorska filia, chociaż mieściła się na tym samym odcinku Piątej Alei, co jubilerzy o takiej renomie jak Harry Winston, Cartier, Bulgari, Tiffany czy Dufort & Iveres, nie starała się rywalizować z sąsiadami rozmiarami lokalu.

A jednak wewnątrz sklepu, zaprojektowane i urządzone przez Pietrę D'Angeli, wabiło nieodpartym urokiem, który zjednywał firmie tyleż samo klientów, co jej potężniejszym rywalom; klientów żądnych jak najdroższych klejnotów, oprawionych w wysoce oryginalny sposób, projektowanych zwłaszcza przez samą Pietrę. Nowojorski Tesori zaczynał być uważany za światową wizytówkę firmy.

Na przemian biegnąc i idąc, Pete pokonała osiem przecznic dzielących jej apartament od sklepu w niecałe pięć minut.

- Tu jestem, Pete! - zawołał Jim Bateman.

Jim miał potężny tors i rzadkie, jasne wąsy. Był jednym z tuzina stojących przed sklepem mężczyzn. Jedni rozmawiali, inni zapisywali coś w notesach, jeszcze inni przeczesywali chodnik w sposób, w jaki poszukiwacze muszelek wędrują po plaży.

W powodzi świateł policyjnych wozów Pete ruszyła pospiesznie w stronę Batemana, baczny wzrokiem omiatając witrynę sklepu. Gruba, zbrojona szyba, sfazowana i oszlifowana jakby sama była klejnotem - pozostała nietknięta.

Umieszczone za nią srebrne misy kipiały od pereł i szlachetnych kamieni. Za dnia ich blask wart był miliony; w nocy prawdziwe kamienie zastępowało szlifowane szkło. W swoim czasie Bateman błagał ją, żeby zrezygnowała z wystawiania sztucznych klejnotów, które mogły przyciągnąć nie zorientowanych złodziei.

- Złodzieje klejnotów znają się na swoim fachu - zaproponowała Pete. - Ktoś, kto potrafi poradzić sobie ze zbrojoną witryną, umie odróżnić oryginały od falsyfikatów. Zostawiam szklane błyskotki, żeby spacerujące wieczorami kobiety miały o czym śnić w nocy i wiedziały, dokąd i po co posłać swoich mężczyzn rano, kiedy my otworzymy sklep.

Jim Bateman przestał się upierać przy swoim. Kto mógł wiedzieć, któremu z pomysłów Pete Tesori zawdzięczał

wyższy dochód na metr kwadratowy powierzchni niż którakolwiek ze słynnych firm jubilerskich na świecie? Sukces jest zawsze niepodważalnym argumentem.

- Dzień dobry, panie B. - powiedziała Pete, podchodząc do szefa ochrony. Włożyła w powitanie tyle entuzjazmu, na ile ją było stać. Poczytywała za swój obowiązek podtrzymywać morale pracowników.

- Nie taki znowu dobry - zauważył Bateman.

- Zorientowałaś się już, czego brakuje? Wyglądasz dosyć ponuro. Przez telefon mówiłaś weselszym głosem.

- Przede wszystkim będziemy musieli solidnie posprzątać. Zobacz sama. - Objął ją delikatnie i poprowadził do drzwi wejściowych sklepu.

W środku panował niesamowity rozgardiasz. Złodzieje potłukli gabloty i wywlekli biżuterię. Cały sklep wyglądał

jakby go posypano weselnym ryżem. Diamentowe pierścionki wały się po czarnej, marmurowej posadzce.

Szmaragdowe bransolety i naszyjniki z rubinów leżały ciśnięte byle jak w kasetach ekspozycyjnych. Długi podwójny sznur niezwykle rzadkich czarnych pereł zwisał przerzucony przez secesyjną kanapkę dla klientów.

Widząc ten piekielny bałagan, Pete z najwyższym trudem opanowała wzbierającą wściekłość na tych, którzy ośmielili się z podobnym lekceważeniem potraktować całe to piękno.

Schyliła się, żeby podnieść diamentową broszkę, która poniewierała się u jej stóp.

- Nie dotykaj niczego - powstrzymał ją Jim. - Najpierw trzeba wszystko obfotografować i pobrać odciski palców.

- Masz rację. - Wyprostowała się. - Męczy mnie to, że nie wiem, jakie są straty.

- Trudno powiedzieć, dopóki nie pozbieramy i nie zinwentaryzujemy wszystkiego; na oko jednak wygląda to niegroźnie. Obyło się chyba bez poważniejszych strat.

Żyłasty mężczyzna w sportowej marynarce w jaskrawą kratę podszedł, wyciągając rękę do Pete.

- Kapitan Dave Petroselli - przedstawił się. - Pracuję dla...

- Domyślam się, kapitanie - przerwała mu Pete. Nie musiała patrzeć na policyjny identyfikator przyczepiony do kieszonki na piersi. Wystarczyło jej samo owiane legendą nazwisko kapitana. Petroselli specjalizował się w kradzieżach klejnotów, dzieł sztuki, drogocennych płócien.

- Cieszę się, że zajął się pan tą sprawą.

- Włamania do takich miejsc jak Tesori to moja działka. - Rozejrzał się dookoła. - Na pierwszy rzut oka wygląda, że wyszła pani z tego obronną ręką. Sprytniejsi złodzieje biżuterii zwykle łapią za kamienie średniej wielkości, które uda im się szybko opchnąć, albo biżuterię, którą można rozłożyć na kawałki, żeby sprzedać kamienie luzem.

Większość biżuterii, która się tutaj poniewiera, zalicza się do tej kategorii, a mimo to złodzieje pozostawili ją na miejscu. Pan Bateman twierdzi, że duże sztuki też leżą nietknięte w pani sejfie. Wniosek z tego taki, że chodziło im o coś innego.

- Nawet z pracowni, gdzie trzymamy sporo nieoprawionych kamieni, nic nie zginęło - poparł Petrosellego Bateman.

Pete potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

- Nic z tego nie rozumiem - powiedziała wskazując ręką na poniewierające się klejnoty. - Po co to wszystko, skoro nie chcieli zabrać niczego?

- Wcale nie powiedziałem, że nie chcieli zabrać niczego - sprostował detektyw. - Myślę, że cały ten bałagan został

zrobiony specjalnie, żeby zbić nas z tropu. Jako parawan mający odwlec moment, kiedy to zorientujemy się, o co naprawdę im chodziło.

- Czyli?

- To już pani musi wiedzieć - odparł Petroselli. - Ja mogę tylko zgadywać, ale wydaje mi się, że ten, kto tu był, szukał

czegoś bardzo konkretnego. Prawdę mówiąc... podejrzewam, że jest w to zamieszany ktoś z pani współpracowników. Ktoś, kto orientował się, że ukrywa pani coś niezmiernie drogocennego. Czy coś takiego przychodzi pani na myśl, panno D'Angeli? Coś, co pani ukrywała, a o czym wiedziało najwyżej parę osób?

- O, Boże! - szepnęła nagle Pete i rzuciła się w stronę schodów prowadzących do biur na półpiętrze.

Ciężko dysząc dobiegła do swojego gabinetu, otworzyła z rozmachem drzwi, wpadła do środka i zapaliła światło. Tak jak się domyślała, otwarte na oścież drzwiczki odsłaniały ziejące pustką wnętrze jej sejfu. Ciemna czeluść zdawała się o wiele głębsza niż pojemność metalowej skrzynki, zdawała się sięgać mroków przeszłości, która nigdy już nie miała ujrzeć światła dziennego.

Skarb zniknął.

Runęła przed otwartym sejfem na kolana. Łzy napłynęły jej do oczu, łzy gniewu, frustracji, rozczarowania. Nie ocierała oczu, przyglądając się, jak łzy skapują na kolana, na których oparła zaciśnięte pięści.

Jej wzrok padł na diament na palcu serdecznym i znów jej myśli wróciły do niego, do tego, co się naprawdę liczyło w jej życiu. Czy musi być wciąż wierna ideałom przeszłości, posłuszna czyimś obsesjom? Jeden skarb przepadł, ale jego miejsce mógł zająć skarb zupełnie innego rodzaju.

Jednak nie mogło tak być. Niech ją Bóg ma w swojej opiece.

Nie. Z pomocą boską musi odzyskać ten skarb. Bez niego nigdy nie rozwiąże zagadki przeszłości, nigdy nie wyrówna dawnych krzywd. Z dwóch nigdy nie powstanie jedno.

Zanim wyruszy w przyszłość będzie musiała spłacić dług przeszłości.

Księga pierwsza

Oprawa

Rozdział pierwszy

Toskania - 1938

Na atlasowych poduszkach zaścielających łóżko połyskiwały klejnoty. Naszyjniki, bransolety, pierścionki, tiary.

Tuziny ozdób. Pierwszy raz od wielu lat miała przed oczyma całą kolekcję. Wyciąganie klejnotów, sztuka po sztuce, należało do porządku inwentaryzacji. Niemniej, nawet po tylu latach, właściwie nie musiała ich oglądać. Było ich ponad sto sztuk, a każdą znała na pamięć.

Dokładnie tak, na pamięć. W każdym z tych bibelotów zaklęta była pamięć o miłości i uwielbieniu jakiegoś mężczyzny.

Sięgając na chybił trafił przed siebie, wyłowiła z połyskliwego morza klejnotów długi naszyjnik ze szmaragdów otoczonych diamentami, owinęła go wokół szyi i podeszła do lustra - jednego z wielu zwierciadeł na ścianach ozdobnej sypialni. Nigdy nie musiała obawiać się luster. Nawet teraz, w siódmej dekadzie życia, srebrna tafla pokazywała wyglądającą o dwadzieścia lat młodziej kobietę wielkiej urody. Wielu twierdziło, że niegasnącą młodość zawdzięczała bardzo prostej sztuczce: na przestrzeni niezliczonych lat była nieustannie kochana, a nie kończący się korowód adoratorów składał jej swój hołd...

Ach, szmaragdy. Spoczywając na tle dekoltu o barwie kości słoniowej, przywoływały wspomnienia z łatwością równą tej, z jaką załamywały światło. Ich sznur ofiarował jej pewien księżę podczas schadzki w noc poprzedzającą jego aranżowane małżeństwo z cudzoziemską księżniczką. Coś zielonego, powiedział, dla dopełnienia szafiru jej oczu i kruczej czerni włosów.

To było jednak wieki temu... w czasach, kiedy na świecie

jeszcze spotykało się książąt. W nowej epoce władza spoczywała w rękach brutalnych mężczyzn bez cienia manier, mężczyzn, których marzeń nie zaspokajało już zdobycie pięknej kobiety, lecz dopiero upodlenie całych narodów, ich sztuki, ich kultury...

Ta myśl sprawiła, że pospiesznie wróciła do łóżka i zaczęła zbierać klejnoty, wkładając do pudełek, w których przechowywała je przez te wszystkie lata. Całość włożyła do zamaskowanej w ścianie sypialni szafki, po czym zasiadła przed toaletką, na której spoczywało jadeitowe pudierko o rozmiarach piętnaście na piętnaście. Pudierko samo w sobie było drogocennym przedmiotem, nie tak drogocennym jednak, jak jego zawartość, jedyny przedmiot, którego nie uwzględniła podczas pedantycznej inwentaryzacji.

Otworzyła pudełko i podniosła je z łoża pokrytego suto różowym jedwabiem. Jego zawartość była najcenniejszym z jej skarbów, unikalnym w całej kolekcji. Nie była to ozdoba do noszenia. Na pierwszy rzut oka przedmiot wydawał się zwykłą figurką kobiety - odzianej w suknię i ozdobionej klejnotami - wysokości prawie dwunastu centymetrów.

Precyzja wykonania dorównywała carskim pisankom od Faberge'a. Głowa figurki wykonana była ze złota, oczy z szafirowej emalii, ramiona z podwójnej perły. Staniczek sukni wyrzeźbiony był z rubinu w kształcie serca, a spódnicza obsypana zawijasami z diamentów i szmaragdów, dzięki którym figurka wydawała się wirować w tańcu.

Spod rąbka sukni wystawały lśniące pantofelki z czarnej perły.

Podziwiała przez chwilę figurkę, pogrążając się po raz nie wiadomo który we wspomnieniach o ofiarodawcy.

Doskonale pamiętała, że dar otrzymała w dniach, kiedy nad światem zawisła groźba wielkiej wojny światowej. Ta groźba powróciła znowu. Być może teraz, kiedy historia zatoczyła koło, nadszedł czas, żeby przekazać figurkę w inne ręce.

Otrzymała ją w darze... choć niedokładnie w tej samej postaci. Ujęła górną połowę figurki jedną, a dolną drugą dłonią, delikatnie przekręciła i figurka rozpadła się na dwie połowy. W powietrzu zapachniało zwiędzonymi perfumami, zaschniętymi na dnie złotego flakonika ukrytego we wnętrzu figurki.

Siadła ważąc po jednej połowce w każdej dłoni, jakby ważyła decyzję, którą podjęła jeszcze tego samego dnia.

Przypomniała

sobie historii sądu króla Salomona nad dwiema kobietami, które podawały się za matki tego samego dziecka. „A zatem - zawyrokował król - dziecko zostanie przecięte na pół i każda z matek otrzyma swoją połowę”. Kiedy jedna z kobiet ze szlochem zaprotestowała, przyznał jej dziecko, zdrowe i całe, uznawszy, że musi być jego rodzoną matką.

Jednak nie znalazł się nikt, kto by zaprotestował przeciwko podziałowi jej skarbu - był to przecież tylko flakonik. Ta buteleczka zwiastowała jej koniec, w jakimś sensie była jej śmiercią. Zapewne będzie zmuszona do wyjawienia pewnych tajemnic.

Czy miała jednak jakikolwiek wybór? Patrząc na dwie połówki flakonika zauważyła, że w sposób doskonały odzwierciedlają stan jej uczuć. Buteleczka perfum odzwierciedlała stan jej ducha - ona również czuła się rozdarta patrząc na to, co dzieje się na świecie i rozmyślając o wyborze, do którego została zmuszona.

Rozdział drugi

Mediolan - 1938

Il Duce a Milano!

Zaczęło padać. Z pospiesznie drukowanych plakatów farba ściekała czarnymi łzami, jednak zarówno tekst, jak i fotografia nadal były czytelne w wieczornym świetle. Piazza del Duomo tonął w śmieciach. Deszcz przyklejał do bruku papiery i ulotki - pozostałość popołudniowego wiecu.

Stefano D'Angeli stał przy oknie swojego gabinetu, mierząc wzrokiem wiekowe kamienie, którymi wybrukowany był plac przed katedrą. Plac był pusty, jeśli nie liczyć kilku przemykających się parasoli, spod których wystawały nogi właścicieli. Posągi z różowego marmuru, rzygacze i wieżyczki zdobiące dachy słynnego Duomo ociekały wodą. Z miejsca, z którego patrzył, mógł nawet dostrzec maleńką postać połączanej *Madonny*, roztaczającą mokry połysk z najwyższej z wież, jakby opłakiwała to, co przyszło jej widzieć parę godzin wcześniej.

Przez całe popołudnie, o mury placu obijał się ryk tłumu, skandującego *Viva il Duce*. Nad głowami niosły się dźwięki hymnu faszystów *Giovanezzy*. Pieśń wdzierала się do gabinetu Stefano, utrudniając pełnienie obowiązków aplikanta w kancelarii adwokackiej. Najtrudniejsza w tym wszystkim do przyjęcia była świadomość, - że w tłumie wyspiewujących durni znajdował się jego własny brat.

Stefano powrócił do biurka, przeczesał palcami gęstwinę kruczoczarnych włosów, wziął do ręki list, który przez cały dzień daremnie usiłował skończyć. Praca nudziła go nawet w najlepsze dni, kiedy nie rozpraszały go śpiewy i wiwaty zza

okien. Czyżby już w wieku dwudziestu czterech lat jego życie miało się wlec dzień za dniem po kancelariach i salach sądowych? O ileż chętniej siedziałby pod drzewem nad rzeką z tomikiem wierszy w ręku albo w jednej z kafejek przy Via Verdi, rozprawiając o sztuce i literaturze w gronie przyjaciół.

- Powinieneś już wyjeżdżać - zauważył Carlo Brancusi od progu.

- Nie dokończyłem jeszcze listu.

- List może zaczekać. Przed tobą długa droga, tym bardziej, że pada...

Stefano podniósł wzrok na Brancusiego, który był szefem kancelarii. Twarz Carla miała władczy wyraz, jaki spotykało się na starożytnych monetach z wizerunkiem rzymskich cesarzy. W twarzy tej rzucał się w oczy przede wszystkim wielki, długi nos patrycjusza. Jego włosy ciągle jeszcze miały połysk mahoni, choć siwizna przyprószyła już skronie; ciemne, władcze brwi ocieniały głęboko osadzone, piwne oczy. Była to twarz, która wzbudzała zaufanie.

- Czy Vittorio naprawdę musi iść ze mną? - spytał Stefano. - Akurat dzisiaj... Znasz dobrze ten jego entuzjazm.

Zapewne zdarł sobie gardło przewodząc motłochowi na placu i przez całą drogę będę musiał wysłuchiwać hymnów pochwalnych na cześć Duce. Czasem zastanawiam się, czy jeden z nas nie został podmieniony przy porodzie.

Pojęcia nie mam, jakim cudem jesteśmy braćmi.

- W naszych czasach z pewnością potrzebna jest wielka doza cierpliwości, Stefano. - *Signor* Brancusi z uśmiechem położył dłoń na ramieniu młodego mężczyzny. - Nawet wobec rodzzonego brata. Otrzymałem bardzo kateryczne instrukcje od mojej klientki. Obaj z Vittorioem macie się stawić u niej nie później niż o północy.

- Nie jestem pewien, czy wytrzymam kilka godzin w jego towarzystwie - roześmiał się Stefano, wstając od biurka. -

Nie wiem też, czy będę w stanie znieść jego jazdę. Jednak dla ciebie, Carlo, decyduję się zaryzykować.

- Nie dla mnie, tylko dla mojej klientki. Moja klientka to bardzo niezwykła kobieta. Nie pożałujesz tego spotkania.

- Niech ci będzie, Carlo. Dla twojej klientki.

Wyszli obaj z gabinetu. Brancusi podał Stefanowi palto. Na pożegnanie uścisnęli się jak ojciec z synem, choć związek między nimi nie był związkiem krwi, lecz związkiem serc. Oprócz tego, że był przełożonym Stefana, Brancusi od niemowlęctwa również opiekował się braćmi. Ich rodzice, z którymi się przyjaźnił, zginęli na dworcu kolejowym od bomby podłożonej przez anarchistów. Był to jeden z tych incydentów, którym *U Duce* zobowiązał się położyć kres, przejmując władzę dla siebie i dla swoich Czarnych Koszul.

Ledwie Stefano znalazł się na *piazza*, przeszył go lodowaty chłód. Podniósł kołnierz i skulił się w palcie, chowając ręce do kieszeni. Kiedy przecinał plac, opadł go tuman wirujących ulotek, rozrzuconych przez faszystów podczas wiecu. Przywierały do jego butów, oblepiały mankiety spodni. Papier zaścielał cały plac.

Z bruku spoglądała na Stefana buńczuczna, ospowata od deszczu, twarz Mussoliniego. *Pogromca Etiopii, Zbawca Włoch*

- głośno nagłówki ulotek. Cóż za parodia, pomyślał Stefano, strzepując z czubka buta nachalną propagandę. Stefano nie był w stanie dopatrzeć się niczego poza okrucieństwem w topornej, odpychającej twarzy rzekomego zbawcy.

Co sprawiało, że jego brat upatrzył sobie w tym człowieku wodza i uważał go - jak to określili podczas ich ostatniej kłótni

- za „nowego Cezara”? Dla Stefana opasły Benito był tylko i wyłącznie parszywym nicponiem, który wiedział, jak manipulować teatralnymi ciągotami swoich rodaków. Wystarczyło nakarmić ich i dostarczyć odpowiednich widowisk, a zapominali natychmiast o własnej kieszeni i sumieniu.

Formuła ta nieobca była starożytnym cesarzom - stwierdził w zadumie. Chleba i igrzysk. Teraz wyglądało jakby R

Duce zamierzał połączyć swoje szyki z *Der Fuhrerem*. Szykowało się widowisko nie lada. Dobrana para kłownów ręka w rękę baraszkuje, a cała Europa jest areną ich makabrycznych figli. Stefano nie wątpił, że w pogoni za władzą i terytorium gotowi są splądrować cały kontynent, nie oszczędzając nawet *la bella figura* samych Włoch.

A Vittorio chętnie przyłożyłby do tego ręki. Już teraz z ustami pełnymi sloganów piał się w górę po kolejnych szczeblach

partyjnej hierarchii. O nowo powstałej Osi mówił, że stanowi „naturalne połączenie sił dwóch przywódców moralnych”, a jej zadaniem jest oczyszczenie Europy z „dekadentkich elementów”, którymi była dla niego poezja, kultura, inspiracja, całe typowo włoskie *dolce wita*- jednym słowem wszystko to, co dla Stefana stanowiło sens życia.

- *Ciao, bella*- odkrzyknął pogodnie prostytutce, posyłając jej uśmiech, zanim powędrował dalej. W Mediolanie roiło się od kurew, były to jednak porządne kurwy, które pracowały, żeby mieć co włożyć na grzbiet i do garnka -

utrzymać się przy życiu. Vittorio był o wiele gorszy od każdej z dziwek na *piazza*, gdyż dobrowolnie prostytuował

się na usługach *Fascisti*, tylko po to, żeby obrastać w fortunę i sadło.

Stefano przeszedł pod triumfalnym łukiem wieńczącym wejście do słynnej mediolańskiej Gallerii. Szare, wieczorne światło sączyło się do wnętrza przez szklaną kopułę dachu, mieszając z ciepłą poświatą kulistych lamp, których mdły blask zatapiał przestrzeń w perłowej mgłę. Raz czy drugi, kiedy w tłumie mignęła znajoma twarz, uchylił kapelusza.

Szedł, głośno postukując butami o mozaikę bruku. Mediolańczycy nazywali Gallerię salonem. Przyjaciele pozdrawiali przyjaciół. Znajomi witali się ze znajomymi. Klienci wędrowali od sklepu do sklepu. Dwie matrony w drodze do Savini, gdzie swego czasu zwykli biesiadować Puccini i

Verdi, omawiały talent nowego tenora w La Scali.

Przez witrynę Biffi widać było nietknięte aperitify kochanków, wymieniających spojrzenia nad obrusem z adamaszku. Stefano kroczył przez Gallerię z uśmiechem na twarzy. Ach, jak kochał Mediolan! Czy jednak miasto przetrwa rządy Duce?

Przy końcu długiej arkady Stefano skręcił w drzwi sklepu swojego brata, jednego z najelegantszych w Mediolanie sklepów z wyrobami z papieru i skóry. Jeszcze do niedawna sklep należał do zamożnego żydowskiego kupca - od trzech pokoleń był własnością jego rodziny. Żyd zniknął, „nakłoniony” do wyjazdu do Ameryki Południowej, jako jedyny dobytek unosząc skórę własną i swojej rodziny. Dzięki partyjnym koneksjom Vittoriowi udało się nabyć sklep z całym towarem za ułamek rzeczywistej wartości.

Vittorio D'Angeli stał za kontuarem przeglądając książki. Z bratem różnili się jak noc od dnia, nie tylko w kwestiach polityki. Szczupły Stefano poruszał się z niewymuszonym wdziękiem, podczas gdy Vittorio, tęgi i masywny, stąpał

niezdarnie, w sposób wskazujący na całkowity brak harmonii z otaczającym go światem. Jakby dla kontrastu z czernią włosów Stefana, Vittorio miał włosy jasnobrązowe, nie na tyle jasne jednak, aby można było go nazwać blondynem. Jego oczy również miały niezdecydowany odcień brązu. Kształt nosa i ust przypominał rysy Stefana, jednak w szerokiej twarzy Vittoria rysy zupełnie nie miały proporcji, co zdecydowanie obniżało ich atrakcyjność.

Podniósł wzrok znad rachunków i spojrzał na wchodzącego Stefana.

- Spodziewałem się ciebie o szóstej! - stwierdził bez wstępnych uprzejmości, wyciągając złoty zegarek z kieszeni. -

Spóźniłeś się, jak zwykle.

- Wybacz, braciszku - powiedział Stefano, podchodząc do kontuaru. W jego unizonym tonie słychać było wyraźną drwinę. - Co rusz musiałem przystanąć, żeby odetchnąć deszczem albo posłać uśmiech pięknemu dziewczęciu.

Vittorio z hukiem zatrzaskał książki i zaczął obchodzić sklep dookoła, sprawdzając czy gabloty, w których wystawiano piękne portfele i teczki, zostały zamknięte na klucz. Jutrzejszych klientów powitają równo poukładane na półkach ryzy marmur-kowego papieru.

- Domyślam się, że w jakiejś kafejce zabijałeś czas wypisując brednie, które w twoim pojęciu uchodzą za poezję.

Najchętniej całymi dniami śniłbyś na jawie. Gdybym cię nie znał, Stefano, byłbym skłonny przypuszczać, że jesteś jednym z rzymskich próżniaków. Nie zapominaj jednak, że jesteśmy w Mediolanie. W Mediolanie się pracuje. W

Mediolanie kończy się to, co się raz zaczęło. Kończy się na czas.

- No cóż, może się zdarzyć, że któregoś dnia twój uwielbiony Benito wyda dla nas wszystkich, jak dla pociągów, rozkłady jazdy. Do tej pory jednak nie zamierzam zrezygnować z zabawy.

Vittorio zwrócił się do brata z błyskiem w oku. Stefano przygotowany był, że z miejsca usłyszy obronę Duce, tymczasem jednak Yittorio wybrał taktykę ataku.

- Jak ja się mam, na Boga, pokazać z tobą między ludźmi. Włosy ci włożą do oczu, od miesięcy nie oglądały fryzjera, krawat masz przekrzywiony, butom przydałoby się trochę pasty. Wyglądasz jak włóczęga.

W tej kwestii Vittorio naturalnie był również przeciwieństwem brata. Starszy zaledwie o cztery lata od Stefana, nosił

się o wiele poważniej od niego. Od chwili, kiedy zaczął udzielać się w świecie, miał w zwyczaju ubierać się statecznie - i kosztownie - jak dwa razy starsi od niego bankierzy. Białe koszule od Truzziego, czarne buty na wysoki połysk od di Balliniego, marynarki na miarę z szarego sukna w prążki i nienaganny węzeł krawata z fularu w kolorze starego wina.

- Gdybym nawet nie miał nic przeciwko temu, żeby pokazywać się w towarzystwie włóczęgi, dalej nie widzę powodu, dla którego miałbym być zamieszany w jakieś twoje sprawy.

- Nie dla mnie to robisz, tylko dla Carla.

- Wszystko jedno. Z jakiej racji mam się tłuc po nocy przez pół kraju po to, żeby spotkać się z którymś z jego zwariowanych klientów? To ty aplikujesz u niego, nie ja.

- Niemniej obaj jesteśmy jego dłużnikami. Gdyby nie Carlo...

- Wiem, wiem. Bez niego skończylibyśmy w sierocińcu. Ile razy mam jeszcze wysłuchiwać tej wzruszającej historyjki? Potrafię już sam o siebie zadbać. I fakt, że co dzień powinienem całować go po rękach z wdzięczności, nie jest już wystarczającym powodem, żeby chciało mi się kiwnąć palcem w sprawach Brancusie-go. - W sklepie paliło się już tylko światło przy drzwiach. Vittorio zdejmował płaszcz z wieszaka. - Miałem spędzić dzisiejszy wieczór w La Scali, w towarzystwie sekretarza partii naszego okręgu. Radziłbym wam obydwu, żeby to, iż muszę zrezygnować ze swoich planów, stało się z wystarczająco ważnego powodu.

Stefano patrzył na brata w osłupieniu. Jak można być aż tak wypranym z uczuć? Czy właśnie dzięki temu Vittorio był doskonałym funkcjonariuszem partyjnym?

- Jeśli żądasz prozaicznych powodów, proszę bardzo. To dlatego, że masz samochód - rzucił szorstko bratu. - Co więcej, ta osoba domaga się obecności nas obydwu.

- Tak? - wiadomość zaskoczyła Vittoria. - Ciekawe. Kim jest ta osoba? Kim on jest?

- Nie on, tylko ona. Zdradziła Carlowi, że musi przewieźć jakieś kosztowności.

Zgodnie z przypuszczeniami Stefana, oczy Vittoria rozbłysły z zaciekawienia.

- Rozumiem. Jakaś *contessa*? Czy może *principessa*? To wyjaśnia, czemu potrzebujesz do tej misji kogoś odpowiedzialnego. Z pewnością nie marzy o tym, żeby swoje kosztowności powierzać takiemu łachmycie, jak ty. -

Wyglądził na szerokich dłoniach rękawiczki z koźlecej skóry, strzepnął niewidzialny pyłek z kapelusza, który włożył na gładko ulizane włosy. Wyjął parasol ze stojaka. - Nie pozostaje nam nic innego, jak ruszać. Jesteśmy przez ciebie dostatecznie spóźnieni. - Otworzył drzwi i skinieniem ręki popędzając Stefano do wyjścia przekręcił klucz w zamku.

Szli przez Gallerię ścigani spojrzeniami kobiet. Jednak to nie Vittorio, w szytej na zamówienie marynarce i butach na wysoki połysk, skupiał na sobie uwagę Rosy, Giny, Franceski, czy innych bywalczyń kafejek, lecz kroczący z gracją tancerza Stefano, o jedwabistych włosach i błękitnych oczach w barwie morskiej toni. Wrodzona elegancja nie opuszczała go nigdy, niezależnie od stroju. Jego sposób bycia zdradzał wrażliwość, a uśmiech świadczył o poczuciu humoru.

Kiedy znaleźli się na *piazza*, Vittorio końcem parasola wskazał swój samochód zaparkowany po przeciwnej stronie, po czym otworzył parasol, chroniąc się przed nie ustającą mżawką, której dodatkowo towarzyszyła mgła, często o tej porze roku okrywająca Mediolan.

- Powinieneś być przyjsć na wiec - odezwał się. - Tysiące..., dziesiątki tysięcy praworządnych obywateli stawilo się, żeby pozdrowić Duce.

- Słyszałem ich. Widziałem na własne oczy śmietnik, jaki po sobie zostawili. Ktoś to będzie musiał sprzątnąć. -

Czubkiem buta potracił rozmokły portret idola swojego brata. - Zastanawiam się, kto sprzątnie po nim grubsze śmieci.

- Uważaj na swoje słowa, Stefano. Powinno już dotrzeć do ciebie, że przyszłość każdego Włocha będzie wkrótce zależeć od jego postawy wobec partii.

- Wiesz dobrze, jaka postawa najbardziej by mi odpowiadała

- zakpił Stefano. - Chciałbym stać za naszym najjaśniejszym panem tak, żebym w każdej chwili mógł wymierzyć kopniaka w jego tłuste dupsko.

Vittorio zatrzymał się. Twarz wykrzywiła mu przemieszana z paniką wściekłość.

- Stefano! - syknął półgłosem, rozglądając się, żeby sprawdzić, czy na pewno nikt ich nie usłyszał. - Nie nadużywaj mojej dobroci. Nie będę więcej słuchać takich rzeczy, i radzę ci uważać, kiedy zechce ci się bluźnić przy innych.

Prawdą jest, że mam pewne wpływy i, jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, wkrótce będę jeszcze lepiej ustawiony, jednak moja opieka nad tobą ma pewne granice.

- Możesz się wypchać swoją opieką - Stefano przyspieszył kroku, pozostawiając Vittoria w tyle.

- Rozumiem, że kiedy nasze czołgi wyjadą na ulice, powiesz po prostu „Proszę mi nie przeszkadzać, czytam sonety?”

- prychnął szyderczo Vittorio. - Zapewne sądzisz, że będę cię w każdej sytuacji osłaniał, ponieważ jesteś moim krewnym?

Stefano uśmiechnął się drwiąco, słysząc to określenie. Krewnym, nie bratem. Wyglądało na to, że Vittorio pogłębia dystans między nimi, przygotowując się na dzień, w którym okaże się, że przyznawanie się do brata jest niewygodne.

- Nie martw się, bracie - powiedział Stefano, z premedytacją kładąc nacisk na ostatnie słowo. - Nie liczę na to, że będziesz mnie osłaniał. Jeśli dojdzie do wojny, będziesz musiał przecież przede wszystkim ratować własną skórę.

Vittorio chwycił brata za rękaw, jednak Stefano wyrwał się i szedł dalej.

- Posłuchaj lepiej, Stefano. Już teraz przygotowuje się listy. Listy osób niepewnych, osób, których cynizm i zwątpienie zatruwają nasz sen o odbudowie cesarstwa. Nie chciałbym, żeby figurowało na niej twoje nazwisko.

- Ze względu na mnie, czy na siebie?

- Żadnemu z nas nie wyszłoby to na dobre - odparował Vittorio.

- Będę o tym pamiętał - zapewnił Stefano.

Dotarli do Fiata Vittoria i wsiedli. Po paru minutach zostawili za sobą centrum. Samochód mknął na południe w kierunku Florencji.

W drodze zgodnie milczeli. Stefano nie lubił kłócić się z Vittorio, a ostatnio tak się składało, że tylko w ten sposób potrafili ze sobą rozmawiać. W tej sytuacji bezpieczniej było w ogóle nie odzywać się. Deszcz przybrał na sile, wycieraczki tykały hipnotycznie. Stefano zdrzemnął się, kiedy jechali przez Lombardie, zbudził się jednak, zaledwie wjechali między wzgórza Toskanii.

Jako dziecko zwykł spędzać wakacje w Toskanii, w letniej willi Carla. Wśród wzgórz koloru ochry i umbry czuł się zawsze dziwnie swojsko. Teraz, poprzez ociekające deszczem okna nie widział cyprysów, gajów oliwnych, oplecionych winnicami wzgórz... czuł jednak ich obecność. Toskania, słodka jak fermentujące winogrona, cierpka jak gęsta, dziewicza oliwa z pierwszego wytloku. Kraina, która wydała Dantego i Petrarke, Leonarda i Michała Anioła, a jeszcze wcześniej naród Etrusków. Może właśnie dlatego tak dobrze ją rozumiał.

Kiedy minęli znak drogowy informujący, że do Florencji zostało dziesięć kilometrów, Stefano sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął kopertę, którą mu wręczył Brancusi. Koperta zawierała instrukcje i przekazaną przez klientkę, ręcznie rysowaną mapę. Rozłożył papiery, zapalił małą lampkę nad schowkiem na przedzie wozu i zaczął czytać kartkę z instrukcją.

Wydawał Vittoriovi kolejne polecenia, kierując go w stronę posiadłości położonej na wzgórzach, za

Fiesole. Deszcz zaczął słabnąć i po dwudziestu minutach skręcili w długą, wysadzaną cyprysami aleję. Wjazdu strzegły dwa marmurowe cokoły z nazwą posiadłości. Kiedy skręcili z drogi, reflektory omiotły wykute w marmurze litery: *La Tana*. Uroczą nazwą, przemknęło przez myśl Stefana. *La Tana* - Gniazdo.

Nagle Vittorio zahamował tak gwałtownie, że wóz złapał poślizg na mokrym żwirze. Stefano musiał dobrze się zaprzeć rękami, żeby nie rąbnąć głową w szybę.

- Co, do diabła...? - wybuchnął z gniewem.

- Nic mi nie mówiłeś, że jedziemy do *La Tany* - oświadczył Vittorio oskarżycielskim tonem.

- I co z tego?

- Jak możesz być aż taki naiwny, Stefano? Czyżbyś nie wiedział, kto tutaj mieszka?

- Carlo twierdzi, że jakaś interesująca kobieta, którą będzie nam miło poznać.

- Miło, akurat! A jeśli zagnie na nas parol, tak jak na połowę zamożnych mężczyzn w Europie...

Stefano spojrzał zdumiony na brata.

- Chcesz powiedzieć, że... Carlo nigdy nie wspominał ci o tej kobiecie, o właścicielce *La Tany*?

- Nie...

- Nigdy nic nie słyszałeś o La Colombie?

W oczach Stefana mignął błysk zrozumienia. La Colomba - Synogarlica. Naturalnie, że słyszał o niej - a może i czytał. Kobieta owiana legendą największej bodaj kurtyzany swoich czasów. Kobieta, która na miłości zbudowała niebywałą karierę, nigdy jednak nie poślubiła ani nie związała się na stałe z żadnym z najwybitniejszych mężczyzn swojej epoki. Byli wśród nich arystokraci, artyści, politycy, słynni śpiewacy operowi - sam król Wiktor-Emanuel jakoby kochał się w niej w młodości. Mówiono, że La Colomba każdemu z nich była wierna, nigdy jednak dłużej niż przez rok czy dwa lata... i dzięki niezliczonym związkom, w których kochankowie obsypywali ją darami, zgromadziła wielką fortunę.

Vittorio wrzucił wsteczny. Samochód szarpnął do tyłu.

- Co robisz? - rozeźlił się Stefano.

- Czy naprawdę myślałeś, że mam zamiar odwiedzać tę podstarzałą dziwkę, czołową ladacnicę Europy? Może ty nie dbasz o własną reputację, ale ja nie mam zamiaru narażać mojej na szwank. Nie w takich czasach.

- Nie bądź durniem. - Stefano położył swoją dłoń na dłoni Vittoria i przerzucił na luz. - To zamożna, inteligentna kobieta. Z tego, co słyszałem, również piękna. Niewątpliwie jest kurtyzaną, cóż, to w

końcu nic innego, jak relikwii nie istniejącej już tradycji; z pewnością jednak nie jest kobietą, której należy się wystrzegać. Powszechnie wiadomo, że ma wielu wpływowych przyjaciół.

- Już niedługo. - Vittorio prychnął wzgardliwie. - Wkrótce *Duce* rozprawi się z wszelkimi przejawami dekadencji w naszym kraju. Ladacznica powiernicą ministrów i królów - to niedopuszczalne! - Rozejrzył się na wszystkie strony. -

Nie zdziwiłbym

sie, gdyby to miejsce było już pod obserwacją - dodał, zniżając głos.

- Nie mam zamiaru się wycofywać - oznajmił Stefano. - Podjąłem się tej misji dla Carla.

- Naturalnie - wycedził Vittorio. - Brancusi już przez sam fakt posiadania tego rodzaju klientów godzien jest w twoich oczach zaufania.

Stefano był bliski wyjścia z samochodu. Miał zamiar powiedzieć, że da sobie radę, a Vittorio może sobie wracać, kiedy zza chmur wypłynął nagle świetlisty księżyc. W oddali, na łagodnym stoku wzgórza, dostrzegli wznoszącą się ponad cyprysami ogromną willę skąpaną w srebrzystej poświacie. Stefano znalazł się w bajce. Zerknął na brata i zauważył, że nawet Vittorio jest pod wrażeniem.

- Dobrą nazwę wybrała - powiedział wreszcie. - *La Tana*

- lisia nora, do której lisica zaciąga swoje ofiary.

- *La Tana* znaczy także „gniazdo” - powiedział Stefano.

- Idealny dom dla Synogarlicy.

Kontemplowali widok przez chwilę, po czym chmury z powrotem zaciągnęły niebo i posiadłość spowiły ciemności.

Jednak nawet ten krótki rzut oka na *La Tanę* wzbudził w obu braciach nieodpartą pokusę. Nieoczekiwanie, bez żadnej zachęty ze strony Stefana, Vittorio przerzucił bieg i powoli przejechał przez bramę, zanurzając się w szpaler cyprysów.

W parę minut później samochód zajechał przed willę. Front willi, wzniesionej w stylu palladiańskim, z różowo-białego marmuru, zdobiła kolumnada portyku. Od fasady odchodziły dwa długie skrzydła. Zanim Stefano zdążył dotknąć dzwonnka, nabijane żelaznymi ćwiekami drzwi otwarły się.

- Witajcie, panowie - odezwała się kobieta w progu. - Witajcie w moim domu.

Stefano spodziewał się kogoś ze służby, tuzina sług. Tymczasem stała przed nim La Colomba we własnej osobie, kobieta, która przez blisko pół stulecia miała całą Europę u swych stóp. Patrzył, nie mogąc oderwać wzroku. W

całym życiu nie spotkał kobiety, która w równie doskonałym stopniu łączyłaby w sobie urodę z

elegancją. Lśniące, czarne włosy miała upięte wysoko, co uwydatniało subtelność jej rysów. Jedwabna, naszywana perłami suknia ciasno opinała jej szczupłą, mimo wieku, talię i w miękkich fałdach opadała w dół. Jej twarz jaśniała wewnętrznym blaskiem, na który nakładał się tęczy refleks rzucany przez naszyjnik z diamentów. Kleopatra, Helena Trojańska, Józefina... nawet Ewa... - nie było na przestrzeni historii kobiety równie wykwintnej i powabnej jak La Colomba.

Stefano poczuł irracjonalną zazdrość, kiedy zwróciła się do jego brata.

- Ty musisz być Vittorio - powiedziała, wyciągając dłoń w jego stronę.

Stefano wstrzymał oddech z obawy, że Vittorio może stekiem obelg wyrazić swoją dezaprobatę. Jednak brat po chwili wahania przyjął podaną mu dłoń i potrząsnął nią zdecydowanie.

Odpowiedziała uśmiechem, po czym przeniosła wzrok.

- A ty - Stefano...

Pod wpływem nieodpartego impulsu schylił się i ucałował jej dłoń. Poczł wargami skórę gładką i delikatną jak puch. Kiedy znowu popatrzył w górę, napotkał spojrzenie jej szafirowych oczu. Uśmiechała się leciutko. Chłonał

uśmiech, który opromieniał jej twarz. Nie było trudno odgadnąć, za co kochało ją tylu mężczyzn.

- Wchodźcie, proszę - odezwała się. - Czekam na was od bardzo dawna.

Vittorio zawahał się. Stefano zauważył, że jego brat przekracza próg *La Tany* z podejrzliwością i niepokojem. On sam wiedział, że dla tej kobiety byłby gotów na wszystko.

Rozdział trzeci

Wkraczając w królestwo La Colomby Stefano poczuł się, jakby cofnięto go w czasie. Panującą ciszę zakłócał jedynie dyskretny szelest sukni prowadzącej ich korytarzem pani domu i dźwięczne tykanie zegara w porcelanowej obudowie. Zza sutych kotar nie dochodził nawet szmer deszczu. Wszędzie paliły się świece - w kandelabrach pod sufitem, w ściennych lichtarzach, w srebrnych świecznikach; ich płomień odbijał się od wypolerowanych powierzchni niezliczonych bezcennych przedmiotów, wypełniających *La Tanę*: porcelany, złotych statuetek, inkrustowanych stolików, srebrnych szkatuł i obrazów w pozłacanych ramach. Na końcu korytarza paliło się jaśniejsze światło. La Colomba prowadziła swoich gości w tamtą stronę.

Porusza się z wdziękiem dziewczyny, która ma jedną trzecią jej lat, pomyślał Stefano, i z pewnością siebie kobiety, którą fetowano na trzech kontynentach.

Kiedy weszli do salonu, zabrakło mu tchu. Ściany o różnych odcieniach różu i fioletu zdobiły pozłacane akcenty. Po nieboskłonie sufitu baraszkowały cherubinki, pod stopami słał się kwiecisty ogród sawoneryjskiego dywanu. Obrazy wypełniały powierzchnie ścian od góry do dołu; jeden z nich, przedstawiający odaliskę odzianą wyłącznie w sznur pereł, szczególnie przyciągnął uwagę Stefano.

- Tycjan? - spytał z nabożnym uwielbieniem.

- Owszem. - Uśmiechnęła się, nie kryjąc zadowolenia, że poznał. - Ulubiony obraz w mojej kolekcji.

- A ten - powiedział, wskazując na kolejne ogromne malowidło, na którym naga kobieta o obfitych kształtach wspierała głowę na białej piersi łabędzia - to Rubens. Przepiękny.

- Dekadenckie - oświadczył Vittorio, jednak powiedział to szeptem. Doskonale zdawał sobie sprawę z wartości płócien. Więcej, od chwili, kiedy przekroczył próg rezydencji, nie przestawał sumować w myślach wartości każdego obiektu, na który padł jego wzrok. Ta kobieta, choćby była Bóg wie jaką degene-ratką, warta była fortuny.

- Siadajcie, proszę - powiedziała, ruchem ręki wskazując obitą pluszem sofę i fotele wokół kominka. Gest sprawił, że diamenty na przegubie jej dłoni przechwyciły płomień kominka, zataczając świetlisty łuk w powietrzu. Na stoliczku przed sofą stała taca z laki z ułożonymi serwetkami, złotym dzbanuszkim do kawy i maleńkimi filiżankami z przejrzystej chińskiej porcelany.

Vittorio przysiadł sztywno na jednym z foteli, natomiast Stefano bez namysłu opadł na sofę obok La Colomby.

Zahipnotyzowany jej urokiem, pragnął pławić się w otaczającej ją aurze. Nigdy jeszcze nie spotkał kobiety, która oddziaływałaby na niego z podobną siłą. Jej zapach oszałamiał, jej głos koił; i chociaż spędził w jej towarzystwie zaledwie parę chwil, miał wrażenie, że zawsze ją znał.

Uniosła dzbanuszek z kawą, a pierścionki na palcach jej dłoni rozbłysły w świetle kominka. Nosila je na każdym palcu z wyjątkiem jednego, zauważył Stefano, tego, na który panna młoda tradycyjnie zakłada obrączkę.

- Nie macie mi chyba za złe, że sama wam usługuję - przerwała ciszę gospodyni. - Prosiłam służbę, żeby zostawiła nas samych. Sądzę, że nasze sprawy wymagają prywatności. - Napelniła pierwszą filiżankę i podała ją Vittoriowi. -

O ile się nie mylę, pijasz czarną kawę, Vittorio...

Ręka Vittorio zamarła w powietrzu, jak gdyby obawiał się, że kawa może być zatruta. Jednak La Colomba wyciągnęła filiżankę w jego stronę pewną dłonią, w której postronny widz daremnie doszukiwałby się oznak drżenia.

Vittorio skapitulował. Mimo to podejrzliwość nie zniknęła z jego oczu.

- A ty, Stefano, wolisz kawę z kropelką mleka, nieprawdaż?

- Skąd pani to wie, *signora*? - zapytał cicho Stefano przyjmując podaną mu filiżankę.

- Od *signora* Brancusiego.

- A skąd mu przyszło do głowy, że może panią zainteresować, jaką kawę który z nas lubi? - Vittorio

wychylił się z fotela.

- Bo wie, że kimkolwiek by byli moi goście, zawsze się staram otoczyć ich jak najszczerzą gościnnością -

odpowiedziała z błyskiem w oku.

Vittorio zmarszczył brwi. Odpowiedź wyraźnie go nie zadowoliła, jednak La Colomba przerwała dalsze dochodzenie, sama zadając pytanie.

- A co wy wiecie o mnie?

- Wystarczająco dużo, *signora* - oświadczył Vittorio.

- Mniej, niż byśmy chcieli, La Colomba - zapewnił Stefano. Odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła czystym, dźwięcznym

śmiechem. Stefano bez trudu wyobraził sobie ten śmiech rozbrzmiewający w lustrzanej sali balowej czy pod adamaszkowym baldachimem miłosnego łoża.

Tymczasem Vittoria jej śmiech wydawał się dodatkowo irytować. Dopił kawy jednym haustem i odstawił filiżankę.

- *Signora*, dla pani zachcianki przejechaliśmy szmat drogi w deszczu, po nocy - oświadczył zniecierpliwiony. -

Proszę przedstawić nam swoją sprawę, bo musimy ruszać w powrotną drogę.

Stefano zamarł słysząc ton głosu, jakim ośmielił się odezwać Vittorio. W dodatku nie miał najmniejszego zamiaru skracać wizyty. Już zamierzał się odciąć od niecierpliwych żądań brata, kiedy La Colomba pierwsza zabrała głos.

- Nie podobam ci się, Vittorio, prawda? - spytała zaskakująco ciepłym, pełnym zrozumienia tonem.

- A co tu się niby ma podobać, *madame*? Wszyscy wiedzą, kim pani jest...

- Wszyscy? Doprawdy, pochlebiasz mi. A ty, Stefano, co sądzisz o mnie?

Łudził się, że dostrzeżga w jej twarzy coś szczególnego, kiedy zwróciła się w jego stronę. Czyżby naprawdę zależało jej na tym, żeby miał o niej dobre zdanie?

- Pani życie obfitowało w przygody - oświadczył. - Nie widzę w tym nic złego.

Vittorio znacząco wywrócił oczami.

- Miło mi, że tak to ujmujesz - powiedziała, patrząc na Stefana. W jej oczach pojawiła się wielka słodycz, zaraz spochmurniała jednak i powędrowała wzrokiem w mroczną głąb pokoju.

- Niestety, moje przygody zyskały mi tyluż przyjaciół co wrogów. I choć prowadzę już spokojne życie i niczego nie trzeba mi do szczęścia poza moim ogrodem, książkami, ludźmi, którzy uprawiają moją ziemię i tym domem, który głęboko ukochałam.. niektórzy głupcy wciąż biorą mnie za niebezpieczną kobietę. - Jej wzrok oprzytomniał. Z

powrotem spojrzała na braci. - To właśnie sprawia, że zmuszona jestem powierzyć w inne ręce coś bardzo wartościowego, czemu nie jestem w stanie zapewnić bezpieczeństwa. - Vittorio wyprostował się w fotelu. - Jednak nie przekazecie tego Carlowi Brancusiemu.

- Nie... - zaczął Vittorio.

- Chcę zrobić z tego podarunek dla was obu. Stefano wymienił z bratem zaskoczone spojrzenia.

- Dlaczego właśnie nam miałyby pani robić podarunki? - zapytał, chociaż w głębi głowy zaczynała mu już świtać nieprawdopodobna możliwość.

La Colomba podniosła złoty dzbanuszek z tacy.

- Jeszcze kawy? - zaproponowała. - Po to, żeby wyjaśnić wam moją decyzję, muszę opowiedzieć co nieco o moim życiu...

- Przykro mi, *signora* - przerwał Vittorio. - Nie wątpię, że historia pani życia jest niezwykle interesująca i hmm...

barwna, Jednak jest już późno, a ja muszę być rano w Mediolanie.

- Naturalnie. Wiem, że jesteś bardzo zajęтым człowiekiem, Vittorio - zwróciła się do niego z błyskiem w oku. -

Punktualność jest dla ciebie rzeczą świętą. Zawsze wkraczasz do sklepu o ósmej dwadzieścia dziewięć punkt, zanim zjedną się pracownicy otwierasz drzwi kluczem zaczepionym na złotym łańcuszku przy pasku. O ósmej trzydziści chłopiec z kawiarni przynosi ci filiżankę kawy, a o dziewiętej punkt otwierasz interes. Nie spóźniasz się nigdy.

- Skąd pani wie? - zbaraniał.

Nie zwróciła uwagi na jego pytanie. Ciągnęła dalej, teraz jednak łagodniejszym już głosem.

- Jeśli chodzi o ciebie, Stefano, obawiam się, że nie jesteś nawet w połowie tak dobrze zorganizowany jak twój brat.

Rano lubisz się wylegiwać w łóżku - często w łóżku jakiejś powabnej signoriny - po czym ubierasz się w pośpiechu i pędzisz do kancelarii. Rzadko kiedy masz wyprasowane ubranie, a twoje włosy wyglądają zwykle jakby je ktoś przegarnał grabiami. Przerwę obiadową spędzasz w bibliotece, czytając Dantego i Pirandella, a do pracy wracasz biegiem, żeby nie spóźnić się za bardzo. *Signor* Brancusi powstrzymuje się od reprimendy, ponieważ zaczyna podejrzewać, że absolutnie nie jesteś materiałem na adwokata...

Stefano wytrzeszczył oczy. Miał wrażenie, że siedzi przed La Colombą zupełnie obnażony. W głowie kręciło mu się z zachwytu i oszołomienia.

Vittorio również wpatrywał się w La Colombę, jednak w jego oczach czaiła się złość.

- Kazała pani nas śledzić? Zdaje pani sobie sprawę, że za to tylko mógłbym kazać panią aresztować? Wystarczy, że wezmę słuchawkę do ręki...

- Wiem, że wystarczy - przerwała mu La Colomba. - I wiem, że tego nie zrobisz...

- Doprawdy? - Vittorio wygładził nogawki spodni, jakby szykował się na audiencję u partyjnego zwierzchnictwa. -

Skąd ta pewność?

Huk pioruna zatrzęsł murami domu, a jego odgłos przedostał się na pokoje. Zabębniły parapety. Ulewa runęła z odnowioną siłą. Nie zwracając uwagi na pytanie Vittoria, La Colomba podeszła do okna, odsłoniła ciężką zasłonę i przez chwilę wpatrywała się strugi deszczu.

- Chyba nie powinnam wam pozwolić wracać do Mediolanu w taką ulewę - powiedziała w końcu.

- Pozwolić nam? - powtórzył zirytowany Vittorio. - Nie będzie nam tu pani rozkazywać...

- Chciałam tylko powiedzieć, że miło mi będzie gościć was przez noc - przerwała mu La Colomba łagodnie.

- Wykluczone! Tego mi jeszcze brakowało, żeby wyszło na jaw, iż spędziłem noc w tym domu, w domu jakiejś...

- Vittorio! - ryknął Stefano. - Jeszcze raz odezwiesz się w ten sposób, a będziesz miał ze mną do czynienia.

- Nie denerwuj się, Stefano - uspokoiła go La Colomba. - Nasłuchałam się w życiu gorszych rzeczy i nie robią już na mnie żadnego wrażenia. Przykro mi bardzo, Vittorio, że wciągnęłam cię w tak niezręczną sytuację. Domyślam się, że towarzysze partyjni nie pochwaliliby twojego zachowania. Na szczęście nikt nie wie, że tu jesteś i nikt się nie dowie.

Pozwól więc, że cię ugoszczę. Będziemy mogli pozałatwiać nasze sprawy, a rano wrócisz spokojnie do Mediolanu.

- Zostać pani gośćmi, to dla nas zaszczyt - oświadczył Stefano.

- *Signora*, nie mam czasu na... - nie dawał za wygraną Vittorio.

- Niestety, we własnym dobrze pojętym interesie będziesz musiał znaleźć ten czas. - Po raz pierwszy podniosła głos, a było w nim tyle determinacji i autorytetu, że Vittorio w jednej chwili poddał się i opadł z powrotem na fotel.

Naturalnie ani przez chwilę nie zapomniał o obietnicy, że czas, który jej poświęci, zostanie wynagrodzony.

- Nareszcie - skwitowała. Dołała wszystkim kawy. - Mamy przed sobą całą noc na historię, którą pragnę wam przekazać.

Grzmot rozdarł niebo, jakby bogowie chcieli uciąć wszelkie dalsze dyskusje.

Przez następną godzinę bracia D'Angeli słuchali z zapartym tchem. Historia rzeczywiście była niezwykle barwna.

Stefano siedział jak zahipnotyzowany słowami i głosem opowiadającej. Vittorio również, wbrew sobie samemu, dał

się wciągnąć w opowieść.

- Znacie mnie pod imieniem La Colomby - zaczęła - jednak naprawdę nazywam się Pietra Manzi. Przyszłam na świat w Neapolu, w dzielnicy Spacca. - Obojętnym głosem zreferowała ze szczegółami historię śmierci całej rodziny, wymarłej w ostatnim dziesięcioleciu poprzedniego wieku. - Cholera. Dziesiątki tysięcy ofiar. Najpierw zabrała trzy małe siostrzyczki, potem matkę. Tydzień później umarł mój ojciec.

Przerwała, żeby zaczerpnąć tchu.

- Wreszcie Agostino Depretis, który był w tym tragicznym okresie premierem Włoch, wydał swój słynny werdykt: *Bisogna suentrare Napoli - Wybebeszyć Neapol*. I żeby zapobiec kolejnej pladze, zdecydował się wyburzyć slumsy, nie bacząc na tysiące ludzi, którzy zostali w ten sposób bez dachu nad głową, gdyż nie stać ich było na inne mieszkanie. Spacca została zrównana z ziemią do ostatniej ściany i okiennicy. Miałam wtedy trzynaście lat.

Mieszkałam z owdowiałą podczas zarazy ciotką, dopóki nie zostałam przyjęta jako darmowa pomocnica do domu sklepikarza. Reszta to historia stara jak świat. Słyszeliście ją z pewnością setki razy. *La Cerentola* - Kopciuszek, wydobyty z popiołów przez przystojnego królewicza, chociaż ani nie był królewiczem, ani się ze mną nie ożenił.

- Wcale mnie to nie dziwi - wybuchnął Vittorio pogardliwym śmiechem.

- Jak widzicie, moje życie bynajmniej nie było bajką - zignorowała go. - Nic mi nie spadło z nieba. Na każdą rzecz w życiu musiałam zapracować. Sama spełniałam po kolei swoje życzenia, osiągając wszystko, czego może pragnąć kobieta

- bogactwo, miłość, pozycję, władzę.

- Nazywa pani władzę tarzanie się w rozpuście z kolejnymi mężczyznami, którym udało się akurat podbić stawkę? -

obruszył się Vittorio.

- Przepraszam za grubiaństwo mojego brata, *signora*... - Stefano poderwał się z zaciśniętymi pięściami z fotela.

- Nie trzeba - uspokoiła go. - Wiem dobrze, jaki jest twój brat. Wiem dobrze, jacy jesteście obaj. - Przymknęła oczy i po raz pierwszy na jej twarzy zagościła starość, jak gdyby dotąd udawało jej się siłą niezwykłej żywotności powstrzymywać prawdziwy wiek. - Kiedy dobiegałam czterdziestki, podjęłam decyzję. Decyzję bardzo pospolitą, którą podjęły przede mną miliony zupełnie zwyczajnych kobiet. Postanowiłam mieć dziecko. - W jej głosie dało się wyczuć ledwie dosłyszalny śmiech. Kiedy otwarła oczy, pojawił się w nich błysk lekkiej przekory.

- Nasłuchiwałam się, że to największe doświadczenie w życiu kobiety, a nigdy nie należałam do osób, które rezygnują z silnych wrażeń.

Powstrzymali oddech, śledząc każde słowo.

- Nie miałam żadnego kochanka w tamtym czasie. Nie musisz chrząkać, Vittorio, zdarzało mi się to bardzo często.

Byłam bardzo wymagająca, a jednocześnie bezwzględnie wierna każdemu mężczyźnie, z którym aktualnie żyłam.

Wówczas jednak nie miałam nikogo, tymczasem mężczyzna, naturalnie, był niezbędny dla powodzenia mojego planu. Czekałam więc niecierpliwie, że ktoś odpowiedni pojawi się na horyzoncie. Tym kimś okazał się pewien elegancki mężczyzna, który zaczął mnie któregoś wieczoru w operze. Jego wygląd i pozycja społeczna wzbudzały szacunek, a i on sam stanowił niezwykle wyjątek pod wieloma względami. Był dosyć znaną postacią, jednak cechowała go pewna zuchwała arogancja, dzięki której pozwalał sobie na ustalanie własnych reguł gry... oraz publiczne pokazywanie się ze mną. Przyjęłam jego zaproszenie na wspólny obiad. Jedliśmy *Grand mamier*, kiedy uznałam, że to jest właśnie mężczyzna, który świetnie pasuje do moich planów.

Gdy La Colomba raz coś postanowiła, zawsze bez trudu dopinała swego. Niemniej ciężę zносиła nie najlepiej, a poród okazał się wręcz trudny.

- Nie było to żadne metafizyczne przeżycie, jak mi usiłowano przedtem wmówić - stwierdziła lakonicznie. - Jednak dziecko, swawolny chłopczyk na krzepkich nóżkach, stało się słońcem mego życia.

- Cztery lata później ponownie zaszłam w ciążę, tym razem nie planowaną. Ojcem dziecka był już inny mężczyzna, człowiek, którego naprawdę darzyłam uczuciem. On również piastował wysokie stanowisko, ale w dodatku był

żonaty i chociaż jego żona nie mogła mieć dzieci, Kościół nie chciał udzielić im rozwodu. Mimo to, kiedy poczęłam, byliśmy oboje bardzo szczęśliwi i przekonani, że nasze dziecko będzie niezwykle. Tak też się stało...

Doszedłszy do tego punktu swojej opowieści La Colomba osunęła się na oparcie fotela, a jej twarz,

w miarę napływu kolejnych wspomnień, nabrała wyrazu bolesnej maski.

- Kochałam moich synków niemal do szaleństwa, tym bardziej że miałam się z nimi wkrótce rozstać. Mój świat to nie było odpowiednie miejsce do wychowywania dzieci. Zdawałam sobie sprawę, że byłiby zawsze napiętnowani, a ich szanse na przyzwoite życie i ludzki szacunek - raz na zawsze przekreślone. Czułam się, jakby mi żywcem wrywano własne ciało, jednak dla ich dobra rozstanie było konieczne.

Tak więc, wkrótce po przyjściu na świat młodszego syna, La Colomba postanowiła oddać ich obu pod-czyjąś dobrą opiekę.

- Miałam serdecznego przyjaciela, który był adwokatem w Mediolanie. Zgodził się wziąć do siebie i wychować moich synów. Uznaliśmy, że przezorniej będzie zmienić im nazwisko - ciągnęła. - Moje było zbyt dobrze znane.

Zawsze wydawało mi się, że dzieci są drogocennym darem, zesłanym przez aniołów. Nazwałam więc swoich synów D'Angeli - Vittorio i Stefano D'Angeli.

Dopiero po tych słowach spojrzała im prosto w oczy, wzrokiem tyleż wyzywającym, co błagalnym.

Obaj mężczyźni zamarli w osłupieniu, każdy jednak z innego powodu. Stefano czuł się tak, jakby właśnie otrzymał

klucze do raju. Miał matkę, jego matka żyła i była tak piękna, jak sobie zawsze wyobrażał - a nawet przywykszała kobietę z jego snów odwagą, duchem i nieodpartym urokiem.

Vittorio wydawał się powalony zasłyszaną historią.

- Kłamstwo! - wykrzyknął zrywając się z fotela. - Moi rodzice zginęli od...

- Bomby podłożonej przez anarchistów? - dokończyła La Colomba. - Wymyśliliśmy tę historyjkę z Carlem, żeby oszczędzić i jemu, i wam kłopotliwych sytuacji.

W dalszym ciągu nie zamierzał ustąpić.

- Ty! Ty moją matką?! To ohydne! - krzyczał w dalszym ciągu. Wyglądał, jakby szykował się do ciosu. - Zrobiłaś ze mnie bękarta, bękarta i syna dziwki. - Rzucił się przed siebie z wyciągniętymi rękami, jakby zamierzał chwycić ją za szyję i udusić.

Stefano zerwał się z miejsca, stając pomiędzy Vittorioem a... matką.

- Ostrzegam cię, Vittorio, żebyś więcej nie ośmielił się odezwać do niej w ten sposób!

- Siadajcie obaj. - Nie podnosiła głosu, mimo to jej głos ostudził ich wściekłość. Był to głos matki pewnej, że może wymagać posłuszeństwa od swoich synów. - Nie życzę sobie żadnych bójek w moim domu.

Niechętnie powrócili na fotele, Stefano jednak nie spuszczał czujnego wzroku z brata. A właściwie - z przyrodniego brata. To wyjaśniało wiele.

Vittorio spojrzał na podłogę, opuściwszy z rezygnacją ramiona.

- Przypominasz swojego ojca - zwróciła się do niego La Colomba. - On też nie byłby wcale zachwycony, gdybym powiadomiła go o twoim istnieniu.

- On o tym nie wie...? - Vittorio przeszył ją ostrym spojrzeniem.

La Colomba najwyraźniej nie miała zamiaru wdawać się w szczegóły.

- Ty też jesteś bardzo podobny do ojca - zwróciła się do Stefano. - Był niezwykle uzdolniony, na swój sposób genialny. Byłbyś z niego dumny. - Wymienili uśmiechy.

- A ja, też byłbym dumny? - zażądał odpowiedzi Vittorio.

- O tak, z pewnością byłbyś dumny ze swego ojca, Vittorio, a on z ciebie. - W jej głosie zabrzmiała ironia, której on jednak wydawał się nie dostrzegać.

Stefano wpatrywał się w piękną kobietę o spojrzeniu pełnym dobroci, połyskującą diamentami mieniącymi się w blasku świec. Jeszcze przed godziną - czy to możliwe, że zaledwie przed godziną? - La Colomba była dla niego wyłącznie legendą. Teraz...

W myślach zaczął wypróbować słowo: „matka” - jak brzmi i co znaczy. Zastanawiał się, jaki by był, gdyby dane mu było wychować się u jej boku.

- Na wypadek gdyby ta historia miała wyjść na jaw - wymamrotał Vittorio, kręcąc powoli głową, jakby mówił sam do siebie - uprzedzam, że walczę o nowe Włochy, w których nie będzie miejsca dla ludzi twojego pokroju.

- I jesteś już bliski swojego celu - podsumowała. - Właśnie dlatego musiałam was tutaj wezwać dziś wieczór.

- Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz, signora - zaczął Stefano. Przerwał i spojrzał jej błagalnie w twarz. - A może mógłbym nazywać cię matką?

- Nie wyobrażacie sobie, ile lat marzyłam, żeby usłyszeć to

słowo z waszych ust. Nie sądziłam, że się doczekam tego kiedykolwiek. Wierście mi, nie miałam najmniejszego zamiaru zdradzać wam mojej historii. Ani teraz, ani kiedykolwiek. Jednak twoi koledzy w czarnych koszulach zmusili mnie do tego kroku, Vittorio - ciągnęła z goryczą w głosie. - Jak sam powiedziałaś, jestem znakomitym przykładem „dekadencji”, dla której nie ma miejsca w nowoczesnym państwie faszystowskim. Właśnie dotarło do moich uszu, że mogę wkrótce zostać aresztowana jako antyfaszystowska „kolaborantka”. Jeden z moich bliskich przyjaciół przeznaczył cały swój, spory zresztą majątek na walkę z Mussolinim. W dodatku jest Żydem, a kto jak kto, ale ty, Vittorio, na pewno orientujesz się, jak bardzo ostatnio zaostrzył się antysemityzm naszego Benito. -

Uśmiechnęła się smutno, spuszczać wzrok na dłonie. - *Duce* ma wyraźnie ochotę zatańczyć z niemieckim *Fuhrerem*.

Stefano próbował ostrzec ją wzrokiem, żeby uważała na słowa w obecności Vittoria, jednak La Colomba ciągnęła dalej.

- *La Tana* może wkrótce ulec konfiskacie wraz z całą zawartością.

- Nie! - wykrzyknął Stefano.

- Nie można obwiniać państwa o to, że potępia równie nieprzyzwoity sposób zdobywania majątków - oświadczył

Vit-torio bez specjalnego przekonania.

- Domyślam się, że sposób, w jaki odebrałeś sklep tamtemu Żydowi, nie miał w sobie nic nieprzyzwoitego -

zareplikowała ostro.

Vittorio zastygł w buńczucznej pozie, niezdolny powiedzieć nic na swoją obronę. Brawo, pochwalił ją w duchu Stefano. Z każdą chwilą coraz bardziej podziwiał swoją matkę.

- Czarne Koszule dorwały się do władzy - ciągnęła - i nikt nie jest w stanie ich powstrzymać. Jednak nie będę patrzeć bezczynnie, jak upychają po kieszeniach dobytek całego mojego życia.

- Jak moglibyśmy ci pomóc? - spytał Stefano.

- Uważaj - ostrzegł Vittorio. - Przyznała się, że jest przeciwniczką władzy. Jeśli jej pomożemy...

La Colomba obrzuciła go pobłażliwym spojrzeniem.

- Naturalnie, mój synu, w żadnym wypadku nie chciałabym,

żebyś działał wbrew swoim przekonaniom, zanim jednak zdecydujesz się występować przeciwko mnie, zechciej spojrzeć, co mam do zaoferowania. Skinąwszy ręką, z zapraszającym uśmiechem ruszyła w stronę drzwi. -

Chodźcie. Pokażę wam coś.

Stefano bez namysłu ruszył za matką. Vittorio natomiast ociągał się przez chwilę, niechętny jakimkolwiek kompromisom. Z tego, co mówiła, miał prawo wnosić, że dom znajdował się już pod obserwacją. Załóżmy, że widziano jego przyjazd i wiedziano, że podaje się za jego matkę, co dla niego wciąż było tylko uzurpacją, której nie był w stanie potraktować poważnie. Bez względu na to, czy mówiła prawdę, czy kłamała, ta informacja mogła go zniszczyć, przekreślić jego karierę...

Być może jednak darowizna, o której wspominała, warta była ryzyka. Cóż takiego chciała podarować

im tak zamożna kobieta? Przez chwilę Vittorio rozglądał się po drogocennych obrazach, meblach i dywanach, złoceniach odbijających światło kominka. W końcu, śladem matki, wyszedł z pokoju.

Prowadziła ich na górę krętymi schodami z mahoni. Na każdym kroku napotykali bezcenne dzieła sztuki, które wytwarzały atmosferę komfortu i zamożności. Nie było w tym nic z martwego muzealnego przepychu. La Colomba nie miała ani jednej rzeczy, której by nie kochała albo też której nie dostałaby od mężczyzny, którego kochała.

Na górze skręciła, podchodząc do drzwi z ozdobną klamką w kształcie syreny. Pokój był obity kremowym jedwabiem. Gruby atlas koloru kości słoniowej zasłaniał okna i okrywał meble. Sufit zdobiły rozety i aniołki z pozłacanego stiuku. Nad rzeźbionymi boazeriami zwieszały się podłużne, rokokowe lustra. Wszystko tchnęło niezwykłą kobiecą indywidualnością. Tu niewątpliwie biło serce *La Tany*.

Pokój tonął w rześmistym blasku świec. Ktoś musiał pozapalać je tuż przed ich wejściem, jednak nie zauważyli nikogo ani też nie wyczuli niczyjej obecności.

- To moja garderoba - oświadczyła La Colomba - chociaż wolę nazywać ją skarbcem. - Pogładziła dłonią malowaną, dębową boazerię. Drewno drgnęło z szelestem i rozsunęło się, odsłaniając głęboką wnękę w ścianie. Sięgnęła do środka i z wnętrza wyjechał stolik na kółkach z marmurowym blatem

pokrytym siecią złotych żyłek. Stało na nim ponad tuzin szkatulek-niektóre pokryte aksamitem, inne skórą, pozłacane, emaliowane, jeszcze inne z inkrustowanego drewna. Otworzyła jedną ze szkatuł, wydobywając ze środka kolię zdobioną szmaragdami i szafirami. Naszyjnik wyginał się w jej palcach jak wąż morski, a jego wodniste barwy rzucały zmysłowe refleksy na dłoń La Colomby.

- *Magnifico* - orzekł Stefano, kiedy podsunęła w jego stronę kolię, której zapięcie zdobiła wysadzana diamentami fantazyjna litera C.

Teraz sięgnęła po kolczyki z „gołębiej krwi”, odmiany rubinów, które zawdzięczały swoją nazwę barwie, rzekomo identycznej z dwiema pierwszymi kroplami krwi z dzioba świeżo ustrzelonego gołębia. Kolczyki podała Victoriowi.

Wzdrygnął się lekko, jednak jego palce zaczęły gładzić chłodną powierzchnię rubinów, jakby była rozpalonym ciałem ponętnej kochanki.

Pokazała im broszę w kształcie snopka pszenicy, w której diamentowe ziarenka tkwiły na cieniusieńkich drucikach, drżących jak kłosa na wietrze przy najlżejszym ruchu. Inna broszka miała z kolei kształt gałązki malin - każdy soczysty owoc wykonany był z osobnego rubinu. Jedną po drugiej wyciągała kolejne caczuszka swojej biżuterii.

Wysadzaną kameami bransoletę z ciężkiego złota. Złoty pierścionek od Lalique'a, pokryty delikatną emalią *plique-a-jow*. Garnitur złożony z tiary, kolii, kolczyków i bransolety, wysadzany szmaragdami i brylantami.

- Należał kiedyś do cesarzowej Eugonii - oświadczyła z nie ukrywaną arogancją.

Stefano siedział zaczarowany, patrząc jak matka wyciąga klejnot za klejnotem, biorąc każdy do ręki z szacunkiem graniczącym z czcią. Patrząc na połyskujące w jej dłoniach kamienie wiedział, że nigdy więcej nie obejrzy podobnego widowiska. Nie było na świecie monarchini, której kolekcja biżuterii przewyższałaby zbiory La Colomby.

- Jedna z moich ulubionych pamiątek - powiedziała biorąc do ręki oprawną w złoto i diamenty broszkę w kształcie feniksa, ptaka, który odradza się z własnych popiołów. Pierś ptaka tworzył olbrzymi diament w kształcie serca o różowym, najrzadziej spotykanym wśród diamentów odcieniu, oczy wykonane były z szafirów, a szmaragdowe skrzydła rozpostarte szeroko. Ptak wlatywał z żaru rubinowych popiołów. - A to mój prywatny herb - wyznała. - Ja też, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odrodziłam się z popiołów neapolitańskiego slumsu.

Uważnie przyjrzała się twarzom synów. Stefano bez cienia chciwości, z nabożnym zachwytem trzymał w rękach sznur idealnie dobranych pereł. Vittorio z całkiem odmiennym wyrazem twarzy muskał palcami diamentowy diadem, spoczywający w dopasowanym wgłębieniu wyściełanej aksamitem szkatuły.

- Tyle tego wszystkiego, a każda rzecz taka piękna. - Stefano spotkał się wzrokiem z matką. - Musiałaś cała lśnić migotliwym blaskiem, kiedy to miałaś na sobie. - Potrząsnął głową z podziwem.

Roześmiała się, przykładając rękę do piersi.

- Jaśniałam od nich tutaj nawet wtedy, kiedy ich nie nosiłam. Bez nich... - Umilkła, sięgając po niewielką kasetkę, z której wyjęła cudownie oszlifowany, nieoprawny diament.

Stefano dostrzegł w jej oczach błysk wspomnień. Czekał na dalszy ciąg, jednak po chwili zamknęła pudełeczko.

- To opowieść na kiedy indziej - zakończyła cicho.

- No, właśnie - potwierdził Vittorio, obracając w palcach psią obrozę wysadzaną diamentami. - Mówiła pani, że musimy porozmawiać o kolekcji.

- A więc moje klejnoty nie są dla ciebie zbyt dekadencjonalne?

- spytała zaczepnym tonem, po czym dodała już zwyczajnie.

- To dobrze, bo będziecie się musieli nimi podzielić. Przekazuję je wam.

Aby dać synom czas na oswojenie się z myślą o fortunie, która przypadła im w udziale, zapaliła papierosa, podeszła do okna i zapatrzyła się w deszcz. Kiedy się wreszcie odezwała, jej głos brzmiał rzeczowo.

- Klejnoty muszą zostać natychmiast przewiezione z *La Tany* w bezpieczne miejsce. Weźmiesz je do Szwajcarii, Vittorio.

Stefano posłał matce pełne niepokoju spojrzenie. Czy po tym wszystkim, co widziała i słyszała, dalej

ufała bez zastrzeżeń Vittoriovi?

Możliwe, że podchwyciła jego wzrok, chociaż nie dała tego po sobie poznać. Zaczęła się tłumaczyć ze swojej decyzji.

- Dzięki koneksjom partyjnym, Vittorio, masz pewne przywileje, których nie ma Stefano. Możesz załatwić sobie pozwolenie na wyjazd i przekraczać granice bez szczegółowych rewizji, jakim kto inny musiałby się poddać.

Weźmiesz biżuterię do Genewy, gdzie załatwiłam już przechowanie jej, na specjalnych warunkach, w banku. Kiedy kolekcja zostanie zdeponowana, można ją będzie wydostać tylko za jednoczesnym okazaniem dwóch oryginalnych identyfikatorów.

Podeszła z wdziękiem do swojej toaletki i powróciła z rzeźbioną szkatułką z jadeitu.

- Tutaj przechowuję klucz do mojego życia - i do waszych fortun.

Podniosła wieczko na zawiasach. W środku, na aksamitnej poduszeczce spoczywała oprawna w klejnoty buteleczka perfum. Perłowe ramiona, diamentowa spódniczka i staniczek z rubinu lśniły, błyszczały i skrzyły się w ciepłym świetle. Niebawale piękno figurki przewyższało wartość klejnotów, z których została wykonana - całość miała w sobie jakiś magiczny, nieziemski urok.

- Arcydzieło - zachłysnął się Vittorio. - W życiu nie widziałem nic równie pięknego. Cellini? - spytał, mając na myśli jednego z największych jubilerów renesansu.

- Masz dobre oko - przyznała. - Rzeczywiście, jest w jego stylu. Ale to nie Cellini. Wykonano ją nie tak dawno temu na moje podobieństwo, w Amsterdamie. Kiedyś moje oczy były równie błękitne, jak te szafiry. - Mówiła właściwie sama do siebie, palcem o długim paznokciu gładząc ciemnobłękitne kamienie. - Byliśmy w sobie bardzo zakochani.

Czy mężczyzna, który kazał wykonać dla niej tę figurkę mógł być moim ojcem? - zastanawiał się Stefano.

Już otwierał usta, żeby zadać pytanie, kiedy matka rozkręciła figurynkę na dwie części i podała po jednej połówce każdemu z braci. Górę dostał Stefano, dół Vittorio.

- To są właśnie dwa identyfikatory, za których okazaniem można będzie wycofać biżuterię z banku. Jeżeli nie zostaną przedstawione jednocześnie - kolekcja nie będzie wydana. Po zwrot musicie stawić się obaj.

- Po co narażać się, wywożąc biżuterię z kraju? - spytał

Vittorio, bawiąc się swoją połową figurki. - Dlaczego jej po prostu gdzieś nie ukryć?

- Trzeba być ślepym, żeby nie widzieć, że nadciąga wojna. Kiedy wybuchnie, Włochy legną w gruzach.

- Italia zwycięży! - kolejny raz nastroszył się Vittorio.
- Myśl, jak chcesz - wzruszyła ramionami. - Tak czy owak, Europa wkrótce pograży się w chaosie. Ufam jednak, że w Szwajcarii biżuteria będzie bezpieczna.
- O ile dotrze tam bez przygód - oświadczył Vittorio wyzywającym tonem.
- Jeżeli nie potrafisz jej tam dowieźć, ja się tym zajmę
- zaatakował go Stefano.
- Nie ma powodów do niepokoju - oznajmiła spokojnie La Colomba. - Możesz sobie być Bóg wie jakim faszystą, Vittorio, ale jesteś również trzeźwym, praktycznym człowiekiem. Oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że nie wyszłoby ci na dobre, gdyby twoi towarzysze dowiedzieli się o twoim pochodzeniu czy też fortunie. Jestem pewna, że zechcesz ściśle zastosować się do moich poleceń.
- A mianowicie?
- Klejnoty należy przekazać *Herr* Lindnerowi z Helvetia Kreditanstalt w Genewie. Kiedy otrzyma kolekcję i sprawdzi, że jest nienaruszona, natychmiast da mi znać. Jeżeli w ciągu trzech dni nie dostanę wiadomości od niego, będę zmuszona zgłosić kradzież pewnym czynnikom rządowym. I bez wahania poinformuję ich, że biżuterię powierzyłam właśnie tobie. Mojemu synowi.
- Trzy dni to stanowczo za mało - zaprotestował Vittorio.
- Na podróż potrzebny jest niecały dzień. Zostają ci dwa dni na załatwienie niezbędnych zezwoleń. Przy twoich znajomościach nie powinieneś mieć kłopotów z przebicciem się nawet przez faszystowską biurokrację.
- Chytra z ciebie lisica - Vittorio uśmiechnął się z przymusem.
- Owszem, jeśli okoliczności tego wymagają - przyznała.
- A w tej chwili sytuacja jest trudna jak nigdy. - Spojrzała na synów. - Chodzi mi nie tylko o zabezpieczenie biżuterii, ale również o wasze bezpieczeństwo.
- Nasze? - zdumiał się Stefano. - W jaki sposób ty możesz nam je zapewnić.
- Żaden z was nłc nie wie o wojnie. Ja natomiast niestety tak, i to więcej niż bym chciała wiedzieć. Wojna nie tylko zwraca przeciwko sobie całe narody, potrafi również zwrócić brata przeciw bratu. Temu właśnie staram się zapobiec.

Kiedy wojna się skończy i nadejdzie chwila odzyskania biżuterii, będziecie musieli działać ręką w rękę. Zrobiłam co mogłam, żebyście podczas nadchodzącej rzezi wzajemnie się osłaniali. Chroncie swoje życie i starajcie się przeżyć, a będziecie mieli fortunę, aby zacząć wszystko od nowa, kiedy chaos ucichnie. Jednak każdy z was bez pomocy drugiego zostanie z pustymi rękami.

Podniosła się. Na jej twarzy znać było znużenie i wyczerpanie.

- Moim zdaniem pora się kłaść. Burza powinna przez noc osłabnąć. Będziecie mogli wyruszyć z samego rana. Każę umieścić biżuterię w twoim samochodzie, Vittorio. - Wzięła Stefana pod rękę i skinęła na drugiego syna. - Pokażę wam wasze sypialnie.

Burza ucichła na długo przed świtem. Kiedy Stefano rozsuwał zasłony luksusowej sypialni, wschodzące zza szczytów wzgórz słońce rozlewało się połyskliwie po brunatnych polach i srebrzystozielonych gajach oliwnych.

Świat wyglądał jak nowo narodzony. Odleglejsze wzgórza okryte były błękitną mgłą, powietrze przenikał łagodny aromat młodego, białego wina.

Zaczęły się już jesienne podorywki. Stefano obserwował parę wołów, mozolnie ciągnących pług przez pobliskie pole, którego ziemia miała barwę ochry. Poranną pieśnią witał go skowronek. Nigdy w życiu nie czuł się tak spokojny, tak wyciszony wewnętrznie. Świadomość, że ma matkę - kobietę niebywalej urody i głębi - umacniała go w przekonaniu, że jego przyszłość to przyszłość człowieka obdarzonego wrażliwą duszą. Duszą poety.

Z dołu dobiegły go jakieś głosy. Zza narożnika domu wyłoniła się La Colomba. Zdziwił się, widząc ją tak wcześnie na nogach. Z tego, co wiedział o matce, prowadziła raczej nocne życie. Jej ubiór o poranku również odbiegał daleko od przepychu ubiegłej nocy. Na zwiewną spódnicę i bluzkę ciasno zawinęła wełniany szal, chroniąc się przed porannym chłodem. Włosy niedbale upięła z tyłu głowy.

Szła prowadząc ożywioną rozmowę z mężczyzną w roboczej odzieży.

- Porozmawiam o tym ze stolarzem - usłyszał Stefano.

- *Donna Pietra* - to były jedyne, z szacunkiem wymówione słowa w odpowiedzi wieśniaka, które dotarły do jego uszu.

Kiedy chłop zniknął, spojrzała w górę, jakby wyczuła obecność syna.

- Dzień dobry! - zawołała z radosnym uśmiechem. - Mam nadzieję, że ci się dobrze spało.

- Świetnie! - odkrzyknął.

- Zapraszam na śniadanie. Musisz zejść po schodach i skręcić w prawo.

W pięć minut później wkroczył do słonecznego pokoju, którego werandowe drzwi wychodziły na ogród na tyłach domu. Na kredensie stał dzbanek z kawą, półmisek serów i wędlin, najpewniej domowego wyrobu, koszyk świeżo pieczonych bułeczek, miseczki ze świeżym masłem i konfiturą. Przez otwarte drzwi do pokoju przenikało świeże powietrze poranka.

La Colomba czekała przy wystawionym tuż za drzwiami stoliku z kutego żelaza. Roztaczał się stąd widok na obrośnięty żywopłotem ogród. Stefano nałożył sobie porcję z półmiska, nalał kawy i dosiadł się.

- Czasem wydaje mi się - zaczęła, wpatrując się w cyprysy na szczycie wzgórza, wyglądające jak miecz wbity rękojeścią w ziemię - że powinnam była urodzić się wieśniaczką.

- Ty? - Mimo woli wybuchnął śmiechem. Kobieta, znana całemu światu jako La Colomba, najślynniejsza kurtyzana Europy, która jeszcze przed paroma godzinami skrzyła się od klejnotów, ta, która czuła się swobodnie pośród hrabiów i książąt - wieśniaczką?

- Nie śmieję się - powiedziała, sama wybuchając śmiechem. - Mówię prawdę. Owszem, lubię bywać w Paryżu i w Rzymie, nie mam nic przeciwko szampanom serwowanym w pałacach. Kiedyś miałam nawet zakusy na pewnego maharadżę. Nigdzie jednak nie czuję się tak swojsko jak w *La Tanie*, kiedy dłubię w ogrodzie, patrzę jak oliwki wpadają pod prasę, rozmawiam o zbiorach. Jest w tym jakieś... poczucie bezpieczeństwa.

Sączył kawę, studiując jej twarz, wytworną, wyrazistą i nadal, mimo upływu lat, młodą. Nie mógł oderwać oczu od jej dłoni. Długimi palcami obejmowała filiżankę... i nagle dotarło do niego, że matka nie ma dzisiaj na sobie żadnej biżuterii. Mimo to jej dłonie bez ozdób nadal były piękne.

- Jesteś nadzwyczajną kobietą. Chciałbym cię poznać lepiej.

- Nie wiem, czy starczy nam na to czasu. - Odstawiła filiżankę, pochmurniejąc.

- Mogliśmy mieć dosyć czasu! Mieliśmy na to całe dwadzieścia cztery lata! - oświadczył w przypływie gniewu.

Radość poranka gdzieś się ulotniła.

Odchyliła się do tyłu, jakby dostała w twarz.

- Czujesz się oszukany.

- A co, może nie mam powodów*? Czyż nie oszukiwano mnie, mówiąc o mojej matce? Przez te wszystkie lata byłem przekonany, że nie żyjesz. Zamiast rozmyślać o tym, jak wyglądałaś i co lubiałaś, mogłem cię poznać, moglibyśmy być ze sobą. Naprawdę nie zależało ci na tym, żeby mnie poznać?

- Ach, Stefanino - powiedziała z westchnieniem, a on omal nie wybuchnął płaczem, słysząc swoje imię wymawiane z taką miłością. - Zależało mi tak bardzo, tak nieprzytomnie, aż czasem bałam się, że tego nie przeżyję. Czy nie jesteś w stanie tego pojąć? Nigdy też nie zniknęliście ani z mojego serca, ani z oczu.

- Oczu?

- Przyglądałam się, jak pedałowalesz po *piazza* na twoim pierwszym rowerku. Widziałam, jak zdobywałeś pierwszy medal w pływaniu, kiedy miałeś dwanaście lat. Tak bardzo bolało mnie wtedy serce, że nie mogłam cię uściskać. -

Zajrzała mu w oczy, tak podobne do jej własnych, i uniosła dłoń, żeby odgarnąć ciemny lok z jego czoła. - Nawet sobie nie wyobrażasz, ile razy marzyłam o takim zwyczajnym geście.

Chwycił jej dłoń w swoje dłonie i przymknął oczy, miotany burzą uczuć.

- Pamiętasz swój wiersz, który został opublikowany w jednej z gazet, kiedy miałeś piętnaście lat? Jakaż byłam dumna! A jaki byłeś onieśmielony podczas wywiadu! Mamrotałeś coś trzy po trzy i nie miałeś odwagi spojrzeć dziennikarce w oczy.

- Skąd o tym wiesz? - Nagle doznał olśnienia. - To ty? Dziennikarka w białych rękawiczkach z kożłłej skóry i w woal-

ce na twarzy? I te szmaragdy... Wydaje mi się, że nosiła szmaragdy. Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Mój Boże - westchnął Stefano - Gdybym ja wtedy wiedział...

- Może się nam jeszcze uda. Może wystarczy czasu.

- Ja... - Przerwał, bo poczuł, że zaraz wybuchnie dziecięcym płaczem. - Mamo. - Przytknął jej dłoń do swojego policzka.

Tak właśnie zastał ich Vittorio. Prawdę mówiąc oglądał ich Już od paru minut, a widok ten wzbudzał w nim uczucia tyleż nieznanne, co niemile widziane. Vittorio nie lubił być zazdrosny o innych mężczyzn.

- Musimy ruszać, Stefano - odezwał się tonem jeszcze bardziej obcesowym niż zwykle.

- Dzień dobry, Vittorio - zwróciła się do mego La Colomba z uśmiechem.

- Czeka nas długa jazda, *signora*.

- Musisz nauczyć się cierpliwości, Vittorio. W zeszłym roku odniosłeś się bardzo niegrzecznie wobec pewnej klientki, niemieckiej damy, która trochę kaprysiła przy wyborze papeterii. Do szaleństwa doprowadziło cię dopominanie się o papier delikatniejszego gatunku.

Spojrzał na nią w osłupieniu, wreszcie uśmiechnął się z niekłamanym uznaniem.

- To byłaś ty?

Skinęła głową twierdząco, obdarzając go przy tym tak zalotnym uśmieszkiem, że nie wytrzymał i roześmiał się.

- Napij się kawy, Vittorio - zaproponowała, kiedy umilkł.

- Dziękuję bardzo, *signora*, ale jeśli biżuteria ma dotrzeć do Szwajcarii za trzy dni, muszę natychmiast brać się do roboty.

- Chyba masz rację - przytaknęła. Wstała i weszła do domu. Wzięła z kredensu parę bułek, parę kawałków ciasta i włożyła do koszyka, który wręczyła Vittoriowi. - Weź chociaż to, na wypadek gdybyś zgłodniał po drodze.

- Czy aby nie za późno na to, żeby nam matkować? - spytał dziwnie łagodnym głosem.

- Być może to jedyna okazja.

Vittorio przyjął koszyk z rąk La Colomby. Poprowadziła ich do drzwi frontowych. Vittorio otworzył bagażnik, sprawdzając,

czy biżuteria została załadowana do środka. Klejnoty były już na miejscu, zapakowane w kilka zwyczajnych, kartonowych pudeł, przykrytych wytłuszczonym brezentem.

- Niepokoję się o ciebie - wyznał Stefano La Colombie, kiedy Vittorio sprawdzał zawartość bagażnika. -

Wspominałaś, że jesteś w niebezpieczeństwie...

- Mówiłam, że pewne osoby uważają, że jestem niebezpieczną kobietą - potwierdziła z uśmiechem. - Ale w życiu spadałam już na cztery łapy więcej razy niż sobie wyobrażasz, Stefanino. - Wzięła go za rękę. - Z każdej pułapki umiem wyślizgnąć się jak węgorz. Przemyślnie zachowałam parę sztuk biżuterii, mam też kilka nieoprawnych klejnotów pod ręką. Gdybym popadła w jakieś tarapaty, użyję ich jako „argumentów”. O mnie nie musisz się martwić.

Vittorio zatrzasnął bagażnik i dołączył do nich. Wyciągnął rękę do La Colomby.

Zamiast przyjąć podaną dłoń, pochyliła się do przodu i pocałowała go pospiesznie w oba policzki.

- Do widzenia, Vittorio. Chociaż twoje poglądy polityczne budzą we mnie wstręt, zawsze będę myślała o tobie ciepło. Życzę ci wszystkiego najlepszego.

Uśmiechnął się z przymusem.

- Ja też życzę ci wszystkiego najlepszego - odparł po chwili milczenia. - ...Matko - dorzucił po namyśle.

Odwróciła się do Stefana. Spojrzeli sobie przeciągle w oczy.

- *Arrivederci*, Stefanino - powiedziała ujmując jego twarz w swoje dłonie. - *Arrwederci*, synku.

- *Anwedeña* ...mamo - odparł, całując ją w policzek. - Musimy się zobaczyć. Niedługo.

- Musimy się postarać. A teraz już jedź.

Zbiegł po schodach i wskoczył do samochodu. Vittorio już niecierpliwie zapuszczał silnik. Kiedy skręcali w wysadzaną cyprysami aleję, Stefano odwrócił się za siebie. Na stopniach domu widniała nadal malejąca postać.

Nawet w prostej spódnicy i bluzce wyglądała dostojnie jak królowa. Patrzył, dopóki nie zniknęła za zakrętem.

Kiedy odwrócił się, miał łzy w oczach. Czuł, że wzbiera w nim nieznane dotąd uczucie. Musi ją znowu zobaczyć.

Musi. Tyle

jeszcze chciałby się od niej dowiedzieć. W jaki sposób z tak trudnych okoliczności doszła do swojej pozycji w życiu?

Kiedyś na pewno zechce mu zdradzić, kim był jego ojciec, chociaż nie czuł, żeby to miało dla niego specjalne znaczenie. To nie po nim odziedziczył nadzieję, że spełnią się jego sny o życiu poświęconym poezji i przygodom.

Marzenia te otrzymał w spadku po matce - to ona przekazała mu swoją wielkość duchową.

Udało mi się, jak mało komu - pomyślał. Jakież to szczęście być synem La Colomby.

Rozdział czwarty

Neapol 1886

Czternastoletnia Pietra Manzi obudziła się. Tak jak każdego ranka w ostatnich latach po przebudzeniu w jej głowie kłębiły się wspomnienia nocnych mamideł, a jednocześnie zaczynał się koszmar nadchodzącego dnia.

- Święta Mario, Matko Boża - szeptała odrzucając przykrycie

- wybaw mnie z tego piekła.

Rok wcześniej skłonna była sądzić, że nie ma już nic więcej do stracenia. Utraciła wszystko - matkę, ojca, siostry zabrała cholera, jej dom zrównano z ziemią, żeby powstrzymać rozprzestrzenianie się epidemii, sąsiedzi i przyjaciele rozpięchli się na cztery strony świata. Nie miała nic.

- Tego, kto stracił wszystko, nie można już pozbawić niczego

- mawiali dorośli, pocieszając się u progu tamtych straszliwych dni.

Miała się wkrótce przekonać, że jednak mylili się. Nadal tkwił w niej duch, miała serce i duszę... ale Lena Sacco zawzięła się, żeby ją nawet tego pozbawić.

Tego ranka, jak co dzień, nie trzeba jej było wiele, żeby zacząć swoje od nowa. Ledwie Pietra podniosła się z siennika przy piecu i obmyła lodowatą wodą, której naniósł ze studni poprzedniego wieczoru, a już zasłona oddzielająca kuchnię od sklepu rozsunęła się zjgłośnym trzaskiem.

- Ty leniwa dziwko! Śniadanie jeszcze nie ruszone, popiół nie wygarnięty. - Gniewne zmarszczki nad ciemnymi oczami Leny wyglądały jak blizny w jej spiczastej twarzy. Do czterdziestki brakowało jej ładnych paru lat, ale grymas wiecznej pretensji

na skwaszonej twarzy sprawiał, że wyglądała o dobre dziesięć lat starzej.

- Przepraszam, signora - powiedziała Pietra. Była to jedyna dopuszczalna odpowiedź. Za każdą inną Lena biła ją grzbietem dłoni ozdobionej pierścionkiem wysadzonym koralem, pierścionkiem, który potrafił przeciąć skórę do krwi. Pietra nie miała na sobie nic poza parą złachanych, płóciennych majtek, które służyły jej za całą odzież na noc; pospiesznie starała się sięgnąć po sukienkę. Nie znosiła wzroku, z jakim Lena obserwowała jej nagość. Pod spojrzeniem tej kobiety czuła się nieczysta.

Zanim zdążyła się zakryć, Lena chwyciła ją za ramię z taką siłą, że na ramieniu dziewczynki pozostał siny odcisk. Na twarzy Leny pojawił się złowrogi uśmiech, jakby ktoś nożem rozciął szczelinę warg nad jej spróchniałymi zębami.

- Widzę, że nasz mały kocmołuch zaczyna dojrzewać - stwierdziła, omiatając spojrzeniem ciało Pietry. Doskonale zdawała sobie sprawę, że ma przed sobą ciało o zachwycających kształtach, które będzie mężczyzną doprowadzać do szaleństwa, ciało pełne krągłości, jakich natura poskąpiła Lenie. Przejechała dłonią po młodziuchnej, gładkiej jak alabaster skórze na biodrze dziewczynki, po czym nacisnęła jedną z jej piersi, które w ostatnich miesiącach zaczęły nabrzmiwać i zaokrąglać się. - Jak śliweczka, co zaraz pacnie na ziemię. - Uwięziła sutkę dziewczynki w stalowym uścisku i wybuchnęła ohydny śmiechem. Pietra siłą woli powstrzymała się od jęku. Najmniejsza oznaka bólu zwiększała tylko zajadłość jej prześladowczym.

- Ubieraj się. - Lena odepchnęła dziewczynę. - Mój mąż lada moment będzie gotów do śniadania. Nie życzę sobie, żebyś mi tu paradowała goła.

Wyszła wreszcie. Pietra narzuciła lichą sukienczynę z brązowego płócienka, związała gęste, czarne włosy kawałkiem nici i złożyła swój siennik. Wygarnęła z kuchenki popiół, dorzuciła węgla i rozpałiła ogień. Po dopełnieniu pierwszego porannego obrządku podniosła błagalny wzrok na kuchenną Madonnę, która słała jej łagodny uśmiech z wnęki na ścianie. Uniosła rękę i leciutko dotknęła zwieszonoego ze stóp Madonny różańca z kości słoniowej.

- Święta Mario, Matko Boża... - recytowała łagodnym głosem. Nigdy nie zaniedbywała modlitwy, chociaż, jak dotąd, nie miała okazji przekonać się o jej zbawiennych skutkach.

Zaczynał się kolejny dzień. Z westchnieniem zamieszała polentę, z gwoździa na ścianie zdjęła salami i odkroiła sześć plasterków na śniadanie dla Giovanniego.

Kiedy cholera uczyniła ją sierotą, na jakiś czas przyjęła ją do siebie ciotka Gemma. Jednak mieszkać w siedem osób w ciemnym *basso*, jednej z nor w suterenie, od jakich roiło się w slumsach Neapolu - było niemożliwością.

Owdowiała za sprawą epidemii Gemma z trudem zarabiała na utrzymanie własnych dzieci, będąc praczką u zamożniejszych mieszczan. Dokładała wszelkich starań, żeby jednemu dziecku po zmarłej siostrze zapewnić wyżywienie i dach nad głową. W położonej przy nabrzeżu dzielnicy ruder, w której mieszkała, było sporo sklepików i Gemmie udało się ulokować siostrzenicę u pewnego rzemieślnika, niejakiemu Giovanniego Sacco. Sacco, w zamian za pomoc w sklepie, zobowiązał się

zaopiekować dziewczynką.

Giovanni główny dochód czerpał z rzeźbienia niezwykle popularnych w Neapolu ozdób z koralu. W przeciwieństwie do swojej żony, był przyzwoitym człowiekiem.

Pietra znosiła złościwości Leny Sacco przez tydzień, po czym uciekła do ciotki, błagając, żeby przyjęła ją z powrotem. Z bólem serca Gemma wyjaśniła dziewczynce, że nie ma wyboru.

- Lena Sacco jest zgorzkniałą kobietą - wyjaśniła ciotka Gemma. - Siedemnaście lat małżeństwa i w ogóle się nie zanoszą na to, żeby miało pojawić się dziecko. Uważa się za przeklętą i sama przeklina cały świat. Ale ty, Piętro, na pewno będziesz umiała ustrzec się przed rozgoryczeniem. Przed głodem natomiast nie ma ucieczki, nie jestem w stanie cię wyżywić. Jeżeli nie wrócisz do Sacco i jego żony - skończysz na ulicy.

Pietra widywała osieroczone dziewczynki sprzedawane jak bydło na ulicach Neapolu, dla zaspokojenia najgorszych zachcianek mężczyzn, a nierzadko kobiet. Ciotka Gemma mawiała, że dola młodych prostytutek jest gorsza niż śmierć.

Jednak chwilami Pietra odnosiła wrażenie, że ich los był lżejszy od okrucieństw, które musiała znosić od Leny Sacco.

Wiedziała, że Lena dokłada wszelkich starań, żeby począć dziecko. Cała ściana jej sypialni stanowiła jeden wielki ołtarz poświęcony Najświętszej Marii Pannie. Nad łóżkiem, obok figurek brzemiennych kobiet, wisiały talizmany płodności. U stóp patronki płodności stale odmawiano różańce i składano kwiaty.

Pietra, odmawiając pacierze, modliła się również za Lenę. Gdyby ta kobieta urodziła nareszcie dziecko, złagodniałaby z pewnością i życie z rodziną Sacco stałoby się znośniejsze. Praca w sklepie sama w sobie nie była uciążliwa. Sklep, jak dziesiątki innych sklepików przy nabrzeżu Santa Lucia, egzystował dzięki sprzedaży wyrobów z koralu, kości i szylkretu. W większych sklepach można było dostać piękne tabakiery, misternie rzeźbione figurki z rogu, paciorki z kości słoniowej, biżuterie wykonywaną na zamówienie dla zamożnych klientów, docierających tu z willi położonych na okolicznych wzgórzach.

Klientami Sacco byli głównie rybacy i cieśle okrętowi, śmieciarze i okoliczne praczki, ludzie o szczupłym portfelu i niezliczonych przesądach. Wyrabiał dla nich *comuti* w kształcie rogu i inne amulety drogie sercu lękliwych neapolitańczyków, talizmany strzegące przed *jettatura*, złym spojrzeniem. Większość rzeźbił sam, jedynie bardziej precyzyjne przedmioty sprowadzał z innych sklepów. Pietra lubiła Giovanniego Sacco, mimo że nie był zbyt piękny.

Niski, przysadzisty, o ciężały od nadmiaru spaghetti, miał oliwkową cerę, która często pokrywała się tłustym potem.

Dla Pietry był zawsze miły i traktował ją po trosze jak dobrotliwy wujaszek.

- Odłóż miotłę, malutka - powiedział tego ranka. Zamiatła już od dobrej chwili. - Straszny dziś upał,

dość się już nazamia-tałaś. - Odłożył polerowane grzebyki na tackę. - Idź i przynieś sobie z kuchni coś chłodnego do picia.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- A dla pana szklaneczkę wina?

- Naturalnie - potaknął z uśmiechem, od którego końce obwisłych wąsów podjechały do góry. - Ale nie mów Lenie

- dodał, puszczając do niej oko.

Wróciła, niosąc napoje, po czym przysiadła na wysokim stołku za kontuarem, sortując guziki z rogu. To była jej ulubiona

pora dnia. Klientów zaglądało jeszcze niewielu, a Lena klęczała na porannej mszy, wzywając wszystkich możliwych świętych, którzy mogliby obdarzyć ją dzieckiem.

- Piętro - odezwał się Sacco po chwili milczenia. - Czy jest w moim sklepie cokolwiek, co mogłoby ci się spodobać?

Zdumiona, zatrzepotała rzęsami. Nie było chyba jednej rzeczy, która by się jej nie podobała - no, może nie talizmany

- ale koralowe i szylkretowe grzebienie, lusterka w rzeźbionych oprawach i maleńkie broszki.

Uśmiechnął się, widząc wyraz jej twarzy.

- Twoja ciotka powiedziała mi, że pojutrze są twoje urodziny. To bardzo ważny dzień dla Neapolu, z wielu innych powodów, naturalnie... Ale twoje urodziny są wystarczająco ważnym powodem, żebyś dostała jakiś prezent.

Byłaby całkiem zapomniiała o swoich urodzinach, chociaż nietrudno było o nich pamiętać, bo przyszła na świat w dniu, kiedy Wezuwiusz jednym ze swoich wybuchów wstrząsnął miastem. Nie był to wielki dzień i ten zbieg okoliczności w jej rodzinie zawsze uważano za pomyślną wróżbę. Chociaż ochrzczono ją na cześć San Pietra, imię jej miało jeszcze jedno znaczenie. Pietra - znaczy „kamień”; jeden z odłamków skalnych wyrzuconych z gardzieli wulkanu w dniu jej narodzin; Do tego jako najstarsze dziecko była opoką swojej rodziny. Kiedy złościła się - co zdarzało się często, zanim wszyscy umarli i miejsce gniewu zajął smutek - ojciec zwykł się droczyć z nią, przezywając „Pietrina” - „krzemyczek” z powodu iskier, które sypały się z jej błękitnych oczu.

- Masz dzień, żeby zastanowić się, co byś chciała dostać

- mówił do niej teraz Sacco. - Oczywiście w granicach rozsądku, nie z tych kosztownych rzeczy, które może kupić jakiś szlachcic, jeśli się tu przyplącze. Ale poza tym - co tylko chcesz...

- Ach, *signor* Sacco - wykrzyknęła Pietra z wdzięcznością. Miała ochotę zerwać się ze stołka i

uściskać go, na szczęście tego nie zrobiła, bo właśnie wkroczyła Lena. Pietra wyczuła, że żona pracodawcy jest w bardzo złym humorze.

- Potrzebuję jeszcze jednego fallusa - oświadczyła od progu.

- Jeden mi nie wystarcza odkąd ona się tu zjawiała, żeby odebrać mi płodność!

Giovanni posłusznie podszedł do gabloty i wyjął szkatułkę, którą wręczył żonie. Lena zaczęła przebierać w stercie rzeźbionych talizmanów.

- I tak największy ze wszystkich masz już pod materacem

- zauważył Giovanni.

Nie zwracając uwagi na jego słowa, wybrała największy i najczerwieńszy z miniaturowych fallusów, z realistyczną dokładnością rzeźbionych w koralu.

- A zioła i olej, którym natarłem ci brzuch wczoraj w nocy?

- dopytywał się.

- Od ziół mam usta wyschnięte na wiór, a olej jest do niczego. - Ujęła talizman w obie dłonie i przyłożyła do piersi.

- Zrobiłam wszystko, co się da, Giovanni. Wiesz dobrze, że zdarłam kolana do krwi pielgrzymując do Najświętszej Pani, wiesz ile się napościłam, ile świec wypaliłam. - Mówiła błagalnym tonem, jakby liczyła na to, że jeśli go przekona, obdarzy ją dzieckiem. - Nie opuściłam ani jednej mszy od dnia naszego ślubu.

- Wiem, *cara* - bezradnie poklepał ją po ramieniu. - Musisz po prostu być cierpliwa.

Lena spojrzała z furią na Pietrę, zajętą porządkowaniem koralowych *comutL* Dziewczynka najchętniej zapadłaby się pod ziemię. - To przez nią - ciągnęła Lena jadowitym głosem. - Ona rzuciła na mnie urok.

Giovanni podszedł do Pietry.

- Signora Griselli kazała sobie dzisiaj przynieść pudełko z guzikami. Idź do niej teraz - polecił cicho.

Wdzięczna, że dał jej szansę ucieczki, Pietra chwyciła za pakunek, porwała swoją chustę z kołką i pognęła do drzwi.

Ale z Leną nie poszło jej tak łatwo.

- Wynoś się stąd - wrzasnęła ochryple. - I nie wracaj mi tu więcej!

Pietra zamarła na progu, przerażona na myśl, że jeśli zrobi krok dalej, wyląduje nieodwracalnie na

bruku.

- Lena! - krzyknął Giovanni. Rzadko zdarzało mu się podnosić głos, zwłaszcza w obecności żony. - Pietra jest nam potrzebna. Ona bardzo dobrze... pracuje.

- Tak, bardzo dobrze pracuje na moją zgubę.

- Na litość boską, to przecież dziecko, nie ma w niej jeszcze żadnej podłości. Bądź dla niej dobra, a może święci cię wynagrodzą. Pojutrze są jej urodziny...

- Urodziny? - powtórzyła za nim Lena, a oczy jej powiększyły się. Obrzuciła Pietrę dzikim spojrzeniem. Ściskając czerwony, fallus z koralu w garści, przesuwiała go rytmicznie po piersi w górę i w dół. - Masz urodziny we wtorek? -

upewniła się, podchodząc do dziewczynki.

- Tak - odpowiedziała cichutko Pietra, cofając się.

- Dwudziestego szóstego kwietnia? Skończysz piętnaście lat? Pietra potaknęła pokornie, czując już, że święci się coś niedobrego.

- Uaaa... - zawyla Lena zniecka, wczepiając się z furią w jej włosy. - Miałam rację! To klątwa! Dwudziesty szósty kwietnia tysiąc osiemset siedemdziesiąt jeden. Urodziła się w dzień wybuchu Wezuwiusza. Dzień śmierci i zniszczenia! - Machnęła w powietrze czerwonym fallusem. - Urodzona w dniu, w którym popiół wyjałowił poła.

Przez nią ja też jestem jałowa!

- Leno - przerwał Giovanni dobitnie. - Dziewczynka nic ci nie zrobiła.

- Ma się stąd wynieść - zaskrzeczała Lena. - Póki tu jest, nie będę miała dziecka.

Giovanni obrzucił Pietrę przepaszającym spojrzeniem smutnych, ciemnych oczu. W obawie przed tym, co mogłaby jeszcze usłyszeć, okręciła się na pięcie i wybiegła z domu, ścigana cichnym w oddali triumfalnym rechotem Leny Sacco.

Jrzystała za rogiem, żeby zaczerpnąć tchu. Potem, mając jeszcze w uszach przekleństwa Leny, zaczęła błąkać się po nabrzeżu, nie zwracając uwagi na psykania marynarzy. Bezmyślnie rozdeptywała gnijące odpadki ze straganów.

- Będę jak kamień - powtarzała bez końca. Ta litania była czymś w rodzaju jej osobistego różańca. - Kamień jest twardy; nie daje się złamać. Skuliła się, naciągając chustę na ramiona. - Jestem Pietra, jestem kamieniem. - Można ją było odrzucić jak kamień, ale - jak kamień - znajdzie sobie inne miejsce.

Nagle zdała sobie sprawę, że nadal ściska w rękach przesyłkę

od Giovanniego. Czy powinna odnieść ją z powrotem, czy wykonać polecenie Giovanniego? Jeśli dopełni swoich obowiązków, Giovanni z pewnością przyjmie ją z powrotem. Ruszyła, aby dostarczyć paczkę.

Potrafiła bezbłędnie znaleźć drogę w labiryncie uliczek, podwórek i wąskich, krętych zaułków, wilgotnych i zacienionych, których pełno było w uboższych dzielnicach Neapolu. Kiedy miała szczęśliwy dzień, wysyłano ją z przesyłkami w okolice wspaniałych *piazza*, pozostałości okresu, kiedy Neapol był stolicą Królestwa Obojga Sycylii, kiedy miasto dało światu wicekróla Hiszpanii, a królowie z dynastii Burbonów przychodzili na świat w wielkich *palazzos*.

Któregoś wieczoru przechodziła koło Teatro San Carlo akurat w porze, kiedy na spektakl zjeżdżali bywalcy opery.

Przystanęła w cieniu, zahipnotyzowana widokiem dam w wykwintnych sukniach i biżuterii, mężczyzn w nienagannej czerni z dyskretną złotą biżuterią. Jak to jest być piękną, nosić wspaniałe suknie, być tak bogatą, że świat czeka posłusznie na każde twoje skinienie?

Dziś miała iść z przesyłką niedaleko, wzdłuż barwnego, tętniącego życiem, hałaśliwego nabrzeża, w nie milnącym zgiełku Neapolu. W domu Saccich czuła się zawsze samotna, odosobniona, za to na ulicach miasta z powrotem wydawało się jej, że jest członkiem wesołej, hałaśliwej rodziny.

Z każdego balkonu, każdego okna, nad każdą uliczką zwieszały się sznury bielizny. Miasto wyglądało jak przybrane wielobarwnymi chorągiewkami łopocącymi donośnie w podmuchach morskiej bryzy. Młoda matka wychyliła się z okna na piętrze, wciągając prześcieradła, które, migocząc jak lustra odbijające światło słoneczne w głąb zacienionej uliczki, kolejno znikały w oknie. Właścicielka prześcieradeł śpiewnym głosem przekrzykiwała się z sąsiadką.

Na targu rybnym opadł Pietrę zapach ryb i soli. Jej wzrok przyciągały śliskie węgorze, barweny ze świetlistymi oczami, opalizujące ośmiornice.

- *E, bella* - zawołał za nią handlarz ryb. - Czy piękna, młoda dama życzy sobie coś pokaźniejszego? Chodź, dobijemy targu. Ja dam rybę... ty dasz swoje wisienki. - Pchnął rybę w jej stronę, ale odepchnęła dar i pospiesznie ruszyła dalej, mijając osiołka objuczonego sakwami soli kamiennej i reperującego sieć rybaka.

W chwilę później stała już na progu domostwa signory Griselli. Kobieta podziękowała za przesyłkę, spojrzała w twarz dziewczynki i zasępiła się.

- Musisz uważać na siebie, moje dziecko - oświadczyła zagadkowo. - Ani się obejrzysz, jak tutejsi marynarze zaciągną cię do najbliższego zaułka... - Kobieta przeżegnała się, zanim zamknęła drzwi.

W drodze do sklepu Pietra zastanawiała się nad znaczeniem tych słów. Jej rozmyślania przerwał męski głos.

- *E, belki* - wołał za nią jeden z objających się na progu kawiarenki marynarzy, łapiąc się za serce. - *Che, bellissima!*

- dorzucił. Ledwie zdążyła się poczuć mile polectana pochwałą swojej urody, marynarz zepsuł cały efekt, łapiąc się za krocze i wybuchając obleśnym śmiechem.

Pietrę Manzi już w wieku zaledwie czternastu lat otaczała jakaś szczególna, nieodparta aura, emitująca fale ciepła i woni, które wzbudzały magnetyczny pociąg. Zdarzało jej się już doświadczyć upokorzeń ze strony *scugnizzi*, hałaśliwych ulicz-ników neapolitańskich, którzy asystowali jej w drodze do domu jak zwabione zapachem psy.

Kiedy przed paroma miesiącami zaczęła krwawić, pobiegła do ciotki Gemmy, przerażona, że ma spóźnione objawy choroby, która złożyła jej rodzinę do grobu. Gemma rozproszyła obawy.

- Przestałaś być dziewczynką, Piętro, jesteś już kobietą

- dodała. - Strzeż klejnotu, którym cię Bóg obdarzył.

- Klejnotu? Jakiego klejnotu?

- Twojej czystości - dziewictwa. Żaden mężczyzna nie tknął cię dotąd i to jest twój skarb. Dopóki jesteś dziewicą, stanowisz obiekt pożądania i może się znaleźć mężczyzna, który zechce ci rzucić do stóp cały swój majątek. Jeżeli jednak oddasz swój klejnot pochopnie komuś, kto cię porzuci, będziesz się miała nie lepiej niż najędzniejsza *puttana* na dnie rynsztoka. Strzeż więc swojego skarbu tak, jakby to był diament i nie pozwól go tknąć nikomu, dopóki nie znajdziesz męża.

Pietra przysięgła ciotce, że będzie strzec „klejnotu” i przysięgi zamierzała dotrzymać.

Ukradkiem wemknęła się do sklepu. Było cicho. Widocznie Lena wyszła znowu; zapewne na targ, przynieść coś na kolację.

Zajrzała do małej pracowni na zapleczu, w której Giovanni rzeźbił swoje wyroby. Podniósł wzrok znad roboty.

- Nie denerwuj się, dziecko - powiedział. - Już się uspokoiła. Możesz zostać u nas.

Chociaż myśl o pozostaniu była równie przerażająca, jak myśl, że zostanie wyrzucona, skinęła głową i posłusznie zastosowała się do polecenia Giovanniego, aby pozostać w sklepie, na wypadek gdyby jakiś klient zjawił się z samego rana.

- Wołaj mnie, jeśli przyjdzie jakiś poważniejszy klient - poprosił.

Stała w sklepie, wodząc wzrokiem po półkach pełnych szylkre-towych grzebyków, lusterek, ram do obrazów, misternych figurek rzeźbionych w koralu. Czy po tym wszystkim odważy się wybrać prezent? Chyba lepiej będzie zapomnieć o tych urodzinach.

Zadzwieczał dzwonek przy drzwiach. Pietra odwróciła się zawstydzona. W drzwiach stała tchnąc chłodną elegancją podobna do zjawy kobieta w dopiętej pod szyję letniej seledynowej sukni, przybranej fiołkami i przewiązanej liliową wstążką, zawiązaną w kokardę nad małą, zadzierzysłą turniurą. Koronkowe mankiety spływały na główkę parasolki w dobranym odcieniu. Wyglądała,

jakby zesłała z kart książeczki z obrazkami, w dodatku roztaczała wokół siebie woń fiołków.

- *Buon giorno, signora* - powitała ją Pietra, kłaniając się z szacunkiem. Zrobiło jej się wstyd, kiedy spojrzała na swą, obdartą, workowatą sukienczynę. Kiedy z powrotem podniosła wzrok, do sklepu wkraczał właśnie towarzysz damy.

Ubrany, jak i ona, w nienagannie elegancki garnitur i miękki kapelusz, w ręce trzymał laseczkę ze złotą gałką. Był

jednym z najdziwniejszych mężczyzn, jakich Pietra widziała w życiu - miał gęste, srebrzyste, zaczesane do tyłu włosy, oczy koloru mroźnego, zimowego nieba, pełne wargi i skórę tak jasną, jakby nigdy nie tknęły jej promienie słońca.

Pietra zupełnie zapomniała o istnieniu damy. Mężczyzna postąpił krok do przodu.

- Książę di Monfalco - przedstawił się, wskazując na komplet spinek z kości słoniowej na półce. - Życzyłbym sobie obejrzeć...

- Mówił poprawnym włoskim, a nie dialektem neapolitańskim i Piętrze przez chwilę wydało się, że w życiu nie słyszała równie cudownej muzyki. Wszystko w nim było zdumiewające. Prawdziwy książę! Nigdy jeszcze gość tak wysoko urodzony nie zawitał w progi ich sklepu.

- Poproszę właściciela - powiedziała, odzyskując głos. Ruszyła na zaplecze.

- Zaczekaj - powstrzymał ją mężczyzna stanowczym tonem.

- Życzę sobie, żebyś ty mnie obsłużyła. - Pietra zawróciła i spostrzegła, że mężczyzna intensywnie się w nią wpatruje.

Chciała spuścić oczy, ale nie mogła. Jego oczy przyciągały jej wzrok z magnetyczną siłą. Wreszcie przypomniała sobie o spinkach i podeszła do półki, żeby zdjąć odpowiednie pudełko.

Kiedy wróciła niosąc spinki, piękna kobieta ujęła ją za wolną dłoń i ustawiła twarzą do siebie. Zlustrowała Pietrę od stóp do głów.

- *Très belle, très charmante* - zawyrokowała w końcu. - Całkiem miły *entracte* - dodała, śmiejąc się gardłowo.

Odrzuciła głowę do tyłu, a szmaragdy na jej dekolcie zaśniły zielonymi ognikami. Ręką odzianą w rękawiczkę z kozłej skóry sięgnęła do podbródka Pietry i pokręciła jej głową w prawo i w lewo.

- No, no, *très délicateuse*.

Pietra nie rozumiała słów damy, choć orientowała się, że mówi po francusku. Słyszała ten język na nabrzeżu, w dzielnicy portowej za każdym razem, kiedy przybijał statek z Marsylii. Jednak mowa marynarzy nigdy nie brzmiała tak rozkosznie, jak słowa wychodzące z ust damy.

- Biorę je - oświadczył ksiązę, nie spuszczać z Pietry wzroku. Ani razu nie spojrział na pudełko ze spinkami.

Głosy dochodzące ze sklepu dotarły do Giovanniego, który natychmiast przybiegł z pracowni. Poznał księcia od pierwszego wejrzenia. Ukłonił się niezgrabnie.

- Właśnie dokonałem zakupu - oświadczył pospiesznie ksiązę Giovanniemu. - Proszę dostarczyć mi spinki jutro. O

szóstej.

- Naturalnie, Wasza Łaskawość - oświadczył uszczęśliwiony Giovanni. - Przyniosę je osobiście.

- Nie trzeba. Niech przyniesie je ta mała. - Ksiązę odwrócił się i wyszedł, a w ślad za nim, chichocząc, wyszła dama.

- Widzisz, dziecko, sam los stara ci się wynagrodzić twoją krzywdę - powiedział Giovanni. - Będiesz miała szczęście poznać Palazzo Monfalco. Mówią, że panuje tam niespotykany przepych.

- Czy ta dama to księżna?

- Oczywiście, że nie - roześmiał się. - Ksiązę nie przyprowadzałby żony w takie miejsce. O ile wiem, księżna rezyduje głównie na wsi. Był w sklepie ze słynną śpiewaczką, Marią Blanco.

- Jest bardzo piękna. Zdawało mi się, że mnie lubi... Rozbawił go jej dziecinny entuzjizm.

- A któż by cię nie lubił? Może ją spotkasz, kiedy pójdziesz ze spinkami do pałacu.

- Pałacu - powtórzyła za nim jak echo. Przez uchylone drzwi sklepu zobaczyła, że powóz ciągniony przez parę do-rodnych koni znika w głębi ulicy. - Pałac - powtórzyła raz jeszcze, jakby smakowała w ustach nieznany, egzotyczny owoc.

Wzniesiona na skale pośród wzgórz Podsilippo budowla z różowego stiuku, zdobionego dachówką z czerwonej cegły, spoglądała w dół na Zatokę Neapolitańską. Z czterech narożników wyrastały cztery wieżyce. Pietra chłonęła każdy szczegół - przystrzyżone w zwierzęce kształty drzewa u stóp tarasu, posągi nad frontonem, krzewy bugenwili obsypane czerwonym wonnym kwieciem.

Zmusiła się, żeby ruszyć z miejsca. Giovanni uprzedził ją, że nie powinna wchodzić frontowymi drzwiami, tylko z tyłu, wejściem dla służby. Sporo czasu zajęło jej zanim, płacząc się po niezliczonych marmurowych schodach, które otaczały ogromny gmach ze wszystkich stron, znalazła odpowiednie wejście.

- A, dziewczyna ze sklepu z koralami - powitała ją masywna niewiasta, która otworzyła drzwi. Pietra była zaskoczona jej pospolitą, neapolitańską wymową. Spodziewała się czegoś bardziej egzotycznego, tak jakby się miała znaleźć w obcym kraju. Kobieta zlustrowała Pietrę z góry na dół. - Ksiązę prosi do pokoju muzycznego. - W jej tonie dało się wyczuć dezaprobatę. - Guido!

Młody chłopak, niewiele starszy od Pietry, wyrósł przed nią, ruchem ręki dając znak, żeby poszła za nim. Przeszli przez wielką kuchnię, korytarz, niezliczoną liczbę drzwi, wreszcie dotarli do hallu, gdzie z wysokiego sklepienia zwieszał się świecznik kryształowy, tak ogromny, że strach było pod nim przechodzić. Ściany zdobiły olbrzymie portrety w połączonych ramach.

Usłyszała muzykę, której dźwięki wzmożyły się, kiedy Guido otworzył dwuskrzydłe drzwi i znaleźli się w olśniewająco białym pokoju: ściany, sufit, meble - wszystko było białe, ozdobione tylko złoceniami. W rogu stała złota harfa. Zawieszane nad kominkiem lustro, największe, jakie Pietra widziała w życiu, odbijało cały pokój.

Przy oknie wychodzącym na morze siedział książę, wygrywając na białym pianinie słodkie melodie. Grał z zamknię-

tymi oczami.

Pietra usłyszała, że drzwi cicho zatrząskują się za nią. Odwróciła się i spostrzegła, że chłopak zniknął. Targnęła nią panika, która jednak rozplynęła się w dźwiękach muzyki. Po chwili odważyła się podejść nieco bliżej pianina, zafascynowana widokiem długich, smukłych palców księcia, rozbieganych na klawiszach z kości słoniowej.

Muzyka przybierała na tempie i sile. Grając, książę poruszał rytmicznie głową. Srebrzyste włosy opadały mu na twarz. Pietra przyłapała się na tym, że próbuje odgadnąć, ile książę ma lat. Wydawał się zarazem i stary, i młody.

Pianino wydało niski, przeciągły ton. Dźwięk wybrzmiał. Książę otworzył oczy i wpił się wzrokiem w Pietrę. Nie wydawał się zaskoczony jej widokiem.

- Czy grasz na pianinie, *signorina*? - zapytał, po czym potrząsnął głową. - Nie, naturalnie, że nie grasz. Ale może któregoś dnia zechcesz się nauczyć?

Siedzieć przy tak cudownym instrumencie, w pokoju wykwinnym jak ta komnata, i wydobywać z niego przepiękne dźwięki... oczywiście, że by chciała. Jednak poprzestała na ukłonie i wręczeniu pudełka.

- Pańskie spinki, Wasza Łaskawość.

Wziął pudełko i odstawił na bok. Pietra schowała ręce za plecami. Chociaż szorowała dłonie bez końca, od nieustannego wybierania popiołu stale miała czarne paznokcie. W żaden sposób nie chciały się doczyścić. Nie mogła dopuścić, żeby wzrok księcia padł na jej dłonie.

Tymczasem książę wstał od pianina i podszedł do stolika pod lustrem, na którym stała karafka i kryształowe kieliszki.

- Jak się nazywasz, moje dziecko? - spytał, napełniając pucharki winem koloru płynnego złota.

- Pietra.

- A, właśnie - potwierdził takim tonem, jakby znał już, a jedynie zapomniał jej imię. - Wypijesz kieliszek wina, Piętro?

- Nie, Wasza Łaskawość. Muszę wracać do sklepu.

- Proszę... - Wyciągnął kieliszek w jej stronę. - Przecież nie musisz się aż tak spieszyć. Twój pracodawca wie, iż jesteś u mnie, i z pewnością cieszy się, że jestem jego klientem. Jeżeli posiedzisz u mnie trochę, być może zajrzę znów po coś do jego sklepu...

Pietra zamrugnęła, zmieszana. Czemu tak potężny pan jak książę chce ją zatrzymać u siebie? Zrobiła swoje i powinna odejść.

- Czy próbowałaś już kiedyś wina? - spytał, nieustępliwie wyciągając kieliszek w jej stronę.

W Neapolu każde dziecko, nawet z najuboższej rodziny, smak wina zna praktycznie od urodzenia.

- Naturalnie, że próbowałaś. Jednak to nie jest zwyczajne wino. Nazywa się *Lachruna Christi* - Łzy Chrystusa.

Przyszło mi do głowy, że może ci szczególnie odpowiadać, ponieważ jest tłoczone z winogron hodowanych na stokach Wezuwiusza.

Czuła coraz większe zmieszanie. Czy książę dawał do zrozumienia, że zna datę jej urodzenia, i to, co się wtedy wydarzyło? Na myśl o takiej możliwości ogarnęło ją przerażenie przemieszane z podnieceniem. Wyciągnęła rękę i przyjęła podany kieliszek, jakby jej ciało było posłuszne jego rozkazom.

Odczekała, aż książę upije łyk ze swojego pucharu, po czym przechyliła własny kieliszek, ledwie muskając delikatne szkło wargami z obawy, że może pęknąć od dotyku jej ust. Wino było chłodne i smakowite, w niczym nie przypominało cierpkiej, gryzącej cieczy, którą stale pijała przy stole Sakkich.

Przymknęła oczy, żeby poczuć na języku aromat. Kiedy rozchyliła powieki, zobaczyła, że książę uśmiecha się do niej.

- Widzę, Piętro, że wiesz, jak delectować się dobrym winem. Umiesz doceniać rozkosze zmysłów.

- Ja... ja muszę już iść - wyjąkała. Poczowała, że dusi się w obecności księcia. Przypomniała sobie przywożone przez rybaków ryby - żyły jeszcze i bezsilnie trzepotały się na nabrzeżu. Tu, w tym miejscu, mogła wytrzymać tylko tyle, ile ryba jest w stanie wytrzymać bez wody. To nie był jej świat.

Ale książę nagabywał ją dalej z uśmiechem.

- Czy tu jest naprawdę tak strasznie, Piętro, że nie możesz doczekać się wyjścia?

- O, nie - zaprzeczyła pospiesznie. - Tu jest bardzo pięknie.

- A przecież widziałaś tylko małą cząsteczkę wszystkiego, co tu jest. Gdybyś została dłużej ze mną, zobaczyłabyś o wiele więcej... poznałabyś więcej smaków... więcej byś się nauczyła.

Milczała, jakby zastanawiała się nad czymś.

- Ale dlaczego? Dlaczego miałoby pana obchodzić, co kładę do ust czy też czego się uczę? - wybuchnęła nieoczekiwanie jak Wezuwiusz.

Wstrząśnięta własną śmiałością, zakryła usta dłonią, ale ksiązę skinął z aprobatą.

- Rozejrzyj się dookoła siebie, Piętro. Jak sama powiedziałaś - tutaj jest pięknie. Przez całe życie lubiłem otaczać się pięknymi rzeczami. Ale piękno trzeba najpierw cyzelować, a później pielęgnować. To zwierciadło... jego tafla była kiedyś piaskiem na plaży, pożłota jego ram, zanim stała się dziełem sztuki, była zagrzebana w ciemnym wnętrzu ziemi. Uwielbiam wydobywać piękno na światło dzienne. Chciałbym tak samo móc postąpić z pięknem tkwiącym w tobie.

- Ale dlaczego? - chciała koniecznie znów wiedzieć.

- Ponieważ - oświadczył ksiązę - nie mam nic innego do roboty. Zawahała się przez sekundę, po czym ruszyła w stronę drzwi.

Nadal czuła się jak ryba wyrzucona z wody. Ale ksiązę dogonił ją i zatrzymał, chwytając za rękę.

- Wiem, że trudno ci wyobrazić sobie, że mogłabyś być czymś

więcej, niż jesteś teraz... - zaczął. Pchnął ją przed lustro, zmuszając, żeby spojrzała na własne odbicie. - Czy ty widzisz to, co inni widzą? A może twoje oczy, zamglone ubóstwem, ciemnotą i beznadzieją, nie dostrzegają piękna osoby? Jesteś niebywała, dziecinko. Cudowna. Ledwie cię zobaczyłem, byłem pewien, że będę w stanie stworzyć z ciebie arcydzieło.

Pietra wyswobodziła się z jego uścisku. Lustro pokazywało jej tylko brudną twarz i rozczochrane włosy. Ręka, którą wyrwała księciu, dalej miała, jak zawsze, czarne obwódki wokół paznokci.

- Niech Wasza Łaskawość ulituje się nade mną i nie rozbudza niemożliwych do spełnienia marzeń.

- Kiedy ja mówię całkiem poważnie. Popatrz...

Sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej matowy, szary kamień wielkości gołębiego jaja, który podał jej tak, jak wcześniej podawał kieliszek wina. Tym razem nie stawiała oporu, pozwalając, żeby położył jej kamień na dłoni.

- Masz teraz przed oczyma pospolity, niczym nie wyróżniający się kamień - powiedział łagodnym, aksamitnym głosem. - We wnętrzu tego kamienia kryje się jednak cud, który czeka na artystę z właściwym warsztatem i wiedzą, żeby wydobył go na światło dzienne. Nadejdzie dzień, kiedy pojawi się ktoś, kto zgłębi ten kamień. Dokona precyzyjnych pomiarów, wykorzysta swoją znajomość matematyki, fizyki i zjawisk świetlnych. Ktoś uzbrojony w odwagę i wielką cierpliwość. Kiedy jednak dokona swego dzieła, kiedy posłuży się całą swoją wiedzą, kamień zamieni się... Czeka,

pozwól, że ci coś pokażę.

Szybkim, nieomal tanecznym krokiem podszedł do komody stojącej pośrodku między dwoma długimi kotarami i z jednej z szuflad wyjął aksamitny mieszek. Ze zręcznością magika porwał z dłoni dziewczynki matowy kamień, wysypując w zamian zawartość mieszka. Na dłoń Pietry wytoczył się olśniewający, szlifowany diament, odbijając sączące się przez okno ostre promienie słońca i zamieniając je w pomykające po jej twarzy tęcze.

Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w klejnot. Wsysał ją w swoją magiczną głębię, oplątywał pajęczyną światła. Czowała, jak jej skóra płonie od diamentowej poświaty.

- Diamenty są na świecie tylko po to, żeby rozsiewać piękno,

I żeby dawać przyjemność - ciągnął książkę pieszczotliwym głosem. - Czy ten kamień sprawia ci rozkosz?

- O, tak - wyszeptała nabożnie. - Tak.

- Jesteś, Piętro, jak nie oszlifowany diament. Tak właśnie jawi mi się twoja doskonałość. Trzeba tylko odpowiedniego artysty, żeby wydobył twój blask. Potrafię tego dokonać.

Zmieszana, przeniosła wzrok z płonącego diamentu na jego płonące oczy.

- Jak?

- Ucząc cię... piękna i przyjemności. Przyjemności, jaką kobieta może dać mężczyźnie - i otrzymać od niego w zamian. Obdarzanie rozkoszą jest sztuką - kto wie, czy nie najdoskonalszą ze wszystkich sztuk. Jesteś stworzona do miłości, Piętro. Ja to widzę, nawet jeśli ty tego nie dostrzegasz. Zrobię z ciebie największą artystkę miłości w całym Neapolu, ba - w całych Włoszech. - Przyglądał się, jak jego słowa powoli docierają do niej. Patrzył, jak jej wzrok wędruje od niego do diamentu i z powrotem. - Jeżeli oddasz się w moje ręce, jeśli zostaniesz moją uczennicą i pozwolisz mi nauczyć cię jak kochać i jak być kochaną - ten diament będzie twój - dodał w końcu. Milcząc, rozważała słowa ciotki Gemmy o tym, że ma swój własny klejnot. Czy powinna oddać go w zamian za klejnot proponowany jej przez księcia?

Przeraził ją napięty wyraz twarzy, z jakim się w nią wpatrywał. Powoli wyciągnęła rękę i kiedy jej dłoń zawisła nad dłonią księcia, upuściła na nią z powrotem kamień. Nagle zrobiło jej się zimno w rękę. Kiedy palce księcia zacisnęły się wokół diamentu wydało jej się, że zaczyna zmierzchać.

- Bardzo późno - wyjąkała. - Muszę już iść.

- Tak, maleńka, idź już. A kiedy będziesz gotowa, wracaj.

Wsunął diament do kieszeni. Ruszyła w stronę drzwi. - Aha, Pietro - zatrzymał ją. - Kiedy będziesz wracać, możesz wejść do pałacu wejściem od frontu.

Neapol nazywają miastem pałaców i kościołów. Po wyjściu z pałacu Pietra czym prędzej udała się

do Gesu Nuovo w Spacca, kościoła jej dzieciństwa. Wewnątrz było chłodno, cicho i ciemno.

Msza dopiero co się skończyła. Powietrze było jeszcze duszne od ciężkiej woni kadzideł. Wprost od drzwi podeszła do figury Najświętszej Pani, zapaliła świecę i upadła na kolana.

- Święta Mario, Błogosławiona Dziewico... - zaczęła i urwała, niepewna, o co ma prosić w modlitwie. Czego chciała? Czy potrzebowała odwagi, żeby oprzeć się książęcyemu pokusom, czy też odwagi, żeby im ulec? - Daj mi jakiś znak - błagała.

W jej głowie rozległ się głos, nie był to jednak głos Dziewicy, lecz echo słów ciotki.

- Dziewictwo jest klejnotem... droższym niż...

Usiłowała wyobrazić sobie dziewictwo pod postacią błyszczącej gwiazdy. Wbiła wzrok w płomień świecy, wmawiając sobie, że widzi blask swojego skarbu, klejnotu przeznaczonego wyłącznie dla męża.

Jednak przed oczyma cały czas miała diament - rozpalający jej umysł, bielszy niż jej niewinność, przesywający blaskiem aż do granic bólu, wieczny jak samo słońce. Jej własny „klejnot” w porównaniu z tamtym wydawał się pozbawiony życia. Pragnęła wierzyć, że książę potrafiłby wykrzesać z niej tyle piękna, ile z matowego kamienia wydobywa jubiler szlifując go na diament.

Jeżeli nawet rzeczywiście potrafi dokonać tej sztuki - czy warto zaprzedać w zamian duszę?

Ściana za posągiem Dziewicy usiana była małymi wotywnymi rączkami, nogami, oczami i serduszkami ze srebra, zawieszonymi w podziękę za cudowne uzdrowienie.

- Za modłów wysłuchanie - głosiły wyryte na wotach napisy.

- Dlaczego nigdy nie chcesz wysłuchać moich modłów? - wykrzyknęła Pietra, uderzając pięścią w drewnianą balustradę.

Opuściła głowę na dłonie. Nagle owładnęła nią nowa myśl. Czy to możliwe, że propozycja księcia była odpowiedzią na jej modlitwy? Być kimś więcej niż była, uczyć się, żyć w otoczeniu piękna, a nie w nędzy i rozpacz. Może w ten sposób właśnie miała odnaleźć własną duszę,

Świeca zamigotała, płomień przygasł. Pośród roztańczonych cieni wargi Dziewicy zdawały się poruszać.

- To cały twój majątek, Piętro, cenniejszy niż diamenty. Nie rozstawaj się z nim pochopnie.

- Bądź wola Twoja - westchnęła i wstała na sztywnych nogach; bolały ją kolana. Podjęła decyzję. Będzie posłuszna Dziewicy i cioci Gemmie. Nie wróci do *palazzo*.

Jednak idąc z kościoła powłóczyła nogami. Czuła się tak, jakby w słoneczny dzień kazano jej zatrzasnąć okiennice.

Sklep świecił pustką, ale przez sufit wyraźnie słyszała głosy Leny i Giovanniego dochodzące z ich sypialni na pięterku. Kłócili się zajadle.

- Stręczycielko! - krzyczał spokojny na co dzień Giovanni, który rzadko podnosił głos. - Jesteś gorsza od najgorszej dziwki

- dobijać podobnego targu z facetem pokroju Hamaka! Hamak? Pietra, jak wszyscy, znała Ruggiera Hamaka. Turka, który maczał palce w każdym podejrzanym interesie w portowej dzielnicy.

- Chcę, żeby mi znikła z oczu! - wrzeszczała Lena. - Za jednym zamachem zarabiam parę groszy i zdejmuję klątwę z domu!

Santa Maria! Kłócili się o nią, dotarło do Pietry.

- Nie przyjmę takich pieniędzy!

- Ale przyjmujesz książęce złoto za spinki! Co w tym złego, że zapłacił Hamakowi za dziewczynę, a Hamak płaci mnie? Niech ją sobie książę zabierze, Giovanni. To czarownica!

- To ty jesteś *strega*, stara, bezpłodna jędzo! - wrzasnął.

- Nienawidzisz jej, bo ja ją kocham. Żywisz się nienawiścią! Nic dziwnego, że nie możesz urodzić dziecka. Przyjść na świat z takiej matki to przekleństwo!

Ostry, przeszywający krzyk Leny jak dźgnięcie nożem rozdarł powietrze domu. Nad głową Pietry skrzypnęły kroki zmierzające do wyjścia z sypialni. Pietra schroniła się za kontuarem, szukając schronienia przed szaleństwem drugiej kobiety.

Lena wbiegła do sklepu. Jej twarz pokrywały czerwone plamy wściekłości. Giovanni biegł za nią, gestykulując rękami, z sakiewką w dłoni.

- Jutro! - wrzeszczał. - Jutro oddasz alfonsowi jego pieniądze z powrotem. Pietra nie jest na sprzedaż, za żadną cenę!

Wzrok Leny padł na Pietrę i jej wściekłość wybuchła jak Wezuwiusz. Wybiegła do kuchni, żeby zaraz wrócić z wielkim nożem snycerskim w ręce.

- Uaaa! - wydała przeraźliwy okrzyk i rzuciła się na dziewczynę. Pietra, sparaliżowana ze strachu, stała jak słup soli.

- Nie! - wykrzyknął Giovanni, usiłując powstrzymać żonę. Było jednak za późno; Lena nabrała zbyt wielkiego rozpędu, ręka z nożem zataczała już wielki łuk. Nóż wylądował w sercu męża.

Giovanni wybałuszając oczy ze zdumienia zatoczył się na Pietrę, a potem runął na ziemię. Jego ciało podrygiwało przez chwilę jak marionetka. Z gardła wydobył się gulgoczący dźwięk. Chlusnęła z piersi krew.

Pietra runęła na kolana.

- Nie - zaszlochała. - *Signor Sacco...* proszę wstać. - Przycisnęła obie dłonie do broczącej rany usiłując zatamować krew, która dalej sączyła się spomiędzy jej palców. W parę sekund cała była we krwi.

- Morderczyni! - wykrzyknęła Lena. Pietra podniosła zdumiony wzrok i napotkała płonące nienawiścią oczy. -

Zabiłaś go, zabiłaś mojego Giovanniego! - Pietra wstała i przerażona zaczęła się cofać. Lena podniosła zmarłego męża. - Morderczyni! Morderczyni! Zabiłaś mi go! - Kołysała Giovanniego w objęciach.

Pietra rzuciła się za próg, a przeszywające wrzaski Leny jak nóż cięły za nią czerń nocy.

Po godzinie błądzenia ulicami powlokła się w stronę sklepu, ostrożnie wyglądając zza każdego narożnika. Tłum gromadził się już, a imię Pietry podawano z ust do ust. Lada moment zaczęła jej szukać karabinierzy.

Nie miała żadnych przyjaciół, u których mogłaby szukać schronienia. Ciotka Gemma parę miesięcy wcześniej wyjechała z dziećmi w poszukiwaniu pracy. Nie mogła nawet iść do kościoła - była cała we krwi Giovanniego. Nie miała dokąd się zwrócić.

Przez trzy dni ukrywała się w labiryncie uliczek portowych, sparaliżowana trwogą, otępiała z żalu. Sypiała w najciemniejszych zakątkach, tocząc walkę ze szcurami o każdy kąsek, jadła odpadki znalezione na targu, kiedy wszyscy rozeszli się już do domów.

Gdy osłabły pierwszy wstrząs i przerażenie, do głosu doszedł

żał. Giovanni Sacco był jedyną osobą w całym Neapolu, która interesowała się jej losem. Teraz nie miała już nikogo.

Nie miała dokąd pójść.

- Jestem Pietra, jestem kamieniem - recytowała bez wytchnienia, ale te słowa stały się już pustym dźwiękiem.

Przez te wszystkie mroczne dni i noce w jej umyśle coraz to pojawiał się pewien obraz. To on zdawał się ją utrzymywać przy zdrowych zmysłach - obraz diamentu, połyskliwego, twardszego niż wszystkie kamienie, zachowującego czystość i nieskazitelność pośród wszelkiego zła bezlitosnego świata. Diament był ostatnią rzeczą zdolną wzbudzić jej zaufanie.

Trzeciego dnia, po zapadnięciu ciemności, osłabła z wyczerpania, półprzytomna z głodu rozpoczęła mozolną wędrówkę w stronę Posillipo.

Ledwie starczyło jej sił, żeby unieść ciężką kołatkę przy drzwiach. Drzwi otwarł sługa, który zaprowadził ją wprost do komnaty, gdzie przy jarzącym się ogniem kominku siedział książę ubrany w

szlafrok z jedwabiu. Wyciągnął do niej rękę.

- Przyszłaś - powiedział, kiedy padła przed nim na kolana.

Rozdział piąty

Obudziła się jak co dzień z modlitwą na ustach, którą zwykła odmawiać, zanim jeszcze otworzyła powieki.

- Święta Mario, wybaw mnie...

Jej modły zostały wysłuchane. Otworzyła oczy i ze zdumieniem odkryła nad sobą błękitny, połyskliwy baldachim o barwie nieba, zwieszający się nad ogromnym łóżem. Leżała w czystej, białej koszuli nocnej, w pościeli z delikatnego płócienka.

Nagle uprzytomniła sobie, gdzie jest.

- *Buon giorno, signorina.*

Pietra zerwała się z poduszki, kiedy krzepkie dziewczę o krągłej, rumianej twarzy zamasyście wkroczyło do pokoju, niosąc na tacy owoce, sery, bułki i jajko w porcelanowym kieliszku. Postawiła Piętrze tacę na kolanach.

- Nazywam się Antonia, jestem twoją pokojówką. Nieżle spałaś, minęło już południe. - Nalała gorącej czekolady ze srebrnego dzbanuszka. Pokój wypełnił się aromatyczną wonią. Pietra piła łąpczywie. - Księżę pragnie cię zobaczyć wieczorem. Wyjechał na miasto. Po śniadaniu pomogę ci się ubrać w nowe stroje.

- Nowe stroje? - powtórzyła z niedowierzaniem Pietra. Pokojówka zachichotała i podeszła do wielkiej szafy. Otworzyła rzeźbione drzwi na oścież. Szafa kipiała od ubrań - delikatny jedwab, połyskliwy aksamit, suknie z koronki i brokatu, szale z najdelikatniejszej wełenki. Buty we wszystkich kolorach tęczy. I półki pełne koronkowej bielizny.

- Dzisiaj włożysz tę suknię - powiedziała Antonia, wyciągając

suknię z muślinu tłoczonego w drobne kropeczki w kolorze świeżej zieleni wiosennych listków. Talię sukni zdobiła róża z jedwabiu, a spódnica została zebrana i upięta z tyłu. Była to najpiękniejsza suknia, o jakiej Pietra mogła marzyć. Nigdy nie widziała na oczy czegoś równie pięknego.

Nie potrafiła sobie wyobrazić siebie w takiej sukni. Włożenie jej równało się zrzuceniu starej skóry. Nie była stworzona do takiej elegancji.

- Nie mogę jej włożyć - wyjąkała.

- No to będziesz chodziła goła - oświadczyła Antonia - ponieważ księżę kazał mi spalić łachmany, w których przyszłaś. Nie wygłupiaj się, te stroje czekają na ciebie już od tygodnia.

Od tygodnia? Niemożliwe.

A potem przypomniała sobie kłótnię, która zakończyła się śmiercią Giovanniego - to wszystko, co mówili o targu, jakiego Lena dobiła z Hamakiem, o tym, jak posłużyła się Turkiem jako pośrednikiem. Mimo to Pietra zachodziła w głowę, skąd u księcia taka pewność co do jej przybycia. Czyżby był aż tak bogaty, że mógł sobie pozwolić na kaprys zakupu góry strojów, mając zaledwie nadzieje, że jego pragnieniom stanie się zadość? No cóż, skoro suknie są już w szafie...

Następne godziny spędziła mierząc jedną suknię za drugą. Nie chciało jej się wierzyć, że można nosić aż tyle sztuk bielizny - gorset i muślinowy staniczek, ażurowe pantalony, turniurę wypchaną końskim włosiem, haftowane pończochy z fildekosu, wreszcie - tuzin halek. Nie dałyby sobie rady z garderobą bez pomocy Antonii. Nic dziwnego, że ludzie, którzy noszą takie stroje, muszą mieć służbę.

Antonia wyszczotkowała jej włosy, upięła w węzeł i popchnęła Pietrę przed lustro. Z trudem rozpoznała odbicie własnej twarzy.

- Jego Książęca Mość będzie zachwycony - oświadczyła Antonia odchodząc do innych zajęć.

Kiedy została sama, albo stała przed lustrem, albo na przemian przebiegała, wdzięcząc się przed nim i sprawdzając, czy odbicie będzie jej wtórować. W końcu siadła sztywno na fotelu, bez ruchu, aby nie zagnieść sukni. W miarę upływu godzin coraz bardziej zależało jej na tym, żeby spełniły się przepowied-

nie Antonii. Bardzo chciała, by książę był zadowolony. Ale nie pojawił się, nawet kiedy przez okno widać było już słońce zanurzające się w falach zatoki. Przyszła Antonia, niosąc na tacy wielki półmisek pysznej potrawy z ryby, chleb i kieliszek wina. Pietra pochłonęła obiad w okamgnieniu przy malutkim stoliku. Antonia stała w pobliżu obserwując.

Kiedy zdjęto serwetę z jej kolan, Pietra zaszlochała nagle, zalewając się łzami.

- Co się stało? - spytała Antonia.

Pietra bez słowa wskazała na plamki sosu, którym opryskała suknię, łapczywie pochłaniając potrawkę.

- Biedactwo, nie przejmuj się - roześmiała się Antonia. - Zaraz i tak zdejmiesz tę sukienkę. Pora przygotować się na spotkanie z księciem.

Pietra poczuła się oszołomiona. Czyż nie włożyła sukni na powitanie księcia? Cóż za dziwne życie miało jej przypaść w udziale - życie, w którym przepiękną suknię wkłada się tylko po to, żeby wysiadywać samotnie w pokoju.

Nie protestując pozwoliła Antonii rozebrać się i zaprowadzić do cynkowanej wanny, którą ustawiono przed kominkiem i wypełniono wiadrami parującej wody. Mydląc plecy Pietry mydłem fiołkowym i myjąc jej włosy, Antonia paplała o swoim życiu w pałacu. Następnie młoda pokojówka wytarła Pietrę, upudrowała, uczesała, natarła olejkiem i skropiła perfumami.

Pietra nie odezwała się słowem.

Jednak, mówiła do siebie w duchu, jej modły nie zostały wysłuchane. To był tylko sen i z pewnością obudzi się gdzieś w chłodzie załuka, gdzie dopadną jej i skażą za nie popełnione morderstwo.

Sen jednak wciąż trwał.

Wyszczotkowane przez Antonię włosy połyskliwymi puklami rozsypały się na ramionach Pietry. W świetle kominka miały połysk polerowanego mahoni. Antonia przyniosła jej haftowany w kwiaty szlafroczek z czerwonego chińskiego jedwabiu.

- Chce, żebyś to miała na sobie - oświadczyła. - Nic poza tym. - Zaciągnęła zasłony, zapaliła świece i wyszła.

Książe wkroczył w parę minut po jej wyjściu.

Zgadując, o co może mu chodzić, oczekiwała go leżąc na wznak. Podeszedł do łóżka, spojrzął na Pietre i wybuchnął

życziwym, rozbawionym śmiechem.

- Jak ty wyglądasz, *cara mia* - sztywna jak deska! Czy sądzisz, że o to mi właśnie idzie, żeby wbijać gwoździe w deskę?

Podniosła się, przestraszona i dziwnie rozczarowana. Ten sen się nie skończył... ale tylko pod warunkiem, że uda jej się go zadowolić.

- Chodź. - Wyciągnął do niej rękę. Nie śmiał się już. Podeszedł do fotela przy kominku i posadził ją sobie na kolanach. Przytulając ją lekko i głaszcząc po włosach, mruczał pieszczotliwe słowa, czekając aż się rozluźni. Po dłuższej chwili podniosła rękę i objęła go za szyję.

- Moja malutka, jesteś jak szkatułka pełna kosztowności - wyszeptał jej do ucha. - Jesteś piękna z wierzchu, ale twoje wnętrze kryje jeszcze więcej cudów. - Pławiła się w żarze jego słów. Rozgrzewał ją, chronił w swoich objęciach.

Czuła się bezpieczna.

Wsunął jedną rękę pod szlafrok, pieszcząc jej jedwabistą skórę. Steżała.

- Nie bój się, *carissima* - szeptał łagodnie. - To Pan Bóg obdarzył cię ciałem. Musiał cię bardzo kochać, skoro stworzył cię tak piękną. Możesz być dumna ze swojej urody, Pietrino.

Nikt nie zwracał się do niej tak od czasu, kiedy umarł ojciec. Była prawie na krawędzi łez, kiedy nagle zsunął dłoń w dół i dotknął jej sutka. Westchnęła głęboko i zamarła. Poczowała łaskotanie w brzuchu, promieniujące aż do palców stóp.

Zaśmiał się.

- Tak - powiedział łagodnie. - Rozkoszuj się tym uczuciem. Nie była w stanie powstrzymać swoich doznań. Fala gorąca

mrowieniem rozprzestrzeniła się po całym ciele. Czy uczucie mogło być darem bożym? Taka rozkosz chyba tylko od niego mogła pochodzić.

Podniósł się wreszcie nie wypuszczając jej z objęć i zaniósł do wielkiego, rzeźbionego łoża. Kiedy rozebrał ją ze szlafrocza, odruchowo zasłoniła się dłońmi.

- Piętro - skarcił ją, odsuwając dłonie. - Nie wolno ci wstydzic się swojej urody. - Odchylił się, żeby widzieć ją lepiej.

- Dosko-

nalsza, niż przypuszczałem - wymruczał, ujął jedną jej pierś i paznokciem leciutko przesunął po sutku.

Znów targnęło nią dziwne uczucie, teraz skupiające się w pachwinach. Czuła leciutki ból, ale wcale nie chciała, żeby ustąpił.

- Piętro - powiedział, a jego głos zniżył się do szeptu. - Jeśli teraz zażyczysz sobie, żebym cię zostawił - spełnię twoje życzenie. Chcę, żebyś mi naprawdę ufała... naprawdę mnie pożądała.

Podniosła wzrok i spojrzała w jego oczy, ciemne jak noc w przyćmionym świetle pokoju. Pomyślała o chłodnym, nieprzyjaznym świetle, który ją czekał, jeżeli rozczaruje księcia, o szafie pełnej sukien, o miłym towarzystwie usługnej Antonii... wreszcie o delikatności księcia i cudownych doznaniach przeszywających jej ciało.

- Nie odchódź - wyszeptała, przestraszona własnym głosem.

- W takim razie pora rozpocząć wędrówkę - stwierdził, unosząc w górę dwa palce. - To są moi wędrowcy, *cara*

- przytknął palce do warg Pietry. - Będą przemierzać Italię. Tu

- zjechał w dół do jej piersi - wznoszą się niebotyczne szczyty pięknych Alp, a u ich stóp - wsunął palce pomiędzy piersi

- rozciąga się Val d'Aosta. - Przymknęła oczy, zatapiając się w doznaniach.

- Tu - zsunął dłoń niżej - leżą żyzne ziemie Lombardii, a tu Toskanii. - Pogłaskał ją po brzuchu, zaśmiewając się, kiedy dostała gęsiej skórki. - Tu rosną słodkie, pyszne winogrona, wzbierające od winnych soków, w których topimy nasze troski, soków spływających do winnej rzeki, której ujście znajduje się o tu. - Pogładził wewnątrz jej uda, leciutko przy tym łaskocząc. Pietra zaczęła się więc bezwiednie. Czuła, jak żar słońca, w którego promieniach dojrzewają winogrona, krąży w jej ciele.

Palce księcia przeniosły się na trójkąt połyskliwych, czarnych włosów.

- Wreszcie - oświadczył z nabożnym szacunkiem - dochodzimy do Świętego Miasta Rzymu. Pielgrzym szuka wejścia do Grobu Świętego. - Polizał palec i wniknął w nią głęboko.

Zachłysłnęła się wyginając plecy w łuk. Szeroko otworzyła oczy.

- Sza... - szepnął uspokajająco. - Sza, moja słodka Retrino.

- Poruszył w niej delikatnie palcem. Czowała, jak jej mięśnie zaciskają się wokół jego dłoni. Ścisnęła uda, jakby chciała przytrzymać jego rękę, zatrzymać wzbierające uczucie.

- Zaczekaj - powiedział i wyjął dłoń. Uniósł się i zrzucił brokatowy szlafrok. Rozsunął nogi Pietry i ukląkł pomiędzy nimi. Otworzyła oczy szerzej. Jego penis, czerwony, rozżarzony jak żagiew, przeżył się w gotowości.

- Dotknij - poprosił i przytknął jej dłoń do siebie. Penis pulsował wyczuwalnie. Księżę zajęczał. Przeraziła się, że sprawia mu ból, jednak księżę zacisnął swoją dłoń wokół jej dłoni tak, że domknęła się wokół grubego drzewca żagwi i zsunęła w dół. - Pielgrzym

- powtórzył - grzesznik, poszukujący stanu łaski, łaknie chrztu. Coś przeogromnego dotknęło nagle warg jej świątyni i zaczęło

ślizgać się po nich ukośnie, wzniecając ogień i budząc lęk. To coś było tak wielkie, że w żaden sposób nie mogło się wcisnąć do środka. W przypiływie nieznośnego lęku próbowała odepchnąć księcia, ale wolną ręką chwycił ją mocno za ramię. Nagle jednym ostrym pchnięciem wdarł się w nią. Pękła tama.

Poczuła tylko ukłucie bólu. Księżę znieruchomiał i ból ustąpił. W końcu zaczął poruszać się powoli, w przód i w tył,

ruchem starym jak sam świat. Otworzyła zalane łzami oczy i oplotła go smukłymi nogami, jakby to była ich najbardziej naturalna pozycja.

Księżę wzmógł tempo. Chociaż jego ruchy nadal sprawiały jej ból, nie stawiała oporu. Twarz księcia pociemniała, oddychał ciężko. Na czole i na górnej wardze pojawiły się kropelki potu. Nagle stęzał, napinając wszystkie mięśnie.

Jego twarz zastygła w dziwnym grymasie, żyły wystąpiły na szyi. Jęknął przez zaciśnięte zęby. Poczuła, że coś pulsuje w czeluści jej ciała. Opadł na nią.

Dyszał przez chwilę, po czym z wolna wycofał się. Jedną ręką pogładził ją po głowie.

- *Mia gioia, mi gioiello* - wymruczał. - Moje szczęście. Moja radość. Mój klejnot.

Mokra i rozgrzana, spojrzała w dół. Krew sączyła się na delikatne, lniane prześcieradła. Przestraszyła się, że księżę będzie się gniewał.

- Krew dziewicy to święta krew - oświadczył jednak łagodnie z leciutkim uśmiechem. Ukłękł i pochylił się, zlizując ostatnie

krople krwi. - Dziękuję ci, *cara*. Obdarzyłaś mnie wielkim błogosławieństwem.

Krwawienie ustało wkrótce, książę jednak nie przestawał wylizywać miejsca, z którego płynęła krew. Ból znikł, a jego miejsce zastąpiło nowe uczucie. Zdało się jej, że rozkwita w niej płonący kwiat. Speszona, przerażona a podniecona, zaczęła odpychać księcia od siebie, ale znowu łagodnieją powstrzymał.

Łapczywie zaczął spijać jej soki, penetrując językiem. Głowa Pietry opadła z powrotem na poduszki. Sięgnął po jej piersi i natrafił na sutki, małe i twarde jak dwa diamenty. Biodra Pietry uniosły się jakby posłuszne swojej własnej woli, przybliżając ją do ust i do języka księcia. Nagle ścisnął jej sutki i znów pękła w niej kolejna zaporą. Rozkoszna fala gorąca wezbrała i rozlała się po całym ciele. Zmagą się z księciem krzycząc, a on spijał i wylizywał jej soki.

Unosząc się na fali czystego uczucia, runęła wreszcie w otchłań spokoju.

Tulił ją, zalaną łzami, w objęciach, kołysał jak dzieciątko, gdy jej ciałem wstrząsał szloch wielkiej radości.

Po wszystkim, kiedy z powrotem poczuła własną odrębność, z policzkiem przy piersi księcia, wsłuchana w bicie jego serca, nie czuła wstydu. Czuła się spokojna i kochana. Znikł żal i odrętwienie, dręczące ją od dnia śmierci Giovanniego.

Czuła - a właściwie wiedziała - że przekroczyła jakąś granicę, zza której nie ma powrotu. Po tamtej stronie leżała jej przeszłość, po tej - jej życie.

Kiedy zbudziła się, była sama, jednak jej przebudzenie w niczym nie przypominało dawniejszych poranków. Weszła Antonia ze śniadaniem. Na tacy stał wazon z pojedynczą różą. W kielichu kwiatu, jak kropla rosy, spoczywał

diament, który książę pokazał jej w czasie pierwszej wizyty.

Wydobyła go z kwiatu, osuszyła serwetą, a potem wyskoczyła z łóżka, podbiegła do okna i podniosła klejnot do oczu pod światło. Oślepiająca tęcza kolorów rozbiła się na jej twarzy. Przesunęła kamień między palcami, wyczuwając każdy szlif. Polizała. Miała ochotę go possać. To był jej diament. Świetlisty i nieskalany jak promień słońca.

Zawirowała w radosnym tańcu i wtedy dopiero spostrzegła księcia na progu. Zaśmiewał się, oglądając całą scenę.

- Prawda, że jest mój? - Podbiegła do niego.

- Przecież ci coś obiecywałem - przypomniał.

- Nigdy już nie dostanę nic piękniejszego. Taka jestem szczęśliwa. - Przycisnęła kamień do serca.

Książę roześmiał się i wziął ją w objęcia.

- Na pewno nie tak szczęśliwa, jak ja, że mam ciebie, moja synogarliczko - powiedział.

Po raz pierwszy w życiu nazwano ją wtedy *colomba*.

Została księżką konkubiną. Naturalnie nie jedyną, niemniej najbardziej adorowaną ze wszystkich. Książę przeniósł

ją do jednej ze swoich pomniejszych rezydencji, nadmorskiego caczka, niewielkiej *palazziny* położonej na południe od Neapolu, na skałach Costa Amalfitana, tuż nad zatoką. Nie mógł jej dłużej trzymać w Palazzo Monfalco.

Księżna Monfalco lada dzień miała wrócić z ich posiadłości na Sycylii.

Odwiedzał Pietrę, kiedy tylko mógł. Zawsze przywoził ze sobą jakiś piękny przedmiot i uczył ją, jak rozpoznawać jego wartość - jak odróżnić jedwab od płótna, lite złoto od pozłoty, jak dobierać wina do potraw i czym się różni Tycjan od Tiepola. Czasem przywoził ze sobą Marię Blanco, która szczerze zaprzyjaźniła się z Pietrą.

- Ona może cię bardzo wiele nauczyć, Colombino - pouczał książę Pietrę.

Dom był piękny, po ścianach pokoi uganiały się falując świetliste zajęczki, odbite od morskich fal. Pietra mogła godzinami patrzeć na morze, zachwycać się zmieniającymi barwami, panującym spokojem. Gdzieś daleko pozostał

nieustający zgiełk Neapolu, który wypełniał jej uszy od dzieciństwa. Nawet skrzek-liwy głos Leny Sacco zatarł się w pamięci. Teraz jej dni wypełniały łagodne głosy służby, stukot własnych pantofelków na marmurowych posadzkach, jej własny, cichy głos i wreszcie, kiedy otwierała okno, huk fal rozbijających się o skały i syk spienionej wody, kiedy fale cofając się odpływały.

Wreszcie spokój otoczenia uleczył jej rany. Przestała ją prześladować wizja mężczyzn wyrastających nagle w drzwiach pałacu, żeby ją zabrać do więzienia.

Raz w środku parnej nocy, kiedy leżeli z księciem zaspokojeni miłością, przyznała mu się do swych dawnych niepokojów.

- Nie musisz się trwożyć - uspokoił Pietrę. - Jesteś pod moją opieką. - Dodał jeszcze, że cała sprawa została wyjaśniona. Wiedzano już, że to Lena była sprawczynią morderstwa. Została zamknięta w domu wariatów.

Pietra klasnęła w ręce z radości, ale książę chwycił ją za nadgarstki.

- Nie rób tak, Colombino. Nie wolno upajać się cudzym nieszczęściem. Fortuna kołem się toczy...

Słuchała każdego słowa księcia. Czasami nie rozumiała go, ale wiedziała, że prędzej czy później zrozumie. Nauczył

ją tak wiele...

Nieomal od pierwszego dnia pobytu w pałacu przewinał się przed nią sznur nauczycieli - młodych absolwentów słynnego Uniwersytetu Neapolitańskiego, w którym Tomasz z Akwinu był profesorem od 1272 roku (o czym w pierwszych słowach poinformował ją nauczyciel historii). Byli nią oczarowani. Czowała zachwyt w spojrzeniach tych młodych mężczyzn o falujących włosach i roześmianych oczach. Nigdy jednak nie uległa pokusie schadzki, nawet jeśli któryś z nich okazał się na tyle głupi, by jej to zaproponować. Należała do księcia; wiedziała o tym i oni też zdawali sobie z tego sprawę.

Chociaż chętnie trenowała na nich świeżo odkrytą sztukę flirtu, najbardziej w tych młodych mężczyznach podniecało ją to, czego się mogła od nich nauczyć. Jak gąbka chłoneła wiedzę. Najpierw zajęli się nauką czytania, podstawą dalszej nauki. Chwytała wszystko w lot. Literatura, historia, filozofia, matematyka, muzyka, astronomia, francuski - uwielbiała każdą z tych dziedzin. Przysłała się do wiedzy jak małża do skały. Zасыpywała nauczycieli lawiną niecierpliwych pytań, aż musieli ją błagać o przerwę.

- Jestem dumny z ciebie - oświadczył książę pewnego chłodnego, jesiennego wieczoru, kiedy wspólnie jedli kolację na tarasie z widokiem na morze. Jesteś u mnie dopiero od sześciu miesięcy, a nauczyciele nie mogą powstrzymać zachwytu nad twoimi postępami. Przeszłaś moje najśmielsze oczekiwania.

- Chciałabym móc rozmawiać z tobą tak, żeby cie nie znudzić

- wyjaśniła, wykwinnym ruchem odrywając liść karczocha i zanurzając w maśle. Podniosła liść do ust.

- Jedno jest pewne, Pietrino, nigdy nie będziesz mnie nudzić.

- Wsunął jej do ust następny listek karczocha. Schylił się i zlizął masło ściekające jej po podbródku.
- Pyszności - wymruczał.

W godzinę później oblizując te części ciała, na które nie kapnęła ani" kropla masła, udzielał jej lekcji z przedmiotu, którego naukę zarezerwował dla siebie - sztuki dawania i brania rozkoszy.

Lekcje ciągnęły się godzinami. Wieczory przy kominku i długie leniwe popołudnia spędzane w zacisznej altanie jej łóżka pod baldachimem z haftowanym w kwiaty jedwabiu. Na jej edukację składały się dotyk i zapach, melodia czułych słów, wzbudzanie pożądania i uwalnianie od pożądania. Uczyla się, kiedy ma kusić, a kiedy oddawać całym sercem, kiedy powstrzymać się, a kiedy otwierać jak kwiat w wiosennym deszczu. Wykorzystując egzotyczne traktaty Egipcjan, Persów, Japończyków, ludzi, którzy przemierzali najodleglejsze zakątki Ziemi, książę szkolił ją rzetelnie w niuansach sztuki miłości.

Pietra zwracała baczną uwagę na każdy szczegół. Bezbrzeżnie pragnęła sprawiać przyjemność człowiekowi, który wydobył ją z dna rozpacz i dał jej tak wiele. Zresztą sprawiając jemu przyjemność, sama doznawała coraz więcej rozkoszy. Wkrótce śmiała się już tylko z niemądrej

dziewczyny, która szlochała przed posągiem Dziewicy ze strachu, że oddając się księciu zaprzeda duszę. Czyż coś, co sprawia taką rozkosz, może kryć w sobie coś złego?

Jrrebywała już prawie dwa lata w swojej maleńkiej *palaz-zinie*, kiedy księżę oświadczył w czasie wieczornej przechadzki po ogrodzie:

- Zbliżają się twoje urodziny, Colombino. Zaplanowałem specjalną uroczystość na tę okazję.

Zapomniała o swoich urodzinach - wołała o nich nie pamiętać, od kiedy Lena oznajmiła jej, że ten dzień jest przeklęty. Teraz jednak z miłym zaskoczeniem przyjęła słowa księcia. Przy nim nic nie było przeklęte. Każda rzecz, każda chwila zdawała się być nasączona błogosławieństwem.

- Eduardo - zaprotestowała. - Jesteś nazbyt dobry... Uśmiechnął się oczarowany nie tylko jej skromnością, ale również manierami, w których tak doskonale wyćwiczyli ją nauczyciele.

- Za dwa tygodnie, moja droga, w Teatro San Carlo odbędzie się przedstawienie galowe...

Pietra zawirowała z radości. Opera! Wróciło wspomnienie wieczoru, kiedy zmarznięta, ukryta w mroku, podglądała damy w pięknych sukniach, wkraczające w towarzystwie mężczyzn do oświetlonego rżęsiście budynku opery.

Nigdy nie odważyła się księciu napomknąć nawet słówkiem o swoich marzeniach. Teraz jednak miał zabrać ją do opery! Odgadywał jej najskrytsze pragnienia. Patrzyła na niego z uwielbieniem, kiedy ciągnął dalej.

- Maria wystąpi w *Rigoletcie* razem z Lanconą. Wielu uważa Ettore Lanconę za najwybitniejszego tenora naszych czasów, a Maria, naturalnie, jest niezrównana. Alberto, twój nauczyciel muzyki, zapozna cię wcześniej z *Rigolettem*.

Myślę, że dzięki temu będziesz miała jeszcze więcej przyjemności oglądając operę. Jutro przyślę ci krawcową.

Ujęła go za rękę i zaczęła z nim tańczyć po ogrodowej ścieżce.

- To najpiękniejsze urodziny w moim życiu - oświadczyła rozbawionemu księciu. - Przepiękne. - Przystanąła, ogarnięta nagłą potrzebą okazania mu swojej wdzięczności. - Chodź ze mną na górę, Eduardo. Pozwól, że i ja ci coś podaruję.

Kiedy znaleźli się w sypialni, natychmiast wyciągnął do mej rękę.

- Nie - odmówiła łagodnie. - Zawsze ty byłeś moim nauczycielem. Teraz ja ciebie czegoś nauczę. - Pchnęła go delikatnie na fotel przy kominku, podała szklaneczkę wina, a sama siadła przy toalecie, rozpoczynając spektakl zainspirowany pogawędkami z Marią, lekturą książek o słynnych kobietach i pogłębiającą się wiedzą na temat natury wdzięku kobiecych postaci w malarstwie. Najwięcej inspiracji dał jej jednak własny instynkt, uwolniony wreszcie od wszelkich zahamowań.

Powoli wyciągnęła szylkretowe spinki do włosów, uwalniając

lśniące czarne pukle, które ciężkimi pasmami opadły jej na plecy. Od czasu do czasu rzucała księciu spojrzenie w lustrze, jednak przez prawie cały czas miała zamknięte powieki, jak gdyby była zatopiona w myślach. Widać było, że bawi ją przedstawienie.

Nucąc jakąś melodyjkę rozpięła koronkowy kołnierzyk i staniczek sukni, poluzowała spódnicę i haleczki, aż cała garderoba spłynęła na podłogę. Przesunęła się nad ubraniami. Z nieopisaną powolnością zaczęła rozsupływać atlasowe tasiemki gorsetu.

Spojrzała spod oka na księcia. Leżał z głową odrzuconą do tyłu, starając się przez zmrużone powieki nie uronić nic z intymnego pokazu. Sączył niespiesznie wino. Opuściła wzrok i z satysfakcją skonstatowała, że jej pokaz odniósł

pożądany efekt.

Odwróciła się tyłem do księcia.

- Rozsznuruj mnie - poprosiła.

Zaszedł ją od tyłu i zdjął z niej to, co pozostało, zostawiając jedynie szmaragdowy wisiołek na złotym łańcuszku -

podarunek z zeszłego tygodnia.

Kiedy dłonie księcia zaczęły błędzić po jędrnym, jedwabistym ciele, rozpięła koszulę, zanurzając palce w szorstkich włosach na jego piersi. Przyciągnęła księcia do siebie, rozpięła spodnie i z czułością wyswobodziła organ, który pożył jej tak wyraźnie. Przez chwile ssała go, zwilżając śliną i smakując jak wyśmienity owoc. Leciutko pchnęła go na krzesło, a kiedy usiadł, stanęła nad nim okrakiem i powolutku opuściła się w dół. Znieruchomiła na dłuższą chwilę, jemu też nie pozwoliła drgnąć.

W końcu zaczęła się poruszać z taneczną gracją. Po raz pierwszy to ona nadawała rytm ich miłości. Czują, że podnieca go bardziej niż kiedykolwiek.

Umiała instynktownie wyczuć jego pragnienia, które zresztą pokrywały się z jej pragnieniami. Obserwowała jego twarz, dopasowywała się do rytmu jego oddechu, nawet do rytmu serca. Napięcie między nimi rosło, wreszcie, dokładnie w tej samej chwili, eksplodowali z siłą, która zakołysała fotelem.

- Jesteś doskonała, Synogarliczko, przerastasz moje naj-

śmielsze marzenia. Nie wiem, czy osiągnąłem w życiu cokolwiek, ale na pewno udało mi się stworzyć arcydzieło -

ciebie, kobietę doskonałą - oświadczył, kiedy już było po wszystkim i tuląc ją czekał, aż ich serca się uspokoją.

- Tylko dla ciebie, Eduardo - zastrzegła. - To ty mnie stworzyłeś. Jestem twoja. Zawsze będę ci

służyć i zawsze będę kochać.

Umilkł na chwilę, jakby zgłębiając sens jej słów, wreszcie powiedział.

- Nieprawda, Colombino.

Zaskoczona jego stwierdzeniem i smutkiem, który wyczuła w jego głosie, uniosła głowę i spojrzała księciu w twarz.

Posłał jej uśmiech, w którym też kryło się wiele smutku.

- Ciągle jeszcze jesteś bardzo młoda, Pietrino. Wiem więcej od ciebie o świecie. Wiem, że przyjdzie dzień, kiedy mnie opuścisz.

- Nigdy, Eduardo!

- Sza... - odgarnął włosy z jej oczu. Końcami palców leciutko gładził ją po policzku. - Opuścisz mnie, kochanie, bo będziesz musiała, bo tak trzeba. Jakżebyś śmiała stworzyć takie arcydzieło i zachować je potem dla siebie? Kiedy nadejdzie ten dzień - a nadejdzie z pewnością - będziesz chciała odejść w bardziej obiecujące miejsca, z młodszym kochankiem. Ja nie będę ci stać na drodze.

Znów chciała zaprotestować, ale położył jej palec na ustach.

- Pewnego dnia przyjdzie ktoś, kto zapewni ci lepszą przyszłość niż ja - ciągnął dalej. - Nie będę cię wtedy próbował

zatrzymać, bo sam uczyłem cię korzystać w pełni z życia. Zostałem przez ciebie hojnie obdarowany. Twoja wolność, Piętro, jest moim podarunkiem dla ciebie.

Jego słowa przeraziły ją. Nie mogła sobie wyobrazić życia bez niego, bez mężczyzny, wokół którego obracał się jej świat. Przywarła mocniej do księcia.

- Nie rozmawiajmy już o przyszłości - poprosiła. - Jest tylko ta noc. Chcę żebyś mnie pokochał jeszcze raz... i jeszcze raz.

- Cała przyjemność po mojej stronie, *signorina*- odpowiedział zamykając ją w ramionach.

Przez dwa tygodnie poprzedzające spektakl w operze zmien-

nością pomysłów i zachcianek omal nie wpędziła swojego krawca do grobu. Kiedy zdążył naszkicować tuzin spienionych od koronek kreacji, uznała, że wyrosła już z dopiętych wysoko pod szyją niewinnych sukien w pastelowych kolorach, które najbardziej odpowiadały gustom księcia. W ten wieczór chciała wyglądać na więcej niż swoje siedemnaście lat, wydawać się bardziej doświadczoną, niż była w rzeczywistości. Chciała upodobnić się do tych światowych kobiet, które podziwiała tamtego, zamierzchłego wieczoru, kiedy jako mała dziewczynka z zaułka stała przed gmachem opery.

Wreszcie zdecydowała się na głęboko wyciętą, niemal zbyt surową w swej prostocie suknię bez rękawów, z jedwabiu mieniącego się odcieniami błękitu i fioletu. Dekolt i górę sukni zdobiła srebrna koronka, od pasa spływała kaskada blado-błękitnego trenu. Poruszanie się w sukni ćwiczyła przez cztery dni, dopóki nie nabrała pewności, że nie przydepnie trenu i nie runie jak długa ze schodów opery.

W wieczór przedstawienia książę zajechał po nią wielką kareta, ciągnioną przez parę siwych ogierów. Zeszła mu na spotkanie po krętych, szerokich schodach pałacowego hallu. Na suknię narzuciła etolę z syberyjskich soboli, dłonie skryła w rękawiczkach mysiego koloru. Stopy miała obute w aksamitne pantofelki, dobrane do koloru sukni. Antonia upięła jej loki wysoko, puszczając luźno długie kosmyki, które jak fontanna przelewały się przez wianuszek z kremowych kwiatów pomarańczy. W uszy wpięła diamentowe kolczyki, również dar księcia. W dłoni trzymała wachlarz z malowanego jedwabiu. Nieocenioną umiejętność obchodzenia się z tym przedmiotem zawdzięczała Marii.

Promieniała szczęściem.

Etoła rozchylając się odsłaniała diamentowy wisior na łańcuszku, spoczywający dokładnie w zagłębieniu jej piersi, skąd wabił magnetycznym blaskiem.

Książę przez dłuższą chwilę napawał się jej widokiem.

- Fantastyczna - skonstatował wreszcie półgłosem. Z kieszeni czarnego fraka wyciągnął obwiązany srebrną wstążeczką pakiecik. - Żeby upamiętnić ten dzień - wyjaśnił.

Niecierpliwymi palcami rozdarła opakowanie i otworzyła pokryte

aksamitem pudełeczko. Na widok jego zawartości zaparło jej dech. W środku leżała drogocenna broszka w kształcie ptaka. Piersz ptaka wykonana była z unikalnej, różowej odmiany diamentu, płomień liżący jego stopy z tuzina rubinów. Na całą broszkę składało się około setki drogocennych kamieni.

- Słyszałaś, Piętro, o feniksie?

Zetknęła się z tą historią, studiując dzieje strożytnej Grecji.

- Mityczny ptak, który odradza się z własnych popiołów?

- Dzisiejszy wieczór jest ukoronowaniem tego wstępu, wstępu z popiołów piekła, w którym przyszłaś na świat, do pozycji kobiety niedościgłej, która wznosi się ponad wszelkie rywalki. Niech ta broszka będzie tego symbolem.

Wiem, że zawsze będziesz się wznosić... i nigdy nie ustanieś na tej drodze. - Przypiął broszkę do jej etoli.

- Kocham cię, Eduardo - wyznała.

- Zapamiętam to na zawsze - odpowiedział i wyprowadził ją do powozu.

Musiała powstrzymać się siłą, żeby nie wybałuszać oczu jak dziecko na widok wnętrza Teatro San Carlo. Gmach najwspanialszej opery w Europie, słynniejszy nawet od La Scali czy weneckiej Fenice, jarzył się światłami odbitymi w tysiącach klejnotów, rozbrzmiewał gwarem rozmów i śmiechów.

Wnętrze, całe ze złota i kości słoniowej, z sześcioma piętrami obitych szkarłatnym jedwabiem łóż, przypominało Piętrze szkatułę z klejnotami. Sufit zdobił fresk przedstawiający Apolla i Muzy, a lożę królewską, zaprojektowaną dla neapolitańskich Burbonów, sute, złote kotary, antyczne lustra i pozłacane anioły.

- Wnętrze jest z drewna i stiuku - wyjaśnił książę. - Nawet marmurowe ozdoby są w rzeczywistości z ręcznie pomalowanym drewnem. Temu właśnie opera zawdzięcza wyśmienitą akustykę.

Kiedy zasiedli w loży, las lornetek wykładanych macią perłową skierował się w ich stronę. Książę zaszczycił jedną czy dwie osoby królewskim skinieniem głowy, lekceważąc kompletnie całą resztę zdumionych spojrzeń. Słyszał z bogactwa, dobrego smaku, a przede wszystkim z urodziwych kochanek, i przywykł do skupiania na sobie uwagi.

Jednak ze spojrzeń, które przy-

ciągał tego wieczoru wnosił, że wzbudza więcej ciekawości i podniecenia niż zwykle.

Pietra usiłowała przybrać równie nonszalancki wyraz twarzy jak księżę, graniczyło to jednak z niemożliwością.

Zewsząd otaczał ją szmer domysłów.

- Co to za jedna? - zapytywano z każdej strony.

- Wygląda na Hiszpankę - dorzucił ktoś z boku.

- Przyjrzyjcie się tylko jej włosom i talii - oświadczyła kobieta z sąsiedniej łoży. - To musi być krewna cesarzowej Elżbiety.

Uśmiech, którym obdarzyła księcia, kiedy zdejmował z jej ramion etolę, był tak pełen uwielbienia, że złamał tuzin męskich serc rozsianych po całej widowni Teatro San Carlo.

- Nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę Lanconę - oświadczył księżę, kiedy już usiedli. Nie zwracał najmniejszej uwagi na zamieszanie, jakie wzbudzali swoją obecnością. - Podobno stanowi osobliwość - tenor, który nie jest grubasem. Musi znać nowoczesne techniki emitowania głosu bez pomocy sadła.

Nagle światła przygasły, rozległy się dźwięki orkiestry. Nad sceną uniosła się malowana kurtyna. Pietra jak zaczarowana wbiła wzrok w scenę. Ani we śnie, ani na jawie nie widziała czegoś równie zachwycającego.

Muzyka pochłonęła ją tak bardzo, że cały świat przestał dla niej istnieć. Cicho nuciła partie, które przerabiali z Albertem. Kiedy na scenę wkroczył Ettore Lancona i zaczął śpiewać, Pietra poddała się urokowi wysokiego, przystojnego, dumnego księcia Manuti, czarującego łotra i uwodziciela, którego pasją było zdobywanie kobiecych serc.

- *La donna e mobile, Quál piumo al vento...* - śpiewał.

- Kobieta zmienną jest, jak liść na wietrze. - Dźwięki porywały Pietrę, wydawało się, że jakaś część jej istoty odrywa się od niej i płynie w powietrzu unoszona muzyką i obecnością Ettore. Była teraz Gildą, młodziutką córką garbusa Rigoletta. Kiedy wzrok tenora powędrował do łóż pierwszego piętra i spoczął na jej twarzy, wydało jej się, że Lancona naprawdę zwraca się do niej: *U sol dell'anima* - miłość opromienia duszę; *la vita e amare*

- miłość i życie to jedno. Muzyka była przepiękna, a głos Lancony tak czysty i bez skazy jak diament, który zdobił jej szyję.

Pietra odmówiła opuszczenia łoży w czasie przerwy. Bała się,

że czar pryśnie, jeśli ruszy się z miejsca. Kiedy wybrzmiała ostatnia nuta i kurtyna opadła wśród rześzystych oklasków, siedziała cichutko, nie bijąc brawa, niezdolna do najlżejszego poruszenia. Z oczarowania wyrwał ją głos księcia.

- Powinniśmy teraz pójść za kulisy i pogratulować Marii wspaniałego występu. Być może zgodzi się przedstawić nas wielkiemu Lanconie.

Potaknęła ze spokojem, ale perspektywa poznania Lancony poruszyła ją do głębi. Przez ostatnie akty coraz częściej popatrywał w jej stronę, tak intensywnie, że miała podstawę przypuszczać, że ją zauważył.

Za kulisami zastali Marię otoczoną jak zwykle wianuszkami adoratorów, którzy jednak rozstąpili się pokornie na widok księcia i Pietry.

- Eduardo! - wykrzyknęła *diva*. - Musisz mi powiedzieć, jak dzisiaj śpiewałam. Zawsze byłeś moim najlepszym krytykiem.

Książę schylił się i cmoknął powietrze nad jej opiętą rękawiczką dłonią.

- Zawsze - zażartował - ponieważ zawsze zachwyca mnie twój głos, który z kolei zawsze jest wyśmienity.

- A ty zawsze byłeś wybornym kłamcą - roześmiała się. - Ale wiem, że dzisiaj wypadłam dobrze, bo ilekroć śpiewam z Ettorem przemieniam się w anioła. Ettore potrafi wydobyć z partnerów wszystko, co najlepsze. - Odwróciła się do Pietry. - No popatrz, popatrz! Kto pomógł ci w wyborze tej sukni? Wyglądasz bosko! - Ucałowała dziewczynę w oba policzki, po czym zrobiła krok do tyłu, żeby ogarnąć lepiej całość. Niewielka zmarszczka naruszyła niezmaconą tafelę jej czoła. - Wiedziałam, że wyjdiesz na ludzi, Piętro i chętnie pomagałam w tym ze względu na Eduarda, ale me miałam pojęcia, że tak szybko staniesz się piękną. Coś z tym trzeba zrobić, *toute de suite*.

Pietra roześmiała się, zanim jednak zdążyła coś odpowiedzieć, przerwał im sam wielki Lanconia.

- Mario - poprosił nie spuszczać oczu z Pietry - musisz nas natychmiast poznać ze sobą.

- *Mais oui* - zgodziła się Maria ze znaczącym śmieszkiem. W chwili gdy przedstawiała Pietrę tenorowi, oczy obojga przywarły do siebie jak przyciągnięte niewidzialnym magnesem.

Pietra nie mogła oderwać wzroku od Lancony. Miał piwne oczy, które przypominały dwa złociste słoneczniki opromienione blaskiem zachodzącego słońca. Był wysoki, choć nie aż tak jak książę. Gęste, czarne, zaczesane do tyłu włosy nadawały jego twarzy demoniczny wyraz. Był barczysty, ale szczupły w talii i w biodrach. Tak jak zauważył książę, nie miał w sobie nic z tradycyjnie tęgawego tenora. Muskularne ciało Lancony poruszało się z kocią zręcznością.

Czuło się wyraźnie jakieś porozumienie między obojgiem; kiedy przyglądał się jej badawczo, Piętro zdawało się, że prąd przepływa przez jej ciało. Posłuszna niewiadomo czyim rozkazom, uniosła dłoń w stronę jego ust, a on schylił

się i złożył na niej pocałunek, nie w powietrzu, jak nakazywał obyczaj, lecz przyciskając wargi do rękawiczek, aż poczuła, że cieniutki jedwab ją parzy.

- Spójrz, kto przyszedł, Eduardo - odezwała się stojąca w pobliżu Maria. - *Conte di Brenacia*. Pytał

o ciebie. - Oboje z księciem ulotnili się.

- To zaszczyt dla mnie, *maestro* - zwróciła się Pietra ledwie dosłyszalnym głosem do Lancony.

Lancona wpatrywał się w nią z napięciem.

- Czy należysz do niego? - spytał, nachylając ucho do jej ust.

- To mój protektor - odparła.

- Dlaczego? - spytał porywczo,

Nie wiedziała, co na to powiedzieć, i czy w ogóle powinna odpowiadać na takie pytania. Poczula, że znalazła się na śliskim gruncie i że wszystko, co w ciągu ostatnich dwóch lat wydawało się pewne i niezawodne, umyka jej spod nóg. Nie zrobiła jednak nic, żeby to zmienić. Nie była już w stanie nic zrobić.

- Odpowiedz - nalegał Lancona. - Jakim cudem książę zdołał zdobyć taki skarb?

Jej dłoń powędrowała do diamentu między piersiami. Dostrzegł ten ruch. Uśmiechnął się.

- O, tyle tylko? Ja dam ci sto, tysiąc diamentów.

- Obdarował mnie czymś więcej niż tylko klejnotami.

- Ja też dam ci coś więcej, wszystko, czego tylko zechcesz. Zostań ze mną.

- Toby nie było w porządku - powiedziała, odrywając wreszcie spojrzenie od niego i spuszcżając oczy.

Wziął ją pod brodę tak, że musiała z powrotem spojrzeć mu w oczy.

- *Signorina* Manzi, nie jesteśmy pospolitymi, posłusznymi konwenansom niewolnikami drobnomieszczańskiej moralności. Moim przeznaczeniem jest wzlatywać na najwyższe szczyty i po dziś dzień nie spotkałem nikogo, kto byłby zdolny towarzyszyć mi w locie.

Pomyślała o ostatnim podarunku księcia, broszce w kształcie feniksa, wielkiego ptaka, który powstaje z rubinowego żaru popiołów, zrywając się do swobodnego lotu. Nadal jednak szalony poryw serca napotykał opór ze strony umysłu.

- Zawdzięczam mu zbyt wiele, żeby go mogła porzucić

- oświadczyła.

- Chyba wierzysz w *laforza del destino*? Człowiek nie ma żadnego wyboru, kiedy przeznaczenie dyktuje mu drogę życiową. - Schylił się jeszcze bardziej. - Kiedy tylko cię zobaczyłem, od razu wiedziałem, że jesteśmy sobie przeznaczeni. - Przybliżył usta do jej ucha i cichutko, tak że tylko ona

mogła usłyszeć, zaśpiewał fragment arii, którą śpiewał tego wieczoru, fragment, którego słuchała z łoża, czując ucisk w dołku: *Adunque oTM*0- moci, donna celeste* (Kochajmy się więc, niebiańska pani).

- wyprostował się. - Rano przyślę mój powóz po ciebie. Patrzyła na niego z niedowierzaniem, przemieszanym z całkowitą uległością. Jeśli powóz rzeczywiście się zjawi, wskoczy do niego jak na skrzydłach i nic nie będzie w stanie jej powstrzymać.

Książę ujął ją za łokieć.

- Piętro, przed nami długa droga. Miło mi było pana poznać, *signor* Lancona. Podobał mi się pański śpiew. - Lekko, ale zdecydowanie ujął Pietrę za ramię i poprowadził do powozu.

Przez ramię posłała przystojnemu tenorowi spojrzenie. Napotkała płonący wzrok jego piwnych oczu. Odwróciła się i póki nie zamknęły się drzwi garderoby, czuła, że jej plecy płoną.

W drodze powrotnej książę milczał, gdy jednak dojeżdżali do *palazziny*, odwrócił się i wziął ją za rękę.

- Nic mi nie będzie, Colombino - odezwał się. - Kiedy odejdziesz, częśćka ciebie i tak na zawsze pozostanie przy mnie.

- O czym mówisz, Eduardo?

- Daj spokój, kochanie. - Poklepał ją po ręce jak dziecko. - Sam ci mówiłem, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Miałem wprawdzie nadzieję, że nie stanie się to tak szybko, ale cóż - *c'est la vie*. Od początku wiedziałem, że nie utrzymam cię na zawsze. Jesteś moim dziełem sztuki, Pietrino. Teraz oddaję cię światu. Musisz z nim odejść.

Zajrzała mu w oczy i zrozumiała, że mówi poważnie.

- Ach, Eduardo, najdroższy przyjacielu. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Serce pęka mi na myśl, że cię opuszczam...

- O swoje serce możesz być spokojna. Wkrótce zahartuje się w ogniu namiętności, jakiej nigdy dotąd nie zaznałaś.

Powóz zajechał przed stopnie *palazziny*. Kiedy książę odezwał się znowu, jego głos był chłodny i beznamiętny. - A teraz wytrzyj oczy, maleńka i idź na górę. Antonia pomoże ci się spakować. Wiem, co znaczy spojrzenie Lancony.

Bóg jeden wie, ile razy sam patrzyłem takim wzrokiem. Nie będzie zadowolony, jeśli każesz mu czekać.

Wysiedli z powozu. Ujął ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

- Powiedz mu jednak, że go zabiję, jeśli odważy się ciebie skrzywdzić.

Skinęła głową z powagą, po czym pocałowała go pospiesznie, uniosła sute fałdy sukni i wbiegła po schodach do pałacu. Księżę wsiadł do powozu, a kiedy odjeżdżał, Pietra była już w domu i nawoływała Antonię.

Horyzonty życiowe Pietry poszerzyły się niebywale, kiedy została kochanką słynnego gwiazdora opery.

Przede wszystkim odkryła miłość, a wraz z nią romantyczną namiętność, której istnienia nigdy dotąd nawet nie przeczuwała. Szczerze lubiła księcia, w którego objęciach doznawała cielesnych rozkoszy, dopiero jednak ekstatyczna miłość do Ettore sprawiła, że szybowała jak ptak, wzbijała się na szczyty najczystszej zmysłowości, wykrzykując jego imię, kiedy spychał ją z grani, i osuwała się w przestrzeń wypełnioną wirem świetlistych kolorów, muzyką i pięknem, przestrzeń, w której nie było nic poza nimi i ich miłością.

Lancona uwielbiał ją, a ona go ubóstwiała. Towarzyszyła mu wszędzie, gdzie występował - w La Scali, La Fenice, Florencji, w Rzymie. Obsypywał ją kwiatami, składał wyrazy hołdu i miłości. Pomny na diament od księcia, obsypywał ją również, zgodnie z obietnicą, klejnotami. Dostawała od niego szmaragdy, szafiry i rubiny, ale również sprowadzał jej z Wiednia granaty, z Mediolanu chryzoberyle z lśniącym tygrysim oczkiem, które miało uchronić ją przed złym urokiem, perły z Paryża, opale z Madrytu. No i diamenty, coraz to nowe diamenty. Trzymała je w szkatułce z kutego złota, którą kupił jej w sklepiku na Ponte Vecchio podczas występów we Florencji.

Chociaż kochała swoje klejnoty za ich świetlistość, barwę, za to, że były zwiastunami najwyższej doskonałości, jednak najwięcej znaczyły dla niej jako dowody uczuć Ettore. Im więcej ich dostawała, tym mniej przywiązywała do nich wagi, sądząc, że miłość jest bardziej rzeczywista i w niej właśnie należy lokować swoje nadzieje, że trwałością dorównuje szlachetnym kamieniom.

Na ich szczęście padał jeden cień. Przed laty rodzina ożeniła Ettore z córką zamożnego kupca. Była to prosta młoda kobieta, która ani nie interesowała się operą, ani nie była skłonna do podróży. Ettore uważał ją za nudną kurę domową; wiedział jednak, że dzięki temu związkowi został poślubiony Muzom. Zaczynał właśnie orientować się w magii swojego głosu i marzył o karierze operowej, licząc na to, że zamożny teść opłaci mu lekcje u wybitnych mistrzów Mediolanu i Rzymu, miast położonych daleko od jego wioski.

Ettore zrobił karierę - był największym tenorem w Europie; dyrektorzy oper stawali na głowie, żeby zgodził się u nich wystąpić, Verdi specjalnie dla niego skomponował najnowszą operę. Pozostało mu tylko jedno marzenie.

Rozpaczliwie pragnął ożenić się z Pietrą, lecz oboje z żoną byli katolikami - rozwód nie wchodził w rachubę. Ettore próbował ostatniej deski ratunku: zwrócił się do papieża o unieważnienie małżeństwa, chociaż wiedział, że po tylu latach nie ma najmniejszych szans. Jego prośba została odrzucona.

Ilekroć ubolewał nad faktem, że nie mogą się pobrać, Pietra zapewniała go, że nie ma to dla niej najmniejszego znaczenia.

- Jesteśmy przecież razem. Czy istnieje coś więcej nad związek serc i dusz? - Wszelkie wątpliwości, czy są naprawdę związani do głębi swojej istoty, rozpraszały się za każdym razem, kiedy roztapiali się w swoich objęciach, nieodmiennie wznosząc się na niebosiężne szczyty namiętności, dopóki orgazm nie przeniósł ich - wciąż zjednoczonych - w ciszę pełnego zaspokożenia.

Trwaliby zapewne w tej idylli, nie bacząc na konwenanse epoki, gdyby pewnego dnia żona Ettore nie zdecydowała się przedsięwziąć jednej ze swoich rzadkich podróży, by posłuchać męża śpiewającego w La Scali. Naturalnie zdawała sobie sprawę, że Ettore zabawiał się z innymi kobietami; wiedziała jednak, że w świetle prawa należał

zawsze do niej i że żadna z jego *amours* nie trwała nigdy dłużej niż parę miesięcy.

Kiedy nieoczekiwanie pojawiła się w operze, zauważyła spojrzenia, jakie posyłał ze sceny pięknie ubranej, obsypanej klejnotami młodej kobiecie, która siedziała w jednej z bocznych łóż. *Signora* Lancona zauważyła również, że kobieta jest bardzo młoda i olśniewająco piękna. To nie jest zwyczajny flirt, skonstatowała; nie mogła dłużej mieć pewności, że spędzi starość z Ettore u boku. Wbrew prawu ludzkiemu i boskiemu, Ettore w głębi serca zaślubiony był tej kobiecie. Jednak, uznała, prawo i Bóg powinni mieć w tej kwestii ostatnie słowo.

Od tego dnia w najróżniejszych miastach, w których występował Lancona, pojawiała się nieoczekiwanie *signora* i zasiadała na widowni w ubogiej, czarnej sukieneczynie, wodząc po scenie za mężem bolesnymi, czerwonymi od łez oczami. W chropawych dłoniach ścisnęła chusteczkę do nosa; była wcieleniem odrzuconej małżonki.

I każdego wieczora *signorina* Manzi w pięknej sukni, obsypana klejnotami, zasiadała w łoży samotna w swoim splendorze - każdy wiedział, że jest konkubiną tenora.

Z początku w czasie występów Ettore pojawiały się pojedyncze gwizdy, nic poważnego, rzecz ledwie warta wzmianki. Jednak *signora* kontynuowała swoją kampanię niestrudzenie i wkrótce gwizdy zaczęły zagłuszać występ.

Soprany odmawiały śpiewania z Ettore.

W końcu stało się najgorsze. W wigilię premiery La Scala odwołała występ Lancony. Wkrótce reszta włoskich oper poszła za przykładem La Scali.

- Odejdę - oświadczyła Pietra w dniu, w którym przyszedł ostatni telegram, tym razem z Rzymu. - Jeżeli zniknę z twojego życia, będziesz mógł wrócić na scenę.

- Mowy nie ma - uniósł się, krążąc po ich pokoju w weneckim hotelu. - Nie mogę tego zrozumieć. Czego oni ode mnie chcą? To przecież normalne, że mam kochankę. Jesteśmy w końcu we Włoszech! Żonaty mężczyzna, bezwzględnie dochowujący wierności żonie, jest kimś śmiesznym, a nawet godnym pogardy. Przykładem twój książę. Nikt mu nie robi żadnych wstrętów z twojego powodu, czy z powodu którejkolwiek z jego kochanek.

- Jego żona nigdy nie zgłaszała sprzeciwu. Twoja chce, żebyś

do niej wrócił.

- Nie pozwolę ci odejść - uczeplił się jej.

- Musisz, Ettore. Wiem, co ludzie o mnie mówią. Dawniej śmieli się ze mnie i nazywali twoją *giocatello*, twoją zabawką. Teraz przekonali się, że nasza miłość jest niezłomna. Tego właśnie nie są w stanie znieść - naszej niebiańskiej szczęśliwości.

- No to niech ich wszystkich trafi szlag! - miotał się po pokoju. - I nich szlag trafi moją najdroższą żonkę! Niech diabli wezmą całe Włochy z ich drobnomieszczaństwem. Pojedziemy tam, gdzie piękno i sztuka są w cenie, tam, gdzie docenia się miłość!

- Dokąd, Ettore! - spytała. Drżała na myśl, że go utraci. - Dokąd moglibyśmy pojechać?

- Do Francji. Będziemy mieszkać w Paryżu. Kochankowie zachwycili się Paryżem, a Paryż odplacił im wzajemnością. Wyszukali apartament na Ile St-Louis z widokiem na wieżę Notre Dame. Zadzierzgnęli przyjaźnie z

artystami Montparnasse'u i czuli się równie swobodnie nad szklaneczką pemu pod kryształowymi kandelabrami Le Procope, co sącząc szampana u Maxima. Wdrapali się na wierzchołek ostatniego z cudów świata, Wieży Eiffla, trzymając się za ręce spacerowali nad Sekwaną.

Ettore miał rację. Bywalców Paryskiej Opery ich status

małżeński obchodził tyle co nic. Uwielbiali jego głos, jego piękną Pietrę, jego *brio*. Na występy Lancony wyprzedawano bilety do ostatniego miejsca. Arystokraci płacili mu zawrotne sumy za odśpiewanie jednej arii podczas prywatnych *soirees*, stawiając przy tym często warunek, że przyprowadzi ze sobą zachwycającą *mademoiselle* Manzi. Wkrótce Ettore wzbogacił się jak nigdy dotąd i mógł kupować Piętrze kolejne diamenty, rubiny i pasujące do jej oczu szafiry.

Signora Lancona musiała uznać swoją klęskę i zapewniwszy sobie comiesięczny czek opiewający na bardzo wysoką sumę, powróciła do wioski.

Lancona otwiera sezon operowy „Pajacami” - głosił nagłówek kolumny kulturalnej „Le Figaro” z kwietnia 1892

roku. Partia w tej operze stanowiła prawdziwe wyzwanie dla tenora. Lancona miał za sobą całe tygodnie prób.

Dziennikarze zachodzili w głowę jak wysoka będzie najwyższa nuta, którą uda się wziąć śpiewakowi.

Ettore i Pietra promienieli z podniecenia i szczęścia, kiedy nadszedł dwudziesty szósty kwietnia - dla niego wieczór najwyższego triumfu, dla niej - dwudzieste pierwsze urodziny.

- Włóż dzisiaj suknię z białego atlasu - poprosił. Oczekiwał radośnie nadchodzącego wieczoru.

- Naturalnie - zgodziła się. Ulubiona suknia Ettore! Wieczorem, w swojej garderobie, wyciągnął z kieszeni pudełko od Cartiera.

- Twój prezent urodzinowy - oświadczył, kiedy otwarła je z dziecinnym zachwytem.

W środku znajdował się fantastyczny garnitur, złożony z naszyjnika z otoczonych brylantami szafirów, odpowiednio dobranych kolczyków i pary bransoletek, a także - pierścionka. Pierwszy pierścionek, jaki dostała od niego, wysadzany gwiazdzistym szafirem koloru nocnego nieba.

Właśnie dopinał naszyjnik na jej szyi, kiedy do drzwi garderoby zastukał posłaniec z telegramem. Lancona rozdarł

cieniutką kopertę, odczytał wiadomość i wydał z siebie okrzyk godny Indianina.

- Metropolitan Opera! Chcą mnie w Nowym Jorku w następnym sezonie! - Złapał ją w talii, oderwał od ziemi i zakręcił w powietrzu.

- Ettore! Nie jestem baletnicą. Postaw mnie!

- Ameryka! Czy ty wiesz, co to znaczy, *cara*? To znaczy, że będziemy mogli się pobrać. Będziemy mieli dzieci, mnóstwo dzieci. *Bambini Americani!*

- Zaczekaj. - Ona też się śmiała, próbując odzyskać oddech.

- Ameryka też leży na kuli ziemskiej, a ty w dalszym ciągu Jesteś żonaty.

- Tak. Nie. Nieważne. - Wymachiwał w powietrzu rękami.

- Tam są inne zwyczaje. Nie będziemy musieli brać ślubu w kościele. Zdobędę jakoś rozwód. Amerykanie są bardzo cywilizowani pod tym względem. Najdroższa, przyjdzie dzień, że zostaniesz *signorą* Lancona. Dziś wieczór zaśpiewam *Pagliacci* tak, że anioły w niebie popłaczą się ze wzruszenia - tylko 1 wyłącznie dla ciebie i naszych *bambini Americani*! - Ze śmiechem poklepał ją po brzuchu, gdzie w niedalekiej przyszłości miały zamieszkać jego *bambini*. - Masz, załóż resztę garnituru. Chcę, żebyś dziś wieczorem miała to wszystko na sobie.

- Wsunął pierścionek z szafirem na środkowy palec jej lewej ręki, na którym dotąd nic nie nosiła. - Noś go i wiedz, moja słodka Piętro, że nigdy cię nie opuszczę.

Jego występ był niezrównany. Nigdy jeszcze nie słyszała go tak wspaniale śpiewającego. Wzrok Ettore nieustannie wędrował do jej łoża, położonej po prawej stronie tuż nad sceną, a każde jej spojrzenie zdawało się dodawać jego głosowi siły, barwy i głębi.

Przymknęła oczy, napawając się pełnym brzmieniem jego głosu, wspominając wieczór sprzed czterech lat, kiedy pierwszy raz usłyszała te boskie dźwięki, ujrzała świetliste piwne oczy, które zniewoliły jej duszę. Kochała go do nieprzytomności.

Szybujący w powietrzu, wysoki, czysty dźwięk załamał się nagle i przeszedł w krótkie, zduszone

westchnienie. W

jednej chwili otworzyła oczy. Ettore zataczał się na scenie jak pijany ślepiec. Ujrzała, że osuwa się na ziemię.

Nigdy później nie mogła sobie przypomnieć, jak potykając się o tren atlasowej sukni biegła przez płataninę korytarzy, roztrącając tłum gromadzący się wokół jej kochanka.

Pamiętała jedynie twarz Ettore na scenie. W jednej chwili zrozumiała, że jego oczy nigdy już nie spotkają się z jej oczami, nigdy nie przeszyją jej elektryzującym spojrzeniem pełnym miłości i czaru. Wylew niewielkiego naczynka w mózgu pozbawił ją obecności Ettore, pozbawił całej przyszłości.

W ostatnich słowach skierowanych do niej przysięgał, że nigdy jej nie opuści. Nie dotrzymał przysięgi. A tam, dokąd się udał, nie mogła mu towarzyszyć.

W dniu, w którym pochowano Ettore na cmentarzu Percé Lachaise, wróciła do apartamentu na île St Louis, zdjęła z palca pierścioneł z szafirem i odłożyła do szkatuły, z której nie miała go już nigdy wyjąć. Przez miesiąc w samotności, nie przyjmując żadnych wizyt, opłakiwała Ettore. W końcu wypłakała ostatnią łzę. Do śmierci będzie opłakiwać kochanka, ale teraz musi wracać do życia. Wiedziała, że Ettore pochwaliby jej postępowanie.

Włożyła czarną suknię - w czerni wyglądała nieziemsko pięknie. Za całą biżuterię miała jej służyć broszka w kształcie feniksa, podarunek od księcia. Musnęła palcami płomienie, dotknęła szmaragdowego oka.

- Pora powstać z popiołów - szepnęła cicho. Następnie oznajmiła pokojówce, że jest gotowa na przyjęcie gości.

Sprawy potoczyły się szybko. Baron Alain de Valéry, pełen wigoru mecenas opery, marzył o tym, żeby towarzyszyć *mademoiselle* Manzi w żałobie i ulżyć ciężarom spoczywającym na jej krągłych, niezwykle białych i jedwabistych, młodych ramionach. Zupełnie mimochodem wspomniał o swoim *château* w dolinie Loary, nazywając go

„klejnocikiem”.

- Pani, o ile wiem, jest znawczynią klejnotów? Uśmiechnęła się, rozbawiona tą gierką.

- Moja kolekcja jest bardzo skromna.

- To powinno się niedługo zmienić, *mademoiselle*. Mam nadzieję, że zaszczyci mnie pani oglądając moją kolekcję...

i wybierając z niej coś dla siebie.

- Może kiedyś, w przyszłości, *Monsieur le Baron*.

- Maj to niezwykle romantyczny miesiąc nad Loarą.

- Nie wątpię, jednak, jak pan widzi, jestem nadal w żałobie. Czerń nie należy do wiosennych kolorów...

- Lato na wsi też jest bardzo piękne. Wszędzie zielono... byłoby pani do twarzy w kolii ze szmaragdów... - W jego oczach pojawił się zachęcający błysk.

Złożyła dłonie skromnie na podołku, zdając sobie sprawę, że czarny jedwab pogłębia biel jej karnacji i błękit oczu.

- Z pewnością przyjdzie dzień, kiedy zdejmę żałobę. Może pan być pewien, *Monsieur le Baron*, że kiedy to nastąpi, sama zadecyduje, jak żyć... i z kim żyć. A nawet - rzuciła mu przekorne spojrzenie - jaką biżuterię nosić. Znał pan Ettore Lanconę. Zapewne słyszał pan również co nieco o księciu di Monfalco. - Potaknął. - Wobec tego wie pan, do jakich mężczyzn przywykłam - inteligentnych, bogatych, hojnych i pełnych niecodziennego... wigoru. Nie interesuje mnie nikt, kto nie spełnia tych kryteriów.

Uśmiechnął się, ujęty jej szczerością i urodą.

- Myślę, że nie rozczaruje się pani - oświadczył.

- Zależy, kim będzie ten ktoś - odparła, nie zamierzając poddawać się zbyt łatwo. Podała mu dłoń na znak, że rozmowę uważa za zakończoną. Baron skłonił się.

Lato 1892 roku spędziła w zaciszu *château* nad Loarą - baronowa de Valéry bawiła w tym czasie z wizytą w Rzymie.

Pietra Manzi wkroczyła na drogę wiodącą do kariery jednej z największych kurtyzan Europy, o którą zabiegano początkowo z powodu talentów erotycznych i salonowych, a później dla głębi jej rad i opinii w sprawach wagi państwowej.

Nie była już ani zabawką księcia, ani wielką namiętnością śpiewaka operowego. Stała się La Colombą, kobietą, której rozległe wpływy miały wiele lat później wzbudzić tak wielki lęk w dyktatorze jej kraju, że zmuszona była zwrócić się do synów o zabezpieczenie skarbów zdobytych dzięki miłości.

Rozdział szósty

Apeniny - październik 1943

Ciszę nocy przerywał tylko szelest wiatru w liściach i dochodzący spod szczytów dźwięk owczych dzwoneczków. W

błękitnawym świetle, sączącym się z wąziutkiego sierpa księżyca, Stefano i jego oddział *parhigiani* wyglądali jak mroczne cienie, wyłaniające się zza skał i krzewów.

Stefano kolejny raz podniósł lornetkę do oczu i zaczął lustrować pobliskie grzbiety. Udało mu się wypatrzeć drogę wijącą się na krawędzi najbliższego pasma gór, stanowiącego dział wodny dla

położonej na południe od Padu części Apenin. Daleko w dole rysowały się ogrodzenia nowych magazynów hitlerowskich, na prawo prowadziła główna droga przez dolinę.

Tej nocy, o ile wywiad przekazał im prawdziwe wiadomości, tą drogą miał przejeżdżać pierwszy transport amunicji do magazynu. Jeżeli transport dotrze, Niemcy będą mogli rozpocząć ofensywę, mającą na celu przegonienie partyzantów z ich wysokogórskich kryjówek.

Hitlerowskie sukinsyny. Ta noc miała obrócić wniwecz ich nadzieje na rozbicie oddziałów partyzanckich, w powietrze miała wylecieć ich cholerna amunicja, a wraz z nią sporo Niemiaszków.

Jednak konwój wciąż się nie pojawiał. Zbliżał się świt. Niemcy zawsze planowali dostawy broni w ciemnościach, które miały osłonić ich przed ostrzałem aliantów. Ciężarówki powinny były przejechać wiele godzin wcześniej.

Boże, ależ zimnica. Stefano chuchnął na końce palców wystające z półrękawic i wygrzebał z kieszeni paczkę Militsów.

Tytoń był koszmarny - czarny, grubo cięty, innego jednak nie było. Włoska armia wydawała tytoń swoim żołnierzom, ci zaś dezertowali i przekazywali tytoń partyzantom.

Schylił się za skałą, zasłaniając płomień zapałki plecami i zapalił papierosa. Płuca wypełnił mu gryzący dym - z trudem powstrzymał się, żeby nie zakasłać. W żołądku odezwało się rozpaczliwe burczenie - miauczający alt przeszedł

w żaloszny baryton. Nic nie miał w ustach przez cały dzień. Zmienił pozycję. Poruszył się. Od wielogodzinnego wyczekiwania bolał go każdy mięsień. Klęczał w skalnej rynnie wypełnionej krzemieniami, które boleśnie wrzynały mu się w kolana. Palce nóg zdrętwiały od zimna.

- Jeszcze trochę, a będziemy potrzebowali okularów słonecznych - dobiegł go ochrypły szept z lewej strony. Stefano uśmiechnął się. Mimmo potrafił rozjaśnić najcięższe chwile. Był najstarszym członkiem oddziału; miał gęstą, siwą czuprynę i grubo ciosaną, podobną do zbocza góry twarz porośniętą kosodrzewiną zarostu.

- Cierpliwości, stary - szepnął Stefano. - W końcu się doczekamy.

- Doczekamy się tego, że nam jaja zamarzną na kość - syknął Mimmo.

- Twoje już i tak dawno wyschły - droczył się Stefano. - A teraz stul pysk, stary gaduło. - Kolejny raz spojrzął w lornetkę, ale nadal nic nie było widać. Ani słysząc. Zdrętwiały z zimna czul każdy zbolący mięsień.

Będzie myślał o czymś innym, postanowił. O gorących płomieniach ognia, o ciepłym łóżku. O Marisie.

O kruczowłosej Marisie z oczami jak dwa węgle. Marisie

O jedwabistej oliwkowej skórze. Marisie pachnącej cynamonem

i świeżym chlebem z piekarni swojego ojca. Marisie, której czarne oczy patrzyły na niego tak, że topniał pod tym spojrzeniem.

Napłynęły wspomnienia ostatniego poranka. Stefano zapomniał o dojmujących chłodzie. Otoczył go zapach świeżego siana. Leżeli razem w szopie na górcie z sianem, kochając się pod baczynym spojrzeniem bursztynowych oczu wiejskiego kota. Rozgrzana, spocona przywarła do niego, a on wlewał w nią swoją miłość.

Od kiedy zobaczył ją pierwszy raz, wiedział, że są sobie przeznaczeni. Dostał rozkaz udania się na północ, gdzie miał

przejąć dowództwo nad działającym w pobliżu wioski oddziałem *partigiani*. Kiedy wkroczył do wioski, stała w drzwiach piekarni swojego ojca na głównym placu wioski. Jej śniada, rozgrzana od żaru pieców buzia lśniła od potu, bujne czarne włosy rozsypywały się na ramionach, pełne usta wydymały w uroczym grymasie. Ogarnęło go natychmiastowe pożądanie. Później, kiedy poznali się osobiście w kryjówce partyzantów, zbiegłych więźniów alianckich i młodziutkich Włochów, którzy nie chcieli walczyć za Niemcy, do pożądania dołączył się podziw.

Ukrywała więźniów po szafach, w zamaskowanych schowkach pod podłogą, w leśnych pieczarach. Żywiła ich, kombinowała dla nich odzież, opatrywała rany.

Wieczorem, kiedy spełniła już wszystkie obowiązki i każdy z jej podopiecznych był syty do następnego dnia, rzuciła się w objęcia Stefana, żeby kochać, śmiać się i marzyć o dzieciach, które mieli mieć, kiedy dobiegnie końca ta *bruttatura*- brutalna wojna, niosąca z sobą głód i nędzę, zmuszająca do szaleńczego ryzyka i - co gorsza - do rozstań.

Warkot silnika jadącej doliną ciężarówka, wyrwał Stefana z marzeń. Skierował lornetkę na drogę. Dreszcz oczekiwania przebiegł po zacząjonych w mroku partyzantach. Jeden po drugim repetowali karabiny z metalicznym szczękiem.

- *Piano*- błagał Stefano. - *Pianissimo*. - Nie był to odpowiedni moment, żeby wpaść w ręce któregoś z hitlerowskich patroli, przeczesujących zbocza gór. Cierpliwości... spokoju... a dopną swego.

Dla Stefana udana akcja miała też posmak osobistego triumfu. Każde zadanie, którego się teraz podejmował, każda wystrzelona kula i każdy zabity Niemiec były kolejnym zwycięstwem w walce, jaką wypowiedział chciwemu lizusowi, Vittoriovi.

Przez pewien czas, na początku wojny, braciom udawało się podtrzymywać wąty kontakt. Vittorio był zmuszony zamknąć sklep. W czasie wojny nie było popytu na wyroby z eleganckiego papieru, na luksusowe skórzane okładki, miękkie torby i portfele. Niemniej w szybkim tempie awansował w faszystowskiej hierarchii partyjnej. Włochy, jako państwo Osi, przyłączyły się do wojny po stronie Niemiec. Stefano nadal pracował w kancelarii Brancusiego, potajemnie drukując i rozpowszechniając antyfaszystowskie ulotki.

La Colomba nie została aresztowana, jednak Stefanowi nie udało się jej powtórnie zobaczyć. Miał od niej parę wiadomości. Zapewniała, że dobrze się miewa i pytała, co słychać. Świadomość, że

posiada matkę, która troszczy się o niego, pchnęła go do przysięgi, że zobaczy ją ponownie. Choćby miał zapłacić życiem, dołoży wszelkich starań, żeby chronić ją przed niebezpieczeństwami wojny. Dla jej dobra był skłonny nawet pozostawać w poprawnych stosunkach z przyrodnim bratem.

Jednak któregoś wieczoru w listopadzie czterdziestego drugiego roku, po powrocie ze spotkania nowo powstałej komórki ruchu oporu, zastał swój pokój splądrowany. Ktoś powygarniał książki z półek, powyciągał szuflady, rozrzucając ich zawartość, porzynał i wybebeszył fotele i materace.

Nieprzytomny z wściekłości wpadł jak burza tło gabinetu Vittoria w głównej kwaterze faszystów.

- Nie znajdziesz tego - oświadczył, ledwie panując nad głosem. Nachylił się na szerokim blatem dębowego biurka brata. - Nigdy tego nie znajdziesz, spokojnie możesz odwołać swoich bojówkarzy.

- Jak śmiałeś wdzierać się tutaj w taki sposób! - Vittorio podniósł się zza biurka. Jego sylwetka z dnia na dzień stawała się coraz bardziej imponująca. W czasach, gdy wszyscy wokół głodowali, on jadał do syta.

Stefano okrążył biurko. Odwagi dodawała mu pewność, że Vittorio nie zrobi mu nic złego, choćby dlatego że jest posiadaczem połowy figurki, niezbędnej do podjęcia klejnotów.

- Po prostu chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli, drogi braciszku. - Uśmiechnął się na widok kwaśnej miny Vittoria, który słysząc ostatnie słowa rzucił się, aby zamknąć drzwi gabinetu.

- Na litość boską, Stefano, nie stawiaj mnie w sytuacji bez wyboru...

- Masz wybór, i to bardzo prosty - daj mi święty spokój. Możesz być pewien, że moja połówka flakonika jest schowana tak, że jej nigdy nie znajdziesz. - Zrobił krok do tyłu. - I jeszcze jedna rzecz. W końcu dochrapałeś się pozycji, dzięki której masz rzeczywiste wpływy. Doszły mnie słuchy, że droga nam obu kobieta nadal przebywa bezpiecznie na wolności, wkrótce jednak może się to skończyć.

- Robię dla niej, co mogę - powiedział miękko Vittorio.

- Udało mi się uchronić ją przed aresztowaniem za wywrotowe poglądy.

- Wobec tego rób tak dalej, bo jeśli choć jeden włos spadnie jej z głowy, dopadnę cię i zapłacisz mi za to. *Verstehen?*

- Dołożę wszelkich starań, żeby nic złego się nie stało.

- Vittorio wrócił do biurka, ujął Stefana za łokieć i pchnął w stronę drzwi. - A teraz wynoś się i więcej nie wracaj!

- Z rozkoszą! - oświadczył Stefano, wrywając łokieć. - Jeżeli raczysz pamiętać, o co cię proszę, z najwyższą przyjemnością będę trzymał się z dala od tej cuchnącej instytucji.

Osiem miesięcy później aresztowano Carla Brancusiego.

Tego samego wieczoru Stefano dopadł wracającego z opery Vittoria. Wyglądał imponująco w wieczorowym stroju, z białym jedwabnym szalikiem omotanym wokół masywnego karku. Obok niego, uczepiona jego ramienia, szła młoda blondynka. Kiedy Stefano zatrzymał ich, wybuchnęła potokiem gwałtownych słów. Jej włoski był wyraźnie podprawiony gardłową niemczyzną.

- Niech cię szlag trafi, Vittorio - zaatakował go Stefano.

- Pozwoliłeś im aresztować Carla.

- Sam sobie winien - zareplikował Vittorio, poleciwszy najpierw swojej *Liebchen*, żeby odeszła na bok.

- Nie mogłeś ich powstrzymać? Na litość boską, ten człowiek wychował cię jak własne dziecko!

- Zgadza się, ale to nie znaczy, żebym miał zaraz dziedziczyć po nim jego poglądy polityczne. Drukował ulotki we własnej kancelarii! Gdybym próbował się za nim wstawić, poszlibyśmy razem za kratki. A teraz zmywaj się. Jeżeli podpadniesz dziewczynie, z którą jestem, nic nie będę w stanie zrobić w twojej sprawie.

Dając jasno do zrozumienia, że wszelkie dalsze dyskusje uważa za stratę czasu, Vittorio zawrócił i ruszył w swoją stronę. Ale Stefano nie uważał rozmowy za zakończoną.

Dogonił brata i z rozpędu kopnął w nalany pośladek. Vittorio w nieskazitelnym smokingu rozciągnął się w mediolańskim bloku jak długi.

Tej samej nocy Stefano wyjechał z Mediolanu, kierując się w stronę gór, z nadzieją, że natknie się na

partigkmi, do którego będzie mógł się dołączyć.

Dopiero po pewnym czasie dowiedział się, że jasnowłosa *Fraulein*, która wisiała na ramieniu jego przyrodniego brata, nazywa się Gretchen Koppveldt i jest narzeczoną Vittoria. Wiadomość tę wywiad przekazał dowództwu partyzantów. W tajnym raporcie znalazła się jeszcze jedna ważna informacja: ojciec Gretchen, Rudolf Koppveldt, awansował właśnie ze stanowiska komendanta garnizonu na południu Włoch do rangi *Oberstkomrmndanta* wojsk hitlerowskich w północnych Apeninach.

Dźwięk przybierał na sile i wkrótce wydrenowane ucho Stefana zaczęło rozróżniać jego komponenty - nierówny warkot silników napędzanych kiepsko oczyszczoną benzyną, synkopo-wane rżenie ciągnących przyczep motocykli, charakterystyczne skrzywienie na twardej nawierzchni opon niemieckich wozów terenowych.

Mimo długich godzin wyczekiwania, Stefano i jego ludzie byli czujni jak psy na tropie. Pełna gotowość bojowa, odbezpieczone granaty - nie żałosne *diaooli rossi*, czerwone diabły włoskiej armii o nikłej sile wybuchu, o ile do wybuchu w ogóle doszło, lecz najwyższej klasy amerykańskie „ananasy”, zrzucone dwa tygodnie wcześniej przez aliantów. Palce od niechcenia spoczywały na

zawleczkach, gotowe lada chwila pociągnąć i rzucić, a dłonie na detonatorach dynamitu podłożonego pod drogą w dolinie.

Pierwsza ciężarówka wyjechała zza oddalonego mniej więcej o sto metrów zakrętu. Konwój był tak bardzo spóźniony, że lawendowe światło na niebie pozwalało rozróżnić i policzyć poszczególne pojazdy - piętnaście ciężarówek z amunicją i bronią, trzy ciężarówki pełne ludzi, wóz pancerny otwierający i drugi - zamykający kolumnę. Kiedy konwój zbliżył się, w okularze lornetki pojawił się widok, który sprawił, że usta Stefana wykrzywił uśmiech, odsłaniając śnieżnobiałe zęby w umazanej drzewnym węglem twarzy.

Tuż za czołem kolumny, w otwartym Mercedesie, jechało dwóch oficerów. Na kołnierzu skórzanego płaszcza jednego z nich widniały generalskie patki. Zaiste, niezwykle pomyślny zbieg okoliczności. Stefano zdecydował się zająć generałem osobiście.

Zaczekał, aż konwój znajdzie się bezpośrednio pod stanowiskiem jego nielicznego oddziału, po czym na umówiony znak zahukał głucho jak puszczyk. Zaledwie jego głos wybrzmiał w porannym powietrzu, ziemia eksplodowała.

Oślepiony wielobarwnymi błyskami światła i ogłuszony hukiem o nieznośnej wibracji, Stefano przywarł dla bezpieczeństwa do skalnej ściany. Wokół gwizdały szrapnele. Granaty, ciskane przez jego ludzi w ciężarówki, zrobiły swoje. Z chwilą gdy płomienie dosięgnęły amunicji w ciężarówkach, pociski zaczęły eksplodować jeden po drugim, jak oszalałe świąteczne fajerwerki. Kolejne ciężarówki zajmowały się ogniem. Wielkie, ogniste kule wylatywały w niebo poprzedzone kłębamii czarnego dymu.

Krzyki umierających przebijały się nawet przez odgłosy eksplozji. Wyjrzawszy zza swojego ukrycia, Stefano dojrzał

porozrzucane, krwawiące ciała i rannych żołnierzy, którzy wdzierali się na wzgórze pod ostrzałem karabinów maszynowych.

- Ognia - krzyknął. Jego ludzie zaczęli ostrzeliwać zbocze, po którym Niemcy zsuwali się teraz równie szybko, jak przedtem wspinali. Przez zasłonę dymu starał się wypatrzeć generalskiego mercedesa. Nietknięty, o dziwo, samochód, usiłował wyminąć wywrócony motocykl i stertę ludzkich ciał na drodze; szukał wolnego miejsca, w którym mógłby nabrać szybkości.

Niedoczekanie twoje, ty świnió, zrywał się w duchu Stefano. Puścił się pędem ze zbocza, zębami wyrwał zawleczkę granatu, wycelował i rzucił, najdalej jak potrafił. Brunatny, owalny kształt poszybował w powietrzu, koziołkując jak w zwolnionym filmie, i uderzył z brzękiem o pusty odcinek drogi tuż przed kołami samochodu. Mercedes uniósł się w powietrze, przeleciał

parę metrów i spadł na bok. Obok wozu upadł mężczyzna, ten z czerwonymi wyłogami na kołnierzu. Nie poruszał

się.

Stefano wydał okrzyk triumfu. Kula świsnęła mu koło ucha, więc z powrotem zanurkował za skałą.

Strzały i wybuchy ciągnęły się przez kolejne pięć minut, w czasie których na ziemię sypał się piekielny grad odłamków rozżarzonego do białości metalu i ludzkich kończyn. Wreszcie było po wszystkim. Z życiem nie uszedł

żaden Niemiec, ani Jedna ciężarówka nie nadawała się do użytku.

Nad polem bitwy zamarła cisza. Stefanowi zdawało się, że przez jej gęstą zasłonę nie słyszy własnego głosu.

Wychylił się zza skały, zwołując swoich ludzi.

Wyłonili się, krwawiąc od ran zadanych odłamkami szrapneli. Pokrzykując jak uczniacy i poklepując się po plecach, otoczyli dowódcę. Na samym końcu zjawił się Mimmo, pchając motocykl, jedyny pojazd, któremu udało się wyjść cało z potyczki. Mimmo liczył na to, że doprowadzi go do stanu używalności.

Nie mogli zabrać motocykla do wioski. Pokazując się z nim publicznie, podpisałiby na siebie wyrok. Podepchnęli więc pojazd, po czym ukryli go w gęstych zaroślach i ruszyli dalej przez wzgórza w długą drogę do wioski.

Było już prawie południe, kiedy dotarli na miejsce.

Zatrzymali się o pół mili od wioski. Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że Niemcy są już na ich tropie. Reszta oddziału czekała, podczas gdy Stefano, Mimmo i Tonio, żyłasty siedemnastolatek, przemknęli się do wioski przez graniczący z polami mur cmentarza. Ostrożnie, krok za krokiem, posuwali się wąskimi uliczkami. Mieszkańcy domów, chroniąc się przed słońcem południa, pozamykali okiennice. Wreszcie, ostrożnie, mężczyźni wyjrżeli zza narożnika na *piazza*.

Życie toczyło się jak co dzień. Obok pomnika Garibaldiego dwóch chłopaczków kopało piłkę. Przed kafejką stary *signor* Pretti nad karafką czerwonego wina grał w szachy z *signorem* Richellim, odstawiając drewniane pionki na planszę z głośnym, wojowniczym stukotem. Nad dzwonnica polatywały, trzepocąc skrzydłami, gołębie. Kiedy dzwon zaczął bić dwunastą, zerwały się do lotu.

Wreszcie Marisa, nachylona nad prowizorycznym ogniskiem rozpalonym przed piekarnią, gotowała mydło z kuchennego

tłuszczu, obierzyn ziemniaczanych i sody. Z bruzdą skupienia na czole, w niedopiętej z powodu gorąca kwiecistej bluzeczce, mieszała zawartość garnka.

Dla Stefana przesta! nagle istnieć głód, ból, zniknęło przerażające widmo śmierci i zniszczenia. Patrzył na Marisę.

Była życiem i odrodzeniem.

Wyprostowała się, żeby odgarnąć gęste włosy z twarzy; dostrzegła Stefana. Podbiegła do niego z

wyciągniętymi rękami.

Chwyił ją mocno i przycisnął do siebie. Jej zapach był tak błogi, tak ziemski, naturalny i pełen życia, nie skażony śmiercią. Miał ochotę zanurzyć w niej twarz i zapomnieć o wszystkim, co widział i co robił od czasu ich rozstania.

- Chodź - powiedziała, wciągając go do środka. - Przyszycuję ci kąpiel.

Tonio zawrócił, aby powiedzieć kolegom, że mogą bezpiecznie wejść do wsi.

Kiedy usiłował odmoczyć w kąpieli zeszywniałe zeszłej nocy mięśnie, Marisa przyniosła mu porcję świeżego, gorącego chleba i namiastkę kawy z prażonych migdałów. Wychodząc z wanny, usłyszał nad głową głuchy ryk amerykańskich hurricane'ów. Leciały zrzucić swój ładunek na Florencję, Mediolan i Turyn.

Słyszając ten dźwięk, Stefano zakipiał z nienawiści do Mussoliniego. Jego umiłowane Włochy znalazły się w kleszczach dwóch mocarstw, z których jedno zmierzało najwyraźniej do okupacji kraju, a drugie do wyzwolenia go spod okupacji pierwszego. Oba sprawiały wrażenie, jakby zamierzały zostawić tu kamień na kamieniu.

- Zobacz, do czego doprowadziłeś Włochy, *stronzo*, sukinsynu! - wykrzyknął.

- Sza... - uspokajała go Marisa, nacierając mu plecy oliwą. Pościel była czysta i chłodna, materac miękki, dłonie Marisy ciepłe i czułe. Zasnął.

Było już ciemno, kiedy się obudził. Marisa leżała przy nim naga, obserwując go we śnie. Przyciągnął ją do siebie i pocałował głęboko, jakby chciał napić się jej duszą.

- Na pewno jesteś głodny - powiedziała, kiedy wreszcie dał jej otworzyć usta. - Nie jadłeś nic od wczoraj.

- Konam z głodu - przyznał - ale jedzenie nic tu nie wskóra.

- Przemknął dłonią po opływowej linii jej biodra, zsunął w zagłębienie szczupłej talii, musnął brzuch i zawrócił w stronę piersi. Wziął je po kolei do ust, muskając koniuszkiem języka.

Jej skóra miała słony smak ciężkiej pracy w upalny dzień, zapach niepokoju, który ogarnął ją w tę nie kończącą się noc, kiedy Stefano nie wracał do wioski. Wchłaniał jej zdrowy smak, a jego miłość rosła, sprawiając, że każdy mięsień ciała naprężał się z pożądania. Pragnął połączyć się z nią natychmiast, chciał wtargnąć w nią niezwłocznie, siłą woli powstrzymał się jednak, czekając, aż ona będzie również gotowa do drogi, którą odbyli już tyle razy, nie rozstając się ani na chwilę. Muskając wargami jej krągłe kształty pochylił się nad Marisą i wsunął twarz pomiędzy jej uda, rozchylił językiem aksamitne fałdy i tak długo upajał się nektarem dziewczyny, aż wygięła się z jękiem, a jej dłonie zaczęły szukać jego ciała,

Kiedy kochali się pierwszy raz, była dziewicą. Oddała mu się naturalnie jak powiew wiatru. Teraz pragnęła go równie intensywnie, jak on pragnął jej, chciała, żeby w nią wnikał, uwielbiała jego

pieszczoty.

Dygocząc, na krawędzi spełnienia, opadł w dół. Nogi Marisy zacisnęły się mocno wokół jego pasa; przyciągnęła go do siebie. Stwardniałym członkiem szukał połączenia z ukochaną.

- Tutaj - wyszeptała, wprowadzając go. Zaczęli wznosić się i opadać rytmicznie z gwałtownością morskich fal, w obliczu nadciągającego szkwału, aż wreszcie oplotła go ramionami, błagając żarliwie - *Piacere, mi amore*, błagam, najdroższy, *adesso, adesso*. Teraz!

Zanurzył się w niej głęboko i ruszyli we wspólną podróż, która miała ich bezpiecznie zaprowadzić na sam szczyt.

Znów zasnął w jej objęciach. Tym razem Marisa spała również, śniąc o nie kończącej się nocy, którą spędzą oddając się wspólnie namiętności po to, by ramię w ramię zasnąć.

W parę godzin później potrząsnęła nim łagodnie. Była już od jakiegoś czasu na nogach; zdążyła przygotować śniadanie, opatrzyć lekkie rany członków oddziału, nastawić ciasto na jutrzejszy chleb.

- Wstawaj, Stefano. Był posłaniec z wiadomością dla ciebie. Powoli wypłynął na powierzchnie. Poruszył się. Każdy miesiąc

sprawiał mu ból. Podała mu filiżankę dymiącej kawy. Pił drobnymi łyżkami. Kawa jakimś cudem smakowała jak prawdziwa.

- Posłaniec? - powtórzył zaintrygowany.

Podała mu niebieską kopertę, wybrudzoną, niemniej w dobrym gatunku, z jego imieniem i nazwiskiem. Stefano podziemną pocztą dostawał już podobne listy. Rozpoznał od razu papier listowy i zdecydowane, ukośne pismo nadawcy. Rozdarł kopertę.

Miofiglio,

Jeśli ten list dotrze do twoich rąk, to znaczy, że zostałam aresztowana. Chodzą słuchy, że La Tana ma zostać zajęta przez sztab niemiecki. Nie wiem dokąd mnie zabiorą. Oczywiście nie wątpię, że dołożysz wszelkich starań, żeby ustalić miejsce mojego pobytu, ale piszę do ciebie nie tylko z prośbą o pomoc. Wiem że zawsze mogę na ciebie liczyć.

Mogą to być moje ostatnie słowa do ciebie, najdroższy synu, i ostatnia okazja, żeby wyznać ci coś najważniejszego.

Zawsze cię będę kochać, Stefano. Jestem z ciebie bardzo, ale to bardzo dumna.

Twoja kochająca matka, La Colomba.

Wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać.

- Muszę natychmiast jechać. - Pospiesznie wciągał rękawy koszuli, wbijał nogi w buty.

- Co się stało? - krzyknęła Marisa.

- Muszę ratować matkę.

Chwył Marisę w pasie, przyciągnął mocno do siebie i ucałował na pożegnanie, po czym porwał karabin i ruszył do drzwi. W ostatniej chwili wcisnęła mu bochenek chleba i kawał salami.

- Uważaj na siebie! - rzucił od drzwi. - Kocham cię.

- Kocham cię, Stefano - dogonił go jej głos, kiedy już był na *piazza*. - Te amo!

Przebiegł wyciągniętym kłusem przez miasto i wbiegł pomiędzy wzgórza. Chwała Bogu, był wypoczęty. Pogryzając chleb i salami, pokonywał kilometry dzielące go od miejsca, gdzie Mimmo ukrył motocykl.

Wszędzie roiło się od Niemców poszukujących sprawców zasadzki, jednak, dzięki Bogu, motocykl znajdował się poza obszarem najintensywniejszych poszukiwań. Stefano bezszelestnie przepchnął motor za grzbiet wzgórza, usuwając go z pola widzenia.

Doprowadzenie pojazdu do stanu używalności zajęło mu dobrą godzinę. Pobujał motocyklem, nasłuchując, czy w baku jest paliwo. Miał szczęście - wyglądało, że bak jest prawie pełen. Nawet jeśli Niemcy usłyszą ryk zapłonu, to zanim zareagują, będzie już daleko.

Główna szosa do Florencji, gęsto naszpikowana posterunkami, nie wchodziła w rachubę, zresztą alianci ostrzeliwali wszystko, co się tylko ruszało. Zdecydował się na boczne drogi, a gdy nie miał innego wyjścia, jechał na przełaj, podskakując na wybojach. Parę razy omal nie wyleciał z siodełka.

Wielokrotnie spotykał niemieckie patrole. Wciągał wtedy motocykl w krzaki, do rowu czy za drzewo i wstrzymując oddech czekał aż znikną. Potem znów ruszał w drogę, połykając kilometr za kilometrem, pochłonięty jedyną myślą: dotrzeć do *La Tany* i uratować La Colombę.

Była północ, kiedy skręcił w aleję wysadzaną cyprysami. Jechał pod górę. Zza wzgórza sączyła się poświata, jakby dopiero co zaszedł księżyc w pełni. Wjechał na szczyt, oczy rozszerzyły mu się z przerażenia. To, co brał za blask księżyca, było ogniem. Płomienie strzelały z okien i otworów w dachu, fontanny iskier tryskały w niebo i wirując opadały na drzewa. Przez wyważone, ciężkie, dębowe odrzwia, te same, którymi Stefano tak niedawno po raz pierwszy przestąpił próg tego domu, widać było hall na parterze, przypominający rozżarzone wnętrze hutniczego pieca. Ogień musiał już szaleć od dłuższego czasu.

Zatrzymał motocykl i przez chwilę patrzył, jak piękny dom kona na jego oczach. Ale wspomnienie cudownego wieczoru, kiedy La Colomba okazała się jego matką, na zawsze pozostanie w jego pamięci...

Możliwe, że ona jeszcze żyje. Pisała, że spodziewa się aresztowania. Odnajdzie ją i uwolni! Kopnął starter, zawrócił

i pognął do Florencji.

Zdążył ujechać polną drogą kilometr, kiedy z ciemności wyskoczył oddział uzbrojonych mężczyzn. Celowali do niego z karabinów. Chusty na szyjach nie pozostawiały wątpliwości, że ma do czynienia z *partigion*L

Gwałtownie zahamował.

- Nie strzelajcie! - zawołał, podnosząc ręce do góry. - Też jestem od Cadorny. - Generał Rafaele Cadorna był

głównodowodzącym ugrupowań partyzanckich w północnych Włoszech.

Chwilę trwało, zanim ich o tym przekonał, potem jednak odnosili się do mego z ogromną życzliwością. Poczta pantoflowa wśród partyzantów działała szybko i niezawodnie. Wpadli w zachwyty, kiedy Stefano wspomniał o ataku na transport broni i udowodnił, że stał na czele operacji. Poklepywali go po plecach, potrząsali jego dłonią.

- My też mamy udaną akcję na naszym koncie, prawda, *ragazz*? - zawołał jeden, wymachując przez ramię karabinem w stronę *La Tany*. Niebo wciąż jeszcze jarzyło się łuną.

- To wy? - zdumiał się Stefano. Partyzant skinął głową.

- Niemcy dopiero co zajęli dom na kwaterę. Dziś w nocy miały się tam spotkać jakieś grube szychy. - Zachichotał. -

Mieli się naradzać, jak się do nas dobrać. Tymczasem to my dobraliśmy się do nich!

- Ale przecież *La Tana*... - zaczął Stefano.

- Tak, wiemy, wielka szkoda. Ale Donna Pietra dawno już prosiła nas, żeby w przypadku jej aresztowania nie pozwolić Niemcom korzystać z domu. „Jeśli się nie da inaczej - wysadźcie go w powietrze”. No tośmy go wysadzili.

- Czy wiecie dokąd ją zabrali? - spytał gorączkowo.

- Podobno ciągle jest we Florencji.

- Gdzie?

- Może na posterunku żandarmerii - czyli w obecnym gestapo

- *Grazie* - Stefano w jednej chwili siedział z powrotem na motorze. - Muszę ją odnaleźć.

- Czemu? - zawołał jeden z partyzantów, przekrzykując warkot silnika.

- Bo ją kocham - odkrzyknął Stefano na odjeździe, uśmiechając się pod nosem. Wyobrażał sobie, co partyzanci mogą

sobie myśleć na temat stosunków łączących młodego mężczyznę z podstarzałą kurtyzaną.

Jechał trzymając się bocznych dróg. Nie natknął się więcej na żaden patrol i w niecałe pół godziny był już na przedmieściach Florencji. Akurat kiedy rozglądał się za jakimś rowem, żeby zepchnąć motocykl, silnik zakaszłał i zaczął się dławić z braku paliwa. Pchnął motocykl do płytkiego parowu i ruszył w stronę miasta, ukrywając karabin w kępie traw na brzegu Arno.

Do centrum trafił kierując się na rdzawą kopułę Duomo

- dzieło Brunelleschiego. Wkrótce znalazł się przed komendą główną policji. Był wczesny ranek; komisariat otwarto dopiero przed chwilą. Wszędzie kręciło się pełno uzbrojonych policjantów i oficerów. Nie miał pojęcia jak dostać się do środka, czy też nie wchodząc zdobyć pożądaną informację.

Nadeszła młoda kobieta, prowadząc za rękę mniej więcej sześciolatniego chłopczyka. Oboje byli chudzi jak szczapy, ale chłopiec miał brzusek wzdęty z głodu.

- *Signora* - zawołał tknięty jakimś impulsem Stefano. Zatrzymała się i obrzuciła go nieufnym spojrzeniem. - *Signora*, pani dziecko jest głodne...?

- I co z tego? - odpaliła. - Całe Włochy są głodne.

Wyjął z kieszeni resztki salami od Marisy - w sam raz na jeden posiłek. Kobieta szerzej otworzyła oczy na widok tak nieprawdopodobnego zbytku.

- To wszystko dam pani, jeśli zgodzi się pani... zrobić coś dla mnie.

- Gdzie chcesz to zrobić? - spytała, kuląc się z rezygnacją.

- Muszę najpierw odesłać dziecko. Paolo, idź do kościoła, zaczekasz na mnie.

- Nic nie chcę od pani, *signora*. - Stefano przytrzymał chłopca za kościsty nadgarstek. - Chciałbym tylko, żeby dziecko spytało o coś w komisariacie w moim imieniu.

- Tylko tyle? Potaknął.

- Czy to nie będzie wyglądało podejrzanie? - Oczy kobiety pociemniały z nieufności.

- Nie wiem - przyznał uczciwie. - Nie sądzę jednak, żeby

dziecko wzbudziło ich podejrzliwość. Zresztą, bez względu na odpowiedź, dostaniecie całe salami.

- Paolo - zdecydowała kobieta, popychając chłopca w kierunku Stefana. - Zrobisz co ci pan każe.

Choć wyglądał na niezbyt rozgarniętego, chłopiec uważnie wysłuchał instrukcji Stefana, powtórzył wszystko i puścił

się biegiem przez plac do komisariatu. Po paru minutach wrócił z niewzruszoną miną.

- Nie żyje - oznajmił cieniutkim głosem. - Zeszłej nocy próbowała uciec, ale ją zastrzelili.

Kobieta wyszarpnęła salami z bezwładnej dłoni Stefana i wraz z dzieckiem rzuciła się do ucieczki w obawie, że dziwaczny mężczyzna gotów się rozmyślić.

Stefano stał jak osłupiały. Gdyby nagle z komisariatu wybiegli karabinierzy, nie próbowałby uciec ani nie stawiałby im oporu. Stał jak sparaliżowany. Odeszła jego matka, którą ledwie poznał chwilę temu. Stał w milczeniu, po twarzy spływały mu łzy.

Nie wiedział, jak długo tak stał, a wtedy czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia. Podniósł wzrok i zobaczył księdza. Od dawna był niewierzący, ale posłusznie, jak dziecko, pozwolił zaprowadzić się do pobliskiego kościoła. Po chwili klęczał samotnie szepcząc coś po cichutku.

Słowa, choć wymawiane z modlitewną gorliwością, nie były słowami modlitwy.

- Zabiję cię - powtarzał w kółko. - Zabije cię. Pozwoliłeś jej umrzeć. Własnej matce. Przysięgam, że cię zabiję.

Rozdział siódmy

Wracając do wioski, Stefano jak zwykle poruszał się ostrożnie, żeby nie ściągnąć niebezpieczeństwa na siebie czy na swoich towarzyszy. Zaledwie jednak dotarł na skraj wsi i skręcił w pierwszy wąski zaułek, zorientował się, że stało się coś strasznego.

W polu widzenia nie było żywej duszy. Głęboką ciszę zakłócał jedynie odgłos meandrującego między kocimi łbami rynsztoka i ledwie dosłyszalny furkot firanek w oknach, w których daremnie wypatrywał jakichś twarzy. Z bijącym sercem posuwał się krok za krokiem w stronę *piazza*. Przez otwarte na oścież drzwi ziały puste wnętrza domów.

Zbliżało się południe, pora kiedy staruszkowie zasiadają poplotkować w kafejce, a kobiety ruszają po wodę do studni na placu, w cieniu posągu Garibaldiego. Jednak nikt nie szedł w żadną stronę.

Nagle dotarło do niego ciche bzyczenie.

Z odbezpieczoną bronią wychylił się za narożnik.

W dziesięciu rzędach po dwanaście osób trupy mieszkańców wioski zaścielały *piazze*. Spoczywały na bruku w kałużach skrzepłej krwi. Nie brakowało nikogo. W powietrzu unosiły się czarne chmary bzyczących much.

Stefano poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Wokół ciała unosił się nieznośny fetor. Nie było komu pochować zmarłych, musieli więc tak leżeć od dnia masakry, możliwe że od dwóch dni. Zapewne stało się to tego ranka, kiedy wyjechał...

- Marisa! - okrzyk sam wyrwał mu się z ust. Wiedział, że nikt

go nie usłyszy, a jednak wierzył, że jeśli dostatecznie głośno powtórzy po wielokroć jej imię, przywróci najdroższą do życia. Obiegł *piazzę*, zaglądając trupom w ohydnie obrzękłe twarze.

Pretti. Stary Rochelli. Wójt Martini. Brat Franco, miejscowy proboszcz. Malutka Adela z wielkimi oczami, która jak psiak biegała krok w krok za Stefanem. Podziurawieni kulami jak sito. Niemcy musieli ich ustawić w szeregach i kosić seriami z automatu, w parę minut odbierając życie stu osobom.

Oglądał kolejne ciała szlochając i zawodząc.

- Marisa! *Mi amore*

Z początku trafiał na inne twarze, twarze starych i młodych, twarze niewinnych i twarze tych, którzy walczyli z nim po nocach, a w dzień toczyli jakby nigdy nic zwyczajne życie.

Wreszcie odnalazł ojca Marisy. Piekarz ścisnął w dłoni krucyfiks. Stefano przykląkł na chwilę obok jego ciała.

Musiał uzbroić się w nadludzką wytrzymałość. Wiedział, że zaraz będzie jej potrzebować.

Wstał i rozejrzał się dookoła. Była wśród nich. Leżała w czerwonym sweterku, który tak lubił, bo jej twarz nabierała od niego żywych rumieńców. Teraz jej twarz była zimna i blada. Nie poznaczona śladami kul patrzyła na Stefana szeroko otwartymi oczami, jakby błagała, żeby zaprzeczył temu, co się wydarzyło.

Przykląkł i uniósł Marisę za ramiona, przytulając jej twarz do swojej piersi. Jedną dłonią zamknął jej powieki, jednak posłuszne *rigor mortis* otwarły się z powrotem i znów wpatrywały w jego oczy, żęcząc o miłość i przebaczenie za to, że go opuściła.

Miał suche oczy. Dwa dni wcześniej płakał po matce, teraz nie był w stanie płakać po Marisie. To wszystko było zbyt straszne.

Dźwignął ciało i ruszył przed siebie z placu, zdecydowany zapewnić ukochanej godziwy pochówek. Mijając kościół, zauważył przybite na drzwiach obwieszczenie. Z martwym ciałem w objęciach przystanął, czytając: *ACHTUNG! ACHTUNG! ATTENZIONE! ATTENZIONE! Oglasza się, że zgodnie z rozkazem Obersta Rudolfa Koppueltda w ramach represji za śmierć 73 niemieckich żołnierzy i 5 oficerów,*

w tym Herr General Heinricha von Badeswirtha, poległych z rąk cywilnych zbrodniarzy na szosie w Bresenta, odbędzie się egzekucja ludności cywilnej. Za każdego niemieckiego żołnierza rozstrzelanych zostanie pięciu cywilów. Za każdego niemieckiego oficera - dziesięciu cywilów. Za śmierć Herr General von Badeswirtha rozstrzelanych zostanie dwudziestu włoskich cywilów. Wyżej wymienieni cywile, w łącznej liczbie 435, zostaną pobrani ze wsi Tocia, Coliba, Faranto, Barasci i Curza.

Rozkaz podpisano odręcznie: Rudolf Koppveldt. Ojciec przyszłej oblubienicy Vittoria D'Angeli. I

znów targnęły Stefanem mordercza wściekłość i dojmująca potrzeba zemsty - tym razem ze zdwojoną siłą.

Ciężkim krokiem ruszył przed siebie. Zaniósł ciało Marisy do jej pokoiku nad piekarnią, obmył z zaschniętej krwi, przebrał w białą płócienną koszulę i owinął w prześcieradło, po czym wyniósł na cmentarz.

W szopie grabarza znalazł łopatę. Wykopał grób obok grobu matki Marisy. Z pietyzmem złożył ciało do ziemi, starannie okrył prześcieradłem, po raz ostatni przycisnął wargi do zimnych jak alabaster ust ukochanej. Przysypał

ciało ziemią. Wrócił na plac, brnąc po omacku, oślepiiony od łez. Co teraz? Ofiar było zbyt wiele, żeby sam mógł

wszystkie pochować. Słaby i zrezygowany, opadł na krzesło w jednej z dwóch wioskowych kawiarenek. Filiżanki wystygłej kawy i niedopite szklaneczki wina przechowywały pamięć tych wszystkich mężczyzn, których wypoczynek przerwano, prowadząc na egzekucję. W pozostałych wsiach zapewne działo się to samo - liczba ludności dokładnie odpowiadała ponurej daninie, której domagali się Niemcy. Do tej chwili wsie zdążyły już zapewne podzielić los Tocii.

W napadzie słabości zastanawiał się czy nie powinien odebrać sobie życia. Marisa nie żyje. La Colomba nie żyje.

Świat pod rządami faszystów był istnym piekłem.

Ale przecież w końcu przegrają tę wojnę. Amerykanie wylądu-

wali w Anzio i przedzierali się w głąb kraju - to był początek końca. Wróg będzie musiał się poddać.

A ja, poprzysiągł sobie Stefano, osobiście zawiadomię przekłętogo przyrodniego brata o jego klęsce.

Ta przysięga pobudziła go do czynu. Chociaż wszystkie marzenia obróciły się wniwecz, znalazł w sobie dość sił, żeby ruszyć przez wzgórza do Mediolanu. Jednak rozpacz, na podobieństwo złośliwego wirusa, toczyła jego organizm i po południowym marszu nie był w stanie zrobić ni kroku dalej.

Wiejska rodzina udzieliła mu schronienia. Przez kilka dni leżał w malignie, a kiedy odzyskał przytomność, ledwie trzymał się na nogach. Z czasem doszedł do wniosku, że przyczyną jego choroby było nie tylko załamanie nerwowe, ale jakaś infekcja od rozkładających się ciał.

- Myśleliśmy, że już po tobie, młody człowieku - przyznał się stary wieśniak. - Coś cię jednak musiało trzymać przy życiu.

- Czyżby? - powątpiewał Stefano, zaraz jednak przypomniał sobie Vittoria.

- Owszem - zgodził się. - Mam po co żyć.

Wrócił do zdrowia w porze zasiewów. Został, żeby pomóc wiejskiej rodzinie: taczka za taczka, do upadłego, oczyszczał pole z kamieni, orał, pomagał siał. Kiedy żegnał dobroczyńców, kierując się pieszo na południe, był już w pełni zdrowia i sił.

Dnie przesypiał w polach, nocami szedł. Coraz to krył się po rowach przed bombami aliantów lub konwojami niemieckich wozów. Trwało właśnie ostateczne zwanie dwóch wrogich armii. We włoskich kręgach patriotycznych szeptem mówiło się o powszechnie wyczekiwany upadku Mussoliniego; klęska Niemiec miała być tylko kwestią dni.

Do Mediolanu dotarł późnym popołudniem w gorący, czerwcowy dzień. Widok ukochanego miasta wstrząsnął nim.

Gdzie okiem sięgnąć, w niebo sterczały odłamki powalonych murów, jak cmentarne tablice upamiętniające dawnych mieszkańców domów, które amerykańskie bomby starły w pył. Jezdnie tonęły w wyrwach.

Nad miastem unosił się anioł zagłady.

Lada dzień na zrujnowane ulice miasta wkroczą oddziały aliantów. Faszyci i ich sprzymierzeńcy byli w odwrocie.

Stefano nie współczuł Vittoriowi. Taka właśnie głupota i żądza władzy jemu podobnych wykończyły Włochy.

Gnany dojmującą żądzą odwetu, brnął przez zrujnowane ulice i place, na których dymiły jeszcze zgliszcza domów.

Kamienica przy Piazza Men-tana, w której mieszkał Vittorio, ocalała cudem. Nawet okna były nietknięte, chociaż brama stała otworem, a drzwi zwisały na zawiasach, jakby je ktoś wyważył. Czyżby rozwścieczony tłum przyszedł

po Vittoria, pozbawiając Stefana słodkiego smaku zemsty?

Wbiegł po krętych, marmurowych schodach, przeskakując po dwa, trzy stopnie naraz. Drzwi do mieszkania też były otwarte na oścież. Przebiegł przez puste pokoje. Szafy nadal pękały od ubrań; nienagannie wyprasowane garnitury i smokingi Vittoria obok zwiewnych sukienek i futer jego żony - córki Rzeźnika. Półki w kuchni ugiwały się od zapasów; na wygaszonej kuchence stał garnek z jakąś potrawą, stół był nakryty do posiłku. Pośrodku stał wazon z kwiatami, które dopiero zaczynały więdnąć.

Widać było, że mieszkanie zostało opuszczone nieoczekiwanie, a ład i porządek wskazywały na to, że właściciele nie wyszli pod przymusem ani w gwałtownych okolicznościach. Najwyraźniej Vittorio z Gretchen dali nogę.

Zaczął metodycznie przeszukiwać eleganckie mieszkanie, cal po calu, zaglądając w każdy możliwy zakątek i pod każdy mebel. Zerwał boazerie, powyjmował szuflady, zerwał podłogę, wybebeszył kanapy i fotele, obmacał

podszewkę w każdej sztuce garderoby.

Jeśli nawet Vittorio zerwał się do ucieczki tak jak stał, nie zapomniał zabrać przepustki do bogactw La Colomby.

Druga połowa flakonika zniknęła bez śladu.

Wyszedł z mieszkania. Idąc przed siebie bez celu, przeglądał w myślach mapę Europy. Gdzie się podziewał Vittorio?

Kolaborant mógł uciec do Niemiec z żoną i teściem albo cichcem przekraść się do Szwajcarii i zaszyć bezpiecznie w neutralnym kraju.

A może w drodze padli ofiarą antyfaszystowsko nastawionego

tłumu? Skąd mógł to wiedzieć? I czy musiał wiedzieć? Vittorio na pewno nie zamierzał rezygnować ze swojego udziału w odziedziczonej fortunie. Kiedy wojna się skończy, może nawet wcześniej, Vittorio pojawi się, aby z kompletnym flakonikiem mogli upomnieć się o klejnoty bezpiecznie spoczywające w szwajcarskich sejfach.

Stefano stracił już całe serce do walki, wiedział zresztą, że wygrana jest bliska. Nie dołączył już do oddziałów partyzanckich. Został w Mediolanie, pracując w brygadzie odgruzowującej miasto po nalotach.

W kwietniu 1945 roku niedobitki Niemców i zwolenników Mussoliniego musiały ostatecznie wycofać się z baz w Apeninach. Przyłapany na próbie ucieczki z kraju w damskim przebraniu, *Il Duce* został rozstrzelany razem z kochanką, Carlą Petacci. Ciała obojga przywieziono z powrotem do Mediolanu, gdzie zawisły publicznie, lżone przez przechodniów.

Stefano udał się na miejsce wystawienia upiornych zwłok na widok publiczny. Chciał zobaczyć człowieka, przez którego Włochy legły w gruzach, człowieka, który ściągnął na swój kraj bezmiar śmierci, cierpienia i rozpacz.

Jednak widok ciał zwisających głową w dół z szubienicy jak bydło rzeźne nie sprawił mu żadnej przyjemności.

Patrząc na zbezczeszczone trupy pomyślał, że przeciwnicy *Duce* zachowują się równie barbarzyńsko jak naziści, kiedy chronił ich jeszcze pakt z Diabłem.

Odwrócił się i odszedł, wsuwając rękę do kieszeni kurtki, w której stale chodził - chłopskiej kurtki ze zgrzebnej wełny, którą uszyła dla niego Marisa. Prosił ją, żeby zrobiła mu specjalną, głęboką kieszeń, a wlot zamaskowała w podszewce. Nigdy nie zapytała go po co, a on też nigdy nie zdradził powodu swojej prośby, zamierzając pokazać flakonik w noc poślubną.

Pomacał przez podszewkę zawartość kieszeni. Przez całą wojnę nosił przy sobie swoją połowę buteleczki, owiniętą na wszelki wypadek w kawałek jagnięcej skórki. Był pewien, że przeżył dzięki

magicznej mocy tego talizmanu. Ta sama zabobonna logika podszeptowała mu, że Vittorio również musi być pośród żywych.

Dręczyła go myśl, że gdyby La Colomba nie rozstała się ze swoim flakonikiem, nie opuściłoby jej szczęście, które dotąd towarzyszyło jej przez całe życie.

Błądząc palcem po buteleczce, poprzysiągł w duszy, że niepomny na nic, wspólnie z Vittorioem stawi się po spadek, bo takie było życzenie ich matki.

Minął już rok od zakończenia wojny, kiedy do Stefana dotarł nonsens sytuacji, w której swoje życiowe plany podporządkował przesądom. W czasie wojny uleganie irracjonalnym wierzeniom, które pomagały przetrwać z dnia na dzień, było czymś naturalnym i usprawiedliwionym, uwierzył więc, że życie swoje zawdzięcza mocy talizmanu.

Wierzył też, że Vittorio żyje i postara się go odszukać.

Jednak czas płynął, a Vittorio nie dawał znaku życia. Stefano zaczął wątpić, czy jego brat przeżył wojnę. Przeszukał

udostępnione rejestry partyjnych faszystów, przejrzał dokumenty władz alianckich dotyczące zbiegłych kolaborantów i zbrodniarzy wojennych, ale nie trafił na żaden ślad Vittoria D'Angeli - ani Rudolfa Koppveltda.

Doszukał się jedynie informacji, że Carlo Brancusi umarł w jednym z więzień Mussoliniego w Libii.

Jako przysposobiony wychowanek Brancusiego uzyskał prawo wglądu w zachowane dokumenty opiekuna. Znalazł

odręcznie napisane przez Brancusiego oświadczenie, w którym adwokat podejmował się odpowiedzialności prawnej za synów Pietry Manzi. Do oświadczenia dołączono metryki chrztu Stefana i Vittoria. Nie trafił na żaden ślad, który dopomógłby mu w ustaleniu kim byli ich ojcowie, uznał jednak, że dokumenty mogą się kiedyś przydać, w związku z czym zabrał je ze sobą.

Od zakończenia wojny pędził życie samotnika. Towarzystwo kobiet nie pociągało go ani trochę, choć niejedna próbowała rozbudzić w nim wygasłe pożądanie. Nie umiał znaleźć sobie miejsca w świecie. Imał się różnych dziwnych zajęć i ile razy udało mu się uzbierać dosyć pieniędzy, szedł w góry, gdzie spoczywała jego najdroższa, jak upiór włóczył się wokół pustych domów wioski, w której ciągle jeszcze rozbrzmiewało echo jej śmiechu. Próbował

pisać poezje.

Ale natchnienie nie chciało spłynąć i w rezultacie wracał do Mediolanu licząc, że zjawi się Vittorio i scheda po La Colombie uchroni go przed szarą śmiercią.

Wreszcie zdecydował, że nie ma już na co czekać.

fył wrzesień tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Stefano spacerował genewską rue du

Rhone, napawając się nieoczekiwanie łagodną pogodą i zwykłą przyjemnością, jakiej dostarczało przechadzanie się ulicą w kraju, który nie zaznał okrucieństw wojny. W Genewie nie było zbombardowanych domów ani uliczników wyludzających papierosy i czekoladę od weteranów amerykańskich, których pełno kręciło się nadal po Europie. Nie było młodych zarazonych syfilisem dziewcząt, które za garść lirów sprzedawałyby się na rogu, żeby wyżywić rodzinę. Unoszący się w powietrzu duch normalności i ładu napawał Stefana optymizmem.

Fakt, że dzień był słoneczny, wydał mu się pomyślną wróżbą, tak jak nazwa miasta, w którym jego los miał ulec tak diametralnej odmianie: Genewa. Podobnie, jak Genua, nazwa pochodziła od liguryjskiego wyrazu, który oznaczał

wyłanianie się z wodnej toni. On również tonął dotąd w bólu, który zadała mu wojna. Teraz gotów był wypłynąć na powierzchnię.

Spodziewał się, że jego misja może natrafić na pewne trudności. Od chwili zniknięcia Vittoria minęło dwa i pół roku

- tyle mniej więcej, ile upłynęło od końca wojny. Musiał zginąć - w przeciwnym wypadku usiłowałby się skontaktować z bratem.

Stefano wszedł do Helvetia Kredittanstalt po lśniacej, marmurowej posadzce hallu pod gotyckim sklepieniem, podszedł do biurka, za którym siedział urzędnik. Przedstawił się po włosku i zażądał widzenia z urzędnikiem, z którym La Colomba zawierała umowę. Pamiętał nazwisko, choć matka w jego obecności wymieniła je tylko raz: *Hen Lindner*.

- Bardzo mi przykro - odpowiedział urzędnik po włosku - ale pan Lindner nie pracuje już tutaj. Być może jego następcą, pan Stimmi, będzie mógł służyć panu pomocą.

Nagły skurcz paniki targnął Stefanem. La Colomba załatwiła sprawę ulokowania klejnotów z *Hen Lindnerem*. Kto jak kto, ale dawny wspólnik La Colomby z pewnością najprędzej poszedłby mu na rękę, modyfikując wymogi podjęcia kolekcji. Zaraz jednak Stefanowi przyszło na myśl, że ten sam Lindner w ramach obowiązków służbowych przyjmował depozyt z rąk Vittoria. Może lepiej będzie mieć do czynienia z kimś, kto nie widział na własne oczy drugiego spadkobiercy La Colomby. Oświadczył urzędnikowi, że spotkanie z panem Stimmiem zupełnie mu wystarczy.

Urzędnik zniknął na chwilę, po czym wrócił i poprowadził go do urządzonego z bezpretensjonalnym szwajcarskim stylem, gabinetu z drewnianą boazerią.

Zza poznaczonego sękami biurka uniósł się wysoki mężczyzna o przylizanych, siwiejących włosach. Jak wielu szwajcarskich urzędników bankowych, już od rana nosił odświętny strój złożony ze sztucznych spodni i fraka.

Łagodnie potrząsnął dłonią Stefana, po czym przedstawił się i wskazał klientowi skórzany fotel.

- Powiedziano mi, *signor D'Angeli*, że chciał się pan widzieć z *Hen Lindnerem*. - Stimmi również posługiwał się nienagannym włoskim. - Przejąłem po nim wszystkie sprawy.

- Chodzi o sprawę dosyć niecodzienną - nie podjęty depozyt, złożony jeszcze przed wojną.

Stimmi pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Nie ma w tym nic niecodziennego. W tamtym okresie wiele osób usiłowało zabezpieczyć...

- Nie mówię, że okres był niecodzienny - przerwał niecierpliwie Stefano - tylko o zawartość depozytu: ogromna kolekcja biżuterii wartości wielu milionów lirów.

- Tak? - Stimmi przybrał wyraz szczerego zaskoczenia, jakby właśnie dowiedział się o czymś, o czym powinien był

od dawna wiedzieć.

- Kolekcja była własnością mojej matki... znanej jako La Colomba. Rzecz w tym, że chciałbym odzyskać ten depozyt.

Stimmi zaszczyił jego wypowiedź nikłym uśmiechem. Właściwie czego więcej mógł oczekiwać? Tak wygląda słynna

szwajcarska ostrożność, która nigdzie nie przejawia się tak wyraźnie, jak w sprawach finansowych. Ostrożność, która ma służyć również moim interesom, skarcił się w myślach Stefano. Dzięki niej nikt bezprawnie nie mógł się dostać do jego schedy.

Choć rozsądek uspokajał go jak mógł, Stefano poczuł przyływ niepokoju. Właściwie jak zamierza dowieść swojego tytułu posiadania? Czy w banku pozostawiono jakiegokolwiek pisemne instrukcje, czy też La Colomba zaufała całkowicie *Herr Lindnerowi*?

Zamiast wdawać się w nieporadne wyjaśnianie szczegółów, lepiej chyba będzie zdać się na kogoś zorientowanego w całej historii.

- Czy mógłby pan skontaktować się z *Herr Lindnerem*?

- spytał Stefano. - On by panu wszystko wytłumaczył.

- Przykro mi, ale nie będzie to łatwe. *Herr Lindner* niespodziewanie złożył rezygnację w zeszłym roku i wyjechał z kraju.

- Niespodziewanie? Wyjechał...?

- Owszem. Całkiem niepodobne do niego. Po prostu wyjechał, w dodatku aż do Ameryki. Był wdowcem z córką, rozumie pan. Wyszła za Amerykanina z korpusu dyplomatycznego, akredytowanego u nas podczas wojny. Kiedy zięć został odwołany z powrotem do Waszyngtonu, Lindner przeniósł się za granicę, żeby być bliżej córki.

Stefano czuł, że jest na granicy wytrzymałości nerwowej. Jego wyobraźnia szalała od najczarniejszych przypuszczeń. Urzędnik banku, któremu powierzono klejnoty wartości wielu

milionów dolarów, składa zniemacka rezygnację i odpływa za ocean. Nie panując dłużej nad sobą, sięgnął do kieszeni i wyjął zwitek jagnięcej skórki. Na biurko pana Stimmlego upadła górna połówka flakonika do perfum.

Brwi urzędnika powędrowały w górę. Stefano gorączkowo wyjaśniał, czym był ten przedmiot dla zidentyfikowania spadkobiercy, oraz pierwotne zasady, na mocy których niezbędna była również obecność jego brata. Logika -

argumentował

- nakazywała wycofanie klejnotów, skoro brat zaginął i najprawdopodobniej nie żyje, wzięwszy swoją połówkę flakonika

do grobu. Na poparcie swoich żądań Stefano przedstawił oświadczenie Brancusiego i metrykę chrztu.

Stimmi przez chwilę studiował oba dokumenty, nieco więcej czasu poświęcił oglądaniu drogocennej błyskotki.

Nagle poderwał się, odkładając flakonik na biurko.

- Proszę mi wybaczyć, signor D'Angeli, ale muszę natychmiast skontaktować się z kolegą.

Tempo, w jakim się ulotnił, natchnęło Stefano otuchą. Być może, mimo wszystko, udało mu się udowodnić swoje prawo własności; dopełni formalności i kolekcja wylądaje w jego rękach. Podejrzenia, że Lindner zdefraudował

klejnoty nie mają najmniejszego sensu - właściwie co w tym było dziwnego, że ktoś rzuca posadę w banku po to, żeby zamieszkać z córką w Ameryce?

Stimmi powrócił po paru minutach, niosąc pod pachą dokumentację w skórzanej oprawie. Jego krok stracił na sprężystości, plecy przygarbiły się.

- *Signor D'Angeli* - zaczął, siadając za biurkiem. - Udało mi się *znaleźć* dokumentację tej sprawy. List napisany do *Herr Lindnera* przez *signorę* Pietrę Manzi zastrzega jednoznacznie, że jej kolekcja może zostać wydana tylko za jednoczesnym okazaniem obu połówek flakonika.

- Ale ja jestem jej synem, zresztą tłumaczyłem już panu...

- Nie mam żadnych powodów, żeby panu nie wierzyć, *signor D'Angeli*. Prawda jest jednak taka, że to, czy panu wierzę, czy nie wierze, nie ma najmniejszego znaczenia. Nie mogę wydać panu tych klejnotów.

- Chcę wobec tego widzieć pańskich przełożonych z dyrekcji banku. Na pewno nie było intencją mojej matki, żeby jej kolekcja nigdy nie ujrzała światła dziennego, leżąc do końca świata w waszych...

- Proszę mi wybaczyć, *signor D'Angeli*, ale nie dał mi pan skończyć. Prawda jest taka, że nie

możemy wydać panu kolekcji, ponieważ u nas już jej nie ma.

Upiorne podejrzenia potwierdziły się. Wypełniło go uczucie wewnętrznej pustki i ruiny - był jak jeden z tych domów, które pomagał odgruzowywać.

- Jak to...? - spytał drżącym, ochryłym głosem.

Stimmi rozłożył dokumenty. Przebiegł wzrokiem kilka pierwszych stron.

- Zanotowano tutaj, że pan Vittorio D'Angeli stawił się w naszym biurze u *Herr Lindnera* czternaście miesięcy temu.

Legitymował się wymaganymi do podjęcia kolekcji dowodami, toteż wydano mu ją niezwłocznie.

- Wymaganymi dowodami? - Stefano podskoczył w fotelu.

- Czy był sam?

- Tak. Przedstawił autentyczne świadectwo zgonu, zgodnie z którym zmarł pan w Mediolanie w 1944 roku.

Stefano osłupiał na moment.

- Jasne, że mógł z łatwością skombinować coś takiego - prychnął pogardliwie po chwili. - W końcu był w partii figurą. Ale nie miał przy sobie tego! - Poderwał z biurka swoją połówkę flakonika.

Stimmi ponownie przerzucił papiery.

- Wygląda na to, że miał. *Herr Lindnerowi* wręczono dwie połówki flakonika do perfum, które odpowiadały przechowywanej w naszych archiwach fotografii całości. - Zamachał kartką papieru. - Mamy tutaj złożone pod przysięgą oświadczenie...

Stefano zerwał się na równe nogi.

- Nie mógł mieć obu połówek, bo ja mam jedną z nich.

- Podetknął swoją połówkę Stimmlemu pod nos, jakby mu dawał nóż do powąchania. - Sam pan widzi, że to był

falsyfikat!

- Albo pańska część jest falsyfikatem. - Stimmlęgo nie opuszczała *sangfroid*.

Ta replika spuściła nagle całe powietrze ze Stefana. Racja. Było już za późno na wdawanie się w techniczne szczegóły. Dotarło do niego, że bez drugiej połówki flakonika będzie mu niezmiernie trudno udowodnić, że jego część jest autentyczna.

Vittorio nie zmarnował czasu w ukryciu. Wydarł kolekcje i z powrotem zapadł się pod ziemię.

- Czy mógłbym zobaczyć to oświadczenie? - spytał już spokojnie, tonem człowieka, który pogodził się ze swoją porażką.

Stimmler wręczył mu dokument. Relacja z przekazania kolekcji zgadzała się z opisem Stimmlego. Jako urzędnik nadzorujący operację z ramienia Helvetia Kredittanstalt w Genewie podpisał się Kurt A. Lindner.

- Dziękuję panu, panie Stimmler.

Urzędnik odpowiedział skinieniem głowy. Wstał, czekając aż klient wyjdzie.

- *Signor D'Angeli*, sam pan rozumie, że musieliśmy... - Gestykulował bezradnie w poczuciu spóźnionej winy.

Stefano wyszedł z biura w stanie całkowitego odrętwienia, ślepy i nieczuły na uroki słonecznego dnia w Genewie.

Czuł się oszukany nie tylko we własnym imieniu, ale również w imieniu swojej matki, La Colomby, która majątek, zdobyty dzięki życiowej przenikliwości, usiłowała sprawiedliwie podzielić między synów.

Podobnie jak nie przewidziała, że przyjdzie jej żyć w świecie, który zrodzi faszyzm, tak samo nie przeczuła, że wyda na świat takiego syna jak Vittorio.

W pierwszej chwili miał zamiar się poddać. Jednak wspomnienie matki i upajającej nocy, kiedy biorąc po kolei do ręki połyskliwe klejnoty wtajemniczała ich w swoje plany zabezpieczenia fortuny, pobudziły go do czynu. Nie pozwoli, żeby Vittorio bezcześcił pamięć matki.

Jeżeli ktoś mógł go zaprowadzić na trop Vittoria, to był nim *Herr Lindner*. Czy fakt, że zniknął ze Szwajcarii zaledwie w miesiąc czy dwa po wydaniu kolekcji mógł być zwykłym zbiegiem okoliczności? Ciepłe przyjęcie w banku na pewno nie było sprzeczne z interesami Vittoria. Jedno pytanko czy dwa, godzinka czy dwie oczekiwania na dopełnienie procedury... z pewnością warte były uszczuplenia fortuny Vittoria o jeden pierścionek.

Sądził, że powinien odnaleźć emerytowanego szwajcarskiego urzędnika. Córka Lindnera poślubiła Amerykanina, pracownika korpusu dyplomatycznego, który spędził wojnę w Genewie. To bardzo zawężyło pole poszukiwań.

Cztery miesiące krążył po dokach Genui, zanim jako majątek załapał się na statek płynący do Nowego Jorku. Nie był

pewien, czy w myśl najnowszych przepisów przysługuje mu prawo pobytu, jednak słyszał, że Ameryka dosyć chętnie przyjmowała uchodźców wojennych.

Kiedy statek, minąwszy Statuę Wolności, wpływał do portu nowojorskiego, przyszło mu do głowy,

że mimo wszystko zawdzięczał już coś schedzie La Colomby. Kochał Włochy, ale wiele lat minie, zanim zdewastowany kraj podniesie się z gruzów. Królestwo możliwości czeka po tej stronie oceanu.

Majtek, wraz z którym przechylając się przez balustradę podziwiał dachy Manhattanu, poinformował Stefana o istnieniu włoskiej dzielnicy, w której można było znaleźć pracę nawet bez znajomości angielskiego. Po zejściu na ląd Stefano dopytał się o drogę do Little Italy. Przez kilka tygodni, dopóki nie nauczył się paru angielskich słów, pracował jako magazynier w fabryczce mioteł. Potem zebrał się na odwagę, kupił bilet kolejowy i samotnie wyprawił się do Waszyngtonu.

Drogą prób i błędów, zagadując każdego, kto zadał sobie trud żeby go zrozumieć, dopytał się o drogę do Departamentu Stanu. Na miejscu bez trudu znalazł tłumacza, który zgodził się przeszukać archiwa wojennego personelu ambasady amerykańskiej w Szwajcarii i sprawdzić, czy któryś z pracowników przywiózł ze sobą z tego kraju żonę o panińskim nazwisku Lindner.

Przesiedział w poczekalni trzy godziny. Wreszcie nadszedł młody, barczysty mężczyzna po trzydziestce, w okularach w złotych oprawkach. Łamanym, ale zrozumiałym włoskim, przedstawił się jako James Harrington, który poślubił Heidi Lindner w Genewie latem czterdziestego szóstego roku.

- Dlaczego poszukuje pan Heidi, panie D'Angeli? - zapytał, kiedy usiedli w fotelach poczekalni.

- Nie poszukuję pańskiej żony, tylko jej ojca - wyjaśnił Stefano. - Chodzi o poufną sprawę, którą prowadził, jeszcze jako pracownik banku genewskiego. Chciałbym uzyskać od niego pewne informacje, do których tylko on miał

dostęp.

Po chwili namysłu Harrington przeprosił i wyszedł do telefonu. Wrócił niebawem z wiadomością, że teść chętnie przyjmie Stefana. Stefano zerwał się, mamrocząc podziękowania i ruszył pośpiesznie do wyjścia. Młody Amerykanin zawrócił go, rozbawiony.

- *Signor D'Angeli*, domyślałam się, że w krótkim czasie przebył pan bardzo długą drogę i nie zdążył się pan jeszcze urządzić. Załatwiłam samochód służbowy, który zawiezie pana do domu pana Lindnera.

Zwykła uprzejmość czy podstęp? - przemknęło przez myśl Stefana. - Zięc Lindnera usiłuje zatuszować przewinienie przekupnego teścia? Skąd ta nagła uprzejmość z samochodem? A jeśli zawiozą go do kogoś zupełnie innego... albo, co gorsza...

Cóż za idiotyzmy, zganiał sam siebie. Czyżby podstępny czyn Vittoria załamał w nim całą ufność do całego świata?

- Bardzo panu dziękuję, panie Harrington. Mam nadzieję, że będę miał okazję odwdziżyć się za pańską uprzejmość.

Samochód zawiózł go do niewielkiej kamienicy w Georgetown. Harrington zaopatrzył Stefana w karteczkę ze wskazówkami po włosku. Zgodnie z instrukcją Stefano wszedł do hallu na parterze i nacisnął przycisk przy nazwisku Lindner. W domofonie rozległ się głos, który polecił mu wjechać windą na trzecie piętro.

Lindner czekał go w progu, naprzeciw wyjścia z windy. Człowiek, którego Stefano po wielokroć wyobrażał sobie jako współnika Vittoria, był mężczyzną około sześćdziesiątki. Jego głowę wieńczyły siwe włosy, okalające łysinę równie opaloną, jak reszta twarzy. *Hen* Lindner miał na sobie sportowe spodnie i sweter. W przeciwieństwie do pana Stimmlego, wydawał się przyjazny i na luzie.

Powitał Stefana nienagannym włoskim, zaprosił do mieszkania i zaproponował wybór drinków.

Stefano odmówił skorzystania z gościnności.

- Henr Lindner - zaczął bez ogródek, nie ruszając się z przedpokoju - czy mówi panu coś nazwisko D'Angeli?

- Oczywiście, że mówi. Dlatego właśnie zgodziłem się spotkać z panem. Osoba o tym nazwisku podjęła ogromną kolekcję biżuterii z banku, którego byłem pracownikiem.

- To był mój brat, Vittorio. Ja jestem Stefano D'Angeli.

- Ale przecież on udowodnił...

- Że ja nie żyję - dokończył Stefano z rozgoryczonym uśmiechem. - Jestem żywym dowodem, że tak nie jest.

Twarz Lindnera mieniła się gamą uczuć - zakłopotanie, panika, zrozumienie, wreszcie - najszczerzy żal.

Parę dodatkowych pytań i odpowiedzi przekonało Stefana, że *Hen* Lindner jest klasycznym okazem szwajcarskiego urzędnika bankowego - z gruntu uczciwym i absolutnie nieprzekupnym. Vittorio przedstawił mu „dowód”

wymagany dla podjęcia kolekcji, a *fierr* Lindner najnormalniej w świecie wywiązał się ze swoich zobowiązań wobec La Colomby, przekazując biżuterię jej synowi.

Szwajcar ogromnie współczuł Stefanowi.

- Jak się pan orientuje, mój zięć pracuje w amerykańskim Departamencie Stanu, jestem pewien, że mógłby użyć swoich wpływów i zaalarmować policję na całym świecie. Takie klejnoty prędzej czy później muszą gdzieś wypłynąć.

Jednak Stefano nie wątpił, że Vittorio nie da się łatwo przyłapać. Zawsze mógł rozłożyć biżuterię na części, a klejnoty pociąć na mniejsze kamienie, których nikt nie będzie w stanie rozpoznać. Grzecznie odrzucił propozycję pomocy.

- Ścigając widmo tych kamieni, przejechałem przez pół świata - wyjaśnił. - Chwilami tracę od tego rozum - do tego stopnia, że podejrzewałem pana o współudział w kradzieży. - Uśmiechnął się przeproszająco do Lindnera. - Nie jestem pewien, czy uda mi się porzucić marzenia o fortunie, ale

myślę, że już najwyższy czas spróbować. - Z okna Lindnera widać było wznoszącą się nad dachami iglicę wyniosłego obelisku ku czci George'a Waszyngtona. Patrząc na wierzchołek pomnika dorzucił. - Myślę, że w tym kraju można spełnić inne sny, zrealizować inne marzenia.

Hen Lindner skinął głową i odprowadził go do drzwi.

- *Signor D'Angeli*, gdyby kiedykolwiek znalazł się pan w potrzebie, proszę zwrócić się do mnie bez wahania. Jestem panu winien wszelką pomoc.

I znów Stefano wylądował na bruku obcego miasta. Rozglądał się na wszystkie strony, zastanawiając dokąd skierować pierwsze kroki. Buńczuczne słowa o spełnianiu snów, gdy tak naprawdę nie wiadomo, od czego zacząć. I czy w ogóle trafi w życiu na coś, co dorówna wizji, jaką roztoczyła przed nim *La Colomba*?

Nie czuł się równie przerażony od dnia masakry, kiedy stawiał pierwsze kroki w upiornej ciszy wioski, od chwili, kiedy znalazł martwe ciało *Marisy*.

Od czegoś jednak musiał zacząć. Zwrócił się twarzą w stronę wielkiej kopuły Kapitolu. *Union Station* była tuż obok.

Tam wsiądzie w pociąg.

Ruszył przed siebie.

Księga druga

Włączenie

Rozdział pierwszy

Nowy Jork - 1966

Ludzie związani z diamentowym biznesem nazywali ją po prostu „ulicą”. Czterdziesta Siódma Ulica, między Piątą a Szóstą Aleją. Krótki odcinek między dwiema przecznicami. Jednak tu właśnie ponad połowa światowych diamentów zmieniała właścicieli. Świat, który kręcił się wokół jednego towaru. Błyszczący świat. Olśniewający świat. Świat, który skrzył się, migotał i płonął zimnym ogniem diamentów.

Pete uwielbiała tę ulicę. Kochała w niej wszystko - wypolerowane witryny, które oddzielały ją od poświaty oszlifowanych kamieni, młode urzędniczki wodzące w przerwie na lunch tęsknym wzrokiem po biżuterii, na którą mogłyby sobie pozwolić po dwudziestu latach wyrzeczeń, narzeczonych polujących na idealny pierścionek, który przypieczętowałby ich związek. Uwielbiała gromadki brodatych mężczyzn w czarnych płaszczach, którzy na skraju chodnika dobijali targu, podawali towar z ręki do ręki, czy pb prostu oddawali się *szmucen* w pół tuzina języków.

Wszyscy w tej okolicy znali Pete (poza matką nikt nigdy nie nazywał jej Pietrą). Należała do tego miejsca w równym stopniu jak Goldman, który opracował kamienie, czy Brailoffsky, który handlował

kamieniami nie szlifowanymi.

Ponad połowę swoich czternastu lat zachodziła na tę ulicę po szkole. Od kiedy tylko była w stanie, wspinając się na palce, zajrzeć w witryny, studiowała z uwagą kipiące od klejnotów palety; studiowała również nabywców biżuterii, zastanawiając się, dlaczego ich wybór padł akurat na ten a nie inny klejnot.

Teraz też brodate twarze słały jej uśmiechy, kiedy przeciskała się między grupkami ortodoksyjnych chasydów, którzy praktycznie zmonopolizowali ulice. Ocienione szeroką kresą kapelusza głowy z odstającymi uszami kiwały jej na powitanie; przerywano prowadzone półgłosem w jidisz pogawędki, żeby pozdrowić przechodzącą.

Idąc przyciągała spojrzenia pełne uznania. Czternastoletnia, chuda jak patyk Pete miała kilometrowe ręce oraz nogi i źrebięcą nieporadność w ruchach. Jednak nie ulegało żadnej wątpliwości, że kruczowłosa Pietra Anneke D'Angeli wyrasta na nie lada piękność.

Jej wielkie oczy miały barwę lazurytu, taką samą jak oczy babki, której nigdy nie знаła. Delikatnie rzeźbione, odziedziczone po ojcu rysy, przyprószone morelowym rumieńcem, obciągała gładka cera barwy słoniowej kości.

Pod szkolną spódniczką, białą bluzką i podkolanówkami jej ciało zaczynało zdradzać oznaki wdzięku, który miał

wkrótce zastąpić szczenięcą nie-zdarność.

Była bardzo wysoka, miała niezwykle długie nogi i równie długie palce. Dłonie stworzone do diamentów, mawiał jej dziadek. Ach, ileż by dała za to, żeby się nie mylił!

Teraz, w parne kwietniowe popołudnie, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie wełnianej spódniczki, kroczyła przed siebie z niewzruszoną determinacją. W inny dzień z pewnością zatrzymałaby się, żeby poplotkować z panem Hirschem, kupić na rogu hot-doga od Manny'ego lub też zajść do księgarni Gotham, w pół drogi między przecznicami, aby omówić ze starszą panią, Frances, dobór kolejnej lektury. Każdego dnia - ale nie dziś.

Złożyła potajemną przysięgę. Obiecała sobie, że nie będzie się bać. Nie ma gorszej rzeczy na świecie niż strach.

Rzucając na wszystkie strony ukradkowe spojrzenia, które miały upewnić ją, że nie jest śledzona przez ciemne typy, przystanęła przed nie wyróżniającym się niczym budynkiem. Nie zauważyła nic podejrzanego. Na dziewiątym piętrze, za drzwiami z matowego szkła, na których złote, odrapane litery głosiły: „Shapiro i Synowie. Kupno i sprzedaż diamentów”, w bezosobowym blasku świetlówek barczysty mężczyzna w białej koszuli i czarnej jarmułce pracował przy okratowanym warsztacie.

- Przychodzę od pana Zeemana - oznajmiła Pete. Mężczyzna spojrział w górę, sceptycznie unosząc brew nad jubilerską lupą, której nie wypuszczał z oka.

- Naprawdę? Będzie mi tu przysyłał dzieci... do tego dziewczynki! - zareagował ostro, jakby spotkała go zniewaga.

- Nie jestem dzieckiem! - oświadczyła Pete, potrząsając głową, tak że zafalowały jej długie włosy.

Shapiro przyglądał się jej przez chwilę, nie wypuszczając lupy z oka. Pete czuła się jak pod mikroskopem. Wreszcie podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Naprawdę ją przysłałeś? - rzucił w głąb słuchawki. Wysłuchał odpowiedzi z pochmurną miną. - Dajesz głowę? -

Wzruszył ramionami, mamrocząc - ... twoja strata - i rozłączył się.

Okręcił się na stołku, otworzył sejf i wysunął jedną z licznych szufladek. Przejrzał pospiesznie zawartość paru białych pakiecików, tradycyjnie stosowanych przez handlarzy diamentami torebek, powstałych z arkusza papieru złożonego pięciokrotnie, zgodnie z przekazywanym z pokolenia na pokolenie wzorem. Pete śledziła jego zabiegi szeroko otwartymi oczami. Policzki płonęły jej z wrażenia. Z każdego z czterech pakiecików Shapiro wytrząsnął po kilka przezroczystych, nie oszlifowanych kamieni. Przeliczył wszystkie, pedantycznie oddzielając długim paznokciem, następnie wrzucił z powrotem do papierowych kopertek i zapisał coś w notesie, który trzymał na biurku. Podał Pete kopertki przez kratę.

- Wiesz, że te kamienie są warte ponad pięćdziesiąt ty...

- Wiem - przerwała. - Proszę się nie niepokoić. - Wrzuciła kopertki w głęboką kieszeń fałdzistej spódnicy.

- Proszę się nie niepokoić - powtórzył zrzędlwym tonem. Odwrócił się z powrotem do swojego warsztatu i poprawiając lupkę, pochylił się nad diamentem. - To dziecko mówi mi, że ja się mam nie niepokoić - dobiegło Pete gniewne mamrotanie, kiedy zamykała za sobą drzwi.

Gdy znalazła się z powrotem na ulicy, rozejrzała się ostrożnie po twarzach przechodniów, zanim ruszyła przed siebie energicznym krokiem. Oczy miała spuszczone, ale po twarzy błąkał się nikły, dumny uśmiezek.

- Hej, ślicznotko - dogonił ją jakiś głos. Obejrzała się i zoba-

czyła chłopaka, który lustrował ją z aprobatą. Nieznajomy mógł być parę lat starszy od niej. - Dostane coś od ciebie?

Nagle zabrakło jej oddechu; źrenice rozszerzyły się z przerażenia. Dopiero po chwili dotarło do niej, że nieznajomy usiłuje ją poderwać. Przyspieszyła kroku, zostawiając w tyle chłopaka, rechocącego na widok jej rumieńców. Inaczej by się śmiał, pomyślała, gdyby wiedział, co mam w kieszeni. Koniuszkami palców pogładziła pakieciki. Uśmiech wrócił jej na usta. Obiecywała sobie, że będzie ostrożna i nieustraszona. Diamenty w jej kieszeni były bezpieczniejsze, niż gdyby podróżowały w eskorcie uzbrojonych strażników. Chociaż wiek i płeć czyniły z niej dość niecodzienną kurierkę, noszenie po kieszeniach bez pokwitowania niewielkich fortun pod postacią nie oszlifowanych

kamieni nie było na tej ulicy niczym niezwykłym. Handel diamentami opierał się na wzajemnym zaufaniu, uścisku dłoni, niesprecyzowanych zobowiązaniach. Fortuny przenoszono w brązowych papierowych torebkach, zawierano kolosalne transakcje nie wypłacając sobie ani grosza, bez żadnych oficjalnych pokwitowań, sumy odnotowując wyłącznie w pamięci.

W pięć minut później Pete otwierała drzwi warsztatu, bardzo podobnego do warsztatu Shapiry. Na matowym szkłe drzwi widniał namalowany przez szablon napis: „Josef Zeeman - szlifowanie i polerowanie kamieni szlachetnych”.

- Jesteś, Pietje - ucieszył się mężczyzna za kontuarem. - Bardzo się bałaś?

- Nie, Opa - zwróciła się do dziadka, holenderskiego imigranta o okrągłej, czerwonej, rembrandtowskiej twarzy, ozdobionej siwiejącą, przerzedzoną brodą. Niewysoki, lecz masywnej budowy, Josef Zeeman, solidny i niezawodny jak pozbawiony wymyślnych ozdób holenderski mebel.

- Jeżeli ktoś się bał, to pan Shapiro - uśmiechnęła się łobuzersko. - Założę się, że właśnie dzwoni, sprawdzając, czy dotarłam.

- Shapiro to stara baba.

- Stara kobieta z brodą - poprawiła wybuchając śmiechem. Wyjęła cztery białe pakieciki z kieszeni spodniczki i jaśniejąc z dumy, podała dziadkowi.

- Nieźle się spisałaś, Shatje- zwrócił się do niej pieszczotliwie

po holendersku. Shatje - skarbie, często ją tak nazywał. Ta dziewczynka, to cudo ochrzczone imieniem Pietra, była słońcem życia Josefa Zeemana.

- Co robisz, Opa? - spytała, nachylając się nad kołem szlifierskim. Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon, postawiony na brzeżku warsztatu.

- Wróciła, wróciła, Jacob - rzucił Zeeman w słuchawkę. Puścił oko do Pete i ciągnął dalej. - Naturalnie musiała stoczyć walkę z plemionami dzikich Indian i kowbojów.

Pete chichocząc zasłoniła usta.

- Tylko Indian, Opa - sprostowała, kiedy odłożył słuchawkę.

- W Ameryce nie ma nic takiego, jak plemiona kowbojów.

- No cóż - westchnął. - Będiesz mnie uczyła Ameryki, a ja cię za to nauczę tego, na czym się znam. Chodź tutaj -

skinął ręką w jej stronę. - Pytałaś właśnie, co robię. Szlifuję diament dla Van Diemana. Przyjrzyj się - wręczył jej lupę, którą przytrzymała brwią, z wprawą świadcząca o wieloletniej praktyce.

- Następnie podał jej rozszerzoną na jednym końcu łapę z nie oszlifowanym diamentem przyklejonym

do końca kropelką lutu.

- Pfuj! Cóż za brudas - wzdrygnęła się, zaledwie rzuciła okiem na kamień. - Wszędzie widzę wrostki tytanowe, nawet okruchy węgla. Pod samą powierzchnią.

- Jakbyś oceniła jego czystość? - Josef promieniał. Spojrzała jeszcze raz, skoncentrowana do ostatnich granic.

Za nic w świecie nie chciała się pomylić.

- P-dwa? - zaryzykowała.

- Nieźle - przyznał. - A dokładnie P-jeden. P-dwa byłby jeszcze bardziej zanieczyszczony. - Skrzywiła nos z niesmakiem. Zeeman wybuchnął rubasznym śmiechem. - Van Diemanowi bardziej zależy na rozmiarach niż na czystości. Jego klientom me przeszkadza, że kamień jest mętny jak woda w amsterdamskim kanale. Liczy się tylko jedno - żeby był jak największy.

- Głupcy - podsumowała z pogardliwym wzruszeniem ramion, oddając mu łapę.

Josef odłożył na bok zanieczyszczony kamień.

- A co o tym sądzisz? - spytał, podając jej w szczypcach maleńki okruch brylantu. Jeszcze raz wsunęła lupę pod brew.

Od dobrych paru lat poddawał Pete podobnym sprawdzianom;

rozbudzał jej naturalne uzdolnienia, ćwiczył oko. Miała raptem sześć lat, kiedy zaczął wprowadzać ją w tajniki szlifowania diamentów. Swoje wykłady przemycił w postaci bajek. Słuchała zafascynowana.

Któregoś dnia, kiedy miała dziesięć lat, przyniosła z parku parę strąków chleba świętojańskiego. Wyjaśnił jej wtedy, że słowo karat, powszechnie przyjęta jednostka wagi kamieni szlachetnych, pochodzi od arabskiej nazwy chleba świętojańskiego - *kirat*. Ziarna tej rośliny są obdarzone tak niezmienną wagą, że Arabowie zaczęli używać ich jako odważników przy ważeniu drogocennych kamieni. Przez całe popołudnie łuskała ziarenka i ważyła na superczulej, jubilerskiej wadze. Za każdym razem uzyskiwała identyczny wynik dwustu miligramów. Zaśmiewała się, zachwycona.

Później zapoznał ją z precyzyjnymi formułami szlifowania kamieni, opracowanymi w dziewięćset dziewiętnastym roku przez antwerpskiego matematyka i inżyniera, Marcela Tolkow-skiego. Tłumaczył jej optymalne kąty i proporcje, pod którymi należało ciąć ścianki diamentów, żeby kamień miał największy połysk, czyli odbijał jak najwięcej białego światła na zewnątrz, oraz najpiękniejszą grę barw, inaczej mówiąc - ogień - efekt rozszczepienia białego światła na tęczę kolorów składowych.

Była niezwykle pojętną studentką, musiał przyznać, i wcale nie dlatego, że była jego wnuczką. Miała wrodzone oko do kamieni szlachetnych i naturalny dobry smak - tolerowała tylko doskonałość.

Teraz też z najwyższą uwagą studiowała diament, który wręczył jej na próbę. W milczeniu wpatrywała się w jego głębinę, tak zaabsorbowana, jakby wessała ją do groty o kryształowych ścianach.

- Cudowny - oznajmiła w końcu. - Z pewnością VS - dorzuciła pewnym głosem.

- Dokładnie! - wykrzyknął, uderzając dłonią w blat warsztatu. Pękał z dumy. - *Schatje*, z dnia na dzień robisz coraz większe postępy. Powiedz mi teraz, co sądzisz o jego kolorze?

Zaniosła kamień na stolik pod oknem i położyła na śnieżnobiałej płytce obok kamieni probierczych, sześciu obłych, ćwierćkaratowych uporządkowanych kolorystycznie diament-

cików, tworzących skalę porównawczą. Po kolei porównywała swój diament z każdym z nich, parokrotnie powtarzając zabieg; studiowała kamień pod chłodne światło wychodzącego na północną stronę okna warsztatu.

- Nie jestem pewna, ale... - kolejny raz porównywała kamień to z jednym, to z drugim z kamieni probierczych. -

Chyba klasa G. Biały. - Podniosła wzrok na dziadka.

- Bardzo dobrze - pochwalił niezwykle zadowolony. - Prawie zgadłaś.

- Najczystsza biel - klasa F.

- Psiakość!

- Nie denerwuj się - uspokajał ją, gładząc po gęstych, ciemnych włosach. - Trzeba lat, wielu lat, żeby nauczyć się prawidłowo klasyfikować diamenty.

- Przecież uczysz mnie już od lat! - wybuchnęła niecierpliwie.

- To prawda - przyznał - ale nie od wielu lat. - Wrzucił diament z powrotem do rozłożonego pakieciku.

- Czy kiedyś nauczę się tego wszystkiego, Opa? Chciałabym być znakomita. *Prima* - uzupełniła po holendersku.

Zastygł w pół gestu, przyglądając się wnuczce z uwielbieniem.

- Moje kochanie, ty już jesteś *přma*.

- Tylko dla ciebie - roześmiała się. - Ale, *Opa*, ja naprawdę chciałabym bezbłędnie opanować rozróżnianie kolorów.

Muszę się tego nauczyć!

- Nauczysz się, Petje. *Geduld*.

Potaknęła niechętnie. Denerwowało ją, że słowo: „cierpliwość” po holendersku brzmiało jak angielskie *get old* -

„wydoroślej”. Nie widziała powodu, dla którego miałyby czekać aż dorośnie, po to, żeby dowiedzieć się wszystkiego o kamieniach.

Josef uśmiechnął się wyrozumiale. Każdy, kto żąda od nastolatka cierpliwości, mógłby z równym powodzeniem próbować zatrzymać morskie fale, jednak jego wnuczka nieskończenie przewyższała swoje rówieśnice. Kamienie nigdy jej nie nudziły. Diamenty, rubiny, szmaragdy były częścią jej świata, na równi z hot-dogami, dyskoteką i Seanem Connerym w roli detektywa 007. Kamienie miały w sobie więcej magii niż wszelkie podniety świata nastolatków. Owszem, słuchała Beatlesów, czasem czytając nuciła pod nosem *Yeibw Submarine*, niemniej jej lektury częściej opisywały słynne klejnoty niż gwiazdorów rocka, którzy jej rówieśniczki doprowadzali do spazmów.

- Chodź tutaj - poprosił Josef - zobaczysz jak szlifuję czoło kamienia. - Włączył żeliwną szlifierkę, natarł pastą z oliwy zmieszanej z diamentowym pyłem, jedyną substancją ścierną zdolną zarysować powierzchnię najtwardszych kamieni, wreszcie uniósł łapę z przytwierdzonym diamentem.

Pete patrzyła jak zahipnotyzowana. Wciągała w płuca zachwycający pył, piła uszami cichy turkot szlifierki. Bacznie śledziła nawet najdrobniejsze z precyzyjnych ruchów doświadczonych dłoni dziadka. Dawała się ponieść magii tej chwili.

Ciągle jeszcze stała przy dziadku,- kiedy zjawił się Stefano D'Angeli, aby zabrać córkę do domu. Przystanął i przyglądał się Pete przez chwilę. Widok szlifierki, coraz jaśniejszy połysk diamentu, wprowadziły ją w trans. Pietra, nazwana tak na cześć matki, którą tak krótko znał, a tak nieskończenie kochał. Pete, jedyna rzecz, która mu wyszła.

Kochał ją z żarliwością, która chwilami zdawała się trzymać go przy życiu. Nie może dopuścić do tego, żeby jej życie, tak jak jego, zrujnował zwodniczy blichtr klejnotów.

Szlifując, Josef pogodnie recytował reguły Tolkowskiego, precyzyjnie określające kąty szlifowania, przy których występuje maksymalne odbicie promieni świetlnych.

- Szerokość czoła powinna wynosić dokładnie pięćdziesiąt trzy procent szerokości całego kamienia; przy kącie nachylenia korony równym trzydzieści cztery, koma pięć stopnia i kącie nachylenia pawilonu równym...

- Czterdzieści, koma siedemdziesiąt pięć stopnia.

- Dokładnie - potwierdził z uśmiechem, nachylając się nad szlifierką.

- Idziemy, Pete - oświadczył Stefano szorstkim głosem, wrywając córkę z oczarowania.

- Cześć, tato. - Posłała mu promienny uśmiech. - Chodź popatrzeć.

- Jest już późno. Na pewno masz lekcje do odrobienia.

- Tato, przecież jest piątek. Mam cały weekend na odrobienie lekcji.

Josef zatrzymał szlifierkę.

- Może wrócić ze mną do domu, Steve - oświadczył, patrząc spode łba na zięcia. Od przyjazdu do Stanów Stefano uchodził za Steve'a.

- Nie, Joe. Nie życzę sobie, żebyś mącił jej w głowie twoimi bzdurnymi diamentami. Idziemy, Pete. Nie wiem jak ty, ale ja się spieszę.

Znów jest nie w humorze, skostatowała Pete, zatem będzie lepiej, jeżeli zamknie buzię na kłódkę i pójdzie z nim grzecznie do domu. Złapała książki, nachyliła się nad szlifierką, żeby złożyć pożegnalny pocałunek na wysokim czole Josefa.

- *Dag*, Opa - zwróciła się do dziadka po holendersku. - Do zobaczenia w domu.

- *Dag*, *schatje* - odpowiedział z czułym uśmiechem.

- Za dużo kręcisz się przy tych diamentach dziadka. - Wybuchnął zrzędlawie Stefano, kiedy czekali na windę. -

Powinnaś bardziej interesować się rzeczywistością, starać się robić w życiu coś sensownego.

Przycisnęła książki do piersi.

- Dlaczego tak bardzo nienawidzisz kamieni, tato?

To pytanie dręczyło ją przez większość dzieciństwa. Stale musiała wysłuchiwać jego uwag dyskredytujących sposób, w jaki dziadek zarabiał na życie, czy krytykujących jej własną fascynację szlachetnymi kamieniami.

- Mrzonki zaklęte w martwy kamień i tyle. Nigdy nie będą niczym więcej. Myli się, kto ulega ich złudnej wartości...

- Pospiesznie wszedł do windy, jakby chciał umknąć przed dalszą indagacją.

Kiedy jechali w dół, Pete przyglądała się ojcu spod oka, zastanawiając się, co mogło być źródłem jego rozgoryczenia. Czyżby mama? Czy ojciec obwinił diamenty o to, co stało się z mamą?

Nie, chyba nie mógł myśleć takimi uproszczeniami. To musi być coś innego. Parę razy robił niejasne aluzje do tajemniczych wydarzeń z przeszłości, napomykając o zgubnej fascynacji klejnotami, zawsze jednak wykręcał się od szczegółów. Dociskany do muru robił się nagle tak nieszczęśliwy, że nie miała sumienia prowadzić dalszych dochodzeń. Czasem miała wrażenie, że na ojcu, jak na bohaterach czytanych w dzieciństwie bajek, ciąży klątwa. Musiał kiedyś zabłądzić do jaskini pełnej klejnotów, zazdrośnie strzeżonych przez złe demony.

Pete niedawno przeczytała książkę ze zbiorów dziadka, opisującą największe i najcenniejsze diamenty w historii.

Jeden z rozdziałów poświęcony był diamentowi Hope'a, ogromnemu, białobłękitnemu diamentowi, rzekomo obciążonemu klątwą. Każdego, kto został właścicielem kamienia, w krótkim czasie spotykała śmierć albo inne nieszczęście. Na myśl, że jej ojciec mógł podlegać podobnej klątwie, Pete czuła lęk przemieszany z podnieceniem.

Wysiedli z windy i wyszli na oświetloną południowym słońcem ulicę.

- Tatusiu, czy słyszałeś o diamencie Hope'a? - spytała po chwili.

- Nie słyszałem i nie chcę słyszeć - odpowiedział bez namysłu. Szli w milczeniu na zachód Czterdziestą Siódmą ulicą. Pete

uwielbiała tę porę dnia, kiedy słońce chyliło się ku New Jersey, a jego ukośne promienie przeciskały się między ścianami budynków, padając na skrzyżowania ulic i zabarwiając ściany domów na różowo. Usiłowała, nie zwracając uwagi na przygnębienie ojca, rozkoszować się urokami dnia.

Ale nowojorskie Przedpiekle - Hell's Kitchen, dzielnica ruder, których mieszkańcy toczyli nędzne życie, zawsze wyglądało okropnie. Tej okolicy nigdy niedostawało pieniędzy ani piękna, a honor był luksusem, na który mało kto mógł sobie pozwolić.

Przebiegli Ósmą Aleję. Pete przyglądała się spacerującym w oczekiwaniu na klientów handlarzom narkotyków, których twarze, przeżartej heroiną, nie mógł ulepszyć nawet najbardziej wymyślny makijaż. Przez chodnik przemknął szur; zniknął w szczelinie między cegłami spękanego muru kamienicy. Ktoś wrzasnął przez okno. Ani dźwięki, ani widoki nie były stosowne dla oczu i uszu czternastolatki, jednak Pete, jak każde dziecko z Przedpiekla, przywykła do nich od dzieciństwa.

Skręcili Czterdziestą Piątą na południe. Na progu ich kamienicy, nie po raz pierwszy zresztą, drzemał wyciągnięty pijak. Pete przeszła nad śpiącym, natomiast jej ojciec kopniakiem

przywołał go do trzeźwości; zwrzeszczał mężczyznę, każąc mu się wynosić. Byli w domu.

A wieczorem tego samego dnia Stefano stał w drzwiach do kuchni, obserwując jak Pete wkleja w swój model kawałek błękitnego kobaltowego szkła.

Czym zasłużyłem sobie, pytał się po raz nie wiadomo który od chwili jej przyjścia na świat - czym zasłużyłem sobie na to zaczarowane dziecko, istotkę, której wschodząca uroda wypełniała jego serce słodyczą, a oczy łzami niegodnymi mężczyzny? Podziękował w myślach swojej matce; na pierwszy rzut oka widać było, że geny La Colomby zatriumfowały. Po własnej matce Pete odziedziczyła jedynie porcelanową cerę zabarwioną lekkim rumieńcem i śmigłość topoli.

Musi być w życiu szczęśliwa - pomyślał z żarliwością, od której poczuł ucisk w dołku. Będzie szczęśliwa. Ale jednego był absolutnie pewien - tego szczęścia nie mogła jej zapewnić przyszłość poświęcona klejnotom. Klejnoty niosą ze sobą cierpienie, niosą nienawiść, frustrację, ból serca. Nie

dopuści do tego, żeby ktoś czy coś złamało serce jego córce, tak jak ongiś złamano serce jemu.

- Tracisz tylko czas - odezwał się z naganą. - Zawracasz sobie głowę kamieniami, zamiast robić coś pożytecznego.

Drgnęła, zaskoczona. Nie dosłyszała, jak wchodził, w przeciwnym razie schowałaby model. Dobrze wiedziała, co sądzi o jej ulubionym zajęciu - projektowaniu biżuterii.

- Lubię zajmować się kamieniami. Czy robienie czegoś, co się lubi, jest stratą czasu?

- Co z tego będziesz miała? Czy chcesz, jak twój dziadek, po całych dniach opukiwać młotkiem i dłutem martwe kamienie? A może bardziej pociąga cię zaszczytna posada ekspedientki w sklepie jubilerskim?

- Czemu nie? - Od kiedy skończyła osiem lat, lady w sklepach jubilerskich były ulubionym miejscem jej pielgrzymek. Najwspanialszym przeżyciem dziewięcioletniej Pete była wyprawa z dziadkiem do Galerii Wildensteina na wystawę wielkiego

Jeana Schlumbergera. W salonach ekspozycyjnych Tiffany'ego, Cartiera i Harry Winstona orientowała się równie dobrze, jak we własnej kuchni. Co dzień po szkole, w drodze do pracowni dziadka, wędrowała Piątą Aleją, pochłaniając wzrokiem skrzące się od drogocенności witryny. Godzinami potrafiła wystawać przed paletą z broszkami, studiując łuki skrzydeł emaliowanego motyla, mieniące się światło oprawnego w platynę „ognistego”

opalu, intensywność gwiazdy w „gwiazdzistym” szafirze.

- Bo jesteś na to za mądra i tyle - oświadczył Stefano. - Bo kraj, w którym mieszkasz, stwarza szansę zdobycia porządnego wykształcenia, jeśli tylko zakrzątniesz się wokół tego!

Bo nie chcę, żeby klejnoty zrujnowały twoje życie, tak jak zrujnowały moje, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. Szykowała się, żeby odłożyć robótkę, kiedy oświadczył.

- Rób, co chcesz, ja i tak wychodzę.

Parę razy w tygodniu jeździł wieczorami metrem na Mulberry Street, do centrum nowojorskiej Little Italy, gdzie z gromadą równie jak on wysadzonych z siodła *compatrioti* wysiadywał nad szklaneczką wina, wyobrażając sobie, że nadal jest idealistycznie nastawionym młodzieńcem z Mediolanu, czy może bohaterskim *pañigiano* w Apeninach.

Kiedy wyszedł, Pete natychmiast wróciła do roboty, od której oderwała się z zeszywniałym karkiem o jedenastej w nocy. Dopiero kiedy spojrzała na czerwony, plastikowy zegar nad kuchenką, dotarło do niej, która godzina.

Pracowała trzy godziny.

Projektowanie biżuterii zawsze pochłaniało ją tak, że zapominała o całym świecie. Nie docierały do niej podniesione głosy ojca i dziadka, spierających się o pieniądze, o matkę, o cokolwiek, byle tylko

dać upust frustracji nie spełnionych marzeń. Pracując, zapominała o tęsknocie za matką. Zapominała o brzydocie rozwalającego się podwórza za oknem, o występku, który czał się za każdym rogiem, i złościwościach ze strony innych dzieci.

Kiedy pracowała, istniały dla niej tylko harmonia barw, kąt pod jakim powierzchnie pochłaniały bądź odbijały od siebie nawzajem promień świetlny, symetria bryły. Była to dojmująca potrzeba tworzenia piękna, które żyłoby dłużej niż jeden dzień.

Spojrzała na rezultat swoich wysiłków: zwykły, celuloidowy grzebyk, szczotka z włosia dzika i dziecięce nietłukące lustro z połyskliwego metalu, oprawnego w plastik, przeszły metamorfozę w prezenty urodzinowe dla matki.

Od miesięcy zbierała gladziutki, cienki jak jedwab, srebrny staniol z gumy do żucia Juicy Fruit, wyprasząc papierki od koleżanek w klasie, a nawet wydając własne, drogocenne dziesięciocentówki na zakup lepkiej od cukru substancji, której nigdy nie brała do ust. Z najwyższą starannością odklejała staniol od papierowej podkładki, następnie rozprostowywała go i cięła na drobne kawałeczki. Nie było jej stać na płatki srebra, więc oklejała przybory staniolem, wygładzając najdrobniejsze nierówności. W ten sposób powstawał srebrny komplet dla matki.

Z paciorków i znalezionych na plaży szkiełek, którym dziadek na swojej szlifierce pomógł nadać odpowiedni kształt, wykonała z tyłu lusterka replikę rozety okiennej z katedry w Chartres. Trafiła na fotografię w bibliotece i zachwyciła się bogactwem kolorów, symetrią wzoru, który zdawał się jednocześnie wibrować i napawać spokojem. Rozeta wydała się Pete idealnym ucieleśnieniem spokoju wewnętrznego i nadziei, których tak bardzo pragnęła dla matki.

Tył szczotki ozdobił podobny wzór wykonany z opalizujących okruchów muszelek. Przy grzebieniu pozwoliła się ponieść wyobraźni, puszczając wzdłuż grzbietu winorośl, zakończoną pękiem białych gron ze sztucznych pereł; liście zrobiła z usztywnionej koronki.

Nie mogła się doczekać następnego dnia, kiedy to wręczy matce swój podarunek.

Pete nachyliła się i ucałowała blady policzek matki, gładząc ją po srebrzystych włosach, które zachowały dawną piękność.

- Do widzenia, mamó. Przyjedziemy za tydzień.

Dla Pete sobotni rytuał przebiegał zawsze tak samo. Z ojcem albo z dziadkiem - rzadko z obydwojma, ale zawsze z którymś z nich - odbywała długą, upiorną podróż do Yonkers, przesiadając się z metra na pociąg, z pociągu na autobus, po to, by wreszcie znaleźć się przed ponurym, szarym budynkiem, który rozsiadł się na stromym brzegu Hudsonu. Kiedy Pete zobaczyła budynek pierwszy raz, wydał się jej przeraźliwym, spróchniałym zębem w szczęce olbrzyma. Obraz ten na trwałe wrył się w jej wyobraźnię, chociaż podrosła i nie miała już tylu bajkowych skojarzeń. Stanowy zakład psychiatryczny w Yonkers był siedliskiem rozkładu, miejscem, w którym umysł i dusza pacjenta, uwięzione na zawsze w szczękach olbrzyma, ulegały przeżuciu na papkę.

Pete nigdy nie była w pokoju matki. Ojciec albo Opa niezmiennie prowadzili ją do poczekalni, a

sami udawali się po matkę. Czasami bardzo długo trwało, zanim wreszcie zjawili się w poczekalni. Bywało, że ojciec powracał sam do oczekującej na twardym krześle Pete.

- Mama czuje się dziś nienajlepiej, zobaczymy się z nią za tydzień - mówił, a Pete wiedziała, że nie warto się spierać.

Bettina miewała lepsze i gorsze dni, a Pete nauczyła się je rozróżniać od pierwszego wejrzenia. W lepsze dni wychodzili we troje na zewnątrz i spacerowali po wydeptanym trawniku, upstrzonym jaskrawożółtymi mleciami.

Albo siadali pod dębem podziwiając szybkie fale Hudsonu, które czasem spływały do morza, a kiedy indziej, wraz z przyływem pędziły w głąb łądu.

W dobre dni Bettina uśmiechała się lub nawet trochę gwarzyła. Pete opowiadała jej o szkole, o swoich lekturach, nowej sukience, obejrzanych programach telewizyjnych. Kiedy zbierali się do wyjścia, Bettina mocno przytulała Pete i całowała ją na pożegnanie. Wydawała się prawie normalna.

- Tato, dlaczego mamusia nie może z nami jechać do domu? - pytała w takich przypadkach Pete.

- Za wcześnie, Pete. Mamusia jeszcze nie jest całkiem zdrowa.

- Czy kiedyś wyzdrowieje? - Stefano zapatrzył się na fale Hudsonu. - Nie wiem, *bambina*. Może któregoś dnia wyzdrowieje.

W gorsze dni Bettina zamykała się w sobie. Z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu siedziała, nie odzywając się słowem, jakby wokół jej umysłu zacisnęły się szczęki zakładu. W te dni siedziała spokojnie między ojcem bądź

mężem a córką nie zauważając, że trzymają ją za ręce, wpatrzona w coś, czego nikt oprócz niej nie umiał dostrzec.

Dzisiaj był dobry dzień. Josef przywiózł ze sobą Pete. Bettina zachwyciła się prezentem. W jakiś czas później, stojąc razem na Stromym brzegu, podziwiali jednomasztowy żaglowiec, halsujący pod prąd po mieliznach Hudsonu. Z

żaglem wydętym od wiatru, pruł do położonego o sto mil w górę rzeki Albany. Kiedy zniknął z pola widzenia, Bettina przypomniła wyprawę żaglówką na pełne morze, którą odbyła jeszcze jako dziecko w Scheveningen. Jej twarz rozświetlił łagodny uśmiech, oczy zaślniły na wspomnienie niewinnych lat dzieciństwa.

- Pamiętasz, tatusiu?

- Pamiętam, *Tientje*- odpowiedział Opa głosem tak smutnym, że Pete zebrało się na płacz. - Pamiętam.

Pete też usilnie walczyła o to, żeby pamiętać - zatrzymać w pamięci wspomnienia najjaśniejszych chwil, jakie przeżyły z matką. Pozwolić im zgasnąć oznaczałoby częściową kapitulację w walce o

ocalenie życia matce.

Pamiętała jeszcze, jak trzymając się z mamą za ręce spacerowały po parku nad rzeką, a mama wymieniała holenderskie nazwy kwiatków rosnących wzdłuż ścieżki. Przypominała sobie, że stokrotki nazywały się *margriet-jes*, nagietki - *goudsbloemen*, złote kwiaty. Za każdym razem, kiedy Pete udało się wypatrzeć irysy, mama wybuchała melodyjnym śmiechem, dźwięczącym jak grające na wietrze szklane dzwoneczki, które pan Morris z naprzeciwka zawiesił nad drabinką przeciwpożarową. Pete dźwięczał jeszcze w uszach śmiech matki. *Regenboogen*, mówiła jej matka na irysy, *regen-boogen* - tęcze.

Pamiętała, jak wędrowały z matką po piaskach Jones Beach, a jej delikatna skóra różowiała w promieniach letniego słońca. I rodzinne wycieczki na wyspę Staten promem, który stanowił coś w rodzaju jachtu dla ubogich. Godzinami pływali tam i z powrotem, bo mama czuła się na wodzie szczęśliwa i nigdy nie miała ochoty wracać do domu.

Niełatwo było pamiętać jasne chwile. Bywało, że pamięć ulegała wyłącznie natłokowi czarnych wspomnień - mama, siedząca przy zgaszonych światłach w bujanym fotelu, mama, która po całych dniach nie odzywa się słowem, która zamyka się z nią w szafie, czekając, aż „źli ludzie odejdą”, płacz matki, który przypominał zawodzenie rannego zwierzęcia.

W pociągu z Yonkers naprzeciwko Pete jechał pasażer z gazetą. W miarę jak odkładał do tyłu przeczytane strony, przed oczami Pete pojawiały się kolejne zdjęcia: rozszalały tłum na lotnisku wita Beatlesów, obrońcy praw cywilnych demonstrują na ulicach Selmy, żołnierze biegną przez pole ryżowe w Wietnamie. Nagle dotarło do niej, jak długo matki nie było już w domu. Kiedy mieszkali razem, nie było jeszcze żadnych Beatlesów, żadnego Wietnamu, a strajki okupacyjne nie należały do stałych tematów na lekcjach poświęconych wiadomościom o świecie współczesnym.

- Czy myślisz, Opa, że mama kiedykolwiek będzie w stanie wrócić do domu?

- Modłę się to, *schatje*, co noc - odpowiedział z uśmiechem, który zawsze towarzyszył odpowiedziom na jej odwieczne pytanie.

- Ja też. - Rozpaczliwie pragnęła, żeby matka wróciła do zdrowia, ale nie istniało nic, co mogłaby dla niej zrobić.

Rozdział drugi

Nowy Jork - marzec 1950

Stefano wszedł do niewielkiego stoiska prowadzonego przez Josefa Zeemana w jubilerskiej galerii przy Czterdziestej Siódmej Ulicy. Było to ostatnie miejsce, które miał odwiedzić tego dnia. Stefano zajmował się skupem używanej biżuterii i w ramach swojej pracy odwiedzał drobnych sprzedawców i właścicieli warsztatów naprawy biżuterii, dzierżawiących stoiska w galerii przy Czterdziestej Siódmej.

Wielu z nich, podobnie jak Holender, było repatriantami wojennymi - ludzie w rodzaju Stefana,

którzy w Europie robiliby coś lepszego, gdyby wojna tak dramatycznie nie wyrzuciła ich na bocznice. Josef przed wojną był

szanowanym szlifierzem diamentów w Rotterdamie, w Nowym Jorku natomiast naprawiał zapięcia w bransoletkach, na zamówienia sekretarek oprawiał półszlachetne kamienie i wymieniał bransolety w starych zegarkach.

Tego wieczoru Stefano dostarczył Zeemanowi partię uszkodzonych kolczyków.

- Pokażę panu ładny zegarek - zaproponował Josef. - Dostałem go jako zapłatę za pewną robotę. Sprzedam panu po korzystnej...

- Nie potrzebuję zegarka - przerwał Stefano.

- Kiedy to jest damski zegarek. Myślałem, że mógłbym go pan wziąć dla żony.

- Nie jestem żonaty - oświadczył Stefano, a widząc, że Zeeman nie spuszcza z niego wzroku, dodał. - I nie mam dziewczyny.

Widząc, że podejrzany błysk nie znika z oczu Zeemana,

domyślił się, że jest obiektem podchodów starego. Nie zdziwił się więc, gdy Holender napomknął, że ma córkę i zaproponował spotkanie.

- Moja Bettina jest bardzo piękną i bardzo bystrą dziewczyną. Jej towarzystwo na pewno przypadnie panu do gustu.

- Może... jak będę miał czas - odpowiedział Stefano opryskliwie. Nawet gdyby w jego sercu już zabiły się rany, zadane przez śmierć Marisy, w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić, że płonie uczuciem do córki holenderskiego zegarmistrza, rumianej *kuisvrouw*, z pewnością zbyt pulchnej od samotnego lasowania po własnych, rewelacyjnych wypiekach.

Holender obrzucił go przenikliwym spojrzeniem.

- Pan zaczeka - poprosił. Wrócił po chwili niosąc butelkę *Geneuer*, mocnego holenderskiego dzinu. Nalał każdemu kilka kolejek, po holendersku - *borreltjes*. Wypili. Josef napomknął o bolesnych ranach, jakie wojna zadała jego córce i o miłości i trosce, których wymagała, żeby powrócić do zdrowia.

- Co się stało pańskiej córce? - zainteresował się Stefano. Josef opowiedział historię córki z żarliwością i prostotą, które

wskazywały, że pierwszy raz od przyjazdu do Ameryki dzieli się z kimś szczegółami wydarzeń.

Kiedy Holandia znalazła się pod okupacją, Zeemanowie przez pewien czas żyli po dawnemu. Ich dom cudem ocalał

z dywanowego nalotu na Rotterdam. Josef w dalszym ciągu pracował jako szlifierz, żona zajmowała się domem.

Bettina nadal chodziła do szkoły, tyle tylko, że teraz musiała jeździć na rowerze do ocalałego budynku przez parę kilometrów gruzów i ruin.

Nawet kiedy zaczęły krążyć pogłoski o obławach na ortodoksyjnych Żydów i zsyłkach do obozów pracy, Josef nie czuł się zaniepokojony.

- Oczywiście, że wszyscy współczuliśmy wysiedlonym - opowiadał z odcieniem ironii - byliśmy też zaszokowani okrucieństwem okupanta. My jednak należeliśmy do szarych, niekłopotliwych ludzi. Nie uczestniczyliśmy w ruchu oporu. Nie mogli mieć na nas żadnego haka. Byliśmy czyści jak łąza.

Josef był protestantem; jego żona przyszła wprawdzie na świat w żydowskiej rodzinie, jednak z chwilą wyjścia za mąż porzuciła praktyki religijne. Tylko z przyzwyczajenia nadal

kupowała mięso w koszernej jatce, a chleb w żydowskiej piekarni. W końcu jej matka tam właśnie zaopatrywała się przez całe życie; mięso było ładniejsze, a chleb świeższy.

- Aż - ciągnął Josef zgaszonym głosem - któregoś piątkowego popołudnia na Nassaustraet wtoczyła się niemiecka ciężarówka wojskowa. Sporo sklepów należało tu do Żydów. Kobiety robiły zakupy na szabas. Była wśród nich moja Anneke...

Jego żonę wraz z dziesiątami innych kobiet pod lufami karabinów zapakowano do ciężarówek i wywieziono w nieznanym kierunku.

- Na początku sądziłem, że to jakaś okrutna pomyłka, bo cóż innego mogło wchodzić tutaj w rachubę? Udałem się do władz okupacyjnych. Okazało się, że naziści nie mylą się w tego rodzaju sprawach. Dopiero wtedy zorientowałem się, że świat stanął na głowie.

Wkrótce dowiedział się, że gestapo przychodzi do szkół po żydowskie dzieci. Bettina znalazła się w niebezpieczeństwie. Mimo że w życiu jej noga nie stąpnęła w synagodze, dla hitlerowców była Żydówką, podobnie jak jej matka. Od chwili wywiezienia żony ochrona Bettiny stała się najważniejszą sprawą w życiu Josefa.

Postanowił ukryć się wraz z córką.

Ich kryjówka znajdowała się w zakamarku poddasza aryjskiego lekarza, starego przyjaciela Zeemanów. W ukrytym za pozorną ścianką, pozbawionym światła i wody schowku o powierzchni zaledwie metra kwadratowego doczekali końca wojny.

- Doktor przynosił nam jedzenie i wynosił nieczystości - opowiadał Josef beznamiętnym głosem. - Raz na tydzień, w środku nocy, wyczołgivaliśmy się na palcach do łazienki. Gnieździliśmy się jak szczury przez trzy i pół roku.

Wysłuchawszy tej opowieści Stefano poczuł, że nie ma innego wyjścia, jak tylko opowiedzieć o wszystkich okropnościach i utracie najbliższych, które stały się jego udziałem. Przez całe lata tłumił

w sobie wspomnienia o Marisie, ból, wywołany jej nagłą śmiercią, poczucie winy. Ale *Geneuer* rozwiązuje języki; Stefano zapragnął ulżyć cierpieniom Holendra, zwracając jego uwagę na fakt, że jego córka, choć poszkodowana przez wojnę, przeżyła i miała jeszcze całe życie przed sobą.

Słuchając relacji z dowodzonej przez Koppvelda masakrze

wioski Marisy, Josef kręcił z niedowierzaniem głową. Oczy wypełniły mu się łzami, kiedy Stefano dotarł w opowieści do chwili odnalezienia zwłok dziewczyny. W milczeniu dołał jeszcze dżinu.

- Może mógłby pan zajść do mnie któregoś wieczoru, poznać Bettinę. Ona... ona kogoś potrzebuje.

Stefano zachodził w głowę, jak najprościej i najuprzejmiej odprawić Holendra. Jak wyjaśnić, że jego serce umarło wraz z Marisą, że obawia się, iż każda inna kobieta będzie dla niego jedynie ulgą w niezaspokojeniu seksualnym, dręczącym go, od kiedy Marisa odeszła?

Jakimi słowami opowiedzieć o cierpieniach i frustracji, które niosło za sobą bezskuteczne poszukiwanie skarbu?

Tamtej nocy, po powrocie z Waszyngtonu przed trzema laty, był już zdecydowany się poddać i uznać zwycięstwo Vittoria. Kiedy jednak wydobył flakonik, jedyną pozostałość ze schedy, i naszykował go do sprzedaży, która miała mu zapewnić środki na rozpoczęcie nowego życia, okazało się, że nie jest w stanie się z nim rozstać... czy może nie jest w stanie rozstać się z wspomnieniem matki... albo ze snem o milionach. Zaczepił się w branży jubilerskiej z nadzieją, że w końcu natknie się na jakiś ślad. Tropił każdego, kto był zdolny do wykonania mistrzowskiego fałszerstwa, jakie wiązało się z wykonaniem duplikatu buteleczki, szedł za każdym śladem, który mógł go doprowadzić do brata. Kiedyś przeczytał o sprzedanej na aukcji bransoletce z rubinów, której opis przypominał bransoletkę widzianą w rezydencji matki. Trop jednak, podobnie jak wszystkie inne, okazał się fałszywy.

Głos Josefa przerwał rozmyślenia.

- Czy zastanawiałeś się kiedyś, przyjacielu, dlaczego my przeżyliśmy, kiedy tylu innych zginęło - twoja Marisa, moja Anneke, dziesiątki ofiar?

Impet nieoczekiwanego pytania wywołał istny wir sprzecznych uczuć w duszy Stefana. Chciał uciec, jednocześnie pragnął otworzyć serce przed Zeemanem. Przeklinał Holendra za to, że wyciągnął na światło dzienne koszmary, które dotąd dręczyły Stefana po nieprzespanych nocach.

- *Natwalmente* - wydusił z siebie wreszcie, z wrażenia mówiąc po włosku. - *Tuttigiorni* dzień w dzień zadaję sobie to pytanie...

- I znalazłeś na nie odpowiedź? Stefano potrząsnął przecząco głową.

- Ja też nie - oświadczył stary. Bo na to pytanie nie ma odpowiedzi. Ale wiem jedno, *matje*. Wiem, że na nas, którzy przeżyliśmy piekło, spoczywa obowiązek udowodnienia, że nie przeżyliśmy tego na darmo. Musimy, w miarę naszych możliwości, żyć życiem, którego ich pozbawiono. Ty powinieneś mieć dzieci, których nigdy nie będzie mieć Marisa, wychować je tak, jakby ona je wychowała,

Bettina powinna stosować się do nauk swojej matki i przekazać je następnemu pokoleniu. Rozumiesz? To jedyny sposób, żeby ich śmierci nadać jakikolwiek sens, jedyny sposób, żeby jakąś ich częśćkę zachować przy życiu.

Stefano chwycił kieliszek i duszkiem wlał w siebie porcję dżinu. Przynajmniej nie owija sprawy w bawełnę, pomyślał. A już z pewnością wie, jak dotknąć czułego miejsca w człowieku. Cóż - miał się tego kiedy nauczyć. Ktoś, kto przekonał się, że ciężarówka podjeżdżająca pod sklep mięsny może w sekundzie obrócić czyjeś życie w ruinę, musiał uważać za głupotę, jeżeli nie występkiem, marnowanie czasu na okrężne podchody.

- Może spyta pan córkę, czy zechciałaby się ze mną wybrać do kina w ten weekend? - powiedział, zanim zdążył

pomyśleć **co** mówi.

Josef wziął się za uprzątnięcie butelki i kieliszków.

- Jeśli pan życzy sobie poznać moją córkę, panie D'Angeli, zapraszam **n a** poobiednią kawę w niedzielę - powiedział

cicho.

Lubi od razu przystąpić do rzeczy, pomyślał jeszcze raz Stefano. A przy tym jest bardzo dumny.

Wczesnym popołudniem w chłodną, słoneczną niedzielę, Stefano ocknął się **n a** pachnącym czosnkiem i zwietrzałym dymem papierosowym korytarzu. Stukał do metalowych drzwi, pokrytych zieloną, łuszczącą się farbą.

W jednej ręce trzymał pudełko czekoladek, w drugiej butelkę Chianti.

- Wchodź, wchodź, Steve. Miło cię widzieć - powitał go Josef przyjaźnie w progu.

W mieszkanku Stefano natychmiast poczuł się swojsko. Było ciasne, miało pochyłe ściany i zapadniętą podłogę, a mimo to

pozostawało w jaskrawym kontraście z ponurym otoczeniem na zewnątrz. W oknach prężyły się wykrochmalone koronkowe zasłony. Kwiecisty szal fantazyjnie udrapowano na dębowym kredensie, którego spękana politura lśniła doczyszczona na wysoki połysk. Porcelanowy zegar na gzymsie kominka łagodnie wydzwonił godzinę. Radio cichutko grało partię altówki z *Sinfonia Concertante* Mozarta. Josef pozbierał gazety rozrzucone na stole wokół

okularów

- „New York Times”, „Figaro”, „Het Parool”. W popielniczce ćmiła się fajka, przywołując wspomnienie cygara, które Carlo Brancusi nieodmiennie zapalał po obiedzie.

Wręczając Josefowi swój płaszcz, Stefano pociągnął nosem. Zapach tego pokoju miał w sobie coś

niezwykle domowego

- woń zasuszonych róż z misy wypełnionej płatkami kwiatów, cierpki aromat tytoniu fajkowego, ostry zapach cynamonu. I jeszcze coś. Ach, tak - prawdziwa kawa, której aromatyczne opary przenikały najdalsze zakątki mieszkania.

Pokój miał w sobie pewien nastrój. Nieobecny we wszystkich amerykańskich domach, które Stefano zdążył dotąd odwiedzić. Było w nim coś... europejskiego.

I wtedy pojawiła się ona, daremnie usiłując rozsypać wstążki fartucha.

- Tato, chyba już czas, żebyś... - Stała jak wryta. - Przepraszam, ale... - Zamilkła, speszona, że widzi ją w kuchennym stroju. - Nie słyszałam, kiedy pan wszedł.

Nie odpowiadał, tylko patrzył na nią. Bettina Zeeman była delikatna i drobnokoścista, a jej włosy miały kolor mieszający złoto z platyną - mieniły się srebrnym połyskiem. Jej uczesanie - dwie puszyste kucyki nad uszami, uwydatniało wysokie kości policzkowe, pod którymi kryły się lekko zapadnięte policzki. Ubrana była w zwyczajną, szarą spódnicę w fałdy i sweterek z długim rękawem, o odcień jaśniejszy od szarobłękitnych oczu. Pospolity strój, który noszony z wdziękiem i cichą godnością, nabierał jednak pewnej elegancji.

Odłożyła fartuch na bok i na wezwanie Josefa podeszła przywitać się ze Stefanem. Była wysoka, prawie tak wysoka jak on, zauważył Stefano i smukła jak zimowa gałązka, która czeka, żeby okryć się wiosennym listowiem. Jej piersi były

spiczaste, a nogi długie - jak nogi Marisy, pomyślał bezwiednie - dosyć długie, by opleść się wokół mężczyzny i przycisnąć go do siebie.

Jednak nie piękne, wysmukłe ciało, a twarz Bettiny rozwiała ostatnie wątpliwości Stefana co do tego, czy powinien w ogóle przychodzić do Zeemanów. Skóra o matowym połysku perłowej macicy, usta osadzone w twarzy jak błądliwy klejnot, wreszcie oczy o głębokiej szarości i błękitach oceanu, nad którym nieustannie unoszą się burzowe chmury, oczy, z których wyzierał przejmujący smutek.

Było w niej coś niezmiernie kruche, jakaś krystaliczność, która kazała obawiać się, że jedna fałszywa nuta może przerwać jej istnienie. Mało powiedzieć, że jest piękna, pomyślał Stefano. Jest przepiękna. Nieziemsko piękna.

- Dzień dobry, *signor* D'Angeli - powiedziała uprzejmie, podając mu rękę.

Jej głos miał melodyjną dźwięczność. Dłoń wydała mu się szczupła i delikatna, jakby cała siła wyciekła spod przezroczystej skóry. Nie patrzyła, a wpiła się w niego oczami, jakby chciała wchłonąć każdy rys, wyczytać z twarzy wszystko o jego duszy.

Znów przemknęła mu myśl o Marisie, jej oczach, wpatrujących się głęboko w jego oczy, kiedy kochali się ostatniej nocy...

W rzeczywistości te dwie kobiety różniły się jak dzień od nocy. Marisa miała kasztanowe włosy,

czekoladowe oczy i skórę barwy polerowanego bursztynu; była jak śmiech, jak ziemia i bogaty aromat toskańskiego wina, Bettina Zeeman miała w sobie coś z perły, krystalicznego błękitu i chłodu źródlanej wody.

A jednak Stefano czuł, że obie kobiety czerpały z tego samego źródła tajemnej energii, która w Marisie przejawiała się w postaci eksplozji, podczas gdy w młodej Holenderce szemrała jak podziemny strumyczek. To spostrzeżenie cofnęło go w czasie za wypalone słońcem grzbiety Apenin, do nocy, kiedy leżał z Marisą w łóżku w oparach świeżego chleba. Nawet teraz na samo wspomnienie tych chwil krew w jego żyłach zaczynała tętnić pożądaniem.

Wysunął drżącą dłoń z uścisku Bettiny. Popatrzyła zdziwiona.

- Miło mi panią poznać, panno Zeeman - powiedział. Josef promieniał.

- *Tienije*, podaj naszemu gościowi kawy.

- Już podaję, tato, ale może nasz gość najpierw usiądzie. - W jej oczach po raz pierwszy zagościł przeblysk uśmiechu.

Smutek ulotnił się i przez chwilę Bettina była całkiem odmieniona. Uśmiech znikł równie szybko, jak się pojawił.

Stefano zatęsknił za jego powrotem.

Przypomniał sobie nagle, że ciągle trzyma w ręku eleganckie miętowe czekoladki Schafta - podał Bettinie wykwinne aksamitne pudło.

Jej twarz rozjaśniła się dziecięcą radością, wysmukłymi palcami rozdarła celofan i uniosła wieczko. Zanurzyła nos w pudle z dziecięcym śmiechem, wdychając aromat słodczy. Włożyła do ust dwie czekoladki naraz, cmokając je tak długo, aż rozpuściły się w ustach. Już miała zamiar sięgnąć po następną, kiedy Josef wyjął z jej rąk bombonierkę.

Naburmuszyła się i przez chwilę wydawało się, że nie wypuści pudła z rąk.

- *Schatje* - skarcił ją Josef stanowczo. - *Er is genoeg. Die koffie.*

Posłusznie puściła pudło.

- Bardzo dziękujemy za czekoladki, *signor D'Angeli*. Proszę usiąść, zaraz podam kawę.

Wróciła natychmiast z tacą i do delikatnych filiżaneczek w kwiaty nalała kawę z dzbanuszką z delftu. Kawa była równie pyszna jak jej zapach - miała głęboki aromat starych win najlepszego gatunku, a do mdłej, brunatnej namiastki, która uchodziła w Stanach za kawę, miała się jak niebo do ziemi. Przymknąwszy oczy, Stefano upił

kolejny łyk, zatrzymując go na chwilę w ustach, żeby podelektować się smakiem.

Westchnął mimo woli.

- Prawda? - podchwycił Josef. - Ci Amerykanie pojęcia nie mają, co to jest kawa. Prawdziwa kawa, taka, jaką parzy moja Bettina. Smakuje domem, *ja?*

- Właśnie, domem - potaknął Stefano.

Domem. Czymś, co dla trojga zebranych w tym pokoju miało znaczenie, które zrozumieć mógł tylko ktoś, kto utracił wszystko.

- Tientje, poczęstuj Steve'a swoimi *koekjes* - polecił Josef.

- Prawdziwe, holenderskie herbatniki korzenne z migdałami

- zwrócił się do gościa. - Nie uwierzysz jaką Bettina jest znakomitą kucharką. Więcej, znakomitą gospodynią. Dbą o mnie na medal...

Jakiż to kochający ojciec i porządny przyjaciel, pomyślał Stefano. Ale za grosz finezji.

Stefano D'Angeli i Bettina Zeeman wędrowali po Piątej Alei. Raźne marcowe powietrze przydało ich policzkom rumieńców. Bettina przyciągała wzrok każdego przechodzącego mężczyzny. Odbywali pierwszą prawdziwą randkę.

W tamto niedzielne popołudnie Stefano zaproponował Bettinie wspólny wypad do kina w następny weekend.

Josef nie pożalował grosza, żeby należycie podkreślić wdzięk córki. Bettina miała na sobie szykowny kostium w biało-granatową kratę, a długa spódnica została uszyta zgodnie z wszelkimi wymogami „New Look”. Styl niedawno przedostał się przez ocean wprost od wziętego paryskiego projektanta mody, Christiana Diora, wywołując namiętne protesty młodych Amerykanek, oburzonych propozycją powrotu do gorsetów i wielu warstw hałeczek, których wymagał. Szczupłe ciało Bettiny, zwiewne jak puch łabędzi, stanowiło idealny model, na którym geniusz *Monsieur* Diora mógł przejawić się w pełni. Długa, kloszowa spódniczka zalotnie powiewała w marszu; szeroki granatowy pasek uwypuklał szczupłość talii. Nosila go z fantazją modelki.

Twarz Bettiny ocieniał biały, słomkowy kapelusz, przewiązany granatową kokardą. Dla Stefana wyglądała jak kwiat, wokół którego unosi się tchnienie wiosny.

Stanowili pięknie dobraną parę. Stefano ciągle jeszcze był przystojnym mężczyzną. Wojna, która obrabowała go z młodzieńczych ideałów, nadała jego rysom zdecydowany charakter. Nadal nosił się z elegancją - szary, prążkowany garnitur, spod którego wystawał sztywno wykrochmalony kołnierzyk białej koszuli, starannie wyszczotkowany miękki, filcowy kapelusz.

Miał wrażenie, że *znalazł* się w swojej dawnej skórze - młodego mediolańskiego dandysa, którego wzrok wywoływał

rumieniec na twarzach najpiękniejszych dziewcząt tego miasta.

- Mam nadzieję, że lubisz Radio City - zwrócił się w marszu do Bettiny.

- Nigdy tam dotąd nie byłam - odpowiedziała delikatnym, melodyjnym głosem.

- No to czeka cie miła niespodzianka. Wybrałem się tam od razu po przyjeździe do Nowego Jorku. Wyobrażałem sobie, że to miejsce musi być kwintesencją Ameryki.

- Nie Statua Wolności? - spytała żartobliwie.

- Statua jest symbolem Ameryki imigrantów. Ja chciałem zostać od razu prawdziwym Amerykaninem. Poszedłem więc do największego kina, do jakiego udało mi się trafić. Wielkie kina. Nazywają je tutaj „pałacami” filmów - jakby filmowi należało oddawać królewskie hołdy. Za pierwszym razem nie rozumiałem w ogóle co mówią, ale i tak szalenie mi się podobało. Tobie też się na pewno spodoba.

- Bede się starać - zapowiedziała z taką powagą, że znów targnęło nim podejrzenie, że się z niego nabija.

- Zrobię, co będę mógł, żeby twoje starania nie poszły na marne.

Posłała mu jeden ze swoich rzadkich uśmiechów, który zmienił ją nie do poznania - nawet przestrzeń wokół Bettiny wydawała się jaśnieć. Poczul nagle, że powinien jak najczęściej przełamywać jej smutną powagę, jak najczęściej wywołując uśmiech.

W Radio City kupił jej popcorn, na który rzuciła się łapczywie jak wygłodzone dziecko, garściami napychając policzki i oblizując palce z masła. Jej zachowanie niewątpliwie miało swój urok, dziwnie jednak kontrastowało z dystygowaną powściągliwością, z jaką obnosiła się na co dzień.

Film miał tytuł „*Francis*” i opowiadał dzieje głupiutkiej dziewczyny. Podczas zabawnych scen Bettina wybuchała beztrasko głośnym, czystym śmiechem. Show sceniczny zachwyił ją jeszcze bardziej: orkiestra, reflektory, połyskujące cekinami kostiumy. Szeroko otwartymi oczami wodziła od jednego końca sceny do drugiego. Kiedy Rockettesi wśród wiwatów rozpoczęli swój pokaz zręczności, ścisnęła go za ramię.

Wychodząc z kina, Stefano czuł się jak człowiek, który spełnił ważną misję.

Szli Piątą Aleją. Bettina w zachwycie oglądała witryny eleganckich sklepów, które przyciągały klientów z całego świata.

- Norki - oświadczyła, kiedy przystanęli przed Best & Company. - A to obok to biały lis. Lisy są bardzo ciepłe, ale nie aż tak ciepłe jak sobole.

- W ogóle nie znam się na futrach - przyznał.

- Włosi nigdy nie znajdują się na futrach - wyjaśniła, bardzo go tym rozbawiając.

W Peck & Peck cała witryna zastawiona była butami. Bettina nie mogła oderwać wzroku. Z zachwytem studiowała jedną parę po drugiej - pantofelki, sandały, kozaczki, buty do kostek, półbuty na słoninie. Zdawała się oczarowana faktem, że na świecie może być aż tyle butów.

- Będą cudownie pasować do najnowszych kostiumów wiosennych - stwierdziła, patrząc na parę pantofelków. Nie ponosi się ich długo, za to są piękne - podsumowała inną parę. - Raczej niemodne, jak sądzisz? - zwróciła się do Stefana na temat kozaczków. - Bezbłędne, naprawdę bezbłędne - skwitowała parę sandałów.

- Nigdy nie przypuszczałem, że można tyle słów wypowiedzieć na temat butów - zażartował.

- Przepraszam, pewnie cię nudzę - uśmiechnęła się zawstydzona. - Ale przez tyle lat tego rodzaju rzeczy były...

- Rozumiem - położył dłoń na jej szczupłym ramieniu.

- Kiedyś będę miała buciki do każdej sukienki. Kozaczki na deszcz, botki na śnieg i piękne pantofelki domowe...

Chwycił jej szczupły nadgarstek, próbując odciągnąć od witryny.

- Co robisz? - zaprotestowała.

- Po co czekać z urzeczywistnieniem tak skromnych snów? Wepchnął ją w obrotowe drzwi domu towarowego. Po chwili

znajdowali się już w dziale obuwniczym Peck & Peck. Namówił Bettinę, żeby zmierzyła botki na króliczym futerku, szczęśliwym trafem podlegające sezonowej obniżce cen, i parę rannych pantofli na baranym kozuszk. Wkładała je na nogę z nabożeństwem, okręcała się bez końca

na pięcie i spacerowała, studiując buty ze wszystkich stron w pochyłych lustrach przy podłodze.

- Bierzemy obie pary - oświadczył Stefano ekspedientce.

- Świetny pomysł, proszę pana - pochwaliła i zabrała się do pakowania bucików w wyściełane bibułką pudła.

- Nie, nie - zaprotestowała Bettina. - Nie wypada. Nie powinnam...

- Proszę - powiedział. - Pozwól mi.

Zajrzała mu badawczo w oczy, jakby chciała sprawdzić, co nim kieruje, zaraz jednak promienny uśmiech oświetlił

jej twarz.

- Dziękuję.

Patrzył, jak całotygodniowy zarobek znika wessany w pneumatyczną rurę, która go niesie do kasjera na piętrze. Była to skromna cena za uśmiech, który nie opuścił jej twarzy ani na chwilę podczas jazdy trolejbusem do domu, w czasie której tuliła pakunki do piersi.

Stefano zaczął się zastanawiać, czy mądrze postąpił. To, co dla niego było zwykłym gestem, wykonanym w porywie szczodrości, Josef, z jego niewzruszonymi zasadami przybysza ze Starego Świata, mógł uznać za podarunek zaręczynowy.

Niemniej przez całą drogę do odrapanego pokoiku, w którym mieszkał, i przez cały następny dzień cieszył się wspomnieniem uśmiechu, jaki udało mu się wzbudzić na tej pięknej, lecz przeraźliwie poważnej twarzy.

Rozdział trzeci

Absolutnie nie jestem odpowiednim mężczyzną dla niej - powtarzał sobie Stefano, wracając do domu z każdego spotkania z Bettiną Zeeman. Potrzebuje kogoś nieskomplikowanego, kogoś nieskończenie cierpliwego, a nie takiego niewolnika upiornych wspomnień jak ja. Należy jej się ktoś, kto ją pokocha tak, jak ja już nigdy nie będę umiał

pokochać.

Obiecał sobie, że najdelikatniej jak się da wyjaśni jej, że nie powinna się po nim spodziewać spełnienia poważ-

niejszych snów, niż para kapciuszków na baranku. Za każdym razem, gdy wpadał do stoiska Josefa i rozmowa schodziła na Bettinę, tłumaczył staremu, że nie jest odpowiednim materiałem na męża.

- Czy możesz mi wskazać lepszego kandydata? - pytał wtedy nieodmiennie Josef, a kiedy Stefano zaprzeczał, prosił

go o cierpliwość, zapewniając, że czas zrobi swoje.

- To bardzo podniecające, kiedy miłość zjawia się jak grom z jasnego nieba, ale błyskawica ma to do siebie, że błysnie, a potem gaśnie w jednej chwili. Miłość, która przychodzi powoli, ma szansę przetrwać dłużej. Nie rezygnuj z niej jeszcze, Stefano. Przy tobie ma szansę być szczęśliwą, a ty też mógłbyś...

Zawsze odchodził rozczulony naleganiami starego. Wzruszała go też myśl o przeraźliwej samotności Bettiny.

Ileć promień radości przemknął przez mroki jej duszy, czuł się jakby nad jałową, bezludną krainą wzeszła tęcza.

Tkwiały w nim poeta ciągle jeszcze nie potrafił oprzeć się urokowi tęczy.

Tak więc co weekend ponownie umawiał się z Bettiną.

Zwiedzali miasto jak para turystów. Popłynęli promem do Statuy Wolności i sapiąc wdrapali się aż na pochodnię.

Włóczyli się po muzeach, podziwiali widoki z dachu Empire States Building. Często jadali razem na mieście. Bettina uwielbiała jadać w barach automatycznej obsługi, gdzie kawa za pięć centów tryskała z paszczy stalowego lwa, a po wrzuceniu paru monet dostawało się jedną z setek potraw wystawianych w oszklonych gablotkach.

- Kiedy człowiek tygodniami głoduje, wyobraża sobie, że tak właśnie wygląda raj - mówiła Stefanowi.

Doświadczenia wojenne odcisnęły na niej niezatarte piętno, skonstatował po jakimś czasie Stefano. W jej smutnych, mrocznych czy wręcz przerażonych oczach radość nigdy nie gościła dłużej niż przez chwilę, bo częścią swej osoby nadal tkwiła uwięziona w maleńkim pokoiku na strychu w Rotterdamie.

Jakiś nieodparty przymus kazał Stefanowi robić, co tylko było w jego mocy, żeby wywołać uśmiech na jej twarzy, widzieć ją wesołą, tryskającą humorem, taką, jaka musiała być przed wojną. Nieustanne wysiłki wskrzesiły w nim zapomniany dowcip i oryginalność czarującego młodzieńca z Mediolanu. Z coraz większym utęsknieniem wyczekiwał na kolejne spotkania.

Z końcem czerwca, w upalną sobotę, wyprawili się do Coney Island.

- Weź mnie nad morze - błagała go w poprzednim tygodniu. - Kiedy byłam małą dziewczynką, jeździliśmy na lato do Scheveningen koło Rotterdamu. Strasznie tęsknię za morzem - za wodą, plażą, przestrzenią aż po horyzont.

Nie miał sumienia jej odmówić.

Kiedy wysiedli z metra, otoczył ich gwar rozmów i śmiechów, muzyczka z karuzeli i piski pasażerów lunaparkowej kolejki pędzącej po niebotycznych estakadach. Bettina zdawała się na to wszystko nie zwracać uwagi.

- Ach, Stefano - wykrzyknęła, ciągnąc Stefana w stronę promenady. - Czuję już ten zapach!

Kiedy weszli na deptak, chłonęła oczami rozległą panoramę, nie kończące się pasmo plaży, ścigające się fale. Wyjęła spinki z długich, jedwabistych włosów i potrząsnęła głową, rozsypując długie pukle po ramionach. Włosy okalały teraz jej twarz, falując w podmuchach rześkiej, słonej bryzy.

Stefano sądził, że przywykł już do jej urody, nagle jednak zabrakło mu tchu. *Znalazł* się twarzą w twarz z freskiem Madonny, oglądanym w sienneńskim kościele podczas jednej z przedwojennych wędrówek po Toskanii - w czasach, gdy był na tyle próżny, by uważać się za poetę wędrującego w pogoni za natchnieniem. Fresk, zwykle zaciemniony, znajdował się wysoko na murze, jednak o pewnych porach dnia złote promienie słoneczne wpadały przez łuki okienne do nawy, oświetlając twarz Dziewicy. W życiu nie widział piękniejszego malowidła.

Bettina Zeeman, wdychająca kojące morskie powietrze, wydała mu się istotą równie cudownej

urody.

Przykrył swoją dłonią jej dłoń spoczywającą na balustradzie deptaku i splótł swoje palce z palcami jej dłoni.

Odwróciła się do niego z dziwnym wyrazem twarzy. Wyglądała na lekko nachmurzoną, a może... zszokowaną.

Zerwała się nagle i schodami prowadzącymi z promenady zbiegła na piasek. Mimo słonecznej pogody było zbyt zimno na kąpiel, jednak zrzuciła buciki i wskoczyła do wody. Małe wiry tworzyły się wokół jej kostek, potem wokół

łydek, wreszcie dookoła kolan. Zamoczyła rąbek płóciennej sukienki, chociaż podkasła spódniczkę aż do ud.

Stefano przyglądał się z brzegu, jak Bettina odwraca twarz ku słońcu, przymyka oczy i rozkłada ręce, jakby chciała uścisnąć ocean. Po raz pierwszy od początku ich znajomości jej twarz wyrażała absolutnie zadowolenie.

Poczuł, że może sobie pozwolić na to, żeby jej pożądać. Opuściła go nagle obawa, że jego podniecenie mogłoby skruszyć coś niezwykle delikatnego. Pał oczy widokiem jej urody. Pod wpływem morskiego wiatru i wilgoci cieniutka sukienka oblepiała ciało Bettiny, uwypuklając łagodne krzywizny i strome wyniosłości jej figury.

Czy byłby w stanie ją kochać? A może już ją kochał? Po raz pierwszy wydało mu się to możliwe.

Ociągając się, Bettina wyszła z morza. Szczękając zębami, wyzymała wodę z sukienki, mimo to promieniała radością. Narzucił jej swoją wiatrówkę na ramiona i zaprowadził do kawiarni na deptaku, gdzie zamówił dwa kubki bardzo gorącej herbaty.

Znaleźli stolik przy oknie i siedli grzejąc dłonie o parujący

napój. Ledwie jednak Bettina uniosła swój kubek, uśmiechając się do Stefana, spojrzała za okno. Jej twarz, z natury i tak blada, zbielała jak papier. Oczy zaokrągliły się jak dwie błękitne szklane kulki. Kubek wypadł z rąk, wrzątek rozprysnął się na podłodze.

Odwrócił się pospiesznie, żeby zobaczyć, co ją tak poruszyło. W zasięgu wzroku Bettiny wysoki, wąsaty mężczyzna rozmawiał na deptaku z drobnutką kobietą ubraną w suknię w kwiaty.

- Drań - wyszeptała Bettina przez zaciśnięte wargi. Trzęsła się cała, a jej oczy, wlepione w mężczyznę za oknem, płonęły.

Stefano pochylił się nad stolikiem i chwycił ją za przegub dłoni.

- Bettino? - Ludzie popatrywali na nich od sąsiednich stolików.

Jej oczy błyszczały wściekłością. Stefano powędrował w ślad za ich spojrzeniem. Wysoki mężczyzna schylił się, żeby pocałować swoją towarzyszkę w policzek.

- Uciekaj! - gorączkowała się Bettina. - No, już, uciekaj!

- Bettino, co się dzieje? - dopytywał się Stefano.

Para za oknem pożegnała się i mężczyzna odszedł. Dopiero wtedy Bettina zauważyła Stefana. Ogień w jej oczach zgasł jak płomień zdmuchniętej świecy.

- Kto to był? - spytał Stefano.

Bettina potrząsnęła głową, jakby wracała jej przytomność.

- Ten facet...? - nalegał Stefano, wskazując głową oddalającą się postać. - Kto to?

- Pomyliłam się - powiedziała cicho. - Wzięłam go za kogoś innego.

- Możesz mi coś o tym powiedzieć? - zapytał.

- Tu nie ma nic do opowiadania.

Incydent na Coney Island potwierdził tylko przekonanie Stefana, że Bettina potrzebuje więcej cierpliwości i głębszego zaangażowania niż on był w stanie jej zaoferować. Kiedy wieczorem odprowadzał ją do domu, myślał o tym, żeby na jakiś czas wykręcić się od spotkań, kiedy jednak znaleźli się w stęchłym korytarzu przed zielonymi drzwiami z blachy, Bettina odezwała się pierwsza.

- Boisz się mnie, prawda?

Chwile trwało, zanim znalazł właściwą odpowiedź.

- Nie ciebie się boję, tylko o ciebie.

- Czy dlatego nigdy mnie nie dotykasz? No wiesz, tak jak... mężczyzna dotyka kobietę?

Ta nagła śmiałość, tak niepodobna do jej zwykłej powściągliwości, odebrała mu mowę. Przysunęła się do niego tak blisko, że czuł słony zapach morza ulatniający się z jej skóry. Oczy, błyszczały na jej twarzy jak dwa kamienie księżycowe.

- Nie podniecam cię? Zupełnie inne wrażenie odniosłam na plaży. Widziałam, jak mi się przyglądałeś. Pragnąłeś mnie... - Jej melodyjny głos utracił kojącą słodycz i zafalował zmysłowością.

- Bettino... - zaczął, nie mogąc połapać się w swoich uczuciach. Nie wiedział, czy powinien odepchnąć ją, czy przygarnąć. Zanim zdążył podjąć decyzję, musnęła jego usta wargami. Ten delikatny dotyk złamał w nim ostatnie opory. Przyciągnął ją do siebie, mocno wpijając się w jej wargi. Namietność Bettiny buchnęła nieokiełznanym płomieniem, jakby przytknął rozżarzony węgielek do stogu siana.

Język z wielkim impetem wystrzelił z rozchylonych ust i wdarł się między wargi Stefana. Zarzuciła

mu ręce na szyję, wczepiając palcami w ciemne kędziory, tarmosząc je na wszystkie strony. Ocierała się o niego całym ciałem.

Dłonie Stefana powędrowały od talii Bettiny w górę, ku małym, stromym piersiom, po czym znów zsunęły się w dół.

Przez wygniecioną sukienkę złapał ją za pośladki. Otworzyła szerzej usta, jakby zamierzała go połknąć.

A potem wszystko skończyło się równie nagle, jak się zaczęło. Odsunęła się od niego lekko zarumieniona. Patrzyła oczami pociemniałymi jak nocne niebo.

- Muszę się już chyba pożegnać z panem, *signor D'Angeli*

- oświadczyła, otwierając drzwi mieszkania. Ze środka buchnął zapach fajkowego tytoniu Josefa. - Sam widzisz, drogi Stefano

- dodała szeptem, zamykając za sobą drzwi - nie ma powodów do obaw. Żadnych powodów do obaw...

Mimo to nadal się bał. Tyle tylko, że teraz płonął pożądaniem. Chciał natychmiast widzieć z powrotem Bettinę Zeeman, przeniknąć sekret ukryty za każdą z jej masek. A przede wszystkim chciał jej znów dotykać. Całej.

W świetle następnego poranka wróciła dawna ostrożność. Kursując z towarem przez cały dzień zastanawiał się, kiedy się spotkać z Bettiną - i czy w ogóle powinien z nią to robić. Ognisty pocałunek był tak niepodobny do niej, że chwilami zastanawiał się, czy aby pamięć nie płata mu figła. Może po prostu tłumiona potrzeba namiętnej miłości przyprawiła go o omamy? W końcu wszystko sprowadziło się do pocałunku. Żar buchający z jej ciała i zmysłowe zabarwienie głosu mogły być wytworem jego bujnej wyobraźni.

Wieczorem udał się do stoiska Josefa z nadzieją, że dowie się czegoś, co pomoże mu zrozumieć lepiej charakter Bettiny.

- O, Steve - powitał go radośnie Holender, podnosząc się ze stołka. - Czy może powinienem był powiedzieć: Stefano? Bettina woli, jak się o tobie mówi: Stefano. Twierdzi, że to brzmi bardziej romantycznie.

- I co jeszcze mówi?

- Nno... mówiła, że spędziliście uroczy dzień na plaży.

- I co jeszcze?

- Wal śmiało, przyjacielu. Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem był od niej usłyszeć?

Patrząc na jego wyczekujący uśmiech, Stefano uświadomił sobie, że stary spodziewa się z jego strony radosnej rewelacji.

- Nie - powiedział obojętnym tonem. - Ale tam, na plaży zdarzyło się coś dziwnego... - Holender niespokojnie poruszył szyją. - Zachowywała się, jakby zobaczyła wcielonego diabła - zakończył Stefano relację o mężczyźnie z deptaku.

Josef pokiwał głową. Oczy zwęziły mu się jak szparki.

- Wie pan może, za kogo mogła go wziąć?

- Trudno dokładnie powiedzieć. - Josef spuścił oczy i wzruszył ramionami. - Bettina czasem.. miewa sny o swojej matce. Wydaje jej się, że matka została uprowadzona przez jakiegoś niegodziwca, a nie przez grupę anonimowych żołnierzy. - Podniósł wzrok. - To moja wina. Kiedy jej matka nie wróciła do domu - Bettina była jeszcze taka mała -

nie potrafiłem powiedzieć jej prawdy. Powiedziałem jej, że matka w towarzystwie znajomego wybrała się gdzieś z wizytą. Myślałem wtedy, że Anneke za pare dni będzie z powrotem w domu. Nie wracała jednak i Bettina zaczęła mnie zasypywać nie kończącymi się pytaniami o znajomego mamy. Minął jakiś czas, zanim pozbierałem się na tyle, żeby powiedzieć jej prawdę.

Stefano kiwał głową w zadumie. Za oknem zapadał zmierzch. Josef zgasił lampę. Zdjął z wieszaka palto i kapelusz.

- Właściwie czemu nie miałbyś pójść ze mną do domu? Skończyłem już przecież robotę na dzisiaj. Bettina poczęstuje cię obiadem. Nie próbowałeś jeszcze nigdy, jak gotuje? No, chyba że gotowała ci już u ciebie w twoim...

- Nie, nie próbowałem - uciał Stefano.

- No to chodź ze mną - powtórzył Josef, kiedy wyszli razem w półmrok ulicy. - Chodź do domu.

Stefano wahał się, ale ostatnie słowo podziałało na niego jak zaklęcie.

Kiedy wkroczył do mieszkania z jej ojcem, Bettina spłoniła się zaskoczona. Miała na sobie tylko prosty szlafroczek, który na pewno nie był odpowiednim strojem do podejmowania gości.

- Ależ, tato..., jak mogłeś? Popatrz, jak wyglądam. W dodatku nie mam dosyć jedzenia na trzy...

- Jedzenia zawsze wystarczy dla wszystkich, a wyglądasz ślicznie - zamknął jej usta Josef. - Zresztą musiałaś zapomnieć, że jestem dzisiaj zaproszony na wieczór w Klubie Holenderskim. Dziś wieczór będę wcinał *Goudse kaas*, śledzia, i *paling* - wędzonego węgorza - prawdziwe holenderskie potrawy - oznajmił. - Pomyślałem więc, że różniej ci będzie w towarzystwie.

Stefano patrzył spod oka na starego cwaniurę. Czy z góry ukartowali z Bettiną zaproszenie na obiad? Chyba nie, skąd mogli wiedzieć, że zajdzie wieczorem do warsztatu. A jednak, nie wiadomo czemu, czuł się wtłaczany w zamkniętą przestrzeń, która zdawała się dociskać go ze wszystkich stron, zagoniony do upatrzonej z góry bramki, jak by było znakowane przez kowbojów.

- Cieszę się, że przyszedłeś. - Bettina obrzuciła go nieśmiałym uśmiechem. - Ale jeżeli nie masz

ochoty zostać...

- Oczywiście, że mam - zapewnił, wspominając jeszcze raz, co czuł, kiedy ją trzymał w objęciach. Również w tej chwili jego

nozdrza drażnił zapach jej perfum, zapach rozkwitających po deszczu gardenii. Kolejny raz Josef zdjął palto z wieszaka.

- Baw się dobrze, tato - powiedziała, podając mu kapelusz.

- Wy też bawcie się dobrze - powiedział, nasuwając kapelusz na bakier.

Ledwie drzwi zamknęły się za ojcem, Bettina odwróciła się do Stefana, patrząc na niego z ogromnym spokojem parą swych księżycowych oczu.

- Pokochasz się ze mną teraz, czy po obiedzie? - spytała rzeczowo.

Podniecił go chłód, z jakim tak bezwzględnie zdawała się na jego łaskę.

W odpowiedzi przyciągnął ją do siebie i przywarł ustami do jej warg.

Wsparta o Stefana, penetrowała językiem jego usta. Jej dłonie zwinnie uwijały się po jego piersi, rozwiązując krawat i rozpinając guziki koszuli tak gorliwie, że jeden oderwał się i potoczył po podłodze. Zsunęła mu koszulę z ramion, w ten sposób unieruchamiając ręce Stefana. Jej dłonie poruszały się sprawnie w gąszczu ciemnych włosów na jego piersi; paznokcie drażniły delikatną skórę, kreśliły koła wokół sutek. Nagle oderwała się od jego ust i wargami przesunęła po szyi i piersi w dół do prawej sutki. Chwyła ją między zęby i przygryzła.

Reakcja była natychmiastowa. Tak gwałtowny wzwód nie zdarzył mu się, od kiedy był chłopcem. W jednej sekundzie stwardniał jak stal i zaczął pulsować rosnącym pożądaniem. Bettina kąsała jego prawą sutkę; w lewą wpiła się paznokciami.

Wolną ręką rozpięła klamrę paska. Odpięła zatrzask spodni i rozsunęła zamek rozporka. Próbował ją rozbierać, ale odepchnęła jego dłonie.

- Nie - oświadczyła spokojnie, ale w jej głosie zabrzmiała ostra nuta. Przycisnęła go do ściany tak, że nie mógł się poruszyć.

Nagle jego penis spoczął w jej dłoni. Najpierw pogładziła aksamitną skórę, potem przeciągnęła od góry do dołu paznokciem. Wsunęła rękę głębiej i ujęła go pod jądra, drażniąc paznokciem nieskończenie delikatną skórę u nasady moszny.

Łagodnie zacisnęła dłoń - poczuł rozkosz, a zarazem grozę. Zachłysnął się. Wydało mu się, że słyszy jej stłumiony chichot. Nigdy jeszcze me czuł się tak bezbronny, tak strasznie zdany na czyjąś łaskę. Am też tak nieprawdopodobnie podniecony. Boleśnie, do ostateczności. Gdzież się mogła nauczyć tak sprawnie obsługiwać mężczyznę, przemknęło mu przez myśl; inna sprawa, że w tej chwili niewiele go to obchodziło. Zależało mu wyłącznie na tym, żeby nie przestawała.

Zsunęła mu spodnie do kolan. W dalszym ciągu nie mógł się ruszyć. Był bez reszty w jej rękach. Opadła przed nim na klęczki. Chwyciła penis w gładkie, wilgotne wargi. Zaczęła ssać, drażniąc jednocześnie językiem. Zaciśnęła wargi, zsuwając je aż do nasady członka. Dźgnął ją w gardło. Miał wrażenie, że lada chwila zostanie połknięty.

Zaczęła poruszać głową w górę i w dół, na przemian liżąc i przygryzając napletek. Jęknął.

W życiu nie przeżył czegoś takiego. W przebłysku świadomości pomyślał, że tak chyba musi czuć się schwytyany i przyszpilony motyl, zanim skona. Nie mógł jej dotknąć, nie mógł się poruszyć, nie mógł uciec, choćby nawet chciał.

Był zdany na jej łaskę i niełaskę.

Napięcie rosło nieprzerwanie. Stefano czuł, że lada moment eksploduje. Nagle Bettina przerwała pieszczoty.

Podniosła się z klęczek i odsunęła od Stefana. Uśmiechała się, oczy jej błyszczały. Wydało mu się, że widzi w nich iskrę triumfu.

Rozwiązała szarfę i szlafroczek opadł na podłogę. Pod spodem była naga. Nawet w świetle jedynej lampy w drugim końcu pokoju widział wyraźnie, jak cudownie jest zbudowana. Nie miała wprawdzie krągłych, zmysłowych kształtów Marisy, lecz jej figura sprawiała wrażenie rzeźby o doskonałych wręcz proporcjach. Miała drobne piersi o twardych jak kamyki sutkach otoczonych łososiową obwódką, szczupluteńką talię i ledwie zaznaczone biodra. W

łagodnym świetle lampy jej alabastrowa skóra lśniła ciepłym, perłowym blaskiem. Trójkąt włosów na styku jej nóg połyskiwał jak utkany ze złotych nici.

Nie zdążył napatrzeć się do syta, kiedy pchnęła go na podłogę. Wsunęła się na niego jak na pal. Rozgrzana i wilgotna, ścisnęła go nabrzmiętymi mięśniami. Cudowna pierś powędrowała do jego ust. Poruszała się w górę i w dół, a on ssał ją łapczywie, jakby chciał w zamian za swoje nasienie napić się mleka.

Wyrwała mu pierś z warg i usiadła prosto, nadal anglezując. Przymknął oczy, bezwolnie oddając się wyrafinowanej ekstazie, zanim jednak eksplodował z okrzykiem, na moment uchylił powieki.

Nie, nie mylił się. Na jej twarzy malował się triumf. Uśmiechała się jak królowa, która napawa się władzą nad swoim poddanym.

Kiedy opadła fala namiętności, wbił się z powrotem w wygniecione ubranie, a Bettina wyszła do swojej sypialni.

Wróciła w czarnej koszulowej sukience, prostej i skromnej jak mundurek uczennicy. Starannie umyła twarz, włosy związując wstążeczką.

- Możemy siadać do stołu - oświadczyła spokojnie.

W milczącym osłupieniu przyglądał się jej, jak krąży między kuchnią a małą jadalnią, nakrywając do stołu, znosząc talerze i srebrne sztuce, podając miseczki, kamionkę z masłem i koszyczek świeżego pieczywa.

Przed chwilą odbył najbardziej niebywały stosunek w życiu. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się tak całkowicie zatracić. Podczas orgazmu miał wrażenie, że wyzionie ducha. Już w tej chwili tęsknił za pożądaniem, tak intensywnym, że aż granicznym z bólem, które zmieniło się w oszalamiającą rozkosz. Jednak pragnął czegoś więcej, niż tylko dogodzić własnym zmysłom. Stefano-mężczyzna domagał się satysfakcji doprowadzenia Bettiny na równie zawrotne wyżyny. Nie miała orgazmu; nie zbliżyła się nawet do szczytowania. Nie dała mu szansy, żeby ją tam doprowadził, jakby wcale jej na tym nie zależało.

Jakie tajemnice kryła ta kobieta? Czyżby lata spędzone w ukryciu zmieniły ją w niepojęty amalgamat chuci i niewinności, skromności i skrajnego zapamiętania? Czy słusznie obawiał się tej kombinacji?

Kiedy siadła po drugiej stronie stołu, nie był już w stanie dłużej podtrzymać pozorów.

- Nigdy w życiu nie spotkałem kogoś takiego jak ty - powiedział, przeklinając w duchu własną niezręczność.

- Ludzie różnią się od siebie.

- Tak, ale chodzi mi o to... jak bardzo... się zmieniłaś...

Bez pośpiechu smarowała masłem kromkę chleba, wreszcie posłała mu spojrzenie, w którym zamigotała iskra złości.

- Czyżbyś uważał moje zachowanie za frywolne?

- Nie. Po prostu zastanawiam się, dlaczego tak bardzo się maskujesz?

- Zawdzięczam życie temu, że się ukrywałam.

- To już przeszłość. v

- Umrę, jeżeli wyjdę z ukrycia. Potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Bettino, to jest Ameryka. Inny kraj. Kraj wolnych ludzi. Odłożyła łyżeczkę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Pozwól mi być taką, jaką jestem, Stefano. Pozwól mi.... a z pewnością będę umiała cię zadowolić. Będę dla ciebie dobra. Ty jeden będziesz znał moją tajemnicę. Będę wzorową żoną.

Otworzył usta, ale nie powiedział ani słowa, chociaż wiedział, że jeśli teraz nie zgłosi swoich zastrzeżeń, będzie to równoznaczne ze zgodą na jej bezczelną uzurpację - przyjęciem jej oświadczeń. Jednak w tamtej chwili pożądał jej, pragnął nie tylko namiętności, którą sobą ucieleśniała, ale również pragnął jej pomagać, leczyć jej ból, przywrócić ufność do świata. Jej napady złego humoru

drażniły go, zmienność nastrojów wprawiała w stan najwyższego napięcia, mroczna strona jej duszy wzbudzała w nim przerażenie. Jeśliby jednak ją porzucił - zwłaszcza teraz - przez resztę życia oskarżałby się o słabość i tchórzostwo.

Choć wojna w znacznym stopniu zagłuszyła w Stefanie serce poety, pragnął wierzyć, że tlą się w nim chociaż resztki poezji. Przygarnąć Bettinę Zeeman na dobre i na złe, chronić ją, choć jej nie kochał, wydało mu się misją godną mężczyzny, jakim był w przeszłości

Skoro utajnioną część swojej natury miała zamiar odsłaniać tylko wobec niego, nie powinien raczej swojego gestu żałować.

Rozdział czwarty

Nowy Jork - kwiecień 1952

Moetie! Ik wil moetie! - jęczała Bettina w ojczystym języku, wzywając matkę, która nie żyła od ponad dziesięciu lat.

Bolesne skurcze, wstrząsające jej ciałem, miały ją samą uczynić lada moment matką.

Taksówka podskakując na wybojach pędziła do szpitala. Stefano kurczowo ścisnął dłoń Bettiny. Mimo że w ciąży przybrała na wadze, w jej wychudzonej twarzy kości policzkowe wyraźnie rysowały się pod mlecznobiałą skórą.

- Jesteśmy prawie na miejscu, Tina, trzymaj się - próbował ją uspokoić, choć sam był zdenerwowany. Dziecko miało urodzić się o ponad miesiąc wcześniej, w dodatku Bettina wydawała się straszliwie przerażona. To patrzyła nieprzytomnie rozszerzonymi ze strachu oczami, to znów ze wszystkich sił zaciskała z bólu powieki. Jej palce wzięły dłoń męża w lodowatym uścisku. Wzywała matkę.

Właśnie minął rok od ich ślubu. Dobry rok, co by nie mówić. Zarobki Stefana, w połączeniu z zarobkami Josefa, pozwoliły im wynająć przyzwoite mieszkanie dla całej trójki - a teraz czwórki - przy Riverside Drive, z widokiem na Hudson.

Wszyscy zaczęli nowe życie i nie minęło wiele czasu jak Stefano, obywatel Starego Świata, zamienił się w obywatela amerykańskiego, Steve'a. Powoli wyparł ze świadomości sen zaklęty we flakoniku La Colomby. Miał

teraz żonę, a w parę miesięcy po ślubie okazało się, że również będzie miał dziecko. Mógł snuć plany na przyszłość, przyszłość bardziej realną niż mrzonki o diamentach i złocie.

Ciągle nie mógł się zmusić do sprzedaży swojej połowy flakonika - zbyt znaczącym był symbolem, zbyt drogie wiązały się z nim wspomnienia - chociaż zdawał sobie sprawę, że suma, którą by otrzymał, niezwykle podreperowałaby budżet rodziny. Zawstydzony własnym sentymentalizmem, nie zdradził nikomu istnienia flakonika, który ukrył tak głęboko, że niemal o nim zapomniał.

Z chwilą, kiedy zarzucił swój sen «o klejnotach, bardzo poszerzyły się jego możliwości zawodowe.

Był mężczyzną inteligentnym i starannie, dzięki Carlowi Brancusiemu, wykształconym; po krótkim czasie poprzez ogłoszenie w „Il Progresso” znalazł pracę we włoskiej radiostacji. Pisywał teksty reklamówek i krótkich sztuk radiowych, wyszukiwał w mieście klientów, chętnych do korzystania z usług rozgłośni, tłumaczył amerykańskie wiadomości, występował też w charakterze prezentera muzycznego. Bardzo lubił swoją pracę i wiedział, że jest dobry w tym zawodzie.

Nie zawiódł się na małżeństwie. Teraz, kiedy zarabiał więcej, mógł kupić Bettinie tanie futerko z królików i parę frywolnych wieczorowych pantofelków z czerwonego jedwabiu. Znosił do domu jej ulubione perfumy o zapachu gardenii i torby czekoladek, za którymi przepadała i których nigdy nie miała dosyć. W najmniejszym stopniu nie odbijało się to na jej zwiewnej sylwetce. Przechadzali się po mieście we dwoje, a jej perlisty śmiech z dnia na dzień dawał się słyszeć coraz częściej.

Również erotyczne obietnice ich pierwszej wspólnej nocy potwierdziły się w pełni. Bettina była obdarzona niewyczerpaną pomysłowością i знаła wiele sztuczek, których istnienia nawet nie podejrzewał. Jej chłodna uroda Grace Kelly w połączeniu z niemal ptasią kruchością pozostawały w rażącej sprzeczności z wyuzdaniem w zaciszu sypialni, gdzie podniecała go do bólu. Im więcej dawała z siebie, tym bardziej jej pożądał. Co dzień wracał do domu złałkiony jej ciała. Chwilami był skłonny nazwać to miłością.

Niepokoił go jednak, a nawet zasmucał, całkowity brak jej reakcji. Kiedy próbował podniecić Bettinę, by dotrzymywała towarzysztwa jego pożądaniu, łagodnie odsuwała jego dłoń albo uchylała się tak, by nie mógł jej dosięgnąć. Zawsze miała ochotę,

palila się wręcz do tego, żeby kochać się ze Steve'em, próbować każdej możliwej sztuczki, która wzmogłaby jego podniecenie. Nigdy jednak nie dała po sobie poznać własnych doznań.

Nadal co jakiś czas nieoczekiwanie pogrążała się w ciemności. Zalana falą wspomnień przez długie okresy nie odzywała się do nikogo. Na szczęście wyglądało na to, że straszliwe wspomnienia wojenne powoli blakną w jej pamięci. Steve wierzył, że doczeka cierpliwie chwili, kiedy znikną całkowicie, zwracając duszę Bettiny ku przyszłości.

Kiedy dowiedział się, że Bettina jest w ciąży, pokrzykując z radości zaczął podrzucać żonę pod sufit. Josef wydobył

z kredensu *Genever* i wspólnie wznieśli toast za nie narodzonego. Steve udał się czym prędzej po zakupy. Przyniósł

do domu biały bujany fotel, w którym Bettina będzie mogła wygodnie karmić piersią niemowlę, olbrzymiego misia i kołyskę suto zdobioną białą koronką.

Przez całą ciążę Bettina promieniała cichym szczęściem, kiedy jednak nad ranem po burzy zaczęły się bóle porodowe, oczy jej pociemniały z przerażenia.

W szpitalu natychmiast została zabrana na wózkę przez parę nachmurzonych pielęgniarek w wykrochmalonych fartuchach. Steve i Josef zostali sami nad górą niedopałków i kolejnymi filiżankami nędznej kawy. Tykanie zegara z godziny na godzinę wydawało się coraz głośniejsze; po

pewnych czasie Steve miał wrażenie, że w jego głowie słyhać łoskot werbli. Trzął się ze strachu o Bettinę, sam dziwiąc się rozmiarom własnego niepokoju. Co zrobi, jeśli Bettinie coś się stanie? Czy zniósłby po raz drugi stratę równą śmierci Marisy?

Kiedy w milczeniu zadawał sobie to pytanie, dotarło do niego, że tak naprawdę Bettina zaczęła wypełniać lukę w jego sercu. Do tego wszystkiego lada chwila miało się pojawić dziecko!

Po ośmiu godzinach nadeszła uśmiechnięta pielęgniarka.

- Gratulacje, panie D'Angeli. Ma pan córeczkę. Córeczkę. Opadł na kozetkę zalany falą wdzięczności i szczęścia.

- Córeczkę - wyszeptał. Nagle jej imię wypłynęło samo, wytrysnęło jak strumień odzyskanej miłości.
 - Pietra.

Pomarszczona twarz Josefa, siedzącego obok na obitej pomarańczową dermą szpitalnej kozetce, promieniała.

Poklepał zięcia po ramieniu.

- Tak jest. Pietra Anneke D'Angeli - oznajmił. Dziecko miało nosić imiona obu babek poległych z rąk hitlerowców.

Jaka maleńka! To była pierwsza myślę Steve'a, kiedy pielęgniarka podała mu dziecko. Niespełna sześciofuntowe stworzonko, o najmniejszych stopkach na świecie i ogromnych oczach, przelewało mu się przez ręce. Z łatwością mieścił w dłoni jej porośniętą czarnym puszką główkę.

Zaraz potem zrobił kolejne odkrycie: nigdy dotąd naprawdę nie kochał nikogo. Nikogo nie darzył żarliwością, która pochłaniałaby go tak bez reszty, nigdy nie czuł tak absolutnej pewności, że pokona, zniszczy każdego, kto będzie próbował stanąć jej na drodze.

Mimo że przyszła na świat przedwcześnie i była bardzo mała, Pietra okazała się zdrowa. Dla Steve'a i Josefa powodem zmartwień była natomiast jej matka. Bettina odmówiła karmienia dziecka. Nie chciała wziąć malej do rąk.

Kiedy do pokoju szpitalnego wniesiono maleńkie zawiniątko, odwróciła głowę i nie dała się nawet namówić na to, żeby odsunąć różowy kocyk i zajrzeć w twarzyczkę dziecka.

Steve gorąco liczył na to, że przyjście na świat dziecka - nowe, zwrócone ku przyszłości życie - sprawi, że Bettina nareszcie zazna spokoju ducha i odzyska optymistyczne spojrzenie na świat. Stało się jednak inaczej.

Trzeciego dnia Steve usłyszał, jak Bettina ze spokojem przemawia do pielęgniarki.

- Wie pani, oni zabijają niemowlęta - mówiła rzeczowym tonem. - Wrzucają do pieców i palą na popiół.

- Jest w szoku - oświadczył szpitalny psychiatra. - Boi się, że jeśli zacznie kochać Pietrę, czy nawet przyjmie do wiadomości jej istnienie, odbiorą jej dziecko na zawsze, tak jak odebrali jej matkę.

- Czy coś da się zrobić? - spytał Steve, czując się bezsilny jak nigdy.

- Mam pewien pomysł - oświadczył lekarz.

Kiedy Bettina zasnęła, położono przy niej na łóżku Pietrę,

odsunawszy kocyk tak, żeby matka po przebudzeniu zobaczyła różową twarzyczkę niemowlęcia. Przez cały ranek Stev wyczekiwał, siedząc w narożniku pokoju.

Kiedy Bettina otworzyła wreszcie oczy, wstrzymując oddech, wyciągnął szyję. Mrugając powiekami spojrzała na tobolek leżący na poduszce obok jej głowy, po czym szybko odwróciła głowę w drugą stronę. Steve czekał. Po chwili dziecko zapłakało z cicha. Bettina powolutku odwróciła się w stronę córki. Spod różowego kocyka wystrzeliła w powietrze malutka piąstka; piąstka zaczęła trzeć ciemnobłękitne oko swojej właścicielki.

Ostrożnie Bettina wyciągnęła rękę i pogładziła malutką pięść. Przysunęła się do dziecka i polizała rączkę. Wtuliła twarz w pierś maleńkiej, wdychając głęboko jej zapach. W jednej chwili zakochała się w córeczce równie beznadziejnie jak Steve.

Ale nawet ta miłość nie była w stanie powstrzymać depresji, która pogłębiła się po powrocie do domu. Co wieczór Steve, wracając z pracy, zastawał Bettinę siedzącą przy zgaszonych światłach na bujanym fotelu z dzieckiem kurczowo przyciśniętym do piersi. Często zdarzało się, że Pietra miała mokrą pieluszkę i popłakiwała z głodu.

Musiał wtedy długo perswadować Bettinie, żeby oddała mu dziecko, i sam zajmował się małą. Wydawała się przerażona perspektywą wypuszczenia dziecka z objęć.

Na noc stawiali kołyskę przy łóżku. Pietra od samego początku nie była trudnym dzieckiem. Kiedy miała miesiąc, przesypiała już całą noc. Bettina natomiast często budziła się z krzykiem.

- Idą! Idą! Są już za drzwiami! - Wyciągała córeczkę spod kołderki i wczółgiwała się z małą pod łóżko.

Steve w żaden sposób nie był w stanie wytłumaczyć żonie, że walenie w drzwi jest wyłącznie wytworem jej wyobraźni, upiornym echem hitleryzmu, i że nic nie zagraża ani jej, ani dziecku.

Steve był całkowicie pod urokiem córki, dziewczynki obdarzonej niestrudzoną ciekawością świata, której oczy stale wędrowały po otoczeniu w poszukiwaniu wszystkiego, co barwne i połyskliwe. Ledwie nauczyła się chodzić, zaczęła rozwijać całe rolki folii, napawając się migotaniem i zajączkami puszczanymi na sufit i ściany przez jej zwierciadlaną powierzchnię.

Godzinami potrafiła bawić się pudełkiem z muszelkami, układając z nich rozmaite wzory. „Cacy” - było pierwszym słowem, które wyszło z jej ust.

Stopniowo przygnębienie Bettiny zaczęło ustępować. Tego wieczoru, kiedy Steve wrócił do domu i zastał we wspólnym łóżku rozgrzaną kąpielą, uśmiechniętą zachęcająco żonę w aureoli lśniących od szamponu złotych włosów, ponownie odważył się zamarzyć o normalnym życiu.

Pewnego lutowego wieczoru w pięćdziesiątym szóstym po powrocie do domu zastał mieszkanie pogrążone w głębokich ciemnościach. Zwykle paliła się chociaż lampa w ciasnym przedpokoju. Przypomniał sobie, że Josef planował spędzić wieczór w Klubie Holenderskim. Mógł wrócić późno do domu i zgasić światło.

Ale w ciszy, która go powitała, kryło się coś złowieszczonego. Steve przystanął na chwilę w drzwiach, usiłując ustalić, co go właściwie niepokoi. Dziwny dźwięk nie pochodził z radia ani z czajnika w kuchni, gdzie Bettina czasami czekała na niego z filiżanką kawy.

Lekko zaniepokojony ruszył do sypialni. Łóżko było puste. Popędził do pokoiku dziecinnego i odkrył, że łóżeczko Pietry też świeci pustką. Serce załomotało mu w piersiach. Ruszył przez kolejne pokoje, uderzeniem dłoni zapalając światła, otwierając drzwi z impetem.

- Pete! Tina! - krzyczał, starając się nie myśleć nawet, że mogły zniknąć z jego życia. Nie przestając nawoływać, wybiegł z mieszkania na schody. Może poszły do jakiejś sąsiadki albo też Pete zrobiła sobie jakąś krzywdę i musiały jechać do szpitala.

- Tat... - okrzyk urwał się, czymś stłumiony. Steve zdążył się zorientować, że głos wydobył się zza jego pleców, z mieszkania. Odwrócił się na pięcie i drugi raz puścił się pędem przez mieszkanie, wczołgując się pod łóżka, otwierając szafy na oścież, zaglądnąwszy za każdy mebel.

- Pete, tatuś jest tutaj! *Bambinai* Gdzie jesteś? - wrzeszczał jak oszalały. - Pete! - Wyrzucił pościel z białoznaki.

Przewrócił do góry nogami szafę, wyrzucając walizki, koce i pudła z narzędziami. Szarpnięciem otworzył na oścież podwójne drzwi staroświeckiej garderoby Josefa i przegarnął rząd garniturów, płaszczy i stertę pudeł z kapeluszami.

Siedziały skulone w kącie szafy. Bettina, odwrócona do niego plecami, drżąc zakrywała córkę własnym ciałem.

- Cśśś - szeptała małej do ucha.

Ale dziewczynka już jej nie słyszała. Tłumiąc okrzyk Pete, który mógł zdradzić ich kryjówkę, zamknęła usta dziecka w żelaznym uścisku.

Pete przestała oddychać.

Steve wywlókł je z szafy i pchnął Bettinę na drugi koniec pokoju, żeby mieć dostęp do Pete.

- *Mi/n kindje!* - krzyknęła Bettina. - Moje dziecko! Nie zabieraj mi dziecka! - rzuciła się na niego z rozcapierzonymi palcami. Kiedy próbował ją odepchnąć, wskoczyła mu na plecy, ciągnąc za włosy, drapiąc i gryząc w obronie dziecka przed niechybną śmiercią z rąk hitlerowskich zbrodniarzy.

Steve nie miał wyboru. Musiał ratować Pete. Z trudem udało mu się zrzucić żonę z pleców. Odwrócił się do niej przodem i ciosem pięści pozbawił przytomności, następnie przypadł do córki. Była nadal nieprzytomna; nie oddychała, a jej skóra powoli zaczynała nabierać niebieskawego odcienia.

- Boże Święty! - błagał Steve. - Pomóż mi! - Niedawno czytał coś na temat sztucznego oddychania metodą usta-usta.

Nie bardzo wiedział jak, ale wiedział, że powinien wdmuchnąć córeczce powietrze do płuc. Opadł na kolana, wziął

usta Pete w swoje usta i łagodnie zaczął oddychać.

- Oddychaj! - krzyczał do niej między jednym haustem powietrza a drugim. - Oddychaj, do cholery! - Nadmuchiwał

jej płuca jak balonik, płacząc i nie ustając w modlitwie.

Po długiej jak rok minucie Pete zakaszłała. Potrząsał jej bródką tak długo, aż otwarła oczy.

- Tata? - spytała cieniutkim głosem. Wyglądała na oszołomioną, w jej oczach nadal czaił się strach.

Przytulił ją mocno, kołysząc na kolanach.

- *Grazie* - szeptał, a łzy płynęły mu po policzkach. - *Grazie, Santa Maria.*

Steve musiał rzucić pracę, żeby zaopiekować się Pete; zaczęli odczuwać dotkliwy brak pieniędzy. Poddali Bettinę kosztownym

testom psychiatrycznym z nadzieją, że w końcu jej stan się poprawi, a Pete będzie bezpieczna. Testy pochłaniały całe niemal zarobki Josefa. Uznano w końcu, że depresja Bettiny nadaje się do leczenia w domu, pod warunkiem że będzie przyjmować leki uspokajające.

Mimo tych zapewnień, Steve nie zgadzał się, żeby Pete zostawała sama z matką. Tego rodzaju ryzyko było ponad jego siły. Umarłby, gdyby cokolwiek przydarzyło się Pete. Wywiesił w okolicy ogłoszenia i wkrótce zaczęły napływać propozycje drobnych tłumaczeń: broszury, ogłoszenia, raz jakiś niewielki podręcznik. Od czasu do czasu pisywał listy do Starego Kraju za imigrantów, którzy nie mieli własnych, piśmiennych dzieci. Były to prace, które mógł wykonywać przy kuchennym stole, z Pete bawiącą się u nóg.

Poza tym żyli najskromniej, jak się dało, z pensji Josefa. Dzięki koledze z holenderskiego uchodźstwa na obczyźnie, Josef mógł wreszcie porzucić swój punkt napraw i podjąć pracę w nowojorskiej filii Duforta & Iveresa, paryskiej firmy jubilerskiej znanej od czasów napoleońskich. Do jego obowiązków należało standardowe polerowanie i oprawianie kamieni; cieszył się, że ma okazję z powrotem obcować z klejnotami, które były dla niego całym życiem.

Jego pierwsza pensja wynosiła dwieście dolarów tygodniowo, co stanowiło majątek w porównaniu z

siedemdziesięcioma pięcioma, które udawało mu się wycisnąć dawniej z punktu usługowego. Za jakiś czas miał dostać podwyżkę.

Spostrzegłszy, że jeden ze szlifierzy w Dufort & Iveres szykuje się do popełnienia kosztownej omyłki przy cięciu drogocennego szafiru, Josef zwrócił mu na to uwagę w uprzejmy sposób. Na szczęście fałszywa duma nie przeszkodziła szlifierzowi przyjąć jego zaleceń ani przekazać zwierzchnikom informacji, że Holender Zeeman ma dobre oko. W ten sposób Josef wrócił do swojego prawdziwego fachu - szlifierstwa. Pracował przy niewielkich, konwencjonalnych kamieniach, którymi zdobiono cenniejsze klejnoty w biżuterii projektowanej i sprzedawanej przez firmę.

Latem pięćdziesiątego siódmego roku po szlifierni Duforta & Iveresa zaczęły krążyć pogłoski, jakoby francuskiemu właśc-

cicielowi firmy, Claude'owi Iveresowi powierzono niezwykle, surowy diament wielkości pięści niemowlęcia.

Z dnia na dzień plotka obrastała w nowe szczegóły, przekazywane szeptem przez pochylonych nad szlifierkami pracowników. Diament miał być jakoby własnością pewnego zamożnego Wietnamczyka, który chciał sobie dodać splendoru, powierzając oszlifowanie i oprawę Iveresowi. Właściciel obawiał się jednak wysłać swoją drogocenną własność do Paryża. Minęło raptem pare lat, odkąd Wietnamczycy wypędzili francuskich kolonistów wraz z ich armią, zadając im druzgocącą kieskę pod Dien Bien Phu. Wiadomo było, że nowy premier Francji, wsławiony podczas wojny generał Charles de Gaulle, nie może spać spokojnie z powodu ciosu, jakim dla dumy Francuzów była utrata kolonii w Indochinach. Istniała poważna obawa, że jeśli diament zostanie wwieziony do Francji, rząd będzie próbował zaanektować go w ramach odszkodowań wojennych. Postanowiono zatem przekazać Iveresowi diament w Londynie, by przewiózł go w celu oszlifowania do Nowego Jorku. W miarę jak pocztą pantoflową napływały kolejne wiadomości, wśród szlifierzy rosło podniecenie. Mówiło się o wadze stu dwudziestu karatów. Do tego wszystkiego diament podobno miał być błękitnobiały.

- To znaczy, że jest najwyższej jakości - wyjaśnił Josef któregoś wieczoru Pete, kiedy siedziała mu na kolanach, wpatrzona w twarz ukochanego dziadka. Miała pięć lat. Josef odkrył w niej wdzięczną słuchaczkę opowieści o kamieniach i jubilerstwie. Ostatnio tajemniczy diament nie schodził mu z ust.

- Diament niebieskobiały, zwany rzeczonym, to najczystszy i najbielszy z diamentów. Jego nazwa wywodzi się sprzed wielu setek lat, kiedy najczystsze i najpiękniejsze diamenty w dalekich Indiach znajdowano w nurtach Golkondy. Diamenty miały taki połysk i tyle ognia, że ci, którzy je znajdowali, przypisywali im czarodziejską moc. Najczystsze z kamieni, takie jak diament, który przejął pan Iveres, musiały być oddawane władcy Golkondy.

Pete siedziała cichutko, chłonąc najdrobniejsze szczegóły zaczerpnięte z baśni, które snuł dziadek.

- Po co go szlifować, Opa? Przecież może utracić czar.

- Nic podobnego, malutka. Dzięki oszlifowaniu jego czarodziejskie właściwości tylko wzrosną. W tej chwili diament wygląda jak kawał brudnego szkła. Kiedy zostanie oszlifowany

- dobrze oszlifowany - będzie wyglądał jak zamrożony promień słońca i rzuci urok na każdego, kto na

niego spojrzy.

Tak jak już rzucił urok na mnie - pomyślał Josef. Od dnia, kiedy usłyszał o słynnym kamieniu, marzył, żeby dostać go w swoje ręce. To było wyzwanie, które mogło wynieść Josefa na wyżyny zawodu, na zawsze przywiązując jego nazwisko do słynnego klejnotu, jak nazwisko Kapłana do Jonkersa, a Aschera do Kulinana.

- Jak się to robi? - spytała Pete, wrywając Josefa z marzeń.

- Widzisz, Pete, diament to bardzo skomplikowana rzecz. Biegną w nim niewidzialne linie, które go spajają w całość.

Jeśli rozłupiesz kamień specjalnym nożem wzdłuż jednej z tych linii, rozpadnie się na dwie części. W ten sposób odcina się części pęknięte i zanieczyszczone, które obniżają jego urodę, uzyskując czystość diament o pięknym kształcie. Diament szlifuje się potem z wielu stron i poleruje. Powstałe w ten sposób ścianki nazywa się fasetami.

- To coś jak facjaty - zauważyła Pete.

- Tak, *schatje*. Fasety to twarze klejnotów. Kiedy są odpowiednio oszlifowane, łapią światło i odsyłają je z powrotem

- podobnie jak uśmiech na twojej twarzyczce oślepia mnie jak blask słońca. - Trącił ją nosem w policzek.

Zachichotała.

- Pamiętasz, jak w zeszłym roku pojechaliśmy na Coney Island i poszłaś do gabinetu luster? - Potaknęła, nie odrywając wzroku od jego oczu. - Dobrze oszlifowany diament ma te same właściwości. Każda fasetka chwyta promień światła i odbija w stronę pozostałych. Ale fasety muszą być nachylone pod odpowiednim kątem - w przeciwnym razie nie będą odbijały światła, tylko je pochłoną.

- Porządne diamenty są potrzebne, żeby na świecie nie zapanował mrok - zawyrokowała.

- Tak, najdroższa, porządne diamenty są potrzebne - uśmiechał się Josef.

- Nie lubię ciemności - wymruczała Pete, zasypiając z głową na ramieniu dziadka.

Któregoś dnia w drodze do pracy Josef zauważył długą czarną limuzynę, parkującą przy skrzyżowaniu Pięćdziesiątej Czwartej z Piątą Aleją, niecałą przecnicę od głównego wejścia do Duforta & Iveresa. Szofer przytrzymał drzwi i z samochodu wysiadł mężczyzna ubrany w czarny frak, wielki czarny kapelusz z podwiniętym rondem i lśniące czarne półbuty z elegancką wstawką z żółtej plecionki na noskach. Mężczyzna miał niewiele ponad pięć stóp, emanował jednak autorytetem, który sprawiał, że o podobnych mu ludziach mówi się, iż są napoleońskiego wzrostu. Przelotne spojrzenie na twarz mężczyzny przekonało Josefa, że mężczyzna ma oczy czarne i połyskliwe jak własne buty, oraz cienkie, spiczaste wąsiki. Nosił czarną, mahoniową, zwieńczoną złotą gałką laseczkę, którą

wymachiwał władczo i zamasyście, maszerując sprężystym krokiem w kierunku lśniących witryn Duforta & Iveresa. Bez pośpiechu zlustrował okna wystawowe firmy, po czym wkroczył do sklepu, mijając odzwiernego w liberii, który powitał go ukłonem.

Kiedy Josef w parę minut później wszedł do szlifierni, nie zdziwił się, zastając kolegów przekazujących sobie pogłoskę o przybyciu Claudea Iveresa. Zaskoczyła go natomiast - i zasmuciła - wiadomość, że Iveres kazał już wezwać do swojego położonego nad szlifiernią gabinetu starszego szlifierza, Kurta Louersa, Belga pochodzącego z Antwerpii. Praca, o której Josef śnił miesiącami, najwyraźniej została już przyznana komuś innemu.

Louers wrócił po dwóch godzinach. Wyjaśnił zgromadzonym wokół niego szlifierzom, że wcale jeszcze nie dostał

tej roboty. Przez bite dwie godziny był przesłuchiwany przez Iveresa. Iveres pytał go nie tylko o doświadczenia zawodowe i metody szlifowania dużych kamieni, ale również o mnóstwo innych rzeczy. Czy małżeństwo Louersa jest udane? Ulubione potrawy? Ile wina lubi wypić? Czy w ostatnich latach poważnie chorował? Gdzie spędził

wojnę? A nawet: jakiego wieku dożyli jego rodzice?

- Albo jest stuknięty - zakończył Louers - albo diablo inteligentny. Od czasu, kiedy gestapo przyskrzyniło mnie w czterdziestym trzecim nie musiałem odpowiadać na tyle pytań...

Przez resztę dnia i nazajutrz szlifierze byli wzywani jeden po drugim na godziną czy dwugodzinną rozmowę z Claude'em

Iveresem. Czekaając na swoją kolej, Josef zastanawiał się, czy ma jakiegokolwiek szanse na tę robotę. Czy udzielenie

„właściwych” odpowiedzi na tyle pytań jest w ogóle możliwe? Czy powinien przyznawać się, że co wieczór po powrocie do domu lubi łyknąć trochę Geneuer? A kiedy spytają go o rodzinę... uff, z tym był największy problem.

Co ma powiedzieć o Bettinie? Jakie wnioski wyciągną na temat jego podatności na stres, jeśli wyda się zbyt wiele rzeczy na ten temat?

Wreszcie pod koniec drugiego dnia przyszła kolej na niego. Miał być ostatnim z przepytanych szlifierzy.

Pryśły resztki radosnego oczekiwania. Wierzył, że oszlifowanie tego właśnie diamentu odmieniłoby całe jego życie.

Teraz jednak czuł, że ma najmniejszych szans na zdobycie upragnionej roboty.

Przez piękne drzwi z inkrustowanego złotem orzecha włoskiego sekretarka wprowadziła Josefa do wielkiego gabinetu Claude'a Iveresa. Ściany pokoju kryła boazeria, na tle wysokich okien stało biurko imponujących rozmiarów. Josef zdziwił się widząc, że okna gabinetu zakrywają ciężkie

zasłony, wpuszczając do środka tylko wąziutki pasek dziennego światła. Zaskoczyło go, że człowiek, który robił interesy na świetle i jego efektach, pracuje w tak mrocznym pokoju. Może Iveres rzeczywiście jest lekko stuknięty.

Mały człowieczek siedział przy ogromnym biurku, w świetle lampy przerzucając akta.

- Niech pan siada, Zeeman - powitał wchodzącego Josefa. Posypała się litania pytań, o której donosili poprzednicy Josefa. Miejsce urodzenia, życiorys, doświadczenia zawodowe, wreszcie - pytania osobiste. Josef z początku odpowiadał cierpliwie, choć cała procedura wydawała mu się pozbawiona sensu. Nie wątpił, że należało wiedzieć co nieco o człowieku, któremu powierza się diament wart parę milionów. Co kogo jednak obchodziło, jak spędza wolny czas, czy często bywa w Klubie Holenderskim i jaką lubi lekturę?

- A pańska rodzina? - spytał w końcu Iveres. - Ma pan dzieci?

- Mam córkę, monsieur - odparł Josef. - I cudowną wnuczkę, słońce mojego życia.

Iveres uśmiechnął się.

- Czemu to takie ważne dla pana? - spytał Josef szybko, korzystając z przerwy w indagacji.

Iveres gwałtownie się wyprostował. Czyżby uznał fakt, że Josef ośmielił się jemu zadać pytanie, za karygodną impertynencję?

- Proces obserwacji kamienia, obmyślanie stosownego szlifowania mogą - czy raczej muszą - zająć wiele miesięcy -

odpowiedział mimo wszystko ze spokojem. - Chcę wiedzieć, skąd będzie pan czerpał oparcie w tym okresie, czy ktoś będzie się troszczył o pana, chodził wokół pańskich spraw, żeby miał pan wolną głowę do pracy. Cieszy mnie wiadomość, że ma pan niezwykłą wnuczkę - wyobrażam sobie, że chciałby pan otoczyć ją wszystkim, co najpiękniejsze. To będzie pana z pewnością popychać do sukcesu. Czy wystarczająco odpowiedziałem na pańskie pytanie?

Josef potaknął, z niepokojem oczekując dalszych pytań Iveresa na temat rodziny.

- Kto jest pańskim ulubionym malarzem? - spytał tymczasem Iveres,

Mógł po prostu - zgodnie z prawdą - odpowiedzieć, że Vermeer, ale coś w nim nagle się zbuntowało. Ten człowiek bawił się nim, korzystając ze swojej władzy, roztaczał pokusy, które nigdy nie miały zostać spełnione.

- *Genoegl* - wybuchnął po holendersku bez zastanowienia. - Dość tej przepytawania! Dlaczego nie spyta mnie pan o jedyną istotną rzecz? O kamień! Co zrobiłbym z tym kamieniem?

- Widzę, Zeeman, że brak ci cierpliwości - odpowiedział Iveres, miotając błyskawice z oczu.

- Nie. Po prostu nie mam cierpliwości do bzdur. Jeśli przywiązuje pan do nich wagę, to proszę sobie

poszukać kogoś innego. Jeżeli nie - porozmawiajmy o ważnych sprawach. Nie o moim sercu i duszy, tylko o sercu i duszy tego diamentu. Proszę mi zadawać pytania na temat kamienia, a przekona się pan, że moja cierpliwość nie ma granic.

Ostry jak brzytwa wąsik Iveresa drgnął w przebłysku uśmiechu.

- Zeeman - powiedział łagodnie. - Od dwóch dni czekam na kogoś, kto odważy się przyznać, że go nudzę, ośmieli się zakwestionować mój autorytet i tok mojego rozumowania. Ten, komu pozwolę rozłupać mój diament, będzie musiał

odznaczać

się odwagą, która pozwoli mu rzucić wyzwanie kamieniowi. Jest pan pierwszą osobą, która ośmiela mi się rzucić mi w twarz, że rozmowa o czymkolwiek, z wyjątkiem diamentu, jest stratą czasu. Nie byłbym taki pewien, czy cała reszta rzeczywiście nie ma najmniejszego sensu, jednak jestem pewien, że tylko śmiały, oswojony z ryzykiem człowiek będzie zdolny wykonać to zadanie.

- Wstał od biurka i jednym ruchem ręki rozsunął zasłony. Przedwieczorne słońce świeciło jeszcze mocno. Iveres zdjął z parapetu gładką, polerowaną szkatułkę, postawił na biurku i uniósł wieko. W środku znajdował się surowy diament.

- Ma pan dwadzieścia minut na obejrzenie kamienia. Następnie powie mi pan, jakby się pan do niego przymierzył.

- Dwadzieści minut to tyle co nic - oświadczył Josef, siłą powstrzymując się, żeby nie mrużyć oczu w blasku słońca.

- Przed rozłupaniem Kulinana przez dziewięć miesięcy...

- Nie mam dziewięciu miesięcy. I nie proszę pana, żeby wydał pan ostateczny werdykt, tylko zaryzykował popartą doświadczeniem propozycję. W gruncie rzeczy i tak wszystko się do tego sprowadza.

Josef był pewien, że Iveres go oszukuje. Z pewnością kamień został już bardzo starannie przebadany. Nie miał

jednak nic do stracenia.

Sięgnął do szkatuły i wziął do ręki kamień o rozmiarach jabłka i niemal dwa razy większym ciężarze. Usunął

diament z zasięgu słońca i zaczął powoli obracać w palcach, pocierając kciukiem po wierzchu. W szarawej otoczce diamentu wycięto małe, przezroczyste okienko. Josef wyjął z kieszeni lupę, włożył do oka i zajrzał w mroczne serce kamienia. Jego rembrandtow-ska twarz pokryła się zmarszczkami skupienia.

Iveres nie spuszczał oka z Zeemana. Po chwili wyciągnął z kieszeni zegarek z dewizką, podniósł

złote wieczko i postawił przed sobą na biurku. Josef nieprzerwanie oglądał kamień. W końcu Iveres z głośnym trzaskiem zamknął

wieczko zegarka.

- No i jak? - spytał.

Josef odłożył kamień do szkatuły.

- Naturalnie, po dłuższych oględzinach mógłbym zdecydować się na zupełnie inne rozwiązanie.

- Naturalnie.

- Niemniej sądząc z tego, co widzę, byłbym chyba za zmodyfikowanym starym szlifem, na który pozwala siatka krystaliczna kamienia. Zastosowałbym szlif schodkowy, najprawdopodobniej dziewięćdziesiąt faset - tak jak przy Żółtym Tiffanym, odkształcając niektóre, żeby pozbyć się smugi inkluzji, którą widzę. W ten sposób zredukujemy straty do minimum. Myślę, że dałoby się wyciągnąć z niego jakieś czterdzieści pięć do pięćdziesięciu karatów. Czoło dałbym trochę wyżej, niż zaleca Tolkowski. Utracilibyśmy nieco połysku, ale za to uzyskalibyśmy maksymalną grę światła. Myślę, że kamień to wytrzyma.

- Decydowałby się pan na jeden? - spytał Iveres, mając na myśli, czy z całego kamienia powstanie jeden oszlifowany diament.

- Tak - oświadczył Josef bez wahania. Było to bardzo odważne podejście do dziwnie nieforemnego, spłaszczonego na jednym końcu kryształu - czuł jednak, że mu się powiedzie. Oznaczało to jedno, jedyne czyściutkie cięcie wzdłuż siatki krystalicznej. Dalej wszystko miało sprowadzić się do szlifowania i polerowania.

- I Louers i De Smet wspominali o czterech.

- Zapewne przypuszczają, że siatka przebiega równoległe do płaskiego końca. Odnoszę inne wrażenie. - W jego głosie, zabarwionym holenderskim akcentem, dało się słyszeć wielką pewność siebie.

To było dokładnie to, co Iveres chciał usłyszeć. Jego klient żądał możliwie największego kamienia, który rozsiewałby blask na lewo i prawo. Zeeman był jedynym, który to wyczuł i instynktownie pojął, jak osiągnąć ten efekt.

Iveres długo wpatrywał się w twarz Holendra. Słyszał, że Zeeman cieszy się w branży uznaniem, jednak nie należy do elity nowojorskich szlifierzy. Przed wojną, w Holandii podobno opracował parę poważniejszych kamieni, jednak od tego czasu minęło wiele lat. Ten kamień byłby dla niego niewątpliwie poważną próbą. Z drugiej jednak strony, gdyby uzyskał jeden jedyny diament o wadze czterdziestu pięciu, a może nawet pięćdziesięciu karatów...

Pchnął Josefowi przez biurko drewnianą szkatułę.

- Robota jest twoja. Masz na nią tyle czasu, ile ci będzie trzeba.

Rozdział piąty

Przy łupaniu diamenty zachowują się bezlitośnie. Albo cięcie jest perfekcyjne, albo diament ulega zniszczeniu.

Trzecia możliwość nie istnieje.

Dla Josefa zaczął się romans z kamieniem. Przez jubilerski mikroskop o podwójnym tubusie godzinami obserwował

diament spoczywający na podświetlarce Diamondlite. Szkicował diagramy końcowej obróbki. Odlął kilka gipsowych modeli, a kilka wykonał z nici rozpiętych na listwach z drzewa balsy, które odzwierciedlały siatkę krystaliczną kamienia. Przy obiedzie z mięszu białego chleba lepił kulki, ugniatał w palcach, nadając im kształt nietypowego diamentu o spłaszczonym spodzie, po czym wkładał do ust i żuł w zadumie. Diament Iveresa praktycznie stał się członkiem rodziny.

Często odczuwał potrzebę wypowiedzenia swoich myśli na głos. Jego ulubioną słuchaczką była Pete. Steve nie wtrącał się wprawdzie, ale z chmurną miną obserwował, jak jego ukochane dziecko ulega magii klejnotów. Czyżby nad rodziną D'Angelich unosiło się jakieś fatum, które jej członków czyniło tak podatnymi na zwodniczy blask drogich kamieni?

Bettina również odczuwała magnetyczny pociąg do diamentu Iveresa. Fascynował ją sekret zaklęty w jego wnętrzu.

Z wielką uwagą wysłuchiwała planów Josefa. Wyobrażała sobie, że czerpie siły z niezrównanej twardości diamentu, kurczowo uchwyciła się jego doskonałości, która była dla niej symbolem nadziei na przeżycie.

Niekiedy Josef przechadzał się po pokoju z kamieniem w ręce,

jakby usiłował przeniknąć jego istotę. Zanim uderzy młotkiem, musi poznać diament na pamięć tak jak własną twarz, zbadać powierzchnie i jego serce, przeniknąć miliony lat historii tego kamienia.

- Muszę postępować jak rzeźbiarz - mówił, a Pete słuchała, w każdej chwili gotowa dać się ponieść magii jego słów.

- Muszę zobaczyć skończony diament w surowym kamieniu, podobnie jak rzeźbiarz widzi posąg w martwym bloku marmuru.

Powiększył wziernik na dnie kamienia, żeby uzyskać lepszy wgląd do środka i sprawdzić, gdzie znajdują się zanieczyszczenia.

- Wpełzam do środka, przechadzam się i rozglądam dookoła - mówił do Pete.

- Jak niedźwiedź, który wdrapał się na czubek góry - uzupełniła, rozbawiona.

- Dokładnie. Jak niedźwiedź.

.L/ziewieć miesięcy minęło, zanim Josef ogłosił gotowość rozłupania diamentu. Powiadomiono Claude'a Iveresa, który odtelefonował z Paryża, że osobiście weźmie udział w wydarzeniu, które miało się odbyć w niedzielny poranek pod koniec marca. Szykowało się nie byle jaka uroczystość - zaproszono, ba! zażądano obecności wszystkich szlifierzy i całego zarządu nowojorskiego oddziału Duforta & Iveresa. Skrzynki szampana czekały w szlifierni na doniosłą chwilę.

Dla Josefa wydarzenie miało być ukoronowaniem życiowej działalności jubilerskiej, w związku z czym zażyczył

sobie obecności rodziny. Stan zdrowia Bettiny ostatnio bardzo się poprawił, pozwalając żywić najbliższymi nadzieje, że jej dusza uwolni się wreszcie od makabrycznych wspomnień. Josef chwilami wyobrażał sobie, że tnąc diament, otwierając jego wnętrze, wyzwoli córkę od zmyślności przeszłości. Z kolei obecności Pete pragnął dlatego, że dziewczynka bardzo interesowała się kamieniami, które to upodobanie zresztą starannie w niej podsycił.

Promienie porannego słońca wpadały do szlifierni. Wypełnione po brzegi pomieszczenie zdawało się naelektryzowane oczeki-

waniem. Bettina ubrała sześciolletnią Pete w najpiękniejszą batystową sukienkę w białoniebieski wzór, przewiązaną szarfą z tafty. Niesforne czarne loki związała z tyłu błękitną wstążką. Pete zerkała co chwila na czubki nowiutkich lakierów od Mary Jones, żeby sprawdzić czy z czarnej, lśniącej powierzchni kolejno raz wyjrzy jej własna twarz.

Opa siedział przy swoim warsztacie. Zdążył już zaznaczyć tuszem linie ciecia na powierzchni kamienia, przykleił też diament do łapy mieszanką własnego wyrobu, złożoną z szelaku, żywicy i pyłu ceglanego. Drugim, ostrym diamentem wykonał nacięcie na kamieniu. Osadził mocno łapę w specjalnym otworze w blacie warsztatu.

Przyniesiono krzesło dla Bettiny; poza tym wszyscy obecni mieli przyglądać się na stojąco.

- Panie Zeeman - Claude Iveres odchrząknął nerwowo. - Czy jest pan gotów, żeby zacząć?

- Tak jest - potwierdził Josef, poprawiając lupe. - Czy mogliby się państwo trochę cofnąć?

Wziął do ręki małe, prostokątne metalowe ostrze. Powoli, z nienaganną precyzją ustawił ostrze na nacięciu. Uniósł

drewniany młotek. Krople potu spływały mu po czole. Pete czuła, jak matka wstrzymuje oddech.

Josef nachylił się nad kamieniem. Uniósł młotek w rytualnym geście, którego tradycja liczyła sobie ponad pięćset lat i opuścił ostrze z głośnym stukotem.

Ostrze pękło z trzaskiem.

Po szlifierni przemknął nerwowy śmieszek.

- Może powinien był sobie zamówić doktora z maską tlenową jak Kapłan, kiedy ciął Jonkera - zażartował jeden z obecnych.

Josef, nie zwracając uwagi na docinki, spokojnie wziął następne ostrze, oparł na nacięciu i poruszył lekko, sprawdzając, czy dobrze siedzi. Jeszcze raz wziął młotek do reki, uniósł w górę i zdecydowanym ruchem opuścił na ostrze.

Diament rozpadł się na sto kawałków.

Tłum obecnych osłupiał. Na moment życie zamarło w szlifierni. Na warsztacie Josefa, zamiast jednego triumfalnego trofeum, leżała kupka bezwartościowych okruchów.

Josef pomylił się, pomylił nieodwracalnie. W jednej sekundzie diament wart kilka milionów dolarów stracił wszelką wartość.

Nareszcie pękła tama ciszy i przez salę przetoczyła się fala głosów, z każdą chwilą przybierając na sile. Pete nie wiedziała, co jest powodem tego poruszenia, czuła jednak, że stało się coś niedobrego. Opa, znieruchomiały jak posąg, wpatrywał się w rozrzucone na stole odłamki. Palce taty zacisnęły się boleśnie na jej ramieniu. Mama zaczęła płakać; najpierw łzy płynęły cichutko po jej policzkach, potem rozszlochała się na dobre, wreszcie płacz przeszedł w krzyk i tata musiał ją spoliczkować, żeby się uspokoiła. *Monsieur Iveres* z płonącym wzrokiem przedarł się przez tłum, wrzeszcząc na Ope, żeby się wynosił i wybił sobie z głowy, że ktokolwiek w życiu da mu jeszcze diament do ręki! Pokój wypełnił się hałasem, wściekłością i cierpieniem, ale najgorsza była w tym wszystkim osłupiała twarz Opy. Pete straszliwie chciała mu pomóc, pomóc wszystkim na sali, złożyć z powrotem w całość okruszki kamienia, nie wiedziała jednak, jak to zrobić.

Z/ chwilą, gdy diament pękł, pękła też więź, która spajała rodzinę D'Angelich, a jej odłamki raniły wszystkich wokół

do krwi.

Josef został zwolniony natychmiast. Zdawał sobie sprawę, że wiele czasu upłynie, zanim ktokolwiek da mu u siebie posadę szlifierza. Chociaż wszyscy wiedzieli, że każdy szlifierz może się pomylić, nikt nie odważyłby się przyjąć do pracy człowieka, który był skreślony u Claude'a Iveresa. Zachwiana wiara we własną wartość przybierała u Josefa postać wybuchów złego humoru i coraz częściej między nim a Steve'em dochodziło do głośnych awantur. Ci dwaj poza sobą nawzajem nie mieli nikogo, na kim mogliby rozładować swój gniew i rozgoryczenie.

Bettina była już nieobecna duchem. Niefortunne uderzenie, które rozbiło diament w drobny mak, zadało jej umysłowi tragiczny cios. Pograżona w coraz głębszej depresji, całymi dniami nie opuszczała łóżka, nie odzywając się do nikogo.

Teraz, kiedy Josef stracił posadę i z pewnością nie miał jej szybko odzyskać, Steve sam musiał zarabiać na utrzymanie

rodziny. Niechętnie wrócił do jedyne zajęcia, przy którym mógł spodziewać się w miarę pewnych

dochodów.

Nienawidząc każdej spędzonej w ten sposób chwili, powrócił do dzielnicy jubilerów, aby krążyć z walizeczką pełną tanich ozdób po sklepikach z biżuterią, warsztatach naprawczych i wytwórcach pierścionków i bransolet.

Jego zarobki w żaden sposób nie były w stanie pokryć kosztów najmu komfortowego mieszkania przy Riverside Drive. Przenieśli się do małego, czteropokojowego mieszkania przy Pięćdziesiątej Czwartej w pobliżu Hudsonu. W

tej okolicy, zwanej Przedpiekłem, o każdej porze dnia i nocy w bramach kamienic wystawały prostytutki, wykolejeńcy gromadzili się na rogach ulic, a gangi młodocianych sprawowały na ulicach rządy twardej ręki.

Pete sama musiała wymyślać sobie rozrywki. Często wyobrażając sobie jak cudowne i luksusowe życie prowadziliby, gdyby Opa rozłupał diament jak trzeba, wyciągała kredki i rysowała szkice poprawnego cięcia.

Projektowała pierścienie i broszki, w których obsadzała go w otoczeniu szmaragdów, rubinów i szafirów.

Najbardziej lubiła dni, kiedy dziadek zabierał ją na spacer nabrzeżem Hudsonu. Wystarczyło przejść zaledwie kilka przecznic, żeby znikły zaśmiecone place między kamienicami Przedpiekła, smutne oczy matek, cierpiących na nadmiar dzieci i brak męża, silni i zdrowi mężczyźni godzinami grający na ulicach w domino, bo w tej metropolii nie było dla nich żadnej pracy. Pete i Opa zostawiali to wszystko za sobą. Zwróceni twarzami ku rzece, wyobrażali sobie życie w lepszym świecie. Pete lubiła liczyć mewy i wdychać słone powietrze, patrząc jak wielkie liniowce transoceaniczne przybijają do portu.

- Tak jak u nas w Rotterdamie - mówił z rozrzewnieniem dziadek pokazując na doki.

Pete nasłuchiwała się o Rotterdamie. Wiedziała, że tam urodziła się jej mama i tam babcia Anneke zginęła z rąk złych ludzi, którzy nazywali się hitlerowcami. Wiedziała, że to miasto leży gdzieś bardzo daleko, po drugiej stronie niebieskiej plamy na mapie. Jej Opa tęsknił za swoim miastem, chociaż nigdy tego nie mówił.

Wiedziała też troszeczkę o drugiej babci - Piętrze, której była imienniczką. Pochodziła z Włoch, gdzie urodził się tata. Pete chciała coś więcej o niej wiedzieć, ale kiedy pewnego razu próbowała wypytać tatę, jego oczy wypełniły się smutkiem. Nie powiedział jej wiele.

- Była królową o włosach czarnych jak heban i cerze barwy kości słoniowej. Żyła daleko stąd pośród tysięcy klejnotów. Nie znałem jej zbyt dobrze.

- Czy ona by mnie lubiła? - spytała Pietra.

- Lubiła? Kochałaby cię, *bambina*, tak samo jak ja! - zmienił temat, a ona poczuła, że nie powinna o nic więcej pytać.

W tej chwili, a może i w ogóle. Jednak odtąd potajemnie zaczęła swoją królewską babkę uważać za prywatną dobrą wróżkę.

Któregoś wieczoru, u zarania kolejnej wiosny, Josef wrócił do domu w znakomitym nastroju. Przez blisko rok jak upiór włóczył się po dzielnicy jubilerów, naprzykrzając się dawnym znajomkom, stukając do każdych drzwi, aż wreszcie znalazł pracę. Prawdziwą pracę - jako szlifierz. Naturalnie, nikt mu nie powierzy już niczego wartości diamentu, który bezpowrotnie zniszczył Iveresowi - pogodził się z myślą, że taki dowód zaufania już się w jego życiu nie powtórzy. Miał jednak szlifować zwykłe, małe diamenty, od czasu do czasu mógł też trafić mu się jakiś szafir czy szmaragd. Wreszcie będzie zarabiał, porządnie zarabiał. Zapewni swojej pięknej córce należytą pomoc.

Z lekkim sercem, lekkim krokiem, mimo sześćdziesiątki na karku, szedł radośnie chodnikiem z bukietem róż w ulubionym kolorze Bettiny w jednej ręce i butelką wina w drugiej. Będą dzisiaj świętować i na twarzy Bettiny znów pojawi się uśmiech. Sąsiadowi, który wyszedł na schodki przed domem zaczerpnąć powietrza, pomachał wesoło ręką i pomaszerował na górę.

Otworzył drzwi. Z wnętrza mieszkania buchnął na niego dziwny zapach. W kuchni ulatniał się gaz! Upuścił kwiaty.

Butelka wina rozbiła się na odrapanym

żółtym linoleum. Wbiegł do kuchni, krztusząc się gryzącym dymem. Pod krytym ceratą kuchennym stołem Bettina pochylona nad Pete przyciskała dziewczynkę do ziemi. Zgasiła stały płomyk kuchenki i włączyła wszystkie cztery palniki, a także piekarnik.

Josef czym prędzej zamknął gaz. Chciał otworzyć okno kuchenne, ale było zaklejone na zimę. Dłonią zwiniętą w pięść wytlukł szyby i pędem pobiegł do salonu, otwierając wszystkie okna na oścież. Wrócił, wyciągnął Bettinę i Pete do przedpokoju, jak najdalej od trujących wyziewów.

Kaszlały i miały zaczerwienione oczy, ale widział, że nic im nie jest. Osunął się na podłogę obok córki i wnuczki.

- Dlaczego, *Tientjef?* - rozpaczał, kołysząc córkę w objęciach jak dziecko. - Czemu chciałaś to zrobić, *schatje?*

- Nie dostaną jej, tato - odpowiedziała szeptem. - Nie dostaną mojej maleńkiej. Nigdy nie zazna tego, co ja.

- Moje biedactwo, moja biedna *ließe*.

- Dlaczego mnie nie zabili, papo? - rozplakała się żałośnie. - Lepiej by było, gdyby mnie zabili. Czemu mnie nie wsadzili do gazu, jak mamę?

Kołysał ją w objęciach, głaszcząc po głowie.

- Ach, Anneke, co te łotry zrobiły naszemu dziecku? - szeptał do zmarłej, zalewając się łzami.

Przerażony spodziewaną reakcją Steve'a, Josef postanowił utrzymać w tajemnicy przed zięciem samobójczy zamach Bettiny i śmiertelne niebezpieczeństwo, na jakie naraziła Pete. Kiedy Steve wrócił z pracy do domu, po całym zajściu nie było już śladu. Mieszkanie wietrzono przez wiele godzin, żeby usunąć zapach gazu, wytłuczone szybki w kuchni zasłonięto firanką. Bettina leżała w łóżku, oszołomiona środkiem uspokajającym.

Tym jednak razem Pete była wystarczająco duża, żeby zrozumieć, co się stało, chociaż nie mogła pojąć dlaczego.

- Czemu mama mnie nienawidzi? - spytała Steve'a, kiedy układał ją do snu. Cała historia wyszła na jaw.

Jak rozjuszony byk Steve porwał się z wnęki, którą przerobili

na sypialenkę Pete. Wbiegł do małżeńskiej sypialni, w której spała Bettina i zdarł z niej kołdrę.

- Jak mogłaś - wrzeszczał, potrząsając żonę za ramiona.

- Trzeba być potworem, żeby własnemu dziecku zrobić coś takiego! - Gdyby nie to, że Josef był w domu, kto wie, czy nie pozbawiłby Bettiny życia.

Krzyki Steve'a i przeraźliwy pisk Bettiny wyrwały Josefa z jego sypialni. Wielkimi, niedźwiedziowatymi łapami oderwał Steve'a od córki i przycisnął go do ściany.

- *Genoeg* - krzyczał. - Dostyc tego!

Widok przerażonej, skulonej na podłodze przy łóżku żony, osłaniającej delikatnymi rękami głowę, zgasił nagle całą wściekłość Steve'a. Jej miejsce zajęło niezłomne postanowienie, by chronić córkę.

- To się nigdy nie skończy, Joe, dopóki ona jest w tym domu.

- Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Pete przyglądała się wszystkiemu z przedpokoju, dopóki ojciec nie odniósł jej łagodnie do łóżka.

Steve i Josef przegadali całą noc. Opuścił ich gniew, a jego miejsce zajął przeraźliwy smutek. Wreszcie stać ich było na rzeczową rozmowę. W końcu niechętnie doszli do wspólnego wniosku, że Bettiny nie sposób dłużej trzymać w domu. Trzeba ją oddać tam, gdzie zajmą się jej chorobą. Trzeba ją odesłać dla bezpieczeństwa Pete.

Nawet teraz, kiedy Josef znalazł posadę, nie stać ich było na oddanie Bettiny do prywatnej kliniki. Nawet jeśli ograniczą wydatki do minimum, w żaden sposób nie starczy im na to pieniędzy. Pozostawało tylko jedno wyjście.

Bettinę wysłano do stanowego zakładu psychiatrycznego w Yonkers.

Pete przez dłuższy czas nie mogła zrozumieć dokąd odeszła jej matka, ani dlaczego. Kiedy Steve

wyjaśniał jej, że mama zachorowała i wyjechała do szpitala, aby się leczyć, potakiwała z powagą i wyglądała na pogodzoną z losem.

Często jednak budziła się z krzykiem wywołanym koszmarными snami, a ilekroć razy Steve czy Josef poczuli się troszkę gorzej, choćby to był tylko katar czy ból głowy, Pete robiła się nerwowa i nieznośna, jakby nie była tym samym dziecka co zawsze.

Pewnego dnia, kiedy Bettina już od sześciu miesięcy przebywała w zakładzie, Steve przywłókł do domu paskudną gripę. Pete wgramoliła się ojcu do łóżka, mimo ostrzeżeń, że może się zarazić.

- Czy ty też wyjedziesz, tato?

- Co? - spytał, nie rozumiejąc.

- Opa mówi, że jesteś chory. Czy też wyjedziesz do szpitala, jak mama, i nigdy już nie wrócisz?

- Oczywiście, że nie. To tylko zwykła gripa, *bambina*. Nigdzie nie wyjeżdżam.

- Na pewno?

- Na pewno. - Przytulił mocno córeczkę, gładził po włosach i całował w czoło, nie przejmując się, czy złapie cholerną gripę od niego, czy nie.

Pete zaczęła dorastać w przyspieszonym tempie. W szkole musiała znosić okrutne żarty na temat „kopniętej” matki, która mieszka w wariatkowie. Któregoś dnia wróciła do domu z podbitym okiem, po tym jak Tommy Gallagher szedł

za nią pukając się znacząco w czoło. Pete rzuciła się na niego z pazurami.

Z dnia na dzień wyczekiwała kolejnych nieszczęść. Nauczyła się spodziewać najgorszego. Strzaskany diament.

Utrata zacisznego domu. Szaleństwo matki. Rzadkie chwile radości w żaden sposób nie były w stanie zrównoważyć strat. Na własne oczy widziała, jak ulotne potrafi być szczęście, jak łatwo można je skruszyć jednym źle wymierzonym uderzeniem. Skoro nie sposób ustrzec się przed ciosami, które zadaje los, trzeba uzbroić się w pancerz, twardszy niż diament, rozumowała. Potrzebowała zbroi tak doskonałej jak zbroja baśniowych rycerzy, chroniąca ich siłą magicznego zaklęcia.

Och, tato, jaki on przystojny. Jak jakiś aktor!

Ośmioletnia Pete przykucnęła przed wielkim nowym telewizorem marki Sylvania, podziwiając młodego, promiennie uśmiechniętego mężczyznę, który machał ręką do swoich wyborców. Kandydował na stanowisko prezydenta. Steve i Josef oglądali go w milczeniu, z rzadka odzywając się do Pete. Był dzień wyborów, więc obaj skończyli wcześniej pracę i pojechali odwiedzić jej matkę. Z odwiedzin w zakładzie wracali zawsze ponurzy i nie odzywali się potem godzinami.

Pete ubłagała ojca, żeby pozwolił jej nie iść jeszcze do łóżka i obejrzeć migawki z wyborów, aż do

chwili, kiedy Kennedy oficjalnie zostanie ogłoszony zwycięzcą. Jednak podliczanie głosów przeciągało się w nieskończoność, a następnego dnia szła przecież do szkoły. O dziesiątej pocałowała obu milczących mężczyzn i poszła spać.

W dwie godziny później obudziły ją podniesione głosy.

- Wybij to sobie z głowy, Steve! Nie pozwolę ci trzymać jej tam ani chwili dłużej! To ohydne miejsce, gorzej mogłaby wdepnąć chyba tylko w gniazdo żmij! - dobiegł ją najpierw głos dziadka, chrapliwy i donośny jak głos *monsieur* Iveresa w dniu, kiedy rozpadł się diament.

Ostatnie zdanie przykuło uwagę Pete, podobnie jak fakt, że znów sprzeczała się o mamę. Jej mama w gnieździe żmij?

Minęło już kilka miesięcy, od jej zniknięcia, a Pete nigdy nie wolno jej było odwiedzić. Co przed nią ukrywali?

Na palcach wyszła z łóżka i usłyszała, że jej ojciec odpowiada podniesionym głosem.

- Do jasnej cholery, wiesz przecież, że nie mamy wyboru, Joe. Co niby mamy z nią robić? Zdajesz sobie sprawę, że jest niebezpieczna.

Pete weszła na palcach do przedpokoju, skąd miała widok na dywan na środku saloniku, gdzie ojciec z dziadkiem stali naprzeciwko siebie z nabrzmiałymi żyłami na szyi, zaciskając pięści i obrzucając się płomiennym wzrokiem jak dwaj bokserzy na ringu.

- Powiedzieli, że będzie spokojna po lekach - mówił Josef.

- To zbyt kosztowne i zbyt ryzykowne, jak zapewne zdajesz sobie sprawę... - sprzeciwiał się Steve. - Pomyśl tylko, co będzie, jeśli dawka nie będzie odpowiednia, albo... oszuka nas w jakiś sposób i nie zażyje swoich pigulek? Czy możesz przysiąc, na życie Pete, że nic takiego się nie zdarzy?

- Ale ona siedzi tam już od dziewięciu miesięcy! Dziewięć miesięcy w tym piekle! Sam widziałeś, jak wygląda, Steve. Ona się tam wykończy. - Steve milczał ze wzrokiem wbitym bezradnie w ścianę.
- Pragniesz jej śmierci! - krzyczał Josef. - Chcesz się jej pozbyć raz na zawsze! Steve natychmiast przeniósł

wzrok na Josefa.

- Cóż za brednie. Przecież to moja żona, do jasnej cholery. Skóra mi cierpnie na myśl o tym, co musi znosić. Ale sam powiedz, Joe, czy nie dosyć już poniosłem ofiar w imię jej szaleństwa? Czyja też nie mam prawa do własnego życia?

- Nie kosztem mojej córki!

- Ani kosztem mojej córki!

Pete nie chciała tego więcej słuchać ani na to patrzeć. Pędem rzuciła się do łóżka i zagrzebała w

pościeli, naciągając kołderkę na głowę, żeby nie słyszeć wrzasków.

- Spraw, żeby wreszcie przestali - wyszeptała w poduszkę.

- Błagam, spraw, żeby wszystko było tak jak dawniej.

W ciemnościach odszukała swoją najcenniejszą zabawkę

- Raffiego - wypchaną żyrafę, którą ojciec kupił, kiedy się urodziła. Była zawstydzona dziecinną potrzebą bezpieczeństwa, która kazała jej tulić Raffiego do buzi tak mocno, że jeden ze szwów zabawki pękł z głośnym trzaskiem.

- Przepraszam, Raffle - wyszeptała do wypchanego zwierzątka. - Nie chciałam, żeby cię zabołało. - Ale dalej rozpaczliwie gniotła zabawkę.

Wreszcie krzyki ucichły. Pete nasłuchiwała długo, w końcu powolutku wyczołgała się z kokona. Bała się spać w ciemnościach od czasu incydentu w szafie. Małeńka żółta lampka nocna świeciła w nogach łóżeczka, wypełniając wnękę sypialną ciepłym, łagodnym blaskiem. Zobaczyła wyraźnie pęknięty szew na brzuchu zwierzaka. Przejechała po rozpruciu koniuszkiem palca.

- Spróbuję to naprawić - zawiadomiła Raffiego szeptem.

Z rozprucia wystawały kawałki watoliny. Pete wcisnęła je z powrotem do brzuszka. Pod paznokciem poczuła coś twardego.

- Co połknąłeś? - spytała cichutko, chichocząc. - Kamyk?

- Z powrotem wypatroszyła częściowo Raffiego i zaczęła mu grzebać w brzuszku, aż wyczuła mały, twarde przedmiot.

Przedmiot okazał się miniaturową laleczką. A właściwie połówką laleczki, ponieważ brakowało jej spódniczki i nóg, za to miała główkę, ramiona i piękną czerwoną bluzeczkę. Nie

przypominała Pete żadnej z widzianych do tej pory lalek, była za to o wiele piękniejsza - jak dobra wróżka Pete była czarodziejską damą, obsypaną drogocennymi klejnotami. Pete przypomniał się skarb w grocie Aladyna.

W półśnie, a może w ogóle nie rozbudzona, Pete uznała, że życzenie, które wypowiedziała w myślach, spełniło się.

Oto zjawiała się czarodziejska dama, która sprawi, że tata nie będzie się złościł, a Opa znów zacznie się uśmiechać i przywiezie do domu mamę; dobra wróżka, dzięki której wszystko znów będzie tak jak dawniej.

Wygramoliła się z łóżeczka i pobiegła do salonu. Ojciec był już sam, siedział w jednym z dwóch foteli. Wyglądał na bardzo zmęczonego, półprzymknięte powieki ciężko opadały mu na oczy, mimo to nadal trzymał się prosto. Na oparciu fotela stała szklanka, na podłodze - butelka whisky.

- Tatusiu, zobacz co znalazłam! - krzyknęła. - Gdzie jest Opa? Muszę mu to pokazać!

Ojciec bardzo powoli odwrócił głowę w jej stronę. Mrużył oczy tak jak Pete, kiedy próbowała zobaczyć coś we mgle.

- Co ty tu robisz o tej porze, *bambina*? - spytał. Wskoczyła mu na kolana, strącając szklanekę na dywan, zbyt podniecona, żeby zwracać uwagę na podobny drobiazg.

- Patrz, co znalazłam! - powtórzyła. Podsunęła mu swój skarb przed oczy.

Przez chwilę patrzył niewidzącym wzrokiem, potem jego spojrzenie nabrało ostrości. Daremnie oczekiwała jakichkolwiek oznak entuzjazmu.

- Czyż to nie jest najpiękniejsza rzecz na świecie? Dostałam ją w prezencie od mojej dobrej wróżki.

Steve sięgnął ręką powoli i wyjął córcę z rączki wierzch flakonika. Zaskoczona, nie protestowała.

- Skąd wiesz, kto ci ją dał? - spytał cicho. Nie musiał pytać, gdzie znalazła swój skarb - sam zaszył go w zabawce dawno temu, wiedząc, że będzie tam bezpieczny, dopóki dziecku nic się nie stanie. Swoją drogą chciał go ukryć przed samym sobą, żeby nie odczuwać zbędnej pokusy.

- Wypadła z Raffiego - wyjaśniała Pete. - To muszą być te same czary, które dla Kopciuszka zmieniły dynię w karete!

Steve spojrzał na połówkę kobiecej figurki, którą trzymał na dłoni.

- Czy wiesz, *bambina* - powiedział - że niektóre czarodziejskie podarunki wcale nie są podarunkami, tylko...

pułapką. Jak wielkie, czerwone jabłko, które zła królowa dała Śnieżce.

- Jabłko było zatrute. Laleczka nie jest zatruta.

- A jednak jest pułapką. Lepiej, żebyśmy jej –jak jabłka- nie dotykali. Nawet nie rozmawiali o niej. Powinnaś zapomnieć, że kiedykolwiek oglądałaś tę rzecz. Nie wolno ci o niej mówić Opie. To bardzo ważne, musisz mi przyrzec.

- Dlaczego?

- Bo byłoby mu bardzo przykro. A teraz - do łóżka - zaordynował, siłąc się na stanowczość. - No, już!

Zdezorientowana, powoli zsunęła się z kolan ojca, jednak nie wychodziła z pokoju.

- Czy taka ładna rzecz może być zła, tatusiu?

- Wiem tylko tyle, że dla mnie była niedobra, bardzo niedobra.

- Jak to?

- Przez nią wyruszyłem... do nikąd. Myślę, że gdybym tej rzeczy nigdy nie oglądał, myślę, że moje życie byłoby teraz zupełnie inne.

- Tak inne, że mnie by w ogóle nie było?

Twarz Steve'a złagodniała. Pete już nie miała uczucia, że ojciec patrzy na nią przez mgłę.

- Nigdy w życiu, moja najdroższa! - oświadczył porywając ją w objęcia. - Dzięki tobie jedynej cieszę się, że nic już nie da się w moim życiu zmienić.

Wstał, wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

- Dlaczego trzymasz u siebie tę rzecz, skoro ona jest niedobra? - padło ostatnie, sensowne pytanie, kiedy owinał już Pete kołderką.

Nie znał odpowiedzi. Mógł tylko poprawić kołderkę, pocałować leciutko białe, gładkie czoło.

- Cśś... idzie Piaskarz, sypie dzieciom piaskiem w oczy - wyszeptał z nadzieją, że ten okrucuch magii wynagrodzi utratę poprzedniego.

Kiedy następnego ranka Pete sięgnęła po Raffiego, żyrafa była z powrotem zaszyta. Obmacała zabawkę starannie, ale nie

wyczuła niczego twardego. Kiedy miała okropny sen o tym, jak zamknięto ją w ciemnej lodowatej zamrażarce, tata wyjaśnił jej, że sny potrafią być bardzo rzeczywiste, ale nie są niczym więcej jak tylko obrazami, które pojawiają się w umyśle w nocy i ulatniają nad ranem.

Ale laleczka o perłowych ramionach i oczkach z błękitnych szafirów chyba musiała być prawdziwa. A może jednak była tylko snem?

Niczego nie była pewna, poza jedną rzeczą, że nie wolno jej o tym nikomu wspomnieć.

Rozdział szósty

Nowy Jork - 1966

D eszczowa sobota pod koniec kwietnia. Steve leżał w łóżku z gorączką, Opa miał urwanie głowy z zamówieniami od bardzo poważnego klienta. Obaj przeprosili Pete, że nie będą mogli jej wziąć na wizytę do matki. Z puszek na tytoń, która była domową skarbonką, Pete wyciągnęła parę dolarów i schowała do kieszeni, po czym cichutko wyszła z mieszkania. W niecałą godzinę później na Grand Central wsiadła w pociąg, który ruszył w kierunku północnym...

Dopiero niedawno opowiedziano jej o aresztowaniu babki, i o tym, jak Opa z mamą ukrywali się przez trzy lata. Do tej chwili Josef starał się uchronić Pete przed tymi okropnościami. W jakimś sensie liczył na to, że jeśli przestanie opowiadać o tragicznych doświadczeniach wojennych, jeśli nie

dopuszcza do najmniejszej wzmianki na ten temat, uda mu się cofnąć chorobę córki, nie dopuścić, żeby się pogłębiała.

Jednak któregoś dnia po powrocie do domu zastał Pete splakaną nad lekturą szkolną i uznał, że winien jest wnuczce prawdę. Była już dostatecznie duża, żeby dowiedzieć się wszystkiego. Pete czytała *Dzienniki Anny Frank*.

- Uciekając była tylko o rok starsza ode mnie, Opa - zwróciła się do niego, ze śladami łez na twarzy.
- Miała zaledwie piętnaście lat.

- Wiem. Gdyby żyła, byłaby dokładnie w wieku twojej matki.

- To niesprawiedliwe!

- Niesprawiedliwe? Wszystko, co hitlerowcy robili było niesprawiedliwe. W ich świecie słowo „sprawiedliwość”

należało do

nieprzyzwoitych wyrazów, było głupią, dziecinną mrzonką. - Przez głos Josefa przebijała gorycz zastarzałej nienawiści, nienawiści, która pozostała mu do końca życia. - Twoja matka nie byłaby tym, kim jest, ani tam, gdzie jest, gdyby hitlerowcy dbali o sprawiedliwość.

Wtedy właśnie opowiedział jej o latach spędzonych w ukryciu. Ze szczegółami opisał schowek wielkości szafy, opowiedział o niezwykłej dobroci doktora i o tym, jak trudno im było czasem całymi godzinami milczeć.

Odpowiadał na pytania, co jedli, co czytali, z jakich podręczników Bettina korzystała, żeby nie zostać w tyle za rówieśnikami. Jak żyli całkowicie pozbawieni światła słonecznego.

Na końcu cała historia rozplątywała się w niejasny sposób.

- I co dalej, Opa? - ponaglała go tak, jak dawniej, kiedy skończył jej czytać bajeczkę.

- Dalej?

- Co było potem, kiedy wyszliście stamtąd?

Przez twarz Josefa przemknął skurcz bólu, zaraz jednak przyoblekła się w obojętność maski.

- Wojna skończyła się - oświadczył i szybko wyszedł z pokoju. Chociaż jej matka przeszła przez koszmar, Pete była bardzo

podekscytowana. Zupełnie jak Anna Frank - jej mama przeżyła takie same rzeczy jak Anna Frank, w dodatku w tym samym wieku. Tyle tylko, że jej matka wyszła z wojny z życiem - o ile życiem można było nazwać wegetację w tym upiornym zakładzie.

Opowieść Anny Frank, jej humor, odwaga i niezachwiana, mimo życiowych doświadczeń, wiara w ludzi, umocniły Pete jeszcze bardziej w postanowieniu, że nie pozostawi Bettiny jej losowi, lecz zrobi co będzie w jej mocy, żeby pomóc matce

i umożliwić powrót do świata i do domu.

Stojąc samotnie na zakręcie zwirowego podjazdu, Pete patrzyła w górę na zniechęconą kupę szarych kamieni, wśród których zmuszona była pędzić życie jej matka. Przez zakratowane okna górnego piętra patrzyły na nią twarze bez wyrazu. Nagle przerażająca myśl targnęła Pette. Co będzie, jeśli wejdzie do środka, a tam ktoś uzna ją za niepočitelną i zamknie w pokoju z okratowanymi oknami? W jaki sposób przekona ich, że jest normalna? Jeżeli będzie protestować, krzyczeć, płakać, wyrywać się - tym bardziej uznają ją za nienormalną. Czy między tymi, którzy patrzyli na okna z dołu, a tymi, których zamknięto za kratami, rzeczywiście jest aż tak wielka różnica? Dlaczego mama musi tam być?

Przez dłuższą chwilę nie mogła się zebrać na odwagę, żeby wejść do środka. Stała, trzęsąc się z zimna. Wreszcie przemogła się. Nie może sprawić mamie zawodu. Mimo że zdarzały się dni, kiedy matka zdawała się jej prawie nie dostrzegać, Pete nie traciła nadziei i modliła się o dzień, kiedy obecność córki stanie się dla Bettiny radością, przynosząc ulgę. Może ten dzień właśnie nadszedł?

Gburowaty portier za biurkiem przy wejściu do odrapanego, wyłożonego kafelkami hallu szpitala przyglądał się jej podejrzliwie, chociaż dobrze wiedziała, że pamięta ją z poprzednich wizyt.

- Sama jesteś, dziecko? - upewnił się. A więc to tak. Czy pozwoli jej wejść?

- Ojciec jest chory. Dziadek ma pilną pracę. Czy mogę zobaczyć się z mamą? Mama czeka...

- Mamą? Przypomnij mi, jak się nazywa.

- Bettina D'Angeli.

Portier podniósł z biurka deseczkę z przyczepioną listą pacjentów.

- W porządku, nie jest na oddziale przypadków niebezpiecznych. Ale tobie samej nie pozwolą zabrać jej na spacer.

Znajdziesz ją pewnie w świetlicy. Wejdiesz tędy i pójdziesz prosto do końca korytarza - wskazał parę dwuskrzydłowych drzwi oszklonych zbrojonymi szybami, ale Pete nie potrzebowała jego wskazówek. Setki razy widywała, jak tata i Opa za nimi znikają.

Ledwie jednak przeszła przez drzwi, znalazła się w nieznanym świecie. W portierni o zielonych ścianach, przy pancernych drzwiach z małym, zakratowanym okienkiem, siedział na krześle kolejny strażnik z olbrzymim pękiem kluczy przytroczonych łańcuchem do pasa. Pobrzękując głośno, zaczął otwierać stalowe drzwi.

- Jest w świetlicy. Wiesz, jak tam iść?

Drzwi zamknęły się za nią z głuchym łoskotem. Jeszcze raz szcęknięły klucze, tym razem ciszej, bo przez grubą warstwę stali. Strażnik zamykał za nią drzwi na klucz. Zadrżała. Przez chwilę miała ochotę zawrócić na pięcie, zacząć walić w drzwi, krzyczeć, żeby ją wypuścił. Ale przecież mama czeka na nią. Z wysoko uniesioną głową ruszyła w głąb korytarza.

W tym miejscu było coś nieuchwytnego. Wokół czuło się jakąś dzikość. Z oddali niesły się zwierzęce krzyki, przywodzące na myśl życie w dżungli. Minęły ją dwie czy trzy osoby - sądząc po szlafrokach i pantoflach, byli to pacjenci. W ich oczach było tyle cierpienia, że mimo woli odwróciła wzrok. Teraz wiedziała już, dlaczego tata i Opa kazali jej zawsze czekać, aż sami sprawdzą, jak się miewa mama. Z całą ironią swojej przedwczesnej dojrzałości zdała sobie sprawę, że jest za młoda na przebywanie w takim miejscu.

Przy końcu korytarza stała niewysoka kobieta w białym fartuchu.

- Czy to jest świetlica? - spytała Pete. Kobieta potaknęła.

Pete nieśmiało zajrzała do środka. W pomieszczeniu panował nieznośny zgiełk - płacz i śmiech przeplatały się z szeptami, wrzaskami, pomrukami, rechotem. W świetlicy panowało nieustające, bezcelowe poruszenie - pacjentki krążyły po sali po to tylko, żeby coś zrobić, zataczały nieforemne koła na podłodze krytej linoleum. Twarze niektórych kobiet nie wyrażały absolutnie nic, inne robiły dziwne miny albo promieniały maniakalną euforią. Pete czuła, że przechodzi ją dreszcz. W najśmielszych fantazjach nie przypuszczała, że życie jej matki upływa w tak przerażających warunkach.

- O, Boże! - westchnęła bezwiednie. Niech Bóg wreszcie wyzwoli jej matkę z tego piekła. Zaczęła rozglądać się po świetlicy, usiłując w nieznośnym zgiełku, poprzez kłęby dymu papierosowego, wypatrzeć matkę. W końcu zorientowała się, że jej tu nie ma.

Mogła spytać kobiety przy drzwiach, gdzie ma szukać pani D'Angeli, co będzie jednak, jeśli zabroni jej iść tam, gdzie jest mama? Co będzie, jeżeli każą jej wyjść? Zresztą strażniczka zajęta była akuratem uciszaniem awantury, jaka wybuchła między dwiema pacjentkami grającymi w karty. Pete wyszła ze świetlicy i po schodach ruszyła na górę. Na zakończenie poprzednich wizyt Bettina machała zawsze czekającej na żwirowym podjeździe córce przez okno, stąd Pete wiedziała, że jej pokój znajduje się na drugim piętrze. Przymknęła oczy, wyławiając z pamięci twarz matki w oknie, a następnie zastanowiła się, które to było okno, licząc od narożnika budynku. Tak, czwarte, na pewno czwarte. Pokój mamy musi być czwarty albo piąty od początku korytarza.

W opustoszałym hallu drugiego piętra stalowe drzwi były pozamykane na klucz, w każdym jednak znajdowało się zakratowane okienko, podobne do okienka w drzwiach wartowni. Pete szła wzdłuż korytarza, licząc drzwi i zaglądając, na wszelki wypadek, w każde okienko. Pokoiki po drugiej stronie przypominały więzienne cele. W

każdym stało łóżko, stół i pojedyncze krzesło. Były małe, ale nie wydawały się szczególnie przerażające. W oknach wisiały firanki w kwiaty, gdzieniegdzie do ścian przyklejono taśmą obrazki. W jednym pokoju stary mężczyzna siedział z książką na krześle, w innym młoda kobieta leżała na łóżku. Pete poczuła się pokrzepiona na duchu.

Przynajmniej w sypialniach pacjentów życie wydawało się cichsze i czystsze, nieomal normalne.

Jednak spojrzenie przez czwarte okienko rozwiało jej dobre samopoczucie. Na podłodze przy łóżku siedziała szeroko rozkraczona kobieta. Tłuste, rozczochrane włosy opadały na bezkształtną, szarą suknię, usianą ciemnymi plamami. Z zamkniętymi oczami sprawiała wrażenie pogrążonej w stuporze. Nagle Pete zauważyła, że usta kobiety poruszają się, a obie ręce, zanurzone głęboko pod spódnicą, manipulują gwałtownie między nogami.

Cofnęła się, zszokowana, i pospiesznie ruszyła dalej korytarzem, jednak nagle dotarła do niej świadomość, którą zagłuszył pierwszy wstrząs.

Zamarła w miejscu, boleśnie rozdarta między dwoma sprzecznymi impulsami: uciec... czy wrócić do okienka i zajrzeć jeszcze raz, żeby się upewnić.

Posłuszna magnetycznemu przyciąganiu, znalazła się z po-

wrotem przy żelaznych drzwiach. Powoli odwracała twarz, aż wreszcie zobaczyła całą scenę...

Matka siedziała nadal na podłodze. Jej ręce poruszały się szybciej między nogami. Teraz jej wargi nie poruszały się już bezgłośnie. Bettina mówiła na głos, a jej makabryczny zaśpiew docierał do Pete przez pancerne drzwi.

- Pieprzę was, pieprzę was, ale wy nie będziecie mnie pieprzyć, pieprzę was, pieprzę was...

- Mamo! - krzyknęła Pete. Chwyciła z całej siły za gałkę w drzwiach, zaczęła ciągnąć i kręcić, ale gałka ani drgnęła.

Drzwi były zamknięte na klucz. Załomotała pięściami w okienko.

- Mamo, mamo! - wołała rozpaczliwie, aż jej głos przeszedł w ochryply skrzek.

W końcu matka uchyliła nieco powieki i jej wzrok powędrował do okienka. Ich oczy spotkały się, ale dłonie Bettiny nie przestały się poruszać. Rytmiczny zaśpiew nie ustawał. Patrząc wyzywająco na Pete, wygięła się w łuk na podłodze.

- Mamo... - To nie był już ochryply krzyk, tylko żaloszny, bezsilny szloch. Zdawało jej się, że matka dryfuje na lodowej krze po falach arktycznego morza, oddalając się z wolna od Pete, która nigdy nie będzie już mogła jej dosięgnąć.

Nagle czyjeś dłonie zacisnęły się na ramionach Pete i zaczęły odciągać ją od okienka. Odwróciła się i zobaczyła krzepką strażniczkę.

- Co tutaj robisz? - spytała kobieta opryskliwie.

- Ja... moja matka... - zaczęła jąkać się Pete. Strażniczka zacisnęła dłoń na ramieniu Pete tak mocno, że pod palcami zaczęły powstawać sińce.

- Nie wolno ci tutaj przebywać... - oświadczyła, odciągając Pete od drzwi.

- Aleja muszę z nią być - błagała Pete. - Ktoś musi ją umyć, uczesać. Ona ma takie śliczne włosy, jeśli się tylko...

- Musisz stąd iść! - Strażniczka nieustępliwie ciągnęła Pete. - Mamy tutaj pięćdziesiąt psychicznie chorych kobiet.

Nie możemy pozwolić sobie na to, żeby się nam jeszcze dzieci plątały pod nogami.

- Proszę, nie! - krzyczała Pete, zapierając się nogami o podłogę.

Nagle coś w twarzy strażniczki, jej groźne, rozwścieczone spojrzenie przebiło się do świadomości Pete.

Przypomniała sobie koszmarną wizję, że zostaje uznana za wariatkę i zamknięta jak matka.

Opuściła ją cała wola walki. Odwróciła się jeszcze raz do okienka, usiłując zajrzeć do wnętrza pokoju. Matka, już spokojna, leżała zwinięta w kłębek na podłodze, dysząc lekko.

- Wrócę tu, mamó - powiedziała cicho, ale w jej głosie dało się wyczuć żelazną determinację. Przysięgam, że wrócę i zabiorę cię stąd na zawsze.

W parny lipcowy wieczór Pete wracała z biblioteki do domu, krocząc lekko na smukłych, długich nogach. Ceglane mury domów, jezdnia, chodnik nieubłaganie oddawały żar wchłonięty w ciągu dnia. Przy takim upale jedynym wyjściem był możliwie najlżejszy strój. Pete miała na sobie tylko szorty, sandały i koszulkę trykotową na ramiączkach. W poprzednim tygodniu ojciec zabrał ją na Coney Island. Długie nogi Pete wyglądały jak wytoczone z bursztynu.

Ktoś odkręcił hydrant przeciwpożarowy. Młodsze dzieciaki pluskały się w szerokim strumieniu zimnej wody, starsze, siedząc na schodach przed domami, czy opierając się o maski samochodów, popijały piwo, przekomarzały się. Skręt z marihuaną wędrował z rąk do rąk.

Pete skręcała właśnie za róg, kiedy Joey Rachetti, wyszczekany małolat, który mieszkał w narożnej czynszowej kamienicy, przytknął ręką hydrant tak, że woda ostrym strumieniem zalała Pete od stóp do głów. Krzyknęła i popatrzyła zażenowana po sobie. Pączkujące piersi wyraźnie rysowały się pod przyklejonym do ciała trykotem koszulki. Gdyby mogła, umarłaby ze wstydu.

Liam O'Shea, rudowłosy irlandzki wyrostek siedział na masce wypatroszonego Chevroleta, żłopiąc z puszek Budweisera. W wieku osiemnastu lat był już przywódcą gangu w swojej dzielnicy, chełpił się też reputacją niezłego ogiera. Pete słyszała kiedyś, jak jedna ze starszych dziewcząt napomykała o „stacji obsługi Liama O'Shea”. Pete nie rozumiała, o czym mowa, ale z chichotów wywnioskowała, że nie chodzi o samochody.

Teraz Liam nie podłączył się do zbiorowego śmiechu z Pete, lecz podał skręta siedzącej obok dziewczynie i gwizdnął przeciągle.

- Ej, *principessa* - zwrócił się do Pete, zastępując jej drogę. To właśnie Joey Rachetti nadał jej to przydomko, idąc za nią

któregoś dnia, kiedy wracała ze szkoły, i małpując jej wytworny krok. Na początku słał za nią obłeśne całusy, rzucając na głos uwagi na temat jej budowy. Nie odpowiadała ani nie zwracała na niego uwagi, gdyż ojciec pouczył

ją, żeby nie odzywać się do młodych uliczników.

- Patrzcie - krzyknął Joey do swoich towarzyszy. - *Principessa* jest zbyt dumna, żeby przemówić do sług unizonych.

Principessa- mała księżniczka. Przydomko przyłgnęło do niej na stałe.

- Ej, *principessa* - powtórzył Liam.

Zbyt skrupowana, żeby wydusić z siebie chociaż słowo, próbowała go ominąć.

- Oho-ho - obrzucił ją od stóp do głów spojrzeniem. - Niezłe. Całkiem niezłe. - Przesunął ręką po jej długich, mokrych włosach, zatrzymując się przy mankiecie szortów. Zadrżała.

- Niedługo coś z tym trzeba będzie zrobić.

- Z czym? - wyszeptała, patrząc w chodnik. Była zbyt zażenowana, żeby zrobić krok w tę czy w tamtą stronę.

Przeniósł rękę na jej wilgotny podkoszulek.

- No, no - zadumał się, chwytając ją za drobną pierś.

- Całkiem niedługo.

- Nie masz szans, Liam - ukłóciła go Charlene, z którą palił skręta na masce samochodu. - Księżniczki się nie pieprzą. Każdy to wie. - Zaśmiała się tak, że Pete zapragnęła nagle strącić ją z maski.

- Ta jest inna niż wszystkie - oświadczył Liam, uśmiechając się porozumiewawczo do Pete. - Będzie się dobrze pieprzyć i na pewno jej się to spodoba. Znam się na tym. - A kiedy Pete wreszcie udało się precyzyjnie przycisnąć koło niego, dorzucił szeptem.

- Przyjdzie jeszcze dzień, że cię wypieprzę, moja księżniczko i mogę się założyć, że polubisz to jak złoto.

Rzuciła się do bramy swojej kamienicy i wbiegła po schodach zaskoczona, że po głowie nie kołaczą jej się ordynarne pogroźki

Liam, tylko echa głosu z przeszłości - głosu mamy, krzyczącej tamtego dnia w zakładzie - Pieprzę

was, pieprzę was, ale wy mnie nie będziecie pieprzyć!

Znów wychynęły wspomnienia matki i gorąca potrzeba zrozumienia jej choroby, spychając na bok gniew, wstyd i to wszystko, co się przed chwilą zdarzyło.

Liam O'Shea był głupim ulicznikiem. Nie był wart, żeby mu poświęcać nawet chwilę. Wolała zwrócić swoje myśli ku matce, zrozumieć to, co się z nią działo. Do kogo mama wtedy mówiła? Na kogo krzyczała z taką nienawiścią w głosie i w oczach?

Pete uparła się, że pozna tajemnicę koszmarów gnębiących matkę, gdyż tylko w ten sposób będzie miała szansę ją uzdrowić.

W miarę upływu miesięcy Pete coraz więcej czasu spędzała w zakładzie dla umysłowo chorych. W soboty przyjeżdżała teraz wcześniej i zostawała dłużej, starała się też odwiedzać matkę, kiedy tylko mogła, w pozostałe dni.

Nadal nienawidziła zakładu, ale przestała się go bać. Przyświecał jej jeden, jedyny cel - wydostać matkę z zakładu, choćby to miało jej zająć lata.

Pracowała z matką niestrudzenie. Czytała jej na głos gazety, opowiadała o szkole, radziła się jej w różnych sprawach i robiła wszystko, co zalecił lekarz Bettiny, żeby przybliżyć chorą do świata zdrowych.

Pete poznała przy okazji inne pacjentki. Kiedy zorientowała się, że stara, gruba Mary uspokaja się tylko nad szachownicą, zaczęła grywać z Mary, pozwalając jej wygrywać. Nucąc w takt i uśmiechając się, wysłuchiwała pieśni hiszpańskich, które bez końca wyśpiewywała Consuela, stale miała oko na młodą kobietę o imieniu Susie, która oprócz schizofrenii cierpiała na cukrzyce i często doznawała szoku insulinowego. Pete nauczyła się rozpoznawać zawczasu symptomy i dwukrotnie uratowała Susie przed omdleniem, w porę biegnąc po sok pomarańczowy.

Dla Pete, która w swojej okolicy czuła się obco, szpital stał się namiastką życia towarzyskiego. Nawet pielęgniarki i strażniczki, z początku niezbyt dobrze nastawione do pomysłu, żeby młodzianka dziewczyna przebywała wśród tłumu umysłowo chorych kobiet, w końcu zaakceptowały jej obecność, a nawet zaczęły ją cenić. Pete potrafiła uspokajać pacjentki,

z którymi nikt nie potrafił dać sobie rady. Pielęgniarki mówiły o niej, że ma „dar”.

Coraz częściej nachodziła ją myśl, że w przyszłości mogłaby pomagać ludziom psychicznie chorym. Zastanawiała się, czyby nie zostać psychiatrą.

Pewnego wieczoru, wracając z Yonkers, skręciła w Czterdziestą Piątą i zobaczyła ten sam co zawsze tłumek przed narożnym sklepem spożywczym Gangemiego - dzieciaki grające „w piłkę” skradzionymi jabłkami, plotkujące, uśmiechnięte babunie, samotne nastoletnie matki z niemowlętami na rękach, flirtujące z młodymi ulicznikami w czarnych koszulkach i czarnych Levisach bez szlufek.

Chłopcy przestali ją już zaczepiać - zdążyła się nauczyć różnych sposobów, żeby ich trzymać na dystans - z dnia na dzień jednak coraz zachłanniej pozerali ją wzrokiem. Nie było cienia

wątpliwości, że w wieku szesnastu lat Pete D'Angeli była jedną z najpiękniejszych dziewcząt, jakie mieli spotkać w całym życiu. Rysy jej twarzy wyostrzyły się. Włosy, niegdyś niesforne, teraz wiły się w gęstych lokach wokół fascynującej twarzy. Brwi okalały szerokim łukiem wielkie oczy o barwie najpiękniejszych birmańskich szafirów.

Dochodziła właśnie do Gangemiego, kiedy przy krawężniku zatrzymała się największa limuzyna, jaką kiedykolwiek widziała, długi na pięć metrów, bordowy Cadillac, którego wnętrza chroniły zazdrośnie szyby z przydymionego szkła. Wóz złapał gumę na tylnym kole.

Na oczach Pete z samochodu wysiadł szofer w liberii, obejrzał oponę, kopnął ją z niechęcią i ruszył Ósmą Aleją w stronę najbliższej budki telefonicznej.

Ledwie zniknął, samochód otoczył tłum chłopaków. Limuzyny nie co dzień przejeżdżały Czterdziestą Piątą.

Opukiwali dekle, gładzili lśniący lakier, zastanawiając się, ilu potrzeba warstw dla uzyskania takiego połysku i ile koni mechanicznych drzemie pód długą, opływową maską. Dziewczęta z karykaturalną elegancją przysiadły na masce wozu albo osłaniając oczy po bokach próbowały zajrzeć do środka przez przydymioną szybę, pragnąc dotknąć chociaż spojrzeniem niedostępnych luksusów.

Pete mijala akurat samochód, kiedy tylne drzwi otwały się nagle i z Cadillaca wysiadła dziewczyna mniej więcej w jej wieku albo troszkę młodsza. Była bardzo drobna i niespecjalnie ładna, za to niezwykle kosztownie ubrana. Miała na sobie bladobrzoskwiniową, poszerzaną dołem spódniczkę, rudą jedwabną bluzeczkę ozdobioną krezą, w uszach złote kolczyki, na szyi złote łańcuszki, beżowe pantofelki na nogach, wreszcie przewieszoną przez ramię wielką torbę od Gucciego. Brązowe, zaczesane do tyłu włosy przewiązane były jedwabną brzoskwiniową wzorzystą apaszką. Mimo najwyższej jakości ubrań i dodatków, całość była postarzająca i przeładowana. Pete przemknęło przez myśl, że nieznajoma wygląda jak lalka, której nadgorliwa właścicielka obejrzała zbyt wiele żurnali.

Tłum oniemiał na chwilę, zaraz jednak odzyskał dawną pewność siebie. Mniejsze dziewczynki próbowały dotknąć jej ubrań, starsze odsuwały się z drogi, jakby dotyk nieznajomej groził zarazą. Młodzi mężczyźni gwizdami i głośnym cmokaniem akompaniowali jej próbom przedarcia się przez tłum. Dziewczyna usiłowała się dostać do sklepu.

- Przepraszam - szeptała drżącym głosem. Była bardzo blada.

- Bogata szmata - wycedziła szyderczo jedna z dziewcząt. Liam obrzucił nieznajomą spojrzeniem, które miało uosabiać

lubieżność.

- No, no - zaczął, zastępując jej drogę, tak jak zastąpił Pete tego dnia, kiedy odkrecono hydrant. - Kogóż my tu mamy? Mała, bogata pięknotka przybyła zaszczycić prostaczków. - Ujął w palce kosmyk jej włosów. Dziewczyna zbladła jeszcze bardziej. Jej oczy wyglądały teraz jak dwie wielkie szare

kałuże na śniegu.

- Bardzo przepraszam - zaczęła - ale muszę... - Ale Liam nie dal jej przejść.

Wyraz paniki pojawił się na twarzy dziewczyny. Nagle dał znać o sobie cały instynkt opiekuńczy, który Pete miała okazję rozwijać co sobota w ciągu ostatnich lat. Zdążyła się też już nauczyć odzywek, które działały na chłopaków w typie Liama O'Shea.

- Odpierdol się od niej, Liam - odezwała się tonem, który skutkował na tej ulicy. Wzięła dziewczynę za chudziutki ramię i wyciągnęła z tłumu. - Nie powinnaś była wychodzić z samochodu - zwróciła się do obcej.

- Poproszę... coś słodkiego - odpowiedziała dziewczyna. - Muszę zjeść coś słodkiego.

Gdy Pete patrzyła na jej pobladłą twarz, przyszła jej na myśl Susie, chora na cukrzycę dziewczyna z zakładu. Obca drżała podobnie, pokryta lepkiem potem. Lada moment, uświadomiła sobie Pete, dostanie szoku insulinowego.

Pospiesznie wprowadziła dziewczynę do sklepu i posadziła na drewnianym krześle przy kasie.

- Szybko. Sok pomarańczowy, bo zemdleje! - krzyknęła do pani Gangemmi.

Tęga Włoszka obrzuciła spojrzeniem drżące stworzenie, które przysiadło na jej stołku, i rzuciła się do szafy chłodniczej. Po paru sekundach wróciła z butelką soku pomarańczowego. Pete odkręciła nakrętkę i przytknęła butelkę do ust dziewczynie.

- Pij, szybko! - poleciła. Dziewczyna posłusznie zaczęła przełykać sok, upuszczając parę kropel na śliczną spódniczkę.

Po chwili przestała drzeć. Nie była już taka blada jak przedtem, ani tak przerażona.

- Dziękuję - powiedziała słabym głosem.

- Ledwie się nam udało - uśmiechnęła się Pete. - Chyba powinnaś częściej mierzyć poziom cukru we krwi.

- Przepraszam, prawie zawsze w aucie jest dla mnie Seven-Up, dziś wyjątkowo... - Umilkła, nie kończąc zdania.

- Grunt, że już po wszystkim. - Pete poklepała obcą po ramieniu. - Lepiej się czujesz?

Dziewczyna wygładziła lnianą spódniczkę i wyprostowała się. Pete zdawało się nieomal, że słyszy głos, pouczający nieznaną, że nigdy nie wolno „zapominać o dobrych manierach”.

- Tak, już mi lepiej. - Dziewczyna wyciągnęła do niej rękę. - Nazywam się Jessica Walsh. Dziękuję, że mi pomogłaś.

Pete potrząsnęła podaną dłonią.

- Proszę bardzo. - Chciała też się przedstawić, ale nagle zawahała się. Coś w tej dziewczynie z innej dzielnicy skłoniło ją, żeby zachować się bardziej oficjalnie niż zazwyczaj, przedstawić się pełnym imieniem i nazwiskiem, chociaż od lat używała wyłącznie imienia Pete. - Jestem Pietra D'Angeli - oznajmiła.

Bordowa limuzyna pojawiła się na Czterdziestej Piątej następnego dnia, tym razem wioząc list do D'Angelich. Na welinowym papierze państwo Jonathanowie Walshowie dziękowali pannie D'Angeli za udzielenie pomocy ich córce i zapraszali ją do siebie na niedzielę, siedemnastego, o czwartej po południu.

Dom Walshów, elegancki budynek z cegły przy Park Avenue, w okolicach Siedemdziesiąt Siódmej, był dla Pete objawieniem. Marmurowa posadzka sieni miała odcień moreli, ściany hallu były obite jedwabiem, a meble były piękniejsze nawet od tych, które Pete podziwiała w sklepie z antykami przy Madison Avenue. W domu nie brakowało kwiatów - świeżych w wazonach, suszonych w misach z kompozycjami płatków, tkanych na obiciach krzeseł i haftowanych na lnianych serwetach. Pete nigdy nie była w równie pięknym domu. Emanował nieprzemijalnością, poczuciem bezpieczeństwa. Miała ochotę zostać u Jess na zawsze.

Więc tak, myślała, nadgryzając cieniutką, okrojoną ze skórki kanapkę z łososiem, żyją ludzie, którzy robią zakupy na Piątej Alei, zamiast u Woolwortha, ludzie, którzy noszą biżuterię od Tiffany'ego i Duforta & Iveresa. Nieraz zastanawiała się, jak mogą wyglądać, ale nigdy naprawdę nie wierzyła, że istnieje ktoś, kto żyje w otoczeniu tak niebywałego piękna, delikatności i wdzięku. Pierwsze spojrzenie na ten świat uświadomiło jej, że również chciałaby do niego należeć.

Dotknęła lekko naszyjnika, abstrakcyjnego wisiora ze srebra i ametystu, który niedawno zrobiła dla siebie. Miała nadzieję, że z tym akcentem jej bawełniana bluzeczka będzie wyglądać na mniej banalną, a bardziej kosztowną.

Pete bacznie przyglądała się swoim gospodarzom. Sally Walsh była kobietą o fascynującej urodzie. Smągła blondynka o figurze modelki poruszała się z neodpartym, naturalnym wdziękiem. W wycięciu zwiewnej, szyfonowej sukni w kwiaty połyskiwał

pojedynczy sznur pereł. W uszach Sally również tkwiły małe perły. Skromna biżuteria, w sam raz na poobiednią herbatkę

- zanotowała Pete w pamięci.

Mąż Sally, właściciel jednego ze śródmiejskich banków, sprawiał, jak na bankiera przystało, bardzo solidne wrażenie. Nosił ciemnoszary garnitur na miarę, śnieżnobiałą koszulę i czerwony krawat w dyskretne prążki. Na serdecznym palcu lewej ręki Pete wypatrzyła pierścień z onyksem. I pan, i pani domu swoje pieniądze i pozycje obnosili z niezwykłą naturalnością.

Nie dało się tego powiedzieć o ich córce. Jessica wyglądała przy nich jak brzydkie kaczątko. Miała siedemnaście lat i nosiła szyfonową sukienkę, bardzo podobną w kroju do sukni swojej matki -

kosztowną, wymyślną i całkowicie nieodpowiednią dla młodej dziewczyny. Liczne rieszki i kryzy zacieśniały delikatne rysy jej twarzy i niekorzystnie podkreślały zbyt różowy odcień cery.

- Chwała Bogu, że byłeś na miejscu, Piętro - westchnęła Sally Walsh, rozlewając herbatę. - To zupełnie niepodobne do Jessiki, aby ruszać w miasto bez żadnego zabezpieczenia. Gdyby nie ty, pewnie znów wylądowałyby w szpitalu.

- Mamo... - zaczęła Jessica, ale głos zamarł jej w ustach, zaledwie wzrok matki spoczął na jej twarzy.

- Skąd wiedziałaś, co robić? - zaciekał się Jonathan Walsh.

- Wiesz, chodzi mi o sok pomarańczowy?

Pete odstawiła filiżankę, najdelikatniej jak potrafiła, żeby przypadkiem nie stłuc cienkiej jak pergamin porcelany.

- Moja koleżanka jest chora na cukrzycę. - Przemilczała fakt, że koleżanka ma schizofrenię, i podobnie jak matka Pete jest mieszkanką zakładu dla umysłowo chorych. Od czasu, kiedy w szkole przyłgnęło do niej przezwisko „stuknięta”, przestała komukolwiek spoza rodziny opowiadać o chorobie matki. Nie ze wstydu - usprawiedliwiała się sama przed sobą. Po prostu nie musiała nikomu nic tłumaczyć.

Herbatka, wzajemne grzeczności i podziękowania dobiegły końca. Jonathanowi spieszno było wracać do papierów w gabinecie, Sally miała o piątej partyjkę tenisa.

- Jessico, może oprowadzisz koleżankę po ogrodzie - zaproponowała, z wdziękiem unosząc się z sofy. - Williams odwiezie cię do domu, kiedy tylko będziesz chciała, Piętro. Dziękuję, że przyszedłeś i jeszcze raz dziękuję ci za szybki refleks. Jesteśmy ci niezmiernie wdzięczni. - Wyciągnęła do Pete dłoń, ozdobioną na serdecznym palcu kolejną perłą. - Będziesz pamiętać o popołudniowej drzemce, prawda, kochanie? - zwróciła się do córki. Nie czekając na odpowiedź, wyszła z pokoju.

Z chwilą, gdy jej rodzice zniknęli za progiem, Jessica przestała wyglądać jakby połknęła kij.

Chwała Bogu, nareszcie - powiedziała, niespecjalnie zniżając głos. - Chodźmy stąd. Koniecznie chcesz oglądać ten ogród? Nie ma w nim nic nadzwyczajnego.

- Jeżeli me masz ochoty mi go pokazywać, pójdę już - powiedziała Pete.

- Nie, nie! Nie o to mi chodzi. Po prostu chciałabym już stąd iść. Co ty na to, żebyśmy poszły do parku?

- Wszystko mi jedno - odpowiedziała Pete, widząc błagalny wyraz twarzy Jessiki.

Przeszły na drugą stronę Piątej Alei i weszły do kipiącego letnią zielenią Central Parku. Kiedy rodziców nie było w pobliżu i nie groziło jej, że zemdleje lada chwila, Jessica była żywą, dowcipną i skłoną do żartów dziewczyną.

- Mama najchętniej trzymałaby mnie pod kloszem - mówiła, kiedy szły wzdłuż ścieżki do konnej jazdy.

- Dlaczego? Przecież cukrzyca jest chorobą, którą można kontrolować?

- Mój przypadek przysparza lekarzom nieco kłopotu. Mam tak zwaną cukrzycę insulinozależną i bez względu na to, co robię, poziom cukru we krwi często skacze, więc zdarza mi się fajtnąć, kiedy wygląda na to, że wszystko jest w absolutnym porządku. - Spojrzała wyzywająco na Pete. - Czy to cię przeraża?

- Na razie nie. A powinno?

- Wielu ludzi boi się mojej choroby. Na przykład Eddie Martindale Trzeci mało nie zginął ze strachu. - Roześmiała się beztrząsco. - Tańczył ze mną w zeszłym roku na balu przygotowawczym do balu debiutantek, kiedy nagle został

ze szmacianą lalką w objęciach. Wisiałam jak wór z piaskiem. Eddie Trzeci oszalał ze strachu. - Przystanęła, obserwując konia, który mijał je galopem. - Od tego czasu nie wolno mi bywać na tańcach.

- Ja w życiu nie byłam na tańcach - powiedziała Pete.

- Dlaczego? - zdumiała się Jessica.

- Na Czterdziestej Piątej Ulicy nie wydaje się bali przygotowawczych do balu debiutantek. Poza tym, czy chciałabyś krążyć po parkiecie w objęciach Liama O'Shea?

- Kto to jest Liam O'Shea?

- Barczysty rudzielec, który tak się tobą zachwycał przed sklepem.

- O Boże, nie.

- Tak też przypuszczałam - stwierdziła z uśmiechem Pete, po czym roześmiały się obie, zachwycone niezwykłym uczuciem, jakie daje rodząca się przyjaźń. Jednak Jessica umilkła. Pete podejrzewała, że rozmyśla o temacie, którego nie dokończyły.

- Coś takiego nie przeraziłoby mnie... na pewno - powiedziała cicho do Jessiki. - Jeżeli będę w pobliżu, zrobię co się tylko da.

Jessica odwróciła się do Pete. Oczy miała wilgotne ze wzruszenia.

- O Boże, jak bym chciała, żeby moja rodzina była taka jak ty. Oni się o mnie bez przerwy boją. Obchodzą się ze mną jak z porcelanową figurką, której nie można spuścić z oczu ani na sekundę.

- Trudno ich nie rozumieć, ale na dłuższą metę może to być denerwujące.

- Jeszcze jak. W dodatku wszyscy są tacy obrzydliwie zdrowi i zawsze wszystko im się udaje. Istne wcielenie doskonałości.

- Ile was jest?

- Troje, nie licząc mnie, ale wszyscy są ode mnie o wiele starsi. Mnie wykonano na dokładkę, a może w ogóle przez przypadek. Ostatni szczeniak w miocie bywa niedorobiony.

- Zawsze marzyłam, żeby mieć braci i siostry. Jakie jest twoje rodzeństwo?

- Och, na pewno ci się spodobają. Wszyscy się nimi zachwycają. Robert, starszy z braci, zbija majątek przy Wall Street - ma już za sobą pierwszy milion. Trasę maratonu przebiega w niecałe trzy godziny, ma idealną żonę, idealnego psa i trójkę idealnych dzieci. Drugi, Jack, był kapitanem drużyny piłki nożnej w Yale i bezwzględnie jest wart grzechu. W przyszłym roku otwiera w śródmieściu ekskluzywną firmę adwokacką. Zaręczony z Chestertonówną. I jeszcze jest Melissa, ale oczywiście powinnaś się do niej zwracać: Muffy. Muffy jest najstarsza z nas wszystkich. Przez kilka lat pracowała jako modelka, naturalnie tylko po to, żeby mieć na drobne wydatki - powiedziała, bezbłędnie naśladowując głos matki. Teraz jednak osiedliła się w Westchester z mężem finansistą, który oczywiście pracuje w banku naszego taty. Mają nowiuteńkiego dzidziusia.

Jak więc widzisz, Muffy jest również wzorową Walshówną.

Jessica okazała się świetną rozmówczynią, była również doskonałą słuchaczką. Szła ramię w ramię z Pete, szurając nogami w stertach pierwszych opadłych liści, zwiędłych kwiatów i śmieci, czasem potakując, czasem rzucając jakieś pytanie. Pete zorientowała się, że opowiada Jessice rzeczy, których dotąd nie zdradziła nikomu. Opowiedziała jej o ojcu i Opie, o ich wspólnym nieszczęściu i o swoich nieustannych zabiegach, żeby ci dwaj się stale nie kłócili.

Opowiedziała, jak wygląda życie w Przedpieklu. O tym, jak praktycznie sama prowadzi dom. Opowiedziała nawet o mamie. Jakaż to ulga mieć kogoś, przed kim wreszcie można się wygadać!

Zanim uznały, że pora wyjść z parku, obie wiedziały już, że znalazły coś niezmiernie ważnego, czego każdej z nich brakowało w dotychczasowym życiu - przyjaciółkę.

Kiedy czekały na przystanku przy Piątej Alei na autobus - Pete nie chciała korzystać z samochodu - oficjalnie przypieczętowały swoją przyjaźń wymieniając numery telefonów.

- Wiesz, Piętro, bardzo mi się podoba twoje imię - oświadczyła Jessica. Natomiast moje imię wydaje mi się jakieś nadęte. Czy, jako przyjaciółka, nie mogłabyś do mnie mówić: Jess?

Pete pokręciła głową i wybuchnęła śmiechem.

- Co cię tak rozśmieszyło? - spytała lekko urażona Jess.

- Nic związanego z tobą. Po prostu ja też nadymałam się w podobny sposób. Wszyscy mnie zawsze nazywają Pete.

Autobus zjechał na przystanek.

- Cześć, Jess - powiedziała Pete.

- Cześć, Pete - odrzekła Jess.

Kiedy ruszał, Jess puściła się biegiem, wołając głośno, żeby Pete dosłyszała ją przez szybę.

- Pete... Pete! Zadzwoń do mnie jutro albo wiesz co, ja zadzwonię do ciebie. - Syk zamykanych drzwi uniemożliwiał

odpowiedź, ale Pete miała wszelkie powody przypuszczać, że Jess zadzwoni jeszcze tego samego wieczoru.

Uess Walsh została przyjaciółką Pete, jej powiernicą, oknem na inny świat i inny sposób myślenia.

Świat bogactw i luksusów Pete знаła dotąd wyłącznie z czasopism drukowanych na kredowanym papierze czy spojrzeń rzucanych przez szklane witryny eleganckich sklepów. Świat ten w wyobraźni Pete zaludniały niezbrane baśniowe istoty, obsypane klejnotami, jak jej czarodziejska babka. Nie przychodziło jej nigdy na myśl, że mogą się przeziębzać i mieć bóle głowy jak zwykli śmiertelnicy, którzy muszą wstawać nawet wtedy, kiedy nie mają na to ochoty, wkuwać do egzaminów, a w nocy zdarza im się bać ciemności.

Dzięki przyjaźni z Jess miała okazję przekonać się, jak mylne były jej wyobrażenia. Choć świat blichtru nadal nie był

jej światem, jednak była w nim częstym gościem. Przez cały lipiec dzień w dzień jeździła z Przedpiekła na Park Avenue, gdzie przesiadywała w zielonkawo-liliowej, wyłożonej puszystym dywanem, sypialni Jess, oglądając kolorową telewizję pośród kolekcji lalek. Dziewczęta plotkowały, wypłakiwały się przed sobą, próbowały malować paznokcie, utyskiwały na bolesne miesiączki i rozważały, który aktor najlepiej sprawdziłby się w łóżku. Chwilami Pete chciała mieć z powrotem dwanaście lat, oczywiście pod warunkiem, że znałaby wtedy Jess.

W pierwszy weekend sierpnia Jess zadzwoniła do Pete, zapraszając ją do domu w Montauk.

- Gdzie to jest?

- Nad morzem.

Pete westchnęła. Uwielbiała morze, ale poza paroma przejażdżkami z ojcem na Coney Island oglądała je niewiele razy. Nigdy dotąd nie przyjmowała weekendowych zaproszeń Jess. Soboty Pete należały wyłącznie do mamy.

- Przykro mi, Jess - powiedziała po krótkiej rozterce. - Wiesz, że nie mogę.

- Posłuchaj, Pete - nie zamierzała ustąpić Jess. - Być może twojej matce zrobiłoby dobrze, gdybyś zaczęła ją traktować podobnie jak mnie. Rozumiesz, jest mi z tobą tak dobrze, bo jesteś jedyną osobą,

przy której zapominam o mojej chorobie. Uważam, że... powinnaś napisać do matki albo zadzwonić i powiedzieć jej, że wyjeżdżasz na weekend, czy też wyjaśnić jej wszystko przy następnej wizycie. Powinnaś jednak dać jej szansę bycia kimś, normalną matką, która pragnie, żebyś dorastała i z czasem zaczęła prowadzić własne życie.

Pete milczała tak długo, że Jess zaniepokoiła się, czy ich nie rozłączono.

- Pete, słyszysz mnie?

- Mam wielkie szczęście, że cię poznałam, Jess. - Pete była tak przejęta, że trwało chwilę, zanim odzyskała głos.

Napisała do matki pogodny list, taki sam, jaki napisałyby, gdyby jej matka nie była w zakładzie. Opisała w nim swoją nową przyjaciółkę i radość, którą sprawiało jej poznawanie nowych miejsc.

W pięknym domu Walshów, z widokiem na ocean, spędziła najpiękniejsze chwile w swoim dotychczasowym życiu.

W Montauk wpadła na pomysł wykonania syrenki.

Rozdział siódmy

Nowy Jork - grudzień 1968

To był najpiękniejszy prezent gwiazdkowy, o jakim Pete mogła zamarzyć. Czekala z dreszczem radosnego podniecenia. Modliła się wręcz o tę chwilę, trochę zażenowana, gdyż wcale nie była pewna, czy wierzy w Boga.

Naprawdę jednak nigdy nie odważyła się liczyć na to, że jej nadzieje się spełnią.

Bettina wracała do domu.

Jej zdrowie w ciągu ostatnich dwu lat wyraźnie się poprawiło. Doskonalsze środki uspokajające oznaczały, że dzienne lęki i nocne koszmary udawało się trzymać na dystans, nie zamieniając jej jednocześnie w bezwolną, otumanioną istotę. Teraz rzadko już zdarzało jej się wybuchać płaczem bez powodu. Śmiała się z dowcipów, obruszała się na głupotę, a nawet karciała Pete za niechlujną fryzurę czy rozmazaną szminkę na ustach.

W sześćdziesiątym ósmym Pete dowiodła na tyle umiejętności obchodzenia się z matką, że lekarze zaczęli rozważać możliwość udzielenia chorej przepustki na weekend. Kiedy jej pobyt w domu przebiegł bez żadnych problemów, zapadła decyzja. Tuż przed Bożym Narodzeniem Bettina zostanie wypisana na stałe.

W mroźny, grudniowy dzień ruszyli całą rodziną do Yonkers, wiekowym Chevroletem, którego Steve pożyczył od kolegi.

- Musicie pamiętać - mówiła Pete, kiedy wjechali 'na zakole podjazdu - że mama może być nerwowa.

To miejsce dla nas jest upiorne, ale dla niej przez dziewięć lat było domem, dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

- Tak jest, pani doktor - zażartował Steve z uśmiechem.

- Będziemy pamiętać.

- Teraz my będziemy jej dawać poczucie bezpieczeństwa

- oświadczył Josef pewnym tonem. On też uśmiechał się od ucha do ucha.

Pete uśmiechnęła się do ojca i dziadka.

- No to chodźmy! - zawołała, chwyciła ich za ręce i pociągnęła za sobą przez skrzypiący pod nogami śnieg w stronę szarego gmaszyska.

W drodze na Manhattan cała trójka z takim ożywieniem gawędziła w samochodzie z Bettiną, że pierwszy krok w nową wolność nie zdążył wzbudzić w niej lęku. Oglądała po prostu widoki, których nie widziała przez blisko dziesięć lat, uśmiechała się do rodziny, która oplatała ją miękko jak kokon. Kiedy weszli do domu, zaśmiała się z zachwytem na widok świątecznych ozdób: na gzymsie kominka leżały gałązki ostrokrzewu, na choince wisiały łańcuchy z kolorowych bibułek i dmuchanej kukurydzy oraz inne ozdoby domowego wyrobu, a nad salonem unosiła się rozpięta od ściany do ściany biała wstęga, na której żywą zielenią wypisane były słowa: „Witaj w domu”.

Po kieliszku szampana na jej cześć Bettina poczuła się znużona. Poszła się zdrzemnąć. Pete siadła u wezłowania matki w jej bujanym fotelu i obserwowała śpiącą, czując gorącą wdzięczność dla śniegu, który białą, puszystą kołdrą przysłaniał brzydotę miasta.

Tej nocy, w zaciszu sypialni, Steve i Bettina zostali ze sobą sam na sam. Żadne nie wiedziało dokładnie, co robić.

Steve tak bardzo przyzwyczał się do życia bez żony, że jej powrót wzbudzał w nim mieszane uczucia. Ten jeden, jedyny raz, kiedy dostała przepustkę na weekend, ograniczyli się jedynie do niewinnych pocałunków w policzek i przelotnych uścisków. Teraz, kiedy wróciła na stałe, wcale nie był pewien, czy rzeczywiście ma ochotę na więcej.

Patrzył, jak rozczesuje nadal piękne włosy szczotką, którą przed dwoma laty zrobiła dla niej Pete.

- Dobrze się spisałeś z wychowaniem naszej córki, Stefano

- powiedziała, patrząc na jego odbicie w lustrze. Uśmiechnął się na dźwięk swojego imienia. Od lat nikt, poza Bettiną, nie mówił do niego: Stefano. - Przykro mi, że tak bardzo obciążylaś cię jej wychowaniem.

- Nie miałaś wyjścia, Tino. A Josef miał w jej wychowaniu taki sam udział, jak ja.

- To prawda. - Umilkła, zagłębiając się w rozważanie cudu, którym był jej powrót do domu, To, że

może przyglądać się córce, słuchać ojca i patrzeć do woli na wciąż jeszcze przystojnego męża. Czuła się jak człowiek przebudzony z przewlekłego koszmaru. Na szczęście wreszcie się obudziła i tak miało już pozostać na zawsze. Pobyt w zakładzie odkładała w umyśle do szufladki z napisem: „historia”. Miał tam spocząć w towarzystwie innych wspomnień, których nie zamierzała nigdy więcej wyciągać na światło dzienne.

- Chciałabym ci móc urodzić pół tuzina takich dzieci jak Pietra.

- Po co mi inne dzieci. Pete wystarczy za wszystkie. Bettina odłożyła szczotkę i podeszła do łóżka, na którym wyciągnięty, w samych tylko spodniach od piżamy, palił papierosa.

- Nie powinieneś się mnie bać - powiedziała, uśmiechając się nieśmiało. - Już ci to kiedyś powiedziałam. Pamiętasz?

- Pamiętał. Zsunęła szlafrok. Pod spodem miała jedynie cieniutką nylonową, półprzezroczystą koszulę, podarunek od Pete z okazji powrotu do domu. Położyła się obok Steve'a. - Nie jestem lalką z porcelany, Stefano, nie ma obawy, że mnie stłuczesz.

Delikatnie, nieomal ostrożnie położyła dłoń na jego obnażonej piersi i trzymała ją tak przez dłuższą chwilę, zanim wolnymi ruchami zaczęła gładzić jego ciało. Przytrzymał dłoń, jakby chciał jej zabronić tej wędrówki, ale w końcu się poddał, dał jej wolną rękę.

Przez lata, kiedy nie było jej w domu, miał wiele kobiet. Nigdy nie spodziewał się, że zobaczy Bettinę w swoim łóżku, a z pewnością nie podejrzewał, że mógłby na nią mieć jeszcze ochotę. A mimo to przez parę minut doprowadziła go do tak obłądnego pożądania, do jakiego zdolna była go przywieść tylko Marisa. Przez wszystkie spędzone w odosobnieniu lata nie zapomniała jak go dotykać, jak podniecać, jak sprawić, by jej pożądał do szaleństwa. Jej usta i jej dłonie, zwinny język i długie, giętkie kończyny nie utraciły nic ze swoich czarnoksięskich właściwości, rzucając na jego zmysły urok, od którego zatracał się bez reszty. Przy Bettinie nie pamiętał w ogóle, że stuknęła mu pięćdziesiątka.

Może rzeczywiście uda im się być ze sobą. Może nareszcie zostaną szczęśliwym małżeństwem.

Nieskazitelnie biały śnieg na Boże Narodzenie należał do najrzadszych niespodzianek świątecznych. Pete obudziła się z dreszczem radosnego oczekiwania.

Nie ona jedna. Nad całym gospodarstwem D'Angelich i Zeemanów unosił się podobny nastrój. Pod małą, ale bardzo ładną choinką leżała cała sterta prezentów. W powietrzu unosił się zapach migdałów i cynamonu. Bettina upiekła świąteczne ciasto korzenne, którego holenderska nazwa brzmiała *Gevulde Speculaas*. Ledwie placek wyciągnięto z piekarnika i rozlano kawę, wszyscy ochoczo rzucili się, aby rozpakowywać paczuszki w kolorowych papierach.

Pete przyglądała się, jak ojciec i dziadek rozpakowują prezenty od Bettiny. Steve nie szczędził zachwytów nad nowym szalikiem, a o książce powiedział, że jest „dokładnie taka jak trzeba”. Josef niezwłocznie wdział nowe rękawiczki, zaraz jednak musiał je zdjąć, żeby rozpakować album płyt.

- *Uitstekendl* - wykrzyknął, widząc jego zawartość. - Muszę to zaraz puścić. - Włączył adapter i po chwili cały pokój wypełnił się radosnymi, energicznymi akordami Mahlera, które stanowiły wręcz idealne tło dla świątecznego poranka.

Dla Bettiny znalazła się woda kolońska i błękitna bluzeczka z delikatnego materiału, dla Josefa nowa fajka, a dla Steve'a portmonetka na żetony do metra, bo stale gubił je w przepastnych kieszeniach.

Największa sterta prezentów leżała przed Pete - dostała torbę szkolną, blad różową pomadkę do ust i wyzywająco krótką spódniczkę mini, którą uszyła jej Bettina.

- Naturalnie, naturalnie - próbowała zagłuszyć protesty Steve'a. - Też jestem daleka od zachwyty, ale teraz jest taka moda, Stefano. Dla dziewczynki to bardzo ważne, żeby nadążać za modą, być na fali. W dodatku Pietra ma odpowiednie nogi do mini. - Steve dalej krzywił się patrząc na mikroskopijny kwadracik, który miał być spódniczką, jednak do tematu nie wrócił.

Każdy członek rodziny sprezentował Pete jakąś lekturę, a ich zestaw wzbudził u niej wybuch wesołości. Od Steve'a dostała biografię Freuda, od Josefa album barwnych powiększeń słynnych klejnotów świata, od Bettiny prenumeratę „Siedemnastolatki”.

- Trzeba przyznać, że w tej rodzinie aluzje szyje się dość grubymi nićmi - stwierdziła rozbawiona, i uściskała każdego po kolei.

Swój prezent dla matki zachowała na sam koniec. Bettina z radosnym uśmiechem sięgnęła po maleńkie pudełeczko, ślicznie zapakowane w srebrny papier i ozdobione na czubku kaskadą srebrzystowisniowych wstążeczek. Pete drżącymi z dumy i nerwów dłońmi wręczała matce podarunek.

Miesiącami pracowała na swój prezent. Najpierw musiała zarobić pieniądze na materiały. Po szkole i w co któryś weekend zatrudniała się w dzielnicy jubilerskiej przepisując zamówienia, wykonując jakie się tylko dało zlecenia.

Udało jej się zbierać prawie sto dolarów, a nie wątpiła, że zużyje całą sumę co do grosza. Przestało ją już zadowalać pomysłowe wykorzystywanie szkiełek znalezionych na plaży i stanioli z gum do żucia. Tak niezwykle Boże Narodzenie wymagało specjalnego podarunku - prezentu wykonanego z najprawdziwszych materiałów.

Uśmiechając się do córki, Bettina rozsypywała wstążeczki i odwijiała srebrny papier. Wstrzymała oddech, kiedy wyłoniło się pokryte błękitnym aksamitem pudełko. Nagle westchnęła z zachwyty.

- Piętro, cóż to za cudo! - wykrzyknęła.

Na białej, atlasowej wyściółce spoczywała wielka broszka w kształcie syreny. Rozwijające się umiejętności jubilerskie Pete, wsparte zawodowymi kontaktami dziadka, zaowocowały prawdziwym dziełem sztuki.

Tułów syreny został w całości wytoczony w połyskliwej macicy perłowej. Głowę, ramiona i falisty ogon Pete najpierw wymodelowała w wosku, a następnie zapłaciła Chaimowi Grossmanowi,

złotnikowi, który miał warsztat w tym samym budynku co Josef, za odlanie ich w czystym srebrze. Wdzięczne ręce bajkowej istoty wyciągały się w ofiarnym geście, obejmując perłę słodkowodną. Twarz i włosy pokrywały płytki barwnej emalii, oczy zrobione były z maleńkich szafirów, które Pete udało się kupić bez handlowej marży.

Zrobienie górnej połówki figurki przyszło Pete dziwnie łatwo.

Od samego początku miała wyraźną wizję przez oczami. Za to o mała nie utknęła przy ogonie. Miała już wizję jego kształtu, nie miała jednak żadnego pomysłu na łuski. Wreszcie któregoś dnia, przechadzając się po galerii na Czterdziestej Siódmej, zauważyła, że Manny Lieberman tnie na cieniutkie plasterki opale do taniej biżuterii.

Zakupiła kilkadziesiąt maleńkich, mieniących się błękitem i różem płytek i nakładając je warstwami, jak łuski, kleiła srebrny ogon. Na końcu ogona osadziła mały, purpurowy ametyst, połyskujący jak oczko w pawim piórze.

Efekt był olśniewający.

Bettina nie szczędziła zachwytów, potem jednak ucichła w zamyśleniu. Podniosła broszkę i położyła sobie na dłoni.

- Ja chyba właśnie jestem taka - oświadczyła przyjrawszy się broszce przez chwilę.

- Ty? Co chcesz przez to powiedzieć, mamó?

- No cóż, ma ludzkie kształty, jest nawet piękna - ciągnęła Bettina - dostatecznie piękna, żeby oszukać każdego, kto nie zna jej tajemnicy.

- Co to za tajemnica? - spytała Pete łagodnie.

- Tajemnica jej niewoli.

Pete spojrzała na matkę zdumiona.

- Spójrz tylko! - Bettina pogładziła palcem opalizujący ogon syrenki. - Jest więźniarką swojego niezwykłego świata, bo nie jest przystosowana do przeżycia w zwyczajnych warunkach.

Steve zerknął nerwowo na żonę.

- Wcale nie jesteś uwięziona, Tino. Jesteś...

- Cudowna robota, Pete! - wykrzyknął pospiesznie Josef, jak zwykle tuszując skwapliwie dziwactwa Bettiny. - Owoc prawdziwego natchnienia. - Chociaż pilnowała, żeby się nie zdradzić, od miesięcy wiedział, że nad czymś pracuje, nie miał jednak pojęcia, że jej dzieło jest aż tak ambitne. Był pełen podziwu dla rzemiosła wnuczki.

Mimo obiekcji zięcia nie tracił nigdy nadziei, że Pete pójdzie w jego ślady, obierając karierę w

którejs z gałęzi jubilerstwa. Była bardzo utalentowana, miała niebywałe, wrodzone oko do klejnotów. W wieku szesnastu lat potrafiła szacować kamienie równie dobrze, a właściwie lepiej niż on. Nie dalej niż przed tygodniem zawitał do niego klient, przynosząc wysokiej klasy

diament do wyceny. Josef oglądał kamień przez bity kwadrans, mimo to nie był w stanie ze stuprocentową pewnością orzec koloru. Wreszcie poprosił klienta o pozostawienie mu diamentu do powrotu „współpracownika”.

Poprosił Pete o ocenę barwy kamienia, z czym uporała się szybciej i pewniej niż on - w dodatku się nie omyliła.

Patrzył teraz z nabożnym podziwem na dzieło wnuczki.

- Cóż za oryginalność! I jaka technika! Wiedziałem, że jesteś do tego zdolna! Oto dowód! Jeśli weźmiesz się ostro do roboty i nie zaprzepaścisz talentu, zostaniesz wielkim jubilerem.

- Joe - zaczął Steve, ale Josef nie dał sobie przerwać.

- Znam twoją opinię na ten temat, Steve. Wiem, że chciałbyś, żeby była lekarką, ale to dziecko ma zdumiewający talent. Sam tylko popatrz. Znaleźć się w jednym rzędzie z artystami takimi jak Cellini, Faberge czy Cartier to żaden wstyd.

Steve patrzył na broszkę. Między jego brwiami pojawiły się dwie pionowe zmarszczki.

- Co o tym sądzisz, tato? - spytała Pete, której wyraźnie zależało na pochwaleniu ojca.

Steve zwlekał z odpowiedzią, wpatrując się intensywnie w broszkę.

- Skąd wpadłaś na ten pomysł, Pete? - Josef kolejny raz próbował ratować sytuację, bojąc się, że Steve zrani uczucia jego wnuczki. - Tyle lat zajmuję się biżuterią, a w życiu nie widziałem nic podobnego.

Ojciec zajrzał jej głęboko w oczy i nagle w umyśle Pete pojawiło się niejasne wspomnienie. Zaczęła mówić niepewnym głosem, brnąc po omacku od szczegółu do szczegółu.

- Kiedyś, jeszcze jak byłem bardzo mała, znalazłam śliczną kobiecą figurkę z klejnotów. Była w brzuszku Raffiego.

- Zachichotała na tamto wspomnienie. - Pamiętasz mamę Raffiego, moją wypchaną żyrafę? Figurka miała pierś z perły, emaliowaną głowę i oczy z szafirów. Roztaczała blask jak prawdziwa księżniczka z bajki.

Steve wlepił oczy w córkę. Gdyby mógł, siłą wzroku odebrałby jej mowę, a nawet pamięć. W końcu uśmiechnął się.

- Klejnoty w brzuszku żyrafy? - powtórzył, jakby, chodziło o skończoną niedorzeczność.

- Nie pamiętasz, tato? Pokazywałam ci figurkę, a ty mi powiedziałeś, że jest niedobra i odebrałeś mi ją. Kazałeś mi o niej zapomnieć, więc zapomniałam. Chyba myślałam, że mi się to wszystko przyśniło. Ale kiedy zaczęłam szkicować projekt broszki dla mamy, cały pomysł, gotowy, tkwił już w pamięci. Syrenka sama spłynęła z ołówka na papier.

- Pete - zaczął Steve. - Nie sądzę, żeby...

- Kiedy to było, Pete - Josef aż się wychylił z fotela.

- Kiedy? - powtórzyła. - Nie wiem. Ja... zaraz, pamiętam już. Kennedy został właśnie wybrany na prezydenta, więc musiało to być w... sześćdziesiątym roku. To znaczy, że miałam osiem lat. Dlaczego powiedziałeś, że figurka jest niedobra? - zwróciła się do ojca.

- Bo to prawda.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Josef podskoczył w fotelu. - Mam rozumieć, że to wszystko prawda? Jak wyglądało to tajemnicze cacko?

- Jak laleczka - odpowiedziała mu Pete - ale malutka i złożona z samej górnej połowy. Cała była w klejnotach -

diamentach, rubinach - wydaje mi się, że były prawdziwe.

- Skoro miałaś wtedy osiem lat - Josef zaczął zastanawiać się na głos - to znaczy, że umiałaś już rozróżnić, czy klejnoty są prawdziwe, czy nie. Do tego czasu zdążyłem cię już nauczyć niejednego.

- To nie był sen, prawda, tato?

Steve zgarbił się, jakby go ktoś podciął. Łokcie oparł na kolanach, zwiesił głowę. Wyglądał jak uosobienie życiowej klęski. Nie odpowiadał.

Zdezorientowany wzrok Josefa stwardniał nagle jak stal.

- O czym Pietra mówi? - spytał nasrożony.

Bettina do tej chwili w milczeniu obserwowała rosnące napięcie.

- Stefano? Co to było? - spytała, otwierając szeroko oczy z niepokoju.

Coś w głosie córki sprawiło, że Josef nagle się ocknął. Zerwał się z fotela i doskoczył do Steve'a. Jednym szarpnięciem za klapy sztruksowej marynarki poderwał zięcia na nogi.

- Gadaj zaraz!

- Niech wam będzie! - wrzasnął Steve. - Owszem, ona ma racje! Ta figurka istniała naprawdę - i była warta fortunę!

- W sześćdziesiątym roku! - Josef dał upust swojej wściekłości. - Byłeś w sześćdziesiątym roku właścicielem fortuny, a twoja żona gnła w tej zakazanej budzie, bo nie stać cię było na nic lepszego?
- Szarpnął Steve'a za klapy.
- Przestań, Opa! - krzyknęła Pete. Ale Josef ani myślał przestawać.
- Patrzyłeś spokojnie, jak moja córka całkiem się rozsypuje, mogąc opłacić dwudziestu doktorów, żeby ją pozbiali do kupy?
- Tak! Tak właśnie robiłem! - wykrzyknął Steve z udręką w głosie. - Może nie powinienem był tak postąpić, ale...
- *Rotvent! Sodomieter!* - Josef nie przestawał potrząsać zięciem, obrzucając go holenderskimi wyzwiskami. - Skurwysynu! Oblesny, pieprzony skurwysynu!
- Przestań - krzyknęła Pete, chwytając Josefa za rękę i usiłując oderwać od ojca. - Przestań, proszę!
- Popatrz na nią! - wrzeszczał Josef, wskazując na Bettinę, która skulona w swoim fotelu wodziła niespokojnie wzrokiem po ich twarzach. - Zobacz, co z niej zrobiło to miejsce! Co ty z niej zrobiłeś!
- Opa! - krzyknęła ponownie Pete. Pozwól mu wytłumaczyć. - Zwróciła wielkie, błagalne oczy na ojca. - Możesz nam wszystko wytłumaczyć, prawda. Powiedz nam, jak to naprawdę było.
- Właśnie, Steve - poparł ją Josef. - Powiedz nam, jak to było. Wytłumacz córce, dlaczego musiała przez tyle lat żyć bez matki, bo byłeś zbyt wielkim egoistą, żeby opłacić prywatną klinikę, w której wróciłaby do zdrowia?
- To nie tak było! - ryknął Steve głosem rannego zwierza.
- No to jak wobec tego było? Opowiedz dokładnie, jak się czuje posiadacz klejnotów wartych fortunę, skazując własną żonę na piekło. Jak się czułeś czekając, że wreszcie umrze, czy też zapadnie się pod ziemię i będziesz mógł się nacieszyć, swoim bogactwem? Jak się z tym czułeś, skurwysynu?
- To było piekło - powiedział spokojnie Steve. - To nadal jest piekło.
- Nadal? - zdumiał się Josef. - Chcesz powiedzieć, że nadal masz te klejnoty? - Gdzie je trzymasz? Gdzie je trzymasz, do diabła? - Znów chwycił zięcia za klapy, ale Steve podbił mu ręce od dołu i Josef runął na wznak jak długi.
- Przestańcie! - krzyknęła Bettina, zapadając się głębiej w fotelu. Skrzyżowanymi dłońmi osłaniała głowę, jakby bała się, że ich gniew może ją zranić. - Piętro, zrób coś, żeby przestali.

Pietra podbiegła do matki, opiekuńczo nachylając się nad Bettiną.

- Już dobrze, mamó, wszystko będzie dobrze. - Nie widzicie, co się z mamą przez was dzieje? - zwróciła się energicznie do obu mężczyzn. - W tej chwili przestańcie. I to już!

Zapadła absolutna cisza, przerywana jedynie spazmatycznym oddechem Josefa, szlochem Bettiny i ostatnimi akordami *Pierwszej Sonaty* Mahlera.

Steve przeniósł wzrok z żony na teścia i z teścia na córkę. Zapadł się w siebie. Co tu było do powiedzenia? Jak im wyjaśni, że sam siebie nie potrafi zrozumieć - że nie potrafił się zmusić do sprzedania drogocennych klejnotów, że nie starczyło mu energii, żeby użyć ich do odzyskania utraconego dziedzictwa? Wzbierało w nim poczucie winy, gniew, wstyd, pretensje, frustracja, zażenowanie - wściekłość i nienawiść do siebie i całego świata.

Wpatrzeni w niego oczekiwali jakichś wyjaśnień. Wyjaśnień, których nie był w stanie im udzielić. Nagle poczuł, że zaraz się udusi w tym pokoju. Nie mógł tu zostać ani chwili dłużej. Musiał wyjść. Chwycił płaszcz i wybiegł z mieszkania.

- Stefano - zaskomlała Bettina, kiedy drzwi trzasnęły za nim z hukiem. - Tato, dokąd on poszedł?

- Mam nadzieję, że w diabły - oświadczył Josef. - Ale nie martw się, *Tientje*, my się tobą zaopiekujemy. Więcej go tu nie będziemy potrzebować.

Jednak Bettina wydawała się go nie słyszeć.

- Stefano - szlochała. - Pietra. Tato. - Jej głos z każdym imieniem przybierał na sile. - *Moetie. Ik wil Moetie.* Pietra, moje dzieciątko. Gdzie jest moje dzieciątko? Oddajcie mi moje dziecko. Oddajcie mi moje dziecko! - Z jej piersi wydobywał się pierwotny skowyt, zawodzenie podobne do wycia wilczycy. Pete miała ochotę zatkać uszy i wcisnąć głowę między poduchy

kanapy, jednak surowym głosem poinstruowała dziadka, jakie lekarstwa ma podać chorej, a sama ujęła dłoń rozhisteryzowanej matki.

- Jestem tu, mamó. To ja, Pietra. Nic mi nie jest. Tu jest twoje dzieciątko, mamusiu. Nic mi nie jest, nic nam obu nie grozi - powtarzała w kółko.

Minęła godzina, zanim wreszcie udało im się ułożyć w łóżku oszołomioną środkami uspokajającymi Bettinę. Pete powiodła wzrokiem po zmiętych opakowaniach rozrzuconych po dywanie, spalonym placku dyniowym, którego nikt nie doglądał. Broszka z syrenką poniewierała się na podłodze pośród wstążek, dokładnie tam, gdzie wypadła z rąk Bettiny. Pete przyklękała, żeby ją podnieść. Wzięła syrenkę delikatnie w palce i pogładziła po główce.

Znalazłszy się na klęczkach, najwyraźniej rozumiała, że legły w gruzach ich „radosne” święta.

Rozdział ósmy

Steve nie wrócił do domu. Jeden z jego koleżków od kielicha zjawił się parę dni po świętach z nieśmiałą prośbą o wydanie ubrań i paru drobiazgów Stefana. Zostawił adres umeblowanego pokoju, który Steve wynajął w śródmieściu - niepotrzebnie, bo Josef był zbyt wściekły, żeby kontaktować się

z zięciem, a Pete - zbyt urażona.

Jej rozpacz pogłębiał dodatkowo gniew na ojca, gniew co dzień rozniecany od nowa gorzkimi utyskiwaniami Josefa, gniew bolesny w dwójnasób, ponieważ kochała ojca nieprzytomnie. Wciąż usiłowała zrozumieć, jakim prawem dopuścił do cierpień jej matki, skoro mógł im zapobiec. Dlaczego uciekł, zamiast wszystko wyjaśnić? Bez końca krążyła myślami wokół figurki z klejnotów. Czym była? Skąd się u nich wzięła? W jaki sposób znalazła się w posiadaniu ojca i dlaczego ukrywał jej istnienie przez tyle lat? Dlaczego twierdził, że przynosi nieszczęście?

Na żadne z tych pytań nie umiała znaleźć odpowiedzi. Cała sprawa była tak bolesna, że postanowiła puścić ją w niepamięć. Wkrótce zresztą okazało się, że ojciec przesunął się na najdalsze miejsce w kolejności pojawiających się zmartwień.

W drugi dzień świąt przyłapała matkę na metodycznym oskubywaniu skrzydeł choinkowego aniołka.

- Masz słodką buzię - mówiła zjadliwym tonem, niszcząc maleńką figurkę - aleja cię dobrze znam. Jesteś dziwką, małą, rozpustną dziwką. - Skrzydła odpadły i Bettina paznokciami zaczęła zdrapywać jedwabną suknię z papierowego tułowia

ozdoby. - Dziwka, dziwka, dziwka - recytowała monotonicznie. Wreszcie cisnęła aniołka na ziemię.

Pete gwałtownie zamrugnęła oczami, tłumiąc wzbierający w piersi szloch. Już w dzieciństwie nauczyła się, że jej płacz pogarsza stan mamy, wobec czego wyrzekła się łez. Jednak bezsilność na widok matki ponownie osuwającej się w mrok, była nie do zniesienia.

- Mamo - odezwała się łagodnie i dotknęła ramienia Bettiny. Matka zerwała się z podłogi jak oparzona.

- Nie! Powiedziałam - nie! Wynoś się! Nie dotykaj mnie! - krzyknęła w twarz Pete.

- Już dobrze, mamo. - Pete odsunęła się natychmiast. - Nikt nie zamierza cię dotykać. Nikt ci nie zrobi żadnej krzywdy.

- Nie, nie, nie - wymamrotała Bettina, kuląc się ze strachu. Rozbieganymi oczami przeczesywała każdy kąt pokoju.

- Cśś... mamo - uspokajała ją Pete. - Chodź do łóżka. W sypialni jest bezpiecznie, oni tam nie pójdą za tobą. -

Wyciągnęła dłoń do matki. Po chwili namysłu Bettina przyjęła podaną jej dłoń, posłusznie dała się zaprowadzić do sypialni i położyć do łóżka. Przełknęła pigułkę od Pete i niebawem zasnęła.

Dopiero wtedy Pete dała upust łzom, szlochając rozpaczliwie w fotelu nad nieszczęściem, które przecież miało się już nie powtórzyć.

Bettina znów runęła w otchłań, do której nikt oprócz niej nie miał dostępu.

Pete odbywała codzienne rozmowy z lekarzem prowadzącym Bettinę w Yonkers. Kiedy opisała stan matki, jego rokowania nie były optymistyczne. Nadzieje Pete na powrót matki do zdrowia były wątpliwe, jak sreberka na szybko usychającej choince, nie chciała jednak rezygnować z prób wyciągnięcia matki tej matni.

Jess, która przyjechała na święta z Bryn Mawr, okazała się nieocenioną towarzyszką Pete. Podtrzymała ją na duchu, tak że po raz pierwszy Pete zrozumiała, jak wiele straciła, nie mając dotąd przyjaciółki. Rozmawiały godzinami przez telefon, albo, kiedy Bettina spała, spacerowały po smaganych wiatrem ulicach. Przy Jess Pete mogła wyrzucić z siebie gniew na ojca, który nie wracał. Mogła martwić się stanem dziadka, który wydawał się sparaliżowany z rozpaczy. Przekonała się, że przyjaciel to ktoś, kto słucha i nie krytykuje, ktoś, kto służy radą w potrzebie. Ktoś, kogo obchodzą twoje sprawy.

W tydzień po Bożym Narodzeniu Pete uznała, że może spokojnie wyskoczyć z domu na godzinę, żeby podrzucić Jess prezent gwiazdkowy - parę kolczyków, które własnoręcznie uplotła z cienkiego, srebrnego drutu. Kiedy Pete wychodziła z domu, Bettina spała, a dziadek miał wrócić lada chwila.

Ale kiedy Josef wrócił, zastał mieszkanie obstawione dziesiątkami zapalonych świec - płonęły na stołach, parapetach, telewizorze, podłodze, wszędzie. Jedna dopalała się właśnie na dywanie, inna niebezpiecznie kłoniła w stronę firanek. W blasku świec Bettina na kolanach wyśpiewywała: „*Jis-ka-dal wis-ka--dasz...*” Josef nie wiedział

nawet, że jego córka zna *Kaddisz*, żydowską modlitwę za zmarłych. On sam słyszał ją w życiu tylko jeden raz, po śmierci teścia.

Chwiejna równowaga Bettiny legła w gruzach. Z ciężkim sercem Josef musiał przyznać, że zapewne nic już nie będzie w stanie poprawić jej zdrowia. Doktor potwierdził jego przypuszczenia. Nie minął tydzień od Nowego Roku, kiedy Bettina wylądowała z powrotem w Yonkers.

W mieszkaniu na Przedpieklu zapanowała grobowa atmosfera. Josefowi z dnia na dzień przybyło dziesięć lat. Jadł, spał, pracował - i tyle. Przestał spotykać się z kompanami w Klubie Holenderskim/, przestał czytać, nie słuchał płyt.

Rzucił nawet palenie fajki, tak jakby uznał, że wobec męczarni córki nic mu się od życia nie należy.

Jess niechętnie wróciła do szkoły. Próbowła przekonać matkę, żeby pozwoliła jej zostać, tłumacząc, jak bardzo Pete jej potrzebuje. Kiedy Sally nie wyraziła zgody, zaczęła przemyśliwać nad upozorowaniem ataku cukrzycy, ale Pete nie chciała o tym nawet słyszeć. Jess odjechała pociągiem, a Pete została sama.

Starła się stale być zajęta, by nie mieć czasu na rozmyślanie. Kiedy nie była w szkole albo nie odrabiała lekcji, pracowała w warsztacie Josefa, doskonaląc jubilerskie umiejętności i zatracając się w wydobywaniu piękna.

Steve dzwonił regularnie, ale Josef ciskał słuchawką. Pete co prawda odkładała słuchawkę spokojnie, ale też nie odzywała

sie do ojca. Wszystko było jeszcze zbyt świeże, nie umiała sie połapać we własnych uczuciach, za bardzo przeżywała jego odejście. Wreszcie Steve przestał wydzwaniać, jednak nadal co dwa tygodnie przysyłał zamasyście podpisany czek na nazwisko Pete. Zastanawiała sie, czyby me drzeć tych czeków, jednak praktyczna strona jej natury zwyciężyła.

Nie kto inny, tylko Jess nakłoniła ją do zrewidowania postawy wobec ojca.

- Wiesz, jesteś wobec niego niesprawiedliwa - oświadczyła, kiedy któregoś popołudnia wędrowały po piętrach Blooming-dalea. Kończył się maj i Jess wróciła właśnie do domu po pierwszym roku w Bryn Mawr. Pete już od pięciu miesięcy nie widziała ojca ani nie zamieniła z nim słowa.

- Wcale mi nie zależy na tym, żeby być sprawiedliwą - oświadczyła Pete bez specjalnego przekonania. Gniew osłabł

i dręczyła ją tęsknota za ojcem. - Co byś powiedziała o tej apaszce. Lamparcie cętki świetnie pasują do tej twojej czarnej, dżer-sejowej spódniczki.

Jess wyszarpnęła apaszkę z rąk Pete i cisnęła z powrotem na ladę.

- Pieprzę apaszkę. Do diabła, Pete, ty sobie nawet nie zdajesz sprawy, jaki skarb odtrącasz. Nie wiem, co bym zrobiła, żeby mieć ojca, który kochałby mnie tak, jak twój kocha ciebie, kogoś, kto by zawsze był przy mnie w chorobie, przytulał i opowiadał zabawne historyjki, kiedy bałam się, że umrę, a nie kogoś, kto wzywa lekarza i kwiaciarkę, a potem reguluje rachunki.

- Porzucił mnie - powiedziała Pete cicho.

- Był przerażony i nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Od tego czasu wiele się mogło zmienić. Chyba należy mu się, żebyś sprawdziła, co on teraz czuje. Tobie też się to należy.

Nagle Pete poczuła, że niczego na świecie nie pragnie tak bardzo, jak znaleźć się znów w objęciach ojca.

- Do diabła, Walsh. - Wykrzywiła usta w ironicznym grymasie. - Czy ty zawsze musisz mieć rację? Kupuj tę cholerną apaszkę i chodźmy stąd. Muszę zatelefonować.

Steve odebrał już po drugim dzwonku, a jego ulga na dźwięk jej głosu była tak wielka, że udzieliła się natychmiast Pete po drugiej stronie linii.

- Ach, *bambina*. Jak się cieszę, że dzwonisz. Strasznie mi ciebie brakowało.

Łzy zalśniły w jej oczach na dźwięk pieszczotliwego przezwiska.

- Mnie też, tato. Bardzo mi cię brakowało.

- Czy moglibyśmy porozmawiać? Mam ci tyle rzeczy do powiedzenia?

- Ja ci też mam dużo do powiedzenia. Umówili się na następny dzień.

Restauracja znajdowała się w okolicy, w której Pete nigdy jeszcze nie była, w dzielnicy stuletnich budynków o żeliwnej konstrukcji, dawnych fabryk i magazynów. Domy miały wielkie okna, które w zamyśle projektantów miały obniżyć koszty oświetlenia elektrycznego. Większość fabryk była już nieczynna i artyści zaczęli się wprowadzać na wielkie poddasza, które znakomicie nadawały się na pracownie, także z powodu niskich czynszów. Artyści nazwali swoją dzielnicę SoHo, gdyż rozciągała się na południe od ulicy Houston - South of Houston.

Steve siedział przy barze koło drzwi, ściskając szklanice piwa w dłoni, wpatrzony hipnotycznie w drzwi, za którymi lada moment miała się pojawić Pete. Ledwie przestąpiła próg lokalu, uniósł ją w powietrze, miażdżąc w niedźwiedzim uścisku. Pete zabrakło tchu. Kiedy postawił ją z powrotem na ziemię, śmiała się, chociaż w kącikach oczu miała łzy.

- *Che bella* - zażartował. - Pięknie wyglądasz.

- Ty też wyglądasz bardzo dobrze. - Naprawdę wygląda znakomicie, pomyślała. Jest zdrowy, beztrouski i...

szczęśliwy.

- Chodź, przekąsimy coś. Mają tutaj znakomite hamburgery. Siedli w drewnianym boksie w głębi sali, gawędząc o pogodzie,

o szkole, o maturze, którą Pete miała zdawać za dwa tygodnie. Rozmowa zesła na SoHo.

- Mieszkaś w tej okolicy? - spytała, zanurzając zęby w olbrzymim hamburgerze. Dziwne pytanie, pomyślała. Ile dziewcząt na świecie musi pytać swoich ojców o adres? - Myślałam, że wynajmujesz pokój w Little Italy.

- Przeprowadziłem się. Ja... - Podniósł szklanke i pociągnął długi łyk piwa. - Pete, ja nie mieszkam sam.

- Wynajmujecie na spółkę?

- Coś w tym rodzaju. - Umilkł, ale coś w jego głosie kazało Pete uważniej zajrzeć mu w oczy. - Nazywa się Anna.

Jest artystką, rzeźbiarką. Poznaliśmy się w pralni.

- Anna? - Pete upuściła hamburgera. - Mieszkaś z kobietą?

- Tak.

Prostota tej odpowiedzi walnęła ją obuchem w twarz. Kiedy przemówiła, jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu i drżący od uczuć, nad którymi nie była w stanie zapanować.

- Jak mogłeś, tato?

- Zakochałem się, Pete. Chyba jesteś wystarczająco duża, żeby to zrozumieć.

Promienie wpadającego przez okno słońca igrały na liściach zawieszonych w doniczkach paproci, mimo to Pete poczuła, że w sali wieje lodowatym chłodem.

Poczuła się zdradzona. Od jak dawna znał tę kobietę? Od jak dawna ją kochał? Czy to możliwe, że specjalnie sprowokował kłótnię z dziadkiem, żeby odejść i zamieszkać z nią? Czy specjalnie doprowadził mamę do załamania, żeby już nigdy z nią nie mieszkać? Nie mogła w to uwierzyć nawet teraz. Jak to wszystko wyglądało w rzeczywistości? Jej umysł po omacku szukał wyjaśnień.

- Od kiedy?

- Od trzech miesięcy. Poznaliśmy się w lutym.

- W lutym. Szybko się uwinąłeś, nie uważasz? - Nie podobało jej się własne rozgoryczenie, rozsadzał ją jednak nieznośny ból.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że wypiąłeś się na nas - na mamę, Opę i na mnie - i skorzystałeś z pierwszej okazji, żeby zapomnieć o naszym istnieniu i znaleźć sobie kogoś.

- Nigdy cię nie porzuciłem, Pete. I nigdy cię nie porzucę. - Sięgnął po jej dłoń, bezwładnie spoczywającą na lśniącej blacie stołu. - Jesteś moją córką, kocham cię.

- A co z twoją żoną? Ją też chyba kiedyś kochałeś?

- Kochałem. I próbowałem... sama widziałaś, Pete. Próbowałem żyć z twoją matką, pomóc jej.

- Być może nie dosyć się starałem.

- Wiesz dobrze, że nie było tak, jak mówisz. Starałem się ze wszystkich sił - dopóki nie poczułem, że wyzionę ducha, jeśli... jeśli nie zaczerpnę świeżego powietrza. Niech sobie twoja matka będzie syreną, istotą nie całkiem z tego świata. Ja jestem tylko człowiekiem.

- Więc odesłałeś ją tam z powrotem?

- Twoja matka jest chora... Chora od wielu lat. Nie mam pojęcia dlaczego ani nie wiem, czy kiedykolwiek wyzdrowieje. Nie tracę nadziei, ale nie potrafię życia opierać na marzeniach i nadziejach, które mogą się nigdy nie spełnić. Już dłużej nie potrafię.

- Jak mogłeś być aż takim samolubem? - pytała, jakby w ogóle nie słyszała, co powiedział. - Dlaczego nie sprzedałeś flakonika, za który mógłbyś opłacić lepszych lekarzy dla mamy?

Walnął otwartą dłonią w blat stołu.

- Nie jestem, do cholery, żadnym samolubem! - Próbował ją wziąć za rękę, ale wyrwała mu się. -

Proszę cię, Pete.

Wiem, że jesteś zła i obrażona - nie mam ci tego za złe - ale spróbuj mnie zrozumieć.

- No to wytłumacz tak, żebym coś zrozumiała!

- Spróbuję. - Zamyślił się na chwilę. - Właściwie wszystko zaczęło się od twojej babki. Od tego, co straciłem przez twojego stryja, Vittoria.

- Mojego stryja...? - podskoczyła ze zdumienia.

- Duszno mi tutaj - powiedział Steve. - Chodź, przejdziemy się, to ci wszystko opowiem. - Położył parę banknotów na stole i wyprowadził Pete z restauracji.

Kiedy przechadzali się idealnie zgranym krokiem po ulicach SoHo, nie zwracając uwagi na późnowiosenne słońce ani uwijający się wokół nich tłum, opowiedział jej wszystko od początku. Pete słuchała oczarowana, z fascynacją chłonąc nieznaną historię swoich korzeni. Opowiedział jej o Vittoriu, o Carlu Brancussim i o jedynym spotkaniu z własną matką. Z pietyzmu, z jakim wymawiał niektóre słowa, i niecodziennej melodyjności jego głosu mogła wywnioskować, że tamte chwile sprzed trzydziestu lat wciąż żyją w jego pamięci. Po kolei roztaczał przed Pete wizję uroczej willi pod Florencją, zapach świec płonących

w srebrnych kandelabrach, barwne refleksy diamentów na szyi zachwycającej kobiety. Kobiety, której życie obfitowało w tajemnice, romanse i magię.

- La Colomba - powtórzyła Pete. Jej babka.

Przerwał opowieść i z portfela wyciągnął wymięty i wyblakły wycinek starej gazety, na którym widniało zdjęcie jednej z najpiękniejszych kobiet, jakie widziała w życiu. Fotografowana piła szampana, uśmiechając się do obiektywu.

- Czy mogę je sobie wziąć?

- Dla ciebie je przechowywałem.

Opowiedział jej o flakoniku perfum i spuściźnie, której był częścią, spuściźnie utraconej za sprawą zdradzieckiego przyrodniego brata. Wspomnienie olśniewającego flakonika wypłynęło z pamięci Pete z taką wyrazistością, jakby cofnęła się w czasie o dziesięć lat.

- Robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby wytropić Vittoria

- powiedział do Pete, która wpatrywała się w zdjęcie z nadzieją, że głos babki dosięgnie ją poprzez minione lata. -

Śledziłem na bieżąco katalogi aukcji, czytałem sprawozdania z wyprzedaży biżuterii. Nie traciłem nadziei, że w końcu coś z kolekcji mojej matki wypłynie na światło dzienne, coś, co będę umiał rozpoznać. Na próżno. W tej chwili po kolekcji może nie być śladu

- biżuteria mogła zostać rozebrana na części, a kamienie, kto wie, czy nie zostały przeszlifowane i sprzedane pojedynczo. Właśnie poszukiwania Vittoria rzuciły mnie w jubilerski świat Nowego Jorku, gdzie poznałem twojego dziadka.

- Gdybyś nie przyjechał do Ameryki w poszukiwaniu śladu przyrodniego brata, to ja nie pojawiłabym się na świecie?

Uśmiechnął się czarującym uśmiechem dawnego Stefana.

- Dzięki, Vittorio! - Zasalutował w niebo.

Przez jakiś czas szli w milczeniu. Pete trawiła całą historię. To, co usłyszała, wyjaśniało wiele. Nie wszystko, ale bardzo wiele. Nadal jednak nie mogła zrozumieć, dlaczego ojciec się poddał.

- Dlaczego przestałeś go szukać, tato? Powinieneś się za to wziąć z powrotem. Mogłabym ci pomóc. Jestem pewna, że we dwoje odnaleźlibyśmy kolekcję.

- Trzydzieści lat minęło od chwili, kiedy dostałem ten flakonik. Już raz pozwoliłem mu pokierować moim życiem i zobacz, jak się to skończyło. Dałem sobie z tym spokój.

- Ale, tato...

- Nie, Pete. Patrz, co się przez tę buteleczkę stało z nami, ze mną, z twoją matką. Myślę, że miałem rację twierdząc, że jest uosobieniem zła. Ten przedmiot ukradł mi moje prawdziwe życie. Jeżeli raz na zawsze wyzwolę się z mrzonki, że kiedyś odzyskam klejnoty - być może odzyskam samego siebie.

- Gdzie on jest teraz, tato? Gdzie trzymasz ten flakonik? Zawahał się.

- Jeśli ci zdradzę, to co zrobisz?

- Nie wiem. Ale muszę go zobaczyć. Ten flakonik natchnął mnie do wykonania najlepszej rzeczy, jaką w życiu zrobiłam. Pamiętasz? Chcę go zobaczyć, tak jak ty chcesz o mm zapomnieć.

- Być może należałoby wreszcie zrobić z niego jakiś użytek. Sprzedać go, wydać pieniądze na leczenie matki albo na twoje wykształcenie. Powiniennem był to zrobić wiele lat temu.

- Czy ja wiem, tato - zaczęła, a on słysząc te słowa omal się nie rozplakał. - Chyba teraz rozumiem, dlaczego nie mogłeś się z nim rozstać, chociaż tak bardzo potrzebowaliśmy pieniędzy dla mamy. Dostałeś go od matki, to była twoja jedyna pamiątka po niej. Śkoro jednak jesteś teraz gotów...

- Jest dalej tam, gdzie go włożyłem tej nocy, kiedy wyciągnęłaś go z Raffiego, w czerwonej poduszce na naszym łóżku, którą mama haftowała. Weź go, Pete, i zrób z nim, co chcesz. Od dziś niech będzie twoim dziedzictwem. -

Zaśmiał się z cichym smutkiem. - Możesz być pewna, że nic więcej po mnie nie odziedziczysz.

- Nie mów tak, tato. Dostałam od ciebie tak wiele.

Przepaść między nimi została zasypana, a ich miłość rozgorzała znów płomieniem zdolnym rozproszyć mroki najczarniejszej nocy.

- Chodź do mnie, Pete - zaproponował pod wpływem impulsu. - Mieszkam tuż za rogiem. Poznam cię z Anną.

- Nie. - Błogi nastrój prysł. Nie wszystko było jeszcze stracone, ale lada chwila nic mogła się zerwać z powrotem.

- Proszę cię. Zobaczysz, że polubisz Annę.

- Jeśli naprawdę cię kocha, zapewne ją polubię - uśmiechnęła się blado. - Ale nie wolno mi jej spotykać. Za wcześnie na to.

Przytaknął ze zrozumieniem. Nie śpiesz się tak, *paesano*, strofował się w myślach. Powoli. Nie wszystko naraz.

- Zadzwoń do ciebie - oświadczyła Pete i odpłynęła w głąb stylowej ulicy SoHo. Z torbą przerzuconą przez ramię sunęła krokiem łani.

Steve stał na rogu ulicy, patrząc jak znika jego cudowne dziecko, dziecko, które kochał do granic bólu. Znika - ale nie odchodzi. Powiedziała, że zatelefonuje.

Odzyskał córkę.

Oiedząc samotnie w pokoju, który był niegdyś pokojem jej rodziców, a teraz należał do niej, Pete wpatrywała się w piękny flakonik po perfumach, który wydobyła z poduszki. Podobizna jej babki, zaprzepaszczona fortuna ojca. Ona też nie była w stanie zdecydować, co począć z tym przedmiotem. Czy powinna go sprzedać, jak sugerował ojciec?

Dostatecznie знаła się na biżuterii, żeby wiedzieć, jak niebotyczną sumę otrzymałaby za to cacko. Nie mogła znieść myśli, że ktoś miałby rozebrać figurkę na części i wydłubać kamienie, żeby sprzedać każdy z osobna. Trzymała w ręce nie tylko drogocenny przedmiot, ale również dzieło sztuki, które było jej prawym dziedzictwem.

Czy te pieniądze mogły zmienić coś jeszcze w życiu mamy? Niestety, zdawała sobie sprawę, że na to było już za późno. Choroba matki postępowała nieodwracalnie, na dodatek niedawna reorganizacja stanowego leczenia psychiatrycznego zaowocowała zdecydowaną poprawą warunków w zakładzie w Yonkers. Bettina bardzo dobrze się tam czuła, wydawała się niemal szczęśliwa, wracając „do siebie”.

A przyszłość Pete? Flakonik zapewniłby jej pierwszorzędne wykształcenie, ale to samo mogła osiągnąć dzięki stypendium. Mogliby wynająć lepsze mieszkanie, ale po odejściu ojca i tak było dosyć miejsca dla nich dwojga z Opą. Dziadek dorobił się już przyjaciół w sąsiedztwie, do pracy miał tylko pięć minut.

Czy zachować wobec tego flakonik? Trzymać go w ukryciu, aż

przyjdzie czas, że będzie w stanie ziścić sen ojca? Z obsypaną klejnotami podobizną babki w jednej dłoni i jej fotografią w drugiej Pete czuła, jak wyraźnie życie tamtej kobiety splata się z jej własnym życiem. Odziedziczyła po niej nawet imię.

- No więc, babciu - zwróciła się do swoich dwu nowych relikwii - co o tym sądzisz? W końcu chciałaś, żeby tato dostał twoje klejnoty, czy przynajmniej ich połowę. Czy powinnam je odnaleźć dla niego? To może potrwać bardzo długo, nawet całe lata. W tej chwili nie wiedziałabym nawet od czego zacząć.

Promień słońca wpadł do pokoju przez okno i rozblysnął na kamieniach flakonika, jak gdyby niebo dawało Pete przychylny znak.

- Dobrze - zgodziła się cicho.

Z powrotem odłożyła flakonik do haftowanej poduszki, w której spokojnie przeleżał ostatnie dziewięć lat. Zaszyła rozpruty szew. Zostawi figurkę w spokoju do czasu, kiedy będzie w stanie przejąć od ojca jego misję, wytropić stryja Vittoria i odzyskać należne jej dziedzictwo. Zdecydowała nie mówić o niczym dziadkowi.

Przykro mi, Opa, przeprosiła go w myślach. Przykro mi, że cię okłamuję, że pozwalam ci uważać tatę za zwyczajnego egoistę. Ale tak trzeba. Ty możesz tego nie zrozumieć, jednak moja babka na pewno by mnie zrozumiała. Moja babka Pietra.

Rozdział dziewiąty

Nowy Jork 1970

Może byśmy wyskoczyli coś przekąsić? - zwrócił się młody mężczyzna do Pete, kiedy pakowała książki do torby.

Ten piękny, jasnowłosy olbrzym imieniem Larry Carver był jej kolegą z zajęć z anatomii na Uniwersytecie Nowojorskim. Lany marzył o tym, żeby zostać lekarzem wojskowym w Wietnamie. Był najzdolniejszym studentem w grupie - ostatnie kilka godzin spędził z Pete nachylony nad mapą ludzkiego ciała - do nadchodzących egzaminów przepytawali się z terminów typu: proces pozaczaskowy czy arteria nieparzysta.

- Dzięki za zaproszenie, Lany - powiedziała Pete podnosząc torbę - ale muszę wracać do domu.

Zwalista sylwetka zastąpiła jej drogę w drzwiach.

- Czy ze mną jest coś nie w porządku, Pete? Mam łupież? Brzydko pachnie mi z ust? Nie bawią cię moje dowcipy?

Od sześciu miesięcy usiłuję cię namówić, żebyś gdzieś ze mną poszła i słyszę wyłącznie: „Dziękuję, Lany, ale...”

Pete westchnęła. Od dawna spodziewała się podobnej sceny, ale nie miała najmniejszego zamiaru

wdawać się w szczegółowe wyjaśnienia. Jak zwykle w takich sytuacjach uciekła się do wykrętu.

- Nie mogę zjeść z tobą obiadu, bo już jestem z kimś umówiona... z kimś, na kim mi bardzo zależy.

Pokiwał głową zrezygnowany.

- Mogłem się domyślić. Najlepsze dziewczyny zawsze są już zajęte. - Zbierając notatki, zlustrował ją od stóp do głów. - Szczęściarz z niego. - Uśmiechnął się z aprobatą.

Roześmiała się.

- Do zobaczenia w środę - powiedziała i wybiegła na korytarz.

Wcale go nie okłamałam, myślała, zbiegając po schodach po dwa stopnie naraz. Dobięła do Washington Square i skierowała się w stronę śródmieścia. Tym razem naprawdę miała randkę w restauracji - z własnym ojcem. Gdyby tak jednak nie było, też znalazłaby jakiś pretekst, żeby nie iść nigdzie z Lanym Carverem. Był zbyt pewny siebie, zbyt przystojny, był typem faceta, który spodziewa się więcej, niż ona byłaby skłonna dać.

Pete nie miała zamiaru wiązać się poważnie z żadnym mężczyzną. Ruina, jaką okazało się małżeństwo jej rodziców, zniechęcała ją do związków uczuciowych. Nie potrzebowała ich, me życzyła sobie. Jej życie i tak było dostatecznie wypełnione. Miała swoje studia, miała pracę w dzielnicy jubilerskiej, pracę, która zapewniała jej kieszonkowe.

Ilekcio Jess udało się wrócić na weekend do Nowego Jorku, spędzały wspólnie każdą wolną godzinę.

Naturalnie, zdarzało jej się myśleć o seksie. W końcu miała już osiemnaście lat. Wszystkie koleżanki, które poznała na roku - nie mówiąc już o dziewczętach z sąsiedztwa - dawno rozstały się z dziewictwem. Nawet chowana pod kloszem Jess pozwoliła sobie w zeszłym roku na wyskok z pewnym Prin-cetończykiem, ni mniej, ni więcej tylko członkiem Sigma Chi. Jakkolwiek by na to patrzeć, świat wkroczył w nową erę - zaczynały się lata siedemdziesiąte.

Rewolucja seksualna ruszyła pełną parą. W tym wszystkim musiało być coś, na co ona była ewidentnie ślepa i głucha.

Ile razy jednak zaczynała się zastanawiać, jakby spotkać ładnego, miłego i chętnego chłopca jak Lany, który pomógłby jej zaspokoić ciekawość, natychmiast kurczyła się w sobie. Usilnie zagrzebane w niepamięci wspomnienie matki masturbującej się na podłodze zakładu dla umysłowo chorych odżywało w jej umyśle z dawną siłą. Jeżeli seks mógł doprowadzić do takiego zezwierzęcia, wołała z niego zawczasu zrezygnować.

Potrząsnęła głową, żeby uwolnić się od przykrych myśli.

Wiatr wiał jej prosto w twarz, odgarniając do tyłu gęste czarne włosy. Był cudowny wiosenny dzień, najpiękniejsza pora w Nowym Jorku. Z przyjemnością wędrowała w stronę SoHo. Potrzebowała czasu, zanim przewyciężyła się i zgodziła na to spotkanie. Wreszcie, po ponad roku odmawiania,

Pete zgodziła się odwiedzić poddasze, na którym jej ojciec mieszkał z Anną Janowską i poznać kobietę, którą kochał.

Pete dawno już przestała mieć ojcu za złe zdradę matki. Bettina od lat nie była i nie mogła być żoną Steve'a. Mimo to Pete wciąż odsuwała spotkanie z Anną, konfrontację z „tą inną”, o którą dręczyła ją bolesna zazdrość w imieniu matki.

Dopiero w jednym z tekstów psychologicznych trafiła na coś, co zmieniło jej nastawienie. Było jej trudno, ale z chwilą, gdy zobaczyła te słowa nie mogła już udawać, że ich nie przeczytała. Nie była zazdrosna za Bettinę, tylko za siebie. To ona sama była zazdrosna o Annę. Przez tak długi czas cieszyła się wyłączną miłością swojego ojca. Była dla niego pępkiem świata. I wcale nie miała zamiaru się nim dzielić.

Z chwilą, kiedy dotarła do niej prawda, wiedziała, że musi coś zrobić. Była perfekcjonistką, a zazdrość była niedoskonałością, której nie zamierzała tolerować, tak jak nie tolerowała lęku. Spotka się z Anną i zaakceptuje ją, choćby nawet nie miała jej polubić.

Długie, obciążone Levisami nogi Pete sprężyste niosły swoją właścicielkę, odcinając jak nożyce kolejne przecznice z mapy miasta.

Przebiegła Houston i zanurzyła się w West Broadway, przystając przed witrynami sklepowymi ekskluzywnych butików, przede wszystkim tych, które sprzedawały biżuterię. Mimo obowiązków związanych z nauką i niezłomnej decyzji, że zostanie psychiatrą, Pete nie utraciła nic z dawnej fascynacji wszystkim, co dotyczyło kamieni szlachetnych. Nadal wiele wolnego czasu spędzała u dziadka, chłonąc atmosferę warsztatu, eksperymentując, opanowując nowe techniki. Często zamiast francuskich koniugacji studiowała naukowe traktaty Tolkowskiego i innych znawców kamieni szlachetnych. Zamiast zgłębiać rachunek różniczkowy, pochłaniała w zapamiętaniu siedemnastowieczną klasykę - *Sześć podróży* Jean-Baptiste'a Taverniera, pamiętniki osobistego jubilera Ludwika XTV, który przez trzy lata w poszukiwaniu klejnotów przemierzał tętniące życiem rynki starożytnego Kabulu, Delhi, Cejlonu i Golkondy. Opowieści Taverniera rozpały jej wyobraźnię i pobudzały do fantastycznych rojeń, że i ona kiedyś stanie się częścią tego świata, mimo że po klejnoty wyprawiano się teraz odrzutowcem a nie brygantyną.

Zatrzymała się na chwilę przed sklepem w pobliżu Spring Street. Biżuteria w witrynie była na wpół zagrzebana w piasku, udrapowana na miniaturach greckich posągów bądź połyskiwała podwieszona na niewidzialnych nitkach, lewitując w powietrzu. Pete zauważyła parę zupełnie niesamowitych przedmiotów, szalenie oryginalnych, utrzymanych na pograniczu rzeźby. Sklep był jednocześnie galerią sztuki. Biżuteria była traktowana jak dzieła sztuki.

Jeden przedmiot szczególnie przykuł uwagę Pete - był to szeroki naszyjnik z kowalnego złota - miejscami gruby, gdzie indziej cieniutki jak blaszka, wysadzany garścią przejrzystych kaboszonów - granatów, krwawników, kamieni księżycowych - rozmaitej wielkości, ułożonych w abstrakcyjne wzory, które po chwili oglądania wydawały się to kwiatem, to pyskiem zwierzęcia.

Pete oglądała naszyjnik z nabożnym podziwem. Wyobraziła sobie artystę nachylonego nad warsztatem, jak wykonuje szkic za szkicem, aby wreszcie osiągnąć zamierzoną doskonałość, artystę,

który wyklepuje złoto, nadając mu wybrany kształt, osadza kamienie, trzymając je w delikatnym uścisku pincety. Wyobraziła sobie zadowolenie, z jakim twórca opiera się wreszcie o krzesło i przyglądając ukończonej robocie mówi do siebie: „Tak, to jest właśnie to”.

Ja też tak chcę, myślała trawiona rozpaczliwym pragnieniem. Chcę tworzyć rzeczy równie piękne i równie doskonałe. Rzeczy nieprzemijające.

Kobieta uściśniła dłoń Pete pewnie i serdecznie, z niekłamaną radością zapraszając ją do wnętrza.

- Pete - włączył się Steve z nerwową skwapliwością. - To jest Anna.

- Witaj, Pete - powiedziała szatynka o okrągłej twarzy i uśmiechniętych oczach, wyciągając rękę do Pete. - Tak się cieszę, że się wreszcie poznamy.

Ma uroczy akcent, lekko śpiewny i bardzo zmysłowy, pomyślała Pete, patrząc na trzydziestosześcioletnią imigrantkę. Nie potrafiłaby powiedzieć, czego się spodziewała, niemniej Anna Janowska okazała się dla niej całkowitym zaskoczeniem. Nie jest specjalnie ładna, a już na pewno nie tak piękna jak mama, pomyślała. Długie, kasztanowe włosy, które nie miały w sobie nic nadzwyczajnego, zebrała gumką na karku. Głęboko osadzone oczy, szerokie kości policzkowe i zdecydowane usta przypominały o słowiańskim pochodzeniu.

Pete* przemknęło przez myśl, czy wybór ojca nie był w jakimś sensie odreagowaniem Bettiny. Być może poślubiwszy kiedyś prawdziwą piękność, która okazała się chora umysłowo, potrzebował teraz czegoś krańcowo odmiennego. Anna mogła nie być specjalnie piękna, ale wyglądała na mocną i zrównoważoną. Co nie znaczy, że nie była atrakcyjna. Emanowała naturalną zmysłowością, która nie mogła umknąć uwagi Pete, zadowoleniem z siebie, z własnej kobiecości. Pete zdarzyło się słyszeć opinię, że mężczyzna, który rzucił jedną kobietę, często kończył u boku bardzo podobnej. To z pewnością nie dotyczyło jej ojca. Mama zawsze była cicha, powściągliwa i zamknięta w sobie

- tymczasem twarz Anny nieustannie opromieniał ciepły, serdeczny uśmiech, a jej oczy tryskały radością życia.

Mama była drobna i delikatna - Anna to postawna kobieta, nieomal dorównująca wzrostem Steve'owi. Na oko musiała mieć o jakieś pięć kilo za dużo, mimo to nosiła się z wdziękiem. Anna była przystojną kobietą.

Poddasze nie przypominało Pete żadnego ze znanych miejsc, a już z pewnością nie przyszłoby jej do głowy, że ktoś może mieszkać w takich warunkach. Było to jedno wielkie pomieszczenie, długie na piętnaście i szerokie na dziesięć metrów. Dwie ściany w całości były wykonane z szyb okiennych; sączyła się przez nie ciepła, łososiowożółta poświata. Przez środek pokoju biegł rząd grubych jak dęby, żeliwnych filarów, podtrzymujących strop zawieszony pięć metrów nad podłogą.

- Obiad będzie za kwadrans - obwieściła Anna.

- Jeśli to można nazwać obiadem - *zazartował* Steve, obejmując ją ramieniem. - Opowiedz Pete, jaki jest twój ideał

posiłku.

Anna roześmiała się pogodnie, nie spieszona ani odrobinę.

- Taki, którego nie muszę gotować. Nienawidzę gotować - cóż za strata czasu i talentu...

- W związku z czym przynosimy jedzenie z delikatesów - wyjaśnił Steve.

- Tak, ale jakie! - rozpromieniła się Anna. - Muszę ci powiedzieć, że dwie godziny polowałam na kabanosy w najlepszym gatunku i wysmienite śledzie. Mamy sałatkę z kapusty i ogórki kiszzone, pieczoną paprykę i... - Zanurkowała w torbę stojącą na stole koło drzwi - ...chipsy ziemniaczane, świeżą mozzarellę, winogrona, batony Hershey'a i... -

zarumieniona wyciągnęła butelkę czerwonego i butelkę białego wina -.. .wino! Musisz przyznać, Stefanie, że napracowałam się nad obiadem równie ciężko jak rasowy kuchmistrz.

- Naturalnie, *cara mia* - przyznał Steve, całując ją w czubek głowy. - Idź teraz, niewiasto, do kuchni i dokończ swojego dzieła. Z pewnością musisz pokroić kielbasę, a resztę wyłożyć na półmiski.

- Już idę, idę. Zrobię wszystko najlepiej, jak potrafię. Prawie tak pięknie, jak ty - odpowiedziała, odwzajemniając pocałunek.

Pete przyglądała się ojcu w zdumieniu. Nie przypominała go sobie tak rozluźnionego w obecności matki, tak wesołego, uśmiechniętego i beztroskiego. Oboje z Anną sprawiali wrażenie, że nie tylko się kochają, ale również lubią. Niewątpliwie znakomicie bawili się w swoim towarzystwie.

Pete zauważyła, że ojciec bardzo się zmienił przez ten rok, od kiedy mieszkał z Anną. Wyglądał młodziej, śmiał się częściej niż kiedykolwiek, rzucił nawet palenie. Był również zachwycony swoją nową pracą - został redaktorem i reporterem nowojorskiego biura jednego z poważniejszych włoskich czasopism.

Pete cieszyła się szczęściem ojca, była zadowolona, że po tylu żałosnych latach udało mu się wreszcie urządzić jakoś w życiu. Czyż nie zasługiwał na trochę radości?

- Stefanie, zajmij się Pete, zanim skończę w kuchni - poprosiła Anna.

- Nie möge, muszę skończyć tłumaczenie - wymówił się Steve. - Idź, pomóż Annie, Pete. Ta kobieta gotowa pociąć kabanosa wraz z własnym palcem. W kuchni nie wolno jej spuszczać z oczu.

Z kuchennego zakamarka wyfrunęła cebula i, o milimetr omijając głowę Steve'a, ugodziła Pete w ramię.

- Trafiony! - wykrzyknął Steve, odrzucając cebulę z powrotem, po czym zniknął za przepierzeniem.

Pete weszła do kącika kuchennego oddzielonego od wielkiej hali poddasza blatem opartym o wielki pień rzeźnicki.

Była zadowolona, że będzie miała okazję lepiej poznać Annę. Na ścianach kuchenki wisiały dziesiątki miedzianych rondli, które wyglądały jakby ich nigdy nie używano. Z okapu nad kuchenką zwisały pęczki suszonych ziół i kwiatów.

- Ładne, prawda? - odezwała się Anna. - Znajoma pomogła mi przy zakupach. Uważała chyba, że nie powinnam się przyznawać do prawdy. - Posłała konspiracyjny uśmiech Pete. - Udało mi się oszukiwać twojego ojca przez cały tydzień. Myślał, że sama ugotowałam barszcz i zrobiłam sałatkę ziemniaczaną. - Roześmiała się serdecznie.

- Nie wygląda na zagłodzonego - przyznała Pete, sięgając po nóż i biorąc do ręki dojrzałego pomidora.

- Nie, nie. Karmię go bez przerwy. To polski zwyczaj.

- Od dawna jesteś w Stanach?

- Od pięciu lat. Wiem, że mówię tak, jakbym była od pięciu miesięcy. Dziwny jakiś ten angielski.

- Mówisz bardzo dobrze. Dlaczego wyjechałaś?

- Jestem artystką. Artystom jest ciężko w Polsce, zwłaszcza jeśli nie chcą tworzyć „po linii” partyjnej. Tam nie ma czym oddychać. Po to, żeby być artystą, trzeba mieć swobodne serce, wolnego ducha i umysł - ryzykować, że wzlecisz na szczyty albo rozkraczysz się na oczach szyderców. - Znów roześmiała się, a Pete wydało się, że wieki minęły, od kiedy słyszała równie radosny śmiech.

- To chyba cudowne uczucie: być artystką - powiedziała, wracając myślami do zachwycającej biżuterii, którą oglądała po drodze. - Tworzyć dzieła, które wprawiają innych ludzi w zachwyt, wiedzieć, że dostrzegają w nich to samo, co ty.

- Tak! To jest właśnie to! Do tego dążę, kiedy jestem w mojej pracowni. Pragnę dzielić się z ludźmi swoim ideałem piękna. - Mówiąc, gestykułowała entuzjastycznie, kreśląc tasakiem w powietrzu szerokie łuki. Nie ma piękniejszej chwili jak moment, kiedy ktoś, kogo nie znasz, kto nie ma powodów, żeby cię kochać ani oszukiwać, chwali twoje dzieło, mówi, że jest piękne, że jest znaczące. W takich chwilach wiem, po co zostałam artystką.

- Chciałabym kiedyś zobaczyć twoje prace.

- Świetnie. Musisz wpaść do mojej pracowni.

Krzętały się po kuchni w milczeniu. Kiedy już miały wynosić pełne półmiski do stołu, Anna nagle zwróciła się do Pete.

- Czy mogę ci coś powiedzieć?

- Naturalnie.

- Kocham Stefana i wiem, że on też mnie kocha. Bardzo do siebie pasujemy. Ale nigdy nie będę

próbowała zająć miejsca twojej matki, Pete. Nigdy.

- Wiem.
- Mimo to, mam nadzieję, że będziemy przyjaciółkami. Przyjaźń to bardzo miła rzecz, no nie?
- Tak. Też bym chciała być twoją przyjaciółką.
- To świetnie. - Nagle, ku zaskoczeniu Pete, Anna odłożyła tasak, chwyciła ją w objęcia i uściskała serdecznie. Pete poczuła się cudownie.
- Uczta gotowa - zawołała Anna z kuchni i wszyscy ruszyli do stołu.

Posiłek przebiegał w atmosferze ożywienia. Kolejny raz Pete mogła się przekonać, że ojciec i Anna bardzo pasują do siebie i świetnie się ze sobą czują.

- To wszystko? - zdumiała się Anna, kiedy Pete zadowolona się jedną sutą porcją. - Chciałabym mieć taki skromny apetyt jak ty - westchnęła. - Ale jakiś głos w mojej głowie stale powtarza: „*mangiolo, Anna, mangiolo*”.

Pete zachichotała, Steve ryknął śmiechem.

- Próbowałem nauczyć ją włoskiego, ale na nią nie ma siły.
- Za tę zniewagę będziesz musiał zaparzyć mi kawy - oświadczyła Anna.
- Zawsze sam parzę kawę, w przeciwnym wypadku oboje dawno już zeszlibyśmy otruci z tego świata.

Udał się do kuchni, a Pete rozsiadła się wygodnie, przyglądając się kobiecie, która zdobyła miłość jej ojca. Anna nie przypominała Pete żadnej ze znanych jej kobiet. Nigdy jeszcze nie spotkała kogoś tak pełnego ciepła i życia, kogoś, kto śmiałby się każdą cząsteczką ciała, kto rozłączałby nieustanną radość wokół siebie. Tę była kobietą, która znakomicie czuła się we własnej skórze. Pete uświadomiła sobie, że ma ochotę przyprowadzić tutaj Jess - poznać ją z Anną, której daleko było do klasycznej urody, a mimo to promieniowała specyficznym pięknem, jakąś wewnętrzną poświatą, która rozgrzewała serca wszystkich wokół.

Nagle zrozumiała, że to miejsce bardzo jej się podoba i poczuła złość na siebie, że zwlekała z przyjściem tak długo.

Jak dobrze było ogrzewać się płomieniem miłości tych obojga. Tacie się to naprawdę należało. Cieszyła się jego szczęściem.

Niestety, mama nigdy już w swoim życiu nie zazna ukojenia w miłości.

W końcu wróciła do domu późnym wieczorem usatysfakcjonowana pysznym jedzeniem, dobrym winem i cudownym towarzystwem. Jej gniew na ojca rozwiął się do końca.

Josefa zastała jeszcze na pokojach. Kiwał się nad książką walcząc ze snem. Zawsze starał się doczekać do jej przyjścia, choć nie zawsze mu się to udawało.

- Gdzie się do tej pory, *schatje*, podziewałaś? - spytał, wstając, żeby się przeciągnąć.

- Wyszłam po prostu, Opa - skłamała, bojąc się jego gniewu, zaraz jednak się rozmyśliła. Musi wreszcie pogodzić się z faktem, że Pete ma ojca, którego kocha i którego zamierza widywać. - Byłam na obiedzie u taty. I u Anny.

W jednej chwili Josefa opuściła cała senność. Zmełł w ustach przekleństwo. Zerwał się na równe nogi, kraśniejac jak pomidor.

- Byłaś... byłaś u tego sukinsyna? Pete... jak mogłaś? Jak mogłaś w ten sposób zdradzić matkę?

- Usiądź, Opa.

- Nie usiądę. Ja...

- Proszę cię, usiądź i pozwól mi wytłumaczyć.

Nawet po takim czasie gniew Josefa nie przygasł ani trochę, jednak miłość do wnuczki zwyciężyła. W jej twarzy dostrzegł nie znany mu wyraz. Wyraz determinacji. Zrezygnowany, usiadł. Wolał wysłuchać jej, niż dopuścić do tego, żeby między nim a ostatnią bliską osobą wyrósł mur.

Pete opowiedziała mu o Annie, o tym, jak szczęśliwy wydaje się jej ojciec, i o tym, jak bardzo ta kobieta go kocha.

- Należy mu się to od życia, Opa, a mamie to już nie może sprawić żadnej przykrości. To wszystko już jej nie dotyczy.

- Wiem - westchnął. - Skoro nie możemy jej już pomóc, nie możemy jej też niczym specjalnie zranić.

- Jedyne, co możemy zrobić dla niej, to kochać ją, a kochać nigdy jej nie przestaniemy, Opa.

- Nie. Nigdy.

Widząc, że dziadkowi nie grozi już atak wściekłości na samą wzmiankę o zięciu, zdecydowała się na następny krok.

Poszła do sypialni i wróciła niosąc flakonik.

W pierwszej chwili Josef wyglądał tak, jakby chciał wyrwać przedmiot z jej rąk i cisnąć za okno.

- Wielkie mi cudo! - zadrwił. - Czyżbyś zapomniała, czym ten przedmiot mógł być dla twojej matki?

- To już przeszłość, Opa. Teraz nie możemy jej już w niczym pomóc.

- Pewnie już nie, ale...

- Nie ma żadnego ale, Opa. Dopiero teraz wiem, dlaczego tato nie mógł się zmusić do sprzedania tej figurki. Ja też nie zamierzam jej sprzedać. - Wreszcie opowiedziała mu całą historię La Colomby i bezcennych klejnotów przywłaszczonych przez stryja, opowiedziała o poszukiwaniach zrabowanego dziedzictwa, które Stefana D'Angeli zamieniły w amerykańskiego Steve'a, o latach straconych marzeń i nadziei.

- Tato pozwolił mi ją sprzedać. Ale ja nie mogę tego zrobić, chyba rozumiesz, Opa. Ta figurka jest moim jedynym dziedzictwem, całą moją przeszłością. A może również przyszłością.

Josef, który poświęcił życie pięknej biżuterii, mimo woli uległ czarowi tej tajemniczej, romantycznej opowieści. A sam flakonik... Josef ujął figurkę w stare, wielkie, doświadczony dłonie.

Delikatnie przekładał ją z boku na bok jak kochankę, gładził pieszczotliwie złoto i klejnoty.

- Arcydzielo - oświadczył w końcu. - Czegoś takiego w życiu nie widziałem. Ale w tej postaci figurka jest niekompletna, wybrakowana. Czuć wprost, że domaga się spotkania ze swoją drugą połową.

- Właśnie tego pragnę w przyszłości dopiąć, Opa. Taki mam zamiar.

Tej nocy Pete do późna siedziała na łóżku z flakonikiem w dłoni. W pamięci rozbrzmiewały jej słowa Anny: „Sztuka to dzielenie się z innymi własnym ideałem piękna, to umiejętność przekazania doznań obecnych w akcie tworzenia”.

Przypomniła sobie jak się czuła, tworząc dla mamy broszkę z syrenką

- najbardziej ekscytujące chwile w jej życiu, okres, kiedy promieniowała energią i pomysłami. Co noc z niecierpliwością czekała ranka, żeby znów wziąć się do dzieła.

Nie знаła dotąd równie cudownego ożywienia, nigdy dotąd nie wydawało jej się, że robi dokładnie... to, co trzeba.

- No, cóż - powiedziała cicho do podobizny La Colomby

- zwyciężyłaś, babciu. - Posłała uśmiech w ciemność za oknem. Decyzja zapadła. Przerwie studia w collegeu. Nie pójdzie na

Akademię Medyczną i nie zostanie psychiatrą. Kto inny będzie musiał przyjąć na siebie ciężar odpowiedzialności za ludzi takich jak jej mama.

Ona poświęci się projektowaniu biżuterii.

Teraz zostało jej tylko powiadomić o decyzji ojca.

Otudio Anny mieściło się przy Greene Street. Ściany pracowni były białe, słońce wpadało przez

światlik w suficie.

Pomieszczenie było wielkie i zabałaganione, pachniało trocinami i lnianym pokostem. Pete zachwyciła się już w progę.

Rzeźby były wielkie i wykonane z rozmachem, w większości z drewna, które Anna tak długo rzeźbiła, kształtowała, polerowała i nasączała pokostem, aż zaczynały żyć własnym życiem.

- To, na przykład - objaśniła Anna, pokazując wycelowany w niebo, sfalowany kawałek drzewa sandałowego o miodowym połysku - jest tonem głosu twojego ojca, kiedy usiłuje coś ode mnie wydłuzić. - Puściła oko do Pete, która odpowiedziała uśmiechem.

- Żartujesz?

- No, nie całkiem. Nie zawsze wiem do końca, co robię, ale zawsze wiem, jakie to powinno być. Ta rzeźba miała być miodowo-atłasowo-aksamitna.

- Udało ci się - przyznała Pete, w duchu podziwiając trafność, z jaką Annie udało się oddać upragniony klimat. -

Dlaczego pracujesz w drewnie?

- Drewno jest żywe. - Długimi, zręcznymi palcami pogładziła wzdłuż słoju kawałek rzeźbionego hebanu. - Najpierw muszę zajrzeć w serce drewna i dowiedzieć się, jaki pragnie mieć kształt. Potem już tylko staram się go wydobyć.

Przez pamięć Pete przeleciało bolesne wspomnienie. Przypomniała sobie romans dziadka z diamentem, miesiące, kiedy usiłował zgłębić serce kamienia, żeby wydobyć z niego drogocenny połysk. I wreszcie - diament rozpadający się w drzazgi, okruchy, które łamią ludzkie życia, ranią do krwi.

- A jeśli się pomylisz? Czy zdarzyło ci się pomylić i zniszczyć drewno?

* - Za każdym razem - roześmiała się Anna. - Wtedy robię coś innego. Często coś o wiele piękniejszego niż mój pierwotny zamysł. - Podeszła do wielkiego, spłaszczonego jaja, w którego zagłębieniu spoczywała mała, drewniana kulka. - To na przykład miało być oko Wszechświata, tymczasem Stefan twierdzi, że wyszła mi rozdeptana drożdżówka z zaplątanym rodzyńkiem. - Wybuchnęła głośnym śmiechem. - Jak na poetę, twój ojciec potrafi być bezduszny.

- Za to ty, Anno, jesteś bardzo dobra dla niego. Potrafisz go zawsze rozśmieszyć.

- On też jest dla mnie bardzo dobry. Dzięki memu nauczyłam się cenić samą siebie - nie tylko własną pracę. Stefan stale mi przypomina, że jestem również kobietą - nie tylko artystką.

- Jak się wam to udaje?

- Przyjaźnimy się - wyjaśniła z prostotą. -1 to się najbardziej liczy. Najlepszym kochankiem dla

każdej kobiety jest jej najlepszy przyjaciel.

Chociaż słowo „kochanek" w odniesieniu do jej ojca peszyło

nico Pete, rozumiała, o czym Anna mówi. Miłość tych dwojga była widoczna gołym okiem, podobnie jak z daleka czuło się przyjaźń i sympatię, którą nawzajem się darzyli.

- Koniecznie musisz wpaść do nas w przyszłym tygodniu na party - oznajmiła Anna z zaraźliwym entuzjazmem. -

Będzie mnóstwo bardzo ciekawych osób.

Przyjęcie toczyło się szumnie. Pete, przechylona przez ladę kuchenną, obserwowała młodego, ciemnowłosego mężczyznę, który właśnie wkładał do ust dwudziestego krakersa. Poddasze Anny i Steve'a trzeszczało w szwach od gości, muzyki, głośnych rozmów. Pete pierwszy raz w życiu brała udział w podobnej imprezie. Była zafascynowana gośćmi, którzy w większości utrzymywali się ze sztuki - malarze, muzycy, paru pisarzy, jakaś tancerka. Byli też dziennikarze, nowi znajomi Stevea, i fotograf, który współpracował z nim przy reportażach.

Z nikim nie zamieniła więcej niż parę zdawkowych uwag. Prawdę mówiąc, cholernie ją onieśmielali. Miała osiemnaście lat i niewiele w życiu robiła poza chodzeniem do szkoły. Nie miała - bo i skąd - żadnego obycia towarzyskiego. Mimo to świetnie się czuła i była zdecydowana wziąć udział choć w jednej przyzwoitej konwersacji przed końcem wieczoru.

Wyglądony młody człowiek przy bufecie, chudy i wysoki, musiał mieć na jej oko ze dwadzieścia cztery, pięć lat. W

określaniu wieku nie była specjalnie dobra. Miał w sobie coś niezwykle chłopięcego. Długie ciemne włosy, które rozpaczliwie domagały się nożyc, opadały mu na twarz; stale odgarniał je takim gestem, jakby oganiał się od natrętnej muchy. Wziął z półmiska kolejną porcję selera nadziewanego twarożkiem.

- Może ci przygotować sandwicza? - zaproponowała Pete. - Wyglądasz, jakbyś potrzebował czegoś solidniejszego niż karma dla królików.

- A co macie? - spytał, obgryzając łapczywie surową marchewkę.

- Chyba jest jeszcze rostbef w lodówce.

- Niezbyt wysmażony?

- Nie wiem, ale z pustym żołądkiem nie należy kapryścić.

- Nic podobnego. Przez życie należy iść bezkompromisowo. Mrugnęła porozumiewawczo.

- Znajdę najmniej wysmażony kawałek.

Buszowała przez chwilę w lodówce. Wreszcie wychynęła z paroma plasterkami krwistego rostbefu, serem munsterskim, sałatą, dojrzałym pomidorem, musztardą, majonezem i kiszonymi ogórkami.

- Rany boskie me dość, że piękna, to jeszcze gotować potrafi.

- Przygotowanie sandwicza nie zalicza się do sztuki kulinarnej. Co innego udusić potrawkę cielęcą czy przyrządzić kurczęta *cacciatore*...

- Dla mnie to wszystko jedno. - Wbił zęby w jej dzieło i uporał się z nim w paru kęsach. - Jestem Charlie Barron -

dokonał spóźnionej prezentacji.

- Pete D'Angeli. - Z uśmiechem wymienili uścisk dłoni.

- Czym się zajmujesz w chwilach wolnych od jedzenia, Charlie? - zaciekawiała się.

- Uprawiam sztukę. - Nigdy dotąd nie słyszała tego wyrażenia

- za to tego wieczoru obilo jej się o uszy chyba z dziesięć razy. Uprawiać sztukę. To właśnie robiła Anna i jej przyjaciele. To właśnie chciała robić Pete, projektując biżuterię.

- Jaką sztukę?

- Pop - oświadczył lekko zaczepnym tonem. - Warhol zrobił na tym karierę. Nie wiem czemu mnie też nie miałyby*

się powieść.

- Ja też nie wiem, czemu tobie nie miałyby się powieść.

- Bo nikt nie rozumie tego, o co mi chodzi.

- Kto wie, może ja byłabym cię w stanie zrozumieć; ale musiałbyś mi coś niecoś opowiedzieć.

Jej wezwanie potraktował z całą powagą. Kiedy lodówka została opróżniona, a na bufecie poniewierały się tylko żalosne szczątki, przenieśli się na wygodną, pokrytą indiańskimi kilimkami kanapę. Przez większość czasu Charlie mówił, a Pete słuchała. Opowiadał o starej drukarni, którą wynajmował na studio za psi grosz - psa rasy kundel, dodał żartobliwie

- o swoich pracach komponowanych ze śmieci: złomu, podartych prześcieradeł, puszek, kartonowych pudeł i wszelkich

odpadów. „Plewy ludzkiego istnienia są piękne, jeśli patrzy się na nie okiem wolnym od uprzedzeń” - tłumaczył.

Kiedy ostatni goście wyszli, Charlie i Pete nadal siedzieli na kanapie, pogrążeni bez reszty w

rozmowie, popijając czerwone wino.

- Dobranoc, Charlie - odezwała się Anna. Stała przed nimi już jakiś czas, w końcu musiała nachylić się Charlie'emu wprost do ucha, inaczej nie zwróciłby na nią uwagi.

Podniósł głowę i zdumiony rozejrzał się po strychu. Nie było już nikogo.

- Koniec przyjęcia?

- Owszem, Charlie. - Steve wyrósł za plecami Anny. - Koniec przyjęcia.

- Aha. - Pete wydało się, że słyszy w głosie Charlie'ego rozczarowanie. Wstała, rozprostowała zeszywniałe kości i poszła odprowadzić gościa do drzwi. - Może wpadłabyś do mnie zobaczyć moje prace? - zaproponował. - Na przykład, jutro?

Przez cały wieczór próbowała sobie wyobrazić jego prace. Miała wielką ochotę je obejrzeć. I, ku swojemu zdumieniu, poczuła, że nie ma nic przeciwko temu, żeby znów się spotkać z Charlie'em.

- Chętnie.

- Świetnie. Wpadnę tu po ciebie o szóstej. - Otworzył drzwi, odwrócił się i powiedział „dobranoc” gospodarzom. -

Wiesz, że ty jesteś całkiem niebrzydka - dodał, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Prace Charlie'ego były niezwykle oryginalne. Pokrywał olbrzymie płótna plastikowymi rurkami do picia, pudełkami po hamburgerach McDonalda, butelkami po bielince, zgniecionymi pudełkami po proszkach do prania, inne znów oblepiał fusami kawy, skorupkami jaj, skórkami od pomarańczy, surowym makaronem, pokruszonymi cukierkami, które układał w mozaikowe wzory i powlekał przezroczystym akrylem.

Te dziwaczne i patetyczne „ściany śmieci”, jak je nazywał, wywierały na Pete ogromne wrażenie. Czula, że od samego patrzenia coś się z nią dzieje. Przypomniały jej się przybory toaletowe, które zrobiła dla matki, pokryte okruchami tłuczonych muszelek, wstążeczkami i szkiełkami, które miały imitować witraż katedry w Chartres.

Nagle przyłapała się na tym, że opowiada mu o tamtym witrażu, o tym, ile wysiłku włożyła, żeby oddać jego piękno na oprawce taniej, plastikowej szczotki do włosów.

- Pokaż - powiedział, podając jej ołówek i szkiecownik.

- Co ci mam pokazać?

- Pokaż, jak to zrobiłaś. Narysuj. Narysowała, co tylko mogła sobie przypomnieć.

- Nieźle - pochwalił. - Nieźle. Zaczynasz zajęcia w Studium w przyszłym tygodniu?

Zwierzyła mu się z zamiaru zapisania się do Studium Sztuk Pięknych na kursy projektowania biżuterii.

- W przyszłym miesiącu.

- Zaczynaj w przyszłym tygodniu. Musisz podszkolić się w rysunku. - Podniósł wzrok znad szkicownika. - Co nam przyniosłaś do jedzenia?

Jakżeż ja mu, u licha, powiem, że nie zamierzam wracać do college'u? - radziła się Pete przyjaciółki podczas sobotniego lunchu w Greenwich Village, który powoli stawał się tradycją.

Wyjazd do college'u w życiu Jess okazał się punktem zwrotnym - odzyskawszy się wreszcie wolność, nie zamierzała z niej rezygnować. Na dobre zerwała się ze smyczy. Wyjaśniła ojcu, matce i lekarzom, że nie zniesie wokół siebie żadnych cerberów w rodzaju szofera Williamsa, pokojówki Mary czy nawet własnych rodziców. Sama potrafi dbać o siebie.

Ale jej nowo nabyta wolność w niczym nie umniejszała przywiązania do Pete. Spędzały razem każdą wolną chwilę, mimo że obie pracowały już - Pete w dzielnicy jubilerskiej, Jess na pół etatu jako ekspedientka w księgarni, gdzie mogła obcować z ukochanymi książkami.

- Powinien się dowiedzieć - zawyrokowała Jess. - Za miesiąc będzie już wrzesień. Z pewnością zauważy, że nie ślęczysz nad biologią ani nie pędzisz z wykładu na wykład.

- Wiem o tym. Ale będzie mu bardzo przykro. Dla niego

kamienie są równoznaczne z cierpieniem i straconym dziedzictwem. - Nabrała porcję jajecznicy. - Jedz sałatkę.

Szpinak jest dla ciebie bardzo wskazany.

- Daruj sobie takie uwagi. Przed chwilą oznajmiłaś mi, że nie masz zamiaru zostać lekarką, a ja nienawidzę szpinaku.

Nie mam pojęcia, po co go zamawiałam. - Bez entuzjazmu pogrzebała widelcem po talerzu. - Może zwróć się o pomoc do Anny. Ona zawsze umie sobie radzić z twoim ojcem, poza tym rozumie, co to jest sztuka i potrzeba tworzenia.

- Niewątpliwie - lepiej niż ktokolwiek z moich znajomych.

- No to spróbuj z nią pogadać. A dla mnie zamów omlet. Z dżemem.

- Zamówię ci omlet, ale bez dżemu. I rzeczywiście porozmawiam z Anną.

Przyjdź do nas na obiad - brzmiała rada Anny. - Powiesz mu o wszystkim przy posiłku, a resztę zostawisz mnie.

- Jesteś pewna? - spytała Pete.

- W tej sprawie musisz zdać się na mnie.

Tak więc, siedząc na poddaszu, które tymczasem stało się dla Pete drugim domem, powiadomiła ojca o decyzji.

- Rzucam szkołę - oświadczyła zniechęcona.

Zmarszczył czoło z wysiłkiem, jakby przemówiła do niego po rosyjsku.,

- Co znaczy - rzucasz?

- To znaczy, że nie wracam do college'u w przyszłym miesiącu.

- Co wobec tego masz zamiar robić? - spytał, choć miał przeczucie, że zna odpowiedź.

- Mam zamiar zostać wnuczką swojej babki - powiedziała

i wybuchnęła śmiechem.

- Mam nadzieję, że nie do końca. - Anna też się roześmiała. - Jesteś bardzo piękna, Pete, ale nie widzę cię w roli kurtyzany.

- Ja też się chyba nie widzę - zgodziła się Pete. Steve nie odzywał się. - Ale chcę zajmować się biżuterią.

- W jaki sposób? - Steve odzyskał głos. Pete wyczuła w jego tonie akcent dezaprobaty.

- Nie od strony technicznej, jak Opa. Chcę... chciałabym

dorzucić swoje trzy grosze do urody świata... jako projektantka. Widzę, że nie jesteś do tego pomysłu zbytnio przekonany. Ale wiem też, że to jest coś, co będę potrafiła dobrze robić. Kto wie, czy nie lepiej niż inni.

Przygarbił się. Czy nieodparta fascynacja blichтром klejnotów, która stale ciążyła nad dziejami jego rodu, mogła być dziedziczną chorobą, jakimś defektem genetycznym?

- Pete, nie zdajesz sobie sprawy...

- Ależ jak najbardziej zdaje sobie sprawę, Stefanie - oświadczyła Anna. - Któż lepiej od Pete może wiedzieć, co jest dla niej najlepsze? Ty? Ja? Bardzo w to wątpię. - Wstała i odeszła od stołu, zostawiając Pete w poczuciu, że porzucono ją w potrzebie.

Tymczasem okazało się, że Anna wie, co robi.

- No cóż, dziękujmy Bogu, że stworzył Annę - oświadczył Steve. - Nie będę ukrywał, że ona chyba ma rację.

Widzisz, mama była chora tak długo, że nauczyłem się podejmować wszystkie decyzje bez niczyjej pomocy i w rezultacie zacząłem uważać się za nieomylnego. - Objął ją ramieniem. - Nie jestem zachwycony twoją decyzją, ale masz we mnie stuprocentowe oparcie.

Poczuła pod powiekami szczypanie łez.

- Dziękuję tato, mam nadzieję, że kiedyś będziesz ze mnie dumny.

- Już jestem z ciebie dumny, *bambina*.

Przyjaźń to cudowna rzecz, myślała Pete. Najpierw pojawiła się Jess. Potem Anna. A teraz - Charlie Barron. Jego wielka pracownia w starej drukarni stała się kolejną przystanią dla Pete. Lubiła oleisty zapach farby drukarskiej, który na stałe wsiąkł w ściany budynku. Lubiła podłogę krytą czarną, gumową wykładziną, na którą Charles narzucił

sizalowe maty, masujące stopy, kiedy chodziło się na bosaka. Lubiła jednolite światło, wpadające przez matowy świetlik w dachu, szarobiałe w dzień, różowobursztynowe od miejskich świateł w nocy. Uwielbiała ciszę tego miejsca, wśród której rozbrzmiewały dźwięki blue-grassu - ulubionej muzyki Charlie'ego. Lubiła nawet Renalda, starego neurotycznego kocura. A przede wszystkim zachwycało ją nie znane uczucie przyjaźni z mężczyzną.

Kiedy zorientowała się, że zawartość lodówki Charlie'ego na co dzień składa się ze słoika musztardy, butelki octu, trzech napoczętych puszek konserwy dla kotów, spleśniałych resztek chińskich dań na wynos i kupki drobnych monet, wzięła na siebie funkcję zaopatrzeniowca. Parę razy w tygodniu, pod wieczór, kiedy Charlie był już po całym dniu pracy, stawała w progu ze składnikami marsali cielęcej czy tradycyjnego holenderskiego gulaszu.

Gotowała, a on pracował. Przy kolacji gawędzili o wszystkim i o niczym. Później siadała przy stole Charlie'ego, szkicując projekty biżuterii, a on wracał do pracy przy olbrzymiej sztaludze.

Od czasu do czasu zaglądał jej przez ramię. Niekiedy jednym pociągnięciem ołówka potrafił wydobyć najgłębszą ideę jej projektu.

Pete uwielbiała zajęcia z rysunku i jubilerstwa w Studium Sztuk Pięknych. Za dnia godzinami z jubilerskim młotkiem w ręce wyklepywała złoto, srebro i miedź. Przygotowywała woskowe modele odlewów. Stale podkradała dziadkowi okruchy diamentów, rubinów czy innych kamieni, które aktualnie szlifował. Bez końca szkicowała projekty biżuterii - nanosząc poprawki i ulepszenia, próbując od nowa. Większość szkiców kończyła swój żywot w kuble, niemniej powoli kompletowała teczkę rysunków wartych zachowania. Krok **za** krokiem opanowywała tajniki rzemiosła.

Josef był zachwycony decyzją Pete dotyczącą porzucenia college'u i poświęcenia się bez reszty jubilerstwu. Chwalił

każdy szkic, oklaskiwał każdy gotowy wyrób.

Przyznaj się, czy jesteście z Charlie'em Barronem przyjaciółmi? - zagadnęła Jess, kiedy

maszerowały po Madison Avenue w stronę domu Walshów.

- Cóż za głupie pytanie. Wiesz dobrze, że jesteśmy.

- Ale przyjaciółmi. Jak Anna z twoim ojcem. Pamiętasz, co ci wtedy powiedziała?

- Oczywiście, że pamiętam. Nie, nie jesteśmy - Pete powtórzyła Jess co do słowa rozmowę z Anną o przyjaciółach, %

którzy jakoby mieli się najlepiej sprawdzać w łóżku. - Nie śpimy z Charlie'em.

- Dlaczego?

Pete zaczęła kręcić szyją na wszystkie strony, co było u niej jawną oznaką zakłopotania.

- Nie wiem. Jakoś po prostu nigdy się tak nie stało.

- Nie stało? - zdziwiła się kpiąco Jess. Pete opuściła powieki zażenowana.

- Wiesz, tylko jedno ci w głowie. - Roześmiała się. - Nie to miałam na myśli. Chciałam powiedzieć, że... po prostu...

jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

- A więc?

- Jess!

- No już dobrze, będę cicho. Ale jak mi nie powiesz, kiedy dojdzie co do czego, to się obrażę na śmierć i życie.

- Będziesz trzecią osobą, która się dowie.

A więc - zagadnęła Anna tego samego dnia, kiedy zamiatały wspólnie z Pete podłogę pracowni - jesteście z Charlie'em przyjaciółmi, czy nie?

- O, nie! Jeszcze ty! Wiem, do czego zmierzasz. Nie sądzę, żeby tata pochwalał takie rozmowy.

- Ojcowie nigdy nie marzą o tym, żeby ich małe dziewczynki doroślały - oświadczyła Anna, machnięciem ręki zbywając ewentualne obiekcje Steve'a. - A już na pewno nie lubią ich sobie wyobrażać z innymi mężczyznami w łóżku. Co nie znaczy, że małe dziewczynki i tak tam prędzej czy później wylądują. - Odstawiła miotłę i odgarnęła gęste włosy z twarzy. - A teraz słuchaj, bo chcę ci powiedzieć coś ważnego. Nie mam zamiaru poganiać cię w żaden sposób. To się w końcu stanie, kiedy przyjdzie odpowiedni czas i odpowiedni chłopak. Ale nie pozwól, żeby powstrzymało cię to, co się działo z twoimi rodzicami i ich małżeństwem. - Dotknęła czoła Pete. - To jest twoja głowa. - Dotknęła jej ramienia. - I twoje ciało. Ty decydujesz, co dla nich jest dobre, a co nie.

- Dzięki, Anno. Postaram się zapamiętać. - Słowa Anny, jak kojący balsam spływały na duszę Pete.

- A kiedy uznasz, że nadeszła odpowiednia chwila...

- Tak?

Anna uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Skorzystaj dobrze z każdej sekundy.

Boże - zdumiała się Pete, wchodząc do pracowni Char-lie'ego. Na stole piętrzyły się kartony opakowań. - Nie uwierzę, że naprawdę pamiętałeś o jedzeniu!

- Wyobraź sobie, że ja też czasem bywam głodny.

- Zauważyłam. - Zaczęła otwierać pudełko z chińskim daniem na wynos. - Co tutaj masz?

- Makaron w sosie sezamowym, wołowinę w brokułach, kurczęta z imbirem i z orzechami, brązowy ryż.

- Istna ucztą! A to co? - spytała, podważając pokrywkę plastikowego pojemnika.

- Ostro-kwaśna... - Pokrywka odskoczyła i litr dymiącej zupy eksplodował w stronę Pete - ...z krewetkami -

dokończył, z trudem hamując wybuch śmiechu.

- Przestań. W tej chwili przestań się śmiać - rozkazała, sama krztusząc się ze śmiechu. - To wcale nie jest śmieszne.

- Wcale - potwierdził, dusząc się ze śmiechu. - To jest komiczne. Wyglądasz jak Chińczyk wyciągnięty z Żółtej Rzeki.

Kraciasta, bawełniana bluzeczka Pete była mokra od zupy, włosy kleiły jej się do głowy, zupa kapiała na dzinsy. Na nosie miała kawałek tofu, na policzku wił się strąk fasolki.

- Nic ci się nie stało? - spytał w końcu. Zupa była przecież gorąca.

- Chyba nie, ale chciałabym to zmyć z siebie.

- Weź prysznic - poradził. - Zdejmij, co tam masz na sobie, a ja to wszystko wrzucę do pralki. Możesz włożyć mój szlafrok. Wisi na drzwiach od łazienki.

Ciepła woda usunęła ślady kataklizmu z ciała i włosów Pete. Miała nadzieje, że pralka równie łatwo poradzi sobie z jej garderobą. Wyszła z łazienki owinięta w czerwony szlafrok frotte Charlie ego. Jedną ręką wycierała włosy ręcznikiem, drugą przytrzymywała szlafrok na piersi. Nigdzie nie mogła się dopatrzeć paska. Charlie zdjął z siebie podkoszulek, którego też nie ominął geizer zupy, i

zajmował się wycieraniem stołu i podłogi.

- W jaki sposób trzymasz to razem do kupy?

- Jak muszę, to używam krawata.

- Krawata?

- No cóż, skoro go nigdy nie noszę do koszul, to przydaje się chociaż do tego. Zresztą jest czerwony, prawie w tym samym odcieniu.

- Gdzie go trzymasz?

- Gdzieś mi się zapodział. - Wyprostował się. Dziwnie przyglądał się Pete.

- No to znajdź mi coś - powiedziała z rosnącym zniecierpliwieniem. - Nie będę cały dzień stała ze szlafrokiem w garści.

- To go puść - powiedział, drocząc się z nią po przyjacielsku. Podszedł do Pete, która stała z odchyłą do tyłu głową i jedną ręką z ręcznikiem uniesioną do góry. Kiedy dotknął drugiej ręki, zaciśniętej na połach szlafroka, uścisk palców Pete zelżał. Poły wyslizgnęły się z jej dłoni. Szlafrok rozsunął się.

Pachniała mydłem Ivory i szamponem ziołowym, a jej skóra zaróżowiła się lekko pod szorstkim dotykiem szlafroka.

Ciężkie, mokre włosy spływały na plecy, odsłaniając całą twarz. Charlie poczuł, że w życiu nie widział nic piękniejszego.

Jego skóra połyskiwała od potu. Pachniał pokostem, lakierem i, odrobinę, słodko-kwaśną z krewetkami. Pod paznokciami miał półksiężycę błękitu pruskiego, a w ciemnych, zmierzwionych włosach okruchy gipsu. Pete wydał

się podniecający jak nigdy.

Charlie wstrzymał oddech, a potem wypuścił go z przeciągłym westchnieniem. Pete również wstrzymała oddech.

Stało się, pomyślała. Nie planowała tego w żaden sposób. Ale wewnętrznie była przygotowana. Widać nadszedł

właściwy czas. Nie była pewna, czy kocha Charlie'ego. Ale z pewnością lubiła go - i to jeszcze jak! Czyż Anna nie mówiła, że najlepszym kochankiem kobiety jest jej najlepszy przyjaciel? Charlie był najlepszym przyjacielem, jakiego Pete mogła sobie wymarzyć.

Z pewnością historia jej rodziny miała tutaj jakieś znaczenie. W końcu była rodzoną wnuczką La Colomby, największej bodaj kurtyzany w dziejach Europy. Po babce odziedziczyła miłość do

klejnotów. Nadszedł czas, żeby sprawdzić, czy jej dziedzictwo ograniczało się tylko do tej jednej skłonności.

Charlie pochłaniał szeroką szczelinę pomiędzy połami szkarłatnego szlafroka wygłodniałym, rozmarzonym wzrokiem małego chłopca. Jak dotąd, chociaż stał bardzo blisko, ograniczył się tylko do dotknięcia jej ręki.

Wyswobodziła dłoń i zsunęła szlafrok z ramion na podłogę.

- Rany koguta! - wykrzyknął. W jego ustach był to wyraz najwyższego zachwytu. Krzyżując ręce na piersi przysiadł

na brzeżku stołu. - Zawsze wiedziałem, że jesteś piękna, Pete, ale teraz przestaję zazdrościć Warholowi, a zaczynam marzyć, żeby zostać Botticellim.

Zachichotała, ale zaraz umilkła.

- Proszę cię, nie rozśmieszaj mnie. Nie wiem, czy dam radę to zrobić, jeżeli ciągle będziesz mnie rozśmieszał.

- Co ty o tym wiesz. - Zsunął się ze stołu. - Kochanie, śmiech jest najlepszym sposobem na miłość. - Wziął ją w objęcia i wyszeptał w wilgotne włosy. - Rozbawię cię tak, że będziesz konać ze śmiechu.

Zetknięcie dwóch wilgotnych ciał przeszło Pete gwałtownym dreszczem. Pocałował ją, najpierw leciutko, muskając zaledwie kąciki jej ust, potem głębiej.

- Rozluźnij się - powiedział jej prosto do ucha. - Rozluźnij wargi. Nie będziesz w stanie śmiać się tak jak trzeba, jeżeli nie będziesz miała rozluźnionych warg. - Napięcie w ustach Pete puściło i nagle poczuła, że jej wargi pod dotykiem warg Char-lie'ego, poruszają się same, jakby napędzane niewidzialnym motorkiem. Dłonie Charlie'ego ześlizgnęły się z jej ramion i przesuwały w dół po plecach, uciskając leciutko każdy krąg, kciukami gładząc jej żebra.

Wreszcie objął ją w pasie.

Ostrożnie pogładziła go w zagłębieniu obojczyka, wyczuwając pod palcami przyspieszony puls. Wziął ją za rękę i zaprowadził do łóżka.

- Zrobimy to najlepiej, jak się będzie dało - oświadczył, kładąc ją na materac pokryty madrasem. - Pete zasługuje na rzeczy w najlepszym gatunku. - Patrzyła, jak kopniakami zrzuca mokasyny z nóg, rozpina pasek, zsuwa dżinsy. Jego skóra okazała się bielsza, niż przypuszczała. Nigdy jeszcze nie widziała erekcji. Penis Charlie'ego zachwycił ją tak, że zapragnęła natychmiast wyrzeźbić go w szlachetnym kamieniu.

Położył się przy niej. Jego dłonie, pewne siebie, przyjazne i kojące, przesuwały się powoli po jej ciele, jakby doskonale znały ten teren. Mimo to, co chwila zadawał jej pytania.

- Czy masz tutaj łaskotki? - pytał, przesuując palcem w zagłębieniu pod piersią. - Czy od tego chce

ci się śmiać?

Nie umiała mu odpowiedzieć. Jej doznania były zbyt nowe, zbyt silne - wręcz przerażające, żeby mogła wymówić choć jedno słowo.

- A tutaj? - pytał, podsuwając palec do góry i okrążając jej kawową sutkę. - Tutaj? - upewniał się, zsuwając dłoń po jej brzuchu, pieszcząc wilgotną pachwinę i przesuwając dłoń ku środkowi jej ciała. Musnął lekko granicę kędzierzawych włosów.

- Czy to cię łaskocze? Masz już ochotę trochę się pośmiać?

- szeptał do ucha Pete.

Wydała z siebie jakiś dźwięk. Nie był to śmiech, mimo to znalazł uznanie w oczach Charlie'ego. W nagrodę ugryzł ją leciutko w nabrzmiałą niespodziewanie sutkę. W pokoju było niemożliwie gorąco. Nie mogła nadziwić się, że z jej ciała me zaczęły się jeszcze unosić obłoczki pary. Gładziła Charlie'ego, naśladowując jego ruchy. Jego plecy wydały jej się gładkie jak aksamit.

Jednak kiedy rozsunął gęstwinę jej włosów i wsunął dłoń w szczelinę między nogami, nieznośny obraz matki, która krzycząc rytmicznie zanurza dłoń pod spódnicą, zaczął pulsować w umyśle Pete. Zesztywniała nagle i z cichym okrzykiem cofnęła się.

Dłoń Charlie'ego znieruchomiała. Z powrotem zaczął ją całować.

- Już dobrze, kochanie - tchnął jej prosto w usta. - To tylko ja, Charlie. Nie zrobię ci żadnej krzywdy.

To tylko Charlie, powtórzyła w duchu. Przyjaciel. Przyjaciele są najlepszymi kochankami. Westchnęła głęboko.

Jego dłonie znów zaczęły poruszać się powoli, drażniąc, pieszcząc, uciskając.

Myśl, że Charlie Barron to rodzaj najlepszego kochanka, przyprawiła ją o paroksyzm wesołości.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił ją, wsuwając głębiej palec między jej nogi i wyszukując kciukiem źródło bezbrzeżnej radości.

Zaczął całować ją po sutkach, a jego dłonie pracowały

niestrudzenie. Nagle poczuła jak coś - czy mógł to być śmiech? - rośnie w jej ciele. Rośnie i rośnie. Głaskał ją i całował, a między pocałunkami ponaglał żarliwie.

- Śmieję się, Pete. Zrób to dla mnie, kochanie. No, proszę cię, bardzo potrzebny mi jest twój śmiech.

Nogi zaczęły sztywnieć jej w kolanach, miednica wygięła się w łuk, dopraszając się jego roześmianej dłoni w zakamarkach jej ciała, jego roześmianych ust przy jej piersiach.

- Proszę - błagała, nie wiedząc, o co prosi.

Nagle pękła w niej wielka bańka radości. Zaczęła krzyczeć, szlochać, wrzeszczeć ze szczęścia... i śmiać się, śmiać się, śmiać.

- Tak jest! - wykrzyknął Charlie. - Tak jest, Pete! Śmieję się dla mnie, ile tylko możesz! - I dalej bez końca rozśmieszał

ją do utraty przytomności, a kolejne salwy śmiechu wypływały falami z jej ust.

Wreszcie przestała się śmiać. Leżąc na wznak dyszała ciężko wpatrzona w Charlie'ego z idiotycznym uśmiechem, a on odpowiadał jej równie niemądrym wyrazem twarzy. Sięgnął do szufladki przy łóżku i wyjął mały pakiecik w foliowym opakowaniu.

- Z tobą, Pete, nie będę ryzykował - powiedział, naciągając prezerwatywę na rumaka, który stał już dęba. - Nigdy.

Uniósł się, wpatrując się w Pete z nie znaną jej dotychczas słodyczą. Poczwała niski, narastający w gardle śmiech.

- Tak - powiedział. - To były tylko przymiarki. Teraz pójdziemy na całość. - Zagłębił się w Pete i wszystko ruszyło od nowa.

.Tete nigdy wcześniej nie przyszłoby do głowy, że życie może być tak cudownie wypełnione. Studia, praca, rodzina, nareszcie

- dzięki Annie - pełna, najdroższa przyjaciółka, Jess, do tego

- kochanek.

Ojciec pogodził się z jej ambitnym zamiarem zostania światowej sławy projektantką biżuterii. Zaczął interesować się jej kursami i śledził postępy kolejnych prac. Opowiadał jej też o La Colombie wszystko, co tylko udało mu się zapamiętać. Każdy klejnot obejrzany w *La Tanie* opisał najdokładniej jak potrafił.

Wspominał atmosferę, którą wytwarzała jego matka, czar, jaki roztaczała wokół siebie. Czar ten w wyobraźni Pete nieodłącznie splatał się z magią klejnotów. Czwała, że w przyszłości ta informacja może stać się kluczem do odnalezienia własnego stylu.

- Teraz, kiedy zdecydowałaś się, co chcesz robić - powiedział któregoś dnia do Pete - jaki będzie twój następny krok?

Od czego zamierzasz zacząć?

- Jak to od czego, tato? Jasne, że od samego początku.

Rozdział dziesiąty

Chwała Bogu, że pokój ma klimatyzację - pomyślała Pete. Chwała Bogu za wszystkie drobne

przejawy aktu łaski.

Czy jednak klimatyzacja w taki dzień, jak ten w Nowym Jorku, zasługiwała na miano drobnego aktu łaski? Przez cały tydzień w środku lipca temperatura wahała się między trzydziestoma czterema a trzydziestoma sześcioma stopniami. Tego dnia, po raz ósmy w ciągu ostatnich trzech tygodni, Pete wyczekiwała w salonie recepcyjnym firmy Dufort & Iveres z nadzieją, że wreszcie uzyska upragnioną audiencję. Starła się dostrzegać najlepsze strony tej sytuacji. Choćby nawet miała tu spędzić pół dnia i tak było to lepsze, niż przebywanie na ulicy czy w domu. U

Duforta & Iveresa studzono ją na parę różnych sposobów.

Pete rozglądała się po salonie. Beżowe ściany wielkiego pokoju wieńczyły złote sztukaterie. Wnętrze odbijało się w olbrzymich lustrach. Posesja przy Piątej Alei należała niegdyś do magnata przemysłowego, który zdobył majątek drogą nie całkiem uczciwą. W tysiąc dziewięćset dziesiątym u pewnego jubilera, który w owym czasie miał zaledwie sklep z wejściem od ulicy na Manhattanie, wzrok żony magnata padł na wspaniałą naszyjnik z czarnych pereł. Muszę mieć te perły, oznajmiła mężowi. Pierre Dufort zgodził się zamienić perły na posesję przy Piątej Alei.

Przyjemnie się tu siedzi - uznała Pete. Jednak miękka, kryta pluszem tapicerka eleganckiej sofy a la Ludwik XVI powoli zaczynała się robić coraz twardsza. Włożyła lniany kostiumik w kolorze słomkowym, bo jego krój czynił ją nieco bardziej

dorosłą. Wyglądała w nim poważniej, jak ktoś, kogo się chce zatrudnić. Jednak kostium, za gruby na tę pogodę, zaczynał ciążyć jak zbroja. Zdążyła już po trzy razy przeczytać każde z poświęconych sztuce i antykom czasopism, ułożonych na inkrustowanym stoliczku z owocowego drewna.

Za pierwszym razem powiedziano jej, że nie ma wolnych stanowisk w firmie i poproszono, żeby zostawiła życiorys na wypadek, gdyby coś się zwolniło. Nie ma przy sobie życiorysu? Wielka szkoda. Wróciła do domu i napisała co trzeba.

Za drugim razem powitało ją chłodne uniesienie brwi.

- Nie ma pani teczki ani żadnych prac? Bardzo nam przykro... Wróciła do domu i następny tydzień spędziła robiąc kolorowe

zdjęcia najlepszych prac. Sama je wywołała i sama zrobiła odbitki, wychodząc z założenia, że jeśli chce się mieć coś dobrze zrobionego, najlepiej zrobić to samemu. Oprawiła fotografie w passe-partout i ułożyła w pięknej okładce z bordowej skóry. Kosztowało ją to fortunę, jednak teczka doprowadziła ją o stopień powyżej recepcjonistki - miała zostać przyjęta przez osobistą sekretarkę Osobistej Sekretarki.

- Nie mamy wolnych stanowisk pracy, panno D'Angeli - usłyszała po raz kolejny. Sekretarka wymawiała jej nazwisko: *Dan-JeWy* - dan-galaretka.

- Panno Harrison - nie poddawała się Pete, rzuciwszy okiem na plakietkę z nazwiskiem na biurku kobiety - czy nie uważa pani, że zawsze powinno się rezerwować jakieś miejsca na wypadek

pojawienia się prawdziwych talentów?

Kiedy pojawia się wybitny talent jubilerski, od razu powinno się znaleźć dla niego miejsce pracy. Albo takie miejsce powinno zostać stworzone.

- A pani właśnie jest tym wybitnym talentem? - spytała kobieta, nie ukrywając ironii.

Pete po prostu skinęła głową i tak długo patrzyła na nią, aż sekretarka spuściła oczy.

Cóż jednak mogło znaczyć zwycięstwo wzroku wobec autorytetu panny Harrison, choćby jej stopień w hierarchii służbowej nie był specjalnie wygórowany? Znow usłyszała sakramentalne: „Niestety”.

W tydzień później Pete poprosiła o osobistą audiencje u *monsieur* Iveresa, ale odpowiedziano jej, że *monsieur* przebywa w Paryżu i do Nowego Jorku wróci nie wcześniej niż za dwa tygodnie.

Po każdej odmowie wracała do domu, rozmyślając, co takiego mogłaby powiedzieć lub zrobić, żeby wreszcie przedrzeć się do wewnętrznego kręgu. Była pewna, że jeśli uda jej się spotkać z Claude'em Iveresem i pokazać mu swoje prace, przekona go, żeby ją zatrudnił. Musi go przekonać.

Wcale nie dlatego, że nie miała innych możliwości. Zanim przyszła do Duforta & Iveresa, zrobiła rundę po innych firmach

- była u Cartiera, Winstona, Van Cleefa, Tiffany'ego. Otrzymała parę propozycji. Nic wielkiego, ale na początek całkiem niezłe. Jednak odrzucała oferty jedną po drugiej, aż wreszcie dotarło do niej, że odmawia nie dlatego, że proponują jej zbyt niską pensję czy zbyt podrzędne stanowisko. Odmawia - ponieważ jedyną firmą, w której chce pracować, jest Dufort & Iveres. Jest to dla niej kwestia honoru - wyrównania rachunku zaciągniętego przed laty, kiedy Opa został wyklęty za to, że śmiało podjął się ryzyka, po czym szczęście go zawiodło. Choć namiętny pociąg, jaki żywiła do kamieni, jej talent i aspiracje z pewnością miały również inne korzenie, jednak właśnie tamta chwila unaoczniała jej z całą wyrazistością, jak potężny wpływ klejnoty wywierają na ludzkie dzieje. Chwila, kiedy diament rozprysł się na odłamki, upokarzając ukochanego dziadka, niszcząc subtelną równowagę umysłową matki, rozbijając rodzinę.

Zacięła się i uparła, że nie ustąpi, dopóki nie zostanie przyjęta przez samego Claudea Iveresa. Iveres musiał dać jej tę szansę

- to miał być pierwszy krok do wyrównania starych rachunków. Nie zamierzała jednak zdradzać mu, kim jest. Jej nazwisko tuszowało powiązania z Josefem Zeemanem.

Na początku tego tygodnia udało jej się wreszcie odnieść nieznaczące zwycięstwo. Lodowata i pełna wyższości panna Harrison, zmiękczonej nieustępliwą wytrwałością Pete, ustąpiła pod koniec dnia i zaprowadziła Pete do gabinetu zastępcy kierownika działu projektowania. Udało jej się zrobić na nim na tyle silne wrażenie, że zaprowadził ją w głąb korytarza, do gabinetu swojego przełożonego.

- Muszę przyznać, panno D'Angeli, że pani prace wyglądają całkiem obiecująco - oświadczył kierownik działu. -

Pani projekty cechuje świeżość i oryginalność. Proszę przyjść do nas w piątek rano. Pan Iveres spodziewany jest z Paryża we czwartek. Być może znajdzie chwilę, żeby rzucić okiem na pani projekty.

Dlatego właśnie siedziała teraz w salonie recepcyjnym. Było już późne popołudnie, ale ani razu nie widziała Claudea Iveresa przechodzącego w tę czy w tamtą stronę. Chociaż minęło czternaście lat od czasu, kiedy go widziała, sama będąc zaledwie sześciolatką, jednak nie miała wątpliwości, że go pozna. Może po prostu nie przyleciał z Paryża? Czy zostanie jej to poczytane za zuchwalstwo, jeśli spyta, czy wezwano ją tutaj w ciemno?

Wertowała dokumentację prac, ulepszając w myślach swoje projekty.

- Panno D'Angeli... - czyjś głos przywołał ją do rzeczywistości. Podniosła głowę i zobaczyła młodego, smukłego, przystojnego

mężczyznę, który stał w drzwiach prowadzących do biur firmy. Wymówił jej nazwisko bezbłędnie, z lekkim kontynentalnym zaśpiewem.

- Pozwoli pani za mną - zaprosił ją. Mówił niskim, bardzo męskim głosem, w którym wyraźnie wyczuwało się francuski akcent.

Sądziła, że zabierają do Claude'a Iveresa, jednak poprowadził ją korytarzem wyłożonym miękkim dywanem, po czym zatrzymał się i gestem ręki zaprosił do słonecznego pokoju, przypominającego raczej salon niż gabinet. Zanim weszli do środka, zdążyła rzucić okiem na koniec korytarza, gdzie znajdowały się imponujące dwuskrzydłowe drzwi ozdobione mosiężną tabliczką z wygrawerowanym nazwiskiem: Claude Iveres. A więc kolejny raz - nici. Młody mężczyzna był tylko jeszcze jednym ogniwiem w nieprzeżytym murze zastępców, urzędników i kierowników, których zadaniem było strzec Iveresa przed mepożądanymi gośćmi. Cóż, jego też, jeżeli będzie trzeba, sforsuje. Na razie nie wyglądał na trudny obiekt. Musiał mieć dwadzieścia pięć czy sześć lat. Opalony i gładko wygolony, nosił

na sobie ciemnoszarą marynarkę sportową, której krój idealnie podkreślał jego męską budowę i naturalną płynność ruchów. Zaczęła się zastanawiać, jak poruszałyby się w tańcu.

- Proszę usiąść, panno D'Angeli. - Gestem ręki wskazał jej komfortowy fotel w stylu królowej Anny, ustawiony przed udekorowanym letnimi kwiatami kominkiem. Sam usiadł naprzeciwko Pete.

- Dziękuję panu, *monsieur*...?

- Proszę mówić do mnie Marcel. Próbuję przestawić się na amerykański brak ceremonialności. My, Francuzi, mamy z tym trochę kłopotu.

Uśmiechnął się do niej, a ona odwzajemniła jego uśmiech. Mimochodem zauważyła, że zęby ma równe i lśniące jak sznur pereł.

- Zgoda, Marcel. Możesz do mnie mówić: Pietra. - Miała wrażenie, że jej oficjalne imię brzmi doroślej niż: Pete.

- Pietra - powtórzył. Kolejny raz bezbłędnie. - O ile się nie mylę, to znaczy po włosku: kamień.

- Tak. Dostałam imię po babce. - Za późno zreflektowała się, że poruszanie tematów osobistych może być niewskazane.

- Trudno orzec, czy imię pasowało do pani babki, ale pani z pewnością nie kojarzy się z zimnym, szarym głazem -

oświadczył z błyskiem w oku.

Miała ochotę powiedzieć, że można jej imię kojarzyć również z kamieniami szlachetnymi, ale dając pretekst do dalszego flirtu, odciągała jego uwagę od tematów profesjonalnych.

Do pokoju wkroczyła kobieta niosąc tacę. Kiedy nalewała im kawę do wykwintnych, porcelanowych filiżanek, Marcel poprosił Pete o pokazanie mu teczek. Wertował zdjęcia jeszcze przez chwilę po wyjściu kobiety z pokoju.

Śledziła go znad filiżanki, sącząc wyśmienitą kawę. Parę razy uniósł brew z wyraźną aprobatą.

- Ile masz lat, Piętro? - spytał w końcu, zamykając teczkę.

- Dwadzieścia dwa - odpowiedziała bez mrugnięcia okiem. Ćwiczyła to kłamstwo od dwóch tygodni. Zresztą, cóż za różnica, dwa lata w tę czy w tamtą stronę?

- Będę z tobą szczery, Piętro, bo jesteś niewątpliwie bardzo uzdolniona i... i bardzo wytrwała. - Rozsiadł się w fotelu, opierając podbródek na splecionych, nienagannie wymaniczu-rowanych dłoniach. - W naszej firmie zatrudniamy jubilerów o światowej marce - tutaj, w Paryżu i w Mediolanie - ludzi utalentowanych, z wieloletnim doświadczeniem. Jesteś bardzo młoda.

- Ty też - powiedziała, uśmiechając się, żeby nie poczytał jej słów za impertynencję.

- *Touche* - odwzajemnił jej uśmiech. - Ale mowa jest teraz o tobie. W firmie naszej rangi projektowanie biżuterii wiąże się z analizą wielu czynników i wielkimi nakładami na selekcje, zakup kamieni, metali szlachetnych, negocjacje z dostawcami, zdobywanie rynku. Nasi projektanci nie mogą się poruszać w wieży z kości słoniowej.

Konieczna jest znajomość wszystkich faz produkcji, do której prowadzi... jak wy to w Ameryce mówicie... wyboista droga. Myślę, że to wszystko może się okazać zbyt trudne dla ciebie. Jak już wspomniałem, jesteś jeszcze bardzo młoda.

Jesteś jeszcze bardzo młoda i jesteś kobietą, pomyślała, ale w porę ugryzła się w język. Jasne było, że w jego oczach kobiety z pewnością nie dorównywały wytrzymałością mężczyźnie.

- Tak więc w najbliższej przyszłości nie widzę dla ciebie miejsca w naszej firmie - ciągnął dalej. - Chyba, że zgodziłabyś się na rutynową pracę urzędniczki czy ekspedientki, co byłoby karygodnym marnowaniem twoich niewątpliwych zdolności. Radziłbym ci zwrócić się do którejś z mniejszych

firm - na przykład zajmujących się hurtem.

Pete zawahała się, zanim otworzyła usta. Nie była pewna, czy młody mężczyzna imieniem Marcel wygłasza swoją

„radę” z uprzejmości, czy też wykorzystuje pozycję służbową, żeby odprawić ją z kwitkiem. W dalszym ciągu nie była skłonna przyjmować odmowy z czyichkolwiek ust, poza samym Iveresem.

- Skoro uważasz, że jestem dobra, dlaczego nie pozwalasz mi chociaż spróbować? Pozwól, żebym pokazała moje prace samemu...

- Potrzebne ci jest doświadczenie, Piętro, a ja staram ci się powiedzieć, gdzie możesz je nabyć. Za siedem czy osiem lat przyjdiesz...

- Siedem lat? Nie mam tyle czasu!

- Doskonale cię rozumiem. Jesteś piękną, młodą kobietą. Za siedem lat twoje zainteresowania będą się kręcić wokół

innych spraw. Małżeństwo, dzieci...

- Nie, Marcel. Ty nic nie rozumiesz. - Delikatnie odstawiła filiżankę, obawiając się, że z emocji może ją niechcący stłuc. - Jubilerstwo jest moją nieuleczalną namiętnością. Jest dla mnie całym życiem. Przyjęłabym każdą propozycję pracy w firmie, bo wiem, że i tak awansowałabym szybko. Jednak muszę mieć jakiś punkt wyjścia. Muszę tutaj pracować.

- Musisz?

- To... sprawa osobista - powiedziała, starając się zatuszować żarliwość poprzedniej wypowiedzi. - Bardzo cię proszę, Marcel, jeżeli uważasz, że jestem dobra, nie dyskwalifikuj mnie jeszcze. Pozwól mi pokazać moje prace *monsieur* Iveresowi. Niech on zadecyduje.

- Pokazać jemu? - aż się zająknął ze zdumienia.

Rany boskie, położyłam całą sprawę, pomyślała. Żaden urzędniczym, który pnie się po drabinie służbowej nie lubi, kiedy podważa się jego autorytet, próbując przeskoczyć jego decyzję i dostać wprost do zwierzchnika.

Jednak Marcel rozluźnił się po chwili i obdarzył Pete lekkim, niemniej przyjaznym uśmiechem.

- Muszę się zastanowić - oświadczył. - Zostaw u mnie na razie swoją teczkę. Czy znajdę cię pod jakimś telefonem?

- Dziękuję ci, bardzo ci dziękuję, Marcel. - Na kartce, którą jej podał, pospiesznie skreśliła swój numer domowy.

Wcisnęła mu kartkę do rąk i wstała z fotela.

- Aha, jeszcze jedna sprawa... - Odwróciła się w progu, posyłając mu stukaratomy uśmiech. -... Nie jestem z kamienia. Możesz na mnie mówić Pete.

Ustatnie dwa tygodnie zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Przez chwilę Pete była przekonana, że Marcel załatwi jej audiencję u Claudea Iveresa. Niewątpliwie spodobała mu się. Uważał, że jest atrakcyjna, nazwał ją nawet piękną.

Wyraźnie dobrze jej życzył.

Kolejny dzień mijał jednak bez telefonu i Pete z godziny na godzinę traciła wszelką nadzieję. Chociaż Marcel na ogół

zachowywał się uprzejmie, w głębi duszy musiał ją uznać za

naiwną gęś. Nie wspomniał o niej ani słówkiem Iveresowi. Może jego praca właśnie na tym polegała.

To, że snuła się nieprzytomna po domu, nie uszło uwagi dziadka. Raz czy dwa zagadnął, czy coś jej nie dolega.

Uspokajała go jak mogła, nie podając jednak prawdziwego powodu strapienia. Tego jej tylko brakowało, żeby się dowiedział, że schmie z tęsknoty za Claude em Iveresem.

Jedyną osobą, której odważyła się zwierzyć ze swoich niepokojów, była matka. Podczas sobotnich wizyt ze szczegółami opowiadała jej o swoich zabiegach, a także o młodym Francuzie imieniem Marcel. Matka, jak zawsze, nie odzywała się słowem.

Kiedy w końcu zadzwonił, Pete, słysząc jego imię, uznała, że musiała się przestyszeć. Podejrzenie przerodziło się w pewność, kiedy spytał, czy dysponuje czasem, żeby zjeść tego samego wieczoru kolację w towarzystwie pana Iveresa.

- Kolacja, Marcel, przecież ja się staram o posadę. Co z tym wszystkim kolacja ma wspólnego? - O mały włos byłaby powiedziała, że nie wypada, ale przestraszyła się, że nie dadzą jej innej szansy.

- *Bien sur, mademoiselle* Pete - dobiegł ją głos Marcela. - Chodzi o sprawę twojego zatrudnienia. Ale *monsieur* Iveres należy do ludzi, którzy lubią omawiać te sprawy w przyjemnym otoczeniu, z dala od spraw biurowych i niepokojących telefonów. Pan Iveres zdaje sobie sprawę, że tam, gdzie sprawy dotyczą biżuterii, pośpiech może prowadzić do kosztownych pomyłek.

Kosztownych pomyłek, pomyślała. W rodzaju źle zdiagnozowanego diamentu. Po dziewięciu miesiącach obserwacji kamienia jej dziadek popełnił kosztowny, nieodwracalny błąd.

- Czy *monsieur* Iveres oglądał moją teczkę?

- *Mais out* Był pod wielkim wrażeniem.

- Bardzo się cieszę. Proszę mu powiedzieć, że przyjąłem zaproszenie. Dla omówienia interesów -

dodała pospiesznie.

Z drugiej strony linii dobiegł ją krótki, dobroduszny śmieszek.

- *Très bon* Czy możesz być o ósmej w La Grenouille? Rany boskie, przeraziła się. Czytała o tej restauracji w „Vogue'u” - bywalcy nazywali ją „Bajorem” i zawsze można tam było natknąć się na Jackie O., Henry Kissingera i różne znane

osoby. Co, na Boga, włoży na siebie, idąc do jednej z najdroższych i najszykowniejszych restauracji w Nowym Jorku?

- Naturalnie - odpowiedziała, modląc się, żeby jej głos nie zdradził paniki. - Ósma bardzo mi odpowiada.

Popołudnie spędziła gorączkowo, przerabiając starą suknię wieczorową matki z połyskliwego, szafirowego jedwabiu. Suknia pochodziła z czasów, kiedy jeszcze nie brakowało pieniędzy - sprzed dnia, kiedy Opa rozbił

nieszczęsny diament. Pete wypruła kilka warstw wszywanych haleczek, pogłębiła dekolt i odcięła na dole parę centymetrów spódnicy, przerabiając pas materiału na szarfę. Dzięki tym zabiegom suknia, która w pięćdziesiątym trzecim była szczytem mody, wyglądała nadal nowocześnie i świeżo. Pete czuła, że prosty krój dodaje jej lat, tak że wygląda prawie na swój pozorowany wiek.

- Gdzie to się wybierasz, że aż musisz matce podkradać suknię? - zaciekał się Josef, kiedy na siedząco nakładała staranny makijaż.

- Do La Grenouille, Opa. W związku z posadą.

- Posadą? A któż zabiera ładną kobietę do eleganckiej restauracji po to, żeby ją u siebie zatrudnić? - W jego głosie zadźwięczała nuta podejrzliwości. Nie lubił, kiedy jego rozsądna dziewczynka zachowywała się w niepojęty sposób.

I wcale nie był pewien, czy zachwyca go to, że wygląda tak pięknie i jest tak podniecona. Błękitna suknia podkreślała szafir jej oczu, nadając im głębokiego blasku. Włosy Pete lśniły. Policzki pałały rumieńcem.

Wyraz niepokoju w jego oczach nie uszedł uwagi Pete, kiedy ze srebrną torebką wieczorową matki żeglowała w stronę drzwi. Przystanęła przy dziadku.

- Czy ufasz mi, Opa? - spytała. Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Miłość i zaufanie do ciebie to dwa najcenniejsze klejnoty mojego życia.

- No to się nie martw. - Pocałowała go leciutko w czubek nosa i odplynęła w dal.

To prawda, pomyślał, kiedy zniknęła. Ufał jej bezgranicznie. Ale była tak piękna - piękniejsza nawet od Bettiny - w związku z czym stale się niepokoił.

Była punkt ósma, kiedy Pete wysiadła z taksówki przed La Grenouille. Przez kilka minut kazała taksówkarzowi krążyć po sąsiednich ulicach, żeby nie dojechać za wcześnie. Mimo to, kiedy zaprowadzono ją do stolika, okazało się, że Claude Iveres jeszcze się nie zjawił. Usadowiła się na kanapce pokrytej krwistoczerwonym pluszem i zaczęła rozglądać po sali.

Czytała, że La Grenouille jest jedną z najpiękniejszych restauracji Nowego Jorku; reporterzy nic a nic nie przesadzali. Bładozielone ściany ozdabiały połyskliwe lustra i malowidła kwiatów w pozłacanych ramach. Ciepły, mleczny blask sączący się z kulistych lamp na ścianach wyczarowywał nastrój. No i kwiaty! Pete pochyliła się do przodu, wciągając oszałamiający zapach cudownie dobranych kwiatów, ułożonych w kryształowym wazonie na stoliku. W rogach sali, na postumentach, stały olbrzymie, krzaczaste bukiety. Czuła się jak w ogrodowej oranżerii.

Stolik był zastawiony na dwie osoby piękną porcelanową zastawą i tuzinem mniejszych i większych kryształowych kieliszków. Najbardziej jednak zaintrygowała Pete spoczywająca przy jej nakryciu paczuszka, wykwintnie, opakowana w czarny, połyskliwy papier i przewiązana srebrną i purpurową wstążeczką - kolorami Duforta & Iveresa. Ogarniała ją panika. Już sam pomysł omawiania spraw zawodowych w restauracji wydał jej się nieco podejrzany. Czyżby Claude Iveres zamierzał potraktować ją jadem i klejnotami, by następnie...? Odsunęła paczuszkę, starając się jednocześnie oddalić nieprzystojne myśli. Niemniej.... ciekawa była, jakim mężczyzną okaże się Claude Iveres.

Może powinna raczej wyjść...

- Czego się pani napije, *madame*? - spytał kelner, podchodząc do stolika. - Poczula przyływ podniecenia. Pytanie dowodziło, że kelner uważał ją za co najmniej dwudziestoletnią osobę. Miała ochotę zakosztować poczucia dorosłości. Porzuciła myśli o ucieczce i zamówiła Kir Royale.

Popijała trunek drobnymi łyżkami, rozkoszując się mieszanką słodkiego Cassis z delikatnym wytrawnym szampanem, kiedy przy stoliku wyrósł *maitre d'hotel*. Podniosła głowę i zobaczyła... Marcela. Był jeszcze przystojniejszy niż w jej wspomnieniach i przez chwilę odczuła zadowolenie. Potem ogarnęła ją wściekłość. Oszukał ją. Grając na jej ambicjach i oczekiwaniach, zwabił ją na kolację! Ale po co? Czy nie domyślał się, że tak czy inaczej przyjęłaby jego zaproszenie?

- *Bon soir, mademoiselle* Pete - pozdrowił ją, siadając po drugiej stronie stolika. - *C'est parfait, la table. Mercu Henri*

- zwrócił się do *maitre'a* i dyskretnie wsunął mu banknot do ręki.

- *Merci millefois, monsieur* Iveres. - Henri odmaszerował.

- *Monsieur* Iveres? - zdumiała się Pete. - Przecież mówiłeś...

- Marcel Iveres, do usług - oświadczył, kłaniając się leciutko.

- Przykro mi, Pete, ale byłaś tak przejęta, że nie miałem kiedy ci wytłumaczyć. Claude Iveres to mój ojciec. Obecnie nie rusza się z Paryża, skąd kieruje firmą. Przy ostatnim spotkaniu zlecił mi prowadzenie filii nowojorskiej.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, tylko pozwalałaś robić z siebie idiotkę? - spytała obrażona.

- Bo się bałem - przyznał. - Bałem się, że będziesz na mnie zła za to, że nie dałem ci posady, na której ci tak zależy, w związku z czym ukarzesz mnie odmawiając mi tego, na czym mi tak bardzo zależy.

- A na czym ci aż tak zależało?

- Na tym, żeby cię znowu spotkać.

- No to czemu czekałaś aż dwa tygodnie z telefonem? - Sama była zaskoczona bezceremonialnością swojego, podyktowanego gniewem, pytania. Nie znosiła manewrowania sobą.

- Zostałem wezwany do Paryża zaraz po naszym spotkaniu. Mój ojciec chciał, żebym zdał mu raport z pierwszych wrażeń na temat filii nowojorskiej. Jest niezwykle wymagającym człowiekiem. Wróciłem dopiero dzisiaj rano.

- Czyżbyś miał aż tak wiele pierwszych wrażeń, żeby składać raport przez dwa tygodnie? - spytała cierpko, niepewna, czy ma mu wierzyć.

Zawahał się, a potem pochylił do niej nad stolikiem.

- Tylko jedno, które było dla mnie naprawdę znaczące - przyznał - ale o nim nie pisałem ojcu nawet słówkiem.

Przytrzymał ją wzrokiem, aż poczuła, że policzki zaczynają jej płonąć. Spuściła oczy.

- Zadzwoiłem do ciebie natychmiast po przyjeździe z lotniska - wyjaśnił.

Ponownie podniosła wzrok. Bądź ostrożna, ostrzegała się w duchu, przypatrując się Marcelowi uważnie. Robił

wrażenie prawdziwego światowca... w dodatku był Francuzem. Czy powinna dawać wiarę chociaż jednemu słowu, które padło z jego ust? Był diablo przystojny, w nienagannie skrojonym, czarnym, jedwabnym smokingu. Jego koszula była wręcz oślepiająco biała, a błękitny krawat z szantungu zawiązany w nienaganny węzeł. Miał ciemne, falujące włosy i oczy w kolorze gorzkiej czekolady.

- No więc jestem - oświadczyła w końcu. - Ale w dalszym ciągu interesuje mnie uzyskanie posady w firmie Dufort & Iveres. Mówiłaś, że to będzie kolacja służbowa. Jeżeli nadal zamierzasz mi odmawiać...

- *Certainement, non* W Paryżu wiele myślałem o twojej prośbie. Chociaż w pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że jesteś zbyt młoda na cokolwiek poza pracą w sklepie - i zbyt piękna na to, żeby cię zaraz nie porwał przed ołtarz jeden z bogatych nowojorskich klientów - potem przyszło mi do głowy, że mój sąd mógł być zbyt pochopny. Jak słusznie zwróciłaś uwagę, sam jeszcze jestem młody. Zdecydowałem więc, że należy dać ci szansę.

Powoli jej twarz zaczęła łagodnieć w uśmiechu. Szansa, to było właśnie to, czego potrzebowała. Ale Marcel nie skończył jeszcze.

- Przygotowałem dla ciebie pewien sprawdzian, Pete.

- Sprawdzian?

- To będzie właśnie twoja szansa. Będę się mógł przekonać, czy masz wystarczające doświadczenie, żeby pracować dla mnie. Otwórz tę paczuszkę.

Zaskoczona, sięgnęła po piękny pakuneczek, ten sam, który wcześniej odsunęła. Zupełnie o nim zapomniała.

Rozdarła papier. W środku znajdował się aksamitny woreczek. Obrzuciła Marcela podejrzliwym spojrzeniem, po czym rozwiązała jedwabne tasiemki i wysypała zawartość na stolik. Na śnieżnobiały, lniany obrus, wytoczyło się osiem diamentów. Na pierwszy rzut oka uznała, że każdy z nich musiał mieć po cztery, pięć karatów. Kelner, który właśnie stawiał przy jej miejscu szklanekę wody, zamarł, wpatrując się w kamienie podobne do kryształków lodu.

- Już dobrze, postaw tę wodę i idź - zwrócił się niecierpliwie Marcel do zagapionego kelnera. - I poproś Henriego, żeby nie podawał obiadu, dopóki go nie poproszę.

- Out *monsieur*.

- To właśnie będzie twój sprawdzian, Pete - oświadczył, kiedy znów pozostali sami. - Jeśli go zdasz, otrzymasz szansę startu w naszej firmie. A jeżeli... - Poczęstował ją typowo galijskim wzruszeniem ramion. - Tak, czy owak, musisz mi obiecać, że zostaniesz ze mną i zjesz kolację w moim towarzystwie. I nie będziesz się czuła urażona.

- Uczucia różnią się od klejnotów, Marcel. Nie można ich przycinać według z góry upatrzonych wzorów. Mogę ci jedynie obiecać, że jeśli będziesz ze mną grał uczciwie, ja też będę uczciwa wobec ciebie. Zjem z tobą kolację.

Zapewne w dobrym nastroju, bo raczej zdam twój test - dorzuciła po chwili z uśmiechem.

- Jesteś pewna? Nawet nie wiesz, na czym on polega.

- Jeśli dotyczy diamentów, to myślę, że powinnam go zdać. A jeśli go nie zdam, to będzie znaczyło, że masz rację.

Nie jestem dostatecznie przygotowana... jeszcze.

- Znakomicie.

Odsunął jej talerz na bok i przesunął na to miejsce diamenty.

- Wśród diamentów, które masz przed sobą, znajduje się jeden, jedyny diament klasy river, idealnie

białobłękitny, bez najdrobniejszych zanieczyszczeń. Diament ten został zresztą wyłowiony kilkaset lat temu z nurtów Golkondy.

Dostaliśmy go w zeszłym roku od pewnego maharadży, który znalazł się w tarapatkach finansowych. Pozostałe diamenty są dobre, bardzo dobre nawet, ale żaden z nich nie pochodzi z Golkondy i nie może równać się jakością z tamtym. - Odchylił się wygodnie do tyłu, krzyżując ramiona na piersi. - Jeśli wskażesz mi, który z diamentów jest diamentem rzeczonym, zatrudnię cię.

Wyciągnął z kieszeni lupę z dziesięciokrotnym powiększeniem i poda! Pete. Skinieniem ręki wezwał kelnera, który natychmiast ustawił na stoliku maleńką podświetlarkę Diamondlite, idealnie wyskalowaną na wzmacnianie północnego światła. Z niewzruszoną, zacieklą koncentracją Pete zaczęła studiować kamienie.

Od sąsiednich stolików obrzucano ją zaciekawionymi spojrzeniami. Pete podnosiła do oczu kamień za kamieniem, studiując je w czystym, białym świetle. Ani ona, ani Marcel nie zwracali na nikogo uwagi. On nie mógł oderwać oczu od niej, a dla Pete nie istniało na świecie w tej chwili nic, oprócz diamentów.

Pomóż mi, Opa, modliła się w głębi duszy. Spraw, żebym przypomniała sobie wszystko, czego mnie w życiu nauczyłeś. Godziny przećwiczone przy kamieniach probierczych, dni, kiedy uczyłeś mnie rozróżniać rodzaje inkluzji. Opa, nie zawieź mnie w potrzebie.

To prawda, że każdy z diamentów był w dobrym gatunku, tak, jak powiedział - pierwszej jakości. Jednak... w jednym z nich wypatrzyła bodaj delikatną, żółtawą mgiełkę, w drugim mikroskopijną smugę inkluzji tuż pod taflą. Na kolejnym diamencie szlif wydawał się trochę zbyt nowoczesny. Obejrzała każdy kamień, ale w żadnym nie dopatrzyła się nadzwyczajnego połysku.

- Dajesz słowo, że on tutaj jest? - spytała Marcela.

- Przysięgam na wszystko, że masz przed nosem diament klasy river.

Znów nachyliła się w skupieniu. Kiedy zjawił się kelner, Marcel odesłał go machnięciem ręki. W ten sam sposób od-prawiono sommeliera i Henriego. Przez blisko godzinę Pete studiowała kamień po kamieniu.

Wreszcie uznała, że na sto procent żaden z ośmiu diamentów nie jest diamentem rzeczonym. No - powiedzmy - na dziewięćdziesiąt pięć procent.

Wyjęła lupę i spojrzała Marcelowi prosto w oczy. Czy to możliwe, żeby ją oszukał? Czy tym okrutnym żartem chciał

się wykręcić od zatrudnienia jej?

A może sam padł ofiarą oszustwa? Może ktoś wcisnął mu diament niższej klasy, a on się w tym nie połapał? Albo ona padła ofiarą sprawdzianu, któremu wymagający ojciec Marcela poddał swego syna?

Kiedy jednak zajrzała mu w oczy, rozpoznała jego wrodzoną

prawość z równą jasnością, z jaką rozpoznawała klasę diamentów. Nie był kłamcą - co do tego nie miała wątpliwości. Nie był też naiwny. Podobnie jak ona, wychował się pośród diamentów.

Więc co też takiego powiedział? Że ma diament klasy river przed nosem. Z powrotem spuściła wzrok, patrząc przed siebie. Patrząc na wszystko, co miała przed sobą.

Nagle coś pstryknęło i w jej umyśle zapanowała jasność, jakby ktoś włączył kolejny diamondlite. Z trudem powstrzymała uśmiech na wspomnienie teatralnej scenki, którą odegrali przed nią z kelnerem, kiedy zaczynał się sprawdzian. Wielką łyżką do zupy nabrała wszystkie osiem diamentów i sięgnęła przez stół po szklankę wody, którą Marcel właśnie podnosił do ust.

- Ta woda jest ciut za ciepła - oświadczyła, wsypując diamenty do szklanki. - Przydałoby się jej trochę lodu. -

Podniosła własną szklankę z wodą. - Co ty na to, żebym napiła się z mojej szklanki?

Na chwilę odebrało mu mowę.

- Powiedziałbym, że mogłabyś się nabawić ciężkiej niestrawności - powiedział w końcu.

Ze śmiechem odstawiła szklankę, po czym zanurzyła palce w wodzie i wyłowiła diament z Golkondy.

Na jego twarzy jaśniał podziw równie głęboki, jak połysk diamentu, który spoczął na stole.

- Jakim cudem? Byłem... byłem pewien, że się na tym wyłożysz.

- O mały włos dałabym za wygraną, ale w końcu... znalazłam klucz do twojego sprawdzianu.

- Jaki klucz?

- A to już moja tajemnica - oświadczyła zalotnie. - Przejdźmy jednak do dalszej części naszej umowy. Konam z głodu. Czy w tej knajpie dadzą coś człowiekowi do zjedzenia?

- Myślę, że dałoby się ich namówić, żeby coś... hmm... skombinowali - oświadczył, uśmiechając się, cały w skowronkach.

- Migiem zrobimy z ciebie porządnego Amerykanina. Kto wie, może nawet - nowojorczyka.

Jeszcze raz pokręcił głową z podziwem i uniósł dłoń, wzywając Henriego.

Jedzenie było fantastyczne. Przy *hors d'oeuvres* ze świeżuteńkiej, aksamitnej wątróbki w remoladzie selerowej i szparagów cieniuteńkich jak pałeczki do mieszania koktajli, Marcel zaczął wypytywać Pete o jej pochodzenie, wykształcenie, korzenie fascynacji biżuterią. Zręcznie odsunęła jego pytania, mówiąc, że przede wszystkim chciałaby się czegoś dowiedzieć o nim. Nie trzeba było go dwa razy prosić. Już po chwili snuł przed nią opowieść o tym, jak wzrastał we Francji jako latorośl

zamożnego rodu.

- Nie jesteśmy *nouveau riche* - oświadczył - ale nie zaliczamy się też do *ancien*. Niemniej posiadamy mały *château* w dolinie Loary, a w Paryżu, naturalnie, własny hotel.

- Naturalnie - powtórzyła najobojętniej, jak umiała.

W charakterze dania głównego Marcel polecał żabie udka z czosnkiem i ziołami.

- Nie można w restauracji o nazwie Grenouille nie zjeść chociaż jednej żaby - przekonywał ją, jednak zdecydowała się na solę w sosie musztardowym.

- Podoba ci się w Nowym Jorku? - Zmieniła temat rozmowy.

- Coraz bardziej - oświadczył, patrząc na nią. Jego oczy topniały jak podgrzana czekolada. - Powiedz mi jednak, Pete: jakim cudem znasz się tak świetnie na diamentach?

A więc uporczywie domagał się wyjaśnień. Przecież nie mogła mu powiedzieć prawdy - że jej dziadek był kiedyś szlifierzem u jego ojca, po czym został napiętnowany za błąd, który mógł się przytrafić najlepszemu fachowcowi.

- Moja babka kolekcjonowała klejnoty - powiedziała w końcu. - Przypuszczam, że po niej odziedziczyłam zamiłowanie do kamieni szlachetnych. Wiedzę o kamieniach zdobywałam od dzieciństwa.

- Byłaś samoukiem?

- Od czasu do czasu ktoś mi pomagał.

Przez chwilę wydawało się, że zamierza zadać jej kolejne pytanie, potem jednak skinął głową i ręką przywołał

kelnera, który przyniósł kartę ze spisem deserów.

Kiedy Pete skończyła delektować się puszystością sufletu Grand Marnier, a Marcel uporał się z górą mrożonych kasztanów w bitej śmietanie - poprosił o rachunek.

- Czy lubisz tańczyć, Pete? - spytał. - Moglibyśmy stąd pojechać do...

- Dziękuję za zaproszenie, Marcel - przerwała mu - ale, o ile pamiętasz, mieliśmy się spotkać w interesach. Właśnie załatwiliśmy nasze sprawy. - Przypomniała sobie własne domysły, jak czułaby się tańcząc w jego objęciach. Gdyby zgodziła się zostać w jego towarzystwie, nie uniknęłyby z pewnością dalszych pytań.

- Jak uważasz - powiedział. - Pozwól jednak, że odwiozę cię do domu.

Nie mogła w żaden sposób dopuścić, żeby ten młody, oszałamiający Francuz podwoził ją pod drzwi

odrapanej czynszowej rudery w Przedpieklu, choćby nawet był posiadaczem zaledwie jednego *chateau*. Istniały też inne powody, dla których wołała, żeby nie wiedział o niej zbyt wiele - obawiała się, że pewne fakty mogą niechętnie wyjść na jaw. Tak czy owak, nie zaszkodzi, jeśli będzie się gubił w domysłach. Atmosfera tajemniczości nie zaszkodziła jeszcze nigdy żadnej kobiecie. To jedna z nielicznych nauk, które zawdzięczała matce.

Z Marcela jakby uszło powietrze, kiedy zorientował się, że wieczór nie będzie miał dalszego ciągu. W milczeniu zapłacił rachunek i odprowadził ją do krawężnika.

- Dobranoc, Marcelu - pożegnała go. - To był bardzo miły wieczór-pyszna kolacja i ten... sprawdzian. Dziękuję ci bardzo. Myślę, że nie pożałujesz, że przyjąłeś mnie do firmy.

- Już teraz nie żałuję - powiedział, kłaniając się szarmancko. Pierwsza z rzędu czekających taksówek zajęła pod drzwi

restauracji. Pete ruszyła w jej stronę.

- Chwileczkę - powiedział zniechęca, chwytając ją za rękę. Przez chwilę miała wrażenie, że ją pocałuje. - Muszę wiedzieć, co było kluczem do rozwiązania mojej zagadki?

- Nic specjalnego. Po prostu musiałam ci całkowicie zaufać. Powiedziałeś, że kamień leży przede mną, mam go przed samym nosem. Dopiero, kiedy uwierzyłam, że nie byłbyś zdolny mnie okłamać, rozejrzałam się dokładniej.

Kiedy dotarło do mnie, jak starannie zaaranżowałeś nasz stolik i przypomniałam sobie epizod z kelnerem i szklanką wody, wszystko stało się jasne.

- Więc było to takie łatwe - musiałaś mi tylko zaufać.

- Od tego momentu poszukiwanie stało się łatwe - wyjaśniła, kiedy otwierał przed nią drzwi taksówki. - Samo obdarzenie cię zaufaniem było bardzo trudne - dodała już z samochodu, posyłając mu przeciągłe spojrzenie.

Domknął drzwiczki. Taksówka ruszyła.

Marcel odprowadzał wzrokiem światła oddalającego się wozu, które powoli rozplynęły się w rzece samochodów. Z

trudem pohamował się, żeby nie wskoczyć do następnej taksówki, rzucić szoferowi: „Jedź za nią!” jak Cary Grant w którymś z filmów Hitchcocka. Była cudowna, absolutnie cudowna, ta dziewczyna o włosach połyskliwych jak czern obsydianu i oczach jak najpiękniejsze szafiry, jakie kiedykolwiek przeszły przez ręce jego ojca.

Niestety, był Francuzem, którego obowiązywał nakaz zachowywania arystokratycznej powściągliwości. Wracając do restauracji, zaszedł do budki telefonicznej i zaczął wykręcać numer jednej z wielu modelek, które regularnie wygrzewały mu łóżko.

Zanim uzyskał połączenie - odwiesił słuchawkę. Tej nocy nie chciał spędzać w objęciach kobiet. Wolał zostać sam na sam ze wspomnieniami.

Rozdział jedenasty

Silnik połyskliwego Rolls-Royce'a mrucał cicho jak kot. Za oknem przesuwała się spokojna toń genewskiego Lac Lemana. Sam Marcel Iveres był natomiast niespokojny.

- Wciąż nie pojmuję, po co jedziemy spotkać się z tym człowiekiem, *père*. Sam wiesz, jaki to typ biznesmena. Wielokrotnie słyszałem o nim, że nie jest człowiekiem naszego pokroju.

- Ponieważ chce usłyszeć, co ma do powiedzenia. - Claude Iveres oparł się wygodnie na pokrytym granatową skórą miękkim siedzeniu. - Twierdzi, że ma dla nas jakąś propozycję.

- Czy propozycja dotyczy filii nowojorskiej? Jeżeli nie, to nie widzę powodu, dla którego musiałem przylecieć do Genewy po to tylko, żeby spotkać się z kimś, z kim nie mam żadnych wspólnych interesów.

Minęło dopiero kilka tygodni od chwili, kiedy Marcel przyjął zarząd nad nowojorskim sklepem firmowym Duforta

& Iveresa - dotąd jeszcze nie poczuł się pewnie w swojej nowej roli. Wciąż nie mógł się nadziwić nagłej decyzji awansowania go na dyrektora filii. Miał raptem dwadzieścia sześć lat. Jeszcze poprzedniego dnia jeździł na nartach w Chamonix, a już nazajutrz ojciec kazał mu wsiąść w samolot do Nowego Jorku i prowadzić interesy firmy.

Teraz, równie nieoczekiwanie, został wezwany do Genewy.

- *Père...*

- Marcelu - oświadczył ojciec - jeżeli chcesz odnieść sukces * w naszej branży, która rządzi się specyficznymi prawami,

musisz nauczyć się cierpliwości. Pozory często mylą. Na razie powinieneś spokojnie siedzieć i słuchać, czekając, aż się nauczysz, co jest czym.

Boże święty, nienawidził chwil kiedy ojciec częstował go zagadkami, co właśnie ostatnio stale robił. Równie zagadkowe były jego ostatnie posunięcia.

Marcel nie miał ochoty myśleć o tym w tej chwili. Miał ochotę rozmyślać wyłącznie o Pete D'Angeli, młodej kobiecie, którą ostatnio zatrudnił w oddziale nowojorskim. Nie wiedział, jak długo zabawi w jego firmie, ale miał

nadzieję, że nie odejdzie zbyt szybko. Intrygowała go ta piękna, młoda Amerykanka, o chłopięcym imieniu, która spokojnie mogła się z nim równać w znajomości diamentów. Chciał poznać ją lepiej - o wiele lepiej.

Zadzwoń do niej, jak tylko przyjedzie do Nowego Jorku. Może znów zaprosi ją na kolację... na przykład do Lutece.

Rolls wjechał na rue du Rhone, najelegantszą ulicę handlową Genewy, i zatrzymał się przed najnowszym i najbardziej wystawnym sklepem na całej ulicy. Tesori - głosił ozdobny napis nad drzwiami. Kiedy wysiedli z samochodu, Marcel obrzucił ojca spojrzeniem, w którym czułość mieszała się z rozgoryczeniem. Stał przy nim mężczyzna w nienagannym stroju, o starannej fryzurze i wymanicurowanych dłoniach, mężczyzna spowity nimbem zamożności i pewności siebie.

Przeładowane bogactwo Tesori skrajnie kontrastowało z dyskretną elegancją sklepów Duforta & Iveresa, gdzie kilka sztuk wykwintnej biżuterii eksponowano na czarnym aksamicie

- w razie czego przynosząc inne egzemplarze z zaplecza. Tutaj spiętrzona biżuteria wisiała i leżała w każdym wolnym miejscu

- z małych, bezlistnych gałązek zwisały diamenty, w kryształowych misach piętrzyły się rubiny, na ladach, w węzowych zwojach połyskiwały sznury pereł.

Biżuteria w charakterze dekoracji teatralnej, zakpił w duchu Marcel.

W progu sklepu przywitał ich sam właściciel, Antonio Scappa, w perłowszarym garniturze, którego doskonały krój redukował tuszę właściciela do minimum, maksymalnie też podnosząc jego autorytet.

- Witam szanownych panów! - Powitał obydwu serdecznym

uściskiem ręki. - Witam w Tesori. Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł pokazać panom, czegośmy dokonali.

Jestem pewien, że znajdziecie się pod wrażeniem.

- Właśnie dlatego jesteśmy tutaj - oświadczył Claude Iveres z godnością.

Scappa miał słuszne powody do dumy ze swojego imperium. Mosiądz i pokryty siatką złotych żyłek marmur, czerwone pluszowe dywany i lustra stanowiły luksusową oprawę dla złota, diamentów i pereł. Setki ludzi trudziły się gorączkowo, wyrabiając i sprzedając biżuterię, jednym słowem - pomnażając majątek *signora* Scappy. Sklep był

wielki, wystawny, a przede wszystkim miał wysokie obroty. A to nie było jakiś argument, przyznał w duchu Marcel.

Oprowadzono ich po całym sklepie - zwiedzali pomieszczenia handlowe, pracownie jubilerów i pracownie projektantów, prywatne gabinety. Właśnie kiedy wychodzili z pracowni projektów, zastąpiła im drogę młoda, wysoka kobieta, o bujnych kształtach opiętych suknią z przeraźliwie czerwonego dżerseju.

Mon dieu, zachłysnął się w duchu Marcel, chłonąc ją wzrokiem. Cudowna, podsumował w myślach. Każde inne słowo byłoby tutaj nie na miejscu. Gęsta kaskada miodowozłotych włosów, bure oczy

kotki pod ciemnymi łukami brwi, których mogła jej pozazdrościć Sophia Loren. Wszystko w dziewczynie - suknia, włosy, a zwłaszcza szelmowski błysk bursztynowych oczu działało na Marcela podniecająco.

- O, Andrea - powitał nadchodzącą Antonio. - Pozwolą panowie, że przedstawię im moją córkę, Andreeę.

- *Enchente, mademoiselle* - oświadczył po kolei każdy z mężczyzn. Claude wypowiedział te słowa z dostojnym wdziękiem, w głosie Marcela natomiast zadźwięczał ton swawolnego chłopca, który lada chwila wytnie psikusa. -

Tres *enchente* - powtórzył Marcel, całując jej dłoń.

Odpowiedziała mu co najmniej tak samo swawolnym spojrzeniem, w którym wyczytał jednak coś więcej niż tylko zaproszenie do flirtu. Wyraźnie czegoś od niego chciała - nie był pewien, czy w grę wchodził jego seks i urok, czy jakieś inne poważniejsze atrybuty. Niezmiernie interesujące. Zbada dokładnie, o co chodzi Andrei. Sam nie miał

najmniejszych

wątpliwości, jakie zamiary żywi wobec niej. Miał ochotę zerwać ją jak dojrzałą brzoskwinę i *wgryźć* się w jej *mięsz*, *aż* soki zaczną kapać po brodzie.

- Andreeo, proszę, przynieś nam kawę do gabinetu - zwrócił się Scappa do córki.

- Tak jest, tato - odpowiedziała i odplynęła, kołysząc zachwycająco kształtnym tyłeczkiem, obciążonym czerwonym dżersejem.

W gabinecie o lustrzanych ścianach Scappa wskazał obu Iveresom miejsce na olbrzymiej, chesterfieldzkiej sofie w kolorze starego wina.

Sam rozsiadł się za biurkiem, opierając ręce o poręcze krzesła. Mocno zaparty stopami w podłogę, szacował gości wzrokiem. Grube wargi uniosły się w zadowolonym uśmiešku.

- No cóż, panowie, jak sami widzicie, Tesori urosła w siłę, z którą należy się liczyć w jubilerskim świecie.

- Bez wątpienia - potaknął Claude.

- Oczywiście, należy do innej kategorii niż Dufort & Iveres.

- Z tym też się zgodzę - oświadczył Claude.

Scappa spojrział spode łba, zanim jednak zdążył coś powiedzieć, do gabinetu wkroczyła Andrea, niosąc na tacy masywną, srebrną zastawę.

Z uśmiechem równie zachęcającym, jak cała jej osoba, nalala kawy, a następnie skierowała się w

stronę fotela. Nie usiadła jednak, tylko zwróciła się do ojca z nieomal błagalnym wyrazem twarzy.

Antonio odpowiedział surowym spojrzeniem, po czym przeniósł wzrok kolejno na Claude'a i na Marcela Iveresów.

Marcel, zawstydził się nagle. Nie da się ukryć, że wgapił się w córkę Scappy, śliniąc bezwstydnie. Postanowił

odegrać scenkę pod tytułem: picie kawy, lecz jego nabożne wysiłki zostały nagrodzone oparzeniem języka.

- Ojczyce...?

- Możesz zostać, Andreo - oświadczył Scappa, nie spuszczać wzroku z Marcela. - Być może zechcesz coś dorzucić do naszej rozmowy. - Marcel wyczuł w jego głosie więcej groźby niż zachęty. Ojciec dawał po cichu córce do zrozumienia, że ma siedzieć cicho i ładnie wyglądać. Ona sama wydawała się zaskoczona jego pozwoleniem. Było coś w ich wzajemnych stosunkach - jakby to powiedzieli w Nowym Jorku - „nie całkiem koszerne”? Bardziej sprawiali wrażenie rywali niż ojca i córki.

- Panowie - zaczął Scappa - dla firmy Tesori przyszedł czas wyjścia poza dotychczasowy rynek szwajcarski i niemiecki. Zamierzamy sięgnąć dalej po pieniądze, które tylko czekają na to, żeby ich właściciele wydali je na ozdabianie własnego ciała. Właśnie dlatego pragnę zakupić Duforta & Iveresa.

Marcel przeżył szok. W jednej chwili zapomniał o obecności Andrei w gabinecie. Wiedział, że ojciec nie ma najmniejszego zamiaru - że ojcu nigdy nie przeszłoby przez myśl sprzedać firmę, a już na pewno nie człowiekowi równie pozbawionemu smaku i manier co Scappa.

Ale Claude nie zareagował w żaden sposób na bulwersującą propozycję, a Scappa ciągnął dalej, jakby cała rozmowa była wyłącznie formalnością.

- Szczerze mówiąc, panowie, potrzebuję dokładnie tego, co macie. Potrzebuję doskonale zorganizowanych rynków zbytu w Rzymie, Paryżu, Nowym Jorku, potrzebuję związanej z waszą firmą etykiety, tradycji i jakości. Wy zaś, panowie, potrzebujecie dla waszej firmy nabywcy.

- Co każe panu myśleć... - zaczął Marcel, ale ojciec powstrzymał go spojrzeniem i ruchem dłoni.

- Wszyscy wiemy, jak trudno w naszej branży o zachowanie tajemnic - ciągnął Scappa. - Powiedziałbym, że graniczy to z cudem. Plotki, szeptane pokątnie pogłoski, rozprzestrzeniają się z lawinową prędkością. Niestety, wysoki zazwyczaj standard całej sieci sklepów Duforta & Iveresa, obniżył się. Obniżył się nieznacznie, ale wystarczająco, żeby spędzać panu sen z powiek, panie Iveres. Obniżył się też wskaźnik sprzedaży. W naszej branży, w której obowiązują kosztowne inwentaryzacje, jest to z pewnością jakiś problem.

- Miewaliśmy trudne okresy w przeszłości - oświadczył Claude - i zawsze jakoś udało się nam wyjść obronną ręką.

- Obroną - to mało powiedziane. Udawało się wam pomnażać majątek w sytuacjach, kiedy inne firmy plajtowały.

Jednak tym razem odbieramy dodatkowe, niepokojące sygnały.

Udzielił pan synowi całkowitego pełnomocnictwa na wszelkie poczynania lukratywnej filii w Nowym Jorku, mimo że ma zaledwie dwadzieścia sześć lat i stosunkowo niewiele doświadczeń.

Po raz pierwszy do rozmowy włączyła się Andrea. Mówiła niskim, ochrypłym głosem. Jakby wyszła prosto spod kołdry, skomentował w duchu Marcel.

- Ojczy, jestem pewna, że *monsieur* Marcelowi powierzono w tak młodym wieku kierownictwo nowojorskiego oddziału ze względu na jego niewątpliwe zdolności. - Zwracała się wprawdzie do ojca, ale nie spuszczała oczu z Marcela, a jej spojrzenie mówiło o wiele więcej niż usta.

- Nie wątpię w to - powiedział Scappa, patrząc karcąco na córkę. Wydawał się zaskoczony faktem, że w ogóle ośmieliła się zabrać głos.

- O ile wiem, *monsieur* - zwrócił się do Claude'a Iveresa, wyraźnie zmieniając strategię - nie jest to państwa pierwsza wizyta w Szwajcarii w tym roku. Słyszałem, że ostatnio korzystał pan z wyśmienitych usług kliniki Gervais w Davos, która słynie z niezrównanego podejścia do nieuleczalnych postaci raka. Czy się mylę? - Claude nie odpowiadał. Odchylił głowę i czekał.

- Ojczy, co on... - zaczął Marcel, ale kolejny raz ojciec powstrzymał go.

- *Silence, monfils* - oświadczył spokojnie, ale obrzucił Marcela karcącym spojrzeniem.

- To wszystko zresztą widać gołym okiem - ciągnął Scappa. Wielu ludzi z naszego światka przypisuje wielki sukces Duforta & Iveresa pańskiemu aktywnemu, osobistemu zarządzaniu, wymagającemu stałego przerzucania się z filii do filii. Zauważono jednak, że ostatnio podróżuje pan niewiele. Krótko mówiąc, *monsieur*, panuje powszechna opinia, że jest pan chory i że sposobi pan syna do przejęcia firmy, ale może panu zabraknąć czasu. Wydaje mi się, że nadeszła stosowna chwila do podjęcia korzystnej dla obu stron decyzji.

Marcel zerwał się z fotela i nachylił nad czarnym, połyskliwym biurkiem Scappy.

- Chyba pan upadł na głowę, sądząc, że mój ojciec jest chory! Albo przypuszczając, że przyjmie tego rodzaju ofertę od pana!

- Marcel! - wykrzyknął Claude.

Na Scappie oba wybuchy nie zrobiły najmniejszego wrażenia. Oparł się tylko mocniej o biurko. Wyglądał jak uosobienie ambicji i pewności siebie.

- Za wyłączną własność firmy Dufort & Iveres gotów jestem zapłacić... Tu padła wielomilionowa suma, zakrawająca na fortunę nawet w oczach najbogatszych. Marcel aż się zachłysnął, słysząc

wysokość kwoty. Przeniósł wzrok na Andreę i zobaczył w jej oczach wyraźny błysk. Błysk triumfu? Błysk gniewu? A może - ostrzeżenie? - Nie mam także nic przeciwko temu, a nawet bardzo chętnie będę widział pańskiego syna na stanowisku szefa filii nowojorskiej. Nie byłem nigdy w Stanach i nie odczuwam najmniejszej potrzeby podróży w tamte strony. Nie rozumiem Amerykanów. Zresztą, nie od rzeczy byłoby pokazać ludziom, że w całym przedsięwzięciu nadal bierze udział któryś z Iveresów. Musi pan przyznać, *monsieur*, że moja propozycja jest bardzo uczciwa.

Wreszcie przyszła chwila, kiedy głos zabrać miał Claude Iveres. Podeszedł do okna i przez chwilę patrzył na uroczą taflę Lac Lemana. Poranna mgiełka, która tak często spowijała Genewę, rozwiała się i jezioro skrzyło się w blasku południowego słońca.

- Nie myli się pan, *signor* Scappa - oświadczył z cichą godnością. - Umieram.

- Ojczy, nie! - wykrzyknął Marcel. Claude odwrócił się i spojrzał na syna. Na tle połyskliwej tafli jeziora i rozświetlonego nieba jego twarz wydała się szara i znużona.

- Przykro mi, Marcelu, że dowiadujesz się o wszystkim w takich okolicznościach, ale to prawda. Mam rzadko spotykaną odmianę raka krwi. Lekarze twierdzą, że nie ma dla mnie ratunku. - Odwrócił się do Scappy. - Prawdą jest również, że firma ucierpiała wskutek mojej choroby i że niekorzystnie obniżył się poziom zbytu. Spieszę się, jak mogę, żeby przysposobić syna do przejęcia firmy, zanim odejdę na zawsze. Nie zaprzeczam żadnej z cytowanych pogłosek. Przybyłem na dzisiejsze spotkanie, zdając sobie sprawę, że nie wolno mi lekceważyć poważnej propozycji.

- Znakomicie - pochwalił Scappa, podnosząc się z krzesła.

- Jednakże - ciągnął Claude - po zapoznaniu się z pańską firmą, nie wyobrażam sobie, żeby Tesori stanowił dobraną parę z Dufortem & Iveresem.

- Dobraną parę? Ależ...

- Nasze style, *signore*, a nawet motywacje zawodowe każdego z nas, różnią się diametralnie. Pański styl wyraźnie pracuje na pana, co był pan łaskaw nam dzisiaj zademonstrować. Nie sądzę, żeby model Tesori był odpowiedni dla nas. Obawiam się, że musimy odrzucić pańską wielkoduszną propozycję. - Sztywnym krokiem zbliżył się do syna i wyciągnął rękę do Scappy. - Przykro mi, *signore*, że tracił pan dla nas swój drogocenny czas. *Mademoiselle* - zwrócił

się z lekkim ukłonem do Andrei. Z jej oczu znikł tajemniczy błysk, a jego miejsce zajął wyraz rozczarowania, a może wręcz współczucia i żalu. Marcel nie potrafił połapać się w jej twarzy, zresztą chwilowo był zbyt zszokowany, żeby poświęcać jej zbyt wiele uwagi.

- Popelnia pan błąd, *monsieur*- odezwał się Scappa. - Z pańskim udziałem czy bez Tesori będzie się nadal rozrastać.

Jeżeli nie przyłączycie się do nas w porę, możecie zostać przez naszą firmę zepchnięci z rynku.

- Całkiem możliwe - przytaknął Claude. - Będziemy musieli podjąć to ryzyko. Do widzenia. - Wyszedł, a w ślad za nim ruszył Marcel.

W pół godziny później obaj Iveresowie siedząc na słonecznym, wychodzącym na jezioro tarasie Perle du Lac bez apetytu skubali lunch, złożony z *fondue savoyarde*, świeżo wyłowionego okonia i alpejskich jagód. Całość popijali Fendant, cierpkim, wytrawnym, białym winem z kantonu Valais. Ledwie czuli, co piją. Słońce lśniło na dalekich, ośnieżonych szczytach Mont Blanc i Aiguille du Midi. Jet d'Eau wyrzucał perliście spienioną fontannę wody na wysokość stu metrów ponad poziom spokojnej tafli jeziora.

Przez chwilę odwlekali rozmowę na jedyny interesujący obydwu temat. Szok był zbyt świeży.

Wreszcie, pijąc kawę, Marcel podniósł wzrok na ojca.

- Powinieneś być mi powiedzieć. - Bez końca mieszał cukier w filiżance.

- Pewnie tak - zgodził się Claude.

- Ile... ile to potrwa? - potykał się na każdym słowie.

- Mówią, że rok. A może mniej.

- *Mon dieu*. - Marcel zadrżał. Przenikał go lęk przed wszechwładnym ojcem, ale jeszcze bardziej darzył go miłością.

W duszy Marcela kłębiły się żal i gniew, podobne sprężanym wodom jeziora, które eksplodowały w postaci podniebego Jet d'Eau. - Przez cały czas utrzymywałeś mnie w przekonaniu, że powierzyłeś mi kierownictwo filii nowojorskiej dlatego, że masz wysokie mniemanie o moich umiejętnościach.

- Bo tak jest.

- Ale nie zrobiłbyś tego tak wcześnie, gdybyś nie był chory, prawda?

- Możliwe. Zauważ jednak, że odrzuciłem propozycję Scappy. Nie zrobiłbym tego, gdybym nie uważał, że będziesz zdolny mnie zastąpić, kiedy przyjdzie czas. Czy może odrzuciłem jego ofertę zbyt pochopnie?

Marcel zapatrzył się w stalowobłękitne wody jeziora. Czapla zerwała się do lotu, trzepocząc niezdarnie szerokimi skrzydłami, dopóki nie uniosła się do góry na tyle, żeby poszybować w powietrzu jak biała chmura.

- Nie wiem! - wykrzyknął. Tak bardzo cieszył się z wyjazdu do Nowego Jorku, podniecony zasięgiem nowych obowiązków, dumny z zaufania, jakim obdarzył go ojciec. Jednak, musiał to przyznać, często czuł się sfrustrowany własnym brakiem doświadczenia i przygnieciony służbową odpowiedzialnością. Często marzył o tym, żeby mieć więcej czasu na rozrywkę, na poznawanie życia, korzystanie z przywileju, że się jest zamożnym, przystojnym dwudziestosześcioletkiem.

Głos ojca wdarł się w jego myśli jak ostrze noża.

- Czy dasz sobie radę, synu? Czy będziesz w stanie przejąć zarządzanie całą firmą w ciągu niespełna roku? Przykro mi, że cię zmuszam do podjęcia tej decyzji, ale jeżeli czujesz, że nie podołasz odpowiedzialności, że nie chcesz ponosić aż takich ciężarów, musisz mi to powiedzieć teraz. Zaczniemy się oglądać za inną okazję, równie korzystną, jak oferta Scappa.

- Po co tyle zachodu? - spytał Marcel. - Dlaczego zwyczajnie nie przyjąć jego propozycji?

Claude potrząsnął głową.

- Czar klejnotów - ich sekret, który wzbudza fascynację w nas, śmiertelnikach - polega na tym, że ta twarda, niezniszczalna materia w tajemniczy sposób obdarzona jest życiem, które w sercu klejnotów pulsuje ogniem i barwą. Scappa jest zaprzeczeniem tego wszystkiego. Choćby nawet z wierzchu wydawał się żywy, w sercu jest zimny i pozbawiony życia jak gład. Nie zniósłbym, gdyby człowiek tego pokroju położył rękę na czymś, co tworzyłem przez całe życie.

- Ależ, ojcze, Scappa jest przecież legendą w tej branży. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby ktoś tak szybko zaszedł tak wysoko. Kto wie, czy nie ma racji, przewidując, że Tesori zepchnie nas z rynku. Popatrz, do czego doszedł w ciągu zaledwie dwudziestu dwu lat.

- Być może, ale nie doszedł do tego, żeby zasługiwać na Duforta & Iveresa.

Ostatni klient już wyszedł, wielkie, stalowe odrzwia zatrzasnęły się nad głównym wejściem do Tesori. Antonio Scappa siedział przy masywnym, czarnym biurku, kreśląc bezmyślnie esy-floresy na kartce notatnika. Z

olbrzymiego okna za jego plecami rozciągał się wspaniały widok na jezioro, które w świetle zapadającej nocy nabrało ceglastej barwy.

Był wściekły. Liczył na to, że Iveres przyjmie jego propozycje z pocałowaniem ręki. Bóg wie, ile czasu i pieniędzy zużył na to, żeby wyszukać słabe punkty Iveresa, dzięki którym tamten byłby skłonny przyjąć jego warunki.

Tesori potrzebowała mariażu ze starą firmą o dobrych tradycjach, w rodzaju Duforta & Iveresa. Od chwili założenia firmy Scappa radził sobie nad wyraz dobrze. Zbudował swoje imperium z energią właściwą odradzającej się z gruzów Europy, dzięki przebojowości i nowatorstwu, nie wzdragając się przed sprzedażą seryjną, sprzedażą hurtową i nowoczesnymi technikami marketingowymi. Skupował stare kolekcje wszędzie tam, gdzie wysadzone z siodła elity zaczynały potrzebować gotówki - na przykład w Indiach, w których zakupił dziesiątki drogocennych klejnotów od wywłaszczonych maharadzów. Czasami sprzedawał kamienie w takiej postaci, w jakiej je kupił, kiedy indziej kazał je przeszlifować dla podniesienia wartości.

To wszystko jednak nie wystarczało teraz, w sytuacji, kiedy na świecie pojawiło się tyle nowych pieniędzy, wielkich pieniędzy, a w nadchodzącym dziesięcioleciu miało się ich pojawić jeszcze więcej. Czuł to w kościach i pragnął

skorzystać z chwili...

Po dzisiejszym spotkaniu wiedział już, że nie ma szans dokonać tego do spółki z Dufortem & Iveresem. Na tyle dobrze znał się na ludziach, by orientować się, że odmowa Claudea jest nieodwołalna. Niech go szlag trafi, myślał, przyciskając ołówek do papieru tak mocno, aż pękł grafit.

Do gabinetu ojca wkroczyła Andrea.

- I jak? - spytała. - Co teraz?

- Nic - padła szorstka odpowiedź. - Nie mogę ich zmusić do sprzedaży firmy.

- Rzeczywiście, chyba nie możesz. Bardzo mi przykro. - Nie wiedział nawet, jak szczerze są jej słowa. Chociaż ludzie zauważali i zapamiętywali w Andrei przede wszystkim jej wygląd, była ambitna i inteligentna, miała wrodzoną żyłkę do biznesu i talent do wszystkiego, co wiązało się z obrotem kamieniami. Zdawała sobie sprawę, że gdyby tylko ojciec zechciał dać jej szansę, mogłaby być niezwykle pomocna w interesach. Rzecz w tym, że Scappa nie widział

dla niej miejsca w firmie. Kiedy, nieczęsto, pozwalał jej uczestniczyć w rozmowach służbowych, z pełną premedytacją wykorzystywał ją w charakterze czysto dekoracyjnej przynęty. Teraz też zawczasu kazał jej włożyć czerwoną suknię, informując o zyskach, jakie mogą odnieść, jeżeli oczaruje Marcela Iveresa. Scappa zgadzał się doceniać jej talenty tylko w jednej dziedzinie.

Nigdy nie powierzał Andrei żadnych zadań, które stanowiłyby jakiegokolwiek wyzwanie dla jej inteligencji i zdolności.

- Jeżeli chcesz mi pomóc, wyjdź za mąż za któregoś z tych bogatych facetów, którzy wywracają za tobą oczami - odpowiadał nieodmiennie, kiedy narzekała. - Staniesz się wtedy ulubioną klientką mojej firmy, a ja będę miał zawsze pod ręką bankiera, który mi podżyruje pożyczkę.

Gorzej, na wszelkie sposoby zachęcał jej brata, Franca, do zainteresowania się sprawami firmy, zlecając mu zadania, o które daremnie dopominała się Andrea. A Franco, obdarzony przez Boga nieodpartym urokiem, bimbał sobie z propozycji ojca. W wieku dwudziestu jeden lat marzyła mu się kariera międzynarodowego playboya i gracza w polo.

Andrea nachyliła się nad błyszczącym biurkiem ojca. Jej oczy również błyszczały.

- Po co ci oni, tato? Razem rozwiniemy Tesori w najlepiej prosperującą sieć sklepów jubilerskich na świecie.

Dlaczego nie chcesz pozwolić, żebym ci pomagała? Potrafię ci pomóc. Ja...

- Dosyć, Andreo - osadził ją. - W biznesie nie ma miejsca dla kobiet, nawet takich jak ty. To nie jest zajęcie dla ciebie. Kiedy przyjdzie czas, że będę musiał przekazać komuś firmę, Franco na pewno dorośnie do tego. Dopilnuję, żeby dorósł. A teraz idź, zabierz tę oszalamiającą sukienkę gdzieś, gdzie będzie pracować na nas. W moim gabinecie się marnuje.

Zacisnęła szczęki z gniewu.

- Obyś nie doczekał dnia - oświadczyła głosem drżącym z hamowanej wściekłości - kiedy zabiorę moje piękne sukienki, a także mój niezrównany urok, inteligencję i talent, i wykorzystam je we własnej firmie, tylko po to, żeby ci pokazać jak to się robi. I dam ci tak popalić, że będziesz szlochał jak bóbr, że mnie nie zatrudniłeś u siebie.

Liczyła na to, że po zakupie Duforta & Iveresa Tesori zacznie rozrastać się tak szybko, że ojciec będzie ją musiał

jakoś wykorzystać. Ale do tej fuzji nie miało dojść.

Zawsze jednak mogła spróbować innego sposobu...

Marcel spał. Śnił mu się zagmatwany sen, w którym Pete D'Angeli naga jak Lady Godiva przejeżdża na obsypanym diamentami koniu obok nadmorskiej skały, z której właśnie rzucił się jego ojciec. Marcel usiłował go złapać, ale przewrócił się, wpadając pod kopyta wierzchowca Pete. Koń zarżał i stanął dęba. Jednocześnie odezwał się telefon, bezlitośnie wyrwijając Marcela ze snu.

- Oui - wymamrotał do słuchawki.

- Mam nadzieję, że pana nie budzę, *monsieur* Iveres - odezwał się kobiecy głos.

- *Non* - wymamrotał, usiłując dobudzić się na tyle, żeby zidentyfikować głos, który z pewnością słyszał bardzo niedawno.

Zaśmiała się, a jego przeszedł dreszcz. Teraz już wiedział, z kim ma do czynienia.

- *Mademoiselle* Scappa - powiedział, siląc się na naturalny ton.

- Zbudziłam pana, nieprawdaż? Bardzo mi przykro. Muszę jednak omówić z panem bardzo ważną sprawę. Mam pewną propozycję dla pana.

Był teraz w pełni rozbudzony. Usiadł na brzegu łóżka, opierając na podłodze mocne, bosc stopy. Propozycję? On też miał dla niej propozycje, kiedy tylko ją zobaczył.

- Zawsze jestem otwarty na propozycje ze strony pięknych kobiet.

- Tak też sobie myślałam. Powiedzmy za piętnaście minut w barku na dole?

- Powiedzmy - za dziesięć minut.

Usłyszał cichy szcęk odkładanej słuchawki.

Zagłębiona w czarnym pluszowym fotelu wydała się nadchodzącemu od windy Marcelowi wielkim klejnotem, eksponowanym w gigantycznej szkatule. Z oszałamiającej czerwonej sukienki przebrała się w kreację skromniejszą, niemniej równie ponętną. Prawdę mówiąc, w miękkich fałdach brzoskwiniowego jedwabiu - identycznego w odcieniu z kolorem jej skóry - wyglądała jeszcze bardziej uroczo. Pragnała jej gwałtowniej niż przedtem.

Wstała na przywitanie, jedną ręką leciutko dotykając jego policzka w geście dziwnie intymnym.

- Nie mam ochoty nic pić, a ty? Najchętniej przeszląbym się, aby zażyć chłodu nocy.

Uśmiechnął się uśmiechem, od którego setce kobiet pękłoby serce.

- Kiedy człowiek ma do czynienia z kobietą równie piękną jak ty, bezwzględnie musi ochłonać. - Ujął jej dłoń, oparł

na zgiętej ręce i ruszył do drzwi wejściowych.

Chłód nie był zbyt dotkliwy, ale Andrea nie miała żadnego okrycia. zaproponował jej swoją marynarkę - jednak pokręciła głową.

- Nie trzeba. Uwielbiam to uczucie - wyjaśniła. - Uwielbiam

czuć na skórze chłód nocy. - Zwróciła twarz pod lekki wietrzyk, wiejący od strony jeziora. Jej włosy zaczęły falować.

Szli przez parę minut w milczeniu. Czuli się bardzo swobodnie, co jakoś ich nie dziwiło. Uszli nie więcej niż sto metrów, kiedy znaleźli się na przystani, skąd właśnie odbijał parowiec na nocny rejs.

- Mówiłaś, że masz dla mnie propozycję - odezwał się Marcel. - Zawsze uważałem, że propozycje lepiej omawia się na wodzie, a ty?

- Wiele rzeczy lepiej robi się na wodzie - zgodziła się. Wkroczyli na trap.

Kiedy światła Genewy zaczęły oddalać się od parowca, ruszyli na zwiedzanie pokładu. Znaleźli stolik, przy którym zjedli po tuzinie ostryg na głowę, splukując ucztę szampanem. Pod daszkiem niewielka orkiestra grała do tańca powolnie i erotycznie - tak jak się tańczy na nastrojowym rejsie o północy.

Kiedy znaleźli się na parkiecie, a Marcel przyciągnął Andreę do siebie, był półprzytomny z pożądania. Miażdżąc ją w objęciach, poczuł wyraźnie, że Andrea nie ma stanika. Bujne piersi przeżyły się lekko w zetknięciu z jego ciałem w takt rytmu kolejnych melodii. Nie byli już w stanie oderwać się od siebie.

Nie odzywali się wcale. Ich milczenie samo w sobie stanowiło element gry wstępnej, pozwalało lepiej wyczuć wzajemne pożądanie. Marcel ani przez chwilę nie wątpił, że Andrea przychodzi do niego w innej sprawie niż seks, i że sprawę tę prędzej czy później wyniszczy.

Zostawiali to jednak na deser.

Kiedy parowiec dopłynął wreszcie do przystani, pierwsi zbiegli z trapu. Rzucili się pędem przez molo. Andrea potykała się w sandałkach na wysokim obcasie, więc Marcel prawie niósł ją na rękach. Miał wrażenie, że od hotelu dzielą go całe kilometry. Hall hotelowy wydał mu się olbrzymi jak boisko, a ich bieg - pełzaniem.

Wreszcie dopadli windy. Drzwi zasunęły się same.

- Błogosławione windy automatyczne - powiedział Marcel i były to jego ostatnie słowa. Wczepił się w Andree rękami i ustami, wsysał jej wargi w swoje usta, jego dłonie błędziły gorączkowo po bujnych kształtach, okrytych brzoskwiniowym

jedwabiem. Przesunął ręką po udzie obleczonym jedwabną pończochą, aż dotarł do granicy nagiego ciała, na której się nie zatrzymał. I wtedy dokonał odkrycia.

Jęknął. Pod podwiązką nie miała majtek, a sprężyste włosy ociekały wilgocią jak dojrzała brzoskwinia. Poruszył

dłonią między jej nogami i owoc stał się jeszcze soczystszy.

- Nie mogłam się doczekać, kiedy mnie dotkniesz - wyszeptała.

- Dotknę cię - oświadczył, natychmiast wcielając swoją obietnicę w czyn. - Dotknę cię wszędzie, gdzie tylko zechcesz.

Jego pokój był na najwyższym piętrze. Poczul, że nie wytrzyma tak długo. Przycisnął guzik awaryjny. Winda z gwałtownym szarpnięciem zahamowała między piętrami. Docisnął Andree do ściany, miażdżąc w przyływie wściekłego pożądania.

Andrea pożałowała go równie namiętnie, równie gwałtownie. Gorączkowo manipulowała przy zamku rozporka. Kiedy wreszcie dopięła swego, ściągnęła w dół gumę slipek i wielki, czerwony, uskrzydłony pożądaniem ptak Marcela wyfrunął na wolność.

Zadarł jej spódnicę, odsłaniając jasne, zlepione wilgocią kędziory. Złapał ją za biodra i wygiął w mostek.

Rozchylona, rozwarta, wabiła go i wzywała.

- Teraz! - zażądała. - Chcę teraz!

Końcem penisa przytknął się do jej wrót. Zamarł na jedną, zapierającą dech w piersiach chwilę, po czym pchnął. Ich ciała rozpoczęły wściekły taniec, trąc się jak żarna, zderzając z rozpędu. Winda zaczęło rzucać, jakby huragan rozhuśtał linę.

- O Boże - zaczął szeptem Marceli. - Ależ ty jesteś... - Nie skończył zdania, porwany paroksyzmem rozkoszy.

Z dokładnością co do ułamka sekundy Andrea wzniosła się na zawrotne wyżyny orgazmu w tej samej chwili co Marcel. Poczul nagle, że cała zaciska się wokół niego, a jej dłonie kurczowo wpijają mu się w plecy, jakby leciał

wprost w niebo w szponach drapieżnego orła. Liczył się tylko nie kończący się lot, wyżej i wyżej... Wreszcie orzeł

opadł na ziemię, zostawiając Marcela mokrego, bez tchu, w objęciach kobiety, którą ledwie znał.

- Mam wrażenie - oświadczyła poprawiając garderobę - że nieźle byłoby zrobić powtórkę w twoim pokoju.

W łóżku Marcela, rozebrani do naga, zafundowali sobie ciąg dalszy. Marcel, który miał pięknych kobiet na krocie, musiał przyznać, że nie spotkał nikogo, kto byłby tak wolny od zahamowań i równie zwierzący w odruchach, jak Andrea Scap-pa. Trudno mu było przewidzieć, kiedy przyjdzie moment przesytu, dość że w tej chwili myślał tylko o jednym: jak by tu znowu?

Była już trzecia nad ranem, gdy zaspokojony zapadł w półsen.

- Mógłbyś mnie wykorzystać - oświadczyła Andrea. Zaśmiał się sennie.

Boleśnie dźgnęła go pod zebro palcem uzbrojonym w ostry, czerwony paznokiec. Jak na rozkaz otworzył powieki.

- Non, *cheré*, nie mam akurat seksu na myśli - sprostowała. - Chciałam ubić z tobą pewien biznes. Pamiętasz, w jakiej sprawie tu przyszłam?

- Ach, tak. Jakaś propozycja...

- Owszem. Pieprzenie było tylko jednym z elementów oferty.

- Mam nadzieję, że nadal nim jest.

- Czemu nie? Podobasz mi się, Marcel. Przypuszczałam, że okażesz się dobrym kochankiem i nie omyliłam się.

Podejrzewałam, że też będę w twoim guście. *Et voilà*, mamy co najmniej jedną płaszczyznę, na której potrafimy się dogadać.

Oczy Marcela zwężyły się. Nie lubił, kiedy kobiety zwracały się do niego tonem posiadaczek. Jednak miał apetyt na tę kobietę, apetyt daleki od zaspokojenia.

- Na jaki temat jeszcze mielibyśmy się dogadywać?

- Mogłabym ci pomóc w prowadzeniu firmy. Twój ojciec jest chory i lada moment woda może ci podejść do ust.

Wychowałam się w świecie biznesu jubilerskiego, od lat obserwuje, jak ojciec prowadzi interesy. Nie chce dać mi szansy, żebym dowiodła, ile jestem warta, więc proponuje moje usługi tobie.

Marcel musiał przyznać, że jej logika jest nieodparta. Kiedy ojciec umrze, on będzie potrzebował pomocy i nie widział przeciwwskazań, żeby ta pomoc pochodziła od kogoś, u kogo będzie mógł zasięgnąć rady nawet w środku nocy, w przerwie między fantastycznymi orgazmami.

Niestety, biuro filii nowojorskiej było już wypełnione po brzegi kompetentnymi doradcami.

- Nie stać mnie na zbyt wysoką pensję dla ciebie - zaczął przezornie.

Andrea wygięła się do tyłu, wypinając przy tym piersi tak zachęcająco, że Marcel pochylił się do przodu i ucałował

jej sutkę. Pacnęła go w czubek głowy.

- Najpierw interes! - upomniała go. - Co się tyczy pensji... Nie musisz mi nic płacić.

- Nic?

- Absolutnie nic. Przez pierwszych sześć miesięcy. Później, jeśli dowiodę mojej wartości, będziesz mi płacił

przyswoitą pensję, taką jaka się należy na stanowisku kierowniczym oraz prowizje od transakcji, które sfinalizuję.

- Zgoda! - Uległ pod naciskiem jej argumentów.

- No to świetnie - zamknęła temat. - Wobec czego przeleć mnie jeszcze raz, żeby przypieczętować zgodę.

Wspiął się na nią.

- Szkoda, że wszystkich umów nie zawiera się w równie przyjemny sposób - westchnął.

Mrabiet Antonia Scappy przy rue du Rhone tonął w ciszy. Kłęby błękitnego dymu z hawańskiego cygara najlepszej jakości unosiły się z kryształowej popielniczki, ustawionej przy jednym z foteli. Antonio Scappa rozmyślał, a robił to najchętniej w samotności. Był człowiekiem skrytym, człowiekiem, w którego życiu wiele zależało od zachowania dyskrecji.

Zależało mu na firmie Dufort & Iveres; potrzebował tej firmy. Czemu, do diabła, stary Iveres uparł się, żeby mu jej nie sprzedać, skoro i tak umierał? Na Boga, chyba nie spodziewa się żyć dłużej niż rok?

Antonio zaciągnął się cygarem. Cóż, będzie musiał starego przeczekać. To, że syn nie da sobie rady z kierowaniem tak wielką firmą z tradycjami jak Dufort & Iveres, od razu było widać jak na dłoni. Niewiele wody upłynie, kiedy tonąc w wirze odpowiedzialności i braku doświadczenia zacznie rozpaczliwie rozglądać się za jakąś deską ratunku.

Mógł czekać. Antonio Scappa nie był cierpliwy z natury, ale okoliczności nauczyły go czekać, przyglądać się i w stosownym

momencie łapać okazje. Jak dotąd, daleko zaszedł dzięki swoim umiejętnościom.

Wstał z fotela i zgasił cygaro. Podszedł do wysokich na całą ścianę okien i rzucił okiem na zalane księżycową poświatą jezioro. Zaciągnął kotary. Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś mógłby go podejrzeć na tej wysokości, wołał jednak me ryzykować.

Podszedł do drzwi łączących gabinet z biurem, otworzył je i rozejrzał się, czy nikogo nie ma w pobliżu. Zamknął drzwi i zakręcił zasuwę.

Dopiero w zaciszu prywatności podszedł do sejfu ukrytego za wielkim, abstrakcyjnym malowidłem. Drżącymi palcami wykręcił szyfr. Z delikatnością zaskakującą w tak masywnym mężczyźnie sięgnął w głąb sejfu i wydobyl

swój najcenniejszy skarb, ten, który wyniósł go na obecne wyżyny i z równą łatwością mógł go z nich z powrotem strącić.

Skarb iskrzył się w jego dłoni, śląc uwodzicielskie spojrzenie znad wirującej rubinowej spódniczki i połyskliwych, perłowych ramion. Antonio ważył przez chwilę figurkę w dłoni, po czym z powrotem wsunął w czelusć sejfu.

Zamykając drzwiczki za autentycznym w połowie, a w połowie sprytnie podrobionym flakonikiem La Colomby, Antonio uśmiechnął się.

- Dzięki ci, matko - powiedział czule. - Dzięki, stara kurwo.

Księga trzecia

Fasety

Rozdział pierwszy

Nowy Jork -jesień 1975

Są też bardzo korzystne dla cery - oświadczyła Pete, stojąc pół kroku za lady Margaret Pakenham, która zwrócona twarzą do pokrytej lustrami ściany krytycznym spojrzeniem małych oczek szacowała poczwórną kolię okalających jej szyję, cudownie dobranych różowych pereł.

- Tak, tak - oświadczyła lady Margaret charakterystycznym zgryźliwym tonem. - Słyszałam tę historyjkę. Starożytni melli perły i dorzucali do wina, dobrze mówię? Nie uważam tego jednak za dobry chwyt reklamowy. - Wyprężona jak trzcinka starsza pani wydała krótkie parsknięcie, które w jej ustach miało oznaczać śmiech. - Jeżeli kupię te perły, moje drogie dziecko, nie licz na .to, że będę dosypywać je do wina, nawet z uszczerbkiem dla mojej cery.

Pete uśmiechnęła się. Lady Margaret Pakenham od pół wieku była stałą klientką Duforta & Iveresa. A przez ostatnie dwa lata zawsze domagała się, żeby obsługiwała ją Pietra D'Angeli, która z czasem nauczyła się pogodnie znosić wyniosły, protekcyjny ton lady Margaret i jej zwyczaj wygłaszania z najwyższą pewnością siebie całkowicie fałszywych sądów.

- Może pani uzyskać ten sam, korzystny efekt po prostu zakładając je na szyję - wyjaśniła Pete. -

Chyba zauważyła pani blask, jakiego róż tych pereł dodaje pani twarzy. Pani twarz po prostu jaśnieje.

Lady Margaret ze skupieniem przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze.

- Hmm... Rzeczywiście... coś w tym jest. - Znajdowały się na

pierwszym piętrze Duforta & Iyeresa, w jednym z niewielkich, zacisznych saloników, służących prezentacji najdroższych eksponatów najzamożniejszym klientom. W każdym z saloników stały toaletka a la Ludwik XVI i krzesło ustawione tak, aby klientka siedziała twarzą do ściany z luster. Pozostałe ściany miały kolor ciemnośliwkowy. Szkło zostało lekko przydymione na bursztyn, a oświetlenie było w sam raz intensywne i ustawione pod takim kątem, aby, nie popadając w wulgarność, wydobywać z klejnotów ich migotliwy blask. W rezultacie pomieszczenie stanowiło niewielki teatr. W teatrze tym klientka odgrywała rolę królowej, zabawiającej się klejnotami w świetle świec.

Pete cofnęła się parę kroków, roztapiając w mroku za krzesłem lady Margaret. Teraz cisza i próżność miały działać swoje. Utytułowana *grandę dame*, dziś dobrze ponad osiemdziesiątkę, pięćdziesiąt siedem lat temu była młodziutką panną Ziegfield z Północnej Karoliny, którą poznał podstarzały angielski baronet w średnim wieku, odbywający podróż do „kolonii”. Podczas którejś z powojennych wizyt, w Stanach lord Pakenham zmarł nagle, a zamożna wdowa postanowiła pozostać w ojczyźnie. Lady Margaret miała zwyczaj zaglądania do Duforta & Iyeresa podczas przechadzek Piątą Aleją z niedbałą nonszalancją, z jaką niektóre panie buszowały po delikatesach Gristedesa. Nie zawsze wychodziła z jakimś zakupem, ale dostatecznie często, żeby Pete poważnie traktowała każdą jej wizytę.

- Perły zawsze wydawały mi się najbardziej drogocennym wytworem natury - miodowym głosem odezwała się Pete po dłuższej przerwie. - Nie wydobywa się ich z ziemi ani z kamienia, lecz pochodzą od istot żywych. Czy zna pani może tę staroperską legendę?

- Chyba nie - zaprzeczyła lady Margaret.

- Persowie wierzyli, że w księżycowe noce ostrygi wypływają na powierzchnie morza, gdzie zostają zapłodnione kroplami rosy, które zamieniają się w perły, jeżeli padnie na nie promień księżyca.

- Zachwycające - stwierdziła lady Margaret, okręcając się na krześle, żeby przestudiować dekolt pod innym kątem.

Pete nie mogła doczekać się, kiedy wreszcie w niepewnym spojrzeniu lady Margaret błysnie płomienna decyzja.

- Za ich kupnem przemawiają też względy praktyczne. To są białoróżowe perły, zaliczane do superklasy. Otrzymały piątkę w skali pięciostopniowej. W sytuacji, w której stale spada wydobywanie pereł naturalnych najwyższej jakości należy się spodziewać, że za parę lat ich wartość wzrośnie dwukrotnie.

- Mój Boże - westchnęła lady Margaret, unosząc dłoń do gardła i przebiegając palcami po czterech sznurach, jakby były strunami harfy. - Bardzo mi się podobają, ale mam już parę dłuższych białych sznurów, które noszę do opery.

Pora na decydujący argument, uznała Pete.

- Moim zdaniem, z pani imieniem, lady Margaret, nie można mieć zbyt wielu pereł, oczywiście pereł najwyższej jakości.

- Co z tym wszystkim wspólnego ma moje imię? - Lady Margaret z wysiłkiem oderwała oczy od lustra i spojrzała na Pete.

- Czyżby pani nie wiedziała? Imię Margaret pochodzi od greckiego *margaron* - perła.

- Coś takiego! Zawsze byłam przekonana, że Margaret pochodzi od margerytki, byłam wściekła, że jestem margerytką. To taki pospolity kwiat!

- Tymczasem, przeciwnie, jest pani unikalna jak perła. Starsza pani, rozpromieniona, odwróciła się z powrotem do lustra. W jej oczach płonęła żądza posiadania.

- Więc ile, mówisz, kosztują?

Prawdę mówiąc, Pete nie wspominała dotąd nic na temat ceny. Nigdy nie pytana nie wymieniała jej, wiedząc, że jest to sprawa najmniej istotna dla lady Margaret.

- Dwadzieścia siedem tysięcy dolarów.

Lady Margaret skinęła głową i jeszcze raz z zadowoleniem spojrzała w lustro.

- Powinny pasować do czarnej sukienki, którą kupiłam od Yvesa... no i będą troszkę zakrywać szyję. Obawiam się, że ostatnio zestarzałam się odrobinę.

- Pani, lady Margaret? To niemożliwe!

- Jesteś nieznośną pochlebczynią, moja Piętro. - Starsza pani pochyliła szyję, na znak że już można zdejmować kolię.

- Czy pani zaczeka, aż zapakujemy? - spytała Pete rozpinając perły na szyi.

- Nie. Jest już późno. Jutro rano przyślę po nie szofera

- oświadczyła lady Margaret wstając. W drzwiach saloniku zawróciła. Dopóki jesteś młoda, moja droga -

powiedziała

- dopóki jesteś młoda i piękna - i potrafisz wzbudzać miłość

- możesz mieć, co tylko zechcesz. Gdzieżbym była w tej chwili, gdybym w swoim czasie nie poślubiła Packy'ego?

Zaręczam ci, że po pierwsze nie byłoby mnie już na tym świecie, bo nic tak człowieka nie konserwuje do późnej starości jak pieniądze. Co nie znaczy, że całe moje życie było usłane różami...

Pete uśmiechnęła się wymijająco. W duszy nie zgadzała się z wyborem, którego lady Margaret dokonała jako młoda tancerka rewiowa przed laty, wołała jednak powstrzymać się od własnych opinii.

Za drzwiami czekał na nie młody mężczyzna w białych rękawiczkach, ubrany w zgrabną liberię z krótkim żakiem.

Pete podała mu kłotę z poleceniem, żeby została odłożona na noc do sejfów, a rano zapakowana i przygotowana do odbioru. Następnie towarzyszyła lady Margaret do windy.

- Nie chciałabym się wtrącać w twoje sprawy, droga Piętro

- podjęła lady Margaret - ale bardzo cię polubiłam i mam cię za niezwykle czarującą i inteligentną młodą osobę.

Powinnaś zdać sobie sprawę, że dozgonna posada ekspedientki jest dla ciebie równie mało stosowna, jak kiedyś dla mnie kolejny rok kłusowania po scenie w idiotycznych kapelusikach, które kazała nam nosić Flo.

- Nie przeczę, lady Margaret, że w przyszłości chciałabym robić coś ciekawszego. - Pete nacisnęła przycisk, wzywając windę. - Mam jednak własne pomysły, jak to osiągnąć.

- To świetnie, moja droga. Ale nie zapomnij, że jeśli się ugrzęzło na mieliźnie, nic tak nie popchnie łodzi jak rzeka pieniędzy szczęśliwego małżonka.

- Postaram się nie zapomnieć - roześmiała się Pete.

Drzwi rozsunęły się. Pete zamierzała wsiąść do środka w ślad za lady Margaret - najlepszych klientów zawsze odprowadzała aż do drzwi wyjściowych.

- Nie trudź się odprowadzaniem mnie, Piętro - zwróciła się do niej lady Margaret. Zaraz będziecie zamykać, a musisz przecież jeszcze zaksięgować mój zakup. - Pete z radością

przyjęła darowane jej minuty, ponieważ była umówiona kwadrans po szóstej. Charlie zadzwonił do niej poprzedniego wieczoru. Zgodziła się z nim spotkać w Centrum Rockefellera.

- Dziękuję, lady Margaret. Było mi bardzo miło panią widzieć.

- Jeszcze by tego brakowało, dziecinko - odparła starsza pani z figlarnym błyskiem w oku - żeby ci było niemiło mnie widzieć.

Drzwi zasunęły się. Lady Margaret zniknęła. Pete, oniemiała, pokręciła głową i zawróciła w stronę schodów prowadzących na drugie piętro, do biur administracji. Wszystkie poważniejsze sprzedaże natychmiast wciągano w rejestr, nie tylko dla porządku w rachunkach i dokumentacji, ale również po to, żeby jak najprędzej uaktualnić bardzo wysokie kwoty wypłacane przez sklep towarzystwom ubezpieczeniowym. Wchodząc po schodach, Pete słyszała w myślach echo zadzierzystych słów, które wypowiedziała przed chwilą.

Owszem, planowała osiągnąć w życiu coś więcej, niż posadę w dziale sprzedaży - planowała od pierwszego dnia, kiedy znalazła się w firmie. Chciała projektować biżuterię, z gry barwy i światła wyczarowywać widmowe piękno -

wyznała to Marcelowi już przy pierwszym spotkaniu. Jednak po trzech latach pracy u Duforta & Iveresa nie zbliżyła się do upragnionego celu ani na milimetr.

Pierwsze kroki w jednym ze stoisk na parterze, powiedziano Pete, dadzą jej niezbędne rozeznanie w podstawowych tajnikach biznesu. Prawie rok wytrzymała, sprzedając wisiorki na złotych łańcuszkach nastolatkom i medaliony na podobizny wnucząt zakochanym babciom, zanim przeniesiono ją do działu kosztowniejszej biżuterii, gdzie natychmiast dała się poznać jako jedna z najefektywniejszych sprzedawczyń. Znajomość kamieni szlachetnych w połączeniu z wrodzonym dobrym gustem i nabytą w czasie choroby matki intuicją psychologiczną złożyły się na niecodzienny amalgamat. Pete w swoich klientkach czytała jak w otwartej księdze, wyczuwając nie tylko w czym której będzie najbardziej do twarzy, ale również w czym dana kobieta najlepiej będzie się czuła. Umiała zachęcać i przekonywać, wiedziała jak, w zależności od charakteru klientki, skłonić pochlebstwem bądź też sprowokować do kupna najodpowiedniejszego bibelotu. Wkrótce obsługiwała wyłącznie najbogatsze i najpoważniejsze klientki sklepu. Oprócz pensji dostawała procent od każdej sprzedanej sztuki biżuterii, której wartość przekraczała dziesięć tysięcy dolarów.

Procent nie był specjalnie wygórowany, mimo to prowizje stanowiły już w tej chwili przeważającą część jej dochodów.

W oczach ogółu uchodziła za osobę, która w wieku dwudziestu czterech lat osiągnęła sukces. Tylko ona zdawała sobie sprawę, że ten sukces odsuwa w nieskończoność spełnienie jej prawdziwych marzeń. Firma nigdy dobrowolnie nie pozbedzie się jej z działu sprzedaży, dopóki zawdzięcza jej tak korzystny bilans obrotów. Sama również na swój sposób sabotowała własne ambicje, z czego zresztą zdawała sobie sprawę.

Jej obecne zarobki pozwoliły na uwolnienie matki ze znieawidzonego stanowego szpitala psychiatrycznego. Dwa lata temu udało się załatwić Bettinie przeniesienie jej do niewielkiego, prywatnego zakładu w Nyack nad Hudsonem, o godzinę jazdy od Nowego Jorku. Miejsce dalekie było od ideału, nie było też specjalnie czyste, do tego lekarz opiekujący się jej matką sprawił na Pete wrażenie bezwzględniego i wypranego z uczuć. Było jednak o niebo lepsze od Yonkers, a Pete na razie nie było stać na nic lepszego. Skoro mama nie miała nigdy wrócić do domu, powinna przynajmniej żyć w miłym otoczeniu, traktowana z wyrozumiałością i dobrocią.

Oboje z Opą również przenieśli się z Przedpiekla do cztero-pokojowego, wysokiego mieszkania na pierwszym piętrze kamienicy z czerwonego piaskowca przy Dwudziestej Drugiej Wschodniej, tuż

obok parku Gramercy.

Mieszkanie, jakkolwiek dalekie od luksusu, było wygodne i urokliwe, a kominek w salonie wzbudzał nieustanny zachwyt Josefa, któremu przypominał przedwojenny dom w Holandii. Mimo że czynsz w wysokości siedmiuset pięćdziesięciu dolarów, pięciokrotnie przewyższał opłaty w Przedpieklu, Pete uważała cenę za okazyjną.

Wysokość czynszu w połączeniu z opłatami za leczenie Bettiny i cenami eleganckiej garderoby niezbędnej przy obsłudze zamożnych klientów sprawiały jednak, że budżet Pete był napięty do ostatecznych granic. Mogli sobie pozwolić na cokolwiek tylko

dzięki zarobkom Josefa, te jednak w ciągu ostatniego roku przedstawiały się bardzo skromnie. Josef ukrywał przed Pete, że mu się pogarsza wzrok. Nadal miał własny warsztat, coraz częściej jednak zdarzały się dni, że nie ruszał się z domu.

Szczęściem, prowizje Pete stale rosły. Jednak kiedy tylko jej zarobki zaczynały się podnosić, natychmiast jak spod ziemi wyrastały nowe wydatki. Przed pięcioma miesiącami, kiedy właśnie zaczęło jej się wydawać, że wreszcie weźmie się za swoje plany, odkryła istnienie kliniki Colea-Haffnera, położonej w starej posiadłości na północnym wybrzeżu Connecticut, ofiarowanej przez zamożnych właścicieli na rzecz zakładu dla umysłowo chorych. Zakład był przeznaczony dla osób o łagodnym przebiegu choroby oraz przypadków zdiagnozowanych jako uleczalne po wieloletniej terapii. Z końcem czerwca, kiedy ruch w sklepie zaczął wyraźnie maleć, Pete wzięła wolny dzień i zawiozła matkę do kliniki, gdzie miała zostać przebadana przez tamtejszych lekarzy. Kiedy szef kliniki, doktor Haffner, oznajmił, że Bettina zostanie przyjęta, Pete zalała falą szczęścia i ulgi - me tylko dlatego, że klinika była pięknym miejscem, położonym w zachwycającej okolicy, ale również z tego powodu, że przyjęcie Bettiny było równoznaczne z uznaniem jej przypadku za uleczalny. Chociaż pobyt w klinice miał być dosyć kosztowny, ewentualne zyski były nieproporcjonalne. Ojciec zgodził się pokrywać część kosztów leczenia Bettiny i Pete natychmiast przeniosła matkę w nowe miejsce, tym samym rezygnując z przejścia na stanowisko projektantki. W

dziale projektów Duforta & Iveresa musiałyby zaczynać od terminowania z niską pensją, a w tej chwili nie mogła sobie pozwolić na najmniejszy spadek zarobków.

Jednak w dalszym ciągu nie przestawała doskonalić swoich umiejętności, przyswajając arkanów rzemiosła jubilerskiego.

Wkrótce po podjęciu pracy u Duforta & Iveresa, w czasie przerwy na lunch, zaczęła zaglądać do pracowni projektów, gdzie nawiązała przyjaźń ze zwałistym Francuzem pod pięćdziesiątkę, niejakim Philippem Michonem.

Każdą wolną chwilę spędzała u boku Philippea przypatrując się, jak oprawia kamienie. Czasami wieczorem, po godzinach, poczciwy rzemieślnik uczył ją posługiwania się palnikiem i delikatnymi instrumentami snycerskimi, dzięki którym szlachetne kamienie bezpiecznie mogły być osadzane w srebrze, złocie czy platynie. Widząc zadowolenie, jakie czerpała z tych zajęć, Michon parokrotnie zaproponował, że załatwi jej stanowisko swojej asystentki, nie przyjęła jednak jego propozycji. Chwilami wydawało się jej, że bezpowrotnie zaprzepaściła swoje szanse.

Skręcając ze schodów w korytarz drugiego piętra poczuła przyływ gniewu, który ogarniał ją, ilekroć przypominała sobie o możliwościach, jakie miały się przed nią otworzyć u Duforta & Iveresa - o możliwościach, które sobie przecież wywalczyła. Czyż nie dowiodła swoich umiejętności w obecności Marcela? Wspomnienie wieczoru, który spędziła z nim w La Grenouille, pozostało w jej pamięci krystalicznie wyraźne; wracając do niego miała wrażenie, że spogląda w diament. Ale nie był to, jak się okazało, diament bez skazy, ponieważ zaufała Marcelowi, a on ją zawiódł. Jak mogła być aż tak ślepa! Tamtej nocy rozstała się z nim przekonana o wzajemnym zainteresowaniu, o nieuchwytnym uczuciu, które mogło przerodzić się w coś poważniejszego, gdyby dane im było pracować razem.

Teraz widziała wyraźnie, że jej nadzieje były naiwnymi fantazjami pensjonarki. Prosto z kolacji Marcel wyruszył za granicę, z której powrócił przywożąc kobietę, aktualną kochankę i prawą rękę w prowadzeniu interesów firmy.

Po co w ogóle o tym myślisz, upominała samą siebie. Co się stało, to się już nie odstanie. Skręciła z korytarza do pokoju, w którym stały cztery biurka.

Trzy były wolne, gdyż sekretarki rozeszły się już do domów, ale przy czwartym pracowała jeszcze pulchna, siwowłosa, dobrotliwie wyglądająca kobieta.

- Lottie, czy wciągniesz mi sprzedaż do ksiąg?

- Jeszcze jedną? - Tego ranka Pete sprzedała pierścionek za pięć tysięcy.

- Była lady Margaret. Kupiła perły Deladiera. Sekretarka skinęła głową ze zrozumieniem.

- Co też ona z tym wszystkim robi? Ma tego tyle, że Titanic poszedłby na dno.

- Kupowanie biżuterii poprawia jej humor. Czy to nie jest wystarczający powód?

- Zapewne jest to lepsze od łykania tabletek, dopóki człowieka

na to stać. - Sekretarka wstała, wzięła ze stołu księgę i zaniósła na swoje biurko. Pete przysiadła obok na krześle, dyktując szczegóły transakcji - cenę, nazwisko nabywcy, opis sprzedanego przedmiotu, numer inwentaryzacyjny.

Praktyka prowadzenia tego rodzaju dokumentacji została wprowadzona u Duforta & Iveresa z chwilą pierwszej poważnej transakcji, przed ponad stu laty. Rejestrowanie transakcji umożliwiło śledzenie losów cenniejszej biżuterii, która bywała wielokrotnie sprzedawana i ponownie odkupowana przez kolekcjonerów i handlarzy. Perły, które nabyła lady Margaret, w dalszym ciągu były znane pod nazwiskiem człowieka, który zamówił je dla swojej żony przed prawie stu laty. Wartość historyczna dodatkowo podnosiła ich cenę.

Lottie kończyła właśnie, kiedy do pokoju wbiegła młoda kobieta, kierując się wprost do jej biurka.

- Merde? Nie ma tu nikogo, oprócz ciebie? Muszę podyktować list i wysłać go jeszcze dziś wieczór.

- Jest już po szóstej, muszę wracać do domu - oświadczyła Lottie. - Zrobię to jutro, zaraz po przyjściu, panno Scappa.

Na dźwięk nazwiska: Scappa, Pete podniosła wzrok. Andrea stała, omiatając płomiennym wzrokiem sekretarkę. Pod pachą trzymała puszystą kurtkę ze srebrnych lisów.

- Chyba słyszałaś co mówię. Powiedziałam, dziś wieczór. Pete nie mogła oderwać od niej wzroku. Wiedziała o istnieniu

Andrei Scappy od pierwszego dnia jej urzędowania w firmie, widziała ją też wiele razy, ale nigdy dotąd nie zamieniły ze sobą ani słowa. Ich interesy w żaden sposób nie zazębiały się ze sobą, wymijały się więc tylko zajęte własnymi sprawami. Marcel parokrotnie odbył krótkie rozmowy z Pete, w których informował ją o podwyżce bądź

też chwalił za szczególnie korzystną transakcję - nigdy jednak nie było przy tym Andrei. Nie miały wobec tego żadnej okazji, aby się poznać. Podwójna funkcja osobistego doradcy *monsieur* Iveresa i, od niedawna, szefa działu reklamy, nie stwarzała pretekstów do bezpośrednich kontaktów z personelem działu sprzedaży.

Tak więc, po raz pierwszy od trzech lat, Pete miała okazję przyjrzeć się z bliska Szwajcarce. Tego dnia Andrea miała na sobie połyskliwą suknię z błękitnego szantungu, z mocno przerysowaną linią ramion i kloszową spódnicą. Wąską talię

opinał szkarłatny pas z farbowanej kobry. Z szyi Andrei zwisało co najmniej tuzin sznurów kryształu górskiego i paciorków z jadeitu, jedno z jej ramion oplatało kilka złotych naramienników wysadzanych jadeitem. Jasne włosy, które ścięła jeszcze w lecie, zebrane w loki po jednej stronie głowy wyglądały jak fale wdzierające się na białą, gładką plażę. Wielkie, bursztynowe oczy dramatycznie podkreślono złotym cieniem, natomiast usta i paznokcie miały odcień, który wyraźnie miał w zamyśle harmonizować z farbowaną kobrą.

Andrea Scappa niezaprzeczalnie wyglądała szokująco od stóp do głów. Z ręką na sercu Pete musiała przyznać, że Szwajcarka wcale nie była efekciarą. Andrea była prowokująca i żywiołowa, miała odwagę być do końca sobą. W

dotadku była diabelnie seksowna. Oraz, niewątpliwie, zjadliwa jak stworzenie, które obdarto ze skóry, żeby wykonać dla niej pasek.

- Posłuchaj - zwróciła się do sekretarki. - Nie będę się z tobą kłócić o dodatkowe pół godziny. Zapłacę ci za godziny nadliczbowe, ale teraz, do diabła, masz zostać.

Sekretarka wytrzymała jej spojrzenie, choć każdy mięsień jej twarzy zdradzał walkę o panowanie nad sobą.

- Nie mogę zostać, panno Scappa. Bezwzględnie muszę dziś wrócić na czas do domu.

- Zostaniesz, do cholery, albo możesz natychmiast zebrać swoje rzeczy z biurka - rozkazała Andrea stalowym tonem.

Pete z przerażeniem spojrzała na Lottie, która od blisko dwudziestu lat była pracownicą Duforta & Iveresa, i zwykle ostatnia wychodziła z biura. Skoro spierała się o nadliczbowe pół godziny, musiała mieć naprawdę ważne powody.

- Nie ma sprawy. - Pete wstała z krzesła. - Ja napiszę ten list.

- Nie wtrącaj się, Pete. - Andrea przeszła ją płomiennym spojrzeniem. - Rzecz nie w liście, tylko w lojalności i posłuszeństwie... i umiejętności przyjmowania poleceń.

Pete zaniemówiła, oszołomiona nie tylko prostacką głupotą i wulgarnością Andrei, ile poufałym zdrobnieniem, którym się do niej zwróciła, wskazującym na to, że Andrea doskonale wie o jej istnieniu, kto wie, czy nie od samego Marcela. Lottie doszła do wieszaka i zaczęła wkładać płaszcz. Uwaga Andrei z powrotem skupiła się na sekretarce.

- Powiedziałam, proszę pozbierać swoje rzeczy z biurka, jeżeli nie zamierzasz...

- Za czasów *monsieur* Claude'a - przerwała sekretarka z cichą mocą - kobiety pani pokroju nie dopuszczono by do pracy w firmie. Pracowałam dla *monsieur* Claude'a, a teraz pracuję dla jego syna. Jeżeli mam być zwolniona, chcę to usłyszeć z ust *monsieur* Marcela. Nie wątpię, że potrafi go pani skłonić, żeby zrobił, co pani zechce, jednak na razie zastanie mnie pani tutaj codziennie o dziewiątej trzydzieści. Żegnaj, panno Scappa. Do widzenia, Pete. - Kiedy mała, pulchna figurka Lottie znikła w drzwiach, Pete miała ochotę bić brawo.

Zacząła krzątać się wokół biurka, szykując się do pisania.

- Nie trzeba - powstrzymała ją Andrea. Myślę, że list może poczekać.

- Skoro jest pani pewna...

- Zwykle bywam pewna własnych sądów.

Pete wyszła zza biurka. Pod spojrzeniem Andrei czuła się jak na muszce karabinu.

- Prawdę mówiąc, jedną z niewielu rzeczy, co do których nie mam pewności, jesteś ty - dorzuciła Andrea.

Pete spojrzała pytająco, nie odezwała się jednak słowem. Andrea wzbudzała jej lęk i podziw. Poza wszystkim, Szwajcarka bez wątpienia miała umysł ostry jak brzytwa. W ciągu trzech lat opanowała angielski z najdrobniejszymi kolokwializmami, a jej obecność bardzo korzystnie wpływała na interesy firmy.

- Wychodzisz z pracy? - spytała Andrea, obrzucając Pete zagadkowym spojrzeniem. - Możemy razem zjechać windą.

Pete czuła się rozdarta między chęcią pozbycia się Andrei a ciekawością, co mogła oznaczać jej zagadkowa uwaga.

- Muszę wziąć płaszcz.

- Zaczekam. - Andrea ruszyła korytarzem ramię w ramię z Pete w stronę szatni dla pracowników działu sprzedaży.

Pete pospiesznie wskoczyła w swój płaszcz. Kiedy wychynęła z szatni, Andrea narzuciła swoje srebrne lisy. Pete podchwyciła protekcyjne spojrzenie, jakim Andrea obrzuciła jej płaszcz, nabytą u Ohrbacha kopię Courregesa.

Szykowny, choć tani - mówiły oczy Andrei.

- Marcel pojechał wcześniej na koktajl - powiedziała jakby

nigdy nic Andréa. - Obiecałam, że dojadę, jak się przebiorę. Idziemy na przedstawienie dobroczynne w operze...

Uczęszczanie na przyjęcia i galowe przedstawienia, które ściągały tłumy możnych tego świata, z pewnością należało do istotnych obowiązków branży jubilerskiej, ponieważ bardzo liczyły się spotkania z klientami w okolicznościach sprzyjających obsypywaniu się biżuterią. Wychodząc z pracy, Pete widywała Marcela w smokingu i Andreę w wieczorowej sukni wsiadających do limuzyny Marcela. Jechali spędzić wspólnie wieczór. Ilekroć była świadkiem podobnej sceny, nie mogła oprzeć się myślom, jakby to było, gdyby wtedy nie skończyło się na tej jednej, jedynej kolacji... gdyby zgodziła się pójść z nim potańczyć, zamiast dumnie kokietować odmową...

Czyżby Andréa przejrzała ją na wylot i specjalnie drażniła, informując o szczegółach wspólnego życia z Marcelem?

A może Andréa po prostu w obecności innych kobiet lubiła paplać o wszystkim?

Doszły do windy. Andréa czubkiem krwistego szpona dźgnęła przycisk. Zapadła niezręczna cisza.

- Co chciała pani powiedzieć mówiąc, że nie jest mnie pewna? - nie wytrzymała wreszcie Pete.

- Nie jestem pewna, czy całkiem zrezygnowałaś...

Drzwi windy rozsunęły się. Andréa weszła pierwsza, Pete za nią. Ciągle nie mogła zrozumieć, do czego tamta zamierza.

- Czy całkiem zrezygnowałam z czego?

- Z Marcela. Z prób odzyskania go - rzuciła jej Andréa w twarz.

- Odzyskania? - powtórzyła Pete, ale z jej ust wydobył się tylko ledwie słyszalny dźwięk. Wreszcie odzyskała głos. -

Nie żywię osobistych zainteresowań Marcelem.

- Być może - skwitowała Andréa obojętnie. - Niemniej parę lat temu spytałam go, jak trafił na ciebie. Zainteresowało mnie to, ponieważ jesteś niewątpliwie piękna i o niebo przewyższasz pod każdym względem pozostałe ekspedientki.

On powiedział mi wtedy o tym, jak cię wziął na kolację do Lutece...

- Do La Grenouille - poprawiła Pete. Błysk w oczach Andrei uświadomił jej, że połknęła przynętę. Andréa chciała sprawdzić, czy szczegóły były dla niej na tyle istotne, by je nadal pamiętać.

- Naturalnie opowiedział mi też o tej uroczej sztuczce z dia-

mentem i o tym, jak sprytnie go w końcu przechytrzyłaś. Szkoda, że cię nie było przy tej opowieści, Pete, przekonałabyś się sama, jak wiele ten wieczór znaczył dla niego. Zrobiłaś na Marcelu nadzwyczajne wrażenie.

Winda stanęła na parterze. Andrea wyszła. Pete dotrzymała jej kroku.

- Nie wiem dokładnie, co pani chce przez to dać mi do zrozumienia, ale powtarzam, że między mną a Marcelem nie ma nic - ani też nigdy niczego nie było - oświadczyła.

- Zgadzam się - przytaknęła Andrea. - Nie doszło do niczego poważnego. Wolalabym cię jednak uprzedzić, że nie życzę sobie żadnych zmian w tej sytuacji.

Doszły do wejścia, przy którym ciągle jeszcze stał portier w liberii. Dotknął czapki, zwracając się do obu kobiet, po czym przekręcił klucz w zamku i pchnął drzwi.

- Prawda jest taka, Pete - oświadczyła Andrea, przystając na chodniku - że gdybyś nie była tak cholernie dobra w swojej robocie, dawno już bym się Ciebie pozbyła. Niemniej ostrzegam cię, że pod żadnym pozorem nie dopuszczę do tego, żebyś przestała być tym, kim jesteś - inaczej mówiąc, pracownicą na pensji.

Życząc Pete dobrej nocy, zakręciła się na pięcie i ruszyła w stronę rollsa Marcela, w którym szofer już trzymał dla niej drzwiczki. Parę kroków i zniknęła we wnętrzu samochodu.

Pete, oszołomiona, odprowadzała wzrokiem Rolls-Roycea, który powoli wtopił się w rzekę samochodów.

Chwiejnym krokiem, pogrążona w posępnych myślach, ruszyła w stronę Centrum Rockefellera.

Podposąg Atlasa, umówione miejsce spotkania z Charlie'em, spóźniła się dziesięć minut. Był listopad, pod wieczór powietrze zaczynało być mroźne, co niewątpliwie dokuczało Charlie'emu, ubranemu w dżinsową kurtkę narzuconą na golf ręcznie farbowany w kolorowe koła. Głowę Charlie'ego zdobił kowbojski stetson. Stał klaszcząc w dłonie i przestępując z nogi na nogę. Ledwie jednak jego wzrok padł na Pete, uniósł gęste brwi w wyrazie zakłopotania.

- Wszystko w porządku? Wyglądasz na zmartwioną.

- Nic takiego - pospieszyła z odpowiedzią. - Tyle tylko, że gdybym mogła, chętnie zamieniłabym się z nim miejscami. - Wskazała ręką Atlasa, zgiętego pod ciężarem świata, który musiał dźwigać na własnych barkach.

- Coś nie tak z twoją matką? - spytał, kiedy ruszyli w stronę ślizgawki.

Potrząsnęła przecząco głową.

Zorientował się, że nie pragnie dalszych indagacji.

- Pozwól wobec tego, że stary wujo Charlie zadba o ciebie. Parę drinków, kolacyjka, a potem, powiedzmy...

- Charlie, strasznie mi przykro, wiem, że planowaliśmy wspólny wieczór, ale czuję się parszywie i, szczerze mówiąc, marzę tylko o tym, żeby wrócić do domu, wziąć gorącą kąpiel, wczłgać się do łóżka i naciągnąć elektryczny koc po czubek głowy.

- Wygląda mi na to, złotko, że nie powinnaś zostawać sama. Uważam, że masz same dobre pomysły, tyle tylko, że ktoś powinien się tobą zająć. Chodźmy do mnie i będziesz mogła zrobić, co tylko zechcesz - wykąpać się, a potem wczłgać do mojego...

- Nic z tego, Charlie - oznajmiła niezłomnie.

Tego jej jeszcze tylko było trzeba, żeby opętać się przed nieustannymi zapędami Charlie'ego, który usiłował

ożywić ich wygasły romans. Ponad rok minął od czasu, kiedy ostatni raz spała z Charlie'em i nie sądziła, żeby się to miało kiedykolwiek powtórzyć. Był bardzo drogi jej sercu, ale wyłącznie jako przyjaciel. Kiedy uświadomiła sobie, że nie kocha go ani nigdy nie pokocha, uprawianie seksu z Charlie'em zaczęło jej się wydawać czymś niewłaściwym

- nie tyle w kategoriach moralnych, ile po prostu przestało być radosnym aktem, niewinną igraszką zmysłów, którą było na początku.

Cieszyło ją, że nadal byli sobie bliscy. Zdawała sobie sprawę jak bardzo Charlie ceni sobie jej przyjaźń, stanowiącą dla niego pomost między teraźniejszością a czasem, kiedy cieszył się uznaniem tylko dzięki wartości własnych dzieł.

W ciągu ostatnich dwóch lat życie Charlie'ego uległo drastycznej przemianie. Jego kompozycje „z odrzutów”

zaczęły nieźle iść i Charlie postanowił zastosować się do wskazań właścicielki galerii: osobista popularność twórcy odbija się korzystnie na cenach jego dzieł.

- Kiedy artysta dobrze się bawi, jego obrazy idą - mawiał Charlie do Pete, cytując słowa właścicielki galerii, Luisy Raines. Posłusznie zamienił się w motyla, fruującego w artystycznym świątku Manhattanu, stając się bywalcem ekskluzywnych przyjęć i modnych klubów. Dostarczał materiałów do plotek w kolumnie towarzyskiej czasopism, pojawiał się w telewizyjnych magazynach, ciągnął za sobą ogon satelitów, Ignących jak ćmy do sławy, wreszcie -

spędzał czas z młodymi ludźmi, którzy, podobnie jak on, dopiero wkraczali na arenę publiczną - debiutującymi modelkami, pisarzami, gwiazdkami filmowymi. Wyglądało na to, że Luisa wie, co mówi. Ceny prac Charlie'ego nieustannie szły w górę, dochodząc do dwudziestu tysięcy dolarów za sztukę, on sam jednak wyznał Pete, że czuje się, jakby „zawarł pakt z diabłem”. Jego obrazy były w cenie, ponieważ on sam stał się chodliwym towarem, atrakcją towarzyską, własnością środków przekazu. Jego sztuka właściwie prawie się nie liczyła.

He razy zaczynał się uskarżać w podobny sposób, Pete radziła mu, żeby bardziej zaufał swojemu talentowi, twórczości i wyrwał się z wiru towarzyskich uciech. Jak dotąd nie posłuchał jej rad, jednak wiedziała, że jej zapewnienia wiele dla niego znaczą, że w każdej chwili, jeśli zechce, może rzucić czczą pogoń za sławą.

Zaproponował, żeby się przespacerować. Wzięła Charlie'ego pod rękę i ruszyli razem Piątą Aleją.

Po drodze zauważyła, że niektórzy przechodnie oglądają się za Charlieem, najwyraźniej rozpoznając go ze zdjęć prasowych czy migawek telewizyjnych.

- Masz ochotę o tym pogadać? - spytał w końcu.

- Chyba wszystko sprowadza się do tego, że ja też będę musiała zawrzeć osobisty pakt z diabłem - wyjaśniła. - Ciągłe jeszcze nie robię tego, co bym chciała robić, Charlie. Dziś zaczęłam wątpić, czy kiedykolwiek dojdzie do tego.

- Dojdzie, dojdzie, dziecinko. Ty wiesz, i ja wiem, że masz w sobie to „coś”. Musisz tylko wystartować.

- Obawiam się, że start mam już za sobą. - Złośliwe słowa Andrei znów rozległy się w myślach Pete, kolejny raz uprzytamniając powody, dla których jej karierę zastopowano u samego zarania.

Aż po ten dzień uważała Andreę Scappę za inteligentną

kobietę, która pomagała Marcelowi w prowadzeniu interesów firmy i stanowiła ozdobę pozostałych dziedzin jego życia. Fakt, że wybór Marcela padł akurat na Andree, w jakimś sensie pomógł Pete pokonać rozczarowanie, kiedy okazało się, że tamta kolacja nie stała się początkiem romansu.

Jego wybór dowodził jasno gustów i upodobań, których Pete w żaden sposób nie byłaby w stanie zaspokoić.

Niedotrzymanie obietnic zawodowych skreślało go natomiast w jej oczach do końca.

Teraz jednak Pete zobaczyła całą historię w zupełnie nowym świetle. Andrea była - jak się okazuje - od pierwszej chwili jej zawziętą przeciwniczką, zazdrosną, pełną obaw, zdecydowaną rzucać Pete kłody pod nogi na drodze do kariery. Czy teraz, kiedy wiedziała na czym stoi, pozostawanie w Dufort & Iveres miało jeszcze jakikolwiek sens?

Czyż nie było już głupotą samo założenie, że praca w firmie jest niezbędnym krokiem do wyrównania starych rachunków, odczarowania wszystkich nieszczęść, które błęd Josefa ściągnął na rodzinę?

- Wierz mi, Pete - głos Charlie'ego wdarł się w jej rozmyślenia. - Twój czas już się zbliża. Czuję to w kościach.

- Łamie cię z zimna, Charlie. Stale chodzisz za lekko ubrany. Zachichotał, zaraz jednak spoważniał.

- Przysięgam na wszystko, Pete. Jestem pewien, że jeszcze dasz się poznać - oświadczył, chwytając ją za rękę.

- Może najpierw powinnam stać się sławna... jak ty? Obrzucił ją baczny spojrzeniem, niepewny, czy mówi serio, czy tylko żartuje.

- Trochę popularności nigdy nie zaszkodzi, malutka. Ale w twoim przypadku nie ma to aż takiego znaczenia.

- Dlaczego?

- Bo moja twórczość powstaje z płótna, farby i śmieci. Za dziesięć dolarów możesz kupić wszystko, co jest potrzebne do zrobienia każdego z moich obrazów. Ważne tylko, żeby były „na fali”. Ty stworzysz z kamieni szlachetnych, Pete.

Wystarczy, że wykonasz swoje dzieła i już są warte fortunę.

Rozśmieszyło ją jego rozumowanie i nagle poczuła się lepiej.

- Dzięki, Chaz. - Pocałowała go leciutko w usta. - To, że wierzysz we mnie, bardzo wiele dla mnie znaczy.

- Twoja wiara we mnie też mi pomaga.

Przystanęli patrząc na siebie. Pete poczuła przyływ czułości i potrzebę ciepła, które niebezpiecznie skłaniały ją, żeby mimo wszystko pójść do Charlie'ego. Jednak była pewna, że ich związek nie miał żadnych szans. Wymijająca ich wolna taksówka dała pretekst, żeby umknąć pokusie. Pete rzuciła się, machając ręką, w stronę krawężnika.

Pospiesznie wyjaśniła Charlie'emu, że marzy o tym, żeby znaleźć się w domu, i pozostawiła go kroczącego samotnie ku atrakcjom nocy.

P o powrocie do domu zastała Josefa przed kominkiem w salonie, czytającego „Het Parool” i popijającego *Geneuer*.

- *Dag, liejje* - powitał ją z uśmiechem pełnym czułości. Zdawało mi się, że miałaś mieć randkę z twoim Charlie'em.

- Mówiłam ci sto razy, Opa, że on nie jest żadnym moim Charlie'em - oświadczyła i nie odezwała się słowem, dopóki nie zrzuciła butów i nie zapadła w drugi fotel.

Stary Holender przyglądał się wnuczce z uwagą. Znał ją na tyle dobrze, że poczuł niepokój.

- Co się stało lieje? Sprawiasz wrażenie bardzo *gedrukt*... bardzo przygnębionej.

- Jestem po prostu zmęczona, Opa. - Odchyliła głowę do tyłu i przymknęła oczy.

- Dziewczyna w twoim wieku nigdy nie powinna być aż tak zmęczona, żeby nie dać się zaprosić przystojnemu, młodemu mężczyźnie na dobrą kolację. - Wystukał wygasły popiół z fajki i sięgnął po nowy tytoń do puszki na stole.

Każdy jego ruch był powolny, pedantyczny i pełen namaszczenia. Ubity i podpalony tytoń zasnuł pokój słodkim wiśniowym aromatem. Josef zwrócił się ponownie do Pete: - Powiesz mi wreszcie, co się stało?

- Powiedziałaabym, że jak na człowieka, który uskarża się na słaby wzrok, widzisz stanowczo za dużo

- roześmiała się z rezygnacją.

- Chodzi o to miejsce, prawda? Od razu wiedziałem, że nie będziesz tam szczęśliwa.

Josef nie ukrywał urazy, kiedy dowiedział się, że Pete pracuje dla Duforta & Iveresa, firmy, która stała się widownią jego życiowej hańby. Próbowła mu wyjaśnić swoje motywy, ale

nigdy ich nie zrozumiał. Z czasem pogodził się jednak z jej decyzją, zwłaszcza po tym, jak zmarł Claude Iveres, uosobienie złośliwości losu, a firmę przejął jego syn, Marcel.

- Nie o miejsce chodzi - wyjaśniła - tylko o pracę.

- Przecież powinnaś być dumna z tego, co osiągnęłaś, Pete.

- Spójrz jak daleko zaszłaś, czego już dokonałaś. - Skinął fajką w stronę pięknie urządzonego mieszkania. - Popatrz, ile zrobiłaś dla mnie... nie mówiąc już o wszystkim, co zrobiłaś dla matki.

Na wzmiankę o Bettinie Pete nie była w stanie pohamować potoku żalów.

- Ale ja już nie mam żadnego wyboru, czy ty nie widzisz, Opa? Potrzebujemy każdego grosza, który zarabiam, w związku z czym muszę tkwić w dziale sprzedaży. Wcale mi to nie odpowiada, ale nie mam wyboru. Jestem w potrzasku.

- Nie, Pete, nie jesteś w potrzasku. Nawet nie wiesz, co to znaczy być naprawdę w potrzasku. - Pobladł, mówiąc te słowa, a jego oczy zwrócone do wewnątrz znieruchomiały.

Pete nie zamierzała wycofać się z własnych słów.

- Jaką widzisz różnicę, Opa? Przez cały czas jestem niewolnicą cudzych potrzeb i planów, paląc się nieustannie do tego, żeby zajmować się czymś innym. To tak jakby się było głodnym

- kto jak kto, ale ty wiesz, co to znaczy dzień za dniem przymierać głodem. No więc ja tak właśnie się czuję. Chcę robić piękne rzeczy. Chcę sprzedawać własną biżuterię, własne pomysły. Chcę, żeby ludzie czekali z zapartym tchem na to, co wyczaruje Pietra D'Angeli, żeby myśleli o mnie, ilekroć wpadnie im w ręce piękny kamień, wymagający zachwycającej oprawy. A to się nigdy nie stanie.

- Stanie się, Pete - uspokoił ją stary. Na pewno się stanie.

To samo wmawiał jej Charlie. Jednak nie mogła sobie wyobrazić, co się dla niej zmieni jutro, pojutrze czy popojutrze. Znów odchyliła głowę do tyłu i przymknęła oczy. Otoczył ją wonny aromat fajki dziadka, wyraz zadowolenia Opy z wygod życiowych, których zaznawał po tylu ciężkich latach. Uświadomiła sobie, że jeśli cokolwiek się zmieni, to tylko dzięki jej własnym staraniom.

Co ma jednak robić, na Boga? Co ma robić?

Rozdział drugi

Minął już tydzień czy dwa od szczytowej feerii barw jesieni, liście z czerwieni i żółci nabrały złotordzawego odcienia, mimo to jazda w rześki, słoneczny dzień przez południowe wybrzeże Connecticut nadal odbywała się w zachwycającej scenerii.

Pete jechała tą trasą już któryś raz z rzędu, od kiedy, przed paroma miesiącami, przeniosła matkę do Kliniki Colea-Haffnera. Chociaż dojazd trwał długo, starała się nie opuścić żadnej niedzieli ani świątecznego dnia. Tylko w nieliczne soboty, kiedy sklep był zamknięty, mogła jechać do matki w sobotę, a potem spokojnie rozkoszować się wolną niedzielą. Jej wizyty należały już do rytuału i ilekroć opuszczała którąś z nich, dręczyły ją wyrzuty sumienia i obawa, że przerwa w kontaktach może wywołać niekorzystny zwrot w stanie zdrowia matki.

Sam widok kliniki napawał optymistycznymi rokowaniami na temat rezultatów leczenia. Zakład, położony na ponad czterystu akrach wybrzeża Connecticut, składał się z białej, kamiennej rezydencji, która architekturą dorównywała letnim pałacykom wznoszonym przez nową plutokrację w Newport, a także licznych budynków towarzyszących: stajni, garaży, domków dla służby, przerobionych na pokoje dla pacjentów bądź biura kliniki.

Od czasu otwarcia zakładu dobudowano parę nowych budynków, zachowując przy tym styl, który dawał złudzenie, że pacjenci znajdują się w luksusowej, prywatnej posiadłości. Dobrze utrzymane tereny kliniki porastały okazałe drzewa. W cieniu drzew poustawiano ławki, do których prowadziły obramowane kwiatami ścieżki. W całym otoczeniu nie było nic, co przyprawiałoby o depresję.

W broszurze poświęconej historii kliniki Pete wyczytała, że posiadłość należała początkowo do Eliasa Colea, armatora-multimilionera. Cole przekazał ją w spadku jedynej córce, która mieszkała w niej samotnie od czasu, kiedy została porzucona przez męża bankiera. Córka, cierpiąca na kliniczną postać depresji, przed ośmiu laty popełniła samobójstwo, podcinając sobie żyły, a jej dzieci dla uczczenia pamięci matki zapisały posiadłość na rzecz ludzi podobnie udręczonych jak ona. Zapis zawierał również stałą, sporą kwotę na utrzymanie instytucji i pensję dla dyrektora zakładu, znanego psychiatry, doktora George'a Haffnera.

Pete zostawiła samochód przy alejce okrążającej główny budynek kliniki i poszła zarejestrować się przy biurku dyskretnie ustawionym obok głównego wejścia. Siedziała tam zażywna, młoda kobieta o sympatycznej twarzy. Była ubrana po cywilnemu, jednak Pete wiedziała, że w rzeczywistości jest pielęgniarką psychiatryczną, przeszkoloną do interweniowania w nagłych przypadkach.

- Panno D'Angeli - zwróciła się do niej, kiedy Pete wpisywała swoje nazwisko na listę - doktor Haffner prosił, żeby pani wstąpiła do jego gabinetu.

- Czy stało się coś złego? - Pete czuła, jak kurczy się jej żołądek.

- Nie, nie - pielęgniarka uśmiechnęła się uspokajająco. - Stan zdrowia pani matki jest bardzo zadowalający. Doktor chciał panią po prostu poinformować o postępach w leczeniu.

Gabinet doktora Haffnera mieścił się w jednym ze skrzydeł, w pomieszczeniu dawnej biblioteki. Ściany kryła drewniana boazeria i wysokie do sufitu półki pełne książek, kominek miał gzyms z

polerowanego dębu. Przez ogrodowe okno rozciągał się widok na trawnik, zakończony pagórkiem, za którym szumiał ocean. Z wyjątkiem chwil, kiedy doktor zajęty był prywatną rozmową bądź badaniem pacjenta, drzwi do jego gabinetu zawsze stały otworem.

Pete zastała go na fotelu przed kominkiem, w którym płonął mały ogień, samotnie wertującego dokumentację pacjentów.

Scena, tchnąca głębokim spokojem, przywołała w umyśle Pete obraz dziadka, chociaż między doktorem a Opą nie było najmniejszego podobieństwa. Haffner wyglądał na człowieka, który w przeszłości mógł być zawodowym bokserem w wadze muszej. Niski, szczupły, o stalowych mięśniach, przyprószone siwizną włosy strzygł tuż przy skórze. Jego szeroka twarz zdradzała głęboką wrażliwość, w dużych, niebieskich oczach odbijała się dobroć i współczucie. Doktor zwykle nosił okulary w czarnych oprawkach, które przypominały Pete okulary Harolda Loyda, gwiazdy niemych komedii. Na widok Pete doktor wstał i odłożył na bok papiery.

- Proszę wejść, panno D'Angeli. - Kiedy oboje usadowili się w fotelach przed kominkiem, zwrócił się do Pete uspokajająco:

- Proszę się nie denerwować, nie ma żadnych powodów do niepokoju. Wręcz przeciwnie. Najpierw jednak chciałbym pani powiedzieć, jak bardzo doceniam fakt, że przez tyle lat odwiedzała pani matkę tak regularnie. Jestem pewien, że me jest to łatwe dla młodej kobiety i z pewnością wymaga licznych poświęceń... - Przerwał, szukając w jej twarzy potwierdzenia. Dostrzegł chyba to, czego szukał, bo podjął dalej. - Bardzo rzadko zdarza się, że rodziny pacjentów nie ustają w trosce o nich. Po pewnym czasie większość zaczyna odczuwać znużenie i chętnie przerzuca troskę o krewnych na instytucje, w których deponują chorych jak wybrakowany towar. Jednak bez względu na to, czy różnica dostrzegalna jest już gołym okiem, zapewniam panią, że pani stała obecność u boku matki niezwykle poprawia jej stan.

Pete uśmiechnęła się, chociaż jej oczy zwilgotniały. Tak bardzo trzeba jej było tych słów.

- Chciałem pani donieść, że pani matka robi wielkie postępy. Po raz pierwszy zaczęła mówić otwarcie o swoich przeżyciach wojennych, o tym, co wtedy czuła...

- Tyle lat w ukryciu - wtrąciła Pete. - To musiało być straszne.

- Właśnie - uciął doktor.

Pete zrozumiała, że zadawanie dalszych pytań byłoby naruszeniem tajemnicy lekarskiej.

- Myślę, że od czasu do czasu mogłaby ją pani wyprowadzać poza teren kliniki - podjął Haffner. - Niekoniecznie dzisiaj, ale

dobrze byłoby się do czegoś takiego przymierzyć. Może przyjechałaby pani na Święto Dziękczynienia i wzięła ją w jakieś przyjemne miejsce na świątecznego indyka?

- Naprawdę mogłabym, panie doktorze? To byłoby cudowne!

- No właśnie - uśmiechnął się. Wstał i Pete również podniosła się z fotela. - Swoją drogą, jeśli chodzi o stronę praktyczną, radziłbym dokonać rezerwacji, to pozwoli pani zjeść obiad w najlepszej restauracji w okolicy - w gospodzie Siedmiu Sióstr. Święto Dziękczynienia to u nich zawsze wspaniała uroczystość. Zarezerwuję pani stolik, jeżeli ma pani ochotę.

Podziękowała doktorowi i razem ruszyli do drzwi. Zanim wyszli, pod wpływem nagłego impulsu pocałowała doktora w policzek.

Z uśmiechem poklepał miejsce, którego dotknęła ustami.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Nucąc wchodziła szeroką klatką schodową na drugie piętro rezydencji, gdzie znajdował się pokój matki. Zastukała do drzwi.

- Proszę.

Już to było poważną zmianą. Wielokrotnie w ciągu tych wszystkich lat Pete po przyjściu, a czasem nawet w ciągu całej wizyty, nie mogła doczekać się żadnej odpowiedzi.

W uroczym pokoju, o seledynowych ścianach i beżowej stolarce okien i drzwi, stał wygodny fotel, którego kwieciste obicie było z tego samego materiału co narzuta na łóżko. Okno wychodziło na morze, przez przejrzyste firanki do pokoju wpadało słońce.

Bettina siedziała przy toalecie z lustrem, rozczesując włosy. Pete była mile zaskoczona wspaniałym wyglądem matki. Mimo ciągłego upodobania do słodyczy, nigdy nie przybywało jej na wadze, skóra była zdumiewająco gładka, włosy, jak w młodości, lśniły srebrnozłotawym połyskiem. Miała czterdzieści pięć lat, ale z łatwością mogła uchodzić za młodszą o dziesięć lat. Cena, jaką przychodziło jej płacić za życie w świecie ułudy, nie zawsze była dostrzegalna gołym okiem.

- Dobrze wyglądasz, mamó - zauważyła Pete.

- Dobrze się czuję. - Odwróciła się od lustra. - Czy możemy już pójść na spacer na plażę? - spytała niecierpliwie.

Ponad połowie ze stu pięćdziesięciu pacjentów wolno było

pod należyty dozorem schodzić na biały ogrodzony pas plaży tuż pod skałą, na której stał główny budynek kliniki.

Naturalnie, Bettina najbardziej kochała w tym miejscu widok i zapach oceanu, i kiedy zezwolono jej przed dwoma miesiącami na korzystanie z plaży - była zachwycona.

Ubrany w roboczą odzież strażnik otworzył solidną furtkę w ogrodzeniu i wpuścił je na plażę. Jakiś czas przechadzały się wzdłuż nadmorskich zarośli, nie wymieniając ani słowa. Kiedyś tego rodzaju milczenie bardzo doskwierało Pete, ale było to wtedy, kiedy matka w ogóle nie odzywała się do nikogo. Teraz, gdy wiedziała już, że mama sama wybierze stosowną chwilę, by się odezwać, o wiele

łatwiej było znieść tę ciszę. Wreszcie Bettina znalazła sobie miejsce, z którego siedząc na piasku mogła spoglądać na usiany migotliwymi plamkami słońca ocean.

Pete w tym czasie zbierała muszelki, wymyte przez fale kamienie i oglądała perłowszare kawałki drewna wyrzucone przez morze na brzeg, świadoma, że natura jest mistrzynią kształtu i proporcji. Po jakimś czasie przysiadła przy matce. Słony, listopadowy wiatr rozwiewał włosy i szczypał policzki obu kobiet. Ciszę przerywały tylko uderzające o brzeg fale.

- Bardzo lubię doktora Haffnera - odezwała się w końcu Bettina. - Zadarła głowę i zapatrzyła się w przejrzyste, błękitne niebo. - Czasem odnoszę wrażenie, że on mi wierzy.

- Czemużby miał ci nie wierzyć?

Bettina odwróciła powoli twarz i spojrzała na córkę. W przeszłości rzadko zdarzało jej się patrzeć komukolwiek prosto w oczy. Zwykle unikała kontaktu wzrokowego - wolała patrzeć w sufit, podłogę, niebo, na ocean - czy nawet własne odbicie w lustrze. Spojrzenie, jakie zwróciła ku Pete, miało w sobie dojmującą, ludzką głębię i bliskość, jakiej Pete nie zaznała od zamierchłego dzieciństwa.

- Pewne rzeczy są nie do uwierzenia - wyjaśniła matka. - Ja sama nie bardzo w nie wierzę.

Jakie rzeczy, mamó?, miała ochotę zapytać Pete, ale matka już odwróciła od niej twarz i Pete poczuła, że błędem byłoby wywieranie jakichkolwiek nacisków. Matka robi postępy, zapewniał doktor, jednak jej równowaga nadal jest bardzo delikatna. Następny kwadrans znów przesiedziały w milczeniu. Potem Bettina wstała, otrzepała z piasku spódniczkę i ruszyła przed siebie, lawirując wśród fal na wilgotnym paśmie piasku omywanego falami przyływu. Pete towarzyszyła matce, pilnując żeby rozbryzgi fal nie zamoczyły jej butów.

Szła ze spuszczonej oczami w poszukiwaniu muszelek i kamieni. Nagle podniosła wzrok i z zaskoczeniem zauważyła, że z naprzeciwka nadchodzi dwóch mężczyzn. Znaleźli się raptem dwa, trzy metry przed nimi. Obaj wysocy, jeden z nich był szczupłym blondynem o wąskich biodrach. Drugi natomiast, mocniejszej budowy, z targaną przez szaleńcze porywy wiatru czupryną, miał w swoim wyglądzie coś dzikiego. Obaj musieli mieć po dwadzieścia parę lat i byli całkiem przystojni, w twarzy potężniejszego z dwu mężczyzn kryło się jednak coś gniewnego i odpychającego. Pete domyśliła się, że jest pacjentem spacerującym w towarzystwie krewnego bądź

przyjaciela; nie sprawiał wrażenia osoby, która ma zamiar ustąpić kobietom. Chwyciła matkę za rękę, usiłując odciągnąć ją z drogi, ale Bettina parła prosto przed siebie w sposób niemal prowokacyjny. Na szczęście mężczyźni rozstąpili się i przepuścili ją środkiem.

Pete uśmiechnęła się z wdzięcznością. Szczuplejszy odpowiedział jej uśmiechem, potężniejszy natomiast omiół ją przeciągłym, uważnym spojrzeniem, w którym czaiła się podejrzliwość. Kiedy mijali się, zauważyła, że ma na twarzy dwudniowy zarost, który w połączeniu ze strojem - grubym, wełnianym golfem pod kurtką koloru khaki z wojskowymi naszywkami - pogłębiał jego dziki wygląd. Ofensywa w Wietnamie właśnie się załamała i ostatnie oddziały zostały ewakuowane helikopterami z dachu ambasady amerykańskiej w Sajgonie pod ostrzałem wkraczają-

cych do miast wojsk Viet Kongu. Pete zdążyła już natknąć się na artykuł traktujący o objawach głębokich zaburzeń psychicznych u weteranów powracających do kraju. Zwolniła kroku. Przez sekundę miała ochotę wyrazić głębokie współczucie z powodu złego traktowania weteranów po powrocie do ojczyzny, jednak poczuła, że w dwóch słowach nie uda jej się przekazać swoich uczuć. Przyspieszyła więc kroku, żeby dogonić matkę.

Bettina zawróciła przy ogrodzeniu okalającym teren posiadłości. Ruszyły w przeciwną stronę. Przez parę minut nie odzywały się do siebie. Na plaży znów nie było nikogo. Obaj mężczyźni zniknęli.

- Ty też nie wydajesz się szczęśliwa, Piętro - odezwała się w końcu Bettina, patrząc w dal. Co się z tobą dzieje?

- Nic się me dzieje, mamó. Wszystko w porządku.

- Jestem zdrowsza, silniejsza, moja droga. Nie musisz mnie już tak oszczędzać...

- Ależ, mamó...

- Widzę smutek w twoich oczach, wyglądasz na przygnębioną. Nie ukryjesz tego przede mną, Piętro. Widzę, co się dzieje...tak jak rybak patrzący w niebo widzi nadciągający sztorm. Coś podobnego obserwuję dzień po dniu, kiedy oglądam własną twarz w lustrze.

Pete przeżyła lekki szok. Czyżby obie z matką były do siebie aż tak podobne? Niewątpliwie matka była obdarzona przenikliwą intuicją. Jakie jednak płynęły z tego rokowania na przyszłość? Od czasu, kiedy ojciec opowiedział Pete o rozkochanej w klejnotach babce, zwykła uważać, że na jej losie wycisnęły piętno uzdolnienia i pasja odziedziczona po babce. Teraz przyszło jej do głowy, że część osobowości mogła odziedziczyć po matce. Czy nie z tego powodu tak strasznie zależało jej, żeby matka powróciła do zdrowia?

Czy opowiadanie matce o swoich problemach było dobrym pomysłem? Parę lat wcześniej Jess sugerowała, że Bettinie dobrze by zrobiło traktowanie jej jakby była matką, a nie kruchą, bezwolną istotą.

Pete nie mogła zdecydować się na ten krok. Nie potrafiła cofnąć się do dzieciństwa, z powrotem szukać u matki oparcia. Bettina w rzadkich chwilach dobrego samopoczucia potrzebowała wszystkich sił dla siebie.

- Nic mi nie jest - powtórzyła Pete. - Trochę drobnych kłopotów, ale któż ich nie miewa?

Kiedy dochodziły do furtki, Bettina przystanęła i jeszcze raz spojrzała córce prosto w twarz.

- Jesteś taka piękna - westchnęła. - Gdybyś nie była taka piękna, czułabym się o ciebie spokojniejsza.

Kolejny raz Pete nie odważyła się zapytać, co kryje się pod zagadkowym stwierdzeniem matki. A potem już było za późno.

- Chodź - powiedziała Bettina. - W salonie będą podawać

herbatę. A jeżeli będę bardzo grzeczna i będę ładnie wyglądać, może mi dadzą nawet kawałek ciasta.

Wracając o zmierzchu do Nowego Jorku, Pete rozmyślała o chwili, kiedy matka, widząc jej zatroskanie pospieszyła z pociechą. Czy miała rację nie chcąc przyznać się do swoich zmartwień? Czy rzeczywiście powinna ukrywać smutki i rozczarowania? Czy nie zmarnowała okazji, by w ich stosunkach zapanował zbawienny przełom?

Chyba nie. Jeśli zdrowie mamy będzie się stale polepszać, wtedy zaczną rozmawiać ze sobą, rozmawiać naprawdę.

Często marzyła o tym, aby mieć kogoś, kto służyłby jej radą, wysłuchiwał zmartwień, pocieszał. Jak cudownie byłoby mieć z powrotem matkę.

Rozdział trzeci

poniedziałek rano, po przybyciu do pracy, Marcel Iveres zastał na swoim biurku telegram nadany przez paryski oddział Duforta & Iveresa, mieszczący się przy placu Vendôme.

W telegramie informowano, że kierownik sklepu, który miał dostęp do spuścizny zmarłego niedawno kolekcjonera, odkupił z niej dziesięć niezmiernie rzadkich sztuk secesyjnej biżuterii projektu René Lalique'a, słynnego jubilera, który podbił Paryż na przełomie stuleci.

Marcel został powiadomiony, że biżuteria jest na sprzedaż i osobiście upoważnił dyrektora do ewentualnej transakcji. Teraz jednak z przerażeniem przyjął wiadomość o sumie, którą tamten zapłacił. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że nie powinien był swojemu przedstawicielowi dawać *carte blanche*, lecz ustalić górną granicę wydatków.

Tak z pewnością postąpiłby jego ojciec. Nie, nie postąpiłby tak, stwierdził Marcel po chwili namysłu. Jego ojciec nigdy nie powierzyłby tak poważnej transakcji osobie trzeciej. Ojciec dopilnowałby wszystkiego osobiście.

A jak, zastanawiał się Marcel, odpowiedziałby ojciec na zawarte w telegramie pytania dyrektora?
Czy monsieur

Iveres życzy sobie, żeby wystawić biżuterię w sklepie paryskim, czy też uważa, że należy ją przekazać do Nowego Jorku, gdzie przypuszczalnie można będzie uzyskać o wiele wyższe ceny? A może należy na jakiś czas zamknąć kolekcje w sejfie i przyjrzeć się reakcji rynku na wyroby secesyjne?

Marcel rozmyślał głęboko. Sklep przy placu Vendôme od

niepamiętnych czasów uchodził za najbardziej reprezentacyjny, a Paryżanie mieli szczególny sentyment do Lalique'a. Aktualnie jednak sklep nowojorski miał wyższe obroty. Jak postąpiłby ojciec?

Ostatnie trzy lata Marcela upłynęły w szaleńczym wirze. Zaczęło się od szokującej wiadomości, że jego ojciec lada chwila rozstanie się z życiem. Potem zaczął się wyścig z czasem, żeby nauczyć się

od ojca, co tylko się da i przejąć maksymalną liczbę funkcji, które Claude Iveres zwykł był pełnić osobiście - nadzór filii w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku, odleglejsze podróże, dzięki którym kładło się rękę na najlepszych kamieniach, skupując je wprost od dostawców. Jednym słowem: wizyty w kopalniach rubinów w Tajlandii, transakcje z kartelem diamentowym w Johannesburgu, skup kamieni od zubożałych po demokratyzacji kraju hinduskich maharadzów, którzy wyprzedawali się niejednokrotnie z wielusetletnich klejnotów. Marcel ledwie był w stanie dotrzymać kroku ojcu. Odbываяc to przyspieszone szkolenie odkrył, że jego ojciec „nosił” biuro firmy „w kapeluszu”.

Jego osobiste kontakty w świecie kopalń drogocennych kamieni, handlu i aukcji kamieni szlachetnych tworzyły potajemną sieć o rozmiarach, które umozliwiały przekazanie jej w całości synowi. Nie był też w stanie przekazać mu swojego sprytu, niezrównanej przebiegłości, której wymagała aktualna sytuacja na rynku światowym. Nowych kamieni szlachetnych przybywało coraz wolniej. Zasoby „starych kopalń” - rubiny z Indii, szmaragdy ze starożytnej kolumbijskiej kopalni Muzo, szafiry z Birmy - dawno uległy wyczerpaniu. Nowsze kopalnie, zwłaszcza w po-

łudniowo-wschodniej Azji, nazbyt często mieściły się na terenach objętych działaniami partyzantki czy otwartą wojną.

Również popyt na kamienie szlachetne wykazywał tendencje zniżkowe. Zakończona niedawno inwazja w Wietnamie wywołała w Stanach depresję gospodarczą o międzynarodowym oddźwięku, kładąc chwilowo tamę popytowi na artykuły zbytku. Marcel wątpił, czy hodowcy fistaszków z Georgii, który właśnie zwyciężył w wyborach prezydenckich, szybko uda się przywrócić dawny stan rzeczy. Naturalnie bardzo bogaci będą wydawać pieniądze w każdych okolicznościach, jednak i oni teraz rzadziej

sięgali do kieszeni. Wprawdzie obroty Duforta & Iveresa wciąż jeszcze wskazywały saldo dodatnie, jednak o wiele niższe i mniej dynamiczne niż za życia Claudea.

Ostatnimi czasy Marcelowi zdarzało się żałować decyzji ojca, aby nie odprzedawać firmy Antoniowi Scappie, niemniej czuł się honorowo zobligowany decyzji tej przestrzegać. Był zresztą pewien, że oferta przestała być aktualna. Scappa, od czasu wyjazdu córki do Nowego Jorku, przysłał jej tylko jeden list, który Andrea pokazała zresztą Marcelowi. Ze śmiechem przetłumaczyła słowa ojca, który po włosku zapowiadał, że nigdy nie wybaczy jej tego, że „przeszła do obozu nieprzyjaciela jak dziwka, która włóczy się za wojskiem”. Od tego czasu wszelka łączność między obojgiem ustała. Tymczasem sieć Tesori rozrastała się, otwierając nowe filie w Rio, Caracas, Hongkongu, Berlinie Zachodnim, jakby Scappa chciał córce na odległość pokazać, że popełniła błąd odchodząc.

Ciągle jeszcze nie otworzył konkurencyjnego sklepu w Nowym Jorku, ale Marcel zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później dojdzie do tego. Tesori nie potrzebowała już wchłonięcia Duforta & Iveresa.

Marcel naturalnie zdawał sobie sprawę, że waśń rodzinna jest jednym z motorów działań Andrei. Czyż nie wdała się w romans z nim dlatego, że jej zdolności były lekceważone w domu rodzinnym? Nie żałował jej decyzji. Nadal dzierżyła prym erotyczny wśród kobiet, które kiedykolwiek zagrzały miejsce w jego sypialni. Była zwierzęco wolna od wszelkich zahamowań. Nigdy nie zadał sobie pytania, czy rzeczywiście ją kocha, gdyż w stosunkach obojga tego rodzaju kwestia wydawała się nie

należać do rzeczy.

Poza tym Dufort & Iveres bez Andrei zapewne podupadłby o wiele bardziej. Andrea udzielała się niestrudzenie na rzecz firmy - zarówno w sklepie, jak i w życiu towarzyskim. Miała znakomite pomysły kampanii i chwytów reklamowych, których z pewnością jego ojciec by nie pochwalał, jednak w opinii Marcela było to zgodne z duchem czasów. „Sprzedaż kamieni szlachetnych powinna być równie starannie wyreżyserowana jak sztuka teatralna”, mawiała, kiedy usiłowała przekonać Marcela do specjalnego urządzenia i odpowiedniego wystroju paru prywatnych saloników, przeznaczonych dla najlepszych klientek.

Drugim jasnym promykiem Duforta & Iveresa był rekordowy wskaźnik sprzedaży uzyskiwany przez ekspedientkę -

Pietrę D'Angeli. Na siedmiu sprzedawców zatrudnionych w dziale wartościowej biżuterii jej zawdzięczano jedną trzecią wpływów ze sprzedaży.

Marcel odsunął się od biurka. Jego umysł zalała bez reszty fala wspomnień: tamten - jedyny - wieczór, to, jak wyglądała, jej piękna twarz skupiona na rozwikłaniu tajemnicy diamentu. Przypomniawszy sobie nastrój tamtego wieczoru, bezsenność, kiedy leżał rozmyślając o niej, zastanawiając się, czy nie jest za młoda i co by jego ojciec powiedział, gdyby pojawił się w jej towarzystwie w ich francuskim *chateau*.

Ta szansa uciekła mu sprzed nosa, musiał przyznać. Teraz był niewolnikiem Andrei, nie wątpił też, że nieoczekiwana zmiana klimatu ich stosunków musiała Pete rozgniewać lub wręcz zranić.

Na szczęście nie była na niego aż tak zła, żeby wycofać się z zamiaru podjęcia pracy w firmie. Trzeba przyznać, że swoją przydatność udowodniła nad podziw. Parę krótkich rozmów, które odbyli w ciągu trzech lat, przebiegło w klimacie chłodnym, lecz przyjacielskim. Bez wątpienia potrafiła oddzielać sprawy służbowe od osobistych.

Marcel wstał zza biurka i podszedł do stołu w narożniku wielkiego gabinetu. Na stole leżały rozłożone materiały do przygotowywanej przez Andreę kampanii reklamowej. Piękna modelka w niedopiętym płaszczu od deszczu sfotografowana na tle fasady Duforta & Iveresa przy Piątej Alei. Z uśmiechem na uniesionej w górę twarzy płaWiła się w strugach deszczu, którego padające skośnie krople składały się z maleńkich diamentów. Na dole napis „Jak rozchmurzyć dziewczynę w deszczowy dzień?”

Według Andrei, reklama miała przełamać obraz firmy i przyciągnąć młodszą klientelę. Tradycyjne reklamy diamentów przedstawiałały mężczyznę i kobietę, dla których kamień miał być symbolem dożgonnego związku.

Jednak na świecie przybywało młodych, atrakcyjnych, czynnych zawodowo, niezależnych kobiet, które nie wypatrywały z utęsknieniem pierścionka zaręczynowego. Reklama sugerowała, że powinny kupić sobie pierścionek za własne pieniądze bądź też zdobyć go, posługując się seksem wolnym od dalszych zobowiązań.

Marcel nie wątpił, że reklama ściągnie na sklep wiele uwagi. Wciąż jednak nie był pewien, czy rzeczywiście nadeszła pora, żeby całkowicie rozstawać się z obrazem statecznej jakości, któremu Dufort & Iveres zawdzięczał

swoją renomę.

Uważał, że Andrea poczyniła sobie zbyt impulsywnie, czego dowodem był mały tajfun, który przetoczył się nad jego najlepszą sekretarką.

Marcel odmówił zwolnienia Lottie, udało mu się też w końcu ugłaskać Andreę, jednak w wielu istotniejszych sprawach zdawał się na jej osąd. Być może powinien ustąpić w kwestii reklamy...

Jak postąpiłby ojciec?

Drzwi gabinetu otwały się szeroko i w obłoku perfum Joy wpłynęła, omiatając go jedwabną koralową spódniczką od Valentina ta, o której właśnie myślał. Tak często się to zdarzało, że zaczął ją podejrzewać o radar w głowie. A może po prostu myślał o niej zbyt często?

Przystanęła obok Marcela, wpatrzona w projekt reklamowego zdjęcia.

- No i co? - spytała zaczepnie. - A może ciągle jeszcze usiłujesz odgadnąć, co by postanowił twój świętej pamięci père?

Marcel obrzucił ją spojrzeniem, w którym zdumienie mieszało się z wyrzutem. Zbyt dobrze go zna, pomyślał, zbyt wielką ma nad nim władzę. Niemniej poczuł się podniecony na jej widok. Zeszłą noc spędzili osobno. Od samego początku Andrea obstawała przy posiadaniu własnego mieszkania, które miało być symbolem jej niezależności.

Twierdziła też, że będą dla siebie bardziej atrakcyjni erotycznie, jeżeli od czasu do czasu, na przekór rutynie, spędzą noc osobno. Czas dowiódł, że miała rację.

- Twój projekt jest bardzo interesujący, *chérie*, ale chciałbym mieć czas na zastanowienie.

- Jest już za późno na styczniowe wydanie „Vogue'a” i „Bazaru”. Jeśli odwleczesz sprawę o kolejny tydzień, zamkną numery lutowe. Jak długo jeszcze masz zamiar czekać, Marcel?

- Tak długo, aż będę przekonany, że nie ucierpi na tym wizerunek firmy.

- Niech diabli wezmą pieprzony obraz firmy - wściekła się Andréa. Umiem czytać sprawozdania finansowe równie dobrze jak ty, *mon amour*. Nasze obroty maleją, podczas gdy Tiffany, czy Cartier zdobywają coraz szerszą klientelę na rynku. Czy ostatnio zadałeś sobie trud, żeby przejść na drugą stronę ulicy, do Tiffany'ego? Mają tam sterty chłamu w rodzaju srebrnych swiggli Palomy czy złotych zapinek do włosów. W przeciwieństwie do ciebie zdają sobie sprawę, że młode dziewczęta, które teraz kupują u nich tandetę, w przyszłości mogą poślubić milionerów... albo same zbić fortunę i wrócić, żeby dokonać poważnych zakupów. Świat coraz szybciej idzie naprzód, tymczasem my sprzedajemy nasz towar gromadzie staruch, które przystaną przed naszą witryną w drodze do grobu.

- Nie mam nic przeciwko pozyskiwaniu nowych klientek, ale musi istnieć jakiś mniej... wulgarny sposób.

- Podeszedł do biurka i podał jej telegram z Paryża. - Masz, przeczytaj sobie.

Andréa przebiegła telegram wzrokiem.

- I co z tego? Nie widzę tutaj nic nowego. Kupiłeś niezły fragment czyjejs kolekcji. Prędzej czy później znajdzie się ktoś bogaty, kto odkupi to z zyskiem dla ciebie. Dla sklepu to nie jest żadna rewolucja.

- Masz świetną głowę *chérie*. Czy nie mogłabyś na tym właśnie oprzeć swojej kampanii? Biżuteria Lalique'a jest unikalna, nie ma drugiej takiej na świecie. Dlaczego nie mielibyśmy robić jej zdjęć reklamowych i przedstawiać się światu jako ci, którzy posiadają coś niezmiernie rzadkiego?

Andréa w zadumie podeszła do okna. Nie miała nic przeciwko podtrzymywaniu obrazu wysokiej jakości i klasy firmy, gdyby rosły obroty. To był przynajmniej jeden obszar, na którym ojciec nie mógł się z nimi ścigać. Po drugiej stronie ulicy widziała fasadę Cartiera. Jak też oni to robią?

Odwróciła się nagle do Marcela.

- A co byś powiedział o kopiach?

- Kopie - powtórzył, nie pojmując. To słowo było dokładnym zaprzeczeniem tego, o co mu szło.

- Stworzymy serię replik Lalique'a - mówiła Andréa z rosnącym podnieceniem - dostępnych jednak dla osób, które mogą wydać na coś takiego tysiąc czy dwa. Popatrz tylko na Cartiera i jego *Les Mustes*. Możemy zrobić coś podobnego i nazwać naszą serię... - Zaczęła krążyć niespokojnym krokiem przebierając nerwowo palcami, jakby wyłapywała pomysły z powietrza. - ...*Les Objets!* - wybuchnęła z triumfem. - Nie uważasz, że świetne? Każdy kulturalny człowiek skojarzy te słowa *objets d'art*, a nawet nie znającym języka będzie się to kojarzyło z obiektem, gadżetem... Przystanąła i spojrzała na niego, opierając dłonie na biodrach.

- Chciałeś pomysłu? Oto on!

Marcel uśmiechnął się pod nosem. Przypomniało mu się, jak ojciec szydził z nachalnej reklamy Cartiera.

- Niedługo zaczną dodawać te swoje buble do pudełek z płatkami owsianymi - stwierdził po zapoznaniu się z ich promocją popularnej biżuterii.

- No i jak? - spytała, przysuwając się do Marcela. - Co o tym sądzisz?

Marcel widywał ją już w podobnym nastroju, wolał się więc mieć na baczności. Andréa zachowywała się jak drapieżnik, który poczuł świeżą krew. Odmowa w takich przypadkach bywała trudna, o ile wręcz nie bezcelowa.

Może rzeczywiście nadszedł moment, żeby zmienić politykę reklamową firmy.

- Sam nie wiem - powiedział ostrożnie. - Muszę się zastanowić.

- Zastanowić! Zastanowić! - syknęła ze złością, zastępując mu drogę. - Czy mówiłeś „pozwól mi się zastanowić”, kiedy przyszła okazja, żeby mnie wydymać? W interesach za bardzo polegasz na swoim mózdzku, mój drogi. Kiedy wreszcie, do licha, zaczniesz działać jak facet z jajami? - Dla podkreślenia wagi tych słów złapała go za genitalia i mocno ścisnęła. Spojrzał na nią z wyższością.

- Dlatego, że w określonych sytuacjach moje jaja spisują się całkiem nieźle, natomiast mój mózg funkcjonuje sprawnie w zupełnie innych sytuacjach - oświadczył.

Dłoń Andrei zacisnęła się jeszcze mocniej, a ona sama przywarła całym ciałem do Marcela.

- A teraz masz do czynienia z jaką sytuacją, mógłbyś mi powiedzieć? - spytała gardłowym szeptem.

Był podniecony w najwyższym stopniu. Jego oczy pobiegły w stronę drzwi gabinetu. Zapragnął, żeby były zamknięte na klucz.

- Nic z tego. - Przechwyciła jego spojrzenie. - Przestań myśleć, chérie. Pokaż mi, że potrafisz działać. - Przytknęła usta do jego ucha, szepcząc namiętnie. - No, pokaż. Zapomnij o konsekwencjach, zapomnij o wszystkim. Zapomnij o cholernym obrazie firmy. Pokaż mi. - Rozpięła rozpiorek Marcela i zaczęła gwałtownie poruszać dłonią.

Jej napaść w połączeniu z oskarżeniem, że jest zbyt mało przedsiębiorczy w interesach, rozwścieczyła go i pobudziła. Nagłym, brutalnym gestem sięgnął do jej ud, zadarł spódniczkę i ściągnął w dół majtki. Zanosząc się śmiechem, wyswobodziła ze spodni penis Marcela. Oplotła się nogami wokół kochanka. Przysiadł na brzegu biurka, żeby nie stracić równowagi.

- Tak, *mon brave*, tak. Pokaż mi... no, pokaż mi...

Wdarł się w rozparzoną wilgoć jej ciała, wplatając dłonie w jasne włosy, miażdżąc usta Andrei w bolesnym pocałunku, splatając swój język z jej językiem. Andrea, uczipiona w powietrzu Marcela, wraz z nim wykonywała coraz szybsze i coraz gwałtowniejsze ruchy.

- Ja tobie też pokażę - zapowiedziała świszczącym szeptem, przerywanym rytmicznymi posapywaniami. Odchyliła głowę do tyłu, czując zbliżającą się eksplozję. - Ja.. ci.. pokażę... - zaczęła mówić. Uwolniona energia wytrysnęła z głębi jej ciała, zlewając się z falą energii Marcela.

W drodze powrotnej ze szczytu, kiedy cichły już uderzenia ich serc, spojrzeli na siebie. Na twarzach obojga wykwitł

nieśmiały uśmiech. W tym pospiesznym, szaleńczym zjednoczeniu oboje przekonali się, że pierwotna siła, która pchnęła ich ku sobie, nie osłabła w ciągu spędzonych wspólnie lat.

Andrea wyswobodziła się z uścisku Marcela. Uładzili fryzury i garderobę, tak by zniknął ostatni ślad ich miłosnych zmaganiań.

- I czego to twoim zdaniem dowodzi? - starając się ratować resztki honoru, zadrwił Marcel. - Tego, że kiedy przyjdzie do dymania, potrafię sprawnie działać? A ty, co też takiego mi „pokazałaś?”

- Pokazałam ci, że nikt nie robi dla ciebie tyle, ile ja potrafię - oświadczyła wyzywająco. - Boisz się mnie stracić.

- Czuję niemiły posmak groźby w twoich słowach - powiedział, patrząc na nią spod oka.

- Doprawdy? - stwierdziła obojętnie.

Wiedział, co jej dolega - trawił ją płomień wszechmocy.

- W interesach muszę postępować zgodnie z własnymi przekonaniem. Nie mogę słuchać ciebie.

Wzruszyła teatralnie ramionami i podeszła do drzwi.

- Czy jednak ryzyko nie jest bardziej podniecające? W końcu usłuchałeś mnie i nie zamknąłeś drzwi. Nacisnęła klamkę i wyszła, zostawiając drzwi otwarte na oścież.

Czterdzieści trzy po piątej Pete przestąpiła próg hotelu St. Regis, położonego przy Piątej Alei, o dwie przecznice od Duforta & Iveresa.

Z premedytacją spóźniła się. Jeżeli ktoś ma siedzieć i czekać, to niech to będzie Marcel. Gdyby zniecierpliwiony wyszedł - tym lepiej. Wciąż nie miała pewności, czy nie było głupotą z jej strony zgadzać się na spotkanie poza sklepem. Być może, mając choć chwilę czasu do namysłu, odmówiłaby, jednak została przywołana do telefonu wewnętrznego, kiedy właśnie finiszowała sprzedaż garnituru z szafirów podstarzałemu potentatowi handlu nieruchomościami, który zamierzał ofiarować je na urodziny słynącej z nienasyconej pazerności żonie.

Czasu starczyło tylko na jedno pytanie:

- Dlaczego nie mogę po prostu przyjść do twojego gabinetu?

- Mam tu straszne urwanie głowy - wyjaśnił. - Ale nie denerwuj się, Pete. Tak jak zeszłym razem, chodzi mi wyłącznie o sprawy służbowe.

Tak jak zeszłym razem? Zapewne usiłował ułagodzić jej zranione uczucia, udając, że nigdy nie było między nimi cienia romansu, co było wierutnym kłamstwem, podobnie jak pretekst, dla którego rzekomo musiał się z nią spotkać poza sklepem. Wyraźnie nie chciał, żeby Andrea dowiedziała się o ich spotkaniu.

Przystanąła w progu hotelowego baru King Cole. *Maitre d'hotel* wyszedł jej na spotkanie.

- Jestem umówiona z *monsieur* Iveresem...

Maitre d'hotel skinął głową i poprowadził ją do stolika z dwoma krzesłami, przy którym siedział Marcel z nosem w „Wall Street Journal”. Dopiero szelest w pobliżu stolika uświadomił mu obecność

Pete. Wstał, czekając aż usiądzie, po czym z powrotem zajął swoje miejsce. Nad stolikiem zawisł kelner.

- Chętnie napiję się szampana - oświadczył Marcel, patrząc spod oka na Pete, czy dobrze utrafił w jej gust.

- Szampana pijam tylko przy szczególnych okazjach - oświadczyła chłodno. - O ile dobrze zrozumiałam, to jest zwykłe, służbowe spotkanie. Proszę Campari z wodą sodową - zwróciła się do kelnera.

Marcel skwitował jej słowa typowo francuskim wzruszeniem ramion i zamówił dla siebie kieliszek Glenlivet.

- Mimo wszystko nie mogę się oprzeć uczuciu, że jest to nadzwyczajna okazja - zagaił, gdy kelner ulotnił się. -

Pierwszy raz siedzimy ze sobą w niekrępujących okolicznościach, od kiedy...

- Marcel, jeżeli masz zamiar jeszcze raz wspominać o tamtym wieczorze - przerwała z wzrokiem wbitym w stół -

...o tamtej kolacji, to wstanę i wyjdę stąd w jednej chwili. - Spojrzała na Marcela, a jej oczy miały błyskawice. - Nie żartuję. Powiedziałeś, że to będzie spotkanie służbowe i przyszedłam tylko pod tym warunkiem, ponieważ też mam z tobą parę spraw do omówienia. Mam nadzieję, że rozumiesz, co do ciebie mówię?

Tylko z najwyższym wysiłkiem panowała nad głosem. Widok jego szczupłej, przystojnej twarzy po drugiej stronie stolika, jego obecność w przyćmionym, zacisznym wnętrzu baru rozbudzały na nowo marzenia, z którymi dawno się już pożegnała.

- Rozumiem - powiedział cicho. - Wybacz mi moją gruboskórność.

Skwitowała przeprosiny krótkim skinieniem głowy. Kelner akurat stawiał ich kieliszki na stole. Łyknęli.

- Czy spotkałaś się z pracami René Lalique'a? - spytał po przerwie Marcel.

- Oczywiście, Lalique jest bodaj moim najulubieńszym secesyjnym projektantem biżuterii. - Pete w oryginale widziała tylko kilka prac Lalique'a przy okazji przedaukcyjnych pokazów biżuterii w Galerii Parke-Bernet, jednak nawet te kilka sztuk wystarczyło, żeby unaocznic niecodzienną wizję mistrza, który działał na przełomie stuleci. Lalique oprawiając klejnoty posługiwał się nie tylko metalami szlachetnymi, ale również szkłem, kryształem górskim, w mistrzowski sposób operował też *pUque-a-jour*, przejrzystą przepuszczającą światło emalią.

- Z jakiego powodu jest twoim ulubieńcem? - zaciekał się Marcel.

- W jego biżuterii liczy się każdy element. - Przed oczami Pete stanęły jak żywe dzieła Lalique'a. -

Większość jubilerów zwraca uwagę wyłącznie na kamienie, resztę traktując jedynie jako oprawę, którą można zastąpić inną dowolną oprawą. Inaczej postępował Lalkme, który z premedytacją przeciwstawiał łagodny połysk *pUque-a-jow* ostrym blaskom kamieni o soczystych barwach. Był pierwszym jubilerem, u którego kamienie i oprawa dopełniały się wzajemnie w taki sposób.

Zauważyła, że Marcel wpatruje się w nią intensywnie. A może był to szklisty wzrok mężczyzny, który nie słyszy wcale co papie jego towarzyszka? Chwyciła za kieliszek.

- Lalique był również ulubieńcem mojego ojca - wyjaśnił Marcel.

- Podziwiał go dokładnie za to samo co ty, za łączenie dwóch różnych rodzajów światła. Znał Lalique'a osobiście -

jak wiesz zapewne. - Lalkme zmarł dopiero w czterdziestym piątym. Dla tego artysty współgranie światła miało znaczenie nie tylko estetyczne, podniesione zostało wręcz do rangi filozofii.

- Jak to? - spytała. Teraz miała już pewność, że wcale go nie nudzi.

- Przeciwstawienie światła - wyjaśnił Marcel - światła ostrego i światła łagodnego - iskrzenie kamieni skonstrastowane z miękkim połyskiem emalii - miało, w mniemaniu Lalique'a odzwierciedlać najgłębszy paradoks piękna. - Umilkł na chwilę, nachylając się w jej stronę, zanim podjął dalej. - To, co najpiękniejsze, często nie trwa długo - jeden przelotny błysk i po wszystkim.

Ich oczy spotkały się. Trudno było nie odnieść słów na temat piękna do ich wspólnego wspomnienia, które było niczym innym, jak właśnie przelotnym błyskiem.

Poruszyła się na krześle, przełamując czar tej chwili.

- Co to ma wszystko wspólnego z interesami? Zdecydował się wycofać na mniej grząski teren.

- Właśnie zakupiłem dziesięć oryginalnych Lalique'ów.

- Cudownie! - wykrzyknęła.

- Na razie są w Paryżu, ale mam zamiar sprowadzić je tutaj. Kiedy nadejdą, chciałbym je oddać w twoje ręce.

- ... jako sprzedawczyni... - dokończyła Pete. Jej entuzjazm wyraźnie zaczął opadać. Jeszcze przed chwilą rozmawiali o tym, co istotne w projektowaniu biżuterii, a już z powrotem została zdegradowana do roli ekspedientki.

- Ze sposobu, w jaki mówisz o Lalique'u, widzę, że nadajesz się do tej pracy lepiej niż kto inny. Chodzi mi o coś więcej, niż tylko o zdobycie odpowiedniego nabywcy. Chcę, żebyś ty wyceniła te przedmioty, opracowała odpowiednią promocję, uzasadniającą wysokość cen, reklamowała związki naszej firmy z Lalique'em, które podniosłyby ogólny popyt na naszą biżuterię, wreszcie - podkreśliła tradycję jakości w Dufort & Iveres.

Pete odwróciła wzrok, walcząc z narastającą irytacją. Najpierw podpuścił ją, wykorzystując jej namiętność do projektowania biżuterii, potem dał po głowie. Przyszła pora poruszyć własne sprawy.

- Marcel, nie mam zamiaru sprzedawać biżuterii w nieskończoność. Wiem, że to bardzo przyzwoite zajęcie, nie ma w nim nic ujmującego, ale to nie jest to, co chcę robić. Od samego początku wiedziałeś, jak bardzo zależy mi na projektowaniu, a mimo to nie dałeś mi najmniejszej szansy.

- Owszem, ale jeżeli teraz przeniosę cię do działu projektów, stracisz kupę pieniędzy. Szykuje się naprawdę wielka okazja.

- To nie jest ta okazja, o którą mi chodzi. Daj mi to, na co zasługuję, to, na co sobie zasłużyłam - mówiła, karcąc się w duchu za własne słowa. Była chyba szalona odrzucając jego propozycję. Sprzedaż Lalique'ów zapewniłaby jej wysoką prowizję, a ona przecież potrzebowała pieniędzy...

Marcel potrząsnął głową, wyraźnie zdziwiony. Wyciągnął rękę w jej stronę.

- Pete - zwrócił się do niej łagodnie.

Splotła ręce na piersi, wyraźnie odgradzając się od jego prób ugłaskania jej. Odchylił się do tyłu i przyjrzał badawczo Pete.

- Jestem pod wielkim wrażeniem twojej znajomości Laliquea - oświadczył z chytrym uśmieszkiem. - Trudno mi sobie wyobrazić kogoś odpowiedniejszego do tego zadania. Mam jednak pewien pomysł i ciekaw jestem, jak się do niego odniesiesz. Ten pomysł oznaczałby dla ciebie wykonanie paru sztuk biżuterii...

Mur prysł. Znowu patrzyła mu w oczy.

- Użyjemy Lalique'ów jako inspiracji do serii tańszej biżuterii, utrzymanej w podobnym stylu.

- Kopie? - spytała.

- Niekoniecznie. Można by posłużyć się tą samą techniką, stosując jednak pewne wariacje. Na przykład reprodukcja każdego wzoru w ograniczonym nakładzie i sprzedawać po niższej cenie niż oryginały. Zapewniłbym ci procent od każdej sprzedanej sztuki.

- Nie - zamknęła mu usta bez cienia wahania. - Nie przyłożę ręki do czegoś takiego. Czy wiesz, dlaczego Lalique rzucił w dziewięćset ósmym projektowanie biżuterii?

- Nie mam pojęcia - odparł zakłopotany.

- Bo czuł się chory, fizycznie chory, widząc, jak jego natchnione, delikatne projekty zostają zwulgaryzowane w rękach naśladowców, którzy robią interes na jego geniuszu, wykorzystując rynek zbytu, który on powołał do życia.

Nie jestem imitatorką, Marcel. Nie zrobię czegoś takiego ani Lalique'owi, ani samej sobie. Chcę tworzyć, a nie kopiować cudze wzory, pragnę rzucić moją twórczością wyzwanie, a nie kleić ubogie

imitacje arcydzieł. -

Odepchnęła krzesło od stołu, szykując się do odejścia. - Moim zdaniem oboje popełniliśmy błąd. Ja zapewne niesłusznie pozostałam w twojej firmie, mimo że potrzebuję każdego zarobionego tutaj grosza. Nie odchodzę więc i mam nadzieję, że nie zostanę zwolniona. Ale z ręką na sercu oświadczam, że na pewno będę się rozglądać za miejscem, gdzie będę mogła poświęcić się temu, co kocham.

Ledwie zerwała się od stolika i ruszyła w stronę drzwi, a już pożałowała swojego uporu. Zachowała się całkiem bezsensownie. Marcel zaproponował jej aż dwie korzystne okazje, a ona odrzuciła obie, jedną z irytacji, drugą dla zasady.

Dopiero na schodach przed hotelem, kiedy owiało ją chłodne,

listopadowe powietrze, zauważyła, co w rzeczywistości nią kierowało. Po prostu w obecności Marcela traciła rozum.

Bała się ponownie zaangażować, bała się stać pionkiem w rozgrywkach uczuciowych między nim a Andream.

W przyływie buntowniczej rozrzutności pozwoliła portierowi odprowadzić się aż do taksówki.

Kiedy za oknem wozu migały połyskliwe witryny Piątej Alei, w myślach Pete panował skrajny zamęt. Czy otrzyma teraz wymówienie? Chyba nie, była zbyt cenną ekspedientką. A może sama powinna złożyć wymówienie.

Ładnie by wtedy wyglądała.

Gdyby stan matki się poprawił, mogłaby zaryzykować. Być może niedługo to nastąpi. Kto wie, czy Święto Dziękczynienia nie okaże się punktem zwrotnym w jej życiu.

W półmroku baru Marcel dopijał swój kieliszek. Zasięgając rady czołowej ekspedientki na temat biżuterii Lalique'a, z pewnością zadziałał, lecz, o ironio, Andrea na pewno byłaby wściekła, gdyby się o tym dowiedziała. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Andrea nie przepada za Pete - może jest zazdrosna o ich dawne kontakty - o czym świadczyły różne drobne aluzje

i docinki, jak też próby dyskredytowania osiągnięć służbowych Pete. Nie mógł jednak pozwolić na to, żeby Andrea kontrolowała go w sklepie czy poza sklepem.

Uśmiechnął się z satysfakcją. Wciąż istniała szansa na to, że Pete zdecyduje się wziąć sprzedaż Lalique'ów w swoje ręce. Nigdy jednak nie zgodzi się na wykonywanie imitacji. Zaliczyła kolejny sprawdzian, tym razem nic o tym nie wiedząc. Pomogła mu również podjąć decyzję.

A jego decyzja była dokładnie taka, jaką podjąłby *pere*.

Rozdział czwarty

Pete zjawiała się w SoHo na poddaszu ojca i Anny mocno rozgoryczona. Był czwartek przed Świętem Dziękczynienia. W dzień po spotkaniu z doktorem Haffnerem zadzwoniła do ojca, by przekazać mu radosną nowinę i poprosić o towarzyszenie w świątecznym wyjeździe. Steve oświadczył najpierw, że nie jest pewien, czy rozkład zajęć służbowych pozwoli mu na wyjazd. Wykręt nie należał do przekonywających. Pete parę razy jeszcze próbowała poruszyć temat, ale za każdym razem spotykała się z odmową.

- Nie widziałem jej od tak dawna - bronił się dwa dni wcześniej przez telefon. - Moja wizyta mogłaby się okazać dla niej szokiem. - Pete przekonywała go, że jego obawy są niesłuszne i w końcu obiecał jeszcze raz wszystko przemyśleć.

Poprzedniego dnia Anna zadzwoniła do Pete, zapraszając ją na wieczór. Ponieważ telefon dosięgnął Pete w pracy, przyjęła zaproszenie bez dyskusji. Czowała jednak wyraźnie, że chciała ją w jakiś sposób ugłaskać.

Wśród uwag na temat kuchni, nadciągających chłódów i problemów zawodowych dobrnęli do połowy kolacji, na którą Stefano przygotował spaghetti.

Wreszcie cierpliwość Pete się wyczerpała.

- Nie rozumiem, tato, dlaczego nie możesz ze mną pojechać - oświadczyła, odkładając widelec.

Ręka Steve'a zastygła w powietrzu ze szklanką wina. Rzucił nerwowe spojrzenie na Annę, która pospiesznie oświadczyła, że

musi sprzątnąć ze stołu. Wzięła parę talerzy i zniknęła w kuchennym zakątku poddasza.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, ile by to znaczyło dla mamy - ciągnęła Pete. - Od sześciu lat po raz pierwszy wyjdzie poza teren zakładu. Jeśli będziesz towarzyszył mnie i Opie, będzie czuła, że wciąż ma wokół siebie rodzinę, z większą ufnością będzie mogła patrzeć w przyszłość.

- Ufnością, że co? Że wszystko wróci do dawnego stanu rzeczy? - Steve nachylił się przez stół do córki. - Posłuchaj Pete, zależy mi na tym, żeby twoja matka wyzdrowiała... bardzo mi zależy. Cieszę się słysząc, że stan jej zdrowia ciągle się poprawia. Ale nie chcę jej stwarzać fałszywych nadziei. Mam już nowe życie - życie z Anną. Chcę spędzić Święto w towarzystwie Anny i naszych wspólnych przyjaciół.

Starła się opanować narastającą wściekłość.

- Tato, jest tyle innych dni, które możesz spędzić z Anną, robiąc, co tylko wam się podoba. To po prostu nie *fair*, że nie chcesz akurat tego jedyne dnia poświęcić mamie. Ani razu nie odwiedziłeś jej, od kiedy przeniosła się do Connecticut. W końcu dalej jest twoją żoną.

- Wyłącznie na papierze - odparł jej atak. Z minuty na minutę stawał się coraz bardziej niechętny. - Nie wydawaję mi się słuszne dodatkowe stresowanie jej zmianą tej sytuacji. Kto wie, czy nie powinienem był jednak wystąpić o rozwód?

Pete obrzuciła go płomiennym spojrzeniem.

- Pete, gdybym uważał, że to ma dla niej naprawdę jakieś znaczenie, pojechałbym, możesz mi wierzyć - uderzył w błagalny ton, chwytając ją za rękę. - Ale jeżeli chcesz pomóc matce zmierzyć się ze światem realnym, to będziecie musiały przyjąć również ten fakt do wiadomości. Nie możemy być z powrotem rodziną, nie w takiej formie jak kiedyś. Nie jestem już częścią życia twojej matki - co się stało, to się nie odstanie. Jest wystarczająco szczęśliwa mając ciebie i Opę.

Pete zerwała się z miejsca, a w jej oczach zapłonęła prawdziwa wściekłość.

- Po prostu mama nic cię nie obchodzi! - krzyknęła. - Taka jest prawda. Jesteś egoistą... okrutnym egoistą. W ogóle cię nie obchodzi zdrowie mamy, bo wygodniej ci jest, kiedy ona...

Steve zerwał się z miejsca tak gwałtownie, aż krzesło runęło na podłogę. W dwóch susach znalazł się po drugiej stronie stołu.

- Mylisz się, Pete. Obchodzi mnie zdrowie mamy - oświadczył zaciskając dłoń na jej ramieniu. - Niestety jednak będziesz musiała wyzbyć się pewnych złudzeń.

Jego uścisk sprawiał jej ból, ale patrzyła mu wyzywająco w oczy. Po chwili zwolnił uścisk, dalej jednak nie puścił jej ręki, jakby się bał, że Pete w każdej chwili może uciec.

- Pete, przypominasz sobie, co ci opowiadałem o twojej babce, po której odziedziczyłaś imię? Twoja babka obdarowała mnie czarodziejską, błyskotliwą ułudą, mrzonką, którą ścigałem przez całe lata. Dopiero kiedy zrezygnowałem z nierealnych marzeń, odkryłem zwykłe szczęście. Mógłbym nadal poszukiwać klejnotów... zamiast mieć ciebie, czy Annę, czy zwykłe, proste, pogodne życie. Czy tego nie rozumiesz? Musisz się wyzbyć marzeń, że kiedyś znów będziemy razem z mamą... jej też nie mam zamiaru stwarzać podobnych nadziei. - Puścił ramię córki.

Pete nie ruszyła się z miejsca.

- Co w tym złego, że marzyłam o tym, żeby was mieć oboje przy sobie przez ten jeden, jedyny dzień?
- spytała cicho.

- Może zresztą liczyłam na coś więcej, sama nie wiem. Jesteśmy jednak bardzo różni, tato. Mówisz mi, że musiałeś porzucić marzenia, żeby odkryć, co to jest szczęście. Ja uważam, że szczęście i spełnienie marzeń idą z sobą w parze.

Dlatego nie mam zamiaru rezygnować z moich marzeń... - Zaczęła wkładać płaszcz, kiedy nagle spostrzegła Annę, która oczami pełnymi łez śledziła ich z kuchni. Zawróciła i uściskała ją. Kiedy wypuściła Annę z objęć, do głowy przyszła jej nowa myśl.

- Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, tato, jak potoczyłoby się twoje życie, gdybyś nie wyrzekł się marzeń i nie zaprzestał poszukiwań skarbu La Colomby? Być może znalazłbyś je już do tego czasu i to szybko, bo trop był jeszcze świeży. Jakże inaczej wyglądałoby twoje życie...

- Nigdy się nad tym nie zastanawiam - odburknął opryskliwie.

Dla Pete było jasne, że ojciec nie może sobie pozwolić na podobne rozumowanie. Jednak nie była w odpowiednim nastroju, żeby oszczędzać jego uczucia.

- No cóż, wydaje mi się, że zrezygnowałaś za wcześnie - rzuciła od drzwi. - Jeśli chcesz wiedzieć, nadejdzie dzień, kiedy ja sięgnę po twoje marzenie, które zresztą jest także moim.

Patrzył na nią tak, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie miała zamiaru dawać się zniechęcać. Zanim zdążył

otworzyć usta, była już na schodach.

W drodze do domu rozmyślała o ich rozmowie. Czyż mogło być coś cudowniejszego, niż ściganie klejnotów La Colomby? Mówiąc w ten sposób chciała nie tylko zadeklarować swoją niezależność i odrębność od ojca, ale również dać mu prztyczka za to, jak postąpił z mamą. Teraz jednak pomysł wydał jej się nagle kuszący. Przecież w końcu powinna trafić na jakiś ślad. Czy to możliwe, żeby tyle pięknych przedmiotów zniknęło na zawsze?

A jeśli ojciec miał trochę racji? Musi uważać, żeby nie rzucić wszystkiego na jedną szalę fantastycznych rojeń.

Istniały przecież marzenia bardziej osiągalne. Ale nie powinna całkowicie zrezygnować z prób odnalezienia zaginionego przed laty, migotliwego dziedzictwa. Przyjdzie jeszcze dzień, że wyruszy na poszukiwania. Przyjdzie taki dzień...

Uosef nie zmartwił się odmową Steve'a. Dotąd nie mógł wybaczyć zięciowi, że nie wyciągnął Bettiny z szaleństwa i odszedł do innej kobiety.

- Do niczego nam nie jest potrzebny - oświadczył Pete. - Lepiej będziemy się bawili we troje.

W środowy wieczór nastrój podniecenia w domu zaczął przypominać Wigilię Bożego Narodzenia. Spadł nawet śnieg, wczesny, jesienny śnieżek, który pogłębił gwiazdkową atmosferę. Josef dał swój najlepszy garnitur do odprasowania. Po obiedzie Pete umyła głowę. Kiedy wychodziła z łazienki, Josef zerwał się z fotela.

- Ojej! Zapomniałem o czekoladzie; Bettina strasznie lubi czekoladę. Muszę jej zawieźć trochę Droste, najlepszej holenderskiej czekolady! - Ruszył do szafy po płaszcz.

- Opa, nie będziesz przecież teraz wychodził? Jest już po ósmej... pada śnieg.

- Sprzedają ją zaraz za rogiem na Lexington Avenue.

- No to kupimy jutro rano, po drodze.

- Jutro mają przerwę świąteczną. - Wyjął płaszcz i zaczął się ubierać. - To tylko o przecznicę stąd. Wrócę za dziesięć minut.

Poczuła się irracjonalnie zaniepokojona pospieszną eskapadą dziadka.

- Opa, pozwól, że ja po to pójdę.

- Nie możesz, masz mokre włosy. Przeziębisz się. - Był już na progu.

Dogoniła go z szalikiem, który porwała z szafy.

- Zapomniałeś czegoś - powiedziała owijając szalik wokół szyi Josefa.

- Dziękuję, *modertje* - zażartował i wyszedł.

Pete uśmiechnęła się. Zawsze, kiedy robiła się nadopiekuńcza, nazywał ją „mateczką”. Otrząsnęła się z niepokoju.

Minęło jednak dwadzieścia minut, a Josef nie wracał. Znowu poczuła się zaniepokojona. Tłumaczyła sobie, że musiał

wpaść na któregoś ze swoich znajomych, ale kiedy minęło pół godziny nerwy miała już w strzępach. Zaczęła się ubierać do wyjścia.

Zadzwoił telefon. Dzwoniono z izby przyjęć szpitala Bellevue. Czemu nie zaufała swojej intuicji, zaczęła się dręczyć, zanim jeszcze z drugiej strony słuchawki padło kolejne słowo. Po chwili dotarło wreszcie do niej to, co mówi pielęgniarka. Josef pośliznął się na oblodzonym chodniku i złamał nogę.

Od razu udało jej się złapać taksówkę. W dziesięć minut dotarła do Bellevue.

- Tak mi przykro, *schage* - powitał ją Josef, kiedy wkroczyła do jego pokoju. Siedział na łóżku wsparty na poduszkach, trzymając na wyciągu zagipsowaną nogę.

- Bardzo boli? - zaniepokoiła się.

- Tylko w tańcu - odpowiedział wesoło i oboje roześmiali się. Pete nie wiedziała, co ma robić następnego dnia.

Czuła, że

powinna zostać w mieście i dotrzymać towarzystwa dziadkowi, ale Josef uparł się, że ma jechać do Connecticut, tak jak było wcześniej umówione.

- Twoja matka cię oczekuje. Mnie chciała tylko widzieć, ale ciebie naprawdę oczekuje.

Pete odbyła poradę z doktorem, który zapewnił ją, że stan zdrowia Josefa, mimo podeszłego wieku, jest wyśmienity, a noga

powinna się zrosnąć bez problemów. Co prawda będzie musiał pobycć parę tygodni w szpitalu, a potem chodzić jakiś czas o kulach, jednak jego ogólny stan nie wzbudzał niepokoju i z pewnością nie wymagał, żeby koniecznie siedzieć mu u wezłowania.

- *Schatje* - zawołał Josef za Pete, która ucałowawszy go na pożegnanie ruszyła do drzwi. - Nie zapomnij o czekoladzie dla mamy. - To mówiąc, wręczył jej największe pudełko czekoladek mlecznych, jakie kiedykolwiek opuściło podwoje Droste Choco-lade-fabryk.

Urospoda Siedmiu Sióstr znajdowała się w białym, wiktoriańskim budynku ze spadzistym dachem, nad niewielką przystanią, o parę kilometrów od kliniki Cole'a-Haffnera. W nocy śnieg przestał padać, drogi zostały odsnieżone, jednak drzewa i dachy domów w dalszym ciągu były pokryte malowniczą bielą. Z kominów gospody wił się dym, ulatując w nieskazitelnie błękitne niebo.

Kiedy przeszły z matką przez parking i stanęły na schodkach prowadzących do drzwi gospody, Pete odetchnęła z ulgą. Z początku niepokoiła się bardzo, jak matka przyjmie natłok nowych wrażeń - wyjazd z terenu kliniki, jazdę samochodem, przyjazd do obcego miejsca - i w ostatniej chwili rozczarowanie z powodu nieobecności Josefa.

Bettina jednak dzielnie znosiła całą sytuację. Wiadomość o złamanej nodze Josefa przyjęła wprawdzie z niepokojem, nie był to jednak niepokój przesadny. Podczas jazdy samochodem rzuciła parę niespokojnych spojrzeń na prawo i lewo, jakby chciała się upewnić, czy wróg nie zgotował im gdzieś zasadzki, poza tym wydawała się dosyć spokojna i opanowana.

Wnętrze restauracji było jasne i pogodne, w solidnym wiktoriańskim budynku, co było miłym zaskoczeniem. Ściany gospody pokrywały tapety o motywach roślinnych, w oknach wisiały stonowane zasłony, związane wielkimi kokardami. Każda z kilku połączonych sal miała własny kominek; z trzaskających kłód rozchodziło się przyjemne ciepło. Tu i ówdzie porozstawiano kompozycje z jesiennych liści, suchych traw i strąków z nasio-

nami. Z jednej z sal na tyłach dochodziły dźwięki pianina. Ktoś grał stare przeboje Gershwina, Berlina, Rodgersa i Portera.

Kiedy czekały w szatni na odebranie palt, Pete zauważyła, że błękitny kaszmirowy kostiumik, który kupiła Bettinie na okazję tego wyjazdu, w pełni eksponuje jej nieskazitelną urodę. Trudno było się dziwić, że w swoim czasie Stefano D'Angeli nie potrafił się jej oprzeć. Więcej, Pete uświadomiła sobie, że jeśli matka wyzdrowieje, bez trudu znajdzie kogoś, kto się w niej zakocha. Ta myśl sprawiła, że łatwiej jej było wybaczyć ojcu coś, co początkowo uznała za zdradę.

- Pięknie wyglądasz w tym kostiumie - odezwała się Pete, która postanowiła wszelkie luri w rozmowie wypełniać krzepiącymi uwagami.

- To bardzo miło z twojej strony, że mi go przysłałaś, Piętro - uśmiechnęła się Bettina. - Dawno nie miałam na sobie nic równie pięknego. Nie zasługuję na takie luksusy.

- Oczywiście, że zasługujesz. Takie i jeszcze wspanialsze. Bettina pogładziła córkę po gęstych, ciemnych włosach.

- Ty też wyglądasz ślicznie - obrzuciła spojrzeniem szyty na miarę kostium Pete w czarno-białą kratkę - choć może troszkę za poważnie. Przyjechałyśmy tu na przyjęcie, tak...?

- Tak, mam - uśmiechnęła się Pete. - Dziękczynienie jest czymś w rodzaju przyjęcia.

Wskazano im stół nakryty na dwie osoby w sklepionej wnęcie, której okno wychodziło na przystań. Niewątpliwie był to najlepiej położony stół w całej restauracji. Pete widziała w tym rękę doktora Haffnera.

Kiedy czekały na obsłużenie, Pete zauważyła, że matka delectuje się każdym szczegółem zastawy, czubkami palców gładzi blad różowy obrus, a jej oczy lśnią jak polerowany kryształ kieliszków.

- Piękne, prawda? - zagadnęła Pete.

- Mieli takie same obrusy i srebro - oświadczyła Bettina.

- Kto taki, mam?

Bettina spojrzała na nią, po czym potrząsnęła głową, jakby chciała porzucić ten temat. Przy ich stole pojawiła się młoda kelnerka w kobiecej wersji

kostiumu pielgrzyma, niosąc jadłospis i kartę win. Nalała obu paniom po szklaneczce soku żurawinowego i z uśmiechem na twarzy zniknęła.

- Zobacz - ucieszyła się Pete, przebiegając wzrokiem jadłospis tłoczony gotykiem na grubym welinowym papierze. -

Menu zostało już ułożone, o wszystkim za nas zdecydowano. Zupełnie jak w domu. - Przeleciała kartę do samego dołu. - Uff, boję się, że trzeba będzie mnie stąd wywieźć na taczce.

Bettinie oczy wyszły na wierzch po przeczytaniu listy potraw, które miały towarzyszyć tradycyjnemu indykowi.

- Bardzo dużo dań - zauważyła pokornym tonem. - Za dużo. Pete wyczuła w jej głosie nutę niepokoju.

- Zawsze jest za dużo jedzenia na Dziękczynienie - oświadczyła beztrąsko. - Przecież to jest święto obfitości. Nie musisz jednak jeść ani grama więcej, niż masz ochotę.

- Zobaczmy - skwitowała Bettina, obrzucając Pete dziwnie sceptycznym spojrzeniem. Pete kolejny raz poczuła przypływ niepokoju. W odpowiedzi Bettiny czuło się nutę zagrożenia. Mama zawsze robiła dziwne uwagi, pocieszyła się Pete. Najważniejsze, że ogólnie sprawiała wrażenie zadowolonej. Słyszac, że zaczyna nucić w takt pianina, Pete odetchnęła z ulgą. Żeby otrząsnąć się z ciągłego niepokoju o matkę, rozejrzała się po sali.

Niemal natychmiast w oczy rzucił się jej stół obok kominka, przy którym siedziało dwóch mężczyzn - tych samych, których spotkały parę tygodni temu na plaży: delikatny blondyn i szatyn masywnej budowy. Mieli na sobie eleganckie spodnie, marynarki i krawaty, ale Pete pamiętała jeszcze wygniecioną kurtkę wojskową, którą starszy z nich nosił na plaży. Blondyn o delikatniejszych rysach patrzył w jej stronę. Ich oczy spotkały się. Posłał Pete serdeczny uśmiech, który sprawił, że drugi mężczyzna też się obrócił. Uśmiechając się w odpowiedzi, Pete kolejny raz zanotowała surową urodę

drugiego z mężczyzn, który jednak pozdrowił ją o wiele powściągliwiej od swojego towarzysza, ograniczając się do bladego uśmiechu i życzliwego, lecz pełnego rezerwy skinienia głową. Był weteranem, przypomniała sobie Pete: zaskorupi! się w sobie.

Mężczyzna odwrócił się od niej, mówiąc coś do blondyna - krótki kontakt został zerwany.

Uwaga Pete wróciła do matki. Bettina nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w widok za oknem. Zauważyła, że matka lekko przesunęła krzesło, by być twarzą w stronę okna, jakby onieśmielała ją liczba ludzi znajdujących się na sali.

Zaczęła zastanawiać się, co by powiedzieć, żeby dodać matce ducha, ale pianista w przyległej salce zagrał wesoło *Czy mogę prosić do tańca?* i Bettina natychmiast rozpromieniła się.

- To ta piosenka! Kojarzy mi się z twoim tatą.

- Dlaczego? - spytała Pete z uśmiechem.

- Wziął mnie na broadwayowską premierę musicalu *Król i ja*

- ileż to już lat temu! Kiedy wróciliśmy do domu, ciągle miał w uszach tamte melodie. Zaczął śpiewać tę właśnie piosenkę, wirując ze mną po pokoju jak tytułowy król Syjamu. To musiało być jakieś dziewięć miesięcy przed twoim przyjściem na świat

- stwierdziła ze znaczącym błyskiem w oku. Wspomnienia, żartobliwe niedomówienia, w niczym nie odbiegające od tego, co każda zdrowa kobieta mogła przeżywać w podobnej chwili, pomyślała Pete. Skoro mama może spokojnie oddawać się wspomnieniom, z pewnością wróci do zdrowia.

- Twój tata był dla mnie kiedyś taki dobry - mówiła dalej do Pete. - Szkoda, że nie mógł dziś przyjechać.

Pete szykowała się właśnie do usprawiedliwień, ale Bettina uprzedziła ją.

- Oczywiście, nie mogę mu tego mieć za złe. Dobrze wie, że jestem plugawa.

Pete zatkało, jednocześnie gorączkowo rozmyślała, co powinna powiedzieć? Matka siedziała po drugiej stronie stolika absolutnie spokojna, obserwując z lekkim uśmieszkiem widok za oknem. Przez moment Pete myślała, że chyba musiała się przesłyszeć.

- Ale jestem tak wściekle głodna - wymruczała Bettina.

- Zrobię co tylko zechcą, byle dali mi jeść.

- Mamo, czy czujesz się... dobrze? - Pete trąciła ją nad stolikiem. - Jeżeli czujesz się tu nie najlepiej, możemy zaraz pójść.

Bettina odwróciła się do Pete. Jej oczy świeciły nienaturalnym blaskiem.

- Ależ skąd, muszę zostać. Jestem strasznie głodna. Cały czas jestem głodna.

Pete poczuła, że wreszcie wie, co się dzieje. Święto Dziękczynienia z towarzyszącą mu obfitością pokarmów pobudziło w pamięci matki wspomnienia z okresu, kiedy żywiła się resztkami i głodowymi racjami. Mogła tylko liczyć na to, że mroczne fantazje Bettiny ustąpią równie szybko, jak się zaczęły. Chyba nie należało jej stąd zabierać, pozbawiając radości świątecznego obiadu:

W chwilę później melodie grane na pianinie przeszły w stateczne tony tradycyjnego hymnu Dziękczynienia, a po salach restauracji zaczął się rozchodzić chóralny śpiew.

- *Zebraliśmy się, by prosić o łaskę Pana...* - śpiewano.

Na salę wkroczyła procesja kelnerów i kelnerek przebranych w czarno-białe, purytańskie stroje. Nieśli tace z pięknie zakomponowanymi daniami. Na czele kroczył młody kelner w stroju pielgrzyma, złożonym z czarnych, szerokich spodni, zapiętego wysoko pod szyję surduta i białego, sztywno wykrochmalonego kołnierzyka, unosząc wysoko srebrny półmisek z ogromnym indykiem. Złota pierś ptaka połyskiwała od tłuszczu, wycelowane w niebo nogi wieńczyły dekoracje z bibułek.

Goście restauracji oklaskami nagrodzili procesję, która posuwała się między stolikami. Kelnerzy śpiewali hymn.

On umarł na krzyżu by zmasać nasz grzech... by Książę Ciemności u stóp jej legi.

Pete usłyszała, że matka śpiewa cicho po holendersku. Pamiętała, że przed laty, jeszcze zanim zachorowała, opowiadała jej, że hymn oparty jest na starej holenderskiej melodii, którą Bettina w dzieciństwie słyszała tysiące razy z dzwonnicy pobliskiego kościoła w Rotterdamie.

Bettina z napięciem wpatrywała się w ciągnący sznur kelnerów i kelnerek odzianych w czerń i biel. Procesja zbliżyła się do ich stolika i Pete zauważyła, że matka raptownie sztywnieje. Kiedy kelner z olbrzymim indykiem przeszedł

kolo nich, podchwyciła błysk paniki w oczach matki.

I wtedy stało się: w jednej sekundzie ciężko wywalczone, zdobyte w pocie czoła poczucie rzeczywistości opuściło Bettinę. Runęła na kolana przed młodym kelnerem, ucałowała go w ozdobione klamerkami trzewiki, następnie zadarła głowę i wpatrując się szeroko otwartymi, błękitnymi oczami w jego osłupiałą twarz, zaczęła wykrzykiwać coś po holendersku.

Śpiew umilkł. Wszyscy goście zamarli z wrażenia. Pete powiodła wzrokiem po sali, po czym sama zamarła na widok matki na klęczkach, obejmującej pokornie nogi kelnera i bełkoczącej po holendersku. Chociaż nie - to nie był

holenderski. Pete знаła holenderski na tyle, by domyślić się, że słyszy inny język: niemiecki. Nigdy przedtem nie słyszała matki mówiącej po niemiecku. Gdzie mogła się...?

Resztki pytań uleciały z umysłu Pete. Matka puściła nogi kelnera i przysiadłszy na piętach sięgnęła pod spódnicę.

Wyglądało na to, że zamierza ściągnąć majtki.

- Mamo, nie! - krzyknęła Pete zrywając się z krzesła. Chwyciła matkę pod pachy i postawiła na nogi.
- Mamo, chodź, idziemy stąd. - Zaczęła wyprowadzać matkę z sali, rzucając przeproszające, upokorzone spojrzenia gościom, którzy obserwowali scenę z szeroko rozdziawionymi ustami.

Matka gwałtownie wyszarpnęła się z jej rąk.

- Mam pozwolić, żeby mnie pieprzyli? - warknęła niskim, gardłowym głosem. - Pieprzyli żydowską dziwkę? Dajcie mi po prostu zjeść. Jestem taka głodna...

Rzuciła się w stronę tacy z warzywami niesionej przez jedną z kelnerek. Młoda kobieta, przerażona, upuściła tacę na stół. Bettina zanurkowała w zawartość tacy, pełnymi garściami nabierając pieczone ziemniaki i cebule, które wpychała w najwyższym pośpiechu do ust.

Pete dopadła ją jednym susem, płacząc z szoku i zażenowania.

- Proszę cię, mamo, musimy już iść. - Dotknęła łagodnie ramienia Bettiny.

Bettina potoczyła nieprzytomnym wzrokiem. Sięgnęła po kolejną porcję warzyw. Pete złapała ją za przegub dłoni.

- Przestań, mamo - zażądała najbardziej władczy tonem, na jaki było ją stać. - Przestań w tej chwili!

Bettina odwróciła się i wolną ręką zamachnęła się na Pete, uderzając ją w skroń. Pete, oszołomiona siłą ciosu, do jakiej zdolni są histerycy, zatoczyła się w tył, wpadając na stół. Sala jęknęła z wrażenia. Bettina ponownie nachyliła się nad tacą, rzucając się na jej zawartość jak wygłodniałe zwierzę. Pete odzyskała równowagę i znów zaczęła się zbliżać do matki. Czyjaś dłoń wśliznęła się w zgięcie jej łokcia, odciągając ją do tyłu.

- Pozwoli pani, że ja to zrobię - odezwał się męski głos. Stał za nią jeden z dwóch mężczyzn, których spotkały na plaży - weteran. Jego propozycji towarzyszył wyraz szczerzej troski w spojrzeniu szarych oczu. Nie zdążyła zastanowić się, czy powinna przyjąć jego pomoc, gdyż wyminął ją i podszedł do Bettiny. Przystanął przy niej i stał

tak długo, dopóki nie zwróciła na niego uwagi. Spojrzała z lękiem.

- Dostaniesz jeść - oświadczył stanowczo. - Dam ci to wszystko, ale musisz pójść ze mną.

Oczy Bettiny zwęziły się podejrzliwie. Kiedy jednak powoli podniósł tacę i ostrożnie sygnalizując, że nie zamierza uciec, ruszył do wyjścia, - podążyła za nim.

Pete pospieszyła za obojgiem, za nią ruszył jasnowłosy towarzysz weterana. W szatni zastali matkę w milczeniu wpatrującą się w tacę. Nie jadła.

Dogonił ich kierownik restauracji. Zanim Pete zdążyła pomyśleć, weteran przekazał tacę blondynowi

i odciągnął

kierownika na bok. Przez chwilę naradzali się cicho. Kierownik odszedł, a weteran dołączył z powrotem do reszty.

- Jeżeli chce, żeby zapłacić za obiad... - zaczęła Pete.

- Chciał się tylko upewnić, czy wszystko w porządku. Wyraźnie dał do zrozumienia, że udzielił twierdzącej odpowiedzi.

Pete ogarnęła niejasna wątpliwość, czy należy ufać jego ocenie sytuacji, zaraz jednak przypomniała sobie, że dotąd jego poczynania były nadzwyczaj skuteczne.

- Dziękuję - zwróciła się do mężczyzny. - Myślę, że już poradzę sobie sama. Muszę odwiedzić matkę do kliniki.

- Pójdę po samochód - zaproponował.

- Proszę tego nie robić - zaprotestowała. - Wyszedł pan

z kliniki, nie chcę panu popsuć takiego dnia. - Dopiero, kiedy to powiedziała, dotarło do niej, że cały czas traktuje mężczyznę jak jednego z pacjentów. Czy rzeczywiście był tylko pacjentem?

- Powinna pani mieć kogoś do pomocy. - Popatrzył na blondyna. - Robby, czy możesz poczekać tutaj? Idę po samochód.

Blondyn skinął potakująco głową. Weteran zniknął. Zapanowała niezręczna cisza. Bettina wyglądała na oszołomioną. Wciąż jeszcze nie rozpoznawała Pete. Pete nie wiedziała, co powiedzieć matce, wobec czego odwróciła się do blondyna imieniem Robby.

- Bardzo panu dziękuję za pomoc.

- Niech pani raczej podziękuję mojemu bratu. On zawsze wie, co robić w takiej sytuacji.

Najwyraźniej pomyliła się co do osoby weterana. Czyżby był lekarzem?

- Czy pański brat jest... związany z kliniką? - zagadnęła dyplomatycznie.

- Raczej nie - uśmiechnął się Robby. - Za to jest związany ze mną. Myślę, że dzięki mnie Luke nauczył się, jak postępować podczas ataków choroby.

Pete doznała nagłego olśnienia. Robby był pacjentem, jego brat Luke, podobnie jak ona - częstym gościem.

Odebrała płaszcze z szatni. Matka potulnie pozwoliła się ubrać.

W drzwiach wejściowych stanął weteran.

- Samochód czeka.

Przy schodach do restauracji stał mocno sfatygowany Volkswagen - minibus z otwartymi tylnymi drzwiami. Pete pomogła matce usadowić się na tyle. Usiadła przy niej, Luke usiadł za kierownicą, Robby zajął miejsce pasażera.

- Proszę wcisnąć przycisk w drzwiach - zwrócił się Luke do Pete. - Ty też, Robby. - Usłuchała, patrząc na weterana z rosnącym szacunkiem dla jego opanowania i umiejętności sprostania każdej sytuacji.

Przez całą drogę do kliniki trzymała matkę za rękę.

- Jesteś bezpieczna, mamó... wszystko w porządku – wy-

głaszała czeże zapewnienia. W Bettine wstąpił kamienny spokój. Patrzyła przed siebie pustymi oczami i Pete wątpiła, czy słowa pociechy w ogóle do niej docierają.

Na podjeździe kliniki czekało już na nich kilku krzepkich sanitariuszy, bez wątpienia zaalarmowanych telefonem od kierownika restauracji. Pete serce podskoczyło do gardła, kiedy w rękach jednego z nich zobaczyła kaftan bezpieczeństwa.

- Nie sądzę, żeby to było potrzebne - zwrócił się Luke do sanitariuszy, nie wysiadając z samochodu. - Idźcie stąd i przyślijcie zwykłą pielęgniarkę.

- Panie Sanford, powiedziano nam, że ta kobieta ma ostry atak szalu. Doktor Haffner został już powiadomiony, zaraz przyjdzie i jeśli my nie...

- Nic jej już nie jest - przerwał. - Krępowanie jest zupełnie zbyteczne, może tylko pogorszyć jej stan. Bardzo proszę...

- W porządku, panie Sanford - powiedział jeden z sanitariuszy i wszyscy zawrócili do budynku.

Rozmowa dodatkowo roznieciła zaciekawienie Pete osobą Lukea Sanforda. Chociaż był tylko krewnym jednego z pacjentów, musiał zasłużyć czymś na szacunek personelu.

Zjawiała się pielęgniarka z izby przyjęć.

- Zajmę się pani matką, panno D'Angeli - zwróciła się do Pete, która pomagała Bettinie wysiąść z minibusa.

Dłoń Pete na chwilę zacisnęła się mocniej na dłoni Bettiny. Miała wrażenie, że puszczając rękę matki, na zawsze rozstaje się z marzeniem, że jej choroba minie. Dopiero w tej chwili dotarły do niej rozmiary pogorszenia stanu zdrowia Bettiny. Należało liczyć się z tym, że matka nigdy już nie wyjdzie z kliniki, a w każdym razie na pewno nie wróci do domu. Poczwała się krańcowo zagubiona. Stała bez ruchu, nie wiedząc, co robić dalej. Ktoś lekko dotknął jej ramienia. Odwróciła się i zobaczyła za sobą Luke'a Sanforda.

- Pani matka powinna trochę odpocząć - powiedział cicho. Jego słowa, jakże stosowne w tej sytuacji, uświadomiły jej, że

pozwalając matce odejść, wcale nie skazuje jej na dożgonny pobyt w zakładzie. Puściła dłoń Bettiny.

- Do widzenia, mammo.

Bettina, prowadzona przez pielęgniarkę, zniknęła w drzwiach kliniki bez słowa, nie oglądając się za siebie.

Lukę Sanford otoczył Pete ramieniem i wprowadził do wnętrza budynku.

- Pani też przeszła swoje. Powinna pani usiąść... - powiedział. Przysiadła na krześle w wysokim hallu kliniki i spojrzała na

obu braci, którzy przystanęli w pobliżu.

- Dziękuję panom za ich dobroć, ale nie chciałabym wam zepsuć do reszty Święta. Proszę, niech panowie wracają już do gospody. Nic mi nie będzie - zapewniła ich, jednak w jej głosie nadal dało się słyszeć wyraźne drżenie.

- Zaczekamy z panią, aż przyjdzie doktor Haffner - oświadczył Luke. - Zgoda, Robby? - upewnił się, posyłając pytające spojrzenie bratu.

- Jasne, że tak.

Czuła się różnie w towarzystwie.

- Dziękuję - zwróciła się do Lukea. - Znakomicie sobie pan poradził - to znaczy tam, w restauracji.

- Po prostu słuchałem, co pani matka mówiła. - Wzruszył skromnie ramionami... - Mówiła, że chce jeść, więc po-myślałem sobie, że uspokoi się, jeśli będzie pewna, że dostanie jeść.

- Czy któryś z panów zna może niemiecki? - zapytała Pete. Obaj bracia pokręcili przecząco głowami.

- Nigdy przedtem nie słyszałam, żeby mówiła po niemiecku. Zastanawiam się, co mówiła.

Z bocznego korytarza wybiegł doktor Haffner w szaliku. Pete wiedziała, że doktor z żoną i najmłodszym z trojga dzieci, które nie wyjechało jeszcze do college'u, mieszka w domu położonym na terenach kliniki.

Najprawdopodobniej został odwołany od świątecznego stołu.

- Bardzo pana przepraszam, doktorze Haffner - powiedziała wstając.

- Pani mnie przeprasza? To ja powinienem panią przeprosić. Mój Boże, gdybym przypuszczał, że ona tak to strasznie przeżyje. Przez myśl mi jednak nie przeszło, iż może mieć takie skojarzenia...

- Co chce pan powiedzieć? - zaniepokoiła się Pete. - Jakie skojarzenia?

Umilkł na chwilę.

- Chodźmy do mojego gabinetu - zdecydował w końcu. - Panowie wybaczą - zwrócił się do braci.

Idąc za doktorem, Pete odwróciła się jeszcze raz w stronę Luke'a. Jego twarz była równie poważna, jak wtedy na plaży, kiedy zobaczyła go pierwszy raz. Ale to, co wtedy uznała za odpychającą nieustępliwość, teraz wydawało jej się wyłącznie wyrazem głębokiej wrażliwości, zbroją chroniącą przed okrucieństwem tego świata. Na twarzy Luke'a malowało się współczucie i zrozumienie dla ludzkiej tragedii, której przyszło mu być świadkiem.

Rozdział piąty

Tego popołudnia w gabinecie doktora nie płonął przytulny ogień. Za oknem ściemniło się i nagle pokój wydał się Pete równie ponury, jak perspektywa przyszłości. Siadając poczuła, że drży - bardziej z szoku niż z zimna. Nie rozebrała się, a przeciwnie, mocniej otuliła płaszczem.

Haffner usadowił się naprzeciwko Pete.

- Mam nadzieję, że rozumie pani, panno D'Angeli, że nie sposób było przewidzieć tego kryzysu. Pani matka naprawdę sprawiała wrażenie osoby wracającej do zdrowia, do świata realnego, który dotąd odrzucała. Niestety, w tego rodzaju przypadkach musimy zawsze liczyć się z możliwością, że z powodu jakiegoś skojarzenia, którego nie sposób przewidzieć, umysł chorego z powrotem pograży się w otchłani koszmarów.

- O jakich skojarzeniach pan mówi, doktorze? Już drugi raz pan o tym wspomina.

- Podejrzewam, że dołożyła się do tego ceremonia świąteczna - stwierdził Haffner ponuro. Ostatni raz byłem w gospodzie w Święto Dziękczynienia dobre parę lat temu, ale, o ile mnie pamięć nie myli, uroczystość odbywała się ze sporą... pompą, nieprawdaż?

Pete potaknęła ze zdumieniem i w paru słowach opisała przebieg procesji - kelnerów w kostiumach, pielgrzymów, wysoko uniesione tace i półmiski z potrawami.

- Dlaczego miałyby to zaszkodzić mamie? - spytała na koniec.

- Pielgrzymi zapewne mieli na sobie czarne stroje o bardzo prostym kroju - zauważył Haffner. - W umyśle pani matki kostiumy pielgrzymów mogły skojarzyć się mundurami SS. Widok wysoko uniesionych półmisków mógł jej przypomnieć stosowane niekiedy przez oficerów w obozie koncentracyjnym metody torturowania zagłodzonych więźniów, których drażniono widokiem nieosiągalnego jedzenia.

- W obozie koncentracyjnym? - powtórzyła Pete. - W jakim obozie? - Przecież matka nigdy nie była w żadnym obozie.

Haffner przez dłuższą chwilę przyglądał się Pete w milczeniu.

- Panno D'Angeli - zwrócił się do niej głosem łagodnym, ze smutkiem i powagą, gdyż zdawał sobie sprawę z wrażenia, jakie zapewne wywrą jego słowa. - Pani matka spędziła rok w Oświęcimiu.

- To niemożliwe. - Pete potrząsnęła głową. - Ja... ja bym coś o tym wiedziała. Z pewnością ktoś... kiedyś o tym by mi wspomniał.

- Niestety, to jest prawda, panno D'Angeli. - Głos Haffnera przybrał jeszcze łagodniejszy ton. - Okrutna prawda, której pani matka nie była w stanie zaakceptować.

Pete nadał wzbraniała się przed przyjęciem do wiadomości rewelacji doktora Haffnera.

- Dziadek mi wszystko opowiedział - upierała się. - Przez całą wojnę ukrywali się na strychu. To było wystarczająco okropne, żeby doprowadzić mamę do załamania psychicznego. Opowiadał mi przecież... Poczula, że i jej rzeczywistość zaczyna się usuwać spod nóg. Czy to możliwe, żeby ją okłamał?

Niemożliwe. Prędzej była skłonna uwierzyć, że historia jest wytworem chorej wyobraźni matki.

A potem przypomniała sobie rozmowę, którą odbyła z lekarzem prowadzącym jej matkę w Yonkers. Lekarz napomknął o urojeniach Bettiny, jakoby była więźniarką obozu koncentracyjnego. Spytała go wtedy, czy to mogła być prawda, a nie urojenia. Lekarz stanowczo zaprzeczył. Przypomniała sobie, czym motywował swoją opinię.

- Nie ma numeru - oświadczył pewnym tonem. - Mama nie ma na ręce żadnego tatuażu. To świadczy, że nie była w obozie.

- Mnie to również na początku zmyliło. Sądziłem, że opowiada mi o przeżyciach obozowych, żeby odreagować poczucie winy, że nie podzieliła losu matki i wielu innych osób. Im dłużej opowiadała mi o swoich przeżyciach z najdrobniejszymi szczegółami... trzeba było widzieć jej przerażenie... coraz trudniej mi było uwierzyć, że zmyśla. To wszystko brzmiało zbyt prawdziwie, aby mogło być wyłącznie psychotycznymi rojeniami. Przeprowadziłem niewielki wywiad. Dowiedziałem się, że w Oświęcimiu niektóre więźniarki - najpiękniejsze dziewczęta o najczystszej aryjskiej urodzie - były wybierane wprost z transportu i nigdy nie zostawały dołączone do obozowej większości. Dziewczętom tym nie tatuowano numerów. - Spojrzał Pete prosto w oczy. - Ponieważ, musi pani wiedzieć, ta grupa oficerów, dla których dziewczęta były przeznaczone, nie życzyła sobie, żeby były w jakikolwiek sposób... zeszecone.

Pete poczuła narastający ucisk w żołądku. W jej umyśle powoli zaczęło się rodzić straszliwe podejrzenie.

- Co z nią robili? - spytała ostrożnie słabym głosem.

- Jest pani pewna, że chce pani wiedzieć, panno D'Angeli? Pete zrozumiała, że oto dotyka czegoś, co stanowiło tajemnicę

przez wiele lat. Tyle że ta tajemnica rozbiła rodzinę, rzucając na ich życie głęboki cień. Jak wyjść z tego zaklętego kręgu, jak odnaleźć drogę powrotną do światła?

- Tak, chcę wiedzieć - powiedziała. - Muszę wiedzieć!

Na wpół przytomna opuściła klinikę i wolnym, niepewnym krokiem wyszła na ulicę. Znowu zaczął padać śnieg.

Zamknęła Oczy i zwróciła twarz ku płatkom, które delikatnie muskając policzki otrzeźwiły ją, powoli przywracając świadomość. Tak, teraz się przestaną już jej śnić koszmary nawiedzające matkę.

Doktor Haffner próbował opowiedzieć całą historię w jak najmniej szokujący sposób. Usiłował trzymać na wodzy swoje uczucia, ale zbyt głęboko przeżył to, co usłyszał od Bettiny. Gdy uświadomił sobie całą przerażającą prawdę, jego twarz, oczy i barwa głosu zdradzały rozgoryczenie, żal i wreszcie wściekłość.

Bettina nie spędziła całej wojny w bezpiecznym miejscu. Na rok przed końcem wojny miejscowi kolaboranci zauważyli, że protektor Zeemanów kupuje więcej żywności niż trzeba - podczas wojny fakt stałego zakupu dodatkowych racji nie mógł

pozostać nie zauważony. Zostało zaalarmowane gestapo, a w konsekwencji odnaleziono kryjówkę. Josefa wysłano na roboty, a Bettine do Oświęcimia, co równało się wyrokowi śmierci.

Wśród oficerów SS wyznaczonych do nadzorowania rozładunku transportu w dniu przybycia Bettiny do obozu znalazł się pewien kapitan, któremu wpadła w oko. Nie należało do rzadkości, że nieżonaci oficerowie wybierali z nowo przybyłych transportów atrakcyjne młode kobiety i zanim zostały zniszczone przez prace, głód i choroby, wykorzystywali je do zaspokajania swoich przyjemności.

Bettine zabrano do pomieszczeń zajmowanych przez kapitana SS. Nie wytatuowano jej numeru ewidencyjnego, ponieważ jej mocodawca życzył sobie nieskalanej w żaden sposób dziewczycy. Już za pierwszym razem użył całej swej zwierzęcej siły, aby zmusić ją do zaspokojenia swoich kaprysów seksualnych. Z czasem Bettina zrobiła z tego handel wymienny - chętnie i w wyrafinowany sposób dawała spełnienie w zamian za dodatkową porcję rzepy smakującej jak mleko. Oficer posunął się jeszcze dalej. Częstoował ją miodem i płynną czekoladą, które musiała zlizywać z jego penisa, odbytnicy lub skądkolwiek chciał.

Była bardzo młoda, niewinna i piękna... była czysta... toteż kapitan czerpał dodatkową przyjemność z kalania i upokarzania jej. Chciał tylko Bettiny i nie zamierzał wymieniać jej na żadną inną kobietę.

Perfidia patologicznego seksu uczyniła z niej niewolnicę samej siebie. Dusze Bettiny przeniknęło poczucie transakcji zawartej z diabłem. Tak długo, jak była w stanie oczarowywać i podniecać swojego opiekuna -

pozostawała żywa. Wymagało to pomysłowości i ciągłych zmian seksualnych - wyzbycia się szacunku dla siebie w zamian za szansę przeżycia.

- Och, mamó! - Pete stała na ulicy, cicho płacząc. Drżała nie z zimna, ale z powodu docierającej do niej prawdy.

Chciała, aby ktoś zaprzeczył. Dziadek utrzymywał wszystko w tajemnicy tak długo, dopóki nie namówił córki, aby powiedziała prawdę... córki zbyt dumnej na to, aby spokojnie przyjąć życie kupione za cenę sprzedajnego zepsucia.

Odgłos otwieranych i zamykanych drzwi samochodu zaskoczył Pete. Starła śnieg z twarzy i spojrzała na ulicę. Było późne popołudnie. W zapadającym zmierzchu dostrzegła sponiewieranego Mini-Vana parkującego po drugiej stronie ulicy i idącego w jej kierunku mężczyznę, który przywiózł ją wraz z matką z restauracji. Blezer zmienił na kurtkę z baraniej skóry. Próbowwała otrząsnąć się ze złych myśli i przypomnieć sobie jego imię.

- Panie Sanford... mam nadzieję, że nie czekał pan na mnie - powiedziała nieswoim, roztrzęsionym głosem. -

Powinien był pan wrócić z bratem do gospody.

- Robby za bardzo przejął się tym wszystkim, żeby wracać na uroczystość - wyjaśnił podchodząc do niej.

- Bardzo mi przykro.

- Nie musi być pani przykro. To właśnie jeden z objawów powrotu do zdrowia - zaczyna troszczyć się o kogoś poza sobą. Chciał, żebym koniecznie został i pomógł pani.

- Nie potrzebuje pomocy - odparła bez namysłu. Zdawała sobie sprawę, że jej słowa brzmią niewdzięcznie, jednak buntowała się wewnątrz na myśl, że wydarzenia tego dnia w jakikolwiek sposób miałyby ograniczyć jej niezależność.

- Może jednak podwiózłbym panią do gospody - zaproponował delikatnie - żeby pani mogła się przesiąść do swojego samochodu.

- Naturalnie - odparła udręczonym głosem. - Będzie to dla mnie duże ułatwienie. - Gestem ręki wskazał minibusa.

Ruszyli w stronę wozu. - Proszę mi wybaczyć, jeśli nie byłam zbyt uprzejma, panie Sanford - dodała cicho - ale mam w tej chwili straszliwy mętlik w głowie.

- Nie musi się pani przede mną tłumaczyć. Wolałbym jednak, żeby pani nazywała mnie: Luke.

Doszli do samochodu.

- Zgoda, Luke - oświadczyła wyciągając do niego rękę. Jestem Pete D'Angeli.

- Wiem - przyznał się, przyjmując podaną mu dłoń. Kiedy spotkaliśmy się na plaży, zaraz spytałem Robby'ego czy wie, jak się nazywasz.

Kiedy indziej tego rodzaju wyznanie pochlebiłoby jej, teraz

jednak miała nerwy w strzępach. Ogarnęły ją lęk i podejrzliwość. Czy rzeczywiście powinna się cieszyć, że ten człowiek dopytywał się o nią? Czy należało mu ufać?

Kiedy otwierał przed nią drzwiczki samochodu, przyjrzała się uważnie jego twarzy z bliska. Szare oczy, otoczone siateczką białych zmarszczek, odcinające się od brązu smagłej skóry, wystające kości policzkowe, mocna szczęka i nos, którego nie sposób było uznać za prosty. Całość prezentowała się dosyć atrakcyjnie. Najbardziej jednak uwagę Pete zwracał fakt, że w jego rysach było coś, co wzbudzało zaufanie.

Lukę obszedł samochód, żeby zasiąść za kierownicą. Pete uśmiechnęła się lekko, wspominając jak początkowo brała go za pacjenta kliniki.

Ujechali parę kilometrów w milczeniu. Raz czy drugi Pete miała zamiar podjąć jakąś grzecznościową rozmowę. W

końcu okazał jej tyle dobroci. Jednak w jej głowie natychmiast rozlegał się głos doktora Haffnera, który snuł

bezlitośnie swoją straszliwą opowieść. Najwyraźniej nie stać jej było na żadne uprzejmości. Cóż znaczy uprzejmość, skoro bydłeta, które odebrały rozum jej matce, też potrafiły zachowywać maniery, ba, dobre maniery były smaczkiem, który tylko okraszał ich bestialstwo?

Znów ogarnęła ją fala zgrozy. Odwróciła twarz w stronę bocznej szyby samochodu, by Lukę nie zobaczył, że płacze.

Poprzez lzy widziała wirujące za oknem płatki śniegu. Nawet śnieg wydał jej się nieczysty. Wszystko było nieczyste.

- Świnie, brudne świnie T powiedziała bezwiednie, po czym zaczęła szlochać.

Trudno było określić, jak długo jeszcze jechali, czuła jednak wielką ulgę, że jazda się nie kończy, a Lukę nie próbuje jej pocieszać w żaden sposób. Musiała wypłakać swój żal wzbierający od chwili, gdy doktor Haffner wyjawiał całą prawdę o zbrodni, jakiej dokonano na matce.

W pewnym momencie poczuła, że samochód zjeżdża z drogi i zatrzymuje się.

- Już dobrze? - dobiegł ją głos Luke'a.

Czuła, że brak jej łez. Odwróciła wzrok w stronę Lukea i skinęła potakująco głową. Zatrzymali się na parkingu staro-

świeckiego, przydrożnego zajazdu. Był to długi, niski budynek,

w którego oknach świeciły reklamy piwa, a nad wejściem migotał pomarańczowy neon z napisem: U DOOLEVA -

BEFSZTYKI, KOTLETY.

- Chyba dobrze zrobiłby ci kieliszek czegoś - zaproponował.

- A może nawet coś na ząb - pod warunkiem, że nie będzie to indyk.

Chciała odmówić z uśmiechem, ale nagle poczuła, jak strasznie jest napięta i wyczerpana.

- Dobry pomysł - odpowiedziała.

W zajeździe panował przyjemny półmrok. Pod oknami ciągnął się szereg boksów, oświetlonych zniczami w czerwonych szklaneczkach. Z szafy grającej w kącie sali wydobywały się dźwięki ballady country. Zajęte było parę boksów, przy barze kilku mężczyzn wymieniało żartobliwe uwagi. Trudno było o miejsce, którego wystrój i klimat bardziej odbiegałby od atmosfery panującej w gospodzie Siedmiu Sióstr. Ta różnica spychała natychmiast na plan dalszy wspomnienie scen, które tam się rozegrały. Pete poczuła, że jest dokładnie w takim miejscu, w jakim powinna się znaleźć.

Kiedy Lukę zasiadał w boksie, przeprosiła i wyszła umyć twarz w toalecie. Patrząc na własne odbicie w lustrze, zwątpiła nagle w słuszność swojej decyzji. Potrzebowała samotności, żeby móc przemyśleć wszystko w spokoju, a nie drinka w towarzystwie przystojnego mężczyzny.

Kiedy wróciła do stolika, zdążył już zdjąć kożuszek. Siedział nad szklanką piwa. Przy jej miejscu czekał mały kieliszek brandy. Poczuła się rozdrażniona tym, że podjął za nią decyzję.

- Wcale nie wiem, czy miałam akurat ochotę na brandy

- oświadczyła, wsuwając się na swoje miejsce po drugiej stronie stolika.

- Broń Boże, nie zmuszam cię do picia. Myślałem tylko... byłeś bardzo zgnębiona w samochodzie, więc wyobraziłem sobie, że kieliszek czegoś mocniejszego może ci dobrze zrobić.

Znów musiała zrewidować swoje wyobrażenie o nim. To, że myślał o niej, poczytała mu za bezmyślność. Cóż, wyraźnie nie może już ufać własnym sądom. Przez całe życie sądziła, że wie komu można zaufać, sądziła, że zna swoją matkę i swojego

dziadka, sądziła że odróżnia prawdę od kłamstwa. Tymczasem myliła się dokładnie we wszystkim.

Łyknęła brandy. Poczuła miły ogień, rozchodzący się po całym ciele. Dreszcze zaczęły ustępować. Zsunęła z ramion płaszcz.

- Lukę, trudno dzisiaj o gorsze towarzystwo niż moje. Napijmy się i ruszajmy w drogę.

- Jak sobie życzysz. Jeżeli nie masz ochoty, nie musimy rozmawiać. Chętnie będę cię słuchał, jeśli oczywiście masz ochotę mi coś opowiedzieć.

Skinęła głową z wdzięcznością, jednak wywlekanie przerażających tajemnic matki wydało jej się czymś nie do pomyślenia. Uznała, że lepiej utrzymać rozmowę w lekkim tonie.

- Uśmiejesz się - zaczęła - ale kiedy zobaczyłam was pierwszy raz na plaży, byłam przekonana, że to

ty jesteś pacjentem.

- Bez trudu mógłbym mm zostać - uśmiechnął się niewyraźnie. - Wcale nie tak znów wiele dzieli mnie od Robby'ego.

Gdyby okoliczności ułożyły się trochę inaczej, z łatwością mógłbym wylądować na jego miejscu.

- Mówisz o sprzyjających okolicznościach? Myślałam, że byłeś w Wietnamie - zdumiała się Pete.

- Owszem, siedziałem tam, podobnie jak cała fura chłopaków. Miałem szczęście, że wróciłem zdrowy na ciele i umyśle. Miałem też szczęście, że oglądałem to wszystko z wysokości helikoptera, podczas gdy moi koledzy siedzieli na dole po szyję w błocie.

Pete czytała o wojnie, zdawała sobie sprawę, ilu pilotów zostało zestrzelonych.

- Rzeczywiście, miałeś szczęście - podsumowała. - Co stało się Robby'emu?

- Można powiedzieć, że on z kolei jest ofiarą poboju, jakim była Ameryka lat sześćdziesiątych. Miał zbyt dużo swobody, kiedy był jeszcze bardzo młody, dostał się w mocno roznarkotyzowane towarzystwo, parę razy miał

kiepską podróż na LSD. To wszystko rozwalilo go psychicznie, popadł w ostrą psychozę. Może wygrzebałby się z tego jakoś, gdyby miał kogoś przy sobie, ale nasz ojciec odszedł, matka... umarła mniej więcej w tym samym czasie, a ja byłem na uczelni, dopóki nie wzięli mnie do wojska.

Mówiąc, sączył piwo z kufła. Pete upiła kolejny łyk brandy,

przypatrując się znad kieliszka Luke'owi. Miał silne dłonie o zręcznych palcach zakończonych kwadratowymi paznokciami. Wskazującym palcem delikatnie kreślił esy-floresy na oszronionej ścianie kufła.

Było chłodno i na tweedową marynarkę włożył z powrotem wytartą wojskową kurtkę, twarzową, ale daleką od elegancji. Przypomniawszy sobie jego odrapany samochód, pomyślała, że musi zapewne, jak ona, ledwie wiązać koniec z końcem, obciążony kosztami utrzymania krewnego w kosztownej klinice.

- Od jak dawna Robby jest u Colea-Haffnera?

- Od początku istnienia kliniki. Wkrótce jednak niewątpliwie wyjdzie stamtąd. Mam zamiar zaprząć go do pracy dla mnie.

- Czym się zajmujesz?

- Jestem wynalazcą.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu. W żadnej z nowojorskich konwersacji na temat kariery nie padała nazwa podobnego zawodu.

- Jak Edison?

- Z nim nikt nie może się równać.

- Co takiego wobec tego wynajdujesz?

- Głównie bawię się różnymi gadżetami elektronicznymi. - Wzruszył lekko ramionami, sugerując, że nie ma zamiaru wdawać się w szczegóły.

Może boi się zdradzić któryś ze swoich wynalazków przed opatentowaniem, a może po prostu nie ma nic ciekawego do powiedzenia, zawyrokowała Pete.

- A ty czym się zajmujesz - spytał, wyraźnie dążąc do zmiany tematu.

Zawahała się. Czy ma mu zwyczajnie powiedzieć, że jest sprzedawczynią? W miarę rozmowy Luke Sanford coraz bardziej ją interesował, zapragnęła, aby uznał ją za kobietę interesującą.

- Wciąż jeszcze nie robię tego, co bym chciała - powiedziała w końcu.

- Czyli?

- Chciałabym być projektantką w bardzo specyficznej dziedzinie.

- Co chciałabyś projektować?

- Biżuterię.

- Biżuterie - powtórzył za nią. - Dlaczego to cię pociąga? Jego ton zaniepokoił ją. Nie było w nim aprobaty, przeciwnie,

wyczuła nutkę lekceważenia. A może znów coś jej się przywidziało? Dlaczego miałby potępiać jej pasję?

- Rodzinna tradycja - wyjaśniła. - Mój dziadek ze strony matki jest szlifierzem kamieni szlachetnych, z kolei ojciec opowiadał mi, że jego matka uwielbiała biżuterie. Była posiadaczką jednej z najwspanialszych kolekcji klejnotów w Europie.

- W związku z tym nigdy ci nie przyszło do głowy, że mogłabyś robić coś innego?

Pete rzuciła ukradkowe spojrzenie na Luke'a. Nie miała żadnych urojeń - Luke rzeczywiście kwestionował jej wybór, delikatnie sugerował, że istnieją bardziej sensowne zawody.

- Prawdę mówiąc - powiedziała chłodno - myślałam kiedyś o psychiatrii. Marzyło mi się chyba wyleczenie matki... i zapewne wszystkich chorych umysłowo na świecie. W końcu stwierdziłam jednak, że sama zachoruję ciężko, udając świętą, zamiast robić to, co naprawdę kocham. Czy to coś złego?

Patrzył na nią z powagą, wyraźnie ważąc odpowiedź. Czy pójdzie na noże i powie wprost, że uważa jej zajęcie za trywialne? Czy obróci wszystko w nieszkodliwy żart? Tak czy tak będzie nim rozczarowana.

- Myślę, że powinnaś robić to, co naprawdę lubisz - zawyrokował w końcu. Wielka szkoda jednak, że twoją pasją nie jest coś, z czego mogłoby skorzystać wielu ludzi - kto wie, czy i nie twoja matka - zamiast garstki uprzywilejowanych, których obdarzysz kolejną błyskotką.

Podniosła wzrok. Teraz, kiedy zaczęła się oswajać z myślą, że jej własny dziadek tak wiele przed nią ukrywał, szczerość Luke'a Stanforda wydała jej się cudowna, wręcz odświeżająca, mocna jak mięta, od której cię zatyka.

- No cóż - odezwała się w końcu - sama prosiłam cie o zdanie.

- Zrozum, nie chciałem wcale powiedzieć... - zaczął się wycofywać.

- Owszem, chciałeś - ucięła. - Chciałeś powiedzieć dokładnie to, co powiedziałeś. Niepotrzebnie osłabiasz teraz wymowę swoich słów. W twoim mniemaniu to co robię jest stratą czasu.

- Wcale tego nie powiedziałem.

- Ale to właśnie miałeś na myśli. Jednak nie musi się pan niepokoić, panie Sanford. Przesadziłam nieco, opisując panu moją karierę. Nigdy me dopięłam tego, żeby naprawdę robić to co kocham, a dzisiejszy dzień najprawdopodobniej do końca przekreślił moje nadzieje. - Wysączyła brandy do dna. - Możemy jechać. Jak już wspomniałam, jeden kieliszek to moja górna miarka.

Otworzył usta, jakby chciał coś dorzucić, jednak rozmyślił się. Potrząsając głową wysunął się z boksu, podszedł do baru i uregulował rachunek. Pete też wstała i zaczęła na Lukea przy drzwiach.

Drogę do gospody odbyli w grobowym milczeniu.

Psiakość!, przeklinała w duchu Pete z twarzą zanurzoną w kołnierzu płaszcza. Czy rzeczywiście musiało się to tak skończyć? Okazał jej najgłębszą troskę na wiele sposobów, wydał się jej taki nadzwyczajny.... rozumiał specyficzne problemy, jakie w rodzinie stwarza choroba umysłowa. Miałaby kogoś, komu mogłaby się wypłakać z powodu choroby mamy, nie spełnionych ambicji. Powiedział, że gotów jest jej wysłuchać i z czasem na pewno chętnie skorzystałaby z tego zaproszenia.

Niestety, me wiadomo kiedy, wdała się z nim w idiotyczną kłótnię. Kto zawinił? Nie umiała powiedzieć. Wiedziała tyle, że na samym wstępie zaprzepaściła szansę na przyjaźń. On pogardzał jej ambicjami zawodowymi, ona uważała, że był zadowolonym z siebie człowiekiem o ciasnych horyzontach, który nie dostrzega faktu, że tworzenie piękna jest samo w sobie bardzo szlachetnych powołaniem.

Stali naprzeciw siebie na parkingu gospody, przy wynajętym samochodzie Pete, przestępując z nogi na nogę z zakłopotania.

- Dziękuję - powiedziała w końcu Pete. - Ułatwiłeś mi wyjście z niezwykle trudnej sytuacji.

- Skomplikowałem również sytuację niezwykle prostą. Wzruszyła ramionami.

Zapadła cisza. Pete ruszyła do samochodu.

- Pete... Odwróciła się.

- Muszę na jakiś czas wyjechać, ale kiedy wrócę, chciałbym obejrzeć twoje projekty. Jestem pewien, że są ciekawe...

- Będą, kiedy będę miała na to warunki. Na razie większość

z nich mam tutaj. - Postukała się w głowę, a Lukę uśmiechnął się.

Ruszając, zobaczyła w tylnym lusterku, że stoi patrząc za odjeżdżającym wozem.

Co powinna była powiedzieć? Czego się po nim spodziewała? Kto zawinił? - myślała w drodze powrotnej do miasta.

Uednak rano miejsce wspomnień o Luke'u Sanfordzie zajęła wściekłość na dziadka, który tak bardzo zawiódł jej zaufanie.

Z pewnością wypatrywał już jej nadejścia, spragniony wieści o ich świątecznym wypadzie. Szczególnie był ciekaw, czy Bettina ucieszyła się czekoladkami.

Ciekawe, czym hitlerowcy nagradzali matkę za dobre sprawowanie, zastanawiała się Pete.

Opóźniała, jak mogła, wyjście do szpitala, ale koło południa zdała sobie sprawę, że nie może zwlekać w nieskończoność.

Josefa zastała wspartego na poduszkach w wielkim szpitalnym łóżku. Z zagipsowaną nogą, uniesioną wysoko na wyciągu, wydał jej się bardzo stary i bardzo mały. Rozpromienił się na jej widok.

- Nie mogę się doczekać twojej opowieści, *schatje*. Jak było? Jak się miewa moja dziewczynka?

- Powinieneś był mi powiedzieć. - Wrócił wczorajszy gniew.

- Powinieneś był mi powiedzieć prawdę o mamie, Opa. Mam prawo o tym wiedzieć.

- O czym mówisz? Cóż to niby za jakaś straszna prawda?

- obruszył się, ale zdradziła go nuta strachu w głosie.

- O wojnie. O Oświęcimiu. O tym, co te świnię z nią robiły. Usiadł najwyżej, jak mu na to pozwoliła noga.

Wyglądało, że

zamierza się bronić, dostrzegł jednak, że nie ma żadnych szans. Pogodzony z przegraną, ciężko opadł z powrotem na poduszki. Skurczył się jeszcze bardziej.

- A jakbyś ty powiedziała młodej dziewczynie, że jej matka była kurwą?

- Nigdy nie była żadną kurwą! Żebyś mi się więcej me ośmielił jej tak nazywać! Była ofiarą. Młoda, bezbronna kobieta,

która przeszła przez piekło, i która przez resztę życia usiłowała temu zaprzeczyć.

Przymknął oczy. Przyglądała się jego zapadniętej, poszarzałej twarzy.

- Próbowałem pomóc jej o tym zapomnieć - powiedział słabym, ledwie dostłyszalnym głosem. - Myślałem, że jeśli zepchniemy to w niepamięć i nigdy, ale to nigdy nie będziemy o tym rozmawiać, jeśli będę ją dostatecznie kochał, jeśli Steve będzie ją dostatecznie kochał, z czasem zapomni o wszystkim. Może łudziłem się, że cofnę bieg wydarzeń, tak jakby to się w ogóle nigdy nie stało.

- Ale to się stało, Opa, a ty nigdy nie dałeś jej szansy przyjęcia tego do świadomości, oplakania tego, co utraciła, odreagowania gniewu i bólu po to, żeby przejść w końcu nad wszystkim do porządku dziennego.

- Nie powinnaś była rzucać college'u, Pete. - Posłał jej nieśmiały uśmiech. - Byłby z ciebie niezły psycholog.

- Mnie też nie dałeś szansy na to, żebym zrozumiała - ciągnęła, zbyt rozgniewana, żeby go oszczędzać. - Być może udałoby mi się jej pomóc, gdybym wiedziała.

- Może źle postąpiłem.

- Owszem, Opa, źle postąpiłeś, tak bardzo źle, że nie wiem, czy ci to kiedykolwiek wybaczę.

Zacisnął powieki. Łzy strumyczkami popłynęły po głęboko pobrużdżonych policzkach.

- Zlituj się, Pete - wyszeptał. - Straciłem żonę. Straciłem córkę. Nie mogę stracić jeszcze ciebie.

Cały jej gniew rozwiął się w obliczu jego łez. Obeszła łóżko dookoła i przysiadła na krześle u wezłowania, ujmując go za dłoń spoczywającą bezsilnie na wykrochmalonej bieli kołdry.

- Powiesz mi teraz wszystko, Opa - jak was złapano, co się potem z tobą działo, w jaki sposób znalazłeś po wojnie mamę. Może jest już za późno, żeby jej pomóc, ale mnie na pewno pomożesz w ten sposób.

Starczym, znużonym, roztrzęsionym głosem podjął przerażającą opowieść. Nigdy nie dowiedzieli się, kto ich wydał, dość że w lipcu czterdziestego czwartego roku gestapo wdarło się na strych i wywlekło ich oboje z kryjówki. Josef, który nie był

Żydem, został zesłany na przymusowe roboty do Niemiec, Bettinę odesłano do Westerbork, punktu

tranzytowego dla holenderskich Żydów. We wrześniu załadowano ją do ostatniego transportu, jaki opuścił Holandię.

- Był to ten sam transport, którym Anna Frank odjeżdżała z rodziną do Oświęcimia - powiedział, a Pete zdrząła słysząc te słowa. - Jechali pociągiem towarowym, po siedemdziesiąt pięć osób w wagonie, który miał tylko jedno zakratowane okienko. Podróż trwała trzy dni.

O tym, co działo się z Bettiną, dowiedział się nie od niej, tylko od wywiezionej koleżanki. Przerazająca opowieść pokrywała się z historią, którą Pete usłyszała poprzedniego dnia.

- Nie wiedziałem, co się z nią stało i czy w ogóle uszła z życiem - ciągnął. - Wywieziono mnie do kopalni węgla w Zagłębiu Saary. Tam doczekałem wyzwolenia przez aliantów. Spędziłem później parę miesięcy w obozie dla bezdomnych. Imałem się każdego możliwego sposobu, żeby dowiedzieć się czegoś o Bettinie i Anneke, twojej babci. W końcu uzyskałem niezbite dowody, że moja żona zginęła w komorze gazowej Oświęcimia. Dopiero z końcem czterdziestego piątego otrzymałem wiadomość, że twoja matka żyje. Odnalazłem ją w jednym z marsylskich szpitali.

Z początku nie poznawała go. Ilekroć dotykał ją albo zaczynał do niej mówić, rozbierała się i padając na kolana powtarzała scenę, która wzbudziła w Pete zgrozę w gospodzie Siedmiu Sióstr. Z wolna jednak zaczęło do jej świadomości docierać to, gdzie się naprawdę znajduje i fakt, że nic jej nie zagraża. Wracala do zdrowia. Josef zabrał

ją do domu.

- Ale w Rotterdamie czaiło się zbyt wiele dramatycznych wspomnień. Pomyślałem, że Bettinie łatwiej będzie o wszystkim zapomnieć, kiedy się znajdzie w nowym miejscu, a trudno było o bardziej odmienny świat niż Ameryka, więc przyjechaliśmy tutaj.

- I spotkaliście tatę. I nigdy mu o tym wszystkim nie powiedzieliście.

- Myślisz, że by się z nią ożenił, gdyby wiedział?

- Nie wiem, ale zapewne wolałby mieć prawo do decyzji.

- Myślałem, że poznając ich ze sobą przysłużę się obojgu.

Twój ojciec też stracił kogoś, kogo bardzo kochał. Nigdy ci o tym nie mówił, prawda?

- Nie - potwierdziła słabym głosem, znużona nagle ogromem tajemnic, które zaciążyły nad jej życiem.

- Myślałem, że będą dla siebie wzajemną ucieczką. Nic z tego nie wyszło. - Uścisnął mocno jej dłoń.

- Mimo wszystko, nie żałuje. Mam dzięki temu ciebie.

Płakali teraz oboje. Pete nachyliła się i niezręcznie, omijając liny i bloczki wyciągu, uściskała dziadka.

- Mam rozumieć, że mi wybaczasz, *schatje*? - Nie wiem, czy zniósłbym, gdybyś mi nie wybaczyła.

- Wybaczam ci, Opa, bo nigdy nie potrafię gniewać się na ciebie długo, nawet za coś takiego. Ale musisz mi coś obiecać.

- Co takiego?

- Od dziś - żadnych więcej sekretów.

- *Ik beloof*- zapewnił. - Obiecuję.

Rozdział szósty

Była o ponad przecnicę od sklepu, kiedy zniecka lunął deszcz.

Ładna mi kwietniowa mżawka, pomyślała przebiegając ulicę na drugą stronę. Kiedy wychodziła do pracy w nowych włoskich pantofelkach, pierwszym luksusie, na jaki sobie pozwoliła od wielu miesięcy, niebo było czyste i grzało wiosenne słońko. Przed przemoknięciem mógł ją uratować tylko szybki bieg.

Dobiegając do wejścia Duforta & Iveresa zauważyła kilku mężczyzn z obsługi technicznej instalujących długą, purpurową flagę, na której srebrny napis głosił: DZIŚ JEST DESZCZOWY DZIEŃ. Był to kolejny pomysł Andrei.

Reklamy z „deszczem diamentów”, które od lutego zaczęły się ukazywać w magazynach mody, wywołały tyle komentarzy, że Andrea wpadła na pomysł wywieszania flag na budynku, ilekroć padał deszcz. Pete nie wiedziała, w jakim stopniu kampania reklamowa rzeczywiście podwyższyła obroty firmy, w każdym razie do sklepu przychodziło o wiele więcej młodych kobiet, choćby po to, aby pooglądać biżuterię. Trudno było zaprzeczyć, że Andrea wycisnęła osobiste piętno na stylu Duforta & Iveresa. Czy teraz, kiedy osiągnęła wysoką pozycję będzie się czuła mniej zagrożona? Czy też w dalszym ciągu będzie nienawidzić Pete, i w dniu, kiedy zdobędzie dostateczną władzę nad Marcelem, pozbędzie się jej?

Portier, Frank, wybiegł Pete naprzeciw z parasolem.

- Dzień dobry, panno D'Angeli.

- Nie wiem, czy taki dobry, ale na pewno mokry.

- Nie pamięta pani starego porzekadła? - zaproponował Frank. - Gdy w kwietniu deszczyk leje, w maju ogród się śmieje.

Niezły początek piosenki, pomyślała. Jej przyszłość nie zapowiadała się aż tak promiennie. Miała wrażenie, że ostatnio wszystko sprzymierzyło się przeciwko niej. Właściwie ta zła passa rozpoczęła się od kryzysu późną jesienią.

Perspektywa wieloletniego pobytu matki w zakładzie położyła tamę wszelkim projektom podjęcia ryzyka zawodowego. Kiedy Marcel, zaraz po Nowym Roku, przywiózł zakupione okazy Lalique'a, pokornie zajęła się promocją biżuterii. Pomogła w opracowaniu broszury z opisem każdego obiektu i

ułożeniu listy klientów, wartych zaproszenia na specjalny pokaz w sklepie. Bizuteria poszła za rekordowe sumy, a Pete otrzymała niezwykle wysoką prowizję.

Jednak pieniądze nie dały jej satysfakcji. Z trudem starczało na pokrycie rachunków. Mimo że noga Josefa zrosła się, rzadko wychodził do warsztatu. Teraz, kiedy jej dochody wzrosły, przestała prosić ojca, żeby wraz z nią pokrywał

koszty utrzymania matki w klinice. Nie tylko dlatego, że zarabiała więcej od mego. Czuła, że Steve został

wmanewrowany w małżeństwo z Bettiną, o której wojennych przeżyciach w ogóle nie wiedział. Czy ożeniłby się z nią, gdyby znał całą prawdę? Być może. Niemniej został pozbawiony prawa do własnej decyzji. Fakt, że nie wymagała od mego dalszego pokrywania kosztów leczenia Bettiny, Pete uważała za swoisty rodzaj zadośćuczynienia.

Mimo współczucia i zrozumienia, od czasu sprzeczki w przededniu wyjazdu oddaliła się bardzo od ojca. Nie bez znaczenia był fakt, że postanowiła nie wyjawiać mu tego, czego dowiedziała się o matce. Bała się, że prawda może wywołać wściekłość Steve'a, skierowaną przeciwko Josefowi. Obaj mężczyźni i tak przez długie lata byli w nie najlepszych stosunkach. Jednak zatajając tę prawdę, czuła się w obecności ojca współniczką nikczemnego spisku.

Łatwiej jej było omijać Steve'a z daleka.

Poranek włókł się w nieskończoność. Nie miała dzisiaj zapowiadanych wizyt klientów, spędzała więc czas na otwartej antresoli półpiętra, pośród kaset ekspozycyjnych działu kosztowności, obsługując przygodnych klientów.

Nie ustająca ulewa poważnie zmniejszyła frekwencję. Poświęciła po godzinie dwóm kolejnym osobom, które w końcu nie zdecydowały się na żaden zakup. Tuż przed południem odwołano ją do telefonu.

- I jak ci się podoba? - padło z drugiej strony niecierpliwe pytanie.

Dzwoniła Jess.

- Twój czy mój? - zakpiła Pete.

Poprzedniego wieczoru odbyły staromodną randkę w dwie pary. Najpierw poszli na *Chorus Line*, musical, który nadal cieszył się wzięciem, chociaż wystawiano go już parę lat, potem na kolację. Jess chciała ułyszeć opinię Pete na temat mężczyzny, z którym zaczęła się regularnie spotykać. Pretekstem miało być poznanie Pete z jednym z przyjaciół sympatii Jess. Pete nie umiała odmówić, choć generalnie nie przepadała za randkami w ciemno. Jess wiedziała, że Pete od dawna nie spotyka się z nikim i zapewne, pod płaszczykiem zasięgnięcia opinii, chciała wyświadczyć przyjaciółce przysługę.

- Nie musisz mi mówić, co sądzisz o twoim - oświadczyła Jess. - Ślepy w ciemnościach dostrzegłby, co czujesz.

Pete roześmiała się. Makler giełdowy, który jej towarzyszył, mówił wyłącznie o swoich pieniądzach, a w teatrze tak długo nadaremnie usiłowała stracić jego rękę ze swojego uda, aż wreszcie, w desperacji, z całej siły wbiła obcas w wyglansowany czub jego wieczorowych pantofli.

- Pytam o Fernanda - molestowała ją Jess.

- Wydaje mi się, że jest uroczy - oświadczyła Pete.

- Naprawdę? - upewniała się Jess. - Naprawdę ci się podoba?

- Co w tym takiego dziwnego? Musi być obdarzony dobrym gustem i inteligencją, skoro wpadłaś mu w oko. Co więcej, jest błyskotliwy, zabawny i traktuje cię w czarujący sposób. Czemu miałby mi się nie podobać?

- Bo nie spodobał ci się jego kolega - oświadczyła Jess po chwili milczenia.

- Być może kobieta powinna trzymać mężczyznę z dala od niewłaściwego towarzystwa. Jeśli wasz związek się utrzyma, spadnie na ciebie ten obowiązek.

- Mam nadzieję, że się utrzyma. - Głos jej się załamał. - Mówi, że mnie kocha, że się chce ze mną ożenić.

Wyobrażasz to sobie? Troszkę... troszkę się boję, bo nigdy przedtem nie miałam nikogo i pojawienie się Fernando... to dla mnie sen, który stał się jawą. Chyba bym nie zniosła, gdyby się to...

Skończyło.

- Spokojnie, Jess - powiedziała stanowczo Pete. - To się na pewno nie skończy. Wyrecytowała jeszcze parę krzepiących frazesów, a na koniec wreszcie wyjaśniła Jess, że musi wracać do pracy. Umówiły się na wspólny lunch w tygodniu.

Przez całą przerwę na lunch i po południu, w pracy, Pete kołatała się w pamięci ich krótka rozmowa. Skłamała najlepszej przyjaciółce i nie mogła zdecydować, czy postąpiła słusznie, czy nie. Prawda była taka, że Fernando de Moratin nie podobał jej się ani trochę. Owszem, był przystojny i elegancki, czuły i zabiegający o względy Jess, czarujący w obyciu - istna kopalnia zabawnych plotek i dykteryjek - jednak Pete wyczuwała w nim jakiś fałsz. Był

zbyt gładki, zbyt usłużny, w niczym nie przypominał solidnego, stojącego mocno na ziemi mężczyzny, którego Pete chciałaby widzieć u boku Jess. Gnębiło ją poważne podejrzenie, że Fernando interesował się Jess z powodu jej pieniędzy.

Jak mogła jednak powiedzieć coś takiego Jess? Czy miała w ogóle prawo mówić coś takiego? W końcu były to tylko jej podejrzenia. A Jess była taka szczęśliwa, tak bardzo potrzebowała miłości mężczyzny.

Gdzie kończy się dobroć, a zaczyna hipokryzja?

Rozważając dylemat, kiedy powinno się mówić prawdę, a kiedy należy zachować ją dla siebie, przypomniała sobie swoje spotkanie z Luke'em Sanfordem. Luke z pewnością nie krył swoich opinii. Był z nią szczery, a ona odwróciła się od niego. Myślała o tym wiele razy i z czasem coraz bardziej żałowała, że nie potrafiła przełknąć jego krytyki.

Tak wiele rzeczy w nim jej się podobało, tak delikatnie i sensownie udzielił wtedy pomocy. Ale ona zdusiła szansę na przyjaźń - jeśli nie coś więcej - w zarodku, ponieważ mówił z nią otwarcie. To prawda, że zlekceważył jej życiowe ambicje, niewykluczone, że na tym punkcie zawsze dochodziłoby między nimi do nieporozumień. Wiele jednak przemawiało na korzyść mężczyzny, który potrafił wygarnąć prawdę bez ogródek.

Właśnie niedawno zdecydowała się dowiedzieć, gdzie mieszka i napisać do niego. Podczas odwiedzin w zakładzie zamierzała wziąć jego adres od Robby'ego - tymczasem dowiedziała się, iż Robby został zwolniony na początku marca. Personel kliniki zdradził jej tylko, że bracia mieszkają w Kalifornii, natomiast odmówił podania dokładnego adresu czy nawet nazwy miasta.

- Bardzo chętnie wyślemy list w pani imieniu, panno D'Angeli

- zaofiarował się doktor Haffher. - Jeżeli Robby zechce odpisać

- to jego sprawa. My jednak stosujemy politykę ścisłej tajności akt naszych pacjentów. Proszę nas zrozumieć.

Mimo że przeszkoda nie była w sumie poważna, Pete dało to nieco do myślenia. Robby Sanford zaczynał nowe życie po latach spędzonych w zakładzie. Kto wie, czy nie pragnie zerwania wszelkich więzi łączących go z kliniką. Mógł

nie życzyć sobie niczego, co przypominałoby mu o pobycie w zakładzie. Czemu też Luke Sanford miałby nagle szaleńczo zapragnąć widzieć się z nią z tego tylko powodu, że przestała się dąsać o parę słów prawdy? Luke mieszka w Kalifornii, parę tysięcy kilometrów od jej miejsca zamieszkania. Przegapiła tę szansę. Tak jak wiele innych.

Popołudnie ciągnęło się jeszcze wolniej niż rano. Poważni klienci zapewne umknęli przed kwietniowymi ulewami z Nowego Jorku. Kwiecień w Paryżu - to był szyk.

Pół godziny przed zamknięciem sklepu w smętne rozmyślenia Pete na antresoli wdarł się dobitny głos z parteru.

- Mój dobry człowieku - grzmiał mężczyzna dźwięcznym barytonem. - Bądź łaskaw zejść mi z drogi, bym mógł do woli zdeptać wasze podłogi.

Pete podeszła do balustrady i spojrzała w stronę wejścia. Frank, krzepki portier, który swoją posadę zawdzięczał

zarówno wyglądowni, jak nienagannym manierom i pogodnemu usposobieniu, nieustępliwie bronił wejścia przybyszowi.

- Czy byłby pan łaskaw powiedzieć, w jakiej pan przyszedł sprawie? - pytał, a w jego głosie, pod warstwą uprzejmości, dźwięczała stal.

Ciemny blondyn, który usiłował dostać się do środka, był wysoki i szczupły, żeby nie powiedzieć chudy. Włosy kleiły mu się od deszczu do głowy, mimo pochmurnego dnia nosił ciemne okulary. Z ramion zwisał żałośnie przemoczony trencz, a bandaż, zawiązany na ukos przez jedno oko, nadawał mu wygląd starego hulaki, który postanowił, jak mały chłopiec, zabawić się w pirata. Niewątpliwie gość miał solidnie w czubie.

Pete nie dziwiła się wcale, że Frank nie palił się do wpuszczenia przybysza do sklepu. Jednak obawiała się, że mogło to być równoznaczne ze stratą dosyć sporej kwoty. Pospiesznie zbiegła po szerokich, marmurowych schodach.

- To, w jakiej sprawie przychodzę - oznajmił mężczyzna starannie modulując głos - to nie pańska pieprzona sprawa.

A teraz, o ile nie zechcesz usunąć z mojej drogi swojej cielesnej powłoki, będę zmuszony użyć siły.

Frank wyglądał, jakby miał lada chwila złapać bezczelnego intruza za kark i wystawić za drzwi.

- Dziękuję, Frank - powiedziała Pete pojednawczo. - Pozwól, że ja porozmawiam z panem. Proszę za mną, panie MacKinnon. - Wsunęła rękę pod łokieć mężczyzny i pociągnęła go za sobą po schodach, kierując się do jednego z prywatnych saloników. Bez względu na to, czego chciał, w jego obecnym stanie i dla niego, i dla Duforta & Iveresa lepiej było, żeby został obsłużony z dala od oczu ciekawskich, w zaciszu jednego z saloników.

Jej troskliwość zawdzięczał swojemu głosowi. Pete od pierwszego słowa rozpoznała to charakterystyczne, pełne brzmienie. Douglas MacKinnon przed dwudziestu laty zdobył sławę jednego z najwybitniejszych młodych aktorów angielskiej sceny. Wychowanek Królewskiej Akademii Sztuk Dramatycznych, wieloletni członek Royal Shakespeare Company, szerszej publiczności stał się znany przed dziesięciu laty, dzięki rolom w brytyjskich filmach. Z czasem upomniało się o niego Hollywood, posypały się propozycje ról w filmach kostiumowych.

Wreszcie, przed rokiem, doczekał się partnerowania Lyli Weaver, najlepiej opłacanej gwiazdzie hollywoodzkiej w zrealizowanym z wielkim przepychem filmie o Napoleonie i Józefinie. Mimo że oboje byli związani - Weaver miała piątego męża - między gwiazdami wywiązał się romans, który przysporzył im tyle samo publicznej uwagi, co romans filmowych postaci, które odtwarzali. Żadne z nich nie wzięło dotąd rozwodu, niemniej romans trwał.

Paparazzi z teleobiektywami nie odstępowali ich ani na krok

i zdjęcia pary obejmującej się w rozmaitym stopniu roznegliżowania na plażach od Zatoki Meksykańskiej po Morze Śródziemne można było podziwiać na łamach prasy tydzień w tydzień.

Jednak Pete знаła twarz McKinnona nie z okładek kobiecych czasopism wystawianych przy kasach supermarketu, lecz z jego wczesnych ról filmowych - Ryszarda Lwie Serce, generała

Montgomery'ego - a także śmiałego portretu Oskara Wilde'a w rozwianej pelerynce i kapeluszu z opadającą krezą. Zawsze uważała, że nie ma aktora o równie fascynującej ekspresji i głosie jak Douglas MacKinnon.

- Dzięki ci, moja droga, że przejęłaś sprawę w swoje dłonie - oświadczył, kiedy wdrapali się na półpiętro. - Byłoby mi niezmiernie przykro wyrządzić krzywdę temu osobnikowi. Mam nadzieję, że kiedyś się pani odwdzięczę... i również wezmę panią w moje dłonie. - Łypnął lubieżnie w stronę Pete.

Pete naczytała się dosyć plotek, aby wiedzieć, że jeszcze zanim wdał się w romans z Lylą Weaver, MacKinnon cieszył się sławą niezrównanego uwodziciela. Postanowiła go ostudzić w jego zapędach.

- Spodziewam się, że przychodząc do Duforta & Iveresa jest pan zainteresowany kupnem klejnotów, a nie demonstrowaniem swoich klejnotów rodzinnych - odparowała cierpko.

MacKinnon stanął jak wryty, po czym wybuchnął gromkim śmiechem.

- Przebóg, ta dama ma języczek żmii! *Touche*.

- Proponuje, żebyśmy przeszli tam, gdzie będzie pan mógł mi wszystko powiedzieć - skinęła dłonią w stronę prywatnych saloników.

- Nigdzie nie musimy chodzić. Proszę mnie tylko zaprowadzić do Lyli.

- Lyli? Nie ma tu pani Weaver.

- Niech szlag trafi te przeklętą babę! Nigdy nie dotrzymuje umów. Mieliśmy się tu spotkać o piątej. Specjalnie spóźniłem się pół godziny, a tej cholery dalej nie ma! - wściekł się Douglas.

- Jestem pewna, że przyjdzie lada chwila - oświadczyła Pete kojącym, profesjonalnym głosem, a w duchu dodała: przyjdzie, choćby się waliło i paliło. Pete miała podstawy do takiej pewności. W ciągu ostatnich paru lat czekała kilkakrotnie na Lylę. Artystka słynęła z chorobliwej wręcz namiętności do klejnotów, w których ceniła sobie przede wszystkim rozmiar. Powszechnie wiadomo było, że od swoich kochanków wymagała dowodów miłości w postaci drogocennych kamieni. Ta kobieta fascynowała Petę swoim życiem, które w jakiś sposób było podobne do życia La Colomby z jej legendarną kolekcją klejnotów, płonem hołdów składanych latami przez kolejnych kochanków.

- Proszę wejść i usiąść - jeszcze raz skinęła w stronę saloniku.

- Pozwoli pan, że tymczasem podam panu filiżankę kawy.

- Wolałbym, co prawda, wysmukłą, dwudziestoletnią... butelkę szkockiej - oznajmił MacKinnon, kiedy znaleźli się w saloniku. Cisnął mokry płaszcz na marmurową toaletkę, a sam rozsiadł się na krześle obitym aksamitem w groszki.

- Nie sądzę, żeby pan jeszcze potrzebował...

- Wielkie nieba! - zagrział MacKinnon stentorowym głosem.

- Jeszcze i ty się na mnie uwzięłaś!

Pete zawahała się przez moment, po czym podniosła słuchawkę spoczywającą na stoliku z politurowanego hebanu, rzuciła parę słów i usiadła naprzeciwko aktora. Wciąż był pociągającym mężczyzną. Miał bardzo niebieskie oczy i smagłą twarz poorly głębokimi bruzdami, które tylko dodawały mu urody. Choć alkohol szumiał mu w żyłach, patrzył na Pete wzrokiem tak bezpośrednim i władczym, że cofnęła się mimo woli.

- Ładna z ciebie dziewczka - pochwalił dźwięcznym, miłym, głębokim głosem.

Roześmiała się mimo woli.

- Zapewniam pana, że nikt mnie dotąd nie nazwał dziewczką.

- Cóż, to chyba pasuje do mojej osobowości scenicznej, nie uważasz?

- Rozumiem, że to miał być komplement.

Rozejrzał się po saloniku. Dotarła do niego pełna intymność pomieszczenia.

- Nie wydaje mi się, żebyś miała ochotę na mały sztosik w oczekiwaniu na Lylę - tę cholerną - Weaver, mam rację?

Ona się tu nie zjawi jeszcze co najmniej przez pół godziny, a nie wygląda na to, żeby nam miał ktoś przeszkadzać.

Znów roześmiała się. Wielu panów składało jej propozycje w prywatnych salonikach Duforta & Iveresa, ale żaden z nich nie zwracał się do niej z równie niewinnym wdziękiem. Ani nie przekonywał jej tak blado.

- Nie sądzę, żebym miała ochotę, niemniej dziękuję za pańską propozycję.

- Podejrzewałem, że nie zechcesz, ale zawsze warto spróbować.

Szkocką dla Mac Kinnona wniesiono razem z kawą dla Pete. Przez chwilę pobrzękiwanie lodu w szklaneczce i bębnienie deszczu o świetlik na suficie były jedynymi dźwiękami w pokoju. Mac Kinnon pociągnął sownie wysokogatunkowego trunku, po czym spojrzał przeciągle na Pete.

- Jak masz na imię, moja miła? Jak rzecz nasz narodowy bard: *Znaj imię niewiasty, którą pragniesz chędożyć*. To kwestia dobrych manier.

- To nie jest cytat z Szekspira - odparowała ze śmiechem.

- Co ty powiesz? Cóż, nie zwalnia cię to od podania mi swojego imienia.

- Pete D'Angeli.

- Pete? Pete? - powtórzył Mac Kinnon z rosnącym niedowierzaniem. - Czyż takie imię przystoi urodziwej dziewczce?

- Tak naprawdę nazywam się Pietra.

- Na to mogę się zgodzić. Po stokroć bardziej dziewczkowate -oświadczył, smakując jej imię najęzykując wino z najlepszego rocznika. - Pie-traaa. Cudowne. Zdecydowanie do ciebie pasuje. Pociągnął ze szklanki, studiując swoje odbicie w wielkim lustrze na przeciwległej ścianie. - Z tym bandażem na oku wyglądam jak rozbójnik morski.

- Co się stało? Mam nadzieję, że nic poważnego.

- Ucierpiała wyłącznie moja duma, miła moja. Ryszard w moim wydaniu nie stąpa już tak lekko, jak kiedyś. Ani nie włada tak zwinnie mieczem. Dzisiejsza próba zakończyła się bardziej krwawo niż poprzednie. Ale to tylko rany cielesne, które się zagoją, w przeciwieństwie do zranionej dumy.

Pete nagle przypomniała sobie wszystko. MacKinnon zjawił się w Nowym Jorku po to, żeby przez krótki czas występować na scenie w specjalnej inscenizacji *Ryszarda III*. Charlie zdążył

już ją poprosić, żeby mu towarzyszyła na ten spektakl - o ile w ogóle dojdzie do premiery. Charlie wiedział z poufnych źródeł, że są pewne kłopoty podczas prób z powodu zapijania się przez MacKinna.

- Nie mogę się doczekać, kiedy pana zobaczę na scenie

- wyznała Pete. - Słyszałam, że jest pan niezrównany w rolach szekspirowskich, a *Ryszard* jest moim ulubionym dramatem.

- Co? Ten biedny łotr, Ryszard? *Zniekształcony, niepełny, zesłany przedwcześnie na świat, na pół wykonany?** No to świetnie. Wnoszę z tego, że zostaniemy przyjaciółmi? Kiedy tylko pani zechce, znajdą się dla pani miejsca w łoży specjalnej.

Pete była szczerze przejęta. Wyprawa do teatru sama w sobie była dla niej rzadką atrakcją, teraz miała nie tylko oglądać Douglasa MacKinna, ale jeszcze z najlepszych miejsc na widowni.

- Nie wiem, jak panu dziękować, panie MacKinnon - wyznała wniebowzięta.

- Myśl, moje dziecko, myśl. Może coś wpadnie ci do głowy

- oświadczył z diabolicznym uśmiechem, dziwnie niewinnym jednak, jak na lubieżne podteksty. - Póki co, módlmy się, żeby doszło w ogóle do premiery. - Jednym haustem opróżnił szklankę do połowy. Pete zerknęła ukradkiem na zegarek. Dochodziła szósta. Wkrótce powinna zbierać się do domu, ale Douglas MacKinnon nie sprawiał wrażenia osoby, której się dokądkolwiek śpieszy. Przeciwnie, rozsiadł się na dobre, jakby miał zamiar czekać w nieskończoność.

- Ona nie wierzy, że ją naprawdę kocham - odezwał się zniecierpliwiony. Mimo nagłej zmiany tematu, Pete nie miała wątpliwości, że mowa o Lyli Weaver. - Mówi, że nie rozwiedzie się ze swoim Wilusiem, bo nie jest pewna, czy kocham ją na tyle, żeby nie porzucić.

- A kocha ją pan? - spytała Pete ze szczerym zainteresowaniem.

- Czy kocham ją? - zaperzył się aktor gromkim głosem. Reszta szkockiej gładko zniknęła w czeluściach jego gardła.

Odstawił szklanekę ze stukotem. - Jeszcze wszystkim pokażę,

*** Tłum. Macieja Słomczyńskiego.**

jak ją kocham. - Wyjął z kieszeni wymiętą brązową papierową torebkę. - O, tak!

Z torebki wydobyl jeszcze bardziej wygniecioną papierową chusteczkę, rozwinął ją i na stoliku zalśnił

najpiękniejszy, najbardziej nieskazitelny gwiazdzisty szafir, jaki Pete oglądała w życiu. Wprawnym spojrzeniem wyceniła go na co najmniej dziewięćdziesiąt karatów. Jego błękit był głęboki i intensywny, nie zmieniał odcienia ani w sztucznym, ani w naturalnym świetle. Taki błękit, identyczny z barwą pawich piór na szyi ptaka, spotykało się tylko w najdoskonalszych szafirach kasz-mirskich.

Wyciągnęła drżącą rękę. Jednym palcem musnęła leciutko kamień.

- Wspaniały.

- Tak też mi się wydaje. Lekką ręką nie wydałbym ćwierć miliona dolarów na - jak to mówicie w Ameryce - siekaną wątróbkę.

- Gdzie pan go kupił?

- U prywatnego dostawcy w Singapurze. Myślisz, że Lyli się spodoba? - W jego głosie dało się wyczuć chłopięcy niepokój.

Spodoba - zdumiała się Pete. Dla takiego kamienia Lyla Weaver gotowa byłaby zabić.

- Z tego, co wiem o panie Weaver, jestem pewna, że będzie zachwycona pańskim szafirem - oświadczyła.

- Czy znasz *Dwóch panów*?

- Jakich „dwóch panów”? - spytała zaskoczona.

- *Dwóchpanów z Werony*. Valentine, akt trzeci, scena pierwsza: *Gdy słowem gardzi, zdobądź ją darami umie milczący klejnot, choć niemowa, więcej niewieście rzec, niż wszystkie słowa**.

- Może mi pan wierzyć, panie MacKinnon, ten klejnot z pewnością powie jej niejedno - zapewniła go Pete, ponownie dotykając kamienia. - Czy mogłabym go obejrzeć? - Skinął przyzwalająco. Wzięła kamień do ręki, wyjęła z kieszonki lupę i wpatrzyła się głęboko w serce klejnotu. Jego błękit miał zadziwiającą głębię - nigdzie nie natrafił

nawet na cień zieleni,

*** Tłum. Macieja Słomczyńskiego.**

szarości czy fioletu. Miała w rękach najczystszy szafir, który w oczach starożytnych był symbolem niebios. Widziała wyraźnie inkluzje tytanowe, tworzące sześcioramienną „gwiazdę”. Kamień powlekała leciutka mgiełka, tak charakterystyczna dla kaszmirskich szafirów. - Piękny - westchnęła, oddając mu go z powrotem.

- Wszystko dobrze - zniecierpliwiał się nagle MacKinnon - ale gdzie u cholery podziewa się Lyla? Chciałem dzisiaj sprezentować jej kamień, rozumiesz? Miałem zamiar poprosić kogoś z waszych ludzi o oprawę. Coś oryginalnego i efektownego; w guście Lyli. Coś, co by z niej wreszcie wydusiło obietnicę, że weźmie rozwód i wyjdzie za mnie za mąż. - Obracał szafir w palcach jak paciorek różańca. - Ja ją kocham, rozumiesz.

Zaczynał się roztkliwiać. Pete zastanawiała się, czy przypadkiem nie przemawia przez niego szkocka whisky.

- Panie MacKinnon, jestem pewna...

- Nie przyjdzie. Dobrze wiem. - W jego głosie zabrzmiała głęboka pewność. - Przeprosili się z tym cholernym mężem. Przysięgała, że nic takiego nie przejdzie jej nawet przez myśl, aleja moją Lylunię dobrze znam. Jeśli Wiluś się stawi z diamentowym wisiorkiem albo bransoletką ze szmaragdów, zacznie się poważnie zastanawiać. Wszystko sprowadza się do tego, uroczą Piętro, na czyje kamienie będzie miała większą chrapkę - moje czyjego.

Mały złoty zegar z onyksową tarczą zadzwonił z półeczki sześć razy.

- Bardzo mi przykro, panie MacKinnon, ale będziemy już zamykać - oświadczyła Pietra.

- No tak. Racja - potaknął. Zgarnął gigantyczny szafir i ponownie zawinał w chusteczkę. - Nie zasługuje na niego.

Nie zasługuje na mnie. Dam go komuś innemu.

Wrzucił kamień do wygniecionej torebki papierowej, którą wepchnął do kieszeni utyłanego prochowca. Wstał i złożył pełen szacunku, choć nieco chwiejny, ukłon w stronę Pete. Wyszedł z saloniku i niezbyt pewnym, ale szybkim krokiem zszedł na parter, teraz już opustoszały. Pete ruszyła z nim.

Kiedy zbliżał się do drzwi, jego krok stawał się coraz mniej pewny. Nie zataczał się wprawdzie, niemniej zdecydowanie kołysał na boki.

- Widzę, że trzeba mi świeżego powietrza - oznajmił z patosem. - Przejdę się do hotelu. - Zrzucił prochowiec z drogocenną zawartością, wzruszeniem ramion układając go sobie wygodnie na plecach.

Pete gnała za nim truchtem. Świadomość, że mężczyzna w jego stanie wychodzi na ulice Manhattanu, niosąc luzem w kieszeni szafir wartości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, była ponad jej siły.

- Panie MacKinnon - zaproponowała - czy nie zechciałby pan, żebym umieściła pański szafir w sejfie? Będzie pod ręką, kiedy przyjdziecie z panną Weaver.

- Nie trzeba, moja droga. - Machnięciem reki zbył jej dobre chęci.

- Ale on nie jest bezpieczny.

- To prawda, że złodzieje i włóczędzy mogą na mnie czyhać

- potwierdził. - A panna Weaver nigdy by tego nie odżałowała.

- Ujął dłoń Pete, ucałował z wielką galanterią i wytoczył się na deszcz, który w dalszym ciągu sączył się z nieba.

Pete patrzyła w ślad za MacKinnonem, jak zataczając się oddala od drzwi sklepu. Mogłaby pójść o zakład, że za chwile zrobi postój w najbliższym barze. A po kilku szkockich zechce pochwalić się szafirem nowym kolegom.

Kolejny postój może odbyć się w bardzo ciemnym zaułku.

Chwyciła za wielki parasol, który Frank trzymał przy drzwiach i puściła się pędem za Douglasem MacKinnonem.

Mogła przynajmniej wsadzić go do taksówki i odesłać bezpiecznie do domu.

Ledwie wybiegła na chodnik, wiatr wywinął parasol na drugą stronę. MacKinnon uszedł dobre dwie przecznice, zanim go dogoniła. Przemokła na wylot.

Na szczęście akurat mijają ich pusta taksówka. Pete wyciągnęła rękę i taksówka rozbryzgując kałuże zahamowała przy krawężniku, ochlapując ostatnie suche miejsca na ubraniu Pete.

Pete otwarła drzwiczki, ale MacKinnon uparł się, że pójdzie na piechotę.

- Niechże pan pomyśli - prosiła go, ocierając cieknące do oczu strugi wody. - Jeżeli mój szef się dowie, że pozwoliłam panu z kamieniem w kieszeni wyjść na Manhattan, zamiast zdeponować go w specjalnym sejfie - no cóż, mogę zostać, jak to się mówi, obskoczona.

- Dziwne, doprawdy dziwne. Macie tu w Ameryce mnóstwo dziwnych wyrażen.

- To prawda, ale proponuję, żebyśmy rozmowy językoznawcze i etymologiczne przenieśli w jakieś

miejsce, w którym Noe czułby się mniej swojsko, za to pański kamień byłby bezpieczniejszy.

- Z rozkoszą, moja droga. W miejsce, w którym zjesz ze mną kolacyjkę...

- Potrząsnęła głową.

- Panie MacKinnon...

- Douglas i żadnych „ale”, bo ja i mój drogocenny towar znajdziemy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Roześmiała się mimo woli. Co prawda był czarujący, był wielką gwiazdą, ale ona po prostu chciała mieć pewność, że szafir trafi w bezpieczne miejsce.

- O co te ceregiele? - włączył się na domiar złego taksówkarz.

- Niech pani zje z nim tę kolację albo pozwoli mi poszukać innego pasażera.

- Dobrze, kolacja - ustąpiła i wsiedli do taksówki. MacKinnon kazał się zawieźć do hotelu Plaza, zaledwie kilka przecznic od miejsca, gdzie wsiedli.

- Nie mogę tam jechać - zaprotestowała Pete. - Proszę, spójrz tylko na mnie. Jestem cała w rozsypce.

- Miłe dziewczę, jesteś absolutnie zachwycająca. Dopilnujemy, żebyś mogła dzielić stół z książkami. Jeszcze raz, jak się nazywasz? - spytał, nachylając się do niej. Kolejny raz roześmiała się. Podała mu swoje imię, zastanawiając się, czy zdoła je zapamiętać przez najbliższe dziesięć minut. Czekał, Jess, myślała, zobaczysz jaką mam dla ciebie w zanadrzu historię.

W hotelu MacKinnon posłużył się najbardziej nieodpartym urokiem, żeby namówić Pete do przebrania się w coś suchego

- konkretnie w czerwoną sukienkę z odsłoniętymi plecami od Valentina, którą wybrał dla niej osobiście w jednym z butików w hallu. Pete opierała się, ale wyjaśnił jej, że nie jest to zakup, a jedynie pożyczka - hotel chętnie szedł w ten sposób na rękę znanym gwiazdom.

Pete wzięła suknię do damskiej toalety, przebrała się, pospiesznie wytarła włosy ręcznikiem do sucha, po czym zebrała do tyłu i związała wzorzystą chusteczką z jedwabiu, którą nosiła w torebce. Poprawiła makijaż i poczuła, że jest wreszcie w stanie stawić światu czoło. Weszła wyglądając jak zblakana sierota, wychodziła piękna i elegancka.

Skromna fryzura podkreślała delikatnie rzeźbione rysy jej twarzy. Przypominała teraz modelkę prezentującą kosmetyki. Jej błękitne oczy, nie-nawykłe do tego rodzaju przygód, jaśniały z podniecenia.

Tego wieczoru Pete miała okazję zetknąć się ze światem, o którego istnieniu wiedziała, do którego jednak dotąd nie miała wstępu. Kiedy po kolacji w Sali Dębowej wyszli z hotelu, czekała już na nich limuzyna. MacKinnon zabierał

ją na deser

i kawę do Reginę, a potem na drinka do Elaine. Przy każdym postoju mówiła sobie, że najwyższa pora zakończyć wieczór, potem jednak pozwalała MacKinnonowi prowadzić się dalej. Nie mogła mu odmówić. Nie dość, że zachodzili do miejsc, w których jej noga nigdy dotąd nie postąpiła, to jeszcze wkraczała tam u boku mężczyzny, dzięki któremu oczy wszystkich spoczywały na niej. Wyglądało na to, że Douglas zna właściciela każdego prawie lokalu na Manhattanie - dokądkolwiek by się udali, wszędzie była entuzjastycznie podejmowana. Nie minęła północ, kiedy Pete zdała sobie sprawę, że następnego dnia w tuzinie rubryk towarzyskich wystąpi jako „nowa, tajemnicza towarzysza Douglasa MacKinnona”.

Dochodziła pierwsza, kiedy pod zawistnymi spojrzeniami tłumu osobników, uznanych za niegodnych wstępu, wślizgnęła się w uchylone drzwi Studia 54. Poczuli się, jakby ją przeniesiono do krainy Oz, położonej daleko poza dławiącymi pętami ubóstwa w Przedpieklu czy konformizmem jej posady. Nad zatłoczonym parkietem unosił się wielki neonowy półksiężyc, wewnątrz którego rozbłyskiwała łyżeczka do kokainy oświetlając głowy Pięknych Ludzi. Wirowali w rytm ogłuszających uderzeń rocka. Pete poczuła, że jej buty zaczynają się same unosić. Jej krew pulsowała w rytm muzyki.

- Fruń, Piętro, fruń! - wykrzyknął MacKinnon, wyciągając ją na parkiet.

Mimo że wieczór był szalony, Pete starała się ani na chwilę

nie spuszczać z oka prochowca MacKinnona. Jeżeli nie zostawiali go w strzeżonej szatni, żądała, by pozwolił jej pilnować go osobiście.

Koło drugiej nad ranem świat wirował już przed oczami Pete. MacKinnon z Mickiem Jaggerem postawili bywalców Studia 54 na baczność zawadiackim wykonaniem *Powstań z klęczek, mateczko Brown*.

- Naprawdę muszę już wracać do domu, Douglas - oświadczyła bez specjalnego zapędu.

- E tam, do domu. Chodź, pojedziemy do centrum. Podobno otwarli tam parę znakomitych miejsc.

- Przepraszam cię, ale o tej porze u mnie kareta ostatecznie zamienia się w dynię. - Ziewnęła. - Zapewne jestem jedyną osobą na sali, która jutro rano będzie musiała iść do pracy.

Odebrali drogocenny płaszcz z szatni i wyszli przed klub. Zajechała limuzyna. MacKinnon polecił kierowcy zawieźć Pete pod wskazany adres. Uświadomiła sobie, że od tej chwili będzie się włóczył samopas - z szafirem.

- Douglas - powiedziała, naśladowując wyniosły ton, którym raczył ją przez cały wieczór. - Nie jestem twoją niańką, ale nie pozwolę ci być skończonym idiotą. Jeżeli nie idziesz prosto do łóżka, musisz mi oddać na przechowanie zawartość twojej kieszeni. - Wskazała na prawą stronę jego prochowca.

Zmarszczył czoło z wysiłkiem i sięgnął po papierową torebkę.

- Chyba masz rację - powiedział. Zręcznym ruchem wydobył szafir z torebki i wysokim łukiem rzucił

go w stronę Pete.

Nadstawił dłonie i zdążyła go w porę złapać. Sapnęła z ulgą.

- Od jutra rana twój szafir będzie czekał na ciebie i pannę Weaver w sejfie Duforta & Iveresa - oświadczyła. Wsiadła do limuzyny.

MacKinnon schylił się i wsadził głowę do samochodu.

- Złociutka, nie dam jutro rady - powiedział przez drzwiczki przytrzymywane przez szofera. - Muszę jechać na parę dni do Kalifornii, spotkać jednego sukinsyna od filmu. Nie wie, czy się nadaje do roli! Wyobraź sobie tylko - on nie wie czy ja się nadaję! Wrócę w piątek i postaram się upolować Lylę. Będziemy chcieli pogadać z waszymi projektantami o oprawie szafiru - to musi być coś wystrzałowego. Powiedz tam komu trzeba. - Cmoknął Pete i odsunął się, żeby szofer mógł zamknąć drzwi do samochodu.

W drodze do domu odchyliła głowę do tyłu, przymykając oczy, ale jej umysł pracował niestrudzenie. Rozmyślała o Lyli Weaver i jej kolekcji klejnotów - na równi, jak ona sławnej i prowokującej morze plotek - a potem przypominała sobie o tym, co Charlie zwykł był mawiać na temat znaczenia, jakie ma odpowiednia reklama dla zdobycia poklasku

- jeśli nie głębszego zrozumienia.

W ciemnościach, pod zamkniętymi powiekami, zaczął ją rozpalać obraz kamienia. Ciemny szafir migotał białą gwiazdą, powiększał się w wyobraźni, aż całkowicie zawładnął jej umysłem.

Kiedy Pete dojeżdżała do domu, wiedziała już, że tej nocy nie zmruży oka.

Rozdział siódmy

Spi, chwała Bogu, skonstatowała wchodząc do mieszkania. Często po powrocie zastawała dziadka nie śpiącego i zdenerwowanego. Zasypywał ją pytaniami o to, gdzie była. Pete znosiła indagacje spokojnie, wiedząc, że dziadka prześladowa ją straszliwe wspomnienia o żonie, która zniknęła, i córce maltretowanej w nieludzki sposób.

Tej nocy jednak nie miała czasu odpowiadać na jego pytania. Właśnie ważyła się jej przyszłość. Nie miała ani chwili do stracenia. Douglas MacKinnon pragnął oprawy, która splendorem dorównywałaby samemu szafirowi. Po cóż przekazywać robotę pracownikom projektów Duforta & Iveresa? Sama to robi! Czy kiedykolwiek trafi jej się lepsza okazja, żeby zza lady sklepowej wylądować przy rajzbracie?

W jednej chwili opuściła ją senność. Otrzeźwiała z wina i niezliczonych drinków, które wlewała w siebie przez wieczór. Poczula się, jakby łyknęła haust czystego tlenu.

W sypialni zorganizowała sobie „stanowisko obserwacyjne”. Na blacie biurka rozpostarła wyciągniętą z kufra starą spódniczkę matki z czarnego aksamitu, ustawiła lampę kreślarską tak, żeby światło padało na środek materiału. W

środku świetlistego kręgu położyła szafir.

Wpatrywała się w kamień, zahipnotyzowana jego pięknem. Prawdę mówiąc, powinna przede wszystkim otrząsnąć się z zachwyty nad czarodziejską transformacją światła, jaka zachodziła w jego wnętrzu. Aby pracować z kamieniem, musiała nawiązać z nim partnerski stosunek, jak równy z równym współtworzyć efekt końcowy.

Z natężeniem wpatrywała się w kamień. Doszczętnie straciła poczucie czasu. Co pewien czas obracała kamień o ćwierć obrotu w tę lub w tamtą stronę, obserwując skutek, jaki jej ruch wywołał na mlecznej gwiazdzie kwitającej ze środka szafiru. Kiedy indziej przesuwiała szafir w prawo albo w lewo, przybliżała i oddalała od światła. Wstawiała, przechodziła obok szafiru, robiła parę kroków do tyłu, potem z powrotem podchodziła do biurka i siadała. Szafir lśnił

w sercu jej wszechświata. Była gwiazdym wędrowcem, który nadleciał nad planetę z klejnotów, jak atom dryfujący w otchłani między molekułami.

Powoli zaczął odkrywać przed nią swoją osobowość. Był, bez wątpienia, kamieniem aroganckim, bezwstydnie ostentacyjnym, obcesowym i zadufanym w siebie. Dlatego właśnie pasował jak ulał do Lyli Weaver. Potrzebował

śmiałej, aroganckiej, godnej siebie oprawy. Pięknej, ornamentalnej - to mało. Oprawy, która wyraziłaby artystyczne *credo* Pete.

Cofnęła się wspomnieniami do czasów, kiedy jej dziadek obserwował diament powierzony mu przez Claude'a Iveresa. Wtedy po raz pierwszy obiło jej się o uszy używane przez szlifierzy wyrażenie: „romansowanie z kamieniem”. Teraz też, mimo że nie szło wcale o szlifowanie kamienia, Pete czuła, że to słowo znakomicie oddaje jej zajęcie. Z kamieniem spędzało się czas sam na sam po to, żeby poznać go tak, jak nikt przed nimi i po nas, po to, żeby przeniknąć istotę jego serca. Tak właśnie - ni mniej, ni więcej - wygląda miłość.

Ale ona nie dopuści, żeby ten romans skończył się złamanym sercem, tak jak romans dziadka. Miała szansę jednym krokiem znaleźć się w szeregach znaczących projektantów biżuterii. Musi jej się udać.

Wzięła wreszcie do ręki szkicownik i ołówek. Zaczęła szkicować pierwsze projekty oprawy. Platynowy kwiat z szafirem w środku. Księżyc w pełni z diamentowymi promieniami oprawnymi w białe złoto. Paw, którego pierś zrobiona byłaby z olbrzymiego szafiru, a pomniejsze, szlifowane szafiry i szmaragdy stanowiłyby oczka w srebrnych piórach jego ogona. Ładne. Śliczne. Dowcipne. Żaden z pomysłów jednak nie trafiał w idealny punkt równowagi między oryginalnością a elegancją i pros-

totą. Gdzie podział się ten genialny pomysł, którego była tak pewna zaledwie parę godzin temu, pomysł, który zsyłało jej Przeznaczenie? Zaczęła ją opuszczać pewność siebie.

Przypomniała sobie chwile największej życiowej inspiracji - kiedy robiła syrenkę dla mamy. Gdybyż tylko wszystkie pomysły przychodziły tak łatwo! Nagle przypomniała sobie, co było wtedy źródłem jej natchnienia.

Rzuciła się przez pokój, zanurkowała w szafie i wyciągnęła nie używaną od lat płócienną torbę szkolną. W środku, wśród spłowiałych szalików i znoszonych rajstop, leżała haftowana poduszka.

Sporo czasu minęło, od kiedy po raz ostatni oglądała swój skarb - ojcowską połówkę flakonika. Czy dlatego, że z figurką zetknęła się jako dziecko, czy też wskutek ostrzeżeń ojca na temat nieszczęść, które miała jakoby przynosić, zamiast korzystać z czarodziejskich właściwości, usunęła ją sobie sprzed oczu, próbując zepchnąć w niepamięć.

Nigdy nie utraciła całkiem wiary w jej magiczną moc. Jednak istniała również czarna magia. Pete przypomniawszy sobie jak bardzo ostatnim razem, kiedy oglądała flakonik, pragnęła podjąć poszukiwania zarzucone przez ojca, połączyć figurkę z jej brakującą połową, dowiedzieć się, co się stało ze stryjem... i z resztą klejnotów La Colomby.

Tak bardzo, że musiała usunąć figurkę sprzed oczu, zapomnieć o jej istnieniu, po to, by oprzeć życie na ambicjach bardziej realistycznych.

Teraz jednak nie mogła dłużej odmawiać sobie spojrzenia na flakonik. Rozcięła jeden ze szwów poduszki i ze środka wydobyła maleńką, obsypaną klejnotami figurkę.

O Boże, jaka piękna. Duch babki w tajemniczy sposób został zaklęty w rubin, szafir, perłę i złoto. Widok figurki w jakiś sposób pogłębił zaufanie Pietry, że jej wyobraźnia również jest zdolna wydać z siebie dzieło magicznej urody.

Pomysł na oprawę szafiru MacKinnona czekał, aby wydobyć go na światło dzienne...

Jej klejnoty czekały na to samo. Nadejdzie jeszcze dzień...

Zmobilizował ją odgłos kroków. Spojrzała w okno i zobaczyła, że niebo nad dachami z naprzeciwną nabrało barwy lawendowej. Świtało i Opa był już na nogach. Zwykle wstawał wcześniej i robił sobie filiżankę czekolady.

W przyptywie nagłej paniki, że może zajrzeć do jej pokoju, wepchnęła z powrotem flakonik w poduszkę, którą wcisnęła w róg szafy, po czym zaczęła uprzątać ślady nocnych zajęć. Gdyby dziadek podpatrzył, co robi, nie dałaby rady zbyć go w paru słowach. Zapewne domagałby się, żeby natychmiast zdeponowała szafir w sejfie Duforta & Iveresa. Tymczasem przez jakiś czas potrzebowała go do pracy.

Po chwili jednak usłyszała, że dziadek cicho drepcze w stronę swej sypialni. Drzwi zamknęły się. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wskoczyć jeszcze do łóżka, uszczknąć godzinkę lub dwie snu, ale doszła do wniosku, że nie miałyby to sensu. Jej umysł bez przerwy pracował na najwyższych obrotach. Gdzie było miejsce, w którym mogłaby pracować w najwyższej koncentracji, nie tłumacząc się nikomu z niczego?

Po chwili odpowiedź nadeszła sama. Pete spakowała małe neseserki, napisała parę słów do dziadka i na palcach wyszła z mieszkania.

J\nm. otworzyła drzwi poddasza zawiązując narzucony w pośpiechu szlafrok. Nie było jeszcze

siódmej. Minutę wcześniej Pete zadzwoniła z budki na rogu, pytając, czy może przyjść. Szczęśliwie telefon odebrała Anna, a nie Steve. Pete nie miała pojęcia, co powiedziałyby ojcu, chociaż na pewno nie zrezygnowałyby z wizyty.

- Pete... czy coś się stało? - spytała Anna, wciągając ją do środka.

Pete rzuciła walizeczkę i torebkę koło wejścia i za Anną udała się do kuchni. Pachniało kawą.

- Nic się nie stało, Anno, tylko potrzebuje pomocy w wykonaniu pewnego projektu i w tym celu nie mogłam sobie wyobrazić nikogo lepszego od ciebie.

- O siódmej rano! - Anna roześmiała się bez pretensji w głosie. - Projektujesz biżuterię, czy... atomowe łodzie podwodne? W życiu nie widziałam, żeby komuś tak paliło się do zrobienia bransoletki, czy...

- Tym razem się pali.

Anna spoważniała. Nalała kawy i z uwagą wysłuchiwała wyjaś-

nień Pete: Przechowuje - bez upoważnienia - kamień wielkiej wartości, który zobowiązała się zdeponować w sejfie Duforta & Iveresa.

- Na dzień, dwa. To dla mnie jedyna szansa, żeby przedrzeć Się w szeregi projektantów - dodała.

- A co będzie, jeśli ktoś się dowie?

Pete zamarła, słysząc głos za plecami. Ojciec. Odwróciła się. Był już ubrany, gęste, siwiejące włosy zdążył starannie zaczesać. Jasne było, że nie uniknie spotkania z nim, choć wcale się do tego nie paliła. Najwyraźniej słyszał ich rozmowę.

- Nie martw się tato, bardzo cię proszę. Nie chciałabym, żebyś się martwił...

Z odległości paru metrów patrzyli na siebie, po czym w tej samej chwili ruszyli do przodu i padli sobie w objęcia.

- Pietrina - wyszeptał, tuląc ją do siebie. - Tęskniłem za tobą. Tak mi przykro, że odmówiłem ci wtedy wyjazdu, wiem, że cię tym...

- Nie mów tak, tato... - Odsunęła się, żeby zajrzeć mu w twarz. - Nie masz za co przepraszać. (O wiele bardziej, niż przypuszczasz) - dodała w myślach.

Popatrzył na nią zaskoczony, wyraźnie nie pojmując, dlaczego tak długo unikała go, skoro tak łatwo skłonna była mu wybaczyć.

- No cóż - powiedział w końcu ze słabym uśmiechem. - Widzę, że ta choroba jest nieuleczalna w naszej rodzinie.

Ciebie to też nie ominęło. Pozwalasz na to, żeby kamień kierował twoimi czynami, wprawiał cię w gorączkę...

- To niebywała szansa dla mnie, tato... - Dłużej nie była się w stanie pohamować. Chwyciła torebkę, wyjęła z niej kosmetyczkę i wysypała szafir na otwartą dłoń. Anna wciągnęła głęboko powietrze. Steve gapił się jak sroka w kość.

Gorączkowo zrelacjonowała im całą historię.

- Za dwa dni - zakończyła - będę z powrotem zdolna zabiegać o moje prowizje. Tymczasem udam, że jestem chora.

Nikt nie zauważył nieobecności szafiru. Jestem jedyną osobą, która wie, że MacKinnon miał go przy sobie i co zamierzał z nim zrobić...

Zapadła cisza. Anna patrzyła ze zrozumieniem na Pete, jednak zwróciła się do Steve'a, czekając na jego opinię.

- W czym możemy ci pomóc? - spytał.

- Anna wspominała mi o swoim domku w górach, w którym niekiedy pracuje i do którego lubicie czasami uciec z miasta. Potrzebna mi jest teraz głęboka koncentracja. Gdybym mogła...

- Oczywiście, że możesz tam jechać - Anna nie dała jej dokończyć zdania. Podbiegła do stolika z telefonem i wróciła niosąc zapasowe klucze do domu, kluczyki do Toyoty i mapę. Po paru minutach Pete wiedziała dokładnie, jak dojechać do domku położonego na skraju pasma Berkshire, biegnącego wzdłuż granicy między Massachusetts a stanem Nowy Jork.

- Pokaż się niedługo - rzucił jej Steve na odchodnym.

- Muszę wrócić za dwa dni.

- Tak, ale potem...

Pokręciła głową. - To się już nie powtórzy, tato...

Wczesnym popołudniem Douglas MacKinnon ponownie stanął w drzwiach Duforta & Iveresa. Tym razem portier Frank wpuścił go z ukłonem nie tylko dlatego, że poprzedniego wieczoru ujęła się za nim Pietra D'Angeli, ani też dlatego, że MacKinnon wysiadł z białej limuzyny.

Ubrany stosownie do chłodnej, lecz słonecznej, kwietniowej pogody, MacKinnon w każdym calu wyglądał na światowej sławy gwiazdora ekranu i sceny. Miał na sobie tweedową marynarkę od krawców z Savile Row, rozpiętą pod szyją koszulę z kremowego jedwabiu od Turnbulla i Assera, oraz ręcznie szyte buty z firmy Trickers przy Jermyn Street. Bandaż z gazy, osłaniający nabytą w pojedynku ranę, został zastąpiony mniej demonstracyjnym, a bardziej intrygującym plastrem z opatrunkiem na oko.

Jednak ozdobą, która prawdziwie świadczyła o jego wysokiej pozycji w hierarchii wielkich tego świata, była kobieta uczepiona jego ramienia - nie kto inny, tylko sama Lyla Weaver.

Trzydziestosześcioletnia Lyla Weaver była właśnie u szczytu swojej niecodziennej urody. Jej osławiona lśniąca kaskada włosów o barwie drewna tekowego spływała na plecy, bujnie rozsypując się po ramionach. Rysy jej owalnej twarzy nie były wcale wyjątkowe - gdyby się im przyjrzeć z bliska - wysokie czoło, zaokrąglone policzki, lekko spiczasty podbródek. A jednak w sumie tworzyły całość, którą można było uznać za doskonałą. W dodatku oczy... właściwie sławę Lyla zdobyła dzięki swoim oczom, wielkim, w kształcie migdału, ocienionym gęstymi rzęsami. Ich kolor, w zależności od nastroju i garderoby Lyli, przechodził od seledynu w głęboką zieleń szmaragdów kolumbijskich kopalń. Złote cętki wokół źrenic odbijały światło, sprawiając wrażenie, że oczy Lyli migoczą w zachwycie, a ciemna obwódka tęczy przydawała im tajemniczości.

Obdarzona nienaganną figurą i obfitym biustem, który lubiła eksponować w wyciętych do granic przyzwoitości sukniach wieczorowych, Lyla Weaver uchodziła za jedną z dziesięciu najpiękniejszych kobiet świata - plasując się raczej wyżej niż niżej na tej liście.

Parę kroków zaledwie, które musieli przejść z samochodu do sklepu, dosłownie zatrzymało ruch na Piątej Alei.

Przechodnie przystawali z otwartymi ustami. „MacKinnon i Weaver” - padły okrzyki z gęstniejącego tłumu, na jezdni ruch spowolniał, bo kierowcy prowadzili wykręcając szyje.

Obie gwiazdy przystanąły na chodniku, z iście królewską nonszalancją rozdając autografy. Douglasa MacKinnona zwykle drażniły podchody łowców znakomitości, dziś jednak był uprzejmy jak mało kiedy. Miał wszelkie powody, żeby być w znakomitym humorze. Szatański kac, z którym przebudził się, zniknął dzięki niewielkiemu „klinowi”, jakiego zafundował sobie przy lunchu. Co więcej, zadzwonił agent, aby go powiadomić, że wyjazd do Kalifornii nie będzie konieczny - przyznano mu rolę w zamian za rękojmię, że od pierwszego dnia zdjęciowego nie weźmie do ust kropli alkoholu. No i przede wszystkim Lyla zjawiała się w jego apartamencie hotelowym, żeby wyznać, że wczorajsze spotkanie pojednawcze z mężem było jedną wielką klęską. Prawdę mówiąc, wyznała, zgodziła się na to spotkanie tylko po to, żeby wzbudzić zazdrość MacKinnona.

- Po prostu nienawidzę, kiedy traktujesz mnie jak darmową własność - oświadczyła, po czym opadła na kolana i zaczęła majstrować przy rozporku Douglasa.

Teraz, kiedy wkraczali w progi Duforta & Iveresa, MacKinnon

płonął chęcią udowodnienia Lyli, że bynajmniej nie traktuje jej, jakby mu się należała za nic.

Niestety, w dziesięć minut później obie gwiazdy wylądowały w gabinecie Marcela Iveresa. MacKinnon siedział

zwarzony, słynne szmaragdowe oczy Lyli Weaver jak lasery wysyłały na lewo i prawo promienie morderczej wściekłości.

Marcel za swoim biurkiem robił co mógł, żeby ugłaskać słynną parę. Co by ojciec powiedział w podobnych okolicznościach - zadreślał się. Jak nie dopuścić do tego, żeby sytuacja rozwinęła się w groźny incydent, który ściągnie na sklep lawinę krytyki? Każdy drobiazg z życia MacKinnona i Weaver podawany był do wiadomości publicznej; informacja, że podarunek, który miał przypieczętować ich miłość, został źle potraktowany u Duforta & Iveresa, mogła firmie narobić nieodwracalnych szkód.

- *Monsieur MacKinnon... mademoiselle Weaver...* - Marcel rozłożył ręce w przeproszającym geście
- ...macie państwo absolutnie prawo do niepokoju. Mamy jednak sensowne wyjaśnienie całej historii. Jak wiemy, *monsieur MacKinnon* powiedział panie D'Angeli, że nie ma zamiaru dzisiaj przychodzić. Wobec czego, kiedy poczuła się nie najlepiej...

- Powierzyłem jej unikalny szafir po to, żeby wylądował bezpiecznie w waszym sejfie - przerwał MacKinnon. -

Guzik mnie to obchodzi, czy ma katar, czy padła ofiarą trądu - zobowiązała się, że odwiezie tu kamień z samego rana.

- A skoro tego nie zrobiła wiedząc, że przez dwa dni nikt się o tym nie dowie, cała sprawa zaczyna dla mnie pachnieć bardzo podejrzanie - dorzuciła Lyla Weaver.

- Podejrzanie? - Marcel otworzył szerzej oczy ze zdumienia.

- Panna D'Angeli mogła podjąć mylną decyzję, ale z całą pewnością jest osobą godną najwyższego zaufania. Sam pan musiał odnieść takie wrażenie, panie MacKinnon, w przeciwnym razie nie powierzyłby jej pan kamienia na przechowanie.

MacKinnon skinął powściągliwie głową, jakby ten punkt nie podlegał dyskusji, jednak do boju wkroczyła Lyla.

- Jak znam Dougiego - oświadczyła, kładąc na ramieniu kochanka dłoń połyskującą gigantycznych rozmiarów rubinem

- był tak zaabsorbowany umizganiem się do tej suki, że w końcu

wszystko mu się pomieszało i uznał, że to jej sprezentował ten kamień.

- *S'il vous plait*, panno Weaver, byłbym zobowiązany, gdyby nie używała pani takich określeń pod adresem pracowników naszej firmy. Panna D'Angeli jest młodą, przyzwoitą osobą z porządnej rodziny...

- Nie chciałam powiedzieć nic złego... - zaczęła się tłumaczyć Lyla. - Sama zaczynam zachowywać się jak suka, ilekroć trafia się okazja położenia ręki na pięknym kamieniu. A tak się składa, że właśnie ten, który Dougie zamierzał

mi sprezentować, zaliczał się do tego gatunku. Czy mogę wiedzieć, gdzie się podział?

- Będzie go pani miała w ciągu najbliższego kwadransa - uśmiechnął się uspokajająco Marcel. - Jak tylko się dowiedziałem o telefonie panny D'Angeli, natychmiast wysłałem do niej po kamień szefa naszej ochrony.

MacKinnon i Weaver udobruchani siedzieli bez słowa. Perspektywa, że problem rozwiąże się w ciągu paru minut, wytrąciła im broń z ręki.

Ciszę przerwał brzęczyk telefonu na biurku Marcela. Podniósł słuchawkę i przez dobrą minutę wsłuchiwał się w głos szefa ochrony, Paula Jamisona. Krew odpłynęła mu z twarzy. Czuł, że MacKinnon i Weaver wpatrują się w niego jak para sępów.

- Co się stało? - wykrzyknęli chórem, kiedy odkładał słuchawkę.

Nie zdążył jeszcze nic odpowiedzieć, kiedy do gabinetu wkroczyła zamaszycie Andrea. Spojrzała na Marcela, na słynną parę i jeszcze raz na Marcela.

- Mówże, człowieku - gorączkował się MacKinnon. - Co się stało?

- Ty im powiesz, czy ja mam to zrobić? - spytała Andrea. Marcel, dżentelmen w każdym calu, w pierwszym odruchu dokonał prezentacji.

- Panna Scappa jest naszym zastępcą dyrektora administracyjnego do spraw reklamy.

MacKinnon i Weaver kiwnęli w jej stronę głowami. Andrea ograniczyła się do suchej relacji.

- Kiedy szef naszej służby bezpieczeństwa pojechał po pański

kamień, panie MacKinnon, pod wskazanym adresem nie zastał chorej Pete D'Angeli. Jediną osobą w mieszkaniu był

starszy mężczyzna, niejaki Josef Zeeman, jej dziadek. O miejscu pobytu wnuczki wiedział tyle samo, co my. Pokazał

naszemu człowiekowi liścik napisany ręką Pete - było tam parę linijek, w których informowała, że wyjeżdża na parę dni i prosiła, żeby się o nią nie niepokoić.

- A nie mówiłam? - Lyla Weaver zerwała się na równe nogi.

- Suka nawiała porywając mój szafir. - Wycelowała palec w Marcela. - Proszę wezwać policję.

- Proszę się uspokoić, *mademoiselle*. Nie znamy jeszcze wszystkich okoliczności.

MacKinnon również wstał i zawisł nad biurkiem Marcela.

- Dawno zdaży się zaszyć w Brazylii czy w innym zadupiu, zanim ustalimy pieprzone okoliczności. Psiakrew, a tak mi się spodobała. Mówią jednak, że Lizzie Borden też umiała być czarująca.

Marcel zmuszony był również powstać, by stawić czoło rozjazgotanym sławom.

- Proszę się uspokoić. Znam tę kobietę. Możecie mi państwo wierzyć. Nie jest złodziejką.

Andrea dołączyła do grona oskarżycieli. Patrzyła ponuro, a na jej twarzy kiełkował wyraźny zamysł. Wcale nie była zachwycona zapalem, z jakim Marcel bronił Pete D'Angeli.

- Marcel - spytała dobitnie - czy rzeczywiście znasz ją aż tak dobrze?

Jej zazdrość i logika wprawiły Marcela w osłupienie. Milczał wpatrując się w Andreeę.

- Z pewnością pragniemy utrzymać naszych klientów w przeświadczeniu, że sklep w podobnej sytuacji natychmiast przed-sieweźmie wszelkie stosowne kroki w celu odzyskania ich mienia

- ciągnęła.

Marcel patrzył chłodno na Andreeę. Odczuwał głęboką niechęć do podejmowania jakichkolwiek kroków prawnych, dręczyła go myśl, że mógł się tak dramatycznie pomylić co do osoby Pete.

- Andrea, dajmy sobie trochę czasu na załatwienie całej sprawy po cichu - wymuszając pojednawczy uśmiech na twarzy zwrócił się do Lyli. - Panno Weaver, pani towarzystwo ubez-

pieczeniowe z pewnością będzie pani głęboko wdzięczne, jeśli nie poinformuje pani wszystkich włamywaczy świata, że nabyła pani kolejny okaz cennej biżuterii. Tego rodzaju reklama byłaby nad wyraz przykra dla wszystkich zainteresowanych.

- Drogi Marcelu, powinienes wiedzieć, że nie istnieje dla mnie nic takiego, jak niepożądana popularność -

uśmiechnęła się, robiąc minkę skromnisi.

Marcel załamał się i nie próbował nawet protestować. Inicjatywę przejęła Andrea.

- Panno Weaver, panie MacKinnon, proszę za mną. Pomogę państwu wykonać odpowiednie telefony.

-
Wyprowadziła ich z gabinetu.

Marcel został sam. Odwrócił się **do** okna i spojrzął na ludzką rzekę przepływającą Piątą Aleją, cztery piętra pod nim.

Czy rzeczywiście znalazł Pietrę D'Angeli lepiej niż kogokolwiek z anonimowego tłumu, tam, w dole? Przez jedną krótką chwilę dali się ponieść romantycznym marzeniom, zbliżyli się **do** siebie. W sumie jednak **o** niej nie wiedział. Po dziś dzień nie wiedział nawet, że mieszka z dziadkiem...

Szczegół, który umknął jego uwagi w ferworze całej afery, teraz wypłynął znów na powierzchnię. Nazwisko starszego pana - Zeeman. Josef Zeeman. Nazwisko, z nie znanych powodów, poruszyło jakąś strunę w jego pamięci.

W niepojęty sposób kojarzyło mu się z ojcem. Jego ojciec mówił coś kiedyś **o** tym człowieku, ale **co?**

Zamyślił się. Powinien był już dawno przyjrzeć się dokładniej powiązaniom rodzinnym Pietry D'Angeli.

Od pierwszego spojrzenia Pete poczuła, że domek jest idealnym miejscem do pracy. Usytuowany na zboczu góry, przy końcu wiejskiej drogi, okazał się prostokątnym barakiem z drewnianych bali. Z jednej strony mieściła się niewielka sypialnia z kuchnią na tyłach, ogrzewaną piecem na drewno, który służył jednocześnie do celów kuchennych. Większą część domku zajmowało pomieszczenie łączące funkcje pracowni i salonu. Do domku nie dochodziła elektryczność ani kanalizacja, nie był też podłączony do sieci telefonicznej. W nocy wewnątrz oświetlały lampy naftowe, w dzień w pracowni było bardzo widno, dzięki wielkiemu świetlikowi w suficie. Z ręcznej pompy spływała czysta, lodowata woda. Ubikacja była na zewnątrz.

Anna wyjawiała Pete, że ziemię kupiła przed wielu laty raptem za parę tysięcy dolarów, a domek postawiła sama przy pomocy przyjaciół i ówczesnego kochanka, który był cieślą. Nie miała zamiaru ukrywać przed Pete, że posiadanie takiego domku było dla niej spełnieniem najśmielszych marzeń. W Polsce, wyjaśniła, wiele ludzi na wsi mieszka w podobnych domach. Wiejską chałupę można dostać za psi grosz. Dopiero kiedy jej rodacy zdobędą wolność, mówiła Anna, przekonają się o tym, że nawet najskromniejsza chatynka może być dla swojego właściciela pałacem.

- Dla mnie - twierdziła - mój domek jest najpiękniejszym miejscem na świecie, bo w nim... jestem naprawdę wolna.

Pete przystanąła w Hillsdale, ostatnim miasteczku i kupiła jajka, mleko, kawę i owoce, czyli tyle, ile trzeba, żeby utrzymać się na nogach przy pracy. Wszystkie materiały rysunkowe wiozła ze sobą.

Zajechała na miejsce późnym przedpołudniem. Zaparzyła kawy i natychmiast ruszyła do pracy. Wciąż jeszcze brakowało jej ogólnej koncepcji, która łączyłaby w sobie prostotę z elegancją. Prawdę mówiąc dążyła do projektu, który nazwała... „nieuniknionym”, a tworzącym idealną oprawę dla tego konkretnego kamienia.

Jeden za drugim powstawały nowe szkice... i lądowały w koszu. Skarabeusz o rubinowych oczach i nóżkach z podłużnych diamentów. Błękitne jajo w złotej siateczce. Planeta z księżycami z pereł

podtrzymywany na delikatnych niteczkach z białego złota.

Banalne. Przeciętne. Wtórne. Dreptała w kółko, ani na cal nie zbliżając się do rozwiązania.

Odłożyła pracę i poszła przejść się po okolicznym lesie. Miała nadzieje, że to ją odświeży, okazało się jednak, że pośród cienistych ostępów dopadło ją poczucie winy z powodu zatrzymania szafiru, który miała zdeponować, zgodnie z obietnicą, w sejfie firmy. Co będzie, jeśli nie spłynie na nią zachwycający pomysł, którym udowodni, że jako jedna, jedyna zasługiwała

na przywilej oprawy szafiru? Nagle poraziła ją własna śmiałość, która pozwoliła jej udać się w nieznane z kamieniem wartym ćwierć miliona dolarów.

Jednak - co się stało, to się nie odstanie. Za późno było na to, żeby się wycofać, mogła tutaj spokojnie siedzieć - aż do piątku. Wracała do chaty w głębokim przeświadczeniu, że nie ma nic do stracenia, jeśli choć przez jeden jeszcze dzień będzie próbować aż do skutku.

Dochodząc do polany, na której stała chatka, Pete z uśmiechem przypomniła sobie dumę i radość Anny z posiadania

„najpiękniejszego miejsca na świecie”. Patrząc na prostą wiejską chałupkę pomyślała o starym porzekadle, które mówi, że piękno tkwi w oku patrzącego.

Te słowa towarzyszyły jej, kiedy ponownie zasiadła nad szkicownikiem i zaczęła szkicować projekt. Właśnie ten projekt, me miała cienia wątpliwości. „Nieunikniony”.

W czwartek rano usłyszała chrzęst kół samochodu na wiejskiej drodze. Dziwne, pomyślała. Domek stał przy samym końcu drogi, nikt tędy nigdy nie przejeżdżał. Wstała i przeciągnęła się.

Chociaż zeszłej nocy pozwoliła sobie na czterogodzinny sen, resztę czasu spędziła pracując. Najpierw sprecyzowała projekt, potem, cieniuteńkim ołówkiem wyciągnęła go ze wszystkimi szczegółami w czterokrotnym powiększeniu, wreszcie nałożyła akwarele, precyzyjnie zmieszane, żeby oddać najdrobniejsze odcienie i wywołać złudzenie przejrzystości.

Wyjrzała za okno. Przed domem stał wóz patrolowy nowojorskiej policji stanowej. Dwóch policjantów wysiadło właśnie i zmierzało w stronę wejścia.

Zanim jeszcze usłyszała głośnie stukanie i własne nazwisko, wiedziała już, że napytała sobie biedy.

Na komisariacie okręgu Midtown South przeprowadzono Pete obok przeznaczonego do pracy na stojąco biurka, przez hall i w górę po schodach. Znalazła się w pokoju przesłuchań. W rogu pokoju stała wielka klatka z siatki drucianej. Przez

moment Pete przeraziła się, że zamkną ją w klatce, jednak wyprowadzono ją do kolejnego hallu, a następnie do niewielkiego pokoiku, którego jedynym wyposażeniem był stół i parę krzeseł. Popielniczka na stole kipiała od starych niedopałków, a cały pokój przesiąknięty był zastarzałą wonią nikotyny. Eskortujący ją mundurowy kazał jej usiąść, po czym zniknął, zamykając za sobą drzwi. Zanim go usłyszała, podeszła do brudnego okienka, usiłując je otworzyć, żeby przewietrzyć

pokój. Bezskutecznie.

Została zaaresztowana przez lokalną policję na mocy nakazu wydanego przez wydział nowojorski. Od chwili, kiedy dobrowolnie zwróciła im szafir, policjanci nie zwracali najmniejszej uwagi na jej wyjaśnienia. Uprzejmie jednak pozwolili spakować ubrania, i co ważniejsze, prace. Zawieźli ją do komisariatu Taconic, gdzie czekał już wóz patrolowy wydziału nowojorskiego. Pete z szafirem i dobytkiem przekazano policjantom z Nowego Jorku. Ci dwaj również nie zamierzali bawić się w wysłuchiwanie jej historii.

- Proszę zachować tę opowiadkę dla śledczego - oświadczyli, sadzając ją na tylnym siedzeniu, oddzielonym od przedniego grubą szybą ze zbrojonego szkła. Tylne drzwiczki nie miały klamek od wewnątrz.

Wyczerpana brakiem snu, zaskoczona i przerażona ostatnimi wydarzeniami, w dziwnej malignie dojechała do nowojorskiego komisariatu.

Drzwi pokoiku, w którym ją posadzono, otwały się. Do środka wszedł mężczyzna ubrany w luźne spodnie i szarą kraciatą sportową marynarkę. Miał wąską twarz i siwe, gładko przyczesane włosy. W ręce trzymał teczkę w tekturowej oprawie. Usiadł naprzeciwko Pete i rozłożył akta.

- Witam, panno D'Angeli - oświadczył z lekką chrypką nałogowego palacza. - Sierżant śledczy Latanzi. - Przerzucił

parę kartek w aktach i podniósł wzrok. - Cóż, słyszałem, że pali się pani do tego, żeby opowiedzieć nam, dlaczego nawiała pani z tym niebieskim kamolcem.

Gorączkowo wyrzuciła z siebie całą historię. Spotkanie z Mac-Kinnonem w sklepie, ich wspólny wieczór, okazja, którą zwietryła i... i postanowiła wykorzystać.

Śledczy ograniczył się do zapalenia papierosa. Ze sceptycznym grymasem na twarzy przyglądał się Pete lekko mrużąc oczy.

Kiedy skończyła, zdusił papierosa.

- Mam rozumieć, że nie ukradła pani szafiru, a tylko pożyczyła? Czy tak?

- Tak - westchnęła z ulgą. Więc jednak zrozumiał.

- Zgrabnie to pani wymyśliła - podsumował.

- Wcale nie wymyśliłam.

- Spójrzmy na to z innej strony, moja panno. Bierze pani kamyczek wart ćwierć miliona dolców i znika. Zaszywa się pani w jakiejś głuszy. Skąd możemy wiedzieć, jakie ma pani dalsze plany? Dogadać się z paserem, wziąć sto tauzenów działki i fru... do Monte Carlo.

- Sierżancie, w życiu bym czegoś takiego nie zrobiła. - Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- Nie, nie, ależ skąd. Pewnie nawet powinienem puścić panią do domu za to, że była pani taką grzeczną dziewczynką.

Sęk w tym, że pewne osoby twierdzą, że była pani niegrzeczna, a jeśli na jednej szali położyć pani słowa, a na drugiej czyny, to wygląda mi bardziej na to, że słusność leży po tamtej stronie.

- Gdzie jest pan MacKinnon? Gdybym mogła z nim porozmawiać - pokazać mu moje prace - jestem pewna, że wszystko się wyjaśni.

- Nie wiem, czy pójdzie pani tak gładko, moja panno. To właśnie MacKinnon wniósł skargę przeciwko pani. Jest pewien, że go pani zrobiła w konia. - Wstał. - Nie sądzę, żeby MacKinnon chciał się tutaj fatygować.

Najprawdopodobniej przyśle swojego adwokata, żeby wniósł oskarżenie z urzędu. Tymczasem może zechce pani przemyśleć swoją opowiadkę. Jeśli będzie pani z nami współpracować i nie zatai nic, może się pani spodziewać łagodniejszego wyroku.

Wyroku? Pete opuścił cały optymizm. Zaczynała rozumieć, że nikogo nie obchodzi, czy działała w dobrych intencjach czy nie. Liczyło się to, jak jej czyny wyglądały dla postronnego widza. Wspominając ich wspólny wieczór, MacKinnon musiał dojść do wniosku, że wykorzystała jego nietrzeźwość.

- Sierzancie - spytała z nagłym niepokojem, kiedy Latanzi podszedł do drzwi. - Co zrobiliście z moimi rzeczami?

- Wszystkie przedmioty osobistego użytku zostaną pani zwrócone, resztę zatrzymamy jako dowody rzeczowe.

„Dowody rzeczowe”. W tych słowach czaiła się cała groźba sądu. Zanim Pete odzyskała mowę, Latanzi wyszedł.

Wzięła kilka głębszych oddechów, nakazując sobie spokój. Jednak rozszalała wyobraźnia po chwili wzięła górę. Co będzie, jeśli nie uda jej się nikogo przekonać? Jeśli nie będzie miała okazji porozmawiać z Douglasem MacKinnonem i wyjaśnić mu, co się stało?

Przypomniała jej się chwila z dzieciństwa, kiedy stała przed zakładem w Yonkers przerażona straszną wizją, że zostanie omyłkowo wzięta za chorą umysłowo i osadzona w zakładzie. Koszmar miał się lada chwila ziścić.

Nie wiedziała, ile czasu przesiedziała sama, kiedy drzwi otworzyły się ponownie.

- Książniczko - zawołał ktoś teatralnym szeptem. Odwróciła się gwałtownie. Nad granatowym mundurem sterczała strzecha rudych włosów.

- O raju, naprawdę *principessa*. - Policjant wszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Dobry Boże! - Pete przekrzywiła głowę, sprawdzając czy wzrok ją nie myli. Z której by jednak

strony nie spojrzęła, policjant miał oblicze Liama O'Shea. Czerstwego, rumianego Liama O'Shea, postrachu sąsiedztwa, w którym wyrosła.

- Liam! - Pete aż zatkęło. - Ty, gliniarzem?

Uśmiechnęła się porozumiewawczo uśmiechem, który zapewne pomógł mu zdobyć tytuł „stacji obsługi Liama O'Shea” u okolicznych dziewcząt. Chcąc nie chcąc, też musiała się uśmiechnąć. Komizm sytuacji zwyciężył lęk i zmęczenie.

- Życie płata czasem szatańskie figle, nieprawdaż, *principessa*? Ja i policjant? Koniec świata! A ty...? Własnym oczom nie wierzyłem, kiedy zobaczyłem, jak cię prowadzą przez dyżurkę? W dodatku dowiaduję się, że jesteś oskarżona o poważną kradzież! Dziesięć razy mniej prawdopodobne niż to, że ja zostałem gliną! Tymczasem, tak się właśnie sprawy mają...

Mówił wesołym, różnym tonem, ale Pete nie była w stanie ukryć swojej rozpacz.

- Mówię ci, Liam, to koszmarnie nieporozumienie.

- O kim mówimy - o mnie, czy o tobie? - znów obdarzył ją swoim słynnym uśmiechem, dając do zrozumienia, że żartuje.

- Powiedz, księżniczko, jakim cudem wpakowałaś się w taką kabałę? - spytał, nachylając się z wyrazem szczerzej troski na twarzy.

- To długa historia, Liam.

- Właśnie zszedłem ze służby. Mam mnóstwo czasu. Wzruszyła ją jego troska. Zdecydowała się zacząć opowieść od najistotniejszej części - pragnienia, żeby zostać projektantką biżuterii, ambicji, do której nie ośmieliłaby się przyznać dawnemu Liamowi O'Shea, który godzinami wystawał na rogach **ulic** Przedpiekła.

- Wygląda mi na to, że potrzebujesz tego twojego MacKinnona, żeby cię wyciągnął z tej kabały - podsumował, kiedy skończyła.

- Myślisz, że skubanemu Angolowi da się przemówić do rozumu? Uśmiechnęła się. Na Przedpieklu nie wygasły jeszcze echa

walk Irlandczyków z wojskami Cromwella.

- Pewnie nie będzie łatwo - przyznała. - Ale jeśli pokażę mu mój rysunek...

Liam potaknął.

- Jak myślisz, gdzie on się teraz może podziewać?

- Pewnie na próbach. Za parę tygodni ma premierę.

- Racja, Ryszard *III* - kolejny pieprzony Angol. Cóż, siedź tutaj murem, a ja ci go raz dwa sprowadzę.

Wyraźnie widać było, że ma zamiar porwać się na coś, co wykracza poza jego uprawnienia służbowe.

- Liam, nie mogę się na to zgodzić...

Nie zdążyła skończyć, jak za zesłanym przez niebiosy Liamem trzasnęły drzwi.

Księżniczko...?

Pete zasnęła oparłszy głowę na rękach złożonych na stole. Kiedy głos Liama zbudził ją, przez chwilę nie mogła skoncentrować wzroku.

- Douglas?

MacKinnon, ubrany w kostium sceniczny stał sztywno u boku Liama O'Shea. O pół kroku za nimi dostrzegła kwaśną minę sierżanta Lataniego. Wyglądał, jakby jednemu ze swoich patrolowych podał sznur - za chwilę miało się okazać, czy ów patrolowy złapie koniec liny, czy też ukręci pętlę na własną szyję.

MacKinnon uniósł krzaczastą brew.

- Nie podejrzewam cię, Piętro, o to, że jesteś zwykłym złodziejaszkiem. W ogóle wydajesz mi się pod każdym względem niezwykła, ale też słynę z mylnej oceny ludzkich charakterów, czego dowodem jest fakt, że kocham Lylę Weaver.

Wjego głosie nie słychać było gniewu, raczej... rozczarowanie.

- Douglas, pozwól, że ci wszystko wyjaśnię.

- Wolalbym, żeby ci się to udało.

Zanim otwarła usta, Liam wystąpił do przodu podając szkicownik.

Pete posłała mu uśmiech pełen wdzięczności, po czym odwróciła się z powrotem do MacKinnona. Przez chwilę zastanawiała się, od czego zacząć, po czym postanowiła nie mówić nic. Niech przemówi dzieło. Jeśli jest zdecydowany zrozumieć ją, wybaczyć, wtedy jej projekt wart będzie więcej od tysiąca słów. Szybkim ruchem otwarła szkicownik z projektem oprawy szafiru zrobionym akwarelą. Podsunęła go MacKinnonowi.

Wpatrywał się w projekt przez chwilę, po czym wyrwał notatnik z jej ręki i podszedł do światła. Odrzucił głowę do tyłu. Parsknął krótkim śmiechem.

- Chcesz wiedzieć, jak zdobyłem pierwszą rolę? - spytał, zwracając się do Pete.

Zaintrygowana, skinęła głową. Policjanci gapili się w milczeniu.

- Teatr Bristolski wystawiał *Juliusza Cezara* - zwrócił się MacKinnon do słuchaczy. - Robili nabór, ale odpadłem na przesłuchaniu, wobec czego w trakcie premiery wślizgnąłem się na deski podczas sceny zbiorowej. Nikt się nie połapał, więc powtórzyłem ten numer następnego wieczoru... i tak co wieczór. Po jakimś czasie zaczęło mnie to trochę nudzić, więc za którymś razem, kiedy cały tłum wrzeszczał: „Witaj, Cezarze!”, ja krzyknąłem *Ave!* - Podszedł

do Pete. - Zrobiłaś dokładnie to samo, moja urocza Piętro. Zostałaś zauważona. *Ave!*

- Co w związku z tym pan postanowił, panie MacKinnon?

- Śledczy Latanzi postąpił krok do przodu. Składa pan skargę, czy nie?

- Piętro, sądzę, że Lyła będzie zachwycona twoim projektem.

- MacKinnon posłał spojrzenie Pete. - Chciałbym jej zrobić niespodziankę z okazji mojej premiery. Czy zdążysz w cztery tygodnie z robotą?

- Zależy - odparowała, powstrzymując uśmiech - czy będę pracować w warunkach więziennych, czy na wolności.

- Wybór należy do ciebie, moja droga - oświadczył MacKinnon, puszczając oko do policjantów. - Odniosłem jednak wrażenie, że wolisz pracować w ciszy i odosobnieniu. Puścić dziewczkę na wolność! - rzucił policjantom, po czym zniknął.

Zapadła cisza. Latanzi spojrzał spode łba na O'Shea.

- Upiekło się wam, patrolowy, ale mogło być z wami cienko. Wyszedł.

Rozdział ósmy

Do pracy Pete wykorzystywała teraz warsztat Josefa w dzielnicy jubilerskiej. Miała wszystkie potrzebne narzędzia i blat z palnikami gazowymi, na których podgrzewała metale.

Pracowała dzień w dzień, nie wyłączając weekendów, bywało, że do późnej nocy. Odżywiała się kanapkami i puszkami zupy podgrzewanej na palniku bunsenowskim, przeznaczonym do srebra i złota. Nic nie zakłócało jej pracy, poza rzadkimi telefonami od Stevea, Anny czy Josefa, którzy trzymając za nią kciuki, dzwonili spytać, jak jej idzie. Sama dzwoniła tylko w sprawie zamawianych materiałów i, parę razy, po nocy, w sprawie problemów technicznych do Philippe'a Michona.

Do swojej dawnej pracy nie wróciła. Była zbyt obrażona na Marcela, aby osobiście fatygować się do sklepu z wymówieniem. Z rozmowy z Douglasem MacKinnonem, który jeszcze tego samego wieczora, kiedy zwolniono ją z aresztu, posłał jej kwiaty i zadzwonił serdecznie przeprosić za przykrości, których zaznała, Pete dowiedziała się, że część burzy, wywołanej jej zniknięciem, była wynikiem nacisków Andrei i Lyli na Marcela.

- Biedaczysko, próbował cię bronić, ale baby go zakrzyczyły - wyjaśnił MacKinnon. - Ja też dołożyłem się do tego -

dodał skruszony.

Pete bez trudu mogła sobie wyobrazić całą scenę. Świadomość, że Marcel „próbował jej bronić” nie wzruszyła jej ani trochę. Była ciężko obrażona o to, że mimo wewnętrznego przeświadczenia o jej niewinności uległ Andrei.

W piątek wieczorem, po pierwszym tygodniu pracy nad

szafirem, zadzwonił telefon. Po drugiej stronie usłyszała głos Marcela. Zaczął coś mówić, ale odłożyła słuchawkę.

Przez następne pół godziny mełła przekleństwa pod nosem, w końcu jednak opanowała nerwy, skupiając się na pracy.

W sobotę zadzwonił ponownie - dwa razy. Za pierwszym razem odłożyła słuchawkę, za drugim oświadczyła, że nie mają sobie nic do powiedzenia.

W poniedziałek po południu, kiedy spodziewała się dostawy złotego drutu, usłyszała stukanie w metalowe, pancerne drzwi. Otworzyła i stanęła twarzą w twarz z Marcelem. W eleganckim, przewiązanym w talii palcie z rudego kaszmiru, robił dziwne wrażenie na tle odrapanej windy budynku, będącego siedzibą warsztatików i kantorów.

- Nie próbuj zastrzaskiwać mi drzwi przed nosem, bo i tak nie pójde - zapowiedział.

Jej gniew zdołał już nieco ostygnąć. Zaprosiła Marcela do środka i zamknęła drzwi. Przez dłuższą chwilę stali skrupowani naprzeciwko siebie, Pete w kitlu roboczym, Marcel z rozwianą kwietniowym wiatrem grzywą ciemnych włosów, opadającą na czoło.

- Czego chciałaś ode mnie? - zapytał pierwszy.

- Wiesz, czego chciałam: zostać projektantką. Nigdy nie dałeś mi szansy.

- Czy to naprawdę wszystko, Pete? Czy może miałaś ochotę wzniecić małą chryję? Patrzeć, jak zostaje podkopana reputacja sklepu - jak idzie w obieg opinia, że nie chronimy mienia naszych klientów, że nie jesteśmy w stanie sprostać ich wymaganiom artystycznym?

Cofnęła się, zaskoczona zniewagą.

- W żadnym wypadku nie zamierzałam działać na waszą szkodę, Marcel. Prawdę mówiąc, gdybyś mi zaufał, zczekał Jeden dzień, aż wrócę do sklepu z projektem dla MacKinnona... wykonałabym go w waszych pracowniach, skąd poszedłby w świat jako produkt Duforta & Iveresa.

- Zaufał - powtórzył i uśmiechnął się smutno. - Pamiętam

- to słowo było dla ciebie kluczem do rozwiązania zagadki. Wystarczyło, że mi zaufałaś i diament natychmiast się znalazł.

- Oparł dłoń na jej ramieniu. Nie uchyliła się, czując, że niczym

jej to nie grozi, zresztą gest miał charakter z gruntu przyjacielski. - Tymczasem ja jakoś nie mogę wzbudzić w sobie zaufania do ciebie. Wciąż nie jestem pewien, co miałaś zamiar osiągnąć...

W jego głosie było coś zastanawiającego. Pete wydał się raczej smutny niż zły.

- Przecież ci powiedziałam...

- Nie wszystko mi powiedziałaś - przerwał cicho. - Zataiłaś przede mną, że jesteś wnuczką człowieka, który zniszczył największy diament, jaki przeszedł w życiu przez ręce mojego ojca.

Nagle straciła impet. Ta sprawa musiała wyjść na światło dzienne przy okazji jej aresztowania.

- Czy zatrudniłbyś mnie u siebie, gdybym ci powiedziała? Mój dziadek przez twojego ojca został obłożony klątwą.

- I dlatego tak bardzo zależało ci na pracy u mnie? Czekałaś na dzień, kiedy będziesz mogła się zemścić?

Potrząsnęła głową.

- Wierzyć mi się nie chce, że mogłeś wpaść na taki pomysł. Miałam nadzieję, że pracując dla firmy jakoś wynagrodzę wam tamtą stratę.

Wyciągnął drugą rękę; trzymał ją teraz za oba ramiona.

- To jeszcze nic straconego. MacKinnon opisał mi twój projekt oprawy szafiru. Całość wydaje się niezwykle interesująca. Gdybyś wróciła do mnie, do firmy dostałabyś miejsce w naszych pracowniach, pokrylibyśmy wszelkie koszty materiałów i miałabyś pensję w wysokości...

- Nic z tego, Marcel. Za późno. Ta okazja należy już do mnie. Spłaciłam już mój dług wobec firmy na wiele różnych sposobów.

Umilkł na chwilę, ale wyraźnie widziała, jak chodzą mu szczęki.

- Nie do końca - powiedział wreszcie. Zanim zdążyła pomyśleć, gwałtownym ruchem przyciągnął ją do siebie, całując mocno, choć bez brutalności, w usta.

Przez ułamek sekundy resztki wygasłych marzeń ożyły na tyle, że zapragnęła poznać smak jego warg, zaraz jednak targnęła nią wściekłość. Odepchnęła go tak zdecydowanie, aż się zatoczył.

- Zjeżdżaj stąd! - krzyknęła. - Daj mi święty spokój!

- Wybacz - powiedział pojednawczym tonem. - Ja tylko... - urwał i wyszedł ze spuszczoną głową.

Tym razem minęło wiele godzin, zanim była w stanie z powrotem skupić się na pracy.

Oardi pękał w szwach od ludzi, kwiatów, zgiełku, alkoholu. Nie było znanej osoby w mieście, która nie chciałaby towarzyszyć Douglasowi MacKinnonowi w dniu jego triumfu. Występ w *Ryszardzie Ul* zakończył się burzliwą owacją, która przez dwadzieścia minut nie pozwalała mu zejść ze sceny. Teraz pozostało już tylko oczekiwanie na werdykt krytyków. Ich oceny Jednak potrafiły się tak różnić między sobą, jakby recenzenci obejrzelili kilka zupełnie różnych spektakli.

Akurat w chwili, gdy Pete włączyła się w tłum gości, z którejś Strony wystrzelił korek od szampana. W chwilę później ktoś włożył jej kieliszek do ręki. Miała wrażenie, że powietrze w pokoju perli się i musuje jak schłodzony szampan, który łąpczywie łykała. Poczula ukłucie żalu, że nie dzieli uroczystości z nikim

- chociażby z Charlie'em, czy z Opą, skoro w jej życiu me było mężczyzny, który by się naprawdę liczył. Ale MacKinnon prosił z naciskiem, żeby przyszła sama. Wręczenie szafiru Lyli miało być ukoronowaniem wieczoru.

Chciał, żeby ceremonia miała charakter prywatny, bez żadnych świadków poza nim, Lylą i Pete.

- Myślę, że wszystko powinno się odbyć jeszcze prywatniej

- zaproponowała Pete. - Nie ma powodu, żebym wam towarzyszyła.

- Jest powód i to niejeden, droga panno. To twoje dzieło. Kiedy jestem na scenie, potrzebny mi jest widok twarzy tych, których staram się zachwycić. Myślę, że ten sam przywilej należy się tobie.

Oczywiście, że bardzo chciała zobaczyć pierwszą reakcje Lyli, rozumiała też, że Douglas może chcieć wręczyć jej swój dar w bardziej intymnej scenerii. Jednego nie mogła pojąć - jak można połączyć jedno z drugim. Kim jednakże była, żeby zgłaszać takie wątpliwości?

Zaledwie w parę minut po jej przybyciu do Sardiego wkroczył

honorowy gość wieczoru, już nie „zniekształcony, niepełny”, przeciwnie - olśniewający w czerni i śnieżnej bieli smokingu. Jego jasne włosy połyskiwały, błękitne oczy lśniły z podniecenia. W szeroko uśmiechniętych ustach tkwiło długie, cienkie cygaro. Wygląda fantastycznie, stwierdziła w duchu Pete.

Musiała jednak przyznać, że jeszcze bardziej olśniewająco wygląda Lyla Weaver. Luźno udrapowana wokół ramion narzutka z rzadkiej, płowej odmiany soboli odsłaniała fragmenty sukni z czerwonego aksamitu, wyciętej na tyle głęboko, by wyeksponować smukłą szyję Lyli i nieskazitelny, mlecznobiały biust gwiazdy. Tuż nad dolinką między piersiami zwisała pamiątka kóregoś z poprzednich małżeństw - łożka ze szmaragdu, idealnie dobrana do koloru jej oczu.

Zarówno Weaver, jak i MacKinnon, doskonale wiedzieli, jak robi się wejście. Douglas patetycznym gestem powiódł

dłonią po sali. Jego twarz przyobekł wyraz najgłębszej skromności i pokory.

- Przyjaciele - powiedział, wkładając w to słowo więcej dramatyzmu, niż inny aktor wykrzesałby przez tuzin sezonów. Towarzysząca mu Lyla potrząsnęła nad głową pięściami - gestem zwycięskiego boksera. Narzutka zsunęła jej się z ramion, na co nie zareagowała wcale, zakładając, nie bez słuszności, że w porę znajdzie się ktoś, kto ją chwyci w locie.

Pete oglądała ich z podziwem, popijając następny kieliszek szampana, który udało jej się porwać z tacy.

- Ta Weaver to dopiero jest numer - z grupki gości stłoczonych obok Pete odezwał się jakiś mężczyzna półgłosem, wyraźnie nie ukrywając pożądania. Weaver należała do gatunku piękności, które wzbudzają w ludziach drapieżne instynkty. Chciało się ją pożreć, żeby dostać w udziale chociaż cząsteczkę jej splendoru.

Jednakże pożądanie Lyli było niedwuznacznie skierowane wobec jej towarzysza. W blasku fleszy, w zgiełku głosów wykrzykujących ich nazwiska, patrzyła na MacKinnona, jakby sami, skąpani w świetle księżyca, stali na niebosiężnej grani, a nie na środku sali po brzegi wypełnionej rozentuzjasmowanymi wielbicielami. Wymienili pocałunek, a nie był to bynajmniej

publiczny, powściągliwy pocałunek, lecz dogłębna, namiętna penetracja z udziałem języka. Zdawało się, że goście wstrzymali oddech. Pete poczuła ukłucie zazdrości, straszliwie zapragnęła doznać takich samych emocji jak te, które iskrzyły między tą magnetyczną parą. W życiu nie była świadkiem ani też sama nie przeżyła równie płomiennej namiętności. Rozpaczliwie pragnęła przeżyć pożar zmysłów, jednak chwilami traciła nadzieje, czy jej tęsknoty spełnią się kiedykolwiek.

Wreszcie MacKinnon i Weaver odsunęli się od siebie, choć dalej stali jedno przy drugim, wpatrzeni w swoje oczy, z których w sposób oczywisty dla ich widzów tryskała namiętność. Dopiero kiedy odwrócili się z uśmiechem do gości, zebrany powrócił oddech. Znow na sali zapanował harmider, wśród gości zakotłowało się, rozległy się pierwsze śmiechy. Pete wyławiała z tłumu twarze znakomości Broadwayu i Hollywoodu. Z uśmiechem zdobywcy przez tłum parł w jej kierunku Warren Beatty, widząc jednak na twarzy Pete nerwowy, napięty uśmiech, wyminął ją i ruszył dalej. Spokojnie, strofowała się Pete, chwytając kolejny kieliszek szampana.

- Pieeeeeetra! - ryknął nagle MacKinnon, zagłuszając zgiełk sali. Pete odwróciła się. MacKinnon, wymachując rękami jak pływak, dawał jej znaki, żeby przepchnęła się przez tłum do mego.

- Masz go ze sobą? - spytał z niepokojem w głosie, kiedy wylądowała u jego boku.

Z naszywanej cekinami wieczorowej torebki wyciągnęła przewiązaną szafirową wstążeczką z jedwabiu niewielką staroświecką, srebrną szkatułkę, którą MacKinnon specjalnie podesłał jej wcześniej.

- Bądź aniołem i potrzymaj go jeszcze troszkę - powiedział MacKinnon, łagodnie odpychając dłoń, w której trzymała pakunek. - Chciałbym dać go Lyli w jakiejś spokojniejszej chwili, ale na razie nie zanosz się na nic takiego.

Jak spod ziemi wyrósł Leonard Bernstein. Uściskał MacKinnona, po czym chwycił go za ramię i zaczął ciągnąć w stronę grupki gości.

Pete posłusznie zastosowała się do prośby Douglasa. Wrzuciła

pakiecik z powrotem do torebki, którą mocno przycisnęła łokciem do siebie.

Tuż po północy producent sztuki wdrapał się na stół i odczytał recenzję z „Timesa”. Jej autor zachłystywał się z zachwytu nad niespotykaną siłą wyrazu MacKinnona, która sprawiała, że nawet przez sekundę jego obecności na scenie me czuło się nic współczesnego. „Publiczność i sam MacKinnon gdzieś odpłynęli. Aktor stał się absolutnym ucieleśnieniem Ryszarda III, a zahipnotyzowana widownia nie tylko przeniosła się na dwór angielski, ale wręcz znalazła się w ciele i umyśle obłąkanego króla”. Pete dołączyła do chóru gości wiwatujących na cześć niebywale przychylniej recenzji.

Przyjęcie rozkręcało się w najlepsze, a nastrój stawał się coraz bardziej radosny. Pete wychyliła kolejny kieliszek szampana i poczuła się wreszcie swobodnie, nawet kiedy wymieniając nowojorskie ploteczki znalazła się w kółku złożonym z Andy'ego Warhola, Bianki Jagger i paru osób, które знаła z widzenia, ale nie kojarzyła z nazwiska.

Gryzła się jednak z dwóch powodów, co nie pozwalało jej w pełni uczestniczyć w zabawie. Po pierwsze, niepokoiła się o bezpieczeństwo drogiego pakieciku. Po drugie, gnębiło ją uczucie, że pozostaje jakby na zewnątrz całego wydarzenia, patrzy na wszystko przez szklaną szybę. Zauważyła to uczucie w chwili, kiedy MacKinnon i Weaver wymienili między sobą pocałunek. To, co czuli do siebie, bez wątplenia wykraczało poza czystą miłość. Czy było to uczucie pisane jedynie im dwojgu... czy też znane powszechnie w świecie sławy, gdzie piękni ludzie kochali się z innymi pięknymi ludźmi, gdzie sława i pieniądze uwalniały od codziennych trosk, pozwalając oddawać się w pełni porywom serca?

Czy było tak, czy inaczej, rozpaczliwie pragnęła doznać tych samych przeżyć, czuć to, co oni. Wiele wody upłynęło, od kiedy po raz ostatni pozwoliła sobie zaspokoić swoją namiętność.

Czy dzisiejsza noc przełamie zły czar? Czy dobry dzin, który spełnia jej życzenia, wyłoni się w chwili, gdy zostanie otwarta srebrna szkatułka z szafirem?

Mijała godzina za godziną i dawno straciła rachubę, ile wypła szampana, kiedy usłyszała za sobą dźwięczny szept MacKinnona.

- Wychodzimy, najmilsza. Bierz płaszcz. Zaczekamy na ciebie na dworze.

Błyskawicznie była gotowa, po czym okazało się, że dziesięć minut czeka na chodniku, aż obie gwiazdy uwolnią się z objęć przyjaciół i podpiszą garść autografów.

W końcu dali nura do oczekującej limuzyny, a za mmi Pete, sadowiąc się na strapontenie zwróconym twarzą do tylnego siedzenia. W drodze wyraźnie czuła na sobie wzrok Lyli. Jak dotąd, widywały się wyłącznie przy okazji wizyt Lyli u Duforta & Iveresa.

- Masz rację, Doug - odezwała się Lyla. - Prawdziwa piękność. Musiałam świata nie widzieć poza kamieniami, kiedy mnie obsługiwała. - Jej głos nabrał ostrzejszych tonów. - Najważniejsze jednak, czy udało jej się stworzyć coś pięknego. Jak pani sądzi, panno D'Angeli?

- Piękno, panno Weaver, tkwi w oku patrzącego - zacytowała Pete sentencję, której zawdzięczała pierwszą iskrę inspiracji przy pracy nad projektem. - Dopiero kiedy zobaczy pani moje dzieło, pani i tylko pani będzie mogła odpowiedzieć sobie na własne pytanie.

Lyla uśmiechnęła się, ocierając jak kotka o puszysty kołnierz narzutki z soboli.

- Mmmm - wymruczała. - Niegłupia z ciebie dziewczyna. Wobec tego pokaż już...

- Nie, nie - zatrzepotał się MacKinnon. - To cała uroczystość. Nie będziemy jej przecież odbywać na tylnym siedzeniu bezdusznej maszyny.

Lyla wybuchnęła gardłowym śmiechem.

- Dougie, oboje wiemy dobrze, że nie ma rzeczy na świecie, której nie dałoby się zrobić na tylnym siedzeniu samochodu - wymruczała, trącając noskiem policzek MacKinnona.

- Mam to rozumieć jako zaproszenie? - spytał MacKinnon z pełną niewiniątką.

Znów wymienili spojrzenie, w którym iskra namiętności przeleciała jak błyskawica łącząca niebo z ziemią. W

następnej

sekundzie spleli się w uścisku, a ich dłonie zaczęły błądzić po ciele partnera.

Pete przyglądała się tej scenie z dziwnym bezwstydem. Możliwe, że po prostu szampan przygasił w niej poczucie przyzwoitości. Podejrzewała jednak coś innego. MacKinnon i Weaver stanowili parę, która rządziła się własnymi prawami, prawami obowiązującymi wszystkich, którzy znaleźli się w zasięgu ich oddziaływania. Uważali, że nie obowiązują ich żadne tabu i Pete również czuła się zwolniona z zachowywania pozorów i wyzwolona z ciasnych konwenansów. Myśl, że ta para gołąbków lada chwila może się zewrzeć na jej oczach in *flagrante delicto*, nie wzbudzała w niej niepokoju, a jedynie ciekawość. Zanim jednak doszło do podobnej sceny, limuzyna zajechała przed hotel Plaža.

Kiedy przecinali hall hotelowy, Lyla wzięła Pete pod rękę. Szli teraz we troje.

Pete doceniła gest Lyli; czuła się teraz swobodnie, czuła, że jest naprawdę z nimi.

W apartamencie MacKinnon odkorkował butelkę zamówionego już wcześniej Dom Perignona i napełnił kieliszki.

- Za nową drogę życia - wydekłamał z patosem, unosząc kieliszek w górę. Upili po połowie. MacKinnon podszedł

i objął Lylę ramieniem. - Nadszedł czas, Piętro... - wyciągnął dłoń w jej stronę.

Z torebki wyjęła srebrną szkatułkę. Przecięła pokój i położyła ją na dłoni MacKinnona.

MacKinnon posłał Lyli spojrzenie, jakim pan młody wpatruje się w oblubienicę u stóp ołtarza.

- Chcesz wiedzieć, jak cię kocham? - spytał z namaszczeniem, jakby zabierał się do recytacji słynnego sonetu Elizabeth Barret Browning. Machnął ręką. - Nie będziemy sobie zawracać głowy szczegółami. Po prostu weź i obejrzyj to sobie. - Wcisnął Lyli szkatułkę do rąk.

Była kobietą, która w życiu otrzymała niejednego podarunek i nic już nie robiło na niej większego wrażenia. Biorąc do rąk szkatułkę uśmiechnęła się łaskawie, jakby odbierała coś, co jej się należy. Skrywane podniecenie zdradził tylko pośpiech, z jakim zrywała wstążeczkę z opakowania.

Kiedy jednak uniosła wieczko szkatuły, na jej twarzy zagościł wyraz najczystszej zachwytu.

Dzieło Pete przykuwało spojrzenie słynnych szmaragdowych oczu z hipnotyczną siłą - gdyż samo było okiem z wielką, błękitną tęczówką z gwiazdzistego szafiru, oprawną w platynowe powieki o egzotycznym, lekko orientalnym kształcie. Brzeżki powiek wysadzane maleńkimi onyksami wyglądały jak przy-czernione. Rzęsy z długich, wąziutkich odłamków ciemnego szmaragdu osadzono na cieniuteńkich drucikach z platyny, które drżały przy najmniejszym poruszeniu. Akcentem wieńczącym całość były porozrzucane gdzieniegdzie wśród rzęs idealnie kuliste diamenty, lśniące jak łzy.

Oko, które mogło być noszone jako broszka albo jako wisiołek, miało w sobie jakąś magiczną moc. Wabiło patrzącego, zarówno zewnętrzną urodą, jak i wnętrzem, w którym ukryta dusza klejnotu sprawiała, że kawałek martwego kamienia wydawał się równie żywy, jak ten, kto go podziwiał. Rozmyślenia o oku 'jako instrumencie odbioru piękna spowodowały, że ta właśnie forma wydała się Pete tak nieunikniona. Czyż mogła być lepsza oprawa dla klejnotu, który pięknej kobiecie ofiarowuje kochający mężczyzna?

Lyla tak długo wpatrywała się w szafirowe oko w niemym zachwycie - który był u niej absolutnie mecodziernym stanem

- aż MacKinnon zniecierpliwił się.

- No, moja miła, jak ci się podoba?

- Podoba? Och, Douglas - westchnęła - w życiu nie miałam czegoś równie pięknego. Kocham ten kamień. Kocham ciebie.

- Poglądziła go po policzku gestem, który, w przeciwieństwie do poprzednich pieszczot, nie był namiętny i erotyczny, był po prostu szczery i pełen uczucia.

Odegrawszy swoją rolę Pete zrobiła krok do tyłu, zamierzając życzyć im dobrej nocy, lecz Lyla ją zatrzymała.

- Jesteś wielką artystką, panno D'Angeli - nasza anielska panno. - Powinnaś jednak zostać i

dokończyć swojego dzieła.

Pete spojrzała, nie rozumiejąc. Lyla przysunęła się do niej.

- To jest klejnot, który się nosi, nieprawdaż? Czy mogłabyś go na mnie upiąć?

Pete zawahała się, nie całkiem pewna, jaką gierkę prowadzi teraz gwiazda. Czowała, że nie jest to gra zupełnie niewinna. Jednak podniecenie płynące z faktu bycia sam na sam w towarzystwie dwóch znakomitych gwiazd zagłuszyło wszelkie niepokoje. MacKinnon skinął zachęcająco głową i Pete podeszła do Lyli. Kiedy była już całkiem blisko, Lyla złapała ją za rękę tak, że Pete poczuła ciepły powiew jej oddechu.

- Bądź tak dobra i powiedz, gdzie powinnam to nosić? Tutaj?

- Lyla przyłożyła broszkę do ramiączka sukni. - Czy tu? - Przytknęła klejnot do rozcięcia piersi.

- Tu - powiedziała Pete. Wzięła klejnot z rąk Lyli i przypięła go do sukni. Lyla ponownie wzięła ją za rękę.

- Niezwykłe klejnoty często obdarza się imieniem, nieprawdaż? - spytała cicho. - Jak diament Hope'a czy rubin Mandalay. Czy nie sądzisz, że mój klejnot zasługuje na własne imię?

- Gwiazda Weaver - krzyknął MacKinnon od barku, przy którym przyrządzał sobie whisky.

- Nie, nie, kochanie. To strasznie banalne. Nie mogę się zgodzić, żeby tak niebywały klejnot był obdarzony równie przyziemnym imieniem. Masz jakiś pomysł? - zwróciła się do Pete, którą nadal trzymała za rękę.

- Zawsze nazywałam go w myślach Okiem Miłości.

- Oko Miłości - powtórzyła Lyla półgłosem na parę sposobów, wypróbując brzmienie tych słów.
- Cudowne!

Dziennikarze natychmiast uczepią się tej nazwy. Będziemy mieli z tego morze cudownej reklamy. Jeśli pograsz, jak trzeba, nasza anielska panno, zajdziesz wysoko, na sam szczyt, gdzie będziesz mogła zasiąść w towarzystwie Dougiego i moim.

- Puściła do niej oko i spojrzała na MacKinnona. - Dougie, czy mielibyśmy ochotę, żeby nasza genialna anielska panna znalazła się między nami?

MacKinnon podszedł do nich, wyglądając na kompletnie pijanego.

- Nie mnie o to pytaj, kochanie. Z pewnością nie, jeśli nasza cudowna Pietra chce już jechać do domu.

- Do domu? Ależ Dougie, przecież ona wzięła udział w powstaniu mojego cudownego skarbu. Chcę, żeby wzięła udział

we wszystkim, co się będzie działo dzisiejszej nocy. - Uniosła dłoń do policzka Pete. - Zostań z nami, anielska panno, zostań aż do rana.

Nagle Pete poczuła, że wie, do czego to wszystko zmierza, wie od chwili, kiedy Lyla poprosiła ją, żeby „została i dokończyła dzieła” - a nawet wcześniej, kiedy MacKinnon prosił ją, żeby przyszła na wieczór sama. Gdzieś zapaliła się lampka ostrzegawcza i zgasła.

Ponad wszystko dręczyła ją ciekawość. Przypomniła sobie Weaver i MacKinnona całujących się na oczach sali pełnej gości; ustanawiających własne prawa. Powróciło pragnienie, by przekroczyć próg niedosiężnej krainy wysublimowanych uczuć i namiętności. Czy właśnie znalazła się na progu?

Wahanie Pete było dla Lyli wystarczającą odpowiedzią. Wzięła ją ponownie za rękę i pociągnęła w stronę sypialni.

- Chodź - wyszeptała zmysłowo.

Pete ogarnęła panika. Okowy konwenansu, w których upłynęło jej życie, nie zamierzały puścić bez walki.

A może wszystko było tylko kwestią decyzji? Dlaczegoż me miałyby się zatracić w przyjemności chwili, wspiąć na szczyt zakazanej krainy.

Czując, że jej opór słabnie, MacKinnon przysunął się, cytując szeptem Falstaffa: *Mówią, że liczby nieparzyste, są stworzone przez Boga.*

Pete pozwoliła się zaprowadzić do przyciemnionej sypialni.

- Jesteś artystką, Piętro - wyszeptała Lyla. - Jesteś podobna nam... nas pociąga nieznane.

- Masz jeszcze czas, żeby się rozmyślić - zapewnił ją ponownie MacKinnon.

Pokręciła powoli głową. Miała lekkie zawroty głowy, była oszołomiona sukcesem i świetlanymi perspektywami co najmniej tak samo, jak szampanem, jednak panowała nad sobą. Pragnęła mocnych przeżyć... wabiło ją nieznane, jak powiedziała Lyla. Stała bez ruchu, kiedy MacKinnon podszedł do niej, przymknęła oczy, kiedy musnął jej usta tak lekko, że przez chwilę sądziła, że w ogóle przestał ją całować. Jednak z powrotem poczuła, tym razem bardziej natarczywe wargi na swoich ustach, wdzierający się język. Zaląła ją fala gorąca, cieplejsza i łagodniejsza niż ta, którą w jej ciele wywoływał szampan. Zatopiła się bez reszty w doznaniach.

Wreszcie pocałunek ustał. Pete otwarła oczy. Douglas MacKinnon stał obok, z rozanielonym uśmiechem, a nad jej ustami unosiła się twarz Lyli Weaver.

Jednym ruchem Douglas porwał ją na rękę i rzucił na łóżko. Lyla błyskawicznie pozbyła się pantofelków i pończoch.

Powolnym ruchem zaczęła zsuwać najczystszy jedwab z długich nóg Pete. Było coś nieprawdopodobnie zmysłowego w pieszczocie gładkiego materiału. Wygięła się bezwiednie w łuk,

kiedy MacKinnon zsunął cieniutkie ramiączka prostej, obcisłej, atlasowej sukni, odsłaniając jej nagie piersi, które okrył palącymi pocałunkami.

Zmysły Pete atakowane były ze wszystkich stron - Lyla lizała palce jej stóp, Douglas chwyciwszy ją mocno za biodra gładził palcami po kręgosłupie i leciutko oblizywał obwódki jej sutek.

Jej dusza zaatakowana była również przez dwie siły, które toczyły ze sobą zawziętą walkę. Nie, krzyczał głos przyzwyczajenia. Natychmiast przestań! Złe robisz. Ale zagłuszał go inny głos, bardziej natarczywy. Musiała to przeżyć, musiała się dowiedzieć, jak to jest, kiedy się tworzy własne prawa, kiedy konwencjonalne reguły przestają obowiązywać.

Poczuła, jak czyjaś dłoń wślizguje się pod jej gołą nogę, delikatnie muska udo i rozsuwa nogi, wreszcie - wpełza pod gumę majteczek. Nie umiała powiedzieć, czyja to dłoń, a z chwilą, kiedy dłoń łagodnie rozchyliła ją, znajdując ośrodek rozkoszy, przestało ją to zupełnie obchodzić. Wstrząsana cudownymi dreszczami westchnęła głęboko, a Douglas połknął, jej oddech w zachłannym pocałunku.

Odtąd wszystko potoczyło się bardzo szybko. W jednej chwili leżeli już we troje, nadzy, na łóżku. Lyla obejmowała Pete od tyłu, a Doug od przodu. Całował Pete, potem przechylił się przez jej ramię i zaczął całować Lylę, choć jego potężny penis parł szukając wejścia do Pete. Lyla serią pocałunków okryła talię i biodra Pete, wreszcie zaczęła ją lizać w kroku.

Pete jęknęła z rozkoszy, kiedy Lyla ujęła jej dłoń i położyła na pulsującym splocie mięśni, który okazał się penisem Douglasa.

- Czujesz? - pytała Lyla namiętym szeptem. - Czujesz, jak bardzo cię pożąda?

Kiedy Douglas przewrócił ją wreszcie na wznak i uniósł się zadając głębokie pchnięcie, gdy tymczasem Lyla zawzięcie kąsała jej sutki, Pete była już tak podniecona, że natychmiast eksplodowała, unicestwiona tonąc w falach nieziemskiej rozkoszy.

Ledwie wzburzone fale zaczęły cichnąć, Douglas, nadal zanurzony głęboko, odwrócił się na plecy, tak że Pete siedziała teraz na nim. Lyla okraczyła go również, sadowiąc się twarzą do Pete, wprost nad uśmiechniętymi wargami kochanka. Douglas, trzymając Pete w pasie, unosił ją i opuszczał w dół, podczas gdy jego usta dostarczały rozkoszy Lyli. Lyla ujęła w dłonie twarz Pete i złożyła na jej wargach głęboki pocałunek.

Przez króciutką chwilę odżył w niej jakiś wewnętrzny protest, który jednak, w obliczu cudownego gorąca i nacisku, natychmiast wygasł. Było jej dobrze, cholernie dobrze. Teraz Douglas nie musiał już kierować jej ruchami, ciało Pete podnosiło się i opadało w uporczywym rytmie, którego nie była w stanie zatrzymać, nawet gdyby chciała. Jego dłonie pomknęły w górę, do jej piersi, uciskając, zataczając palcami koła, szczypiąc leciutko. Lyla sięgnęła dłonią do miejsca, w którym Douglas i Pete łączyli się ze sobą i wsunawszy między nich jeden palec, doprowadziła oboje na zawrotne wyżyny ekstazy.

Douglas chłęptał Lylę, która chwiała się jęcząc. Pete czuła się niezmiernie podniecona, słysząc, jak znany całemu światu głos wykrzykuje:

- Mocniej, mocniej, do cholery, mocniej! Tak, tak! Tak!

Dokładnie w chwili, kiedy Lyla zaczęła z krzykiem szczytować, Douglas eksplodował w Pete, stęknąwszy zduszonym głosem:

- O, ja cię...!

W chwilę później ją samą chwycił ponowny orgazm, potężny, dogłębny i nieomal bolesny - promieniujący z jej rdzenia aż po koniuszki palców, po zakończenia każdego nerwu.

- Boże! - wyrwało jej się z gardła.

Opadli wszyscy, spoceni, zdyszani, z łomoczącymi sercami. Minęła dłuższa chwila.

- Byłaś cudowna, nasza anielska panno - słodkim głosikiem wymruczała Lyla. - Zgodzisz się ze mną, Dougie? Jedna z najlepszych, jakie kiedykolwiek...

Słowa Lyli przedarły się do umysłu i duszy Pete, przypominających krajobraz spękany szramami trzęsienia ziemi.

Ogarnięta nagłym wstydem, poczuciem, że zbezcześciła najważniejszą noc w swoim życiu, zamiast upajać się jej znaczeniem, wyskoczyła z łóżka i pośpiesznie pozbierawszy rozrzuconą po podłodze garderobę, zaczęła się ubierać.

- Nie bądź niemądra, Piętro - wymruczał MacKinnon sennie. - Bardzo cię proszę, nie rób sobie wyrzutów...

Spojrzała na zarys dwóch spoczywających na łóżku sylwetek. Chciała coś powiedzieć - ale zabrakło jej słów. Nie mogła ich winić - czy może nawet nie miała ich za co winić - jeżeli w ogóle ktokolwiek cokolwiek tutaj zawinił. Byli w swoim świecie i rządili się własnymi prawami, takimi, jakie odpowiadały ich naturze. Ich - ale nie jej.

- Niech idzie, Dougie - powiedziała Lyla. - Mamy jeszcze siebie nawzajem. - Zaśmiała się gardłowo, zanim dodała -

...no i Oko Miłości.

Kiedy skończyła się ubierać, wycofała się do saloniku apartamentu, skąd wyszła na korytarz. Pędem puściła się do windy.

W miarę jak wino i wrażenia wietrzały jej z głowy, ogarniał ją coraz większy wstyd. Jak mogła pozwolić się tak wykorzystać? Czy zrobiła to z wdzięczności za szansę, jaką jej dali z szafirem? Czy po prostu dała się skusić jedynej w życiu okazji orgietki z dwójką naj słynniejszych na planecie gwiazdorów?

To było niepodobne do niej. Musiało kierować nią coś innego, o wiele głębiej zakorzenionego w jej psychice.

Wyszła z windy do rześciece oświetlonego hallu i rzuciła się w chłodne powietrze nocy. Naprzeciwko hotelu, odgródzone od chodnika długim, kamiennym murem, rysowały się strzeliste sylwetki drzew Central Parku. Na ich gałęziach zaczynały pojawiać się pierwsze, wiosenne listki. Poskręcane konary drzew w ciemnościach przypominały ulatniające się z kominów dymy.

Mur i majaczące kontury dziwnie ją przerażały, niczym sceneria z koszmarnego snu...

Nagle dotarło do niej, że to wcale nie był jej koszmar, lecz koszmar matki. Pomyślała o murach obozu, wysokich kominach, zionących dymem z krematoriów...

Zorientowała się, czym był impuls, który kazał jej pragnienie nowych doświadczeń - równoznaczne z podporządkowaniem się cudzej chuci - przedłożyć nad inne względy. Tak dokładnie postępowała jej matka, żeby utrzymać się przy życiu.

Być może w ten sposób łączyła się psychicznie z matką, uzyskiwała wgląd w jej doznania. A może w noc triumfu chciała nałożyć na siebie pokutę, zanim sięgnie po dobrodziejstwa, jakie niesie za sobą sukces?

Otarła łzy z policzków, wyprostowała się z godnością i ruszyła Piątą Aleją w poszukiwaniu taksówki, aby dostać się do domu. Wyzbyła się wstydu i niepokoju, ale nie pozbyła się pragnienia. Tęskniła za mężczyzną, który by ją kochał

i którego ona by również kochała. Nie wątpiła, że gdyby towarzyszył jej tej nocy, na pewno nie pogubiłaby się aż tak bardzo.

Późnym rankiem następnego dnia stanął w jej drzwiach posłaniec, niosąc trzy tuziny bladobrzoskwiniowych róż.

Między cierniste łodygi zatknięto kopertę, w której znalazła czek podpisany przez Douglasa MacKinnona.

Uzgodniła już wcześniej z MacKinnonem, że za materiały i kamienie zakupione do wyrobu Oka Miłości zapłaci dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Wynagrodzenie dla siebie miała zamiar omówić kiedy indziej, licząc, że zgodzi się na sumę dziesięciu tysięcy dolarów. Czek jednak opiewał na pięćdziesiąt tysięcy.

Towarzyszył mu liścik nakreślony ręką Lyli Weaver.

Najdroższa Pete,

Dziękujemy ci za drogocenny dar, który ojiarowałaś nam wczorajszej nocy, i wybacz, jeśli zraniliśmy cię w jakikolwiek sposób. My też chcielibyśmy ci coś ofiarować w dowód wdzięczności - dar, który umożliwi nam nasza pozycja w świecie.

Byłaś świadkiem naszej miłości, a ja, choć może trudno w to uwierzyć, jestem na tyle staroświecka, że pragnę poślubić mężczyznę, którego kocham tak, jak kocham Douglasa Chcemy pobrać się w przyszłym miesiącu, w związku z czym zwołujemy konferencję prasową dziś o trzeciej w hotelu

Plaża Podczas konferencji zamierzamy pokazać dziennikarzom Oko Miłości, które zasłynę jako klejnot, który zdobył moje serce. Ty też zdobędziesz stawę, droga Pete, na którą ze wszech miar zasługujesz. Chyba nie omylę się, kochanie, jeśli powiem że od tej chwili świat stanie przed tobą otworem

Z miłością i wdzięcznością Lyla

Pete spojrzała jeszcze raz na czek, wciągając w nozdrza upajający zapach róż. Jeśli nawet błędziła do tej chwili, nie miało to już żadnego znaczenia. Była na własnym torze. Dobry dzin został uwolniony z butelki.

Gdybyż tylko można go było ubłagać, żeby spełnił jeszcze jedno życzenie.

Rozdział dziewiąty

Gdyby mnie spotkała taka propozycja, w jednej sekundzie leżałabym z nimi na kupie, zgadzając się absolutnie na wszystko - oświadczyła Jess.

- Już sobie i tak narobiłam dosyć kłopotów w życiu, zgadzając się na wszystko - oświadczyła Pete cierpko.

Poprzedniego wieczoru, po przybyciu do Montauk, nadmorskiej rezydencji rodziców Jess, Pete wypłakała się przyjaciółce z przygody w towarzystwie Weaver i MacKinnona. Jess zapewniała ją, że nie powinna sobie nic wyrzucać ani też niczego żałować. Od kiedy sięga pamięcią, zawsze marzyła o podobnym przeżyciu. Uważa, że nie ma w tym nic złego.

Leżały teraz obie z Jess na ręcznikach rozpostartych na piaszczystej plaży przed wielkim, krytym gontem domem.

Jak na początek maja było gorąco i ciała obu dziewcząt lśniły od oliwki. Głowy zasłoniły wielkimi, słomianymi kapeluszami. Fernando wyjechał do Madrytu odwiedzić rodziców i Jess zaprosiła Pete nad morze. Pete z radością przyjęła propozycję wyrwania się z miasta na pare dni. Ostatnie dwa tygodnie były najbardziej szalonym okresem w jej życiu.

Fotografie MacKinnona i Weaver zamieszczone na pierwszych stronach plotkarskich magazynów i na drugiej stronie „New York Timesa”, po tym jak obie gwiazdy podały do wiadomości publicznej swoje plany małżeńskie, wyeksponowały drogocenny majstersztyk Pietry D'Angeli. Na jednym ze zdjęć, na przykład, Lyla miała na sobie czarną, skromną suknie ze stójką, która tworzyła patetyczny kontrast z broszą przypiętą pod szyją. Wielkodusznie zwróciła jeszcze więcej uwagi na klejnot, rozprawiając o udziale Oka Miłości w otwarciu „jej własnych oczu” na głębię miłości do MacKinnona.

Przez wiele dni po tym wydarzeniu telefon w mieszkaniu i warsztacie urywał się. „Times” chciał napisać artykuł do środowego dodatku towarzyskiego. Inne czasopisma ubiegały się o wywiad. Walter Hoving od Tiffany'ego zadzwonił pytając, czy zgodziłaby się na kontrakt, w którym ich firma uzyskaby wyłączne prawo do sprzedaży jej wyrobów. Różne koncerty i ich agencje proponowały

Pete udział w ich kampaniach reklamowych, polegający na wykonaniu ich logo z metali i szlachetnych kamieni

Zapisywała numery i obiecywała przemyśleć każdą propozycję, kiedy nabierze jako takiego dystansu do nowej sytuacji.

W drugim tygodniu po publicznej prezentacji Oka Miłości znany i popularny dziennikarz rubryki towarzyskiej doniósł, że „Vogue” wypożyczył klejnot od Lyli; miał zdobić modelkę na okładce jednego z najbliższych numerów magazynu. Lyla zdradziła również prasie, że miała już propozycję odsprzedania Oka Miłości, przy czym proponowane ceny wahały się między „milionem a dwoma”. Pete podejrzewała, że coś więcej niż sama tylko uroda przyciąga ewentualnych nabywców - kamień w ich oczach miał moc amuletu. Wierzyli, że nosząc go, dorównają urodą Lyli i, jak ona, głęboko przenikną istotę miłości.

Co więcej, ostatni „New Yorker” ukazał się z wielką fotografią Oka Miłości na okładce. W piśmie znajdował się artykuł traktujący o jego powstaniu, w którym odsłonięto nawet najbardziej wstydlive szczegóły - „wypożyczenie”

szafiru przez Pete, aresztowanie, wreszcie - zwolnienie, które zawdzięczała temu, że jej projekt spotkał się z aprobatą MacKinnona. W pierwszej chwili Pete sądziła, że informacje pochodziły z ust Lyli i Douglasa, którzy pragnęli jej wyświadczyć przysługę. Potem przyszło jej do głowy, że to Marcel albo Andrea próbowali w ten sposób delikatnie nadwerężyć jej reputację. Nie chciało jej się jednak sprawdzać, kto był źródłem informacji. Miała po prostu ochotę zostawić wreszcie cały ten kołowrót za sobą.

Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Jess i Pete pozbierały koce i ruszyły w stronę domu.

- Przyjmujesz to wszystko z taką rezerwą, Pete - zauważyła Jess po drodze. - Nie jesteś w ogóle podniecona?

- Oczywiście, że jestem. Marzę po prostu, żeby mieć przy sobie kogoś nadzwyczajnego, kto dzieliłby ze mną radość.

A jeśli chodzi o rezerwę - cóż, wiem, jak łatwo o fałszywy krok. Nie chciałabym być atrakcją jednego sezonu. Chcę utrzymać się w branży przez wiele lat i zająć jak najwyżej. To znaczy, że muszę się szanować i nie mogę dopuścić, aby moje nazwisko zaczęło wiązać z nastawioną na szybki zysk tandetą.

Jess spojrzała na nią z uwielbieniem i zamilkła.

- Pete, potrzebuję twojej rady - wybuchnęła, kiedy weszły po schodach na szerokie, kamienne patio, wychodzące na ocean. - Boję się, że dla Fernanda też mogę się okazać atrakcją jednego sezonu.

- Wal śmiało - zażądała Pete, przysiadając przy stoliku na patio.

- Czy powinnam zająć w ciążę? - spytała Jess, opadając na krzesło. - To znaczy, starać cię zająć w ciążę...?

- Przed ślubem?

- W tym właśnie rzecz. Wiem, że Fernando chciałby się ze mną ożenić, ale ojciec rzuca mu wszelkie możliwe kłody pod nogi - twierdzi, że musimy poczekać, aż dochody Fernanda będą na odpowiednim poziomie. Lata całe mogą upłynąć, zanim uda nam się zadowolić tatę, a ja boję się, że Nando nie zechce tak długo czekać. Choćby mnie nie wiem jak kochał, znudzi się wreszcie albo obrazi.

Pete zastanowiła się nad słowami Jess. Nie wyzbyła się do końca własnych obiekcji wobec Fernanda, musiała jednak przyznać, że imponował jej wytrwałością, z jaką starał się sprostać kolejnym warunkom stawianym przez Walshów.

- Jess, trudno mi rozstrzygnąć tę kwestię. Każdy musi decydować za siebie. Chętnie jednak przedstawię ci słabe punkty twojego planu. - Urwała, starannie dobierając słowa, aby Jess łatwiej było je przełknąć. - Jestem pewna, że twoi rodzice chcą twojego dobra. Zawsze trzęśli się o ciebie za bardzo - wiemy o tym obie - i być może teraz też zachowują się w ten sposób. Najprawdopodobniej jednak niepokoją się, że Fernando może pragnąć twojej ręki z...

niewłaściwych powodów.

- Moich pieniędzy - dokończyła Jess. - Może sobie ich brać, ile zechce.

- Twoi rodzice z czasem zaczną myśleć podobnie, kiedy przekonają się, że on cię kocha. Ale nie przekonasz ich zachodząc w ciążę. Nawet jeśli to będzie twój pomysł, postawi w niekorzystnym świetle Fernanda. Twój ojciec i twoja matka pomyślą, że zrobił to specjalnie po to, żeby - zaraz, jakby to powiedzieli? - postawić ich przed faktem dokonanym.

- Masz rację - potaknęła Jess w zamyśleniu. - Mogę mieć tylko nadzieję, że tata wkrótce udzieli nam swojego błogosławieństwa, bo w przeciwnym wypadku może dojść do przedwczesnego chrztu.

W drzwiach ogrodowych domu pojawiła się jedna z pokojówek, które przyjechały z Nowego Jorku otworzyć dom na lato.

- Telefon do panny D'Angeli.

- O, Boże, nawet tutaj - jęknęła Pete. Zostawiła Opie numer do Montauk, na wypadek gdyby coś działo się z nim albo z mamą. Widać, mimo jej wyraźnych zakazów, zdradził go ktoś.

- Proszę powiedzieć, że panna D'Angeli wzięła parodniowy urlop od swojej ekspresowej kariery - zaproponowała Jess.

- Proszę zapisać numer i powiedzieć, że oddzwonię w poniedziałek - zwróciła się Pete z uśmiechem do pokojówki.

Pokojówka zawróciła w stronę drzwi, jednak po paru krokach przystanęła.

- Ten pan bardzo nalega. Mówi, że to sprawa osobista... jakiś pan Sanford.

Minęło tyle czasu, że nie zareagowała natychmiast na dźwięk nazwiska. Nie widząc żadnej reakcji, pokojówka ponownie ruszyła w stronę domu.

- Zaczekaj! - krzyknęła nagle Pete tak przeraźliwie, jakby służąca za moment miała nadebrać na granat. - Nie ruszaj telefonu! - Pędem rzuciła się do wnętrza, potrącając osłupiałą pokojówkę.

- Czy nie za późno na to, żebym wypluł to, co powiedziałem? - spytał, ledwie podniosła słuchawkę.

- Nigdy nie jedliśmy razem kolacji - odparła. - Myślę, że to byłaby dobra okazja...

Roześmiał się.

- Oglądałem zdjęcia tego cucuszka, które zrobiłaś dla gwiazdy ekranu. Zrobiło mi się okropnie głupio, że próbowałem cię...

- Nie ma sprawy. Gdzie jesteś? Jak się miewa Robby? Co wynalazłeś ostatnio? Czy moglibyśmy się spotkać? - Była zdumiona lawiną pytań, przychodzących jej na myśl, zdumiona tym, że tak bardzo zależy jej na jego odpowiedziach, a przede wszystkim natłokiem pytań, których nie ośmieliłaby się zadać bezpośrednio. (Czy myślałeś o mnie tak często, jak ja o tobie? Czy kochałeś się z jakąś kobietą od czasu naszego rozstania? Czy mój głos podnieca cię tak, jak twój głos przyprawia mnie o drzenie?)

Sobie również chciała zadać jedno pytanie. Jak to możliwe, żeby czuła taką bliskość wobec mężczyzny, którego nie widziała tyle czasu? Czy była aż tak spragniona miłości, że każdy mężczyzna zrobiłby na niej wrażenie?

W dzinsach, jedynych spodniach, jakie spakowała na weekend i pożyczonej od Jess granatowo-białej koszuli z wielkim kołnierzem, Pete stała na skraju niewielkiego lądowiska na obrzeżach Montauk, przyglądając się, jak jednosilnikowa Cessna przelatuje nad jej głową, zatacza koło, wreszcie schodzi gładko do lądowania. Ciemne włosy zebrała zwyczajną gumką, makijaż ograniczyła do minimum. Po godzinach tortur przed lustrem zdecydowała się na najskromniejszy wygląd, na jaki było ją stać. Niewiele wiedziała o Luke'u Sanfordzie, ale wystarczyło spojrzeć na jego ubranie, odrapany samochód czy usłyszeć reakcje na jakiegokolwiek wzmianki o biżuterii, aby domyślić się, że gustuje w prostocie i nie lubi zbędnych ozdób.

Samolot zrolował z pasu startowego w kierunku niewielkiego baraku terminalu. Pete czekała sama. Poprosiła Jess, żeby wróciła do domu - nie była pewna, czy nie wygłupi się w jakiś sposób przy powitaniu z Luksem.

Zaproponował jej spotkanie w sobotę. Wyjaśniła mu, że matka nadal jest w klinice i sobota jest dniem odwiedzin, na co zaproponował, że zabierze ją z lądowiska i podrzuci do Connecticut samolotem. Wzmianka o samolocie zaskoczyła Pete; jak

wiadomo, samoloty to zabawki dla bogaczy. Kiedy jednak zobaczyła to, czym po nią przyleciał, zmieniła zdanie.

Samolot był malutki i wyglądał jak sklecona naprędce makieta. Stery składały się z kawałków

polakierowanych na różne kolory, a kadłub miejscami świecił łatanami gołego aluminium. Pete zaczęła właśnie żałować, że zgodziła się na ten lot, kiedy samolot zatrzymał się i z kabiny wysiadł Luke Sanford.

W krótkiej skórzanej kurtce, spodniach koloru khaki i okularach lotniczych wyglądał jak wędrowny, napowietrzny ak-robata. Zeskoczył ze skrzydła i podszedł do niej. Taksowali się przez chwilę wzrokiem w milczeniu. Nic się nie zmienił, pomyślała. Ta sama gęstwina falujących, kasztanowych włosów, ten sam, nieco zbyt poważny, wyraz twarzy. Ta sama solidność. Bardzo cieszyła się, że go ponownie widzi, że nie straciła bezpowrotnie szansy na znajomość, jednak bała się powiedzieć to na głos, żeby nie posądził ją o czułość.

- Gdzie tym lataasz? W cyrku powietrznym? - spytała, patrząc w stronę samolotu.

- Może nie wygląda pięknie, ale przyskoczyłem nim tutaj z Kalifornii i zamierzam podrzucić cię, gdzie tylko zechcesz.

- Równie dobrze mógłbyś to zrobić samochodem.

Z uśmiechem wziął od niej torbę i poprowadził Pete do samolotu. - Nie wygląda na elegancką, kosztowną maszynę -

wyjaśnił Pete - ale jest absolutnie bezpieczny.

- Nie widzę powodu, dla którego miałyby się wyrzucać pieniądze na nowy samolot, skoro można poskładać części z paru starych gratów i mieć coś o wiele lepszego.

- Lepszego? - Spojrzała sceptycznie na Luke'a, niemniej weszła do środka, kiedy przytrzymał jej drzwi po strone pasażera, i po paru minutach byli już w powietrzu. Pewność, z jaką władał sterami, wkrótce uciszyła jej wątpliwości.

Samolot wznosił się coraz wyżej. Pete przez boczne okienko śledziła pejzaż w dole. Ziemia też jest klejnotem, myślała, klejnotem osadzonym we Wszechświecie. Rzuciła spojrzenie na Luke'a. Czuli się cudownie w powietrzu.

Czuli się cudownie w towarzystwie Luke'a.

W drodze do Connecticut opowiadał o swoim zamiłowaniu do awiacji.

- Pilotem zostałem w wojsku, latałem na samolotach obserwacyjnych, potem na helikopterach. Chciałem wynieść z Wietnamu chociaż jedną rzecz, którą bym lubił, dlatego me zerwałem z pilotażem.

Odpowiedział też na pytania, które zadała mu przez telefon. Robby jest z nim w Kalifornii. Wyzdrowiał na tyle, że mógł Luke'owi pomagać w prowadzeniu przedsiębiorstwa, które zajmowało się sprzedażą wynalazków Luke'a -

urządzeń elektronicznych o zastosowaniu medycznym, takich jak małe monitor serca, czy

mieszczący się na dłoni aparat do podstawowych analiz krwi.

Potem przeszedł do pytań, których nie zadała.

- Myślałem o tobie tak wiele, Pete. Czułem, że... źle wtedy pograłem. Taką miałem ochotę poznać cię lepiej, poopowiadać ci o sobie. Jednak dopuściłem do tego, żeby moje idiotyczne przesady popsęły wszystko.

Dziwne słowo, „przesady”, pomyślała.

- Powiedziałeś, że są pożyteczniejsze zajęcia na świecie niż projektowanie biżuterii. Myślę, że miałeś rację.

Powinna była docenić twoją szczerłość, zamiast unieść się dumą.

Potaknął.

- Ja z kolei powinienem był uważniej słuchać, z jaką pasją mówisz o swojej pracy. Dowiodłaś, że to zajęcie jest ci przeznaczone.

Czy rzeczywiście tę sprawę między nimi można było już uznać za załatwioną? Wciąż dziwiło ją, dlaczego użył

określenia „idiotyczne przesady”, żeby wyjaśnić ostrą reakcję na wiadomość o jej zawodzie.

Nie czuła się na siłach, by wgłębiać się w ten problem. Nie miała najmniejszej ochoty na kolejną kłótnię, która ponownie stworzyłaby między nimi przepaść. - Opowiedz coś o sobie - poprosiła.

Przeniósł wzrok na Pete, potem na krajobraz w dole.

- Mogę ci opowiedzieć, ale mogę ci też z powietrza pokazać moją autobiografię.

Pchnął stery do przodu. Samolot przechylił się na bok i zaczął

obniżać dziobem w stronę ziemi. - Tak się składa, że urodziłem się i wychowałem w Connecticut i w tej chwili właśnie lecimy nad terytorium Sanfordów. Dokładnie pod nami pływałem, jako młody chłopak, na żaglówce... dalej widać Stamford, gdzie dorastałem. A jeśli spojrzysz jeszcze dalej wzdłuż wybrzeża, zobaczysz New Haven, siedzibę mojej starej, pocziwej Alma Mater, Yale.

- Co studiowałeś? - zaciekała się. - O ile wiem, me ma takiego kierunku jak wynalazczość?

- Nie mogłem się na nic zdecydować. Zawsze interesowałem się elektroniką, ale ojciec wywierał na mnie naciski, żebym studiował coś, co przynosi pieniądze. W przeciwnym razie odmawiał płacenia czesnego. Zmęczyły mnie nie kończące się dyskusje na ten temat. Rzuciłem studia i wstąpiłem do wojska.

W jego głosie wyczuła nutę goryczy, którą słyszała już w przeszłości. Zmienił temat, prosząc, żeby

opowiedziała mu coś o swoich korzeniach.

Ziemia przesuwała się pod nimi, a Pete gładko i bez skrępowania snuła opowieść o przeszłości swojej rodziny. Coś kazało jej przemilczeć historię babki i jej drogocennych skarbów. Przeczynała, że nie znajdzie w nim wdzięcznego słuchacza. Jednak opowiedziała mu całą resztę - o tym, jak ojciec przyплыł do Stanów, jak poznali się jej rodzice, o rozbitym diamencie i tragicznych skutkach tego wypadku dla całej rodziny. Przerywał jej od czasu do czasu, dopytując się o jakieś szczegóły, szczerze przejęty historią. Zdawała sobie jednak sprawę, że gładko prześlizgnął się nad historią swojej rodziny

i im dłużej opowiadała mu o sobie, tym mniejszą miała szansę, żeby dowiedzieć się czegoś o nim.

Przelatywali nad wybrzeżem, odrobinę na wschód od terenów kliniki, kiedy z powrotem udało jej się zvekslować rozmowę na jego temat.

- Opowiedziałam ci niemal o wszystkim, czemu zawdzięczam to, że jestem tym, kim jestem. A co z tobą? Jak dochodzi do tego, że ktoś zostaje wynalazcą?

- Wynalazczość - odparł - polega na stwarzaniu czegoś nowego, czegoś, czego dotąd nie było. Być może pociągało mnie

to, ponieważ było tak wiele rzeczy, które nie podobały mi się w moim własnym wychowaniu, w stylu życia moich rodziców i oplakanych tego skutkach. Właściwie zaczęło się od postanowienia, że powinienem odnaleźć nowe życie dla siebie...

- Czy to wszystko rzeczywiście było aż takie straszne, Luke? Wspominałeś o własnej żagłowie, a Stamford z lotu ptaka wygląda na bardzo przyjemne miejsce.

- Chowałem się wśród licznych zabawek, Pete - uśmiechnął się lekko, ale uśmiech tylko pogłębił smutek na jego twarzy

- i w niejednym bardzo przyjemnym miejscu. W Stamford mieszkaliśmy do rozwodu rodziców. Później mieszkałem z matką, aż do jej śmierci.

- Gdzie?

Zawahał się, po czym jeszcze raz łagodnie skierował samolot dziobem w dół.

- Właśnie tu - powiedział cicho, patrząc przed siebie.

Trzysta metrów pod nimi Pete zobaczyła piękną białą rezydencję, przed którą rozciągał się długi, sięgający aż do plaży trawnik. Wokół rozrzucone były liczne mniejsze budynki.

Choć tyle razy widywała ten budynek z ziemi, zmiana perspektywy była tak drastyczna, że dopiero po dłuższej chwili uświadomiła sobie, że patrzy na klinikę Cole'a-Haffhera.

Luke przed startem zamówił taksówkę, która teraz czekała na odległym o dwadzieścia minut jazdy od

kliniki lądowisku.

W drodze do kliniki uzupełnił brakujące szczegóły. Sanford było nazwiskiem jego ojca, Cole - matki. Matka nigdy nie wydawała się zbyt szczęśliwa, wspominał, kto wie jednak, czy jej stan nie był po prostu wynikiem braku odwagi.

Cierpiała na depresję, ponieważ pozwoliła się uwięzić w konwenansach przypisanych jej klasie i przytłoczyć bezwartościowym obowiązkom, jakie narzucało bogactwo - w rodzaju posiadania i zarządzania kilkoma domami czy wydawania przyjęć na cześć współników męża i zaprzyjaźnionych bankierów.

- Czy chciała robić coś innego? - spytała Pete.

- Nigdy się nad tym nawet nie zastanawiała - wyjaśnił.

- A w każdym razie nikt o tym nic nie wiedział. Ona po prostu...

pozwalala sobą sterować mechanizmom bogactwa, dawała się obsługiwać, nigdy nie kiwnęła palcem nawet na tyle, żeby przystrzyc żywoplot czy oplewić klomb. Kiedy popełniła samobójstwo, wszyscy uznali, że przyczyną była choroba umysłowa, ale ja czasami mam wrażenie, że po prostu zanudziła się na śmierć.

Pomysł, żeby po jej samobójstwie przeznaczyć posiadłość i pewien fundusz na wyposażenie zakładu dla chorych umysłowo, pochodził od Luke'a.

- Byłem wtedy w Wietnamie i na nic mi była ta wielka, biała kolubryna, zresztą i tak nie miałem zamiaru w niej mieszkać. U Robby'ego właśnie zaczynała się choroba, trzeba się nim było w jakiś sposób zająć. Pomyślałem, że to będzie najlepszy pomnik dla mojej matki - coś użytecznego. Nigdy nie żałowałem tej decyzji.

Teraz wiedziała, co rozumiał mówiąc o „idiotycznych przesadach”, które ich skłóciły. Nie ufał bogactwu ani luksusom.

Taksówka dowiozła ich do drzwi kliniki. Zanim weszła do środka, Luke chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie.

Poczuła ciepło bijące od niego.

- Kiedy widzieliśmy się poprzednim razem, przeżywałaś ciężkie chwile ze swoją matką - wyszeptał jej do ucha. - Nie była to odpowiednia chwila, żeby ci opowiadać o moich własnych problemach, zamiast tego powiedziałem ci coś, co cię do mnie zniechęciło. To było strasznie głupie z mojej strony, bo kocham cię od pierwszego wejrzenia.

Pamiętasz...? - Skinął głową w stronę plaży.

- Pamiętam - powiedziała łagodnie, opierając się o jego barczystą pierś. - Wtedy myślałam, że jesteś pacjentem.

Odsunął się i z uśmiechem zajrzał jej w oczy.

- Czasem wydaje mi się, że rzeczywiście jestem chory na umyśle. Musiałem mieć źle w głowie, żeby tak długo zwlekać z telefonem do ciebie. Ale bałem się...

- Bałeś się?

- Pomyśl tylko, w jakich okolicznościach poznaliśmy się... Znaleźliśmy się tutaj oboje, ponieważ jesteśmy dziećmi kobiet, które straciły poczucie rzeczywistości. Chwilami obawiam się, że mogłem odziedziczyć tę skłonność. Nie chciałem obciążać czymś takim kobiety, którą kocham. Nigdy nie wątpiłem w moją miłość do ciebie, wątpiłem natomiast, czy potrafiłbym cię uszczęśliwić, tak jak inni mężczyźni. Dlatego właśnie trzymałem alę z dala od ciebie, tak długo jak potrafiłem. Kiedy jednak zobaczyłem Oko Miłości, nie mogłem już dłużej wytrzymać. W tym klejnocie zawarła się cała twoja zmysłowość, widać to nawet na zdjęciu.

Pomyślała, że jego oczy mają świetlistą szarość, jak chmury, kiedy po burzy zaczyna przebijać przez nie słońce.

Czuła, że w tej chwili są ze sobą, dla siebie.

Spojrzał na drzwi kliniki.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? - zapytał.

Potrząsnęła przecząco głową. W ciągu ostatnich paru miesięcy Jej matka była w fazie mekomunikatywnej. Nie widziała powodu, dla którego Lukę miałby się męczyć.

Wyjaśnił jej, że na obrzeżach posiadłości znajduje się dawny domek ogrodnika, do którego zachował prawo własności.

- Będę tam czekał na ciebie - zapowiedział, wskazując prowadzącą do domku ścieżkę.

Uomek, miniaturka kolonialnego dworku, był śliczny jak z obrazka. Na parterze mieściło się zaledwie parę pokoi, płot gęsto oplatały róże, wspinały się też po narożnikach, aż pod niski okap dachu.

Kiedy Pete dotarła na miejsce późnym popołudniem, zastała drzwi otwarte. Weszła i zobaczyła, że cała podłoga salonu zastawiona jest pudłami papierów i książek. Wsadzała głowę w kolejne drzwi z nadzieją, że znajdzie Lukea.

Za jednymi drzwiami znalazła niewielką sypialenkę, pięknie wytapetowaną materiałami w wiejskie wzorki i umeblowaną we wczesno-kolonialnym stylu. Drugie drzwi prowadziły do kuchni.

Lukę wyszedł z jeszcze innych drzwi, na drugim końcu salonu, niosąc naręczę dokumentów.

- Pakujesz się? - spytała, starając się, żeby zabrzmiało to obojętnie. Przeraziło ją, że w chwili, kiedy byli o włos od związania Sie ze sobą, wyrывa do końca korzenie na Wschodnim Wybrzeżu.

- Przed chwilą doktor Haffher powiedział mi, że klinika potrzebuje nowych pomieszczeń. Nie chcę do końca pozbywać

się tego domu, ale obiecałem, że będą mogli z niego korzystać. Prawie już tutaj nie bywam.

Uświadomiła sobie, że mieszka w Kalifornii. Odepchnęła jednak myśl, że mogliby nie być razem.

W końcu był z nią teraz.

- Jak ci poszło z matką? - spytał, wkładając do pudła papiery.

- Chyba troszkę jej się poprawiło. Jednak czasem obawiam się... - Potrząsnęła głową, nie kończąc zdania.

- Obawiasz się, że nigdy już stąd nie wyjdzie - dokończył za nią. Odwrócił się do niej, otrzepując ręce z kurzu.

Nareszcie z jej oczu popłynęły łzy. Tyle razy już miała ochotę rozplakać się po widzeniu z mamą, ale nie było nikogo, kto mógłby ją pocieszyć... Dziś miała przy sobie Lukea. \

Nie sprawił jej zawodu. Podszedł i wziął ją w ramiona.

- Wypłacz się - powiedział. - Dobrze wiem, jak się czujesz. Przytuliła się do niego, a on trzymał ją w objęciach. Tak, kto

jak kto, ale Luke z pewnością rozumiał jej bolesną przeszłość.

Kiedy już wypłakała wszystkie łzy, okazało się, że pierwsze ukojenie nie wyczerpuje bynajmniej jej pragnień.

Uniosła twarz. Spojrzał na nią z góry z uśmiechem. Wtuliła się w Luke'a, a on nachylił się i pocałował ją w usta, leciutko obrysowując ich kontur językiem. Przez chwilę napawała się tą łagodną pieśczołą, ale zaraz, z nieznaną siłą i gwałtownością, targnęło nią pożądanie.

- Weź mnie, Luke - wyszeptwała.

Odpowiedział na jej prośbę bez wahania i zbędnych słów. Nie odrywając warg od jej ust porwał ją na ręce i zaniósł

do sypialni. Ciasno spleceni ze sobą dokonywali akrobacji, żeby pozbyć się ubrań. Nigdy jeszcze nie zaznała pożądania równie bezwzględного i wszechogarniającego, a widząc, jak Luke dotrzymuje jej kroku, miała prawo sądzić, że przeżywa to samo. Przesiane przez liście drzew złote światło późnego popołudnia sączyło się przez zasłony okienne. Pokój zdawał się żarzyć od ich namiętności.

Nareszcie byli nadzy. Dotyk jego skóry sprawił, że jęknęła z rozkoszy, zanim jeszcze przybliżył usta do jej sutek, po czym zaczął całować dolinę między piersiami, całować brzuch, uda,

wreszcie delektować się jej sokiem. Poczwała, że jej wytrzymałość dobiega kresu.

Wsunęła mu ręce pod pachy i pociągnęła do góry, dając znać, że pragnie go na sobie, w sobie. W chwilę później wślizgiwał się już w nią, spiesząc, aby osiągnąć jej rdzenia.

Kiedy zachwycająco w niej nurkował, wydała radosny okrzyk i popłynęli wartkim strumieniem, na przemian płonąć żywym ogniem, to znów zaznając ukojenia, bombardowani eksplozjami rozkoszy.

Po raz pierwszy w życiu czwała, co to jest miłość. Wznosili się na szczyt jednocześnie, potem zapadli w drzemkę i znowu kochali - aż do nocy.

- Pietra - wyszeptał w ciemnościach, pieszcząc jej ciało. Sposób, w jaki wymawiał jej imię, zdradzał, że bardzo ceni sobie jej niezwykłość i pragnie dostąpić tajemnic związanych z jej pochodzeniem.

W końcu pojechali coś zjeść. Kolacja z wyśmienitych befsztyków w tym samym zajeździe, który opuścili w gniewnym pośpiechu przed pół rokiem, wydała im się obojgu rytuałem, który w przyszłości mógł ustrzec przed kolejnymi idiotycznymi nieporozumieniami. Przy obiedzie zapytał o jej imię, a ona zaczęła opowiadać mu historię La Colomby.

- Dostałaś imię po jednej z największych kurtyzan Europy? - stwierdził lekko zaszokowany.

- Czyżby niepokoił cię mój rodowód?

- Czemuż, u diabła, miałby mnie niepokoić? Moi przodkowie zdobyli majątek w sposób daleki od uczciwości, więc mogę się pocieszać myślą, że jesteśmy uszlachetnioną odmianą podobnego gatunku.

Pete była przekonana, że mówi szczerze, jednak nagle poczuła się nieswojo na myśl o podziwiew, jakim darzyła swoją babkę i nie wspominała już o niej więcej, przemilczając również historię jej klejnotów.

Wracali do Nowego Jorku pod rozgwieżdżonym niebem, lądując tym razem na lotnisku dla awionetek w pobliżu La Guardii. Pete wsiadła z Luke'em do taksówki i razem pojechali do miasta, pod adres, który Lukę podał szoferowi.

Nie pytała go, dokąd ją wiezie. Najważniejsze, że znała odpowiedź na jedno pytanie: czy się kochają. Spokojnie czekała na dalszy rozwój wypadków.

Taksówka zatrzymała się przed ponad stuletnim domem z czerwonej cegły o zielonych okiennicach, przy Grove Street w Greenwich Village. Dom należy do niego, wyjaśnił, kiedy wchodzili po schodkach *dq* bramy, dopiero przed paroma miesiącami wynajął go przyjacielowi.

- Nie byłem pewien, czy zostanę w Kalifornii - w każdym razie do dzisiaj nie byłem pewien.

Wnętrze domu umeblowane było uroczą zbieraniną gratów wszelkiego rodzaju. Dębowe antyki stały w sąsiedztwie stolików, których blaty [^]bpieraly się na starych kadziach do fermentacji win. Indiańskie makatki wisiały na ścianach obok kurków z nowoangielskich wież. W saloniku od frontu,

naprzeciw kominka, stała skórzana sofa koloru starego wina, a obok niej stoliczek z tafli szkła, opartej na kawałku pnia wyłowionego z morza. Wszędzie poniewierały się sterty książek. Ten dom, pomyślała z radosną ulgą Pete, wskazuje na obecność mężczyzny o oryginalnym guście, a zarazem brak kobiecej ręki, która wprowadziłaby ład i nadała całości bardziej dekoracyjny charakter.

- Myślisz, że mogłabyś się tutaj zdomowić?

- Już się zdomowałam.

- To świetnie. Bo właśnie zwracam się do ciebie z oficjalną prośbą, żebyś zechciała się wprowadzić.

Zawahala się.

- Czy to nie za wielki pośpiech, Luke?

- Chętnie zastosuje się do tempa, które narzucisz, Pete. - Objął ją. - Jednak ja osobiście poczynalem sobie bardzo ślamazarnie. Choć zakochałem się w tobie już wiele miesięcy temu, byłem do tego stopnia zadufany, że nie chciałem się do tego przyznać, nawet przed sobą.

- Proszę, nie mów o tym teraz. - Przytknęła dłoń do jego policzka.

- Dobrze. W każdym razie byłem niemądry. Teraz jednak chciałbym nadgonić stracony czas. Czy zamieszkaż tutaj?

- Chyba będę musiała - zgodziła się - bo w każdym innym miejscu umarłabym z tęsknoty.

Rozdział dziesiąty

Pod koniec lata Pete zaczęła się niepokoić. Czy sielanka może trwać w nieskończoność? Od miesięcy - przez całą wiosnę i lato - od kiedy spotkała Luke'a - wszystko wydawało się aż nazbyt łatwe, zbyt doskonałe. Gdy zamieszkali razem, całe jej życie nabrało sensu i harmonii.

Z chwilą, gdy zapewniła Josefa, że nadal będzie opłacać czynsz za ich mieszkanie, pogodził się z myślą o jej przeprowadzce. Niewątpliwie sprawiała mu przyjemność świadomość, że o jego piękną wnuczkę troszczy się teraz inny mężczyzna, jednak ogólnie jej sytuacja życiowa nie zachwycała go.

- Skoro go kochasz i on ciebie kocha, *schatje*, dlaczego nie chcecie się *getrouwd*?

- Jestem pewna, że to coś bardzo przyjemnego, Opa - droczyła się z nim - ale nie mogę tego zrobić, bo nawet nie wiem, co to...

- Pobrać! Powinniście zostać mężem i *vrouw*.

Szybko jednak się poddał, kiedy Pete cierpliwie wyjaśniła mu realia współczesnego życia. Chciała pracować, a nie bawić dzieci - nie było żadnego powodu, żeby brać ślub.

- A poza tym - drażniła się z nim naumyślnie - jak mogę poślubić mężczyznę, którego prawie nie znam!

Co, w kategoriach obiektywnych, było prawdą. Jednak oboje z Luke'em znakomicie pasowali do siebie. Wkrótce odkryli, że wszystko prawie lubią robić razem - gotować w wielkiej kuchni przy Grove Street, spędzać wieczory w domu, odbywać weekendowe eskapady samolotem Luke'a. W lecie latali na przylądek Cod, do Maine i Nowej Szkocji. Uwielbiali wspólne wyprawy i Luke zaczął przebąkiwać o podróży do Europy gdzieś w okolicach późnej jesieni, kiedy oboje będą mieli trochę czasu. Pete wyrobiła sobie paszport.

- Natomiast, latem - wyznał - przelecimy nad całym wybrzeżem, kochając się.

- Czemu nie powiesz po prostu, że masz zamiar przelecieć mnie nad całym wybrzeżem? - zażartowała.

Kolejną przyczyną która powodowała, że tak bardzo odpowiadał jej ich związek, byli przyjaciele Luke'a. Luke spraszał licznych znajomych do domu przy Grove Street - kumpli ze służby w Wietnamie, kolegów z uniwersytetu, a nawet kilka par złożonych ze swoich byłych dziewczyn i ich aktualnych partnerów. Pete zaprosiła Charlie'ego i Jess, którzy zadomowili się natychmiast. Wszyscy razem tworzyli różnorodną, wesołą gromadę - był wśród nich adwokat, nauczyciel wychowania fizycznego z liceum w New Jersey, pisarka, aktor na progu teatralnej kariery. Schodzili się na Grove Street pogadać, zjeść coś, czasem pograć w pokera. Mieli wszyscy jedną wspólną cechę: nie dbali o pieniądze. Co nie znaczy, że źle im się wiodło. Od Luke'a wiedziała, że niektórzy z nich byli nawet całkiem zamożni.

Nie popisywali się swoim bogactwem. Wszyscy na co dzień byli zapracowani, żyli prosto, nie mieli ekstrawaganckich wozów. Kobiety ubierały się bardzo zwyczajnie i - co szczególnie zwróciło uwagę Pete - nie nosiły prawie żadnej biżuterii.

Luke nigdy nie wracał do sprawy jej zawodu, a ona przekonywała samą siebie, że tworzenie piękna jest przecież wartościowym celem. Co dzień wyjeżdżała do warsztatu pełna entuzjazmu dla projektu, nad którym akurat pracowała.

Po przeanalizowaniu propozycji, jakie otrzymała na pierwszej fali rozgłosu Oka Miłości, zdecydowała - również dlatego, że pozostawiało jej to więcej czasu na przebywanie z Lukeem - nie przyjmować żadnych propozycji reklamowych ani nie wiązać się z żadną firmą, a jedynie przyjmować najbardziej interesujące prywatne zamówienia.

Pewien książę saudyjski przysłał przez umyślnego diament, który chciał oprawić dla jednej z wielu żon. Parę hollywoodzkich osobistości dawało Pete *carte blanche*, pod warunkiem, że zrobi coś, co zaćmi klejnot Lyli.

Dzwoniły

żony multimilionerów z zaproszeniem na lunch w Le Cirque czy w Cote Basque, gdzie rzucały na obrus przed Pete słynne klejnoty, z prośbą, by zechciała je łaskawie obejrzeć.

Przyjmowała zamówienia, które zapowiadały się interesująco, skłaniając się do osób o zdecydowanych gustach, które zarazem nie bały się jej zaufać. Kiedy pewniej stanęła na nogach, zaczęła zatrudniać Josefa, wykorzystując go do wyszukiwania drobniejszych kamieni, do oprawy większych klejnotów, przekazanych przez klientów. Miała też sekretarkę, która zajmowała się jej korespondencją, rachunkowością i przyjmowaniem telefonów. Osobą tą był nie kto inny, tylko Lottie, która coraz gorzej znosiła pracę pod biczem Andrei w kieracie Duforta & Iveresa, aż wreszcie zatelefonowała do Pete z prośbą o pracę.

Oprócz obowiązków sekretarki Lottie wzięła na siebie jeszcze jedną sprawę - zbadanie życia La Colomby. Pete nigdy do końca nie przestała myśleć o tym, co mogło się stać z legendarną kolekcją. Flakonik trzymała teraz w sejfie, w swoim gabinecie, wraz z kamieniami; często wyjmowała go, żeby pooglądać przez chwilę, fantazując na temat zaginionych klejnotów. Lottie zobaczyła któregoś dnia flakonik i Pete opowiedziała jej całą historię. Lottie podjęła się sprawdzenia wszelkich możliwych informacji. Liczne listy wysłane do zagranicznych bibliotek i redakcji czasopism przyniosły skąpy plon w postaci paru wyblakłych fotografii sprzed pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu lat.

Jednak pokazywały La Colombę w pełni rozkwitu jej urody i, nieodmiennie, w biżuterii ze słynnej kolekcji; bajeczne kolczyki, naszyjniki ociekające od drogich kamieni, tiara, broszki - słały refleksy w świetle lamp błyskowych.

Dała się porwać magii blichtru życia swojej babki do tego stopnia, że którejś nocy, kiedy leżeli w łóżku, zdradziła całą historię Luke'owi. Jego reakcja zaskoczyła ją. Zareagował inaczej, niż się spodziewała. Był szczerze zdegustowany faktem, że ktoś mógł kupczyć ciałem w zamian za czcze luksusy, garść bezwartościowych świecidełek.

Tak gwałtownie wyrażał głęboką odrazę do podobnego procederu, że nigdy już nie podjęła tego tematu, jednak poszukiwań nie zaniechała. Niestety, spłowiełe, czarno-białe fotografie nie pozwalały stwierdzić, czy ciemniejsze kamienie były czerwone, niebieskie, czy zielone, a ich oprawa nie była aż tak unikalna, żeby można było próbować je tropić na podstawie samego tylko opisu. Zdaniem Pete istniała jednak szansa rozpoznania któregoś z nich - pod warunkiem, że lata temu nie został rozebrany na części. Szansa była niewielka, ale Pete poprosiła Lottie o kontynuowanie poszukiwań. Któregoś dnia mogły wpaść na wyraźniejszy trop.

Kiedy Pete wyjeżdżała do warsztatu, Luke dłużył w laboratorium elektronicznym, które zorganizował w piwnicy domu. Z czasem zorientowała się, że jego praca polegała na usprawnianiu mikrozespołów, mających zastosowanie głównie w aparaturze medycznej. Kalifornijskie przedsiębiorstwo zajmujące się wynalazkami Luke'a niewątpliwie prosperowało pomyślnie pod zarządem Robby'ego. Jednak raz w miesiącu, przynajmniej na tydzień, musiał lecieć w sprawach służbowych na Zachodnie Wybrzeże.

Coraz gorzej znosiła jego wyjazdy. W październiku wrócił w piątek z podróży, która przeciągnęła się o kilka dni dłużej, niż planował. Tej nocy Pete była nienasycona. Nie wypuszczała Luke'a z siebie, podniecała go, oddając mu się na wszelkie możliwe sposoby.

- Zaczynam wierzyć, że tęskniłaś za mną - powiedział w końcu nad ranem, kiedy zaspokojeni legli bez sił.

- Gorzej - przyznała - tęskniłam za twoją kuchnią. - Roześmiał się. Przytuliła się mocniej. - Nie chcę się więcej już rozstawać z tobą, Luke. Nie mógłbyś tutaj przenieść swojej firmy?

Już kiedyś wyjaśniał jej, dlaczego jego wybór padł akurat na Kalifornię - miał tam dostęp do wielu współpracujących ze sobą towarzystw handlowych, a to, we wstępnej fazie, było poważnym ułatwieniem. Teraz jednak, skoro przedsiębiorstwo sprawnie funkcjonowało, nie potrafiła dostrzec powodu, dla którego nie mogłoby mieć siedziby w dowolnym miejscu. W końcu jego klientela rozsiana była po całym świecie.

Jej sugestia spotkała się z długim milczeniem.

- Wyobraź sobie, że ja zadaje ci takie samo pytanie. Musisz tylko przenieść swój warsztat i worek kamieni.

Poszłabyś na

coś takiego? Na pewno znalazłaby się tam klinika dla twojej matki, a dziadkowi mogłoby się to też całkiem spodobać

- dodał, uprzedzając jej zastrzeżenia.

- Nie wiem, czy mieliby ochotę na taką zmianę.

- Zawsze będą chcieli być tam, gdzie ty będziesz.

- Sama nie wiem - oświadczyła. - Czuję się tutaj tak zadowolona. A ty nie?

Potaknął z uśmiechem.

- Ja też nie lubię być daleko od ciebie. Spróbujmy czegoś innego. Pojedziesz ze mną. Nigdy nie wpadłaś tam nawet na chwilę.

- Siedzę po uszy...

- W kolczykach - dokończył. - Następnym razem pojedziesz ze mną. Może się okaże, że tam też poczujesz się zadowolona. To jak, jesteśmy umówieni?

- Pod warunkiem, że mi pokażesz jeszcze raz, jak bardzo lubisz wracać do domu - wymruczała przyciskając się do niego nagim ciałem.

Następna podróż Lukea na Zachodnie Wybrzeże zaplanowana została na pierwszy tydzień listopada. Pete poukładała swoje sprawy tak, żeby mieć czas w tym okresie. Rozwiązanie problemu, jak skończyć z ciągłymi rozstaniem, wydało jej się pierwszym krokiem w planowaniu przyszłości z Luke'em. Mimo że wykręcała się przed dziadkiem prostotą współczesnych obyczajów, chwilami nachodziły ją fantazje na temat małżeństwa i założenia rodziny.

W piątek wczesnym popołudniem zbierała się do wyjścia z warsztatu. Już miała jechać do domu i

przygotować się do wieczornego lotu do Kalifornii, kiedy zadzwonił telefon. Lottie wyszła na lunch, więc Pete oderwała się od warsztatu i odebrała sama.

- Chciałbym mówić z panną D'Angeli - oświadczył, zacinając się z brytyjską, głos po drugiej stronie.

- Pietra D'Angeli przy telefonie.

- Panno D'Angeli, mówi John Utter. Dzwonię z Paryża. Jestem osobistym sekretarzem Jej Wysokości księżnej Windsoru.

Pete przez chwilę zabrakło tchu. Księżna słynęła z tego, że była jedną z najzagorzalszych kolekcjonerek biżuterii na świecie.

- Jej Królewska Wysokość zapoznała się z pani wyrobami i jest zainteresowana spotkaniem w celu omówienia ewentualnego zamówienia u pani. Czy może pani przyjechać do Paryża?

- Z pewnością uda mi się odpowiednio ułożyć moje sprawy - odpowiedziała, z trudem powstrzymując okrzyk triumfu. - Jaki termin pan proponuje?

- Pojutrze.

Umilkła, szukając odpowiednich słów. Nie chciała rezygnować ze wspólnych planów z Luke'em, ale nie miała pojęcia, w jaki sposób zwykły śmiertelnik targuje się o opóźnienie stawienia się na rozkaz samej księżnej Windsoru.

- Obawiam się, panno D'Angeli, że w tym przypadku czas odgrywa bardzo istotną rolę - oświadczył Utter, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. - Nie mogę pani teraz wyjaśnić wszystkiego, jeżeli jednak propozycja interesuje panią, musi się pani stawić w granicach dwóch, trzech dni.

- Cóż, wobec tego przyjadę pojutrze - zgodziła się natychmiast.

- Świetnie. Czy mogę się pani spodziewać o dwunastej w południe?

Potwierdziła, a następnie wysłuchiwała wskazówek, jak dotrzeć do domu księżnej przy Bois de Boulogne.

Odłożyła słuchawkę i dała się ponieść fali fantazji na temat nadchodzących dni. Pierwszy raz w Paryżu! Spotkanie z legendarną kobietą. Tajemniczy pośpiech. Tryskając energią, krążyła po warsztacie.

Nagle stanęła. Jak Lukę odniesie się do zmiany ich planów? No cóż, nie może jej nie zrozumieć. W jej zawodzie tego rodzaju propozycja była szczytem osiągnięć.

Po powrocie do domu natychmiast udała się do piwnicy. Otoczył ją labirynt metalowych szafek pełnych szybkołączących komputerów i urządzeń kontrolnych. Był wśród nich nawet miniaturowy laser do rysowania obwodów drukowanych, które Lukę opracowywał na własny użytek. Ilekroć schodziła na dół, zawsze zaskakiwało ją, jak niewiele rozumie z tego, czym Lukę się zajmuje.

Przeraziła ją nagle ta myśl. Czy możliwe było prawdziwe zbliżenie w sytuacji, kiedy oboje nie rozumieli nawzajem swoich najgłębszych zainteresowań?

Zastała go przy komputerze. Przystanąła, w milczeniu przyglądając się, jak palce Luke'a przebiegają po klawiaturze, a na ekranie monitora powstaje zawiły szkic, rotujący w trójwymiarowej symulacji.

- Cześć, kochanie - powitał ją w końcu, nie odrywając oczu od ekranu. - Zaraz skończę. Powinniśmy zacząć się pakować.

- Lukę, nie mogę jechać.

Zaskoczony podniósł wzrok, po czym odchylił się od monitora składając ręce na piersi. Czekał w milczeniu na dalsze wyjaśnienia.

Powiedziała mu o telefonie sprzed paru godzin.

- I to ma być ważniejsze od wyjazdu ze mną? - spytał, sznurując usta.

- Wcale nie jest ważniejsze - zaprotestowała. - To jest jednak dla mnie bardzo ważna szansa. Będziesz leciał do.

Kalifornii w przyszłym miesiącu i jeszcze za miesiąc. Polecę wtedy z tobą. Albo, jeśli naprawdę zależy ci, żebyśmy byli razem, polec ze mną. Wolę lecieć z tobą do Paryża niż...

- Mam własne zobowiązania - uciał. Wstał z krzesła i podszedł do niej. - Wiesz dobrze, że nie chodzi o to tylko, żeby być razem przez tydzień. Rozstrzyga się nasza wspólna przyszłość. Dziwię się, że jest dla ciebie coś ważniejszego.

- Bo też nie ma.

- Ale, twoim zdaniem, to może poczekać.

- To tylko kilka dni! - krzyknęła. - Lukę, czy musisz tak wszystko komplikować? - Nie skończyła jeszcze mówić, a już poczuła, że wdepnęła na grząski teren.

- Ponieważ - odkrzyknął - nie rozumiem, jak możesz coś takiego stawiać przed naszymi planami? Do diabła, Pete, czy to takie ważne, żeby cholerna księżna Windsoru zdobyła jeszcze jedno świecidełko, które dołoży do szkatuły z biżuterią? Nie obchodzi mnie, kim ona jest ani jej bogactwo i sława. Po prostu usiłuje nabyć za swoje pieniądze parę chwil egoistycznej przyjemności, i tyle.

- Może wobec tego nie ma żadnego znaczenia, że ktoś namalował Monę Lisę, albo w bryle marmuru wyrzeźbił

Venus z Milo. Jak jest użyteczność tych dzieł? Lukę, jeśli nie potrafisz dostrzec wartości tego, czym ja się zajmuję, to znaczy, że mnie również lekceważysz.

Chwycił ją mocno za rękę.

- Nic podobnego, Pete. Kocham cie.

- A czym jest miłość, według ciebie? Paroma chwilami egoistycznej przyjemności? - spytała z goryczą.

Przez chwile patrzyli na siebie, po czym Pete wyrwała się z uścisku i poszła na górę przygotować się na spotkanie z Paryżem jesienią.

Przybyła do Paryża w sobotę późnym rankiem, po całonocnym locie z Nowego Jorku. Z lotniska udała się prosto do uroczego hoteliku na Lewym Wybrzeżu, który poleciała jej Jess. Prawdę mówiąc, telefon do Jess, w celu poplotkowania o „tajnej misji” - i wyłakania się na temat kłótni z Luke'em - przysłużył się Pete na wiele sposobów.

- Chętnie ci powiem parę rzeczy o Jej Królewskiej Niemożliwości, które mogą ci pomóc. Widziałam ją parę razy w akcji.

- Naprawdę?

- Moi rodzice mają z nią wspólnych przyjaciół, właścicieli domu na Karaibach. Osiem czy dziewięć lat temu byliśmy do nich zaproszeni w tym samym czasie. Kto raz spotka! Wally, ten jej nigdy nie zapomni.

Jess rozgadała się na temat sposobów, którymi można było zaskarbić sobie łaski księżnej. Była próżną kobietą, nieustająco żądną pochlebstw. Lubiła, jeśli się było miłym dla jej psów, bo traktowała je jak własne dzieci. Ceniła sobie bardzo, jeśli ktoś zwracał się do niej per „Wasza Wysokość” i składał niski ukłon przy prezentacji - zapewne dlatego, że nie była do tego protokolarnie upoważniona. Nie wzięła do ręki banknotu, który nie był nowy i świeży, dopóki nie wyprasowała go jej pokojówka.

- Żartujesz! - obruszyła się Pete.

- Zapewniam cię, że nie trzeba wymyślać nieprawdopodobnych historyjek, opowiadając o księżnej Windsoru.

Pete nie sądziła, żeby miała okazję do wręczania księżnej pieniędzy, jednak na pewno warto było poznać dziwactwa tej kobiety, by uniknąć w porę wszystkiego, co mogłoby niekorzystnie wpłynąć na wzajemne stosunki.

W drodze na lotnisko Pete wpadła do paru księgami i pierwszy dzień w Paryżu spędziła wertując stos biografii księżnej. Wyszła tylko raz do sklepu firmowego Cartiera, w którym książe Windsoru zwykł był zamawiać dla żony biżuterię z okazji urodzin i rocznic ślubu, oraz do paryskiej filii Duforta & Iveresa, po której buszowała przez chwilę z sentymentalnej ciekawości.

W ogóle nie ciągnęło ją do zwiedzania. Migawkowe widoki Wieży Eiffla, Sekwany czy Notre Dame, których nie dało się uniknąć podczas jazdy taksówką z lotniska, tylko pogłębiały jej melancholię. Paryż był miastem kochanków, jeśli wierzyć pieśniarzom i poetom. Powinna zatem przyjechać tutaj pierwszy raz w towarzystwie Luke'a.

Przepraszał ją, kiedy zadzwoniła z lotniska Kennedy'ego tuż przed odlotem do Paryża, ale wiedziała, że problem, niestety, nie został raz na zawsze pogrzebany. Lukę nigdy nie będzie zdolny pokonać specyficznej odrazy, jaką wzbudzało w nim bogactwo i jego destrukcyjne właściwości. W jego mniemaniu bogactwo odebrało życie jego matce. Nie był na tyle nierozsądny, żeby w przyływie skruchy wyrzec się wszelkich dóbr materialnych, ale wiadomo było, że większość dochodów przeznacza zawsze na cele społeczne i dobroczynne, a nie na luksusy. Tak więc, na samym końcu, mogła nieodwracalnie poróżnić ich nie tyle różnica światopoglądów i systemów wartości, ale to, co najbardziej w nim kochała - jego prawość, jego uczciwość wobec niej, jego całkowity brak życiowego egoizmu.

W niedzielę rano Pete wdziała skromny, czarny kostiumik - strój, który nie miał najmniejszej szansy zaćmić ubioru księżnej - i bez cienia ekstrawagancji ściągnęła włosy do tyłu. Rzuciła krytyczne spojrzenie w lustro i ostatecznie zaakceptowawszy swój wygląd, ruszyła z pokoju powtarzając pod nosem litanię:

- Ukłon, psy, pochlebstwa... ukłon, psy, pochlebstwa... W pół godziny później taksówka przejechała przez wysoką bramę z kutego żelaza na obrzeżach Bois de Boulogne, i Pete

wysiadła na dziedzińcu wielkiego domu o prostej bryle, którego jedyną ozdobą była kamienna balustrada na dachu.

Drzwi otwarł siwowłosy Georges Sanegre, stary lokaj księżnej. Wysoki i prosty jak trzcina, w stosownych do porannej pory prążkowanych spodniach i fraku, usłyszawszy nazwisko Pete, natychmiast wprowadził ją do domu.

Zaledwie przekroczyła próg, obskoczyła ją trójka ujadających mopsów o szaroczarnych pyskach i płowej podpalanej sierści. Pieski wypadły z głębi domu; łapy rozjeżdżały się im na marmurowej posadzce hallu. Wystrojone w wysadzone diamentami obróżki z futra norek, roztaczały wokół zapachy perfum Diora.

Lokaj wskazał na księżę, spoczywającą na marmurowym stoliku.

- Proszę panią o łaskawe wpisanie nazwiska, żebyśmy mogli przejść do salonu.

- Wzrok Pete padł na stojącą obok księżki czerwoną skórzaną szkatułę z wytłoczonym złotymi literami napisem: KRÓL. Dreszcz emocji przebiegł ją na widok reliktu minionej epoki.

Z urzędzonego z przepychem hallu z krętymi schodami i fantazyjnymi malowidłami na suficie zaprowadzono ją do wykwintnego, srebrzystobłękitnego pokoju, skąpanego w wodnistej poświacie bladego słońca. Lustra w srebrnych, wysadzanych klejnotami ramach, z osadzonymi na środku taili kandelabrami, odbijały wytworne francuskie meble i portrety królowej Marii, królowej Aleksandry oraz Edwarda w oficjalnym stroju z insygniami księcia Walii.

Cały pokój zastawiony był najrozmaitszych kształtów stolikami i stoliczkami, na których połyskiwały wszelkiego rodzaju drogocенności - sztylety wysadzone kamieniami, porcelanowe patery,

inkrustowane diamentami szkatułki roboty firmy Faberge, srebrne lichtarze, tabakierki, zegary, maleńkie lampki, a nawet maczuga maoryskiego wojownika.

Kwiaty były dosłownie wszędzie - gałązki czermieni, wydzielające odurzający zapach, kaskady wielkich jak główki kapusty piwonii, pęki sztucznie pędzonych narcyzów i olbrzymi bukiet ulubionych kwiatów księżnej - białych chryzantem.

Oczekując na księżnę, Pete wędrowała od portretu do portretu.

- To moja teściowa. Nigdy nie raczyła mnie uznać - odezwał się za nią rzeczowy głos, kiedy stała przed portretem przedstawiającym królową Marię w monarszej pozie, z wstęgą Orderu Podwiązki na piersi.

Pete odwróciła się i zobaczyła księżnę, która z powściągliwym uśmiechem wyciągnęła do niej rękę. Przyjmując podaną dłoń, Pete złożyła dworski dyg, który trenowała przed lustrem cały poprzedni wieczór. Twarz księżnej rozświetlał uśmiech.

- Proszę spocząć, panno D'Angeli.

Dobiegająca osiemdziesiątki księżna miała kruchą, ale młodzieńczą sylwetkę, którą oblekała granatowa kreacja od Givenchy'ego. Kruczoczarne włosy tego ranka, jak co dzień od blisko trzydziestu lat, ułożył jej Alexandre. Twarz -

jak niosła plotka - po trzech liftingach, utrzymana była wręcz nadzwyczajnie. Zdecydowany obrys szczęk, wystające, wysokie kości policzkowe; przecinająca czoło głęboka zmarszczka i wygięte w łuk brwi nadawały jej wyraz lekkiego zaskoczenia.

Psy, obwąchując kostki swojej pani, weszły za nią do pokoju, . po czym przeniosły swe zainteresowanie na pantofelki Pete. Księżna patrzyła z aprobatą, jak Pete nachyliła się, poczochnęła je po łebkach i powiedziała:

- Jak się macie, kochane pieski.

Siadając na kanapce, księżna cmoknęła znacząco i mopsy porzuciły Pete, układając się na poduszkach u stóp swojej pani. Ukłony, psy i pochlebstwa, powtórzyła swoją litanię Pete.

- Przepiękny pokój, Wasza Wysokość - zwróciła się do księżnej. - Sama go pani dekorowała? - Dobrze wiedziała, że tak.

- Tak. Osobiście projektowałam wnętrza wszystkich moich domów. Dekorowanie było moim ulubionym zajęciem, a książkę ceniał sobie mój gust. - Rozejrzała się po pokoju. - Od kiedy odszedł, nic nie zostało tutaj zmienione.

Pete powędrowała za jej wzrokiem i na stoliku przed lustrem zobaczyła pudełko ulubionych cygar księcia.

- Zawsze miałam nadzieję, że odejdziesz pierwszy. Tak wiele poświęcił dla mnie, jak pani zapewne

wie. Bardzo mi ciężko bez niego.

- Nie wątpię, Wasza Wysokość - potaknęła Pete - ale to musi być cudowne uczucie, być tak bardzo kochaną.

Oczy księżnej rozbliły.

- To była nasza nagroda. - Leniwie podrapała jednego z mopsów, który wskoczył jej na kolana. - Nie twierdzą naturalnie, że zawsze było łatwo. Zna pani tę bransoletkę? - wyciągnęła wyschnięty nadgarstek w stronę Pete, potrząsając bransoletką złożoną z pojedynczego rzędu diamentów, z których zwisało dziewięć wysadzanych klejnotami krzyżyków. Pete orientowała się, że księżna nosiła tę bransoletkę w dniu ślubu. - Zawsze wyobrażałam sobie, że to są krzyże, które będę musiała dźwigać w życiu.

- Ale też dźwigała je pani z klasą, Wasza Wysokość. Księżna skinęła głową na znak całkowitej zgody.

- Kto wie, czy klasa właśnie nie jest moją najlepszą stroną, panno D'Angeli. Być może nadejdzie dzień, kiedy będą mnie pamiętali tylko z powodu mojej klasy. Tym bardziej więc powinnam ją utrzymywać, mimo że nie ma już przy mnie Dawida. - Jej oczy powędrowały do oprawnej w ramki fotografii księcia, ustawionej na końcu stołu. Księżę nie żył już od kilku lat, ale sądząc z jej spojrzenia, owdowiała księżna nadal przeżywała żalobę.

- Za życia - ciągnęła - zawsze kupował mi biżuterię. Był to z jego strony dowód miłości i w każdą rocznicę naszego ślubu kontynuuje tę tradycję. Co rok waham się i zastanawiam, czy nie czas przestać. Ale w końcu sentyment bierze górę. Tak bardzo lubił dawać mi piękne rzeczy. Coś każe mi wierzyć, że jego duch w tajemniczy sposób spływa na mnie poprzez migotliwy blask szlachetnych kamieni. Czy pani zdaniem można uważać to za szaleństwo, moja droga?

- Czy można szaleństwem nazwać miłość poza grób... - oświadczyła Pete.

Księżna wydała się wzruszona jej odpowiedzią.

- Miałam przyjemność oglądać piękne okazy zaprojektowanej przez panią biżuterii. Chciałabym, żeby pani zaprojektowała coś dla mnie.

- To zaszczyt dla mnie, Wasza Wysokość - odpowiedziała Pete. - Czy ma pani jakieś wyobrażenie...

Nieznaczny ruch ręki, nawykłej do posłuszeństwa otoczenia księżnej, wystarczył, żeby Pete zamilkła natychmiast.

- Tym razem chodzi mi nie tylko o projekt - wyjaśniła. - Najpierw chciałabym, żeby pani wystąpiła w charakterze mojego pełnomocnika.

- Pełnomocnika? - powtórzyła zaintrygowana Pete. Księżna sięgnęła do niewielkiej sterty książek leżących na stolyczku do kawy. Wzięła tom z wierzchu i wręczyła Pete. Był to pięknie wydrukowany, barwny katalog aukcji, która miała się odbyć w hotelu Beau Rivage w Genewie. Na okładce

znajdowała się fotografia misternego naszyjnika z diamentów i rubinów. Podpis głosił, że naszyjnik należy do „masy spadkowej Dorothy Fisk Haines”. Aukcja miała się odbyć we wtorek rano, czyli za dwa dni.

- Znałam Dorothy Haines - ciągnęła księżna - znam też jej kolekcję. Jest tam jedna rzecz, na którą zawsze miałam ochotę. Próbowałam namówić Dorothy, żeby mi ją sprzedała, ale nie chciała o tym słyszeć. Niemniej nigdy nie dała go oprawić. Zaznaczyłam odpowiednie zdjęcie...

Pete zauważyła, że z katalogu wystaje nowy - albo świeżo wyprasowany - banknot stufrankowy. W zaznaczonym miejscu znajdowała się fotografia wielkiego, oszlifowanego szlifem schodkowym rubinu. Parę wierszy pod zdjęciem głosiło, że kamień został wydobyty przed stu laty w górnej Birmie, z której pochodzą najpiękniejsze rubiny świata, a jego klarowność upoważniała go do nazwy „gołębia krew” przyznawanej mniej więcej jednemu na dwadzieścia tysięcy kamieni. Waga rubinu, oceniana na dwadzieścia osiem i pół karata, dodatkowo podnosiła jego unikalną wartość.

- Chciałabym, żeby pani kupiła dla mnie ten kamień, panno D'Angeli, i stworzyła coś równie spektakularnego, jak Oko Miłości, które z pewnością znalazłoby uznanie w oczach Dawida. Można powiedzieć, że ma to być prezent z okazji ustania wszelkich prezentów. Podejmie się pani tego zadania?

Nieroztropnością byłoby składanie jakiegokolwiek obietnicy w obliczu tak wysokich wymagań. Pete zgrabnie zvekslowała rozmowę na tematy praktyczne.

- Pierwsza sprawa to zakup kamienia. Niewątpliwie cena będzie bardzo wysoka.

- Owszem, a byłaby jeszcze wyższa, gdyby się dowiedzieli, że to ja chcę go kupić. Zostaje pani upoważniona do kupna po cenie, którą uzna pani za stosowną. Polegam na pani sądzie.

- W siedemnastym wieku największy znawca klejnotów swojej epoki, Bernard Tavernier, napisał: *Nieskazitelnym mbin o wadze ponad sześciu karatów należy nabyć, nie oglądając się na cenę* - zauważyła Pete. Ten rubin, Wasza Wysokość, ma prawie po pięciokroć sześć karatów.

Księżna skinęła głową.

- Nie wątpię, że znajdą się na niego reflektanci. Jednak mam dziwne przeczucie, że nie sprawi mi pani zawodu. -

Krótko i wężłowato omówiła praktyczną stronę przedsięwzięcia. Czek na pokrycie wydatków zostanie w ciągu dnia dostarczony do hotelu Pete. Inne sprawy finansowe, w rodzaju wynagrodzenia czy też pieniędzy na zakup rubinu, powinna omówić z panem Utterem, którego adres i numer telefonu zostaną dołączone do czeku.

- Kiedy rubin będzie już mój, proszę go do mnie przywieźć i zastanowimy się, co z nim dalej robić - oświadczyła księżna wstając.

Audiencja wyraźnie dobiegła końca. Razem wyszły do hallu, gdzie księżna, poinformowawszy Pete, że zostanie odwieziona do hotelu, uścisnęła jej dłoń.

Pete była zawiedziona. Miała nadzieję, że zostanie zaproszona do obejrzenia na własne oczy słynnej kolekcji biżuterii, którą obsypywał Wallis Simpson wielbiący ją mężczyzna. Wiele razy widywała fotografie kolekcji i mniej więcej orientowała się w jej zawartości, ale pewne rzeczy można było sprawdzić tylko z bliska.

Zastanawiała się, czy nie poprosić o dostęp do kolekcji, w końcu jednak zdecydowała się czekać. Poprosi, postanowiła, kiedy wróci z Genewy.

Rozdział jedenasty

Ruchliwy poniedziałek dobiegał końca, główny oddział Tesori przy rue du Rhone w Genewie szykował się do zamknięcia. Ruch w sklepie był większy niż kiedykolwiek; znaczący handlarze i kolekcjonerzy biżuterii ściągali z całego świata na aukcję Dorothy Haines. Nawet ci, którzy spodziewali się, że następnego dnia zaspokoją swoje apetyty, nie mogli oprzeć się pokusie sprawdzenia, czy aby nie przypadnie im do gustu coś w Tesori. Dla bardzo zamożnych, myślał właściciel sklepu, Antonio Scappa, kupowanie klejnotów było tym samym, czym jedzenie orzeszków dla biednych; nie sposób poprzestać na jednym.

Antonio powinien być zadowolony z plonów tego dnia, tymczasem jednak robiąc, jak zwykle, obchód przed zamknięciem sklepu, wrzeszczał na ekspedientów, beształ szlifierzy, wygłaszał tyrady pod adresem projektantów.

Nawet w najlepszych okresach stosował politykę żelaznej ręki, a tego poniedziałku był w wyjątkowo podłym humorze.

Mało powiedzieć, że był niezadowolony. Antonio był przerażony.

Kiedy za ostatnim z pracowników zamknęły się drzwi, wycofał się do gabinetu na tyłach sklepu i zasiadł przy biurku.

Patrzył niewiązającym wzrokiem na katalog. Jutrzejsza aukcja mogła mu napytać sporo biedy, od dwudziestu pięciu lat po raz pierwszy jego bezpieczeństwo było wystawione na szwank.

Mogło dojść do grzebania w jego tożsamości i zdemaskowania go jako Yittoria D'Angeli. Otwierając katalog na wybranej

stronie, Antonio wpatrzył się w zdjęcie fantastycznego naszyjnika z szafirów i szmaragdów. Cofnął się nerwowo pamięcią do okresu sprzed trzydziestu lat.

Pod koniec wojny w Europie zapanował chaos. Wszelkie archiwa uległy zniszczeniu; nikt nie mieszkał pod starym adresem i wszystko można było załatwić za pieniądze. Chwilami mogło się wydawać, że połowa mieszkańców Europy ucieka przed drugą połową mieszkańców Europy, masowo posługując się lewymi papierami.

Vittorio D'Angeli nie był wyjątkiem. Na każdej liście gończej figurował jako wysokiej rangi *Fascista*. Uciekając w popłochu przed gniewem włoskich *partigiani* przeszedł górami na stronę

szwajcarską w okolicach Lugano. Jego żona, Gretchen, przebywała już tam z ojcem, który in *absentia* uznany został za hitlerowskiego zbrodniarza wojennego. Grupa sympatyków nazizmu, dniem i nocą produkujących fałszywe dokumenty dla setek byłych hitlerowców, uciekających do Ameryki Południowej bądź rozpoczynających życie, zmieniawszy tożsamość w Europie, wciągnęła na listę klientów małżeństwo D'Angelich i Rudolfa Koppveltda.

Życie w ukryciu nie było łatwe, ucieczka - wykończająca nerwowo, ale nie minęło wiele czasu i Vittorio D'Angeli zniknął z powierzchni ziemi, a jego miejsce zajął Antonio Scappa, szacowny, mówiący po włosku obywatel Szwajcarii. Ojciec Gretchen, śladem innych byłych hitlerowców, uciekł do Ameryki Południowej, ona sama natomiast zamieniła się w Lisel Bamberg, niemieckojęzyczną obywatelkę szwajcarską z Zurychu. Dla podtrzymania pozorów Antonio i Lisel ukartowali rzekome spotkanie w Lugano. Ostentacyjnie odbyli okres narzeczeński, po czym wzięli ślub zgodnie z prawem szwajcarskim.

Vittoriowi udało się uciec z Włoch z zapasem franków szwajcarskich, zgromadzonych jeszcze przed końcem wojny, jednak pieniądze wkrótce się skończyły. Choćby jednak nie wiadomo ile zarobił pracując w kolejnych zawodach, których się imał, suma wydawała się niczym w porównaniu z fortuną spoczywającą w sejfie parę kilometrów od miejsca jego zamieszkania. Klejnoty La Colomby. Jego klejnoty. Należały mu się i zamierzał je odzyskać.

W dalszym ciągu przechowywał dolną połowę flakonika La Colomby, obsypaną diamentami złotą spódniczkę.

Wkrótce po wojnie udał się z nią do Helvetia Kreditanstalt z zamiarem odzyskania zdeponowanej przed siedmiu laty kolekcji.

„Scappom” urodziło się pierwsze dziecko, córka, którą nazwali Andrea. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, Jntoniowi” spędzała sen z oczu myśl o olbrzymim majątku, który mógł stać się jego własnością. Świadomość istnienia tych klejnotów dokuczała mu jak dziurawy ząb, a ból rósł z dnia na dzień. Ledwie mógł się skupić na myśleniu o czymkolwiek.

Wreszcie jego żona wpadła na rozwiązanie.

- Dzięki podrabianym dokumentom zmieniliśmy tożsamość. Jeśli planowana przez nas operacja kosmetyczna się powiedzie, będziemy mieli podrabiane twarze. Dlaczego więc nie mielibyśmy skorzystać z jeszcze jednego fałszerstwa? Znajdź kogoś, kto będzie potrafił odtworzyć połówkę flakonika, która przypadła w udziale twojemu bratu.

Sporo czasu upłynęło, zanim znalazł człowieka dostatecznie zręcznego i pozbawionego skrupułów, żeby podrobić połówkę figurki, opierając się wyłącznie na relacji Vittoria, który figurkę widział tylko raz, przelotnie, przed wielu laty. Jednak jej obraz wrył się w jego pamięć równie wyraziście, jak numery identyfikacyjne na przedramieniu byłych więźniów obozów koncentracyjnych.

W końcu znalazł poszukiwanego fachowca w Amsterdamie - był to jubiler nazwiskiem Boersma, kolaborant, którego majątek uległ po wojnie konfiskacie.

- Trudna robota - oświadczył, kiedy Vittorio wyłuszczył mu swój plan. - Trudna, ale nie niemożliwa. Za odpowiednią cenę.

- Będę w stanie zapłacić dopiero wtedy, kiedy flakonik będzie kompletny i odzyskam kolekcję - uprzedził Vittorio.

- Rozumiem - stwierdził Holender. - W takim razie będzie pan musiał dopłacić drugie tyle. - Natychmiast wziął się do roboty.

Po dwóch latach praca została ukończona i zaaprobowana przez obu zainteresowanych. Vittorio w towarzystwie Boersmy udał się do genewskiego Helvetia Kreditanstalt.

Poszło im nad podziw gładko. Pracownik banku, niejaki *Herr*

Lindner, nie miał najmniejszego powodu podejrzewać, że dwie znakomicie dopasowane połówki flakonika, dokładnie odpowiadające opisowi w jego archiwach, nie są oryginałami. Po godzinie Vittorio opuścił bank, dźwigając kasetę z klejnotami matki. Po raz ostatni posłużył się swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem.

Boersma zażądał natychmiastowej zapłaty i nie zgadzał się czekać, aż Antonio cichcem opchnie część kamieni.

Kiedy uparł się, że wybierze kilka okazów z kolekcji, Antonio nie mógł mu odmówić.

- Musi pan rozebrać biżuterię na części i przeszlifować kamienie - upominał Boersmę. - Jeśli ktokolwiek rozpozna w nich fragmenty kolekcji La Colomby, będę martwy. Pan również.

- Oczywiście, oczywiście. Proszę mi wierzyć, *mynheer*, znam się na moim zawodzie. - Wybrał broszkę z unikalnych rubinów „gołębka krew”, naszyjnik z trzech tuzinów niczym nie wyróżniających się diamentów, parę misternej roboty szmaragdowych kolczyków o najżywszym, jaskrawym odcieniu, wreszcie naszyjnik z paru setek maleńkich szmaragdów i szafirów, które mógł sprzedać za dobrą cenę na sztuki.

Kolejne dwa okazy z kolekcji - broszkę ze snopkiem pszenicy i diamentową bransoletę naramienną - trzeba było sprzedać natychmiast, żeby pokryć wydatki związane z osiedleniem się Rudolfa Koppvelda w Ameryce Południowej i operacją plastyczną, która miała zagwarantować bezpieczeństwo Antoniowi i Lisel.

Z nowymi twarzami i pod nowymi nazwiskami Scappowie powrócili do Lugano. Bali się sprzedać cokolwiek z kolekcji La Colomby. Większość biżuterii została wykonana specjalnie na zamówienie dla niej, a znana była ze zdecydowanego gustu. Istniało zbyt poważne ryzyko, że klejnoty zostaną rozpoznane. Jedną czy dwie rzeczy rozłożył na części i sprzedał pojedyncze kamienie, ale potem mógł spać spokojnie. Kolekcja okazała się natomiast bezcenna jako zastaw. Banki w Lugano pękały w szwach od pieniędzy powierzonych przez uciekających hitlerowców. Kiedy Antonio Scappa pokazał podejrzliwemu urzędnikowi z działu kredytów kolekcję biżuterii, na bazie której

zamierzał założyć przedsiębiorstwo jubilerskie, nie napotkał żadnych trudności z uzyskaniem solidnej

pożyczki bankowej.

Mając zagwarantowane pieniądze i bezpieczeństwo, mógł spokojnie zdecydować, co zamierza zrobić z resztą swojego życia. Przez ten czas, kiedy pracował z Boersmą, zdążył rozsmakować się w biznesie jubilerskim, jak również uświadomić sobie, ile można na nim zarobić. W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim narodziła się Tesori.

Firma prawie natychmiast odniosła sukces. Przydały się teraz doświadczenia, które Antonio nabył kierując skonfiskowanym sklepem w Mediolanie. Po czterech latach miał już filie w Genewie i Zurychu. Kiedy w Niemczech nastąpił „cud gospodarczy”, Antonio czuł się już tak pewnie, że wysłał Lisel do Monachium i Berlina, żeby nadzorowała pierwsze kroki nowych filii. Dzięki tajnym kontaktom swego ojca, posiadała dostęp do najkorzystniejszych lokat w nieruchomościach oraz pożyczek bankowych.

Żyli wygodnie i bezpiecznie. Do teraz.

Antonio był głęboko wstrząśnięty, kiedy, wertując katalog zbliżającej się wyprzedaży kolekcji Haines, trafił na kolorową fotografię, przedstawiającą zachwycający naszyjnik, który wyglądał jak strumień wody przepływający w cieniu drzew w słoneczny dzień. Tego naszyjnika nie sposób było pomylić z innymi. Rzędy jednakowo szlifowanych szafirów w niewidocznej oprawie ułożono ukośnie, w związku z czym masywny pas klejnotów wyginał się w dowolną stronę. Całość składała się z ponad pięciuset szafirów, obramowanych blisko dwustoma szmaragdami. Był

to istny majstersztyk, prawdziwie unikalna robota, którą Antonio niestety poznał od pierwszego spojrzenia.

Naszyjnik widział dwa razy w życiu - raz, gnący się w wysmukłych palcach La Colomby w rześcisie oświetlonej świecami willi położonej pośród wzgórz na obrzeżach Florencji, drugi raz, kiedy dawał go Dirkowi Boersmie pod warunkiem, że zostanie natychmiast rozebrany na części.

Skończony dureń, wyzywał w myślach niewidzianego od lat Boersmę, skończony, chciwy dureń! Teraz Antonio będzie musiał odkupić naszyjnik z powrotem. Nie mógł ryzykować, że któregoś dnia ktoś zorientuje się, że naszyjnik pochodzi z legendarnej kolekcji La Colomby. Jego matka była sławna, pisano o niej i fotografowano ją. Jej klejnoty były równie słynne jak ona. Co pewien czas ożywało zainteresowanie losami jej kolekcji. Pojawienie się naszyjnika mogło rozpętać lawinę domysłów, które nie będzie w stanie powstrzymać.

Jednak, cokolwiek by mówić, było to straszliwe marnotrawstwo kapitału. Po nabyciu naszyjnika będzie mógł go najwyżej zamknąć w sejfie, w którym spoczywała reszta kolekcji. Czy ośmieli się zaryzykować, żeby naszyjnik nadal krążył po świecie? Pani Haines raptem parę razy pokazała się w naszyjniku, poza tym trzymała go w sejfie.

Inny kolekcjoner mógł postąpić tak samo.

Jednak nie. Musi go kupić. Mimo że zwykle unikał publicznych zgromadzeń, uznał, że powinien wieczorem wybrać się do hotelu. Ostatni pokaz kolekcji połączony był z balem na cele dobroczynne.

Będzie miał szansę potajemnie zorientować się, kto może być jego przeciwnikiem w walce o ostateczne pogrzebanie Yittoria D'Angeli.

JTete stawiała się w recepcji Beau Rivage w poniedziałek wieczorem, meldując się w apartamencie, który zarezerwował dla niej John Utter. Z Paryża przyjechała pociągiem. Nie widziała powodów do specjalnego pośpiechu. Genewa miała być po prostu kolejną stacją w jej podróży - kolejnym miejscem, w którym miała tęsknić za Luke'em.

Jadąc pociągiem pośród widowiskowej scenerii Alp, zorientowała się, że rozmyśla, co by zrobiła postawiona przed koniecznością wyboru między Luke'em a... pracą. Jeżeli w ogóle dojdzie do takiego wyboru. Nie powinna do tego dopuścić. A jednak czuła, że w odrazie, z jaką Lukę wyraża się o luksusach, na które stać wyłącznie najbogatszych, jest coś irracjonalnego. Co nie znaczy, że można mu całkowicie odmówić racji. Nie mogła go winić za jego uczucia, choć na ironię zakrawał fakt, że obiekcje pod adresem jej pracy zgłaszał bogacz, a nie ubogi. Jak jednak w tej sytuacji wyglądały jej szanse na to, że będzie mogła nadal bez przeszkód zaspokajać gusta możliwych tego świata?

Choć bardzo tęskniła, żeby usłyszeć jego głos, obawa przed kolejną kłótnią powstrzymywała ją przed sięgnięciem po słuchawkę. Woląca poczekać z konfrontacją do powrotu.

W oświetlonym przez szklany dach hallu hotelu Pete rozpoznawała twarze kupców i kolekcjonerów od wielu dziesiątek lat związanych z rynkiem kamieni szlachetnych. Poinformowano ją, że wieczorem odbędzie się galowy pokaz kolekcji Haines, dlatego dum wlewający się do hallu głównym wejściem, a także z wind, ubrany był w stroje wieczorowe. Harry Winston w nieodłącznym smokingu kroczył w stronę sali balowej. Sophia Loren zadawała szyku bladą różową kreacją od Givenchy'ego. Elisabeth Taylor przy czarno-białej sukni obnosiła olbrzymi diament, który Richard Burton ofiarował jej na pojednanie. Można było przyjąć za pewnik, że gdzieś już kręci się Lyla, gotowa ostro licytować się z Elisabeth. Niewątpliwie zjawi się też Marcel.

Pete nie przejmowała się specjalnie brakiem stroju wieczorowego w swoich bagażach. Miała zamiar obejrzeć klejnoty na przedaukcyjnym pokazie, nazajutrz, przed jedenastą.

Odchodziła właśnie od lady recepcyjnej, czekając, aż zostanie zaprowadzona do zarezerwowanego apartamentu, kiedy usłyszała, że ktoś wołają od strony wind.

- *Signorina D'Angeli...?*

Odwróciła się i zobaczyła nieznanego mężczyznę o masywnej sylwetce i przeczczonych, siwiejących włosach.

- Tak? - spytała, wpatrując się badawczo w jego twarz. Twarz miała w sobie coś znajomego, jakby widziała ją przed wielu laty - być może stał na obrzeżach tłumu, który zgromadził się, by patrzeć, jak jej dziadek rozłupuje słynny diament.

- Znam pani twarz z fotografii towarzyszących wywiadom w magazynach mody. - Z błyskiem w oku wyciągnął rękę w jej stronę. - Pozwoli pani, że się przedstawię: Antonio Scappa. Jestem właścicielem kilku sklepów jubilerskich.

- Tesori - uzupełniła Pete. - Znam pana firme. - Nie dodała, że zna również jego córkę i wie o ochłodzeniu stosunków, które nastąpiło, kiedy Andréa zaczęła współpracować z Marcelem Iveresem.

Nie wiedziała natomiast, że jej pojawienie się w hallu hotelo-

wym oznaczało dla Antonia odgrzebanie upiorów przeszłości. Kiedy tylko zobaczył jej nazwisko w druku, natychmiast domyślił się, że jest jego krewną, najprawdopodobniej córką brata. Połączenie nazwiska z imieniem Pietra nie mogło być zbiegiem okoliczności; Stefano zapewne chciał złożyć hołd kurwie, która była ich matką.

Nigdy dotąd nie czuł specjalnej potrzeby, żeby sprawdzić czy jego przypuszczenia są słuszne. Widząc jednak Pietre we własnej osobie, poczuł bezwzględna pewność, że stoi przed nim jego własna siostrzenica. Czyżby zbiegli się tutaj wszyscy, jak kurczęta od jednej kwoki? Czy to możliwe, że Stefano wydelegował ją, żeby kupiła naszyjnik, który naprowadziłby ich na trop całej kolekcji? Zdając sobie sprawę z ryzyka, Antonio zdecydował jednak porozmawiać z Pete i ustalić, jak wiele wie.

Uspokoił go wyraz twarzy, z jakim przyjęła podaną jej rękę. Przypuszczał, że gdyby znała jego sekret, ukrywałyby ten fakt, traktując go jak absolutnie nieznaną osobę. Tymczasem przyglądała mu się z nie ukrywaną ciekawością.

- Mam wrażenie, że już się kiedyś spotkaliśmy - stwierdziła.

- Czy była pani kiedyś w moim sklepie? Potrząsnęła głową.

- Jestem pierwszy raz w Genewie, co więcej, pierwszy raz w Europie.

- W takim razie nie mieliśmy okazji się spotkać. Sam rzadko podróżuję. Nigdy nie byłem w Stanach.

Umilkli. Pete wierciła się niespokojnie pod uważnym spojrzeniem Scappy. Dlaczego ją zatrzymał?

- Cóż - odezwał się wreszcie Scappa - chciałem pani po prostu powiedzieć, jak bardzo podziwiam jej wyroby. Być może kiedyś w przyszłości zechce pani... rozważyć...

Przerwał nagle, a jego wzrok poszybował ponad ramieniem Pete. Syknął zjadliwie kilka słów po włosku.

Obracając się w ślad za jego spojrzeniem, Pete zobaczyła Marcela i Andreę wyłaniających się z jednej z wind.

Ponętne kształty Andrei ciasno opinała jaskrawoczerwona suknia od Fortuny, z przodu rozcięta do połowy uda, a z tyłu eksponująca szczodrze złocistą opalenizną pleców. Spod smokinga Marcela połyskiwała srebrna, plisowana koszula, nabijana wielkimi, diamentowymi guzami.

Pete przez moment zastanawiała się, czy nie dać nogi. Nie miała nic przeciwko pozostawianiu w serdecznych stosunkach z Marcelem, bała się natomiast sceny ślepej zazdrości ze strony Andrei. Czynnikiem zwiększającym szansę wybuchu była wzajemna nienawiść Andrei i ojca.

Jednak nie miała już żadnego pola manewru. Spotkanie było nieuniknione.

Marcel zaczął się witać z Pete, ale przerwał mu Antonio.

- Domyślam się, że przyjechałaś dopilnować swojego chłoptasia, żeby podbił cenę na każdą rzecz, którą będę próbował kupić - wybuchnął oskarżycielsko pod adresem Andrei.

- **Signor** Scappa - usiłował zmiłgować go Marcel - proszę nie robić tutaj scen. Na pewno może pan uzgodnić z córką...

- Nie mam żadnej córki. To zdrajczyni - odburknął Scappa. - Przeszedłby pan w moje ręce po śmierci Claudea, gdyby ona nie pomogła panu kręcić firmą.

Był to bardzo przewrotny komplement, największy, jaki Andrea kiedykolwiek usłyszała z ust ojca.

- Mogłam dla ciebie pracować z równym pożytkiem, gdybyś kiedykolwiek dopuścił mnie do pracy.

- Nie potrzebuję twojej pomocy - uciał Antonio.

- Może za to potrzebujesz jej pomocy? - przeszła wzrokiem Pete.

Antonio nie powiedział nic, ale przyjrzał się Pete z uniesionymi brwiami, jakby mu właśnie wpadł jakiś pomysł do głowy.

- Nie interesuje mnie współpraca z nikim - wtrąciła pospiesznie Pete, usiłując wymknąć się z tego zgromadzenia.

Antonio złośliwie wodził wzrokiem od Andrei do Pete i z powrotem.

- Być może kiedyś zmieni pani zdanie. - Jeszcze raz spojrzął na Andreę i Marcela. - Nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia.

- Może wobec tego rozstrzygniemy ten spór jutro rano, posługując się liczbami zamiast bronią - rzuciła Andrea.

Antonio gwałtownie poczerwieniał i wyszedł z hotelu bez

słowa. Pete zauważyła, że Andréa za wszelką cenę usiłuje odzyskać równowagę.

- Wszystko w porządku, *chérie*? - spytał Marcel, otaczając ją ramieniem.

- Mój ojciec - oświadczyła Andréa bez zmrużenia powieki - to skończony skurwysyn. Powinnam się była do tego w życiu przyzwyczaić. - Z najwyższym wysiłkiem uśmiechnęła się do Marcela.

Pete zauważyła z zaskoczeniem, że ta para wygląda na bardzo szczęśliwą, co nie mijało się z prawdą, bo właśnie uczcili pierwsze zbliżenie, w tym samym zresztą hotelu, paroma godzinami w łóżku, które upewniły ich, że są dla siebie stworzeni. Przynajmniej na jakiś czas.

- Widzę, że wchodzisz na wysokie obroty, Pete. Przyjechałaś we własnych interesach, czy występujesz w czyimś imieniu?

- *Chérie* - upomniał ją Marcel. - Wiesz przecież, że tego rodzaju pytania nie należą do dobrego tonu.

- Nie ma sprawy - powiedziała pojednawczo Pete. - Spytałabym was o to samo, gdyby istniała najmniejsza szansa na odpowiedź.

- Może zechcesz spędzić bal w naszym towarzystwie? - zaproponowała Andréa z uśmiechem. - Mogłabym ci przedstawić parę osób.

Pete wydało się, że w jej słowach kryje się dyskretna szpileczka. Andréa dawała do zrozumienia, że to ona ma znajomości. A jednak zdumiewającym krokiem naprzód w ich wzajemnych stosunkach wydawał się fakt, że Andréa pragnęła towarzystwa Pete. Teraz, kiedy nie były dzień w dzień skazane na pobyt pod jednym dachem, kiedy Andréa podporządkowała sobie do końca Marcela, być może wreszcie się uspokoi i zacznie traktować Pete z zawodowym szacunkiem.

- Nie sędzę, żebym się specjalnie dobrze bawiła - odmówiła mimo wszystko, potrząsając głową.

Pożegnali się. Stojąc przy windzie Pete patrzyła, jak dołączają do tłumu zdążającego w stronę sali balowej. Była zaskoczona nagłym przyływem sympatii wobec Andrei. Z pewnością nie miała lekkiej młodości, będąc córką człowieka pokroju Antonia Scappy. A mimo to wybiła się, dowiodła swoich możliwości, zostając niezastąpioną towarzyszką mężczyzny, którego - na swój sposób - kochała.

Zupełnie możliwe, pomyślała Pete, że któregoś dnia zostaną z Andreą przyjaciółkami. Już teraz, być może dlatego, że obu im mimo trudnego dzieciństwa udało się zejść wysoko, czuła z Andreą dziwne pokrewieństwo.

Dorothy Fisk Haines - dla przyjaciół: Dotty - zaczęła karierę jako młoda prostytutka w Creede, miasteczku, które wyrosło podczas słynnej gorączki srebra w Kolorado w tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku. Kiedy miała piętnaście lat do grona jej przyjaciół zaliczali się Calamity Jane, Bat Master-son, a nawet część zbirów z gangu Jamesa. W przeddzień szesnastych urodzin Dorothy jeden z jej najlepszych klientów trafił na żyłę srebra i porwał

Dotty do ołtarza. Ale pieniądź wzbudza w ludziach krwiożercze instynkty, tak więc siedemnastoletnia Dorothy, wdowa po milionerze, wsiadła w pociąg do Nowego Jorku.

Kiedy się tam zjawiała, Madison Fisk właśnie zbił drugi milion na inwestycjach kolejowych i chociaż wznosił już rezydencje przy Piątej Alei, nie był jeszcze na tyle stateczny, żeby nie ulec urokom młodziutkiej wdowy, która wyglądała jak anioł, a wyrażała się jak górnik. Podczas wielu lat małżeństwa pomnożyli swoje fortuny, a kiedy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym pan Fisk leżał na łożu śmierci, Dorothy miała więcej pieniędzy, niż była w stanie zliczyć, i więcej biżuterii, niż miejsca w sejfie. Opowiadano o niej, że naszyjniki ze szmaragdów trzymała w pudłach na buty, a rubiny poniewierały się w popielniczkach. Wysadzana perłami kolia, która znudziła się Dorothy, powędrowała na szyję jej psa.

Krzepka pani Fisk Haines osiadła na starość w Monte Carlo, gdzie dożyła wieku dziewięćdziesięciu ośmiu lat; co noc, obwieszona klejnotami, grała w kasynie o wysokie stawki. Jej nieustanne zakupy wprawiały w zachwyty jubilerów całego świata. Znała wszystkich i nikogo się nie bała.

W życiu nie doczekała się tylko jednego - dziecka. Wobec braku dziedzica można było ubiegać się o każdą, bez wyjątku,

sztukę biżuterii wystawioną na aukcji w sali balowej Beau Rivage. Kolekcja warta była fortune, a fakt, że cały dochód miał zostać przeznaczony na cele charytatywne - szpital dziecięcy w Kolorado i schroniska dla maltretowanych kobiet w Nowym Jorku - miał dodatkowo przyczynić się do podbicia cen.

Za piętnaście jedenasta w słoneczny wtorek sala balowa hotelu pękała już w szwach. Szefowie znanych koncernów, potomkowie starych bankierskich rodów i europejskiej arystokracji zasiedli ramię w ramię z równie zamożnymi, lecz anonimowymi biznesmenami, arabskimi szejkami w powiewnych galabijach, pełnomocnikami członków rodzin królewskich, którym nie wypadało pojawiać się osobiście, oraz wszystkimi znaczącymi kupcami z Nowego Jorku, Paryża i Londynu.

Na początku sali, obok podium aukcjonera, przy dwóch ladach urzędował zastęp młodych, atrakcyjnych kobiet i mężczyzn w gładkich, czarnych garniturach, oczekujących na telefony od poważnych oferentów, którzy nie mogli osobiście stawić się w Genewie. Wysoko na ścianie wisiał ekran, na którym miały być wyświetlane slajdy aktualnie licytowanej sztuki biżuterii. Obok, na wielkiej tablicy, wysokość oferowanych sum odnotowywano w sześciu walutach.

Pete przybyła o godzinę wcześniej. Zarejestrowała się i otrzymawszy tabliczkę licytacyjną z własnym numerem, poszła obejrzeć pancerne gabloty ustawione wzdłuż bocznych ścian sali. Każdej strzegł uzbrojony strażnik w mundurze, Pete jednak domyślała się, że jest to tylko tzw. widzialny fragment znacznie rozleglejszego systemu zabezpieczeń.

Oglądając nieprzebrane morze biżuterii, a także garść olbrzymich kamieni, których Dottie Haines nigdy nie zadała sobie trudu oprawić, Pete przyłapała się na tym, że rozmyśla o swojej babce, o klejnotach La Colomby. Kolekcja Haines cieszyła się wielką sławą, mimo to kolekcja jej babki uchodziła za jeszcze większą. Czy mogło się zdarzyć, że klejnoty ze zbiorów La Colomby znalazły drogę do zbiorów Dottie Haines, która dzięki swojej fortunie mogła zarzucać bardzo rozległą sieć, poszukując interesujących okazów.

Zawróciła i ponownie, sztuka po sztuce, obejrzała wszystkie

eksponaty, usiłując dopatrzeć się jakiegokolwiek podobieństwa z biżuterią, którą widziała na zdjęciach La Colomby w przedwojennych gazetach. Nic jednak nie obudziło jej czujności.

W końcu usiadła, wybierając miejsce z brzegu na tyłach sali. Rubin, który miała licytować, był jednym z pierwszych na liście. Uznała, że kiedy kamień pójdzie pod młotek, opuści aukcję. Mimo pełnej napięcia atmosfery sali, czuła lekkie zniecierpliwienie, dręczące poczucie, że wolałaby być gdzie indziej. Niewykluczone, że z winy Luke'a, w szczytowym punkcie swojej kariery nie czuła specjalnej radości.

Nie, w tym wszystkim kryło się jeszcze coś innego - niejasne poczucie, że chciałyby zająć się czymś bardziej aktywnym i emocjonującym, niż wysiadywanie w tej sali w oczekiwaniu na licytację klejnotu czy nawet praca we własnym warsztacie. Marzyło jej się poszukiwanie zaginionego skarbu. Po latach powracających snów o skarbie La Colomby poczuła nagle przemożny impuls, żeby pełną parą ruszyć na poszukiwania.

Z rozmyślań wytrącił ją widok nadchodzącego Marcela i Andrei, za którymi wkrótce pojawił się Antonio Scappa.

Zajęli miejsca po przeciwnych stronach sali, mimo to Pete widziała, jak nawzajem miotają na siebie rozwścieczone spojrzenia.

Parę osób dobiło dosłownie w ostatniej chwili. Usadzono ich na honorowych miejscach. Pomachała jej ręką Paloma Picasso, projektantka biżuterii, którą Pete poznała jeszcze w Nowym Jorku, Lyla natomiast, która przybyła w towarzystwie Douglasa, wyglądającego jakby odsypiał całonocną hulankę, wykrzyknęła słowa powitania w drodze do pierwszych rzędów. O jedenastej punkt aukcjoner stanął za pulpitem na podium, ekran nad jego głową rozświetlił

się i zapadła cisza.

- Numer jeden - wykrzyknął - para długich, diamentowych kolczyków. Cena wywoławcza: czternaście tysięcy dolarów. Czternaście... mam na linii szesnaście... szesnaście, a teraz widzę w tylnych rzędach osiemnaście...

Pierwsza pozycja powędrowała pod młotek za osiemdziesiąt dwa tysiące dolarów w niespełna dwie minuty. W ciszy sali słyhać było tylko szelest katalogów, skrzypienie ołówków, szmer głosów telefonistów, półgłosem zachęcających do wydania w Genewie pieniędzy spoczywających w Londynie czy Nowym Jorku. Na wielkim ekranie rozbłyskiwały diamenty, szmaragdy, perły, jadeity, rzadziej opale czy akwamaryny.

Cyfry w zawrotnym tempie obracały się na tablicy walutowej. Część licytujących podniosła do góry numery, sygnalizując swój udział, większość jednak drapała się w nos, wykonywała w powietrzu nieznaczny gest piórem czy wręcz ograniczała się do lekkiego uniesienia brwi.

Pete robiła drobne adnotacje w katalogu, zaznaczając cenę, za którą sprzedano każdy eksponat i, gdzie to było możliwe, tożsamość nabywcy. Dzięki temu trzymała rękę na pulsie całej imprezy - mogła zorientować się, czy ceny przewyższają szacunki przedaukcyjne, czy kupcy przewyższają liczebnie prywatnych nabywców. Zauważyła, że już od pierwszej pozycji ceny dwu- albo nawet trzykrotnie przerastały wycenę Christiego. Wśród kupców biżuterii znalazł się Marcel Iveres, który nabył kilka sztuk, wyraźnie ponaglany przez Andreę. Chociaż część zakupów niewątpliwie przeznaczona była dla sklepu, jednak z wyśrubowanych cen, jakie skłonny był zapłacić, Pete domyśliła się, że podobnie jak ona występował w imieniu swoich klientów.

Antonio Scappa natomiast nie kupił niczego, a nawet nie brał udziału w licytacji.

- Pozycja numer czterdzieści siedem - rozległ się wreszcie głos licytatora - unikalny birmański rubin

„gołębia krew”, o wadze blisko dwudziestu dziesięciu karatów. Cena wywoławcza - sto tysięcy dolarów...

Pete nie udało się otworzyć licytacji ani nawet wypatrzeć, kto to zrobił, ale stawka podskakiwała w górę o dziesięć tysięcy, podwajając wartość ceny wywoławczej zanim Pete zdążyła podnieść swoją tabliczkę. Nie widziała powodu, dla którego nie miałyby licytować otwarcie, zważywszy na to, że tak czy tak dla wszystkich będzie jasne, że licytuje w imieniu klienta. Udało jej się włączyć do licytacji kwotą dwustu dwudziestu tysięcy dolarów.

- Mamy dwieście dwadzieścia... i już dwieście trzydzieści... Zobaczyła, że aukcjoner kiwa głową w kierunku Marcela. Byli

inni licytujący, ale z chwilą, gdy cena zaczęła osiągać zawrotną wysokość, odpadli i licytacja zamieniła się w wyścig między Pete a trącanym przez Andree Marcellem.

Kiedy Marcel podbił czterysta tysięcy Pete o kolejne dziesięć, wycofała się, dochodząc do granicy tego, co uważała za rozsądną cenę. Kiedy aukcjoner uderzeniem drewnianego młotka obwieścił dokonany zakup, Marcel spojrzał

przez ramię na Pete, przepaszając wzruszając ramionami. Takie są reguły walki, wydawał się mówić, *c'est la guerre*. Kiedy indziej przypuszczałaby, że rywalizacja między nimi mogła mieć inne podłoże niż interes zawodowy, teraz jednak mieli to już chyba za sobą.

Bez rubinu, naturalnie, nie otrzyma prowizji od księżnej Windsoru ani nie dostanie się na wyższy szczebel światowej hierarchii projektantów biżuterii. Jednak zorientowała się, że wcale nie czuje specjalnego zawodu. W myśl własnego, najuczciwszego osądu, uznała, że rubin jest za drogi. A powrót z pustymi rękami mógł być korzystnym argumentem w pojednaniu z Luke'em.

Przesiedziała jeszcze licytację kilku pozycji, nie do końca śledząc, co się dzieje, ani też nie prowadząc notatek. W

końcu wstała i zaczęła iść w stronę tylnego wyjścia. Przystanęła przy drzwiach, żeby po raz ostatni rzucić okiem na barwną i podniecającą scenę. Czyżby opuściła ją w ogóle chęć przebywania w tym świecie? Czy istniało prawdopodobieństwo, że poświęciła rubin w imię miłości?

Już przy drzwiach spostrzegła, że Antonio Scappa wreszcie podnosi numer.

A wśród zawzięcie licytujących przeciwko niemu znajduje się Marcel. Pete zauważyła, że Andréa niecierpliwie nachyla się do niego. Wzrok Pete powędrował w stronę ekranu, na którym wyświetlano właśnie fotografie naszyjnika ze szmaragdów i szafirów. Pete pamiętała go ze wstępnej lustracji kolekcji, był niewątpliwie jednym z najpiękniejszych eksponatów. Naszyjnik składał się z kaskady osadzonych w niewidzialny sposób kamieni. Pasma niebieskie przeplatały się z unikalnym odcieniem szmaragdów ze starych kopalń Południowej Ameryki, których pokłady zostały wyczerpane przed wieloma dziesiątkami lat. Zajrzała do katalogu. W świetle chłodnych szacunków przedaukcyjnych spodziewano się za naszyjnik sześćdziesięciu tysięcy dolarów. Pete podejrzewała jednak, że naszyjnik może pójść nawet za dwukrotnie wyższą cenę.

W odpowiedzi na zgłoszenie Marcela tabliczka Scappy wystrzeliła w powietrze.

- Siedemdziesiąt tysięcy dolarów - zaanonsował licytator. Lyla dawała siedemdziesiąt pięć. Jakiś Arab w burnusie i złotym zawoju podbił stawkę o następne pięć tysięcy, a Elizabeth Taylor wykrzyknęła:

- Osiemdziesiąt pięć!

Antonio zarzucił oszczędne gesty i zaczął licytować na głos.

- Sto tysięcy - wykrzyknął. W jego głosie znać było nutę szaleństwa i Pete domyśliła się, co zaraz nastąpi.

- Sto dziesięć! - głos należał do Andrei, której nerwy nie pozwoliły już licytować wspólnie z Marcelem. W ten sposób miała nadzieje wyrównać rachunki z ojcem, walcząc za pomocą liczb, czym odgrażała się poprzedniego wieczoru.

- Sto dwadzieścia - odparował natychmiast Scappa. Jedna czy dwie osoby ścigały się jeszcze do stu pięćdziesięciu tysięcy, w końcu jednak zrezygnowały, widząc, że gra nie toczy się o naszyjnik, lecz jest ambicjonalną rozgrywką.

Cena naszyjnika dawno przekroczyła jego wartość.

Andrea bynajmniej nie była zrażona. Pewnym, donośnym głosem zgłosiła sto sześćdziesiąt tysięcy.

Walka trwała. Antonio podwoił stawkę, windując cenę do dwustu tysięcy, pewny, że Andrea nie odważy się go więcej prowokować...

Tymczasem ona również zrobiła skok o dwadzieścia tysięcy.

W Antoniu zagotowała się krew. Nie kto inny, tylko zdrajczyni, własna córka zmusza go, żeby grubo przepłacał za naszyjnik. Kiedy Boersma sprzedawał go przed trzydziestu laty, dostał najwyżej dwadzieścia pięć, trzydzieści tysięcy.

Jednak nie mógł dopuścić, żeby naszyjnik wymknął mu się z rąk.

- Dwieście czterdzieści tysięcy - ryknął, a jego głos, jak wezwanie do boju, poniósł się na najdalsze krańce sali.

- Dwieście czterdzieści - spokojnie zaintonował aukcjoner, przenosząc wzrok na Andreę. - Nie widzę wyższych ofert. Dwieście czterdzieści po raz pierwszy. - Uniósł młotek.

Kąciki ust Antonia drgnęły w nieznacznym uśmiechu. Tego tylko trzeba było Andrei.

- Dwieście pięćdziesiąt - wykrzyknęła. Ton głosu i płomiennie spojrzenie, jakim przeszła Antonia, wskazywały wyraźnie, że ma zamiar walczyć na śmierć i życie.

Nawet aukcjoner, który sprawiał wrażenie niezłe zblazowanego, wydał się lekko poruszony.

- Pańska kolej, sir. Doszliśmy do ćwierć miliona - powiedział, zawieszając głos.

Antonio poczerwieniał. W świetle lamp pod sufitem na jego czole rozbłysły krople potu. Teraz uśmiech wykwitł na twarzy Andrei.

- Sprzedane, sir- oświadczył aukcjoner, a jego cichy, nieomal współczujący głos, został wzmocniony przez stojący przed nim mikrofon.

Z wyglądu Antonia Pete domyśliła się, że aukcjoner nie doczeka się odpowiedzi. Antonio wyraźnie pogodził się z gorzką prawdą, że zawziętość Andrei - w połączeniu z możliwościami finansowymi Marcela - będą w stanie przetrzymać go w nieskończoność.

- Dwieście pięćdziesiąt po raz pierwszy, dwieście pięćdziesiąt po raz drugi... Naszyjnik zostaje sprzedany za dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Sala zagrzmiała od oklasków. W chwilę później powierzchnię ekranu wypełnił slajd przedstawiający diamentową tiarę.

Antonio Scappa zerwał się i zaczął przepychać przez tłum do wyjścia. Wyminął Pete, nie obdarzwszy jej nawet spojrzeniem. Obserwując jego zastygły w grymasie niechęci profil, znów poczuła nieodpartą pewność, że kiedyś, w przeszłości, widziała już tego człowieka.

Wiedziała też, że zaczepił ją z innego powodu, niż tylko chęć złożenia wyrazów uznania. Z pewnością nie należał do gatunku ludzi, którzy zawracają sobie głowę czczymi uprzejmościami. A więc - dlaczego?

Być może to wszystko było tylko wytworem jej wyobraźni. Scappa był niewątpliwie ekscentryczną postacią, pełną wewnętrznych sprzeczności. Cieszył się reputacją niezwykle przebiegłego kupca, a jednak dał się wciągnąć w bezsensowną licytację, która podbiła cenę naszyjnika o wiele ponad to, co jako chłodny specjalista powinien był

zapłacić. Oczywiście,

gdyby włożył naszyjnik do sejfów i trzymał przez dziesięć lat, z dala od ludzkich spojrzeń tak, jak Dorothy Fisk Haines

- jego wartość by wzrosła. Jednak kupcy zajmują się sprzedażą, a nie magazynowaniem. Mimo tych wątpliwości, wychodząc z sali zostawiła za sobą rozważania na temat aukcji. Spieszno jej było spakować się i wracać do domu, do ukochanego mężczyzny.

Przecinając hotelowy hall uśmiechnęła się leciutko. To dziwne, ale niepowodzenie misji na rzecz księżnej miało dla niej posmak sukcesu.

Rozdział dwunasty

Kościół Episkopalny pod wezwaniem Św. Tomasza przy Piątej Alei jarzył się blaskiem setki świec. Świece paliły się na ołtarzu, lichtarze stały na końcach ław, na ścianach paliły się kandelabry. Ciepła poświata nadawała wnętrzu przytulność podkreślając rumieniec oczekiwania na twarzach zebranych.

Zima zawsze była ulubioną porą roku Jessiki Walsh, tak więc kiedy doszło wreszcie do ślubnych planów, zdecydowanie przeciwstawiła się zakusom matki, żeby udawać, iż jest wiosna, a nie środek zimy. W całym kościele nie było ani jednej wiosennej gałązki czy letniego kwiatu. Ołtarz został z dwóch stron przystrojony nagimi gałęziami drzew splecionymi w łuk baldachimu, połyskującego setkami maleńkich, białych żaróweczek. I ołtarz, i końce ław przykryto świerczyną i pękami ostrokrzewu, powiązanymi wstęgami wiśniowego aksamitu.

Słodki, przejmujący dźwięk altówki wzbił się pod sklepienie kościoła, kiedy matka panny młodej, dumna jak królowa, kroczyła prowadzona środkiem nawy.

- O Boże, ale tłum - zdumiała się Jess, zaglądając do kościoła z zakrystii, w której czekali z ojcem i z Pete.

- Nie przejmuj się - pocieszyła ją Pete - kiedy ruszysz przez kościół, nie będziesz widziała nikogo, poza Fernandem na stopniach ołtarza.

- Czyżby przemawiało przez ciebie życiowe doświadczenie? - zażartowała Jess.

- Mam swoich informatorów. A teraz nie ruszaj się przez chwilę. Kapelusik ci się przekrzywił. - Poprawiając maleńki,

aksamitny toczek na głowie przyjaciółki i wygładzając jej welon, Pete pomyślała, że Jess nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie. Jaśniała niepowtarzalną urodą, zastrzeżoną wyłącznie dla oblubienic w dniu ich ślubu, urodą, na którą w równym stopniu składało się miłosne uniesienie, jak i fakt, że czuły się wówczas pępkiem świata.

Kenneth sfalował brązowe włosy Jess wokół jej twarzy. Way Bandy nałożył idealnie dopasowany makijaż, a suknia Oscara de la Renty była prawdziwym dziełem sztuki. Błysk w oczach był natomiast autorstwa samej Jess.

- O, tak - oświadczyła Pete, po raz ostatni naciągając welon.

- Dobrze wyglądam, tato? - zwróciła się Jess do ojca. Jonathan Walsh nosił swój smoking z taką swobodą, jakby przyszedł na świat odziany w *czarną* wełnę i białe, wykrochmalone płótno.

- Doskonale, kochanie - odparł, ledwie rzuciwszy na nią okiem.

Chyba po raz pierwszy w życiu obojętność ojca nie zepsuła humoru Jess. Była po prostu zbyt szczęśliwa. I bez jego zapewnień wiedziała, że wygląda pięknie. Suknia od de la Renty, którą pomogła jej wybrać Pete, była zachwycająca.

Wykazała pewną siłę charakteru, odpierając pokusę na zwiewne, francuskie tiule, kilometry koronek z *peau de soie* i metry halek, które usiłowała jej wmusić matka. Zwyciężył prostszy, elegantszy gust Pete.

Suknia z puszystego, zmysłowego w dotyku aksamitu barwy kości słoniowej miała prostą, sięgającą do samej ziemi spódnicę. Dekolt wycięty głęboko w szpic odsłaniał piersi Jess, identyczne z odcieniem aksamitu sukni. Karczek, rąbek trenu, obszerne zewnętrzne rękawy oblamowane były białym futerkiem; zapinane na guziczki, wąskie wewnętrzne rękawy sięgały aż po kostki palców. Suknia wyglądała jak żywcem zdjęta z średniowiecznego arras, a jej prostota idealnie pasowała do Jess. Na szyi miała szeroką aksamitkę, spiętą z boku misternej roboty płatkami śniegu, wykonanym przez Pete z okrągłych perełek i maleńkich diamencików. Leciuteńki jak piórko welon z najcieńszego, jedwabnego tiulu spływał spod białego toczka do samej ziemi. Wyglądała jak baśniowa Królowa Śniegu.

Stroje druhen miały krój podobny do sukni panny młodej. Siostry Jess ubrane były w suknie z bordowego aksamitu, a suknię Pete, pierwszej drużny, wykonano z aksamitu o żywej,

zielonej barwie, tak puszystego, że w świetle świec migotał jak gałęzie drzew targane letnią burzą. Ciemne włosy upięta wysoko, obnażając wygięcie szyi i krągłe ramiona. Błękitne oczy błyszczały radością ze szczęścia przyjaciółki.

- Uważaj na swój oręż! - wykrzyknęła do Jess, która odwróciła się do tyłu, usiłując po raz ostatni wygładzić długi, oblamowany futrem tren sukni. Zamiast tradycyjnego bukietu, Jess niosła pęk połyskliwego, zielonego ostrokrzewu o żywych czerwonych owocach, przetykany delikatnymi gałązkami drżącej jak śnieżna zadymka gipsówki.

Jess roześmiała się, dotykając jednego ze szpiczastych końców ostrokrzewu.

- To będzie moja tarcza, kiedy wszyscy wujowie, ciotki i kuzyni z drugiej linii rzucą się na mnie, ulegając nieodpartemu przymusowi złożenia pannie młodej pocałunków poślubnych.

- To mc straszego, pod warunkiem że Fernando ulegnie temu samemu przymusowi - uspokoiła ją Pete. Pobiegła wzrokiem w głąb nawy wyściełanej białym dywanem i zobaczyła Fernanda de Moratina, zmierzającego w towarzystwie drużbów w stronę ołtarza. Trudno było zaprzeczyć, że połyskujący śnieżnymi zębami w pirackim uśmiechu Hiszpan z mieczykiem matadora u boku, jest zabójczo przystojny. Zobaczyła, że nachyla się do drużby i szeptem mu parę słów do ucha. Obaj wybuchnęli śmiechem. Jak długo Jess jest przy nim szczęśliwą, pomyślała Pete, skłonność Fernanda do wystawnego życia jest poważnym argumentem przeciwko niemu.

Altówka wzbiła się w *crescendo*, jej dźwięk zawisł przez chwilę w przestrzeni i umilkł. Cichy gwar w nawie przeszedł w falujący szept, zabrzmiały organy.

- Drogie panie - oświadczył pan Walsh, błyskając uśmiechem - sądzę, że grają naszą pieśń.

- No to chodźmy wydać mnie za mąż - zarządziła Jess. Przez kościół ruszyła panna młoda.

W godzinę później rzeka lśniących limuzyn odpłynęła spod kościoła, kierując się w stronę Metropolitan Museum.

Sally Walsh zasiadała w radzie nadzorczej muzeum, a Jonathan

Walsh składał corocznie pokaźne dotacje, w związku z czym nie mieli specjalnych problemów z uzyskaniem zgody na wydanie przyjęcia weselnego córki w muzeum.

Była piękna zimowa, trzaskająca od mrozu noc i chociaż chodniki pokrywał świeży śnieg, ostatnia chmura odpłynęła, a niebo świetliście jaśniało; gwiazdy wyglądały jak lodowe diamenty, księżyc jak połyskliwy przekrój opalu. Majestatyczne kolumny fasady muzeum połyskiwały w świetle reflektorów, fontanny mżyły srebrzystym blaskiem, kiedy śmietanka towarzyska Nowego Jorku zajeżdżała przed szerokie schody. Błyskały flesze fotografów rubryk towarzyskich, kiedy socjeta, otulając się szczelnie futrami, wysiadała z samochodów, wymijając dziennikarzy z protekcyjnym uśmiechem.

Wielki Hall jarzył się łagodną bursztynową poświatą pod strzelistymi łukami i kopułami stropu. Tutaj można było wypatrzeć znajomych, popisać się suknią czy najnowszymi klejnotami i wychylić kieliszek szampana przed przejściem do Sali Średniowiecznej, w której państwo Fernandostwo de Moratin witali gości przed zwieńczoną ostrołukiem bramą z kutego żelaza. W tle grał kwartet smyczkowy. Obiad miał zostać podany później, w przytulnym patio Blumenthala, specjalnie wybranym przez Jess ze względu na to, że cała architektura dziedzińca została przetransportowana z Hiszpanii. Chciała, żeby Fernando poczuł się tak jak w ojczyźnie.

- Jeszcze gorzej, niż sobie wyobrażałem - wymruczał Lukę pod nosem, kiedy Pete manewrowała nim w kierunku młodej pary.

- Jeden wieczór wśród dobrobytu i luksusu stanowczo przerasta twoje siły - stwierdziła żartobliwym tonem. -

Zwłaszcza kiedy wyglądasz dokładnie tak jak oni - dodała, pociągając go za muszkę z czarnego jedwabiu. W

smokingu był niemożliwie przystojny, jeszcze przystojniejszy niż w dżinsach i skórzanej kurtce.

- Myślę, że jakoś to przeżyję - oświadczył, posyłając jej uśmiech. Znała go na tyle dobrze, że rozpoznawała, iż uśmiech jest wymuszony. Przebywanie w tak luksusowym otoczeniu było dla niego prawdziwą torturą. Od jej powrotu z Paryża udało im się unikać rozmów na temat trwonionego bogactwa, temat jednak zdawał się stale czaić gdzieś pod powierzchnią. Choć Pete w dalszym ciągu przyjmowała zamówienia, w domu nie wspominała o swojej pracy. Właściwie popyt na jej biżuterię zaczął ostatnio spadać, być może dlatego, że nie dość zdecydowanie trzymała rękę na pulsie.

Nareszcie dotarli do państwa młodych. Lukę przytulił serdecznie Jess i pocałował ją w policzek.

- Wyglądasz tak pysznie, że chciałoby się ciebie schrupać, dziewczyno - zażartował, naśladowując wymowę aktorów westernowych.

- Ty też, kowboju - odpowiedziała, chichocząc. - W tym mecodziennym stroju prezentujesz się niemal tak korzystnie jak mój mąż... - Zaśmiała się ponownie. - Mój Boże, pierwszy raz powiedziałam te słowa na głos. Mój mąż! Sami przyznacie, że to najpiękniejsze połączenie dwóch słów, jakie można sobie wyobrazić! Bądź tak dobra, Pete, i nie budź mnie, jeżeli śnię, dobrze?

- Ani mi się śni cię budzić - odpowiedziała, ściskając przyjaciółkę.

Lukę zwrócił się do Fernanda i uśmiech ulotnił się z jego twarzy.

- Opiekuj się nią jak trzeba - rzucił groźnym, bynajmniej nie żartobliwym, jakby nakazywały okoliczności, tonem.

Ale Fernando de Moratin uśmiechnął się tylko, a jego zęby zalsniły w niezwykle smagłej twarzy.

- Będziemy się opiekować sobą nawzajem, prawda, *querida*? - oświadczył, chwytając Jess mocniej w pasie.

- *Si, mi esposo*- odpowiedziała, uśmiechając się promiennie.

- Nie byłeś zbyt miły wobec Fernanda - zwróciła się Pete do Lukea, kiedy odeszli już od młodej pary.

- Wiesz, że go nie trawię i on mnie też. Nie będę mu się rzucał w objęcia, bo to byłaby skrajna obłuda.

- Lubisz przecież Jess. Mógłbyś chociaż ze względu na nią...

- Właśnie ze względu na Jess nie lubię tego faceta. Daj spokój, Pete, ten gość ma na czole wypisane, że jest łowcą posagów. Założę się, że zaczął rozglądać się za bogatą żoną w dniu, w którym odstawiono go od piersi matki.

Boże święty, pomyślała zrozpaczona, tak źle jeszcze me było.

Luke zdawał się szukać zwady. Bronił Fernanda, chociaż nie była również wolna od podejrzeń. Musiała go bronić, inaczej чуłaby, że zdradza Jess w dniu jej ślubu.

- Czy nie jesteś w stanie uwierzyć, że Fernando kocha Jess? Czy uważasz, że jest aż tak nieatrakcyjna, że nie może znaleźć mężczyzny, który by ją doceniał dla niej samej?

- Nie bądź głupia. Wiesz, że uwielbiam Jess. Dlatego właśnie wkurza mnie ślepotą, pozwalającą jej poślubić typa, który nie jest godzien pucować jej samochodu.

Cyniczna złośliwość Luke'a drażniła ją, nie zamierzała się z nim jednak kłócić, nie tego wieczoru w każdym razie.

- Tak czy owak wzięli ślub i ta rozmowa nie ma większego sensu. Czy moglibyśmy zmienić temat i bawić się z innymi?

- Niech tak będzie. Przynajmniej jedzenie zapowiada się smakowicie. - Złapał dwa kieliszki z tacy niesionej przez kelnera.

- Szampan Veuve-Clicquot. - Podał jej kieliszek. - Pijmy za miłość i pieniądze. W świecie tu obecnych jedno nie ma prawa istnieć bez drugiego.

Spojrzała na niego, na mężczyznę, którego kochała, chociaż potrafił być tak niezdolny.

- Nie wiem, czemu ten świat napawa cię aż taką odrazą.

- Z tego samego powodu, z jakiego nie lubię oglądać tańczących niedźwiedzi w cyrku ani tygrysów skaczących przez rozpalone obręcze. - Jednym haustem wypił szampana i odstawił delikatny, kryształowy wąski kielich. - Popatrz na nich.

- Powiódł ręką po pokoju, wskazując na migotliwy tłum.

- Każdy, jak może, stara się zrobić wrażenie, prześcignąć innych, nawiązać korzystne kontakty, podłożyć nogę komu się da i kurczowo trzymać się tego, co się raz zdobyło.

- Chyba ich sądzisz zbyt surowo, Luke. Zebrali się tutaj, aby uczcić ślub Jess i Fernanda, złożyć im swoje życzenia.

- Nie jesteś chyba aż tak naiwna, Pete, nawet jeśli zaślepia cię ich pieniądź. Wiesz równie dobrze, jak ja, że większość tych mężczyzn to klienci Jonathana Walsha i koledzy z kortu, którzy wraz z nim w skórzanych fotelach Union Clubu zasiadają ważyć losy świata. Kobiety to głównie panie z towarzystwa Sally Walsh. Nie umiałyby sobie nawet przypomnieć imienia Jess, gdyby nie było wytłoczone na zaproszeniach.

- Przemawia przez ciebie cynizm.

- Naprawdę? A czytałaś kiedykolwiek *Teorię klasy próżniaczej* Veblena? - Zaprzeczyła. - Ukuł nawet specjalny termin - konsumpcja ostentacyjna. Nie wystarczy być bogatym; trzeba jeszcze afiszować się swoim bogactwem, pokazując światu, mówiąc słowami Veblena, zdolność do *ponoszenia poważnych strat finansowych bez uszczerbku dla ogólnej zamożności*. To właśnie robi Jonathan Walsh dzisiejszej nocy, napinając swój mięsień finansowy na oczach publiczności. Jak wiesz, to przyjęcie kosztowało go fortunę, która wystarczyłaby, żeby wykarmić przez rok kilka rodzin.

- Wiem - zgodziła się pojednawczo, myśląc jednocześnie o smutnym paradoksie, że ojciec Jess czuł się zawsze zobowiązany wydawać ogromne sumy na córkę, której w życiu prawie nie zauważał.

Podszedł następny kelner i Lukę porwał kolejny kieliszek.

- Czy aby nie powinnaś patrolować w tej chwili sali? Zobacz, ilu się tu kręci potencjalnych klientów. To typ ludzi, którzy uganiają się za błyskotkami. Boję się, że ich blask mógłby mnie oślepić.

- Owszem - powinnam - odpaliła gniewnie. - Powinnam się również dobrze bawić, czego

zdecydowanie nie robię w tej chwili. - Zakręciła się i odeszła, postukując obcasami o marmurową posadzkę.

„Patrowała salę” przez następną godzinę. Goście, arystokracja nowojorska, należeli dokładnie do typu osób, które powinna była poznać. Sally Walsh przedstawiła ją tym i owym. Gratulowano jej naszyjnika dla Jess, jak również podziwiano jej własną broszkę - kwiat ze szmaragdu i macicy perłowej - którą nosiła przypiętą do aksamitnej wstążki na szyi. Parę osób poprosiło ją o wizytówkę. Na tę okoliczność miała przygotowany zapas kart wizytowych, które trzymała w maleńkiej wieczorowej torebce ze srebrnej siateczki.

Lukę dołączył do niej, kiedy siadano do stołu. Wydawało się, że jest w lepszym humorze - bądź też dokłada wszelkich starań, żeby tak wyglądać. Śmiał się i dowcipkował podczas całego obiadu, swoim urokiem i nienagannymi manierami oczarowując gości przy stole. Gdyby Pete zdarzyło się czasem zapomnieć, że Lukę przyszedł na świat jako członek tej sfery, wystarczyło tylko spojrzeć, jak się porusza pośród przedstawicieli *high life'u*, aby uświadomić sobie natychmiast, kto jest kim.

Uczta składała się z cienkich jak pergamin plasterków wędzonego łososia, fig faszerowanych szynką, kremu z porów, *pintadeau*, wyśmienicie upieczonych perliczek z szafranowym ryżem, wreszcie sufletu z karczocha. Na deser podano duszone gruszki w siateczce z włókien cukrowych. Było mało prawdopodobne, żeby ktokolwiek znalazł

jeszcze miejsce na kawałek wysokiego na dwa metry weselnego tortu.

Wzniesiono toasty. Fernando wygłosił kwiecistą, acz niepo-zbawioną wdzięku mowę, na temat szczęścia, jakie mu dopisało, że został członkiem tak znakomitej rodziny.

- Myślałby kto - wycedził Lukę pod nosem, ale Pete rzuciła mu groźne spojrzenie i umilkł. O dziesiątej kwartet smyczkowy ulotnił się, a jego miejsce zajęła orkiestra Petera Duchina. Jess i Fernando pierwsi ruszyli do tańca, nagradzani gromkimi oklaskami.

Patrząc na jaśniejącą twarz przyjaciółki, Pete poczuła lekkie ukłucie w sercu. Jakże jej zazdrościła tego, że jest tak bardzo zakochana, tak przekonana o słuszności swojego wyboru, że potrafi tak całkowicie oddać się ukochanemu mężczyźnie - bez zastrzeżeń, bez wahań, bez próby zachowania choćby cząstki siebie dla siebie.

Ciepła dłoń Luke'a zacisnęła się wokół jej ramienia.

- Czy można? - spytał, porywając ją w objęcia. Był cudownym tancerzem.

- Przepraszam cię za tamto - powiedział, chyba szczerze.

- W takim zbiegowisku nigdy nie czuję się najlepiej.

- Zauważyłam. - Oparła mu głowę na ramieniu. - Ale nawet jak jesteś do niczego, to i tak jeszcze jesteś całkiem niezły.

Przez chwilę tańczyli w milczeniu.

- O Boże, jak mi z tobą dobrze - powiedział w końcu.

- Zapomniałem już, jak bardzo lubię tańczyć z tobą. Potrafisz się tak cudownie zestroić.

- Mhmmm... - powiedziała, rozpływając się w jego objęciach, mocniejszych niż ramiona szczupłego Fernanda czy któregoś z mężczyzn na sali. Muzycy przestali grać.

- Kocham cię, Pete D'Angeli - powiedział czule Lukę, odgarniając kosmyk włosów z jej czoła.

Sielankę przerwał niski, siwowłosy dżentelmen z nastroszonym wąsikiem.

- Obiecała mi pani taniec, panno D'Angeli - oświadczył, dotknąwszy jej ramienia.

Odwróciła się, posyłając mu z góry spojrzenie.

- Naturalnie, pamiętam, panie Cates.

- Wrócę za chwilę - szepnął Lukę na odchodnym do ucha, a ona uśmiechnęła się potakująco nad głową pana Catesa.

Ruszyli do fokstrota. Lukę skierował kroki w stronę baru.

Zatańczyła parę razy, w tym raz z Fernandem, który przyciskał ją nieco mocniej, niżby sobie tego życzyła, sącząc po hiszpańsku do ucha kwieciste komplementy. Obróciła wszystko w żart, opowiadając dowcip o latynoskich kochankach.

Przez chwilę posiedziała z Jess, która runęła na jedną z kozetek.

- Boże święty, nie wiem, jakim cudem Kopciuszek dotrwał do północy - oświadczyła, zrzucając z nóg aksamitne pantofelki z diamentowymi kłamrami.

- Kopciuszek nie musiał przyjmować przez dwie godziny gratulacji - pocieszyła ją Pete. - A gdzie książkę z bajki?

- Przy barze, pociąga hiszpańską sherry z najlepszego rocznika, którą tato obiecał wyciągnąć dla niego z piwnicy.

- Kosztowny ma gust - rzuciła Pete od niechcienia, patrząc spod oka na Jess.

- Tak. Czy to nie cudowne? Nie dziwię się, że tato tak go lubi. Wreszcie sprowadziłam do domu kogoś, kto potrafi docenić jedyną rzecz, jaką tato i mama mają do zaoferowania.

W tym momencie, ponad gwarem tłumu, Pete usłyszała wyraźnie rozwścieczony głos Lukea. Głos niósł się po całej sali.

- Ty nędzny sukinsynu! - wrzeszczał. Podniosły się okrzyki i dźwięk tłuczonego szkła odbił się echem od stropu sali.

Jakaś kobieta zaczęła piszczeć. Pete i Jess zerwały się na równe nogi i popędziły zobaczyć, co się dzieje.

Fernando de Moratin, elegancki pan młody, leżał rozciągnięty na podłodze, a krew sączyła mu się z rozcięcia w kąciку ust. Luke stał nad nim z zaciśniętymi pięściami, trzymany za ręce *przez* kilku mężczyzn. Jess w jednej chwili znalazła się u boku Fernanda. Na jej twarzy malowały się przykrość, zdumienie i niepokój, wzrok nieustannie biegał od męża do kochanka najlepszej przyjaciółki.

Pete szybkim spojrzeniem omiotła całą scenę. Nie chciała wierzyć oczom. Szybkim krokiem podeszła do Luke'a, chwyciła go za ramię, odwróciła w stronę drzwi i wypchnęła do Wielkiej Sali, która w tej chwili, prawie pusta, tonęła w mrocznym różowym świetle. Była sina z wściekłości.

- Nie mam bladego pojęcia, o co wam poszło - oświadczyła przez zaciśnięte zęby, drżącym z furii głosem - ale w tej chwili masz się stąd wynieść. Już i tak wystarczająco zepsułeś Jess jej wesele.

- Czy ty wiesz, co ten sukinsyn powiedział?

- To jego wesele - odpaliła ze złością. - Ma prawo mówić, co mu się żywnie podoba. Podaj mi moją pelerynkę.

Wracam przeprosić Jess, chociaż nie jestem pewna, czy mi się to uda. Potem wyjdziemy stąd. Natychmiast. -

Sztywnym krokiem zawróciła do patio, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Przeprosiła Jess, tłumacząc się, jak się tylko dało - nietrzeźwością Luke'a, naciskami, jakim podlegał w swojej pracy, i tak dalej. Zdawała sobie sprawę, że brzmi mało przekonująco. Z ulgą zobaczyła, że Fernando stoi już na własnych nogach. Otarto mu już usta z krwi i popijał szampana, śmiejąc się i rozmawiając ze sztucznym animuszem.

Jess wisiała uczepiona jego ramienia.

- Jak śmiałeś! - zgromiła znów po powrocie czekającego w Wielkiej Sali Luke'a. Jej słowa, wypowiedziane zjadliwym szeptem, zdawały się nieść aż pod wysokie sklepienie. - Jak śmiałeś upić się i zepsuć całe przyjęcie Jess?

- Niestety, wcale się nie upiłem.

- Czy o to ci chodziło, żeby zrobić jej przykrość?

- Oczywiście, że nie. Ale kiedy widzę coś ohydneho, nie mogę udawać, że tego nie widzę; kiedy człowiek wetknie nos w coś śmierdzącego, cofa się ze wstrętem. A Fernando de Moratin to właśnie kawał skończonego śmierdziela.

Szkoda, że nie słyszałaś, co mówił...

- Nie słyszałam i nie chcę słyszeć - odparła niewzruszenie.

Owinęła się wieczorową pelerynką z bordowego aksamitu i wyszła na szerokie schody przed muzeum. Wzdłuż chodników Piątej Alei ciągnęły się nawiewane przez wiatr zaspy. - Nie miałeś prawa tego zrobić - powiedziała, szczelniej otulając się peleryną. - W żadnym miejscu i w żadnych okolicznościach, szczególnie dzisiejszej nocy.

- Właściwie przyznał się, że ożenił się z Jess tylko dla pieniędzy.

- Nie wierzę - zaprotestowała, kuląc się z mrozu.

- Mam ci zacytować dokładnie jego słowa?

- Nie. - Zeszła po schodach w stronę długiego rzędu oczekujących limuzyn. Uciekła przed Luke'em nie dlatego, żeby mu nie wierzyła; przeciwnie, wierzyła mu aż nadto i nie wiedziała, jak się w tej sytuacji znaleźć.

Lukę złapał ją za łokieć i odwrócił twarzą do siebie.

- Powiem ci, czy tego chcesz, czy nie chcesz. „*Podmę*” - tak nazywa nowego teścia, wyraźnie wymawiając w środku

„r” - „*Podmę*” jest wart plus minus dwieście milionów. Dolarów nie peset, a to jest bardzo dużo forsy wszędzie pod słońcem, na pewno o wiele więcej, niż jest w stanie wydać. Nie ma powodów, żeby część tych zbytecznych dolarów nie miała przypaść w udziale oddanemu zięciowi. Od razu na to wpadłem, że da każdą sumę komuś, kto potrafi utrzymać w zdrowiu i szczęściu jego córunię, Jessie.

- Żartował.

- Nie widziałaś, z jakim wzrokiem to mówił.

- No to był pijany.

- Jeżeli był, to znaczy, że należy do facetów, którzy mówią prawdę wyłącznie po pijaku.

- Mimo to nie miałeś prawa robić takiej ohydnej sceny, Luke. Sally Walsh dołożyła tylu starań, żeby wszystko było na najwyższym poziomie. Było tak pięknie. A Jess po prostu promieniała z radości. Musiałeś to wszystko zepsuć, musiałeś piękno obrócić w brzydotę, zadać ból osobie, którą kocham. Mam cię ochotę za to znienawidzić. Naprawdę mam ochotę...

Ponownie ruszyła w stronę samochodu. Z trudem dotrzymał jej kroku. Kierowca limuzyny, którą Jonathan Walsh wypożyczył dla nich na tę noc, otworzył drzwi. Luke podał mu adres. Usadowili się w ciemnościach.

Jechali w dół Manhattanu, mijając ciemne zarysy ogołoconych z liści drzew z jednej strony i wznoszące się strzeliste rezydencje bogaczy po drugiej. Pete siedziała w milczeniu, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w zimowy pejzaż za oknem.

- Masz rację - powiedział Luke, gdzieś na wysokości Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. - Nie

powiniennem był dokładać temu sukinsynowi, zwłaszcza na jego własnym weselu. Żałuję, że to zrobiłem. Ale nieprawdą jest, że, jak mówisz, obróciłem piękno w brzydotę. Bo to wcale nie wyglądało pięknie z miejsca, przy którym siedziałem, Pete, i w przeciwieństwie do ciebie nie potrafię się oszukiwać, że coś jest piękne i doskonałe, kiedy takie nie jest. Nigdy nie potrafiłem udawać, wiesz o tym dobrze.

Z kryształowej karafki w limuzynie nalał sobie szkockiej, pociągnął długi łyk i odstawił szklaneczkę.

- Ty chciałabyś umaić cały świat kwiatami i z wierzchu przyprószyć klejnotami, żeby można było udawać, że nie jest przegniły pod spodem. Ja tak nie potrafię. Kiedy widzę brzydotę, próbuję przeciwdziałać, a nie przysłaniać ją pieniędzmi.

- Pieniędzmi - powiedziała tak, jakby splunęła. - Prawdę mówiąc, mam już dosyć tej całej paranoi na temat pieniędzy, w dodatku ze strony kogoś, kto nigdy nie musiał się obejść bez posiłku, kto od urodzenia tonął wśród dóbr, a teraz napawa się luksusem, że może rozdać tyle, ile mu się podoba. Drażni mnie twoja nonszalancja w stosunku do pieniędzy. To wszystko są czeze gesty. Jeździsz starym, odrapanym busem i żywisz się hamburgerami, bo to pasuje do obrazu twojej własnej osoby, który pielęgnujesz. Ale gdyby któregoś dnia przyszło ci do głowy zmienić zdanie, możesz z równą łatwością zamówić funt kawioru astrachańskiego z Rosyjskiej Herbaciarni czy wpaść do najbliższego pośrednictwa Mercedesa i wrócić do domu najnowszym 280XL. Płatne od ręki, dziękuję bardzo.

- Jesteś niesprawiedliwa i wiesz o tym dobrze. Chętnie wydaję pieniądze na rzeczy, które wydają mi się tego warte, ale odmawiam uczestniczenia w gierkach, w których nadrzędnym celem wydawania pieniędzy jest zademonstrowanie na lewo i prawo własnych możliwości finansowych.

- Na przykład, poprzez zakup biżuterii. Zgadłam?

- To ty to powiedziałaś, nie ja. - Kolejny raz pociągnął szkockiej. - To, co bogaci robią ze swoimi pieniędzmi, a w jeszcze większym stopniu to, co ich pieniądze robią z nimi, jest brzydkie.

Odwróciła się do niego na krytym skórą siedzeniu.

- Cóż ty wiesz o prawdziwej brzydocie? Powiedz, Luke. Co wiesz o dorastaniu w okolicy, w której trzeba przejść nad pijakiem po to, żeby wejść do własnego domu, a dzieciaki są na ty z każdym handlarzem narkotyków w promieniu paru ulic? Ale to jest jedyna dzielnica, na jaką cię stać. Czy wiesz, jak to jest, kiedy przyjeżdża się do kraju bez pieniędzy i rodziny, jak mój ojciec, kiedy trzeba wyrzec się wszelkich marzeń, jakie się kiedykolwiek miało, bo jest dziecko, a nie ma na nie pieniędzy? Czy oglądałeś kiedyś swoją matkę w psychiatryku stanowym, jak siedzi we własnych wymiocinach czy orze się paznokciami do krwi, bo nie ma pieniędzy, żeby jej opłacić lepszą opiekę?

Ludzie z Przedpiekła nie mają klinik Cole'a Haffnera dla siebie. Co wiesz o marzeniach z góry skazanych na niepowodzenie, bo nie ma pieniędzy, żeby je zrealizować?

Czuła, że łyzy cisną się jej do oczu i to rozwścieczyło ją jeszcze bardziej. Otarła oczy rękawiczką.

- Pieniądze, Luke. Za pieniądze można kupić piękno. Za pieniądze można kupić piękne mieszkanie, ciepły płaszcz, szampana Veuve-Clicquot. Można kupić klinikę Cole'a Haffnera.

- Odwróciła głowę w bok i wpatrzyła się za okno. Samochód okrążał właśnie łuk na Skwerze Waszyngtona. Znow zaczęło padać. - Za pieniądze można kupić piękno - powtórzyła.

- A ludzie, którzy mają pieniądze, mogą mi kupić swobodę tworzenia piękna.

- Wobec tego twórz, ale w jakiejś prawdziwej dziedzinie. Nawet ja widzę, jak bardzo jesteś utalentowana. Masz wspaniały gust. Czemu nie miałabyś malować? Albo zostać rzeźbiarką, jak Anna? Wyrażać swój talent. Tworzyć piękno, ale nie takie, którego wartość jest wymierna w dolarach.

- Nie jestem malarką i ledwie odróżniam karmin kraplak od szkarłatu kadmowego. W ogóle nie czuję gliny. Nie rozróżniam gatunków drewna, ale potrafię bezbłędnie oszacować diament, czy wydobyć najwięcej, ile się da, z szafiru. Potrafię, patrząc

w szmaragd, zobaczyć pawie oko czy wiosenny listek. Przejeżdżam palcem po rubinie i już wiem, jak go obsadzić w pierścionku. To jest właśnie to, co potrafię.

Samochód zatrzymał się przed domem przy Grove Street, ale nie ruszyli się z miejsc. Pete odwróciła się, patrząc na piękną twarz Luke'a, która w żółtym świetle ulicznych latarni miała wyraz dziwnej powagi.

- Przed chwilą mówiłeś, że mnie kochasz - ciągnęła. - Ale moja praca to ja, Luke. Ja i moja praca to jedno. Jak możesz kochać mnie, jednocześnie nienawidząc mojej najgłębszej istoty?

- Kocham cię. Ale twoja twórczość należy do nienawistnego mi świata, zaludnionego osobnikami, którymi pogardzam do głębi. Zbyt cię kocham, żebym mógł patrzeć spokojnie, jak stajesz się jedną z nich.

- No to może powinieneś sobie pójść i oglądać coś innego. Stało się. Powiedziała to, co powiedziała i wcale nie była pewna, czy miałaby ochotę cofnąć swoje słowa. Siedzieli w luksusowym samochodzie, śnieg padał miękko za szybami z przydymionego szkła, a oni patrzyli na siebie z niewyobrażalnym smutkiem. Szofer otworzył drzwiczki.

- Chodź. Jest już późno.

- Nie, Luke. Nie mogę. Nie mogę udawać, że to się kiedykolwiek zmieni. Mam dosyć ciągłego wysilania się, żebyś mnie zrozumiał i wysiłków, żeby zostać kimś, kim nie jestem. - W blasku latarni jej twarz gorzała bólem i determinacją. Wyciągnął rękę i z powrotem zamknął drzwi wozu. - Moje pragnienia nigdy się nie zmieniają. Zbyt długo czekałam na ich spełnienie... i nie widzę w nich nic złego. Nie jestem tobą, Luke. Wyrastałam pośród brzydoty i chciałabym się teraz otaczać pięknem. Pragnę też innych obdarzać pięknem, a także chcę odzyskać utracony skarb

- klejnoty ukradzione mojemu ojcu. To kolejne marzenie, które dla ciebie pewnie jest pozbawione sensu.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że masz zamiar uganiać się za jakąś mrzonką o klejnotach babki?
- To nie żadna mrzonka, Luke, tylko to coś, co mi się należy z racji urodzenia. Bóg jeden wie, jak strasznie bym chciała, żebyś to zrozumiał, żebyś miał ochotę dzielić ze mną moje marzenia. Może jednak powinnam się pogodzić z faktem, że nie możesz i nie chcesz. Wobec czego muszę skupić całą energię na moim zadaniu. Nie mogę sobie pozwolić na osłabianie się dyskusjami z tobą, czy w ogóle powinnam robić to, co chcę robić.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał cicho, patrząc na nią nieruchomym spojrzeniem.
- Chcę powiedzieć, że muszę odejść na jakiś czas, kto wie, czy nie na długo.
- Pete...
- Być może na zawsze. Zapadła cisza.
- Rzeczywiście macie zamiar tak zrobić? - spytał, nie odrywając od niej wzroku.

Potaknęła bez słowa.

Przymknął oczy na chwilę, a kiedy je otworzył, jego twarz złościły kamienne bruzdy.

- Nie będzie mnie przez całą sobotę. Możesz wrócić i pozbierać swoje rzeczy. - Otworzył drzwiczki i wysiadł z samochodu.
- Luke... - zaczęła, nie wiedząc, co chce powiedzieć. Nie przystanął ani się nie odwrócił. W chwilę później zniknął w domu.

Drzwi limuzyny zamknęły się z głuchym łoskotem. Chciało jej się płakać, ale nie była zdolna do tego. Szofer chciał

wiedzieć, dokąd mają jechać. Steve i Anna śpią już na pewno, ale nie będą jej mieli za złe, że ich budzi. Była mile widziana o każdej porze dnia i nocy.

Nachyliła się do przodu.

- Proszę do SoHo - powiedziała, kiedy szofer uchylił między nimi okienko. - Róg Prince i Worcester - poleciała, po czym oparła się o siedzenie wielkiego, pięknego, pustego wozu.

Rozplakała się dopiero następnego dnia, siedząc po drugiej stronie okrągłego, dębowego stołu i opowiadając Annie co się stało.

- Kurczę blade! - uniosła się Anna, dokładnie oddając stan

ducha Pete. - Jak może ktoś inteligentny i wrażliwy być jednocześnie aż tak głupi?

- O kim mówisz, o mnie, czy o Luke'u?

- Naturalnie, że o Luke'u. - Dołała kawy, dosypując sobie cztery pełne łyżki cukru.

Pete splotła dłonie wokół kubka. Było jej strasznie zimno. Uczucie chłodu nie opuściło jej od chwili, kiedy Lukę zniknął w swoim domu.

- Co byś zrobiła, gdyby tato zażyczył sobie, abyś rzuciła rzeźbienie?

- Z każdym mężczyzną, który uważałby, że nadają się wyłącznie do tego, żeby żyć w jego cieniu, mieć z nim dzieci, spędzać cały czas piorąc pieluszki i gotując obiady, zrobiłabym to samo, co z moim mężem - wykopałabym.

Anna po raz pierwszy w obecności Pete wspomniała o mężu. Zawsze mówiła tylko o kochankach.

- Nie wiedziałam, że byłaś zamężna.

- Tak krótko, że to się właściwie nie liczy. Spotkaliśmy się na ASP. Wiedział, ile dla mnie znaczy to, że jestem artystką. Sądziłam, że właśnie dlatego zakochał się we mnie, bo śniliśmy o tym samym. Ale on naprawdę marzył

jedynie o tym, żeby mieć zakochaną widownię i od czasu do czasu inteligentnego krytyka, który by wspierał jego samego i jego dzieło. Moja praca się nie liczyła, w każdym razie nie aż tak bardzo, żeby ją stawiać przed obowiązkiem żony i matki. - Łyknęła lepkiej od cukru kawy. - Idiota.

Pete przytknęła swój kubek do policzka. Poczowała promieniujące ciepło. Łzy popłynęły na gładką porcelanę masywnego kubka.

- Czy mogłabym u was pomieszkać przez parę dni? Dopóki nie znajdę sobie czegoś innego?

- Jak chcesz, możesz zostać na zawsze.

- Dzięki - Pete uśmiechnęła się - ale tydzień powinien mi wystarczyć. Czy myślisz, że tato mógłby jutro ze mną pojechać, aby pomóc mi się spakować?

- Nie będzie zachwycony, wiesz, jak bardzo lubi Luke'a, ale naturalnie pojedzie z tobą. A teraz pij. Musisz się jeszcze rozgrzać od środka.

Następnego dnia padał gęsty śnieg, zakrywając brudy miejskie.

Był to jeden z tych rzadkich dni, kiedy Nowy Jork naprawdę wyglądał jak na świątecznej pocztówce. Mimo zimowej pogody, u Luke'a było ciepło. Pakowali ze Steve'em rzeczy Pete do kartonowych pudeł.

Skladała swetry, szaliki i buty do walizek, walcząc z ustami ściągniętymi w podkowę i nieruchomym

wzrokiem, żeby się nie rozpląkać. Uwielbiała dom Luke'a. Uwielbiała być tym, kim była, kiedy byli razem. Ale wiedziała, że nie może zostać.

Steve siedział na podłodze, układając książki po kartonowych pudłach. Niestety, na każde dwie książki, które spakował, znajdował jedną, która wymagała natychmiastowego przejrzania.

- Pete, chodź tu zobaczyć - zawołał, wymachując przewodnikiem po Mediolanie. - To właśnie jest mediolańska Galleria. Najelegantszy pasaż handlowy w mieście. Dokładnie naprzeciwko La Scali. Chadzałem tam z moimi przyjaciółmi po spektaklach. - Przypomniał sobie, że Vittorio swój kradziony sklep z papeterią miał również w Gallerii i cień przemknął po jego twarzy. Przerzucił parę stron. - O, jest też *Madonxvna*. - Pokazał jej fotografię mediolańskiego Duomo, zwieńczonego statuetką, którą tak kochał jako mały chłopiec. - A tutaj było biuro Carla -

powiedział, pokazując kolejny punkt na zdjęciu. - O, to okno, tutaj. Ileż razy stałem przy nim, myśląc tylko o tym, żeby się wyrwać z kancelarii na wolność i pisać wiersze w jakiejś kafejce.

- Czy byłeś dobrym poetą, tato?

- Kto wie? - wzruszył ramionami. - Może mógłbym być dobry - uśmiechnął się z rozczulającą nieśmiałością. - Ja...

ostatnio zacząłem trochę pisać.

- Tato! Wiersze? Cudownie!

- Tylko parę sonetów i białych wierszy.

- Muszę je przeczytać.

- Są po włosku. - Roześmiał się.

- Będę je czytać ze słownikiem w ręku.

- Zobaczymy - powiedział i z powrotem ruszyli do pakowania, pracując ramię w ramię w ciszy przez następne pół

godziny.

Wreszcie ostatnia sztuka odzieży wylądowała w walizce. Pete usiłowała wygrzebać spośród przyniesionych pudeł

coś niewielkiego, co nadawałoby się na kosmetyki, suszarkę, przybory toaletowe. Znalazła je w końcu i poszukała wzrokiem Steve'a. Siedział bez ruchu, wpatrując się w fotografie w grubej książce.

Przysiadła na sofie obok.

- To jest katalog z zeszłorocznej aukcji w Genewie - kolekcja Haines. - Sięgnęła po katalog. - Pokaże

ci rubin, który kupił Marcel. Ten sam, na który miała ochotę księżna...

Nie podał jej książki i nie wypuszczał z rąk, kiedy próbowała ją wziąć sama.

- Tato? - zaniepokoiła się, zaglądając mu w twarz. Był bardzo blady. - Nic ci nie jest?

- Co? - spytał, podnosząc głowę, ale jego wzrok powędrował z powrotem do zdjęcia przedstawiającego naszyjnik z osadzonych w niewidoczny sposób szmaragdów i szafirów, którego zapinka zrobiona była z wysadzanej diamentami litery C. Przeczytał krótki opis naszyjnika i jego przewidywaną wartość. - Kto to kupił?

- Marcel Iveres, chociaż to nie on właściwie licytował. Rozegrała się o niego prawdziwa bitwa. - Pete stanęła w pamięci rozgrywka między Andreą a Antoniem, choć nie sądziła, żeby jej ojca zainteresowały szczegóły. Nie znał

zresztą tych osób. Przez ramię Steve'a spojrzała na zdjęcie. - Prawda, że piękny? Jednak cena, za którą poszedł, znacznie przekraczała jego wartość.

- Myślę, że dotyczy to wszystkiego, co tam sprzedano - powiedział, unosząc głowę. Zamknął katalog i wrzucił go do jednego z pudeł. - Czy już wybiła godzina?

- Nie, panie. Jeszcze nie czas. - Ze śmiechem wzięła do rąk puste pudło i ruszyła w stronę łazienki.

Kiedy wyszła, Steve wpatrywał się przez chwilę w pudło. Nie mógł się oprzeć, żeby nie sięgnąć ponownie po katalog i nie otworzyć go na fotografii naszyjnika.

Nawet teraz, po upływie czterdziestu lat, Stefano D'Angeli od pierwszego spojrzenia rozpoznał naszyjnik ze szmaragdów i szafirów. Poglądził palcem ozdobną literkę. C jak Colomba. Ostatni raz widział go w wytwornych dłoniach swojej matki.

Pospieszenie przewertował resztę katalogu. Może rozpozna coś

jeszcze, coś, co również należało do jego matki. Ale nie trafił już więcej na nic. Reszta była tylko wspomnieniem.

- Vittorio - powiedział zduszonym szeptem. Nagle wstrząsnęły nim emocje tamtych potwornych dni z końca wojny.

Przez chwilę zdawało mu się, że minęły zaledwie minuty, od kiedy dowiedział się o śmierci matki, o zdradzie brata.

- Nie - uspokoił się półgłosem. - To historia. - Zamknął katalog. - Historia - powtórzył, odkładając katalog na dno pudła i przykrywając go paroma książkami. - Historia, którą trzeba raz na zawsze pogrzebać.

Księga czwarta

Zakończenie

Rozdział pierwszy

Nowy Jork -jesień 1984

Proszę stanąć na chwilkę, panno D'Angeli... Pete, przeciskającą się między stolikami, przy których elita nowojorskiego świata mody zasiadła w oczekiwaniu na otwarcie ceremonii rozdania nagród Coty, kolejny raz zatrzymał któryś z fotografów.

- Znakomicie - pochwalił fotograf „Timesa”. - Jeszcze raz, jeśli można prosić.

Choć na widowni Instytutu Mody panował szyk i przepych, Pietra D'Angeli zdawała się wyróżniać wśród wszystkich zgromadzonych kobiet, mimo że jej nabyta specjalnie na tę okazję, obcisła srebrzystobiała suknia od Kamalego nie była wcale strojniejsza od sukien innych pań. Zwracała na siebie uwagę blaskiem własnoręcznie zaprojektowanej biżuterii, naszyjnika i kolczyków, skomponowanych z wielkich, abstrakcyjnych, diamentowych, nakładających się na siebie płatków śniegu. Podobne płatki migotały gdzieś w gąszczu ciemnych, zaczesanych do góry włosów Pete.

Naturalnie, jak zwykle, wzdragała się przed wszelką ostentacją. Biżuterię robiła dla innych, a nie dla siebie. Jednak Jess udało się ją przekonać, żeby choć przy takiej okazji zachowała się nieco śmieiej.

- Chociaż raz musisz pójść na całość, stara - namawiała Pete. - Nie możesz wiecznie trzymać swoich diamentów pod korcem.

Pete uczestniczyła w ceremonii rozdania nagród, ponieważ tego roku Coty przyznawała nagrody za biżuterię. Jeśli szczęście

jej dopisze i zwycięży, powinna stanąć dumnie na podium, olśniewając widownię najwspanialszymi egzemplarzami swoich wyrobów.

Zmów posypała się seria błysków z fleszy i Pete ruszyła w stronę stolika, przy którym Anna i Steve siedzieli w towarzystwie gromady dziennikarzy z magazynów mody. Parę krzeseł było wolnych, więc ucałowawszy Annę, Pete usiadła przy ojcu.

- Jak się bawicie?

- Dobrze, bo jesteśmy tutaj z bardzo miłej okazji - odparła z uśmiechem Anna.

- Oczywiście, jeżeli nie wygrasz, uznamy, że pobyt tutaj był torturą - oświadczył Steve, krzywiąc się żartobliwie.

- Zwracam twoją uwagę, tato, że bez względu na to, czy wyjdę stąd z medalem na piersi, w pewnym sensie i tak już wygrałam. Nominacja to niebywały zaszczyt. Fakt, że dzielę go dziś wieczór z wami sprawia mi największą radość...

Twarz Steve'a przybrała zacięty wyraz. Spuścił oczy. Widać było, że wie, o co Pete zaraz poprosi, i nie chce o tym nawet słyszeć.

Pete miała nadzieje, że wieczór będzie okazją do zakończenia waśni między ojcem a dziadkiem. Steve zgodził się wziąć udział w ceremonii jedynie pod warunkiem, że nie będzie musiał siedzieć obok Josefa ani z nim rozmawiać. W

pierwszej chwili, kiedy dowiedział się, że teść ukrył przed nim wojenne przeżycia Bettiny, wpadł w zimną furję. Po latach nadal czuł się rozgoryczony i nie mógł wybaczyć tego, że wmanewrowano go w małżeństwo z góry skazane na niepowodzenie. Josef ze swojej strony nadal żywił do Steve'a pretensję o to, że porzucił Bettinę, a przed laty poskąpił pieniędzy na lepszą opiekę.

Zawziętość obu mężczyzn była jedynym cieniem, jaki padał na ten tak radosny dla Pete wieczór. Przy jej stoliku siedzieli Josef, Charlie, Lottie, Jess i Fernando. Były też dwa wolne nakrycia dla Steve'a i Anny. Pete nie traciła nadziei, że ten wieczór będzie okazją do pojednania. Właśnie kolejny raz przystąpiła do ataku.

- Tato, błagam cię - prosiła. - Ceremonia zacznie się za parę

minut i chcę, żebyś siedział koło mnie. Trzeba puścić stare urazy w niepamięć. Chodźcie do nas z Anną i...

- Pete - przerwał jej szorstko. - Mam prawo do własnych uczuć, mam prawo uważać, że zostałem wykorzystany, oszukany przez człowieka, któremu ufałem, kochałem nawet. Nie możesz żądać zbyt wiele.

Pete spojrzała z nadzieją na Annę, ale ta przecząco pokręciła głową.

Fakt, żądała za wiele. Słuchając wymówek Steve'a, uświadomiła sobie, że czuje się życiowo oszukany nie tylko z powodu Josefa. Został zdradzony jeszcze wcześniej przez własnego brata.

- Dobrze, tato, nie będę się przy tym upierać. Ale mam jeszcze jedną prośbę i myślę, że nie masz prawa mi odmówić.

Mama parę razy ostatnio pytała, czy byś jej nie odwiedził. Wymawiałam się, jak mogłam, ale teraz wydaje mi się...

- Piętro, czy koniecznie musimy mówić o tym teraz? - przerwał jej Steve niecierpliwie.

- Cały czas myślę o mamie... dlatego, że jej tutaj nie ma.

- To nie jest ani twoja, ani moja wina. Porozmawiamy o tym kiedy indziej, dobrze? Dziś powinniśmy świętować, nie uważasz?

- Powinniśmy - powtórzyła, nie kryjąc ironii.

- Wobec tego przestań się zachowywać jak na konferencji rozbrojeniowej.

Skinęła głową i wstała.

- Liczyłam po prostu na to, że będę miała powody do radości bez względu na to, czy zdobędę nagrodę czyjej nie zdobędę.

- Będiesz miała powody do radości - zapewnił ją Steve z uśmiechem. - Jestem pewien, że dostaniesz nagrodę.

Wymusiła uśmiech i zawróciła do swojego stolika, zajmując miejsce między Charlie'em a Jess, naprzeciwko Opy.

Wszyscy starali się pokrzepić ją na duchu, mylnie biorąc niepokój malujący się na jej twarzy za lęk przed porażką.

W rzeczywistości Pete i bez tej nagrody miała pewność, że wzbiła się na szczyty sukcesu zawodowego. W osiem lat po opuszczeniu Duforta & Iveresa należała do ścisłego kręgu artystów, których nazwiska znane były daleko poza granicami świata mody. Wystarczył jeden rzut oka po sali, żeby przekonać się, jak daleko zaszła. Ralph Lauren z nieodłączną opalenizną

i grzywą srebrzystych włosów słał olśniewające uśmiechy od stolika po prawej. Grace Mirabella z „Vogue'u”

siedziała po lewej w towarzystwie Diany Vreeland. Liz Claiborn, Mary MacFadden, Geoffrey Beene, Calvin Klein -

ci ludzie dawno przestali być dla niej nazwiskami z „Women's Wear Daily”. Czołowe projektantki biżuterii: Elsa Peretti, Paloma Picasso i Angela Cummings, nie stanowiły już obiektu jej zazdrości. W ciągu ostatnich paru lat wielu z obecnych na tej sali stało się jej kolegami i koleżankami po fachu lub wręcz przyjaciółmi.

Rozłąka z Luke'em, jakkolwiek bardzo bolesna, zapoczątkowała w jej życiu okres, w którym zostawiła daleko za sobą pierwszy przebłysk sławy, którym było Oko Miłości. Żeby nie dać się samotności, przestała wyczekiwać na zamówienia i aktywnie wkroczyła na rynek, promując własny talent. Za radą Charlie'ego wynajęła agenta reklamowego, który wiedział, jak nadać odpowiedni rozgłos każdemu zamówieniu, składanemu Pete przez artystów czy członków socjety, umieszczając jej nazwisko w odpowiednich rubrykach w prasie i dopilnowując zaproszeń na dobroczynne imprezy, wernisaże i bale, aby nieustannie znajdowała się na widoku publicznym. Bez reszty o władnął

nią wir życia, którego Luke w żaden sposób nie byłby w stanie wytrzymać, a z którego dobrowolnie zrezygnowała, kiedy byli razem. Niewątpliwie odejście od Luke'a przysłużyło się jej karierze. Z pozycji cenionej, choć mało znanej projektantki na krawędzi bankructwa stała się podziwianą osobistością świata mody, swego rodzaju gwiazdą. Żadne dzieło Pietry D'Angeli nie przeszło nie zauważone, prawie każde doczekało się fotografii i wzmianki w prasie, ale jedno szczególnie przykuło uwagę publiczności, dosłownie w parę miesięcy po rozstaniu z Luke'em. Do pracowni Pete zawitała nowo poślubiona żona teksaskiego multimilionera, żądając od Pete czegoś wyzywającego,

co zagwarantowałyby jej publiczne zainteresowanie. W efekcie Pete wykonała dla niej naszyjnik z cieniuteńkiego złotego drutu imitującego pajęczynę, zwiewną i delikatną, która oplatała szyję i dekolot złotą siateczką wysadzaną drobnymi perełkami i przyprószoną diamentowymi - „kroplami rosy”. Dokładnie w miejscu, gdzie naszyjnik stykał

się z obojczykiem, siedział pająk o złotych nóżkach i tułowiu wykonanym z dwóch ze-

stawionych na kształt klepsydry rubinów, osadzonych w ciemnym, nieomal czarnym granacie. Naszyjnik „Czarna Wdowa” natychmiast zrobił furorę.

Dla innej klientki zaprojektowała obrozę ze złączonych skrzydłami motyli osadzonych w platynowym ażurze, wysadzonym ponad tysiącem diamentów. Wkrótce stała się słynna z racji abstrakcyjnego wykorzystania naturalnych form - liści, płatków śniegu, piór i płetw. Sypały się zamówienia, było ich więcej niż mogła przyjąć, więc klienci musieli czasem czekać miesiącami. Niektóre klientki utyskiwały na to, inne, najsłynniejsze i naj-zamożniejsze, niekiedy się obrażały, ale nie zdarzyło się, żeby ktokolwiek wycofał zamówienie albo był

niezadowolony z ostatecznego wyniku.

Uroczystość zaczęła się. Prominenci świata mody paradowali przed mikrofonem, wymachując triumfalnie swoimi medalami i dziękując matkom, żonom i kochankom, które wspierały ich, gdy tworzyli i rewolucjonizowali modę.

Wreszcie przysłała kolej na ogłoszenie zdobywcy specjalnej nagrody za projekt biżuterii.

Charlie ścisnął dłoń Pete pokrzepiająco. Ich przyjaźń w ostatnich latach umocniła się i Charlie często dotrzymywał

jej towarzystwa na różnych imprezach. Od czasu do czasu zdarzali się inni mężczyźni, przeżyła parę romansów, które trwały od paru tygodni do paru miesięcy, zawsze z atrakcyjnymi mężczyznami, którym powiodło się w życiu, mężczyznami zdolnymi zadowolić ją w łóżku, rozchmurzyć, kiedy miała zły dzień. W każdy z tych związków wkraczała przeświadczona, że trafiła na coś trwałego. Jednak kiedy pierwszy płomień wygasł, przekonywała się, że po to, aby być wierną samej sobie, musi wrócić do samotności. W głębi serca czuła, że czeka ją prawdziwa, dozgonna miłość, ale na obiekt takiego uczucia kwalifikował się najwyżej Luke.

Nie zdążyła nawet usłyszeć swojego nazwiska, kiedy wybuchła burza oklasków i Charlie zaczął trącać ją, żeby wstała. Otworzyła oczy i zobaczyła rozpromienione twarze wokół swojego stolika i bijącą brawo publiczność.

Podniosła się i ruszyła w stronę podium, uśmiechając się do mijanych osób, które wyciągały ręce, żeby poklepać ją po

ramieniu. Przyjęła nagrodę i wydobyła swoją listę podziękowań. Miała nadzieję, że uda jej się odczytać ją nie robiąc z siebie kompletnej idiotki. Dziękowała dostawcom, rzemieślnikom, którzy pracowali dla niej, najwierniejszym klientom, zrobiła nawet wielkoduszną wzmiankę o swoim

pierwszym pracodawcy Marcelu Iveresie.

„Na koniec chciałabym podziękować mojemu dziadkowi, panu Josefowi Zeemanowi, który pierwszy włożył mi w ręce diament i nauczył kochać jego piękno. Danie u *wel, Opa*”.

Ocierając kąciki oczu, Josef skinął głową w stronę Pete, w stronę dumy i radości swojego życia.

Ściskając w dłoni wygrawerowany medal, Pete wodziła wzrokiem po sali. Miała przed sobą śmietankę, elitę towarzystwa.

Była jedną z nich.

Po zakończeniu ceremonii tłum ludzi zgromadził się wokół Pete, żeby złożyć osobiste gratulacje lub poprosić o spotkanie w celu omówienia wspólnych interesów. Przedstawiciele producentów, którzy zakupili wielomilionowe licencje od Kleina, Blassa i Peny Ellisa, zjawili się, proponując wykorzystanie wyrobów Pete jako motywów zdobniczych w tkaninach i wyposażeniu wnętrz. Pełnomocnik największego producenta zegarków ręcznych w Japonii przyjechał z propozycją wypuszczenia nowej serii zegarków, projektowanych wyłącznie przez Pete. Było jasne, że w poniedziałek telefon w jej biurze będzie urywał się od samego rana. Aktualnych patentów oddelegowała do Lottie, a sama wymknęła się, aby pożegnać Steve'a i Annę.

Podchodząc do ojca, uświadomiła sobie, że zapomniała o nim w swojej mowie, podczas gdy rozwodziła się nad zasługami Josefa. Nie można było tego uznać za roztropny krok w kierunku pogodzenia obu panów.

- Przepraszam cię, tato, ale byłam tak strasznie przejęta, że zupełnie zapomniałam wymienić ciebie - zaczęła się tłumaczyć.

- Mnie? - Wzruszył ramionami. - Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się, żebym zasługiwał na jakiegokolwiek podziękowania. Chyba pamiętasz, że zawsze złościłem się na ciebie, kiedy bawiłaś się kamieniami. Twój dziadek za to zachęcał cię, jak mógł. Choćbym

był nie wiem jak wściekły na starego oszusta, muszę mu oddać sprawiedliwość. - Uściskał Pete, wieszając jej nagrody i dodał. - Obawiam się, że prędzej czy później będę się musiał z nim pogodzić. Gdyby mi wtedy nie naopowiadał kłamstw, me byłoby ciebie na świecie.

- Zrób to dziś - poprosiła gorąco Pete, patrząc w stronę stolika, przy którym Josef popijał szampana, czekając aż Pete odwiezie go do domu. - Teraz z mm porozmawiaj.

Steve spojrział przez salę na starego teścia.

- Jeszcze me teraz - powiedział cicho. - Musisz mi wybaczyć.

- Skoro jesteś tak dumny ze swojej córki, to może byłby odpowiedni moment, żeby powiedzieć o tym przynajmniej jej matce... - wtrąciła Anna, która czekała na odpowiedni moment, żeby poprzeć prośbę Pete.

Steve rzucił jej gniewne spojrzenie, wreszcie jednak skinął niechętnie głową.

- Dobrze, odwiedzę Bettinę - zwrócił się do Pete. - Dzisiejszy wieczór uświadamia mi, jak wiele jej zawdzięczam.

Ucałowawszy ojca i Annę, Pete pofrunęła jak na skrzydłach przez salę. Czuła się bardzo lekko i radośnie, lepiej niż w chwili, kiedy przyjmowała nagrodę. Dawno już zarzuciła dziecięce marzenia o połączeniu rodziców, ale i tak była pewna, że spotkanie tych dwojga, choćby krótkie, przyczyni się do zabliznienia starych ran.

Zajęta własnymi myślami przeciskała się pośród pustoszejących stolików i krzeseł. O mały włos nie wpadła na mężczyznę w smokingu, który niespodziewanie zastąpił jej drogę.

- Byłoby grzechem, gdybym dzisiejszego wieczoru nie dołączył moich gratulacji.

Dopiero wtedy dotarło do niej, że stoi przed nią Marcel. W smokingu wyglądał oszalamiająco, choć jakby odrobinę niechlujnie. Ciemny lok opadał mu z czoła wprost na błękitne oko.

- To bardzo uprzejmie z twojej strony, że wymieniłaś mnie w swojej mowie - oświadczył na wstępie.

- To żadna uprzejmość, tylko szczerą prawdą. Dałeś mi pierwszą posadę.

- O ileż więcej powinienem był ci dać.

- Wpatrzył się w nią głęboko. Czasami zastanawiam się, czy rzeczywiście już wszystko stracone - Przejechał palcami po jej obnażonym ramieniu. Opuścił rękę.

Odpowiedziała mu obojętnym spojrzeniem. Tym razem panowała nad sobą na tyle, że mogło obejść się bez awantur.

- Może Andrea potrafiłaby rozwikłać twoje wątpliwości - powiedziała jedynie cierpko.

- Nie jesteśmy już razem - stwierdził bezbarwnie.

Oczy Pete poszerzyły się ze zdumienia. Nie śledziła jakoś specjalnie ich poczynąń, ale jeszcze przed pięcioma czy sześcioma tygodniami widziała ich tańczących ze sobą na wieczorze dobroczynnym.

- Co się stało? - spytała.

- Głównie nieporozumienie zawodowe - stwierdził Marcel. - Coraz częściej krytykowała mój styl zarządzania firmą.

Uważała, że powinienem mianować ją prezesem, a sam ustąpić ze stanowiska. Wyobrażasz to sobie?

- Owszem - przyznała Pete ze śmiechem.

- Wyczuwam nutę siostrzanej solidarności - spojrział na nią z ukosa.

- Chociaż miewałam trudności z powodu Andrei, muszę przyznać, że była siłą napędową Duforta & Iveresa.

- Ja też tak uważam - potaknął. - Dlatego też wysłałem ją do Beverly Hills, gdzie prowadzi pertraktacje w sprawie otwarcia naszej nowej filii. Nie mogę się obyć bez niej w interesach - choć odbyliśmy tyle piekielnych kłótni, że nie jesteśmy w stanie żyć dłużej ze sobą.

Pete z uśmiechem wymówiła się od dalszej rozmowy. Charlie i Opa stali przy stoliku. Byli jednymi z ostatnich gości na sali.

Marcel ponownie chwycił ją za ramię.

- Pete... - powiedział. - Od kiedy zostałem sam... wiele razy zastanawiałem się...

Nie musiał kończyć.

Patrzyła na niego. Jego dotyk przenikał ją do głębi, nie była w stanie mu się wyrwać. Tego wieczoru, kiedy została wyniesiona nad swoich kolegów po fachu, kiedy została zagwarantowana jej zawodowa przyszłość, miała zasypiać sama, być może przez

wiele jeszcze tygodni i miesięcy daremnie wypatrując mężczyzny, który by ją podniecał i który dzieliłby z nią jej życiową pasję.

Iskra fascynacji Marcelem przez te wszystkie lata nigdy do końca nie wygasła. Wciąż podświadomie nurtowało ją jedno pytanie: Jakby się potoczyło ich życie, gdyby nie stchórzyła tamtego wieczoru, kiedy zaprosił ją na kolację?

Co przydarzyłoby się im na drodze, którą nie odważyli się pójść?

Zapadła między nimi ciężka cisza. W oczach Marcela pojawił się błysk zrozumienia. Wiedział, skąd bierze się powściągliwość Pete.

- Dokąd idziesz? - zapytał.

- Do domu.

- Powinniśmy jakoś uczcić tę noc. Pozwól, że ci postawię drinka. Albo chodźmy potańczyć, nigdy jeszcze nie tańczyliśmy ze sobą.

Gdyby zastanowiła się chociaż przez chwilę, z pewnością odmówiłaby. Rozsądek nakazywał odmówić. Jednak wtedy, przed laty, pokierowała się rozsądkiem i bodaj czy nie żałowała tego teraz.

Popatrzyła w stronę Charlie'ego. Poprosi go, żeby odwiózł Opę do domu. Charlie zrozumie.

- Zgoda - powiedziała do Marcela. - Pozwól tylko, że pożegnaj się z moimi gośćmi.

Ledwie uszła parę kroków i wyrwała się z jego magnetycznego wpływu, ogarnęły ją wątpliwości. Niemniej uzyskała łaskawe przyzwolenie Charlie'ego, ucałowała Opę i wróciła do Marcela.

Wspięła się na szczyt, lecz doskwierała jej samotność. A przecież nie kto inny jak Marcel był z nią, kiedy zaczynała wspinaczkę.

Zabrał ją do Reginę. Wypili butelkę Dom Perignon. Zabawiał ją barwnymi opowiastkami o tym, co wydarzyło się jego ojcu przed czterdziestu czy pięćdziesięciu laty, kiedy w branży nie kręciło się jeszcze tylu ludzi, a ci, którzy zajmowali się klejnotami, robili wszystko od a do zet, nierzadko przesiadując w kopalniach i własnoręcznie selekcyjując wydobyte kamienie. Tańczyli też, ale inaczej niż tańczyliby ze sobą przed dziesięciu laty. Szaleńcze obroty *hot disco* nie pokrywały się ani trochę z nastrojem Pete.

Kiedy wyszli od Reginę i wsiedli do marcelowego rollsa, polecił szoferowi ruszyć w dół Manhattanu.

- Zajrzemy do nowych klubów w Tribeca - zaproponował, podochocony szampanem.

- Chcę już jechać do domu - sprzeciwiła się.

- Zobaczysz, że ci się spodoba - nalegał. - Andréa uwielbia bywać tam...

Lodowatym spojrzeniem dała mu do zrozumienia, że gusta Andrei raczej nie będą respektowane.

- Wybacz, Pete - przeprosił, kiedy samochód pomknął w górę Manhattanu, ku jej mieszkaniu. - Trzeba być skończonym durniem, żeby przywoływać podobne upiory. To przecież tobie chciałem sprawić przyjemność. Andréa me ma tutaj nic do rzeczy.

- Czy rzeczywiście, Marcelu? - uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Wydaje mi się, że nadal wiele dla ciebie znaczy.

- Wyłącznie w sprawach zawodowych. - Wziął ją za rękę.

- A to jeszcze nie wszystko...

W mrocznym wnętrzu samochodu studiowała jego przystojną twarz. W dalszym ciągu nękały ją wątpliwości, czy rzeczywiście łączyło ich wspólne przeznaczenie, którego dotąd nie chcieli dopuścić do głosu.

Jak gdyby w odpowiedzi, Marcel nachylił się ku niej, a kiedy nie stawiała oporu, łagodnie opuścił wargi na jej usta.

Wyczuwając wzajemność, przygarnął Pete do siebie i zaczął całować z rosnącą namiętnością.

Minęło sporo czasu, od kiedy czuła przy sobie zar męskiego ciała i jej własne ciało zareagowało natychmiast.

Wysunęła język na spotkanie jego wszędobylskiego języka i wygięła się, przyciskając jeszcze mocniej do Marcela.

Zapomniała o przyzwoitości i poczuciu własności, zatraciła poczucie czasu... czuła, że tak by się to odbywało, gdyby oddała mu się wtedy, od pierwszego razu...

Marcel oparł dłoń o jej udo i zaczął gładzić ją, coraz wyżej odsuwając srebrzystą tkaninę sukni. Jego wargi wędrowały od szyi ku piersiom.

- Teraz, *chérie*? - wyszeptał niecierpliwie. - Chcesz, żebym cię przeleciał tutaj, od razu?

- Nie tutaj - wyszeptała w odpowiedzi. Propozycja absolutnie me była w jej stylu. - Zaczekaj...

Ale Marcel był już zbyt podniecony. Wsunął dłoń głębiej między jej nogi.

- Nie - wymruczała - chodź ze mną do domu.

- Znakomicie, będziemy mieli całą noc dla siebie. Ale daj się najpierw tutaj przelecieć...

Nagle poczuła, że dreszcz pożądania słabnie i znów odzywa się głos wewnętrzny. Wcale nie chciała być

„przelatywana”

- chciała być kochana. Być może dla Marcela nie było żadnej różnicy, ale dla niej różnica istniała, i to zasadnicza.

Wyczuł, że zaszła w niej jakaś zmiana i kiedy zwolniła uścisk

- nie oponował.

Kiedy jednak zajechali pod jej dom i skinięciem ręki odprawiła portiera, który ruszył otwierać drzwiczki rollsa, zdziwił się na dobre.

- Nie wchodzimy?

- Ja wchodzę. Ty nie.

- Ale...

- Wybacz, Marcel. Nie zamierzałam cię wystawić do wiatru. Wydawało mi się po prostu, że można cofnąć czas i odzyskać utraconą przygodę.

- *Mais, oui*. Ja też tak czułem.

- Myliliśmy się oboje. Sądzę, że rozstając się wtedy, za pierwszym razem, dokonaliśmy właściwego wyboru.

- Skąd wiesz?

- Nazwij to kobiecą intuicją.

- Pete... Piętro... przed chwilą byłeś w moich ramionach i chciałeś mnie. Nie wyprzesz się tego. Myślę, że to nie żadna intuicja, tylko jakieś zahamowania stają nam na drodze. - Wyciągnął ręce w jej stronę. - Spróbujmy dzisiejszej nocy dowiedzieć się, o co w tym wszystkim idzie...

Rozbawił ją czarującą przebiegłością, ale nie dała się przekonać. Odsunęła jego ręce, wzięła wciśniętą w głąb siedzenia statuetkę i sięgnęła do klamki.

- Powiem ci jeszcze, co mi mówi moja intuicja. - Jej ręka zawisała nad klamką. - Kobieta, z którą powinieneś spędzać dzisiejszy wieczór, to ta sama kobieta, z którą dotąd byłeś.

- Andrea? Mówiłem ci przecież, że między nami wszystko skończone.

- Przemawia przez ciebie zraniona duma, ale jeśli uda ci się ją przełknąć, przekonasz się, że nie ma drugiej osoby tak stworzonej dla ciebie jak ona.

Ściągnął brwi z mrocznym wyrazem twarzy. Nie umiała powiedzieć, czy czuł się poirytowany, czy poważnie rozważał jej słowa.

- Zadzwoń do niej - poradziła mu, naciskając klamkę. - Mógłbyś ją wziąć do miasta, do jednego z tych klubów, które tak uwielbia, a w drodze do domu... założę się, że marzy o tym, żebyś ją dopadł na tylnym siedzeniu.

Marcel trwał nieporuszony w ponurej zadumie. Nagle wybuchnął śmiechem.

- Samochody, windy, biurka, podłoga - święta prawda, Andrea gotowa się kochać wszędzie, byle nie w łóżku.

Zawsze mi się to w niej podobało.

- No to... na co czekasz. Powinno się to również odbić korzystnie na interesach. - Wysiadła i zatrzasnęła drzwi.

Otworzył okno.

- Pete - wykrzyknął. - Dziękuję.

Dostrzegła w jego oczach błysk entuzjazmu. Nie ulegało wątpliwości, że pogna zaraz na dół Manhattanu, odszukać Andree. Nie powstrzyma go nic - nawet fakt, że może ją znaleźć w łóżku z innym mężczyzną.

- I jeszcze ostatnia rada - rzuciła w jego stronę. - Postaraj się, chociaż raz, pokochać z nią.

- Jeśli jeszcze pamiętam, jak się to robi - roześmiał się. Rolls ruszył.

Pete weszła do siebie. W przedpokoju paliła się lampa. Zawsze zostawiała ją zapaloną. Nie lubiła wracać do ciemności.

Czteropokojowe mieszkanie znajdowało się w przedwojennym budynku w górnej części Piątej Alei, raptem przecnicę od modernistycznej ślimacznicy Muzeum Guggenheima. Wprowadziła się krótko po zerwaniu z Luke'em. Mieszkanie, wynajmowane, nie własne, jawiło jej się jako coś w rodzaju stacji przesiadkowej, którą w każdej chwili, w razie zmiany życiowej, będzie mogła porzucić. Ale, jak dotąd, nic się nie zmieniło, nic, co by zmuszało ją do zmiany trybu życia. W wysokich pokojach budynku z czerwonej cegły, z uprzejmym portierem, w otoczeniu lokatorów, którzy mieszkali tutaj od dwudziestu czy trzydziestu lat, czuła się swojsko. Z czasem, za stosunkowo niewielką cenę, udało jej się umeblować mieszkanie w stylu wczesnoamerykańskim. Surowość mebli łagodziły miękkie akcenty w rodzaju wielkich poduszek przy kominku.

Jednak tej nocy poczuła, że powinna się niedługo wyprowadzić. Powinna już mieć dom, w którym mogłaby podejmować gości na poziomie odpowiadającym jej pozycji.

A może ten pomysł był tylko dowodem, że gnębi ją pragnienie odmiany innego rodzaju?

Podeszła do okien wychodzących na Piątą Aleję. W dole, jeden za drugim, mknęły samochody. Spojrzała na południe. Tylne światła samochodów zanikały, przechodząc w lśniące, czerwone punkciki. Jeden z tych samochodów należał do Marcela. Mógł być w tej chwili z nią...

Przeszył ją dreszcz samotności. Żeby nie patrzeć w tamtą stronę, przeniosła wzrok na rozpościerającą się na zachód mroczną plamę Central Parku. Na zachód odplynął kawałek jej serca i dotąd nie powrócił.

Gdzie podziewa się tej nocy Luke?

Rozdział drugi

Podniosła głowę znad pliku zaległej korespondencji, odgarnęła z oczu rozwiane wiatrem włosy i rozejrzała się po plaży.

Stali, zwrócenii do siebie półprofilem, jakieś piętnaście metrów od niej. Łagodne fale oceanu zatrzymywały się u ich stóp. Matka słuchała, ojciec mówił założywszy ręce. Był słoneczny, niespotykane ciepły, jak na marzec, dzień. Stali w rozpiętych płaszczach. Jakżeż swobodnie czują się w swoim towarzystwie, pomyślała Pete, jak zwyczajna, przechadzająca się po plaży para, która zażywa uroków wieku średniego. Targnął nią gniew i smutek. Dlaczego nie może tak naprawdę być? Dlaczego nie mogą żyć razem?

Dlatego, że na świecie istnieje zło i matka jest jedną z jego ofiar. To była jedyna odpowiedź.

Z przyjemnością - i nie bez zdumienia - zauważyła, że matka uśmiecha się od ucha do ucha, a następnie odrzuca lekko głowę do tyłu i jednocześnie ze Steve'em wybucha śmiechem.

A więc Pete miała rację, nalegając na spotkanie rodziców. Kiedy wreszcie udało jej się wycisnąć

stosowną obietnicę ze Steve'a, i tak jeszcze zwlekał całymi tygodniami; musiała go błagać i podchodzić na różne sposoby, aż w końcu oskarżyła go, że nie jest człowiekiem honoru. Poddał się, wyznając, że spotkanie jest dla niego koszmarem, którego miał nadzieję za wszelką cenę uniknąć.

- O czym ja będę z nią rozmawiać - zapytywał niespokojnie Pete w drodze do kliniki. - Czy powinienem jej mówić, że jestem szczęśliwy, kiedy spyta, jak mi się żyje? Nie mogę wspominać o Annie, prawda? Powiedzieć jej, że nawet jeśli wyjdzie kiedyś z kliniki, nie będziemy żyć razem?

- Przecież ona wie o wszystkim, tato. Miałam aż nadto czasu, żeby ją przygotować na spotkanie z tobą... i dobrze wie, że nie ma co liczyć na twój powrót.

- No to po cholere ta wizyta - zdenerwował się. - Czego ona się po mnie spodziewa? I ty też?

- Tylko tego, że będziesz potrafił spojrzeć prawdzie w oczy

- odpowiedziała nieugięcie. - Tyle lat minęło od czasu, kiedy widziała cię po raz ostatni i przez cały ten czas walczyła o zachowanie kontaktu z rzeczywistością, ponieważ w młodości przeżyła coś przerażającego. Uważam - podobnie jak jej lekarz

- że twój widok pomoże jej uporządkować wewnętrzny świat, upewni ją, że naprawdę istniejesz. Ponieważ ty w jej życiu byłeś czymś dobrym; jedynym przyzwoitym mężczyzną, który się z nią kiedykolwiek kochał...

Patrząc, jak stoją razem na plaży, pomyślała, że środek okazał się chyba skuteczny. I ojciec, i matka wyglądali na zadowolonych ze swojego towarzystwa.

W równie pogodnym nastroju zawrócili do kliniki napić się kawy w salonie. Wspominali stare, dobre czasy, starannie unikając przykrych tematów. W pewnej chwili Bettina przypomniała sobie broszkę z syrenką, którą dostała od Pete.

- Najcenniejsza z tego, co posiadam - wyznała. - Zawsze ją trzymam w szkatułce pod poduszką. Czy kiedy nasza córeczka robiła dla mnie tę broszkę, pomyślałeś, że przyjdzie dzień, w którym zaczniesz robić biżuterię dla najsztywniejszych kobiet świata? - zwróciła się do Steve'a.

- Gdyby mi przyszło - odpowiedział wesoło - z pewnością miałbym dosyć rozumu, żeby jej nie wmawiać, że bawiąc się kamieniami, traci czas.

Bettina uśmiechnęła się i spojrzała z miłością na Pete, potem na Steve'a.

- Nie mam żalu - powiedziała cicho.

Dawniej tego typu uwagi były dla Pete pozbawione sensu. Sądziła, że są odgłosami wewnętrznego świata Bettiny, do którego nikt oprócz niej nie miał dostępu. Tego dnia jednak zrozumiała, co Bettina mówi. Jej mama mówiła po prostu, że

bez względu na to, co się działo po drodze, nie ma żalu do Steve'a i cieszy się tym, co jej przypadło w udziale.

Zbliżał się wieczór i Bettina odprowadziła ich do samochodu. Słońce kłoniło się ku zachodowi i powrócił zimowy chłód, jakby w powietrzu czuło się również smutek rozstania. Przez krótką, niezręczną chwilę Steve z Bettiną nie wiedzieli, jak się pożegnać, w końcu jednak przygarnął ją łagodnie do siebie i pocałował w jedwabiste włosy. Pete wstrzymała oddech, z obawy, że matka może uczeplić się ojca, próbować go jakoś zatrzymać. Jednak odsunęli się od siebie bez trudu, jak para starych przyjaciół, którzy nie boją się pożegnania, ponieważ spodziewają się wkrótce zobaczyć ze sobą.

- Cieszę się, że przyjechałeś - powiedziała Bettina z błyszczącymi oczami.

- Ja też - odpowiedział.

Usiadł po stronie pasażera a Pete za kierownicą. Kiedy odjeżdżali, Bettina stała na podjeździe, machając im ręką z uśmiechem.

W drodze powrotnej do Nowego Jorku Steve jechał zamyślony. Pete nastawiła radio na lekką muzykę i nie zmuszała go na siłę do konwersacji. Zdawała sobie sprawę, że ojciec musi przetrwać spotkanie z matką, której nie widział od tylu lat.

- Znakomicie wygląda. Wierzyć się nie chce, że się tak mało zmieniła - zauważył, kiedy się ściemniło.

- Mama zawsze była piękną kobietą, w dodatku w klinice czas jakby stanął. Jeden dzień nie różni się tutaj od drugiego.

Steve potakiwał w zamyśleniu, patrząc przez okno na pobocze drogi. Tym razem jednak Pete nie dała mu wycofać się w milczenie.

- Nie żałujesz, że przyjechałeś, prawda? Nie bujałeś, mówiąc, że się cieszysz?

- Cieszę się, bo, jak słusznie zauważyłaś, trzeba to w końcu było zrobić. Boję się jednak, że twoja matka wyniesie z tego więcej szkody niż pożytku.

- Szkody? - powtórzyła zdumiona. - Tato przecież ona się dzisiaj śmiała. Udało ci się ją rozbawić, to wielka rzadkość. Co jej takiego powiedziałeś?

- Przypomniałem jej naszą pierwszą randkę. Zobaczyła wit-

rynę pełną butów i miała ochotę dosłownie na każdą parę. W tamtych czasach, naturalnie, nie stać mnie było na wiele. Weszliśmy jednak do sklepu, gdzie kupiłem jej parę botków na futerku oraz pantofle. Dziś dopiero przyznałem się mamie, że spłukałem się wtedy co do grosza. Myślę - dodał ciężkim od smutku głosem - że już wtedy musiałem być w niej zakochany.

- Dlaczego sądzisz, że wizyta mogła jej zaszkodzić? Wydawała się taka szczęśliwa...

- Powiedziałaś, że nie muszę ukrywać prawdy... no więc nie ukrywałem. Obawiam się jednak, że mogła nie być aż tak gotowa na jej przyjęcie, jak ci się wydawało. Powiedziała, że wie od ciebie o

istnieniu Anny i że wszystko rozumie - trudno spodziewać się, żebym spędzał samotnie te wszystkie lata.

- Ja odniosłam wrażenie, że pogodziła się stanem rzeczy.

- To jeszcze nie wszystko - wyznał Steve przygnębiony.

- Mówiła też o tym, jak cudownie będzie, kiedy znowu będziemy razem... i o tym, jak bardzo liczy na to, że ta druga kobieta wyrozumiale odniesie się do mojego powrotu do żony.

- O, nie - westchnęła bezsilnie Pete.

- Musiałem jej wreszcie powiedzieć, chyba mnie rozumiesz? Musiałem jej powiedzieć, że nigdy nie będziemy razem. Że liczę na to, że na zawsze zostaniemy przyjaciółmi... ale nie może liczyć na... - Przez chwilę nie mógł słowa wykrztusić z przejęcia.

- Czy miałem rację? - spytał błagalnym tonem. - Czy słusznie powiedziałem jej jak jest naprawdę? Czy może powinienem był ją okłamywać, pozwalając, żeby dalej snuła nierealne plany?

Nagle Pete poczuła, że koncentrowanie się na szosie jest ponad jej siły. Zjechała na pobocze, zaciągnęła hamulec i zgasiła silnik. Splotła ręce na kierownicy i oparła na nich głowę.

- Pietrino? - dopytywał się zaniepokojony Steve. Podniosła wreszcie głowę.

- Nigdy nie przestawałam wierzyć, że wreszcie wyzdrowieje. Musiałam w to wierzyć, inaczej... to by było tak, jakbym pozwalała jej odejść, nieomal zgadzała się na jej śmierć. Jednak twoje słowa uprzytomniły mi, że chyba nigdy nie wyzdrowieje. Daje sobie radę tylko w bezpiecznym mikroświatku, który ją otacza. Gdyby jednak przyszło jej kiedykolwiek zmierzyć się z prawdziwym życiem, załamałaby się z powrotem.

- Czy powinienem był ją okłamywać? - powtórzył po chwili swoje pytanie Steve.

- Nie sędzę, tato - powiedziała biorąc go za reke. - Trudno powiedzieć na pewno, ale sędzę, że najlepiej dla nas wszystkich będzie, jeśli będziemy wobec siebie szczerzy i nie będziemy mieli żadnych tajemnic przed sobą. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybyśmy tak od samego początku postępowali. Gdyby Opa nie ukrywał przed tobą tego, co przeżyła mama... gdybyś ty nie zataił przed nimi istnienia skarbu. Ja też nie jestem bez winy. Kto może wiedzieć, co by było, gdybyśmy sprzedali naszą połówkę flakonika - zamiast ją ukrywać - i przeznaczili te pieniądze na leczenie mamy i dostatniejsze życie. Być może wszystko potoczyłoby się wtedy inaczej...

Zapadła noc. W samochodzie zapanowała cisza. Pete z powrotem włączyła radio. Znow w milczeniu połykali kolejne mile.

Zapadła noc. W samochodzie zapanowała cisza. Pete z powrotem włączyła radio. Znow w milczeniu połykali kolejne mile.

Widać już było światła Nowego Jorku, kiedy Steve zdecydowanym ruchem wyłączył radio.

- Jest jeszcze jedna rzecz, którą przed tobą ukrywałem, bo bałem się, że ta wiadomość wywoła w tobie, tak jak we mnie, tylko frustracje i ból. Jednak przemyślawszy to, co powiedziałaś dzisiaj... uznałem, że masz rację, najdroższa Pietrino. Pora skończyć ze wszystkimi tajemnicami.

Pani Hubertowa Crozier, Carolina, a dla najbliższych przyjaciół - i dziennikarzy plotkarskich rubryk towarzyskich -

Caro - mieszkała w budynku na rogu Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy i Piątej Alei, zajmując dwupoziomowe mieszkanie, tuż nad apartamentem należącym do Jacqueline Onassis. Rankiem, w dziesięć dni po podróży do Connecticut, Pete i Steve wkroczyli do apartamentu Crozierów, wpuszczeni przez nienagannie ubranego angielskiego lokaja. Zaprowadził ich prosto do salonu, zastawionego wielką ilością bezcennych angielskich i francuskich antyków. Z okien roztaczał się imponujący widok na Central Park.

- *Madame* Crozier przyjdzie za chwilę - zapowiedział lokaj i wyszedł.

Pete przysiadła na krytej złotym brokatem sofce. Steve podszedł do okna. Był wyraźnie zdenerwowany.

Czyżby zaczął żałować, że rozpętał te poszukiwania? A może z góry denerwował się, że trafią na kolejny fałszywy trop? Kto wie, czy pamięć go nie zawiodła i czy naszyjnik, który widział na fotografii przed pięcioma laty, okaże się tym samym naszyjnikiem, który przed czterdziestoma laty oglądał w rękach matki.

Mimo tych wszystkich wątpliwości, Pete ruszyła bezzwłocznie do dzieła, kiedy tylko Steve przyznał się do swoich podejrzeń, że naszyjnik na fotografii w katalogu kolekcji Haines pochodzi z kolekcji La Colomby. Słuchając jego opisu, doszła do wniosku, że musiał to być ten sam naszyjnik, który wywołał zartą licytację między Andreą a jej ojcem. Od tamtej chwili minęło sporo czasu i wiele szczegółów aukcji zatarło się w jej pamięci. Nie mogła już sobie przypomnieć, kto z tych dwojga w końcu zwyciężył. Jednak wygrzebała katalog na którejś z półek i odkryła na marginesach własne notatki z nazwiskami kupców i cenami eksponatów. Na stronie z numerem aukcyjnym naszyjnika odnalazła nakreśloną ołówkiem uwagę „Dufort & Ive-res - 250 000”. Dopiero wtedy przypomniała sobie wszystko do końca. Oczywiście, naszyjnik kupiła - za pieniądze Marcela

- Andrea.

Natychmiast zadzwoniła do Marcela spytać o dalsze losy naszyjnika. Z początku zachowywał się nieufnie, jakby była konkurentką, która mogłaby wykorzystać informacje, których jej nieroztropnie udzielił. W końcu jednak zmiękł.

- Dobrze, powiem ci, Pete - oświadczył - ponieważ wierzę w naszą przyjaźń. Kiedy ostatni raz widzieliśmy się, udzieliłaś mi bardzo cennej rady.

- Zawsze ci udzielałam bezcennych rad - potwierdziła.

- A najcenniejszej udzieliłam ci przy naszym pierwszym spotkaniu... proponowałam ci wtedy, żebyś

mnie zatrudnił.

Przez telefon dobiegł ją śmiech Marcela.

- Racja. Niestety, musiało trochę wody upłynąć, zanim zacząłem cię słuchać z uwagą. - Następnie poinformował

Pete, że wrócili do siebie z Andreą.

- To cudownie, Marcel. Tym razem powinieneś już przypieczętować ten powrót ślubem.

- Wierzyłem dotąd - zripostował z udanym niesmakiem - że udzielasz wyłącznie dobrych rad.

Pete mówiła najpoważniej w świecie, ale nie upierała się przy swoim. Zależało jej głównie na informacji o losach naszyjnika ze szmaragdów i szafirów.

Nabywcą naszyjnika, zdradził Marcel, był międzynarodowy bankier, Hubert Crozier, który zdążył już zejść z tego świata. Pete zadzwoniła natychmiast do wdowy po bankierze, jednak powiedziano jej, że *madame* Crozier przez najbliższe parę tygodni będzie nieuchwytna, gdyż bawi na jachcie swoich przyjaciół.

Pete skontaktowała się z nią zaraz po powrocie i natychmiast wyłuszczyła swoją sprawę. Oporna z początku Caroline, zgodziła się wreszcie na spotkanie.

Steve-i Pete czekali przez dziesięć minut, nim do salonu wkroczyła zamaszycie Caroline Crozier. Z posagową figurą i siwymi, starannie ułożonymi włosami, roztaczała wokół siebie atmosferę *noblesse oblige*. Czuło się, że gotowa jest poświęcić kilka minut na to spotkanie, mimo że ma wiele znacznie ważniejszych zajęć na głowie. Pete z ulgą dostrzegła w jej ręce zieloną szkatułę krytą aksamitem.

- Pani prośba przez telefon wydała mi się cokolwiek niecodzienna - wyznała po wzajemnych prezentacjach pani Crozier, zasiadając naprzeciwko Steve'a i Pete. - Jakbym słuchała bajeczki wymyślonej przez złodzieja drogocенności, który usiłuje się wkłęcić do mojego domu.

- Pani Crozier - uniosła się Pete. - Zapewniam panią...

- Ależ wiem, kim pani jest, panno D'Angeli. W przeciwnym razie nigdy nie zgodziłabym się przychylić do pani prośby. Prywatne pokazy najcenniejszych klejnotów nie należą do moich zwyczajów. Tak czy owak, zamierzałam się spotkać z panią i porozmawiać o ewentualnym zamówieniu.

- Jestem do pani usług - oświadczyła Pete, licząc jednak, że rozmowa nie przerodzi się w naradę nad zamówieniem pani Crozier.

- Bardzo się cieszę - *madame* Crozier z zadowoleniem przyjęła jej słowa.

- A to jest właśnie to, co pani chciała zobaczyć. - Podała Pete zieloną aksamitną szkatułę.

Drżącymi dłońmi Pete podniosła pokrywkę. W środku, na poduszeczce z połyskliwego jedwabiu barwy kości słoniowej, owinięty wokół specjalnej formy, spoczywał naszyjnik. Szafiry i szmaragdy, tysiące faset odbijających sączące się przez okno jasne światło poranka. Pokój zatonał w powodzi krzyżujących się promieni jaskrawej zieleni i błękitu. Blask był tak intensywny, jakby cały pokój znalazł się pod wodą.

- Czy to jest to, tato? - Pete podała szkatułę ojcu.

Steve wpatrzył się w naszyjnik, po czym ostrożnie, jakby się bał, że się sparzy, wyciągnął rękę i dotknął ozdobnej literki C przy zapięciu.

- Colomba - wymruczał pod nosem, wiodąc palcem po literce. Podniósł błyszczący wzrok na Pete. - Tak -

oświadczył. - Jestem pewien.

- Pani Crozier, ten naszyjnik jest jedynym śladem, który może naprowadzić nas na trop zaginionej kolekcji, należącej niegdyś do mojej babki...

- Przepraszam bardzo, ale nabyłam go w sposób jak najbardziej legalny... - wpadła jej w słowo pani Crozier.

- Nie wątpię w to ani trochę - pospieszyła Pete z zapewnieniem. - Może jednak wie pani cokolwiek na temat naszyjnika - może przychodzi pani coś do głowy...

- Bardzo mi przykro, panno D'Angeli. Wiem tylko tyle, że pochodzi z kolekcji Dorothy Fisk Haines i przeszedł przez ręce Marcela Iveresa, który sprzedał mi go, nawiasem mówiąc, za dość słońną cenę. Zawsze, kiedy go zakładam, wzbudza wielki podziw. Sporo osób w ciągu tych paru lat pytało, czy nie zechciałabym go sprzedać.

Pete wzięła głęboki oddech.

- Wobec tego, pozwoli pani, że ja też o to zapytam. Czy byłaby pani skłonna mi go odprzedać?

Steve gwałtownie odwrócił się, patrząc na Pete z niedowierzaniem.

Ledwie wypowiedziała te słowa, sama zaczęła się zastanawiać, co ją napadło. Nie wątpiła, że Marcel sprzedał

naszyjnik ze sporym zyskiem, a przez te wszystkie lata ceny na rynku kamieni szlachetnych ostro podskoczyły w górę. Teraz cena naszyjnika mogła dochodzić do ośmiuset tysięcy dolarów.

Była jednak zdecydowana oddać wszystko, co miała, pod zastaw hipoteczny, żeby zdobyć jedyne ogniwo łączące ją z utraconą przeszłością. Gotowa była zaprojektować w zamian za darmo tuzin sztuk biżuterii dla Caroline Crozier.

Niemniej z zaprawioną żalem ulgą patrzyła, jak gospodyni kręci odmownie głową.

- To ostatni podarunek, jaki dostałam od męża przed jego śmiercią. Nigdy się go nie pozbędę.

Przed odejściem Pete wymusiła na pani Crozier pozwolenie na sfotografowanie naszyjnika. Na spotkanie przyniosła ze sobą miniaturową trzydziestkę piątkę ze specjalnym obiektywem. Udało jej się wykonać parę bardzo dokładnych zbliżeń, ukazujących maestrię, z jaką kamienie zostały osadzone w naszyjniku, jak również sam naszyjnik z przodu, z tyłu, wreszcie -zapięcie. Choć nie wydawało się to specjalnie prawdopodobne, jednak mogło się zdarzyć, że spotka kiedyś kogoś, kto dzięki tym zdjęciom pomoże jej trafić na trop kolekcji.

Wyszli ze Steve'em z budynku, przeszli na drugą stronę ulicy i weszli do Central Parku. Mimo że ich wizyta nie przyniosła żadnych konkretnych rezultatów, Pete była w dziwnie optymistycznym nastroju. Być może jej nastrój należało złożyć na karb wiosny i zielonej mgiełki, która właśnie zaczynała okrywać nagie gałęzie drzew.

- Siedziałem z duszą na ramieniu, kiedy zaproponowałaś jej odkupienie naszyjnika - odezwał się Steve. - Strach pomyśleć, co by było, gdyby się zgodziła.

- Jestem pewna, że dałabym jakoś radę.

- Domyślam się, że tak. - Przyjrzał się jej uważnie. - Tego jednak najbardziej się boję, Pete - że zaangażujesz się w to poza granice rozsądku.

- Daleka jestem od czegoś takiego - zapewniła z uśmiechem.

- W tej chwili zaszliśmy w ślepią uliczkę. Naszyjnik bez wątplenia należał do mojej matki. Tu jednak łańcuch się urywa...

- Tylko w jednym kierunku - zwróciła mu uwagę.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Próbowałam prześledzić jego dalsze losy, z czego nic nie wynikło. - Zapatrzyła się na wierzchołki drzew, na błękitne kwietniowe niebo. - Teraz zamierzam pogrzebać w przeszłości.

W następnych tygodniach każdą wolną od pracy chwilę poświęciła próbom odnalezienia śladu, który naprowadziłby ją w jakiś sposób na trop Vittoria D'Angeli. O ileż łatwiejsza byłaby jej praca, gdyby ojciec parę lat wcześniej powiedział jej o swoim odkryciu w katalogu. Wykonawcy testamentu Dorothy Fisk Haines, która powierzyła swoją kolekcję domowi aukcyjnemu Christie'ego, mogli dostarczyć jakichś informacji o pochodzeniu kolekcji. Niestety, Dorothy Haines zmarła bezpotomnie, a jej posiadłości uległy całkowitej likwidacji. W dokumentacji ślad się urywał.

Mimo to Pete powieliła zdjęcia naszyjnika i wysłała je do Londynu, do działu biżuterii Christie'ego, z listem, w którym przypomniła szczegóły genewskiej aukcji, wyjaśniła swoje zainteresowanie naszyjnikiem i pytała o adresy i nazwiska osób, które zajmowały się przekazaniem kolekcji Haines. Kolejne kopie fotografii porozsyłała swoim stałym klientom w podeszłym wieku, mężczyznom i kobietom, którzy od lat interesowali się biżuterią i mogli jeszcze pamiętać, czy ktoś im proponował im naszyjnika, zanim nabyła go Dorothy Haines. Z podobną prośbą zwróciła się do pośredników

handlowych na całym świecie. Pamiętając, że Antonio Scappa wykazywał szczególne zainteresowanie jej naszyjnikiem, a także zważywszy na fakt, że jego poszerzająca się nieustannie sieć kontaktów zawodowych obejmowała bardzo licznych europejskich jubilerów, kupców i kolekcjonerów, Pete zdecydowała się jemu również przesłać fotografie naszyjnika, prosząc serdecznie o pokazywanie ich komu się tylko da - zwłaszcza przedstawicielom starszej generacji - z nadzieją, że uda się odnaleźć wreszcie jakiś trop.

Starania te początkowo nie przyniosły żadnych rezultatów. Napływały listy od różnych osób, które uprzejmie zawiadamiały, że chętnie przyszyłyby z pomocą, jednak nie mają żadnych interesujących informacji. Część ludzi uznała jej prośbę za beznadziejną i nie pofatygowała się nawet z odmowną odpowiedzią. Scappa odpowiedział

uprzejmie, że jednak me potrafi pomóc.

Droga Signorino D'Angell

Dopiero oglądając nadesłane fotografie przypomniałem sobie o istnieniu naszyjnika Haines. Z tego, co pani pisze, wynika, że

tyle lat minęło od kiedy był na rynku jubilerskim, iż odkrycie, kto był jego właścicielem przed Dorothy Haines, wydaje mi się zadaniem dosyć beznadziejnym. Niemniej, rozumiejąc sentymentalny charakter pani zainteresowań, przy każdej nadarzającej się okazji będę wypytywał w tej sprawie.

Zastanawiające, dlaczego tak podkreśla, że nie pamięta naszyjnika - pomyślała Pete. Czy możliwe, żeby zapomniał

coś, o co stoczył aż tak zażartą walkę ze swoją córką? A może właśnie dlatego wymazał go z pamięci?

Podejrzewała, że z tej samej przyczyny nie kiwnie palcem w jej sprawie. Być może dlatego, że pracowała kiedyś dla Marcela, którego nienawidził za związek z Andream, ją również zalicza do swoich wrogów? Cóż, jeśli nawet tak jest, nic nie może zrobić, aby ją powstrzymać.

W połowie maja nastąpił pierwszy przełom w jej poszukiwaniach. Poranną pocztą do biura Pete napłynął list od Chris-tie'ego, informujący, że w archiwach odnaleziono nazwisko sir Rogera Perkinsa Enfielda, adwokata, który był

pierwotnym wykonawcą testamentu Haines. W liście załączono jego londyński adres i numer telefonu.

Pete wręczyła list Lottie, żądając żeby natychmiast zamówiła rozmowę przez Atlantyk.

- U nas jest o pięć godzin później, Pete. Pan Enfield będzie teraz zapewne na lunchu...

- To dowiedz się, gdzie się stołuje, i zadzwoń tam. Nie jestem w stanie czekać ani minuty dłużej. Już i tak jestem spóźniona o pięć lat. Kiedy w parę minut później na jej biurku zabrzączał wewnętrzny

telefon na znak, że sekretarka uzyskała połączenie, Pete z entuzjazmem chwyciła za słuchawkę. Obowiązkowa Lottie, zapewne zgodnie z poleceniem, złapała adwokata przy lunchu.

Ale głos, który odezwał się po drugiej stronie słuchawki, nie miał wcale brytyjskiego ani w ogóle obcego akcentu.

Natychmiast rozpoznała doktora Haffnera.

- Witaj, Pete - powiedział i urwał. Przeszedł ją dreszcz. - Czy siedzisz na czymś?

Odgadła, zanim powiedział. Dawniej modliła się, żeby taki

koniec został oszczędzony jej matce, z czasem jednak wydał jej się nieuchronny.

Spokojnie słuchała relacji doktora Haffnera. Bettina odebrała sobie życie tuż po świcie. Zwlekał z telefonem, którego wymagała policyjna procedura, żeby nie budzić jej tak straszną wiadomością.

- Jak to się stało? - spytała w końcu.

- Ubrała się i zeszła na plażę. O tej porze nie ma tam żadnego strażnika. Ogródzenie zawsze wydawało się wystarczającym zabezpieczeniem. - Jednak twoja matka przeszła na drugą stronę... i po prostu weszła do oceanu.

Bardzo mi przykro, Pete. Powinniśmy lepiej zadbać o jej bezpieczeństwo.

- W porządku, doktorze - powiedziała cicho Pete. - Teraz jest już bezpieczna. - Po omówieniu przygotowań pogrzebowych, odłożyła słuchawkę.

Siadła przy biurku z wizją matki wkraczającej powoli w chłodne, błękitne wody oceanu. Przypomniała sobie, że dla Bettiny ocean zawsze był symbolem szczęścia, przypomnieniem szczęśliwych, przedwojennych lat.

Zaczęła płakać. I znowu pojawiła się wizja, tak dokładna i wyrazista, jakby Pete była w tej chwili na plaży.

Zobaczyła, jak matka, starannie ubrana i uczesana, w ukośnych promieniach wschodzącego słońca kroczy z wolna w stronę migoczących fal, a na jej piersi połyskuje syrenka od Pete.

Rozdział trzeci

Cmentarz położony był niedaleko kliniki na paru akrach starannie utrzymanego, porośniętego drzewami zbocza, nachylonego w stronę połyskliwych wód cieśniny Long Island. Płynące po niebie chmury zasłaniały co chwila słońce. Na przemian ściemniało się i rozjaśniało. Słony wiatr od oceanu szeleści! liśćmi i skłaniał trawy ku ziemi.

Bardzo odpowiednie miejsce na ostatni spoczynek mamy, myślała Pete, słuchając psalmu dwudziestego trzeciego, intonowanego nad trumną w ojczystym języku matki. Josef poprosił kolegę z

klubu, emerytowanego pastora holenderskiego Kościoła Zreformowanego o przyjazd do Connecticut i poprowadzenie ceremonii.

Przy grobie, oprócz Josefa, Pete i Steve'a, zgromadzili się doktor Haffner, parę osób personelu kliniki oraz garstka pacjentów, z którymi Bettina była szczególnie zaprzyjaźniona, a których uznano za dostatecznie zrównoważonych, aby pozwolić mi wziąć udział w pogrzebie. Jess stawiałaby się bez wątpienia, ale dwa tygodnie wcześniej wyjechała z Fernandem do Kenii na fotosafari i Pete ani myślała zawracać ich z podróży. Chociaż śmierć matki była wielką osobistą stratą dla Pete, patrząc na szczupłe grono żałobników nie mogła się powstrzymać od bardzo przyziemnej refleksji. Ten dzień miał być ostatnim akordem, pożegnaniem kobiety, która przeszła przez życie nie zostawiając po drodze prawie żadnych śladów. Trumnę opuszczono do grobu. Żałobnicy podchodzili po kolei, rzucając symboliczną garść ziemi, ściskali rękę Pete i schodzili ze wzgórza do swoich samochodów.

- Nie powinnaś sobie robić żadnych wyrzutów - powiedział doktor Haffner, podchodząc do Pete. - Zbyt daleko zabrnęła w piekło, aby móc się wycofać. Nikt jednak przez te wszystkie lata nie zrobił dla niej więcej niż ty. Byłaś najjaśniejszym promykiem jej życia.

Pocałowała go, tak jak przy pierwszym spotkaniu, i doktor zaczął schodzić ze wzgórza.

Steve i Josef zostali z Pete, jednak stali po dwóch stronach grobu, a kiedy ich oczy spotkały się nad prostokątnym, ciemnym otworem, rozbłysła w nich zawziętość i nienawiść. Przybyli w osobnych samochodach i nie złożyli sobie wzajemnie kondolencji, chociaż dzieliło ich raptem parę stóp.

Szykowali się już do odejścia, kiedy zatrzymał ich podniesiony głos Pete.

- Cała moja rodzina to wy - zwróciła się do nich. - Obaj. Przez te wszystkie lata, kiedy mama była chora, byliście pełni wzajemnych oskarżeń i nienawiści. Mogliście być wzajemnie oparciem dla siebie - i dla mnie też - ale nie skorzystaliście z tej możliwości. W pewnym sensie byliśmy z mamą przez was opuszczone. Ale mama odeszła i zostałam sama. Nie mam już nikogo, a chcę mieć z powrotem rodzinę. Musicie skończyć tę idiotyczną waśń. - Steve i Josef przystanęli, nadal jednak stali zwróceni do siebie plecami. Potrzebuję was - dodała, łamiącym się głosem. -

Obydwo. Wyciągnęła ręce w ich stronę.

Zawahali się obaj, po czym zawrócili, biorąc Pete za ręce i tuląc do siebie. W końcu puścili ją, nadal patrząc na siebie spod oka.

Pierwszy odezwał się starszy mężczyzna.

- Pete ma rację, Steve. Czy znajdziesz w sobie tyle serca, żeby mi wybaczyć, że nie powiedziałem ci całej prawdy?

Steve zawahał się nieznacznie, po czym skinął głową.

- Wybaczam ci, bo kierowała tobą miłość do Bettiny.

- Wierzyłem, że potrafisz ją uszczęśliwić.

- Bóg jeden wie, jak bardzo żałuję, że tak się nie stało. Przyjrzeni się sobie bacznie. Z ich oczu zniknął płomień nienawiści i wzajemnych pretensji.

- Zostawcie mnie teraz samą na chwilę - poprosiła Pete. Ruszyli ramię w ramię w dół wzgórza. Odprowadziła ich zadowolonym wzrokiem, po czym odwróciła się w stronę grobu, by przez chwilę pożegnać się z matką.

Mamo, łkała w milczeniu, czy mogłam coś jeszcze zrobić dla ciebie, czy mogłam cie jakoś uratować?

Uspokajającą odpowiedź usłyszała tak wyraźnie, jakby przemówił do niej oddalający się duch matki. Odwróciła się i zaczęła schodzić ze wzgórza. Na widok postaci stojącej w cieniu pobliskich drzew zamarła. Serce zaczęło jej łomotać w piersi, jakby rzeczywiście duch powstał z grobu.

- Samolot miał opóźnienie - wyjaśnił. - Przykro mi, że nie zdążyłem na najważniejsze chwile, ale mam nadzieję, iż nie masz mi za złe mojego przyjazdu.

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale głos ugrzązł jej w gardle i mogła jedynie pokręcić przecząco głową. Za złe?

Nigdy jeszcze nie ucieszyła się tak bardzo na czyjś widok.

Wyszedł z cienia i zbliżył się do niej. Pierwszy raz widziała go w czarnym, skromnym garniturze.

- Zadzwoił do mnie doktor Haffner. Domyślał się, że będzie ci ciężko i sądził, że obecność starego przyjaciela może ci chociaż trochę poprawić humor.

Starego przyjaciela, powtórzyła w myślach. No tak, rzeczywiście był jej starym przyjacielem... ale nie tylko. W

każdej innej sytuacji zalałaby go potokiem pytań. Skąd przyjeżdża? Na jak długo? Czy przyjechał sam? Czy ktoś niecierpliwie wypatruje jego powrotu?

Jednak uśmiechnęła się tylko, mówiąc,

- Cieszę się, że przyjechałeś.

Kiedy się zbliżył, zauważyła jak bardzo zmienił się przez ostatnie kilka lat - czas wyłobił bruzdy na jego czole i twarzy, posiwiały końce kasztanowych włosów. Przemknęło jej przez myśl, że nie tyle się postarzał, co jedynie nabrał pewnej stateczności.

Doszedł do niej, nachylił się i leciutko pocałował w policzek. Czując delikatny dotyk jego ust, z trudem powstrzymała się, żeby nie objąć go i nie przygarnąć do siebie. Zbyt mało o sobie wiemy, upomniała się jednak.

Wziął ją pod rękę i zaczął prowadzić na dół, w stronę samochodów. Iść tak u jego boku wydało jej się nagle naj-

naturalniejszą rzeczą na świecie. Miała wrażenie, że nigdy się nie rozstawali, a już z pewnością nie na parę lat.

Jeszcze raz zaczął przeproszać za spóźniony przyjazd.

- Trzymali nas Bóg wie ile czasu nad lotniskiem. Byłbym szybciej doleciał sam.

- Masz jeszcze ciągle swój samolot? - Zalała ją fala wspomnień, podniebne loty, weekendowe wypadki. Jak mogła z tego zrezygnować?

- Parę lat temu przerzuciłem się na dwusilnikowy - wyjaśnił. - Dalszy zasięg. Używam go głównie w celach służbowych, me dla przyjemności. - Obdarzył ją cierpkim spojrzeniem - Tak, jakby się człowiek wystroił i nie miał

dokąd pójść.

Czyżby dawał jej do zrozumienia, że dotąd nie znalazł żadnej kobiety?

Doszli do drogi, przy której czekały dwie wynajęte przez Pete limuzyny. Przyjechała jedną z Josefem; w drugiej jechał Steve. Zobaczyła, że dziadek w dalszym ciągu rozmawia z ojcem.

Przerwali rozmowę, żeby przywitać się z Luke'em.

- Steve mówi, że trafiliście na naszyjnik z kolekcji jego babki. Musicie mi też pokazać te zdjęcia i informować na bieżąco. Może będę mógł wam pomóc.

- Naturalnie, Opa - rzuciła lekkim tonem, w głębi duszy jednak była bardzo poruszona. Nie sądziła wprawdzie, żeby Josef miał dostęp do jakichś rewelacyjnych wiadomości, jednak jego propozycja stanowiła dowód, że naprawdę gotów był wybaczyć błędy przeszłości. Dziadek zawsze potępiał decyzję Steve'a, żeby zachować flakonik i po ten dzień nie chciał o całej sprawie w ogóle słyszeć. Chwilowo jednak nie mieli mu nic więcej do powiedzenia. Próby kontaktu z egzekutorem testamentu Haines spełzły na niczym. Adwokat, kawaler, zamknął przed paru laty londyńską praktykę i osiadł w miejscu bardziej słonecznym, niż jego ojczyzna. Lottie daremnie usiłowała go odszukać.

Niemniej propozycja Josefa ośmieliła Pete.

- Nie moglibyście pojechać jednym samochodem? - spytała dziadka i ojca. - Strasznie długo nie widziałam Luke'a i chciałabym z nim trochę pobyć sama.

Obaj panowie obrzucili się nieufnym spojrzeniem, po czym

skinęli głowami i wsiedli do jednej limuzyny, skazując się na wspólną podróż do samego Nowego Jorku.

Kiedy zasiadła obok Luke'a na tylnym siedzeniu limuzyny, opadło z niej nagle napięcie ostatnich dni, spędzonych na przygotowaniach do pogrzebu, niespokojnych nocy, pełnych dręczących snów z unoszącą się w wodzie matką.

Starala się trzymać mocno, żeby nie obciążać dodatkowo dziadka. Teraz też miała nadzieję, że uda jej się zachować opanowanie i spokojnie porozmawiać z Luke'em. Zaledwie jednak samochód wyjechał za bramę cmentarza, odkryła, że tonie w łzach, oplakując tragiczną dolę matki.

Lukę objął ją, przytulił i podał chusteczkę do nosa. Nie było piersi, na której chciałaby się bardziej wypłakać. Kiedy, po pół godzinie, zabrakło jej wreszcie łez, odsunęła się od Luke'a. Zaczęli gawędzić, każde o swojej pracy, o Robbym, który ożenił się z Kalifornijką i został właśnie ojcem po raz drugi.

- Pete - powiedział w końcu - trudno o smutniejszy pretekst, więc proszę, nie zrozum mnie źle, ale przy tobie czuję się jakbym wracał do zdrowia po ciężkiej chorobie. Setki razy chciałem chwycić za słuchawkę albo wskoczyć w samolot i przylecieć, jak dziś.

- Czemu tego nie zrobiłeś?

- Zawsze w końcu stchórzyłem. Cokolwiek by mówić, to w końcu ty dałaś mi kosza, a po tak długiej przerwie nie wiedziałem, na co się natknę. Mogłaś się zaręczyć albo wyjść za mąż, czy nawet... spodziewać trzeciej pary bliźniąt.

Nie chciałem ryzykować.

- Chcesz powiedzieć, że nie przyjechałbyś z innego powodu niż pogrzeb mamy?

- Bez względu na wszystko przyjechałbym złożyć ci moje kondolencje, ale byłoby mi o wiele ciężiej, gdybym nie mógł liczyć na to, że coś się między nami jeszcze uda uratować.

- Skąd wiesz, że się uda? Poza tym, że nie mam przy sobie bliźniąt, co jeszcze potrafisz o mnie na pierwszy rzut oka powiedzieć? - spytała.

Wzruszył niechętnie ramionami.

- Haffner nie wzywałby mnie, gdybyś miała kogoś. Zresztą, pozwoliłem sobie zadać mu parę pytań. Powiedział, że nadal

odwiedzałaś matkę prawie co weekend, nigdy nie towarzyszył ci żaden mężczyzna... ani też ona nigdy nie chwaliła się nikomu nowym zięciem. Wszystko to dodało mi odwagi.

Wzruszyło ją jego wyznanie, jednak nie zamierzała dać się, rozbroić. Nadal kochała Luke'a, a jego słowa me pozostawiały wątpliwości, że ona również nie jest mu obojętna. Skoro jednak byli sobie przeznaczeni, dlaczego ich rozstanie trwało tak długo? Trudno jej było zapomnieć, że w życiu kierował się niewzruszonymi zasadami, oskarżał

ją o wykonywanie pracy błahej czy też wręcz szkodliwej.

Jednak chwilowo me czuła się na siłach stawiać czoło jego zarzutom. Kiedy był przy niej i przytulał ją, czuła się jak spragniony wędrowiec, który dotarł do oazy. Pozwoliła sobie na relaks, pozwoliła sobie nie troszczyć się chociaż przez chwilę o dzień jutrzejszy. Wkrótce zasnęła z głową na ramieniu

Luke'a.

Obudziła się już w Nowym Jorku, zaledwie parę przecznic od swojego mieszkania.

- Czy mogę cię zaprosić na obiad? - spytał, kiedy siadła prosto, przeciągając się.

- Dziękuję, nie mam jakoś apetytu. Chodźmy do mnie, możemy sobie coś zrobić do jedzenia - dodała po chwili wahania.

Ledwie przekroczyli próg mieszkania, zaczęła krzątać się nerwowo, zbierając pocztę, gazety i naczynia, nietknięte od paru dni. Nasypała lodu do kubelka, spytała, czego się napije, po czym, nie czekając na odpowiedź, zaczęła buszować w lodówce, z zamiarem wykonania smakowitej przekąski.

Wszedł do kuchni, zatrzasnął drzwi lodówki i przyciągnął Pete do siebie, tak że musiała mu spojrzeć prosto w twarz.

- Ja też nie jestem głodny ani nie chcę nic pić, wobec czego może przestałabyś ganiać w kółko, po to tylko, żeby uciec ode mnie.

Posłuszna impulsowi, któremu dotąd nie chciała się poddać, zarzuciła mu rękę na szyję i sięgnęła ustami do jego ust.

Minione dni, spędzone pod dyktando śmierci, wywołały w mej gwałtowną, ucieleśnioną w seksie, potrzebę afirmacji życia. Ogarnęła ją neodparta potrzeba zbliżenia, potrzeba, której nie usiłowała nawet ukryć. Tuląc się namiętnie do Luke'a, zaczęła ściągać z mego marynarkę. Reagował na każde jej dotknięcie, usiłując ją również rozebrać, błędząc jednocześnie ustami po dekolcie Pete w kierunku stromej wyniosłości piersi.

Jęknęła niecierpliwie i zaczęła rozpinąć jego pasek, wsunęła dłoń w slipy, przejechała po twardym, płaskim brzuchu, starając się uchwycić Luke'a. Nigdy jeszcze nie czuła się aż tak podniecona, niezdolna czekać ani chwili...

W pierwszym odruchu chciała zignorować dzwonek telefonu. Nie przerwała gwałtownych pieszczot i gdyby mogła, zdjęłaby słuchawkę z widełek albo wyrwała sznur z gniazdka.

Jednak aparat znajdował się poza zasięgiem jej ręki, tymczasem rzeczywistość uporczywym brzęczeniem domagała się, żeby zwrócić na nią uwagę. Przyszło jej do głowy, że mogło to być coś pilnego - na przykład Opa poczuł się źle po przeżyciach trudnego dnia...

Puściła Luke'a i podniosła słuchawkę. Nie była w stanie zapanować nad zadyszka.

- Pete... nic ci nie jest? - zaniepokoiła się Lottie.

- Nic mi nie jest, Lottie - odpowiedziała, nie odrywając oczu od Luke'a. Powietrze między nimi było ciężkie od pożądania. - Jednak nie bardzo mogę z tobą teraz... -

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że znalazłam twojego pana Enfielda.

- Niemożliwe! - Cała uwaga Pete skupiła się na głosie po drugiej stronie słuchawki. Zaczęła poprawiać fryzurę i obciągać ubranie, chwytając jednocześnie ołówek i notes, które trzymała obok telefonu.

- Podaj szczegóły... zapisała coś pod dyktando Lottie, następnie poprosiła o zarezerwowanie miejsca w samolocie.

- Nie, nie dzisiaj - powiedziała rzucając spojrzenie w stronę Luke'a - ale najwcześniej, jak się tylko da, jutro.

Kiedy odłożyła słuchawkę i odwróciła się w stronę Luke'a, zobaczyła, że wsuwa koszulę z powrotem do spodni.

- Cóż, zapomnieliśmy się na chwilę - zauważył. Patrzyła ze smutkiem. Nie rozumiała, o co mu chodzi.

- Czy chwila przerwy musi nadal sprowadzać cię natychmiast na ziemię? - Podeszła do niego. - Luke, przecież ja dalej...

- W dalszym ciągu gotowa jesteś w jednej chwili rzucić wszystko dla interesów - przerwał jej podniesionym głosem.

- To nie były interesy - uniosła się. - Słyszałeś, jak dziadek mówił o naszyjniku z kolekcji babki, który udało się nam odnaleźć. Otóż, wygląda na to, że będzie można pójść dalej tym tropem. Nie mogę wypuścić takiej okazji, Luke.

- Nie, nie możesz - odpowiedział cicho.

- Ale to przecież w żaden sposób nie musi stać nam na drodze.

- Właśnie przed chwilą stanęło. Jestem tu z tobą... gotów podjąć wspólne życie, spróbować jeszcze raz, od nowa.

Tymczasem okazuje się, że w jednej chwili skłonna jesteś odepchnąć wszystko po to, żeby uganiać się za jakimś kuferkiem klejnotów.

- Dobrze wiesz, że nie są ważne same klejnoty - nie panowała już nad sobą. - To wszystko zostało ukradzione mojemu ojcu. Tu nie chodzi o samą biżuterię, tylko o wyrównanie starych rachunków, o związki z przeszłością rodziny, o zadośćuczynienie prawdzie i sprawiedliwości...

- I w imię tych rzeczy gotowa jesteś poświęcić miłość?

- Wcale nie! - wykrzyknęła. - Kto powiedział, że muszę dokonywać takiego wyboru? Umilkł na chwilę.

- Dokąd masz zamiar jutro lecieć? - zapytał wreszcie.

- Do Monte Carlo - odpowiedziała patrząc na notatki skreślone podczas rozmowy z Lottie.

- Z kim się masz widzieć?

Wyjaśniła mu, jakie znaczenie mogą mieć informacje Rogera Enfielda Perkinsa dla wyjaśnienia całej sprawy.

- Ale nie masz całkowitej pewności, że pan Enfield ma potrzebne ci informacje? - kontynuował przesłuchanie.

- Nie, nie mam. - To znaczy, że będziesz błądzić od śladu do śladu. I ile razy trafisz na kolejny trop, rzucisz wszystko dla poszukiwań.

- Mógłbyś mi towarzyszyć - zwróciła uwagę.

- Nie interesuje mnie zabawa w poszukiwaczy skarbów - oświadczył wkładając marynarkę. - Przyjechałem tutaj w poszukiwaniu czegoś o wiele ważniejszego i o wiele bardziej realnego.

Zapatrzyła się w dal.

- Nie zaprzeczam, że moje poszukiwania są dla mnie ogromnie ważne. Ale ta sytuacja nie może trwać wiecznie. Albo znajdę to, czego szukam, albo zrezygnuję z poszukiwań.

- Ile jeszcze dajesz sobie czasu?

- Nie wiem.

- Cóż - uśmiechnął się niewesoło. - Gdyby do tego doszło, zawiadom mnie. Na razie nie zamierzam kochać cię wyłącznie po godzinach.

W jego oczach czaiła się nadzieja, że poprosi go, by został, powie, że zawsze będzie stawiać ich miłość na pierwszym miejscu.

Jakaś część jej istoty miała ochotę mówić, krzyczeć cokolwiek, byle go tylko zatrzymać, jednak, posłuszna jeszcze głębszym nakazom, nie mogła zrezygnować z poszukiwań, porzucić migotliwej wizji, którą nosiła w sobie od dzieciństwa, a może wręcz przyszła z mą na świat.

- Nie wiem, czy wszystko da się naprawić - powiedział bardzo cicho - ale jakby co, wiesz, gdzie mnie szukać.

Odwrócił się i wyszedł.

Z tarasu willi położonej na jednym z najwyższych wzniesień Monte Carlo Pete spoglądała na przystań, gdzie rzędy olbrzymich, luksusowych jachtów o białych kadłubach unosiły się na wodzie przycumowane na kotwicach. Dalej, patrząc wzdłuż wybrzeża, wyłaniał się dach Societe de Bains des Mer, gigantycznego kasyna, które na długo przed pojawieniem się księżnej Grace i na wiele lat przed tym, nim Monaco stało się przystanią dla uciekinierów przed prawem podatkowym, było sercem i główną atrakcją słonecznego księstwa. Cień uśmiechu pojawił się na wargach Pete na wspomnienie poprzedniego wieczoru, kiedy zaproponowała Luke'owi wspólną podróż. Chwała

Bogu, że nie skorzystał z jej zaproszenia. Mało było chyba miejsc na świecie, którymi Luke pogardzałby w równym stopniu, co tą przystanią dla bogatych próżniaków.

Przez otwarte drzwi ogrodowe Pete widziała Rogera Perkinsa Enfielda, który, nachylony nad złotym stoliczkiem w salonie, ze słuchawką przy uchu w dalszym ciągu obdzwaniał dawnych współników i towarzystwa ubezpieczeniowe usiłując ustalić, gdzie jego dawna klientka, Dorothy Haines, nabyła naszyjnik ze szmaragdów i szafirów, którego fotografie przywiozła Pete. Dzwonił tak już prawie od godziny.

Nie widząc dalszych powodów, żeby opóźnić wyjazd, Pete w końcu odleciała nocą do Nicei i wylądowała tam na tyle wcześnie, żeby dotrzeć do Monaco w chwili, gdy Roger Enfield ocierał usta po śniadaniu. Anglik zdziwił się niepomiernie na widok przybyłej, niemniej przyjął ją z galanterią, poczęstował kontynentalnym śniadaniem i natychmiast przystąpił do spełniania jej prośby.

Z powrotem przysiadła na ogrodowym krześle. Może przesadziła wskakując bez namysłu w samolot, zamiast uprzedzić telefonicznie adwokata, jednak nękała ją nieustannie obawa, że wątła nic powiązań wymknie jej się z rąk, jeśli nie chwyci dostatecznie szybko i zdecydowanie każdego śladu, z chwilą gdy się pojawi. Mogła śmiało przypuszczać, że Vittorio D'Angeli zacierał swoje ślady nie szczędząc łapówek. Jeśli jeszcze żył, jak daleko sięgały jego wpływy? Pete nie chciała nikogo ostrzegać zawczasu, że jest na tropie Vittoria.

Wreszcie Roger Perkins Enfield wkroczył na taras. Anglik był wysokim mężczyzną, chudym aż do przesady. Jego twarz zdobił gęsty, siwy wąs z rodzaju tych, jakie nosili wojskowi w koloniach u szczytu chwały imperium. Jego oficjalny wygląd łagodziły jednak białe flanelowe spodnie i sweter do krykieta.

- Mam go - wykrzyknął dziarskim tonem, wymachując stertą papierów. - Jednak technika potrafi zdziałać cuda.

Dzięki komputerom towarzystwa ubezpieczeniowego i czarodziejskiej skrzyneczce z faksem, którą sobie niedawno sprawiłem, mam wydruk ze spisem zawartości tej cholernej kolekcji.

- Czy mogę zobaczyć? - Pete nie potrafiła ukryć podniecenia.

- Naturalnie, moja droga. - Podał jej papiery.

Pete przerzuciła długi wydruk. Lista zawierała kilkadziesiąt pozycji, którym towarzyszył szczegółowy opis i informacja o miejscu i dacie ich nabycia. Podawano również cenę, za którą każda sztuka biżuterii poszła.

W połowie listy natknęła się na opis naszyjnika, zawierający nawet dokładną liczbę kamieni, wagę i informacje o zapięciu w kształcie literki C. Wydruk głosił, że naszyjnik zakupiony został przez panią Haines w październiku sześćdziesiątego trzeciego roku, w Hotel Druot, zasłużonym paryskim domu aukcyjnym. W dodatkowej nocie stwierdzano, że w katalogu

aukcyjnym naszyjnik występował jako „własność pewnego dżentelmena”. Pete orientowała się, że to

określenie, podobnie jak „własność pewnej damy”, są w katalogach aukcyjnych rutynowymi zwrotami, których celem jest ukrycie tożsamości sprzedawcy, mimo to poczuła się zawiedziona brakiem jakichkolwiek informacji o dawnych posiadaczach naszyjnika.

- Nie ma tutaj nazwiska poprzedniego właściciela - zauważyła.

- Nie wydaje mi się, żeby jego nazwisko było komukolwiek znane. Może jednak uda się pani wyciągnąć jakieś informacje od Druot.

Westchnęła. Od czasu, kiedy pani Haines kupiła naszyjnik, minęło ponad dwadzieścia lat. Czy dom aukcyjny dokopie się jeszcze do czegoś w archiwach? Jej wzrok kolejny raz padł na słowa, na których ślad się urywał:

„własność pewnego dżentelmena”. Czyżby Vittorio osobiście wystawił naszyjnik na licytację?

Nie, nie sądziła, aby był aż tak nieostrożny, zwłaszcza że inicjał przy zapięciu stanowił znak szczególny, ułatwiający ewentualne dochodzenie.

- Dziękuję panu za pomoc, panie Enfield - powiedziała.

- Zawsze do usług. Emerytura to dosyć nudne zajęcie. Odrobina pracy detektywistycznej bardzo mnie rozruszała.

Jedzie pani teraz do Paryża porozmawiać z Druot?

Skinęła głową.

- Pewnie nie pomyślała pani dotąd o jakimś towarzystwie. Paryż to wspaniałe miasto. Moglibyśmy razem pozwiedzać, zajrzeć do paru restauracji...

Pete uśmieła się w duchu nad podchodami Anglika.

- Innym razem - oświadczyła i czym prędzej wycofała się.

Strumienie wody rozbryzgiwały się na połyskliwym, czarno-białym granicie fontanny przed szokującą bryłą nowoczesnego budynku, w którym mieścił się najpoważniejszy dom aukcyjny Paryża. Budynek stał przy wąskiej rue Druot.

Po locie z Nicei i dwóch długich jazdach taksówkami w Paryżu znalazła się dopiero po południu, mimo to dom aukcyjny nadal pękał w szwach. Strumień klientów przelewał się przez wszystkie drzwi; szli bądź wracali z jednej z dwu tysięcy odbywających

się tu rocznie aukcji, na których można było dostać wszystko, od wyszczerbionych skorup i stołków bez jednej nogi, po renoiry, gauguiny i bezcenne meble z czasów monarchii.

Pete wpłynęła do środka, niesiona falą tłumu. Stała na środku hallu, usiłując się zorientować, co gdzie jest. Z

ogromnego hallu można było wejść wprost do banku, do księgarni, urzędu szacunkowego. Zwisające z sufitu monitory telewizyjne informowały o aktualnie odbywających się wystawach i aukcjach; na ladach recepcyjnych leżały sterty mocno sfatygowanych katalogów. Młoda, udręczona kobieta za kontuarem wysłuchiwała Pete i skierowała ją na piętro, do gabinetu jednego z dyrektorów, *monsieur René Vaugillande'a*.

Czekając na przyjęcie, Pete wertowała egzemplarz „La Gazette de l'Hotel Druot”, wykaz zbliżających się aukcji, drukowany co piątek od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Zapowiadano w nim, między innymi, aukcje kolekcji biżuterii w czerwcu, za parę tygodni. Pete zastanawiała się, czyby nie wziąć w niej udziału. W ogóle zastanawiała się, czy nie powinna bywać na aukcjach - doszła jednak do wniosku, że byłaby to zbyt ekstensywna metoda poszukiwań. Nie sądziła, żeby Vittorio narażał się na demaskację, stosując równie publiczną metodę sprzedaży biżuterii. Sam fakt, że tyle lat minęło, od kiedy naszyjnik pojawił się na aukcji i precedens ten nie powtórzył się, świadczył, że była to ze strony Vittoria jednorazowa nieostrożność, której nie zamierzał powtarzać.

- *Monsieur Vaugillande vous attends, mademoiselle* oświadczyła sekretarka, wskazując drzwi gabinetu.

W środku powitał Pete wylewnie fertyczny mężczyzna w średnim wieku, gestem ręki zapraszając ją, by zajęła miejsce po drugiej stronie biurka i wznosząc teatralnie brwi w uznaniu dla jej urody. Kiedy jednak doszło do meritum, okazał się bardzo oporny.

- Musi mnie pani zrozumieć, panno D'Angeli - oświadczył wzruszając ramionami. - Dotarcie do dokumentów sprzed tylu lat jest niezmiernie trudne.

- Trudne, ale nie niemożliwe - zwróciła uwagę Pete.

- Hotel Druot działa od stu trzydziestu dwóch lat, *mademoiselle*. Gdzieś w archiwach posiadamy zapewne dokumentację

pierwszych dni naszej działalności, jednak odnalezienie jej zajęłoby nam wiele miesięcy, o ile nie lat.

- Nie proszę was o dokumenty sprzed wieku, tylko sprzed dwudziestu pięciu lat - nie dawała za wygraną. - Mogę państwu ułatwić pierwszy krok. - Wyciągnęła wydruk, który dostała od Rogera Enfielda. - Znam dokładną datę aukcji.

Monsieur Vaugillande sięgnął przez biurko i wziął wydruk z rąk Pete. Rzucił okiem na zakreślone przez nią ołówkiem informacje.

- Ależ, *mademoiselle* - oświadczył pospiesznie - tutaj wyraźnie zaznaczono, że nawet w przypadku odnalezienia dokumentów nie wolno nam zaspokoić pani ciekawości.

- Dlaczego?

- Naszyjnik figuruje w naszym katalogu jako własność pewnego dżentelmena. Gdyby właściciel

zyczył sobie ujawnienia jego nazwiska, z pewnością podałyby je do wiadomości publicznej. Fakt, że jego nazwisko nie występuje w katalogu wskazuje wyraźnie na to, że zyczył sobie zachowania anonimowości. Nawet z upływem czasu zobowiązani jesteśmy respektować jego życzenie.

- *Monsieur Vaugillande* - nie ustępowała Pete - czy gdyby wiedział pan, że dochowując anonimowości chroni złodzieja - jeżeli nie wręcz zbrodniarza wojennego - w dalszym ciągu odmówiłby mi pan informacji?

- Twierdzi pani, że w transakcję zamieszani byli ludzie podobnego pokroju?

- Nie twierdzę, ale istnieją poważne podejrzenia, że tak... Francuz zawahał się, potem jednak wzruszył ramionami.

- *Alors, mademoiselle*, w tej sytuacji dom Druot musi dotrzymać swoich zobowiązań wobec klienta.

Jednak Pete nie dawała za wygraną. Nie szczędząc perswazji kokietowała Vaugillande'a tak długo, aż wymusiła na nim obietnicę, że odszuka nazwisko sprzedawcy naszyjnika, osobiście skontaktuje się z nim i spyta o zgodę na ujawnienie tożsamości.

Pete nie była pewna, czy obietnica ta stanowi krok naprzód czy wstecz w jej poszukiwaniach. Jeżeli tajemniczym sprzedawcą był sam Yittorio, zostanie ostrzeżony o nagonce. Zorientuje się, jak daleko Pete zaszła w poszukiwaniach i podejmie kroki w celu dalszego zatarcia śladów. Nie miała jednak wyboru.

- Kiedy mogę spodziewać się wiadomości od pana? - spytała na odchodnym.

. - Tyle samo wiem, co pani, *mademoiselle* - kolejny raz wzruszył ramionami.

Kiedy opuściła dom aukcyjny i zaczęła błędzić ulicami Paryża, ogarnął ją żal - nie dlatego że jej poszukiwania spełzły na niczym, ale dlatego że uzyskała tak mało, tracąc tak wiele. Właściwie nie posunęła się ani o krok dalej, niż gdyby została z Luke'em.

Mimo to nie była wcale pewna, czy następnym razem nie postąpiłaby dokładnie tak samo.

Wieczorem odleciała do Nowego Jorku. Była zbyt przygnębiona, żeby zostać dłużej i cieszyć się urokami paryskiej metropolii.

Rozdział czwarty

Gdzie on jest? - ryknął Antonio Scappa na całe biuro genewskiej Tesori, patrząc przy tym na zastępcę kierownika.

- Nie wiem, *signor* Scappa. Pański syn nie przyszedł dzisiaj wcale.

- Wobec tego należy sprawdzić, w którym łóżku spał ostatniej nocy. Proszę wykonać odpowiednie telefony. -

Machnięciem dłoni odprawił struchlałego pracownika.

Scappa został sam. Ze złością zdarł elegancki kapelusz z głowy i cisnął w kąt gabinetu. Właśnie wrócił z dwudniowego wyjazdu do Barcelony, żeby przekonać się, że lista plac na następny dzień nie została przygotowana, telefony od najlepszych klientów pozostawiono bez odpowiedzi i nie załatwiono wielu równie istotnych spraw.

Przez tydzień mój drogi syn Franco potrafiłby zapewne zredukować dochody firmy do połowy, stwierdził Antonio w gorzkiej zadumie. Młody człowiek nie umiał się przyłożyć do niczego, z wyjątkiem ujeżdżania szybkich samochodów i ostrych kobiet.

Sieć sklepów Tesori rozrastała się w imponującym tempie -wypad Antonia do Barcelony miał na celu kontrolę, jak funkcjonuje nowy sklep w pierwszym tygodniu po otwarciu. Antonio czuł, że dałby radę wszystkim konkurentom, gdyby tylko każdą rzeczą nie musiał zajmować się sam. Choć wielkie połacie globu głodowały, część ludzkości w dalszym ciągu wydawała olbrzymie sumy na luksusowe domy, antyki, dzieła sztuki, jachty, a wreszcie biżuterię.

Zaledwie przed dwoma tygodniami został zaproszony z najciekawszymi okazami swojej biżuterii do pałacu niemieckiej baronowej, młodsiutkiej żony starca, której klejnoty

wypełniały całkowicie sięgające od podłogi do sufitu szuflady w olbrzymiej szafie, do której wchodziło się jak do pokoju. Baronowa zakupiła większość przywiezionych przez Antonia bibelotów. Przyszło mu teraz do głowy, że mógłby więcej podróżować w ramach lukratywnych „wizyt domowych”. Po zmianie tożsamości przez dziesięć lat unikał opuszczania Szwajcarii, obawiając się częstych kontroli paszportów, z upływem czasu jednak zaczął się czuć coraz pewniej. Przemysliwał nawet nad wyjściem na rynki pozaeuropejskie.

Mimo siedemdziesiątki na karku, Antonio trzymał się nad podziw dobrze. Jego żywotność i sprawność nie obniżyły się ani trochę od chwili, kiedy jako Vittorio D'Angeli uciekał przez Alpy z Włoch, żeby rozpocząć w Szwajcarii nowe życie. Sukces miał dla Antonia szczególny smak, ponieważ zdawał sobie sprawę, że jego bezpieczeństwo stale wisi na włosku. Nigdy nie zaprzestał rozbudowy swojego przedsiębiorstwa, które nieustannie wzbogacało się, zdobywając coraz silniejszą pozycję na europejskim rynku detalicznym. To wszystko zawdzięczał swojej inteligencji, inaczej skończyłby w charakterze okrwawionego połcia mięsa, głową na dół, jak biedny dureń Mussolini.

Jednak ostatnio zaczął się zastanawiać, jaki jest sens w budowaniu imperium, skoro nie ma dziedzica, któremu warto byłoby je przekazać. Przeklęty utracjusz Franco przepuścił wszystko co do grosza. Wizja przyszłości tak bardzo przygnębiała Antonia, że chwilami zaczynał oskarżać się o błąd, jakim było zezwolenie córce na odejście. Pocieszał

się tylko tym, że właściwie nie miał wyboru. Fakt, iż poleciała prosto w objęcia tego Iveresa, dowodził niezbicie, że była zdradliwą dziwką, która odziedziczyła po babce wszystko, co najgorsze.

Czknawszy z niestrawności, Antonio zdjął obraz zasłaniający drzwiczki sejfu. Poruszył parę razy pokręteł zamka szyfrowego i ciężkie drzwi otwały się. Sięgnął po plik franków szwajcarskich,

którymi miał dokonać wypłaty pracownikom, kiedy jego wzrok padł na kopertę wepchniętą głęboko w kąt sejfu, gdzie leżały służbowe papiery.

Chwilami zapominał o jej istnieniu, teraz jednak chwycił ją nerwowo, jak to robił po wielokroć w ciągu ostatnich paru miesięcy. Nie odchodząc od sejfu otworzył ją, wyjął z niej list i kilka kolorowych zdjęć.

Fotografie naszyjnika. To, że jego bratanica, ani świadoma, z kim ma do czynienia, ani łączącego ich pokrewieństwa, przysłała te fotografie właśnie jemu, prosząc o pomoc w odnalezieniu poprzednich właścicieli naszyjnika i pośredników, zakrawało na niezły żart.

Antonia jednak ten żart nie śmieszył. Wprawdzie z listu Pietry D'Angeli mógł wnosić, że zgubiła trop, nie znaczyło to jednak, że sytuacja ta trwać będzie wiecznie. Przed paroma miesiącami spokojnie uznał, że szanse, by trafiła na inny egzemplarz z kolekcji La Colomby są minimalne, jednak, w miarę upływu dni i tygodni, zaczęły go opadać coraz większe wątpliwości. Co będzie, jeśli nigdy nie zrezygnuje... jeśli starczy jej szczęścia czy inteligencji, żeby prześledzić cały łańcuch powiązań. Niemniej, kiedy pozwolił podczas aukcji, żeby naszyjnik wymknął mu się z rąk, uspokajał się, że zniknie ponownie w czyjejś kasetce z biżuterią, z której, przy rzadkich okazjach, wypłynie na godzinę lub dwie.

Prawdę mówiąc, ograniczył się do uprzejmej odpowiedzi na list Pietry D'Angeli dlatego że nie wiedział, co poza tym mógłby zrobić. Usiłując ustalić, jak wiele wie, mógłby jedynie wzbudzić jej podejrzenia. Wystarczy, że widziała jego gorące zainteresowanie naszyjnikiem podczas aukcji Haines.

Nie był w stanie do końca otrząsnąć się z obawy, że prędzej czy później zostanie zdemaskowany i skończy bez grosza, w więzieniu. Bardzo był ciekaw, czy dowiedziała się czegoś więcej, czy też zrezygnowała. Jak jednak miał

się o tym przekonać nie wzbudzając podejrzeń?

Nagle Antoniowi przyszedł do głowy pomysł, który rozwiązywał za jednym zamachem wszystkie niepokoje.

Dlaczego nie wpadł na to wcześniej? Wkładając kopertę z powrotem do sejfu, pogratulował sobie własnej przebiegłości: pomysł był wprawdzie szalony, niemniej tworzył parawan dla czterdziestoletniej maskarady, w dodatku mógł się okazać w realizacji całkiem zabawny i, co więcej, bardzo opłacalny.

Pete siedziała nad deską kreślarską, wpatrując się na przemian w biały papier i popołudniową, majową mżawkę za oknem gabinetu.

Przez wiele miesięcy daremnie usiłowała stworzyć coś, z czego

byłaby choć trochę zadowolona. Rysowała po to tylko, żeby potem drzeć swoje rysunki bądź poprawiać tyle razy, że projekt zamieniał się w nieczytelną gmatwaninę linii. Zamówienia piętrzyły

się, bez przerwy pytano ją o to, co robi.

Seria drogocennych zegarków, zaprojektowanych na zamówienie japońskiego wytwórcy, zdobyła natychmiastowe uznanie odbiorców, w związku z czym poproszono ją o zaprojektowanie nowej serii, za podwójną stawkę, mimo że już poprzednie wynagrodzenie opiewało na niebotyczną sumę. Ale nowe pomysły nie chciały się pojawić.

Widząc, że Pete beznadziejnie grzęźnie w kolejnych zamówieniach, Lottie po raz pierwszy zdecydowała się z własnej woli odprawić paru klientów, zniechęcając ich informacją, że okres oczekiwania może wynieść ponad rok.

- Za długo już leczysz na rezerwie - zwróciła uwagę Pete. - Zamknij sklep na miesiąc i pojedź odpocząć gdzieś w słońcu, doładować akumulator.

Pete -nie zastosowała się do jej rady. Była zdecydowana siłą przewyciężyć twórczą blokadę. Obawiała się pustki i nudy, które dopadłyby ją, gdyby odłożyła pracę choć na chwilę. To pracy zawdzięczała, że udało jej się przebrnąć przez niejedną tragedię w życiu i niejedną stratę. Podejrzewała zresztą, że Lottie w zawoalowany sposób daje jej do zrozumienia, że powinna sobie kogoś znaleźć, pozwolić na małą przygodę.

Gdyby rzeczywiście miała się gdzieś wybrać, aby zaczerpnąć słońca, jej wybór bez wątpienia padłby na Kalifornię.

Wiedziała, że Lukę mieszka tam nadal i nadal jest - a przynajmniej był, kiedy ostatni raz z nim rozmawiała - wolny.

Od czasu do czasu dzwonił, aby po prostu powiedzieć, że myśli o niej. Słyszając jego głos, w pierwszej chwili zawsze miała ochotę rzucić wszystko i popędzić do niego, jeśli ją tylko o to poprosi. Ale on pytał jedynie, jak posuwają się poszukiwania skarbu La Colomby i co nowego zaprojektowała dla swoich zamożnych klientów. Nim minęła chwila, kłócili się znowu.

- Nie należę do kobiet, które są skłonne rzucić wszystko dla mężczyzny - tłumaczyła.

- Nigdy tego od ciebie nie żądałem - odpowiadał. - Uważam tylko, że miłość jest najważniejsza i że to ją zawsze należy stawiać na pierwszym miejscu.

To, co mówił, brzmiało nawet przekonywająco, jednak Pete aż za dobrze pamiętała, jak żądał, aby wybierała między nim a ambicjami zawodowymi. Nie przypuszczała, żeby ich konflikt kiedykolwiek wygasł, dopóki całkowicie nie zrezygnuje ze swojej pracy...i z poszukiwania klejnotów La Colomby.

Może jednak nadeszła pora, żeby się poddać. Praca jej nie szła, w dodatku straciła wszelką nadzieję na dalsze prze-

śledzenie losów naszyjnika. Jediną odpowiedzią na jej prośbę, skierowaną do Domu Aukcyjnego Druot, o ujawnienie szczegółów dotyczących nabycia w sześćdziesiątym trzecim naszyjnika przez Dorothy Haines, był list od *monsieur* Vaugillande'a, wyjaśniający, że po zastanowieniu Dom Aukcyjny postanowił odmówić spełnienia jej prośby. „Po głębszym zastanowieniu” - pisał

Vaugillande - „doszliśmy do wniosku, że ochrona anonimowości sprzedawcy w dalszym ciągu nas obowiązuje”. Odpisała mu, kolejny raz przedstawiając okoliczności całej sprawy i wyjaśniając, że osoba, która wystawiła naszyjnik na aukcji, mogła wejść nielegalnie w jego posiadanie, więcej -

mogła być kolaborantem wojennym. W odpowiedzi Vaugillande udzielił jej minimalnej informacji. „W dalszym ciągu czujemy się zobowiązani do zachowania anonimowości naszego klienta, możemy jednak zapewnić panią, że jest powszechnie szanowaną osobą, której powiązania z faszystami nie wydają się prawdopodobne”.

Rozwścieczało ją, że natrafiła na mur nie do przebicia, jednak była bezsilna. Nie było sposobu, żeby zmusić dom aukcyjny do ujawnienia dokumentów, ani żadnych dowodów, że naszyjnik rzeczywiście został skradziony. A nawet gdyby znalazła sposób, myśl o procesowaniu się przez Atlantyck nie była specjalnie zachęcająca.

Oderwała bezmyślne spojrzenie od szarych strug deszczu i z powrotem popatrzyła na pustą kartkę. Co by było, gdyby już w życiu nie zaprojektowała ani jednej sztuki biżuterii? Gdyby rzuciła to raz na zawsze i wróciła do Lukea?

Usłyszała nieśmiałe pukanie do drzwi. Projektując, wyłączała zawsze telefon i prosiła Lottie, żeby odrywać ją od pracy tylko w ostateczności.

Lottie wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam - powiedziała, patrząc

z ukosa na pustą kartkę - ale jest telefon ze Szwajcarii i ten facet zwrzeszczał mnie potwornie, kiedy go próbowałam odprawić. Twierdzi, że będziesz zachwycona, kiedy usłyszysz, co ci ma do powiedzenia. Widać wyraźnie, po kim córunia odziedziczyła takie maniere.

- Jaka córunia? Kto dzwoni?

- Antonio Scappa.

Wróciła myślami do ich krótkiej korespondencji. Odpowiedź Scappy me była specjalnie zachęcająca, pisał jednak, że postara się dowiedzieć czegoś w jej sprawie. Czyżby miał dla mej jakieś informacje?

- Połącz nas - poleciła pośpiesznie.

Rozmowa trwała niecałe pięć minut. Scappa nie chciał przez telefon wyluszczać szczegółów swojej sprawy, a zapytany, czy ma dla niej jakieś konkretne informacje, odpowiedział wymijająco,

- Jestem gotów udzielić pani wszelkich informacji, jednak w tym celu musimy się spotkać osobiście - po czym dodał, że pokryje całe koszty związane z jej jak najszybszym przylotem do Europy.

Wobec dręczącej ją chandry, Pete nie widziała powodu, dla którego miałaby mu odmówić. Nie dalej jak przed chwilą rozważała właśnie możliwość porzucenia swej pracy raz na zawsze.

- Mogę być w Genewie jutro wieczorem - powiedziała.

- Nie w Genewie - poprawił ją. - W Barcelonie.

Kiedy Pete następnego wieczoru meldowała się u Ritza przy Gran Vía, w najbardziej luksusowym hotelu barwnej stolicy Katalonii, dochodziła dziesiąta wieczór. Jednak zegar biologiczny Pete w dalszym ciągu wskazywał piątą po południu czasu nowojorskiego. Podróż była wyczerpująca i na lotnisku nie marzyła już o niczym innym, jak tylko o tym, żeby znaleźć się czym prędzej w pokoju hotelowym. A jednak odżywczy klimat Barcelony tchnął w nią nowego ducha. Jadąc z lotniska przez rozległą dzielnicę portową, zauważyła tłumy ludzi spacerujących pod drzewami ocieniającymi szerokie promenady, światła restauracji, do których zaczęli ściągać pierwsi wieczorni goście.

W hotelu wskazano jej zarezerwowany przez Antonia Scappę

apartament z luksusowym salonem, sypialnią i stylizowaną na łaźnię rzymską łazienką, z marmurową wanną wpuszczoną w podłogę. Na obitym skórą stoliczku w salonie stał wazon pełen herbacianych róż i białych irysów z dołączonym bilecikiem od Scappy: „Do jutra”. Wcześniej już umówili się o dziesiątej na śniadaniu w hotelowej restauracji.

Patrząc na tonący w kwiatach, luksusowy apartament, Pete doszła do wniosku, że Scappa nie czarowałby jej całym tym przepychem, gdyby powodem ściągnięcia jej przez ocean były wyłącznie informacje na temat naszyjnika.

Musiał mieć dla niej jakąś propozycję i starał się ją wstępnie urobić. Zapewne chciał, żeby została nadworną projektantką Tesori, tak jak Paloma i Elsa, które projektowały dla Tiffany'ego.

Nie pociągała jej myśl o projektowaniu dla Scappy, nie dlatego jednak, żeby, jak dawniej, bronić swej niezależności.

Po prostu w obliczu minionych tygodni, kiedy daremnie starała się odzyskać twórczą energię, która zawsze dotąd jej dopisywała, czuła, że nie jest w stanie wykazać się stałym dopływem świeżych pomysłów, jakiego wymagałaby tego rodzaju posada. Gdyby Scappa zdecydował się wyjawić jej swój projekt przez telefon, oszczędziłaby mu wydatków, a sobie czasu.

Skoro jednak znalazła się tutaj, opadły ją wątpliwości, czy w związku z ogólnym brakiem energii nie powinna po prostu gdzie indziej skierować swoje zainteresowania. Czy naprawdę gotowa byłaby rozstać się z karierą po latach poświęconych nauce fachu i ugruntowaniu pozycji zawodowej?

I czy Lukę rzeczywiście był gotów przyjąć od niej aż taki dar?

Pragnąc otrząsnąć się z dręczących ją pytań, Pete, niepomna na zmęczenie, wyszła z hotelu, aby przejść się trochę po mieście. Dochodziła północ i dla Hiszpanów właśnie zaczynał się wieczór. Zasiadali nad smakowitymi przekąskami w barach tapa, kobiety buszowały po straganach z kwiatami, mężczyźni, którzy zdawali się szczególnie uważać przywiązywać do czystości butów - korzystali z usług setek urzędujących na chodnikach *limpiabotas*.

O ile więcej radości sprawiałoby jej oglądanie tego wszystkiego z Luke'em. Ale ich nadzieje na

odzyskanie utraconych uczuć mogą okazać się tylko próżną mrzonką w konfrontacji z życiem. Możliwe, że było już za późno na cokolwiek.

Właściwie jednak dlaczego? Skoro Hiszpanie mogą jadać kolację o północy, miłość z pewnością da się ożywić o dowolnej porze.

Wędrując bez celu, znalazła się nagle przed zdumiewającą strzelistą budowlą o dwóch szpiczastych wieżach, wyglądających jak gigantyczne, odwrócone do góry nogami sople lodu. Tablica informowała turystów w kilku językach, że znajdują się przed kościołem Sagrada Familia. Przypomniała sobie, że czytała przed kilku laty o jego architekcie, Antoniu Gaudim, twórcy niedokończonych katedry, jak również paru domów mieszkalnych w katalońskiej metropolii, którego geniusz przejawiał się w wykorzystaniu naturalnych form, takich jak fale, sople lodu, stalaktyty i stalagmity. Długo stała na ciemnym placu przed dziwną budowlą, zapisując w pamięci obraz betonowych jaszczurek i ślimaków, pełzających po fasadzie z kamienia, który wydawał się topić jak wosk, spiralnych skrętów krytych barwnymi dachówkami wież, wznoszących się pod nocne niebo.

Po powrocie do pokoju hotelowego me kładła się spać jeszcze przez parę godzin, szkicując projekty inspirowane architekturą Gaudiego. Oczywiście duszy widziała już zarys nowej kolekcji.

Zaraz po wejściu do Ritza poprzez morze białych, wykrochmalonych obrusów wypatrzyła Antonia Scappę.

Jowialny uśmiech, jakim przyoblekł twarz, kiedy *maitre óThotel* prowadził ją do stolika, stanowił całkowity kontrast z wściekłością, która malowała się na jego twarzy, kiedy widziała go po raz ostatni - wychodzącego z aukcji, na której Andrea przebiła go w licytacji o naszyjnik La Colomby. Tak, kiedy mu na coś zależało, potrafił być uroczy.

Ale w mej właściwie zapadła już decyzja odmowna. Rano, zaraz po przebudzeniu, zarezerwowała bilet powrotny do Stanów. Była zdecydowana odbyć ostateczną rozmowę z Luke'em.

Scappa podniósł się na jej widok.

- Droga *sigmónna* D'Angeli, nie wie pani nawet, jak bardzo się cieszę, że zgodziła się pani przyjechać. Wyciągnął do niej rękę w staroświecki, europejski sposób, dłonią do góry. Pete położyła na niej swoją dłoń, wiedząc, że Scappa uniesie ją do ust, by złożyć pocałunek.

Kiedy nachylił się lekko, muskając wargami grzbiet jej dłoni, przyjrzała się uważniej jego twarzy. Znowu, podobnie jak w Genewie, odniosła dziwne wrażenie, że gdzieś go już widziała, że w zamierzłej przeszłości odegrał jakąś rolę w jej życiu. Jednak wzruszyła ramionami na to uczucie jako zwykłe złudzenie, *déjà vu*.

- Nie musi mi pan dziękować za przyjazd, *signor* Scappa powiedziała, kiedy siadali - Potrzebowałam wyrwać się choć trochę z codzienności. Bardzo miło, że dał mi pan do tego pretekst.

Kelner niecierpliwie czekał na przyjęcie zamówień, wobec czego odłożyli rozmowę na później. Pete zadowolona się owocami i *café eon ieche*, Scappa natomiast zamówił befsztyk, omlet i górę słodkich

bułeczek. Nie ulegało wątpliwości, że jego apetyty były nienasycone w każdej dziedzinie; dopisywało mu przy tym żelazne zdrowie.

Zadziwiał swoją krzepą - wyglądał najwyżej na pięćdziesiąt parę lat, choć skądinąd wiedziała, że musi być starszy.

Domyślała się, że tak próżny mężczyzna, jak Antonio Scappa, z pewnością wpakował niejedną grosz w chirurgię plastyczną.

- Przebyłam kawał świata, żeby dowiedzieć się, jaką pan ma do mnie sprawę - zwróciła się do Scappy po odejściu kelnera. - Jak długo zamierza pan mnie trzymać w niepewności?

- Dopóki nie usłyszysz pani ode mnie zasłużonego komplementu - odpowiedział. - Kibicuję pani karierze od kilku lat, panno D'Angeli. Uważam, że w swojej dziedzinie jest pani najlepsza, a ja zawsze odczuwałem naturalny pociąg do wszystkiego, co najlepsze. Dlatego tak świetnie mi idzie w interesach. Zawsze otwieram sklepy w najlepszych punktach, zatrudniam najlepszych rzemieślników, którym daję do ręki najlepsze materiały, a potem sprzedaję ich wyroby za najlepszą cenę, jaką udaje mi się wycisnąć. Lubię wszystko robić najlepiej, jak się da.

Potakiwała uprzejmie. Była pewna, że Scappa poprosi ją zaraz, żeby podpisała z Tesori kontrakt na wyłączność.

- Mam śmiałe plany - ciągnął, ale nie sądzę, że sam wszystkiemu podołam. Prawdę mówiąc, nie sądzę, że bym poradził sobie bez pani. Chciałbym dokonać fuzji pani niebywałego talentu z moimi zdolnościami.

Choć śmieszyły ją jego bezwstydną pochlebstwa, musiała się mieć na baczności. Widziała teraz jak na dłoni, że ma do

czynienia z osobnikiem gruboskórnym, który dla interesu gotów jest zrobić i powiedzieć wszystko. Zważywszy na jej wrodzoną szczerłość, mogła spodziewać się, że przy ewentualnej współpracy będzie dochodzić między nimi do ostrych starć.

- *Signor* Scappa - odezwała się. - Miło mi słyszeć pochwały z pańskich ust, ale mój talent bynajmniej nie jest aż tak niebywały. Istnieją inni projektanci, których wyroby mogą przyciągnąć tyle samo klienteli, co moje...

Scappa skinął uprzejmie głową, po czym nachylił się do przodu, jakby zamierzał zdradzić Pete ważny sekret.

- Nie zamierzam pani zatrudniać w charakterze projektantki, panno D'Angeli.

- Nie zamierza pan...? O co więc...

- Pragnę - oświadczył Scappa - uczynić panią moją współpracowniczką.

Zaskoczona, cofnęła się, patrząc na niego nieufnie. Chyba nie po to budował pomyślność swojego

imperium, żeby lekką ręką wyzbywać się jego połowy?

- Nie, nie w całej sieci - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - Moja firma po prostu wchodzi w nowy etap, który może zaistnieć tylko dzięki pani współpracy. Jest pani wymarzoną osobą do moich celów.

- O czym pan mówi? - spytała, zżerana ciekawością.

- O kolejnym Tesori - sklepie, który mam zamiar otworzyć w przyszłym roku w Nowym Jorku. Ma to być najwystawniejszy sklep w całej sieci - rywal godny naszych starszych kolegów Cartiera, Tiffany'ego, Duforta. Nie zmiernam oszczędzić środków, żeby Tesori znalazł się w ścisłej czołówce. W kwestii osoby, która pokieruje całą operacją nowojorską, mój wybór padł na panią. Jeśli pani się zgodzi, od dziś wszystkie decyzje należą do pani. Ma pani ostatnie słowo w sprawie lokalizacji sklepu, dekoracji wnętrza, ekspozycji, a na dodatek, jeżeli starczy pani czasu, może pani projektować dla sklepu najpiękniejszą i najbardziej ekskluzywną biżuterię. Pragnę przy tym dodać, że kobieta tak wyjątkowej urody jak pani, będzie naturalną reklamą naszego sklepu, niezrównaną wizytówką firmy.

Zatkało ją z wrażenia. Scappa dawał jej szansę przebycia jednym krokiem przepaści, jaka dzieliła pozycję specjalisty związanego z jednym etapem przemysłu jubilerskiego od pełnej władzy nad ekskluzywnym sklepem w jednym ze światowych centrów mody. Byłby to znakomity start, zwłaszcza w porównaniu z tym, co zaoferowano jej niegdyś u Claudea Iveresa.

Nie mogła jednak w żaden sposób pojąć, dlaczego wybór Antonia padł akurat na nią.

- Pańska propozycja jest niezmiernie interesująca - oświadczyła, starając się nadać swojemu głosowi rzeczowy i obojętny ton. - Jak pan zapewne jednak wie, *signor* Scappa, nie mam żadnego doświadczenia w dziedzinie zbytu.

Marketing, reklama, negocjowanie kredytów bankowych - nie miałam specjalnej okazji stykać się w mojej pracy z tym obszarem. Z łatwością znajdzie pan specjalistów, którzy potrafią prowadzić tego rodzaju operacje na pamięć.

Może pan również zatrudnić modelki, które będą promować pańską biżuterię. Nie wiem dlaczego akurat ja miałabym być panu niezbędna?

Jej pytanie zawisło w próżni, ponieważ akurat zjawił się kelner z zamówieniami.

- Powiedziałem pani, że interesuje mnie to, co najlepsze. Czy do tej kategorii można zaliczyć ludzi, którzy są już tak zrutyni-zowani, że obowiązki służbowe wykonują na pamięć? Nie kto inny, jak wasz prezydent, Kennedy, ostrzegał, by nigdy nie ufać ekspertom. - Włożył do ust wielki kęs omletu, przełknął za jednym zamachem i ciągnął dalej. - Ani trochę mnie nie przeraża pani brak doświadczeń handlowych. Znajdzie się na to jakaś rada - w razie czego zatrudnimy specjalistów, którzy będą odwälcać najczarniejszą robotę. To, co się liczy naprawdę, *signorina* D'Angeli, to pani wrodzone umiejętności, których nie sposób nabyć - smak, wyobraźnia, śmiałość - połączone z wrodzonym umiłowaniem kamieni, które przebija przez wszystkie pani dzieła, Piętro. Oprawiając klejnoty, wydobywa pani ich piękno, jakby się pani z nimi... przespała.

Szumne, zaprawione pieprzem komplementy Scappy nie robiły na Pete najmniejszego wrażenia, trudno jej było natomiast zachować obojętność wobec jego logiki. Skoro szukał kogoś, kto nadałby unikalny i odważny ton jego najnowszej filii, sensowne było zwrócić się raczej do projektanta, niż do biznesmena. Czuła się mile połączona jego wyborem - jeżeli rzeczywiście

była jego pierwszą kandydatką. Scappa miał reputację trudnego człowieka, który nie wahał się schlebiać najpospolitszym gustom. W tej sytuacji naturalne było, że szukał kogoś, kto wywindowałby całe przedsięwzięcie na wyższy poziom, jednak z pewnością niewiele osób reflektowałoby na propozycję tego typu.

Czy ona sama powinna była ją przyjąć? Na pewno oznaczałoby to pożegnanie z niezależnością, na jakiej budowała dotąd swoją karierę.

Oznaczałoby również całkowite oddanie się pracy zawodowej, przekreślające szanse na odnowienie związku z Luke'em. Czy jednak ich powrót do siebie nie był, tak czy owak, zwykłą mrzonką?

- Proszę mi dać trochę czasu do namysłu - odpowiedziała wreszcie.

- Nie mogę czekać zbyt długo - ostrzegł.

- Wystarczy mi jeden dzień - wyjaśniła. Przy tak wyraźnych za i przeciw nie było sensu zwlekać specjalnie z decyzją.

- Znakomicie - pochwalił. Zawsze potrafił trafnie wyczuć najsłabsze i najsilniejsze punkty swoich rozmówców.

Wyraz twarzy Pietry D'Angeli, jego nieświadomej niczego bratanicy, świadczył, że była nie tylko zainteresowana, ale wręcz podniecona jego propozycją.

Żeby podtrzymać temperaturę jej uczuć, po śniadaniu zabrał ją do swojego najnowszego sklepu przy Passeig de Garcia - po to zresztą wyznaczył Barcelonę na miejsce spotkania. Na pierwszy rzut oka widać było, że Scappa wybrał znakomitą lokalizację dla sklepu, przy pięknym, szerokim bulwarze ocienionym gęstym szpalerem lip, pełnym luksusowych sklepów i tłocznych kawiarenek z ogródkami. Sam sklep okazał się nieco zbyt nowoczesny i wystawny, jak na gust Pete - przytłaczał ją różowy marmur, brąz i przyciemniane szyby, które nie miały w sobie nic z niewymuszonej elegancji Duforta & Iveresa - nikt nie mógł jednak wątpić, że Antonio nie poskąpił peset, żeby całość sprawiała wrażenie *luxe*. Warto było wiedzieć, że gdyby zdecydowała się na współpracę, zapewne nie musiałaby się wyklócać o każdy grosz.

- Tu są diamenty - mówił, prowadząc ją przez parter - tam kamienie kolorowe. Na tyłach sklepu mamy butik z tańszą biżuterią - złote medaliony, łańcuszki, breloczki z jadeitu, grawerowane zaszczypki na banknoty, sprzączki do pasków i tym podobne, których zadaniem jest przyciągnąć do naszego sklepu mniej zamożną klientelę. Wiem, że nie wszystkie sklepy gustują w tego rodzaju towarach. Ja jednak uważam, że jeśli uda nam się zadowolić chłopaka, który przyjdzie kupić medalionik swojej pierwszej dziewczynie, za dziesięć lat sprzedamy mu diament dla przyszłej żony, a za następne dziesięć lat rubiny dla kochanki.

Jego rozumowanie raziło Pete grubiaństwem, jednak w głębi duszy skłaniała się do idei sklepu, który dawałby szansę nie tylko najbogatszym.

Scappa poprowadził ją następnie przez dział kosztowniejszych wyrobów ze srebra i złota, komis starej biżuterii, wreszcie - prywatne salony.

- *È beUssima, eh?* - zauważył z dumą, kiedy tura dobiegła końca.

Uśmiechnęła się.

- *Ma forse non bella corne luno quai' giorno a New York* odpaliła bez namysłu po włosku. Nie była jeszcze pewna, czy przyjmie posadę, ale nie widziała powodu, dla którego nie miałyby nęcić Scappy wizją tego, co mogłaby dla niego zdziałać.

Scappa zamilkł na chwilę.

- Pani znajomość włoskiego jest zdumiewająca, *signorina*. Gdzie się pani nauczyła tego języka?

- Mój ojciec jest Włochem. Pochodzi z Mediolanu.

- Rzeczywiście - z pani nazwiskiem powinienem był się czegoś takiego domyślić. Podobno Mediolan jest niezwykle pięknym miastem. Niestety, nigdy nie miałem czasu, żeby się tam zatrzymać dłużej.

- Byłby wymarzonym miejscem dla zaprezentowania pańskiej biżuterii - zauważyła.

Potaknął z namysłem.

Nagle wydał się jej dziwnie roztargniony. Nadal patrzył w jej stronę, ale myślami zdawał się być gdzie indziej -

jakby kątem oka dostrzegł coś podejznanego - drobnego złodziejaszka czy prawdziwego złodzieja kosztowności, który w przebraniu klienta przymierza się do napadu. Rozejrzała się, ale nie zauważyła niczego niezwykłego.

Po chwili Scappa odzyskał zwykłą elokwencję.

- Cóż, w Barcelonie też nie brak pięknych widoków. Pozwoli pani, że zostanę jej przewodnikiem na czas potrzebny do podjęcia decyzji...

- Dziękuję panu, *signor* Scappa, ale jeżeli mam podjąć decyzję szybko, myślę, że powinnam ją podjąć w domu. Tylko tam, pomyślała, będzie w stanie wyraźnie wyczuć wszystkie za i przeciw.

Scappa uprzejmie towarzyszył jej w drodze do hotelu po bagaże, po czym wynajętą limuzyną odwiózł na lotnisko.

Zapewniła go, że nie musi czekać z nią aż do odlotu, jednak Scappa został i dbał o nią na wszelkie sposoby. Kupił jej nawet kawę w kawiarni na lotnisku.

Czekając na zapowiedź lotu wypytywał ją o życie osobiste, rodzinę, a nawet ojca. Ciekawość Antonia Pete wzięła za objaw łagodniejszej strony jego charakteru. Doszła do wniosku, że ich współpraca niekoniecznie będzie musiała układać się jak po grudzie.

Kiedy zapowiedziano wejście na pokład samolotu, towarzyszył jej aż do bramki.

- Jeszcze jedna sprawa, *signore* - zwróciła się do niego Pete, przystając. - Chodzi o pańską córkę...

Zesztywniał.

- Signorina, wolałbym umknąć...

- Proszę, mech mi pan pozwoli coś powiedzieć. Szczerze mówiąc, nie jestem przyjaciółką Andrei, ale podziwiam jej zdolności. Wiem, że zerwaliście stosunki, ale wydaje mi się, że byłaby to świetna okazja, żeby wszystko naprawić.

Andrea ma orientację na rynku nowojorskim i duże doświadczenia właśnie w dziedzinach, w których ja stawiałabym pierwsze kroki. Czy przyszło panu do głowy, żeby zaproponować jej tę pracę? Nie chciałabym stać na drodze do waszego pojednania.

Scappa zmełł w ustach pierwszą odpowiedź, jaka nawinęła mu się na język. Miał ochotę powiedzieć, że chce swojej cholerycznej córki oglądać na oczy. Zmusił się jednak, żeby przyoblec twarz w uprzejmy uśmiech. Pytanie dowodziło ponad

wszelką wątpliwość, że Pietra D'Angeli jest młodą kobietą o niespotykanej przyzwoitości i prawości. Zdecydował

Sie uspokoić ją, nie rozniecając niepotrzebnych sympatii wobec Andrei.

- Podejmowałem parokrotnie wysiłki w kierunku pojednania z moją córką - skłamał. - Nie spotkały się jednak z pozytywnym oddźwiękiem. - Rozłożył bezradnie ręce. - Poza tym, nie chciałbym zostać posądzony o to, że staję między córką a jej ukochanym...

Potaknęła. Istotnie, nie było chyba możliwe, żeby Andrea wróciła do ojca, nie zrywając jednocześnie z Marcelem.

Wymienili z Antoniem uścisk dłoni.

- Jutro przekażę panu moją decyzję. *Anwedercl*

Zdawał się nie podchwycić serdecznych intencji, jakie skłoniły ją do odezwania się po włosku.

- Szczęśliwej podróży, panno D'Angeli - pożegnał ją. Odprowadzając Pete spojrzeniem, zakładał się sam ze sobą, że przejrzał już jej decyzję. Krocząc przez halę terminalu, aby załatwić formalności związane z własnym powrotem do Genewy, gratulował sobie, że tyle pieczeni udało mu się upiec na jednym ogniu. Zatrudniając Pietrę w czasochłonnym przedsięwzięciu, odciągnie ją od poszukiwań klejnotów La Colomby. Nawet gdyby nie zrezygnowała z nich całkiem, łatwiej będzie zawczasu

prześledzić jej poczynania i podjąć kroki zapobiegawcze.

Oprócz tego jednak, że zagwarantował sobie bezpieczeństwo, czuł wyraźnie, że jego posunięcie było również bardzo korzystne z handlowego punktu widzenia. Jego pochwały pod adresem Pietry D'Angeli nie były czczym pochlebstwem; szczerze wierzył, że była gwarantem powodzenia przedsięwzięcia Tesori New York. W dodatku był

to wyśmienity żart z żalostnego durnia, jakim był jego brat, Stefano. Już i tak Antonio „zawdzięczał” mu znaczną część swoich bogactw; teraz córka Stefana miała uczynić go jeszcze bogatszym. *Meraoigliosol* Antonio Scappa nie mógł powstrzymać głośnego wybuchu śmiechu. Jedno miał jak w banku - na wieść o jego genialnym posunięciu ta nędznica, Andrea, zzielenieje z zazdrości.

Patrząc w dół na kłębiące się pod samolotem białe, wełniste chmury, Pete rozmyślała intensywnie nad swoim położeniem. Niewątpliwie, w każdym sensie wysoko ją wyniosło. Im dłużej rozważała ofertę Scappy, tym bardziej rosło jej przekonanie, że propozycja me mogła jej trafić w bardziej odpowiednim momencie życia. Wprawdzie będzie musiała nauczyć się pewnych rzeczy, jednak miała ogólne rozeznanie w branży jubilerskiej - a przede wszystkim orientowała się w wymaganiach klientów. Scappa był

twardym, przebiegłym biznesmenem, zlaknionym sukcesu na wielką skalę, który ukoronowałby jego życiowe zabiegi. Skoro on zdecydował się postawić na nią, ona również powinna ufać we własne siły.

Co jednak w tej sytuacji zrobić z Luke'em? Załóżmy, że poleciałaby do niego od razu i okazałoby się, że nie wszystko między nimi jeszcze wygasło. Załóżmy, że potrafiliby żyć ze sobą. Czy chciała z nim być ponad wszystko, zamiast wszystkiego?

Jeszcze me. Perspektywa sprawdzenia się na zupełnie nowym polu była zbyt podniecająca.

Czy mogła liczyć na to, że Lukę w jakikolwiek sposób zmodyfikuje swoje plany, tak żeby pogodzić jej sprawy ze swoimi? Krytykował ją już za projektowanie, które w jego oczach miało zaspokoić zachcianki garstki bogaczy, więc z pewnością nie okaże się bardziej tolerancyjny wobec faktu, że ma zamiar prowadzić sklep, który będzie schlebiał

ich gustom.

Nie miała na co liczyć. Niechęć Luke'a do jej kariery me była wyrazem starego jak świat, męskiego szowinizmu, lecz kwestią zasad, bezwarunkową reakcją na wszelkie zabiegi, które miały na celu zaspokojenie zachcianek bogaczy.

Doszła do wniosku, że me ma szans w tej walce. Chociaż zasady Luke'a - niechęć do hipokryzji i próżniactwa, głęboka potrzeba służenia społeczeństwu - stanowiące nieodłączną część jego osobowości, były tym, za co właśnie tak go kochała.

Razem mogą być dopiero wtedy, kiedy będą w naturalny sposób gotowi w pełni zaakceptować się wzajemnie.

Miłość powinna być obopólnym triumfem, a nie poddaniem się.

Doszła do wniosku, że nie ma sensu rozmawiać z Luke'em, zanim sama nie podejmie decyzji w sprawie Tesori. Nie miała zamiaru prosić nikogo o pozwolenie ani też iść drogą wyrzeczeń. Chciała realizować swoje najgłębsze marzenia, które towarzyszyły jej, zanim jeszcze poznała Lukea, marzenia podyktowane przez fakt, że jej los spleciony z życiem La Colomby.

Rozdział piąty

W trakcie wieloletnich lektur na temat kamieni szlachetnych Pete natknęła się na opowieść o cierpiącym na bezsenność tureckim paszy, który zasypiał tylko po zanurzeniu dłoni w ustawionym przy łożu kubelku szmaragdowych kaboszonów, przebierając palcami po ich krągłych powierzchniach. Historia nie była apokryfem *Baśni tysiąca i jednej nocy*: kubelek z bezcenną zawartością w dalszym ciągu można podziwiać w Topkapi, istambulskim muzeum, niegdyś pałacu ottomańskich sułtanów.

Historia szmaragdów sułtana zainspirowała Pete w okresie, kiedy poszukiwała rozwiązań wystroju wnętrza sklepu.

Doszła do wniosku, że tym, co najbardziej pociąga ludzi w klejnotach, jest fakt, że pobudzają wyobraźnię, jawiąc się im jako tajemniczy owoc głębin ziemi, ozdoba królewskich szat, najszlachetniejsza materializacja męskiego pożądania kobiet, czy wręcz środek kojący nerwy wszechpotężnego władcy. Zdecydowała, że Tesori odwoła się do wyobraźni klientów. Stworzy sklep jubilerski, w którym będzie można nabyć nawet kubelek szmaragdów.

Po spotkaniu z kilkoma architektami jej wybór padł na młodego mężczyznę, niejakiego Brenta Lowella, któremu powierzyła zaprojektowanie sklepu. Lowell, od dziewięciu lat absolwent Yale School of Architecture, zdążył sobie już wyrobić nazwisko jako projektant wnętrz sklepowych. Rodem z Kansas, atrakcyjny, o sportowej sylwetce, ciemnobrązowych oczach i włosach jasnobłond, cieszył się opinią pracoholika - człowieka, któremu praca przysłała całe życie. Jego współpraca z Pete układała się bardzo dobrze i nigdy nie dochodziło między nimi do żadnych starć natury ambicjonalnej. Lowell wkładał wiele wysiłku w realizację koncepcji naszkicowanej przez Pete - sklep miał łączyć w sobie atmosferę, jak to ujęła, świątyni, galerii dla koneserów, wreszcie - buduarów słynnych kurtyzan. Ten ostatni postulat, naturalnie, nie padł przypadkowo. Słuchając opowieści ojca o niezapomnianej nocy, jaką spędził w towarzystwie La Colomby i jej klejnotów, wpadła na pomysł odtworzenia atmosfery, która potrafiła zauroczyć jej ojca na resztę życia. Zaczęła wyciągać z niego kolejne szczegóły wystroju willi babki, starając się uchwycić i przenieść klimat do projektu sklepu.

Po opracowaniu planów odkryła z zachwytem, że Antonio Scappa nie wniósł żadnych poprawek. Pokrywał na bieżąco wszystkie rachunki i dzwonił raz w miesiącu z pytaniem, jak jej idzie. Jednak z chwilą, gdy przekonał się, że Pete bez reszty zaangażowała się w całe przedsięwzięcie, zostawił jej wolną rękę. Nie odpowiedział nawet na nalegania Pietry, żeby przyjechać do Nowego Jorku na tydzień specjalnych pokazów inauguracyjnych.

I tak, równo w rok po powrocie Pete z Barcelony, na rogu Piątej Alei, tylko trzy przecznice od Duforta & Iveresa, otworzył swoje podwoje sklep, który w pełni ucieleśniał wizję Pete. Wystrój

ścian łączył drewnianą boazerię, tapety, martwe natury i świeczniki, w których migotały płomienie świec. Zamiast pokrywać podłogi dywanami czy wykladać polerowanym marmurem, Pete posłużyła się chropawym, czarnym - nasuwającym bardziej skojarzenia kościelne niż pałacowe - granitem, w którym dyskretnie połyskiwały cząsteczki miki. Wszędzie porozstawiano gabloty, zaprojektowane przez Pete przy pomocy Lowella. Gabloty nie były zwykłymi przezroczystymi prostopad-

łościanami; w każdej z nich, za szybami ze szlifowanego szkła, znajdowały się dziesiątki póltek, nadając całości wygląd gigantycznych klejnotów. Gabloty w połączeniu z metalowymi konstrukcjami sprawiały wrażenie olbrzymich abstrakcyjnych pierścionków lub bransolet.

Inaczej niż w innych sklepach jubilerskich, w których istniał sztywny podział na różne gatunki biżuterii, w Tesori wszędzie można było się natknąć na wszystko, dzięki czemu klient wkraczając do sklepu miał wrażenie, że znalazł

się w skarbcu

królewskim czy raczej w grocie korsarzy. Wszelkie wątpliwości rozwiewał dystyngowany personel Tesori w srebrnoszarych garniturach i ciemnogramatowych koszulach. Obsługujący krążyli po sklepie, w każdej chwili gotowi zaprowadzić potencjalnych klientów do interesującego ich obiektu.

Na koniec w sklepie poumieszczano kosztowności, które miały podkreślić baśniową atmosferę, kojarzącą się z klejnotami. Jednym z nich był kubek szmaragdów, wystawiony w specjalnej gablocie i opatrzony etykietą „środek na bezsenność” oraz notą wyjaśniającą, dlaczego przypisywane mu są takie właściwości. W gablocie znajdowała się też srebrna, grawerowana plakietka z ceną, opiewająca na \$999,999.99. W sprzedaży znajdował się jeszcze dobry tuzin podobnych „wariactw”, które łączył dowcip, kosztowność, a także nawiązania do starożytnych legend. Wielki diament na platynowej podstawie służyć miał, podobnie jak dawnym hinduskim radzom, do zaglądania w przyszłość. Wysadzana szafirami różdżka z kości słoniowej miała rzekomo moc uzdrawiania wszelkich schorzeń i była kopią różdżki Wikingów. Korona, w której tkwił pojedynczy rubin „gołębia krew”, miała swojego nosiciela obdarzać nieomylną mądrością - pomysł inspirowany legendami o staroperskich władcach. Tego rodzaju skarby wymagały dodatkowych środków zabezpieczających, Pete nie wątpiła jednak, że koszty zwrócą się dzięki klienteli, którą przyciągną do sklepu.

Rzeczywistość przekroczyła jej najśmielsze marzenia. Tesori od pierwszego dnia ściągał tłumy. Naturalnie tylko niektórzy z nich dokonywali jakichkolwiek zakupów. Niektórzy klienci, którzy na co dzień woleli dyskretne, uładzone wnętrza tradycyjnych sklepów jubilerskich, zaglądali do Tesori z czystej ciekawości, po czym orientowali się, że atmosfera sklepu rozbudza ich wyobraźnię, a styl składanych im propozycji roznieca apetyty.

Tesori nie mógł się mierzyć z Cartierem czy Dufortem & Ive-resem w kwestii przyciągania starych matron - Pete z góry pogodzona była z porażką na tym polu. Jej klientelą byli ludzie młodzi i niekonwencjonalni, skłaniający się ku nowocześniejszym i bardziej oryginalnym gustom, pokolenie dnia dzisiejszego i jutra.

Przychodzili... i wychodzili, unosząc biżuterię. Już w pierwszym miesiącu po otwarciu Tesori New

York miał

wyższy dochód na metr kwadratowy powierzchni sklepowej niż jakikolwiek sklep jubilerski na świecie. Znalazł się nawet pewien cierpiący na bezsenność multimilioner, przedsiębiorca budowlany, który zakupił kubełek szmaragdów

- i napisał do Pete, żeby donieść, iż środek okazał się skuteczny!

W ostatnią sobotę września, ponad rok od otwarcia sklepu, Pete w towarzystwie Brenta Lowella wracała do sklepu z lunchu, który spożyli za rogiem, w La Cote Basque. W pierwszych szesnastu miesiącach działania Tesori ruch w sklepie okazał się tak duży, że stale tworzyły się zatory przy wejściu. Pete postanowiła dobudować drugą parę drzwi.

Przy lunchu rozmowa koncentrowała się głównie na projekcie wejścia, parę razy jednak przyjaźnie zeszli na sprawy osobiste.

W intensywnym okresie projektowania i urządzania sklepu, kiedy często pracowali do późna i o północy jeszcze, przegryzając kanapki, omawiali szczegóły budowlane, Pete dla wygody zaliczyła romans z architektem. Patrząc na to z perspektywy, nie miała wątpliwości, że w okresie, kiedy była zbyt zajęta, żeby odnawiać związek z Luke'em Sanfordem, przelotny romans był najbardziej skutecznym sposobem na to, żeby w jej sercu przestał kołatać duch Luke'a. Byli ze sobą jeszcze przez pewien czas po otwarciu sklepu, ale z chwilą, gdy Lowell rzucił się w wir kolejnych zamówień, romans zmarł śmiercią naturalną i żadna ze stron nie poczuła się ani zawiedziona, ani rozgoryczona. Nadal łączyła ich przyjaźń - powiedziała mu nawet o Luke'u - i bez wahania dzwoniła do niego konsultować się w sprawie kolejnych projektów. Kiedy wykupiła mieszkanie w spółdzielni luksusowych domów, też przy Piątej Alei, ale nieco bliżej sklepu, zaprojektował śmiałą przebudowę mieszkania i nadzorował wykonawstwo.

Teraz Lowellowi powierzyła przebudowę wąskiego gardła, jakim było wejście do Tesori. W czasie lunchu rzucił

uwagę świadczącą o tym, że miałby ochotę wskrzesić ich związek, ale puściła aluzję mimo uszu i wyglądał na pogodzonego. Dotarli do sklepu i przystanęli na

boku, przyglądając się ożywionemu ruchowi przy drzwiach. Omawiali właśnie możliwe rozwiązania, które zwiększyłyby przepustowość wejścia, kiedy Pete w tłumie wchodzących wyłowiła dwie znajome twarze - Andrea i Marcel.

Nie miała z nimi żadnych kontaktów w okresie, gdy Tesori był w fazie projektów, nie zjawili się też na żadnym z pokazów inauguracyjnych dla prasy, dyktatorów mody i kolegów z branży. Zważywszy na stosunki Antonia z córką, było zrozumiałe dla Pete, że Andrea będzie czuła wobec niej niechęć za to, że zajęła miejsce, które się jej należało i stopa jej zapewne nie postanie w Tesori. Jeśli zaś chodzi o Marcela, z pewnością nie odważy się okazać zainteresowania, które mogłoby w jakikolwiek sposób rozbudzić płomienną zazdrość Andrei. Właśnie zdecydował

się uhonorować jej znaczenie dla Duforta & Iveresa, nadając Andrei tytuł prezesa firmy, której sam

mianował się dyrektorem.

Bez względu na to, co powstrzymywało ich od odwiedzin do tej chwili, widać było, że w końcu ulegli zżerającej ciekawości. Pete uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Muszę już wracać do sklepu, Brent - zwróciła się do architekta, całując go w policzek. - Postaraj się zająć tymi projektami w przyszłym tygodniu. Jak tylko będą gotowe, masz mnie do swojej dyspozycji.

- Nie aż tak, jakbym chciał - rzucił za nią.

- Słuchaj - przystanęła, zwracając się do mego - me zaczynamy wszystkiego od nowa. Przeżyliśmy razem coś bardzo przyjemnego, co jednak miało trwałość bańki mydlanej, inaczej nie rozprysłoby się tak łatwo, gdy tylko stanęliśmy na ziemi. Nasz związek zaliczam do przeszłości - jeżeli trudno ci będzie ze mną pracować, znajdę sobie innego współpracownika.

- Nie ma takiej konieczności. Po prostu przyszło mi do głowy, że gdyby ci się jakoś udało rozprawić ze szczątkami tamtego uczucia... Cóż, może bylibyśmy dla siebie odpowiednim towarzystwem.

Uśmiechnęła się.

- Lubię twoje towarzystwo, Brent, i zawsze chętnie z tobą przebywam - przy stoliku w restauracji albo nad deską kre-

ślarską.

Skinął głową i leciutko zasalutował na pożegnanie.

Po wejściu do sklepu rozglądała się tak długo, aż wypatrzyła Andreę i Marcela myszkujących po całej sali. Stykając się głowami robili uwagi na temat wystawionej biżuterii i dekoracji wnętrza. Widząc ich zażyłość, poczuła ukłucie zazdrości. Mimo niezliczonych przeszkód, tym dwojgu udało się przetrwać razem.

Podeszła do nich.

- Pozwólcie, że podsłucham, co mówicie - oświadczyła na powitanie. - Tym razem już za późno, ale w przyszłości chętnie zastosuję się do waszych uwag.

Odwrócili się w jej stronę z wyrazem niekłamanej przyjaźni na twarzy.

- Nie musisz tutaj absolutnie nic zmieniać - oświadczyła Andrea. - Nie musisz nam też mówić, że ci świetnie idzie.

Liczy same mówią za siebie.

- Czy znalazłabym uznanie w oczach Claude'a? - spytała Pete, puszczając oko do Marcela.

- Zapewne nie - odpowiedział - choć trudno mi w tej sprawie wyrokować. Sądzę jednak, że gdyby jeszcze żył, zapewne uznałbym, że nie we wszystkim jest nieomylny.

- Nie wszyscy mogą być nieomylni - zażartowała Andrea. Pete zauważyła, że ostentacyjnie wyzywający styl Andrei uległ

pewnemu zmiękczeniu. Włosy miała dłuższe i o odcień jaśniejsze, miejsce dawnych ubiorów, pełnych szokujących zestawień, zajął klasyczny czerwony kostium od Valentina. Być może, osiągnąwszy wreszcie uznanie, o które tak długo musiała walczyć, mogła zerwać ze stylem lamparcicy.

- Szkoda, że nie zajrzeliście wcześniej - powiedziała serdecznie Pete. - Myślę, że moglibyśmy w dalszym ciągu podtrzymywać znajomość, chociaż zostaliśmy konkurentami.

- Ależ byliśmy tutaj wielokrotnie - zapewnił Marcel. Musiałaś nas po prostu przeoczyć w tłumie. Przychodzimy często, podpatrzeć co sprzedajesz i jak to wystawiasz.

- Zawsze staramy się podkradać tylko najlepsze pomysły zażartowała Andrea.

Andrea niewątpliwie na swój cierpki sposób starała się powiedzieć komplement Pete. Zapewne był to pierwszy krok w kierunku przełamania wzajemnej wrogości. Pete zawahała

się przez chwilę, z obawy że jej słowa mogą w jakiś sposób ożywić dawne urazy. Jednak ta szwajcarska sekutnica zawsze wzbudzała podziw Pete i możliwość zawarcia z nią przyjaźni była niewątpliwie pociągająca.

- Chciałam ci powiedzieć, że zanim podjęłam pracę u Antonia, powiedziałam mu, że powinien był zaproponować ją tobie...

- oświadczyła.

- Naprawdę? - ironicznie zdziwiła się Andrea. - I co powiedział na to mój drogi ojczulek?

- Powiedział, że nie chce stawać między wami - wyjaśniła, przenosząc wzrok z Andrei na Marcela. Andrea odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

- Stary sukinsyn! Jakby taki drobiazg mógł go powstrzymać.

- Odniosłam wrażenie, że przede wszystkim zabolalo go to, że nie wyraziłaś najmniejszej chęci współpracy.

- Nie wyraziłam... - przerwała Andrea, oszołomiona do głębi.

- Nie mam żalu do ciebie, Pete, ale gdybym tylko miała szansę...

- Mówił, że podjął kroki pojednawcze, ale został zlekceważony.

Andrea umilkła na chwilę. Nigdy jeszcze na Pete nie zrobiła wrażenia równie bezbronnej.

- Nigdy się do mnie nie odezwał - powiedziała cicho - i zapewne nigdy się nie odezwie. Znając mojego ojca, Pete, sądzę, że czerpał prawdziwą rozkosz dając tę posadę innej osobie i zarządzając mi pod samym nosem sklep, który mógł być szansą dla mnie. - Zdecydowanie zacisnęła usta, nie chcąc zdradzać się dalej z urazą i rozczarowaniem.

- Gdybym wiedziała - Pete potrząsnęła głową ze współczuciem.

- Może lepiej w tej sytuacji, że nie wiedziałaś - oświadczyła Andrea, odzyskując codzienny wigor i pewność siebie. -

Nie sądzę, żebym poradziła sobie z tym zadaniem tak dobrze, jak ty. - Wzięła Marcela pod rękę. - A ja tymczasem mogłam poświęcić się lepszemu zadaniu, które daje mi perspektywy kolejnego awansu.

- Co to, to nie, *ma pettie*, nie zamierzasz chyba całkiem wykołegować mnie z firmy! - zawołał Marcel z udanym przerażeniem.

- Wiesz, o co mi chodzi - powiedziała bardzo cicho. Wyraźnie był to jakiś żart znany tylko im dwojgu.

Wyszli, a Pete udała się do swojego gabinetu. Przez chwilę siedziała rozmyślając nad kłamstwem, którym uraczył ją Scappa, przyjmując do pracy. Czy podjęłaby inną decyzję wiedząc, że nigdy nie brał Andrei pod uwagę? Szczerze musiała przyznać, że chyba nie. W sytuacji, kiedy między ojcem a córką istniała przepaść nie do przebycia, nie miała sobie nic do zarzucenia, nie widziała też powodu, dla którego miałaby rezygnować z czegokolwiek.

A jednak czuła się zaniepokojona faktem, że Scappa nie był wobec niej uczciwy. Jak dotąd nic w ich wzajemnych stosunkach zawodowych nie obudziło jej czujności. Trzeba przyznać, że wyjątkowo mało się wtrącał, zważywszy, że na terenie nowojorskiej filii byli równoprawnymi partnerami. Jednak świadomość, że ją okłamał, zburzyła jej dotychczasowe zaufanie. Tamto kłamstwo mogło być jednym z wielu kłamstw przeszłych bądź przyszłych.

W dwa tygodnie później, w deszczowy wtorek, do gabinetu rozmawiającej przez telefon Pete wparowała Jess z ociekającą głową, w przemoczonym na wylot ubraniu. Lottie, wyniesiona do pozycji zastępcy kierownika, w dalszym ciągu zajmowała biurko przy drzwiach do gabinetu Pete; wiedziała, że Jess należy do nielicznych osób, które szefowa przyjmuje o każdej porze dnia i nocy.

Jedno szybkie spojrzenie nad biurkiem upewniło Pete, że Jess jest raczej podniecona niż zdenerwowana, w związku z czym spokojnie dokończyła rozmowy z przedstawicielem biura podróży. Ostatnio doszła do wniosku, że, podobnie jak wielcy jubilerzy przeszłości, powinna przestać zdawać się na hurtowników i zacząć osobiście selekcjonować kamienie u ich źródła. W związku z tym planowała za parę tygodni wypad do kopalni szafirów w Birmie i Cejlonie, do kopalni rubinów w Chanthaburi w Tajlandii i kopalń opalu w Coober Pedy w Australii.

- Zgadnij, co się stało! - wybuchnęła Jess, ledwie Pete powiedziała w słuchawkę „do widzenia”.

Patrząc na promienną twarz przyjaciółki, doszła do wniosku, że chyba wie dokładnie, jaka wiadomość przygnała Jess w taką pogodę. Nie zamierzała psuć jej przyjemności.

- Wygrałaś w Totolotka... zakwalifikowałaś się do finału Miss America... Fernando zdobył Puchar Ameryki...

- Nie, nie i jeszcze raz nie - przeczyła ze śmiechem Jess.

- Poddaję się.

- Jestem w ciąży!

Dokładnie tak, jak przypuszczała Pete.

- Bardzo się cieszę! Jak Fernando przyjął tę wiadomość?

- spytała obiegając biurko dookoła, żeby uściskać Jess.

- Jeszcze nie wie. Przyleciałam do ciebie prosto od mojego doktora, który przyjmuje na rogu Sześćdziesiątej Trzeciej i Piątej Alei. - Urwała na chwilę. - Nando się chyba ucieszy, prawda? Jak myślisz?

Pete odniosła wrażenie, że słyszy błagalną nutę w pytaniu Jess, jak gdyby przyjaciółka była czymś zaniepokojona.

- Naturalnie, że się ucieszy - zapewniła ją. - Nie dlatego, że tak wypada, tylko dlatego, że cię kocha i kocha wasze dziecko.

Jess potaknęła, jednak wyglądała na lekko przygaszoną. Pete podejrzewała, że między Jess a jej mężem nie było dotąd żadnych planów czy nawet rozmów na temat dziecka.

- Nie czekaj z zawiadomieniem go - ponagliła przyjaciółkę.

- Niech się cieszy razem z tobą. Czasami musi potrwać chwilę, zanim mężczyzna oswoi się z myślą o ojcostwie, i o wszystkich zmianach, jakie niesie z sobą dziecko. Jestem pewna, że Fernando się z tym upora.

Uśmiech powrócił na twarz Jess.

- Dziecko chyba niczego nie zmieni, prawda? O to właśnie chodzi Fernandowi - żeby wszystko było tak, jak dotychczas.

- Tego bym mu raczej nie obiecywała - poradziła Pete lekkim tonem. - Możesz go jednak zapewnić, że zmiany będą wyłącznie na lepsze.

Jess ogarnęło poprzednie podniecenie, kiedy zaczęły się umawiać na lunch za parę dni. Pożegnała się z Pete i ruszyła na poszukiwania Fernanda, z którym zamierzała podzielić się radosną nowiną.

Po wyjściu Jess do gabinetu zajrzała Lottie.

- Nie masz mi chyba za złe, że pozwoliłam jej się wdrzeć do ciebie - spytała kładąc poranną pocztę, przejrzaną i posortowaną, na biurko Pete.

- Czy kiedykolwiek miałam ci coś takiego za złe? W żadnym wypadku nie można było jej dziś kazać czekać. Właśnie dowiedziała się, że będzie miała dziecko.

- Cudownie! - ucieszyła się Lottie. - Skoro jesteśmy już w nastroju do niespodzianek, to obejrzyj sobie to. - Sięgnęła do pliku korespondencji, wręczając Pete grubą, elegancką kopertę z papieru welinowego.

Pete wyjęła ze środka tłoczony bilet z zaproszeniem na ślub Andrei Scappy i Marcela Iveresa, który miał się odbyć za trzy tygodnie w rodzinnym zamku pana młodego nad Loarą, w jedną z niedziel października.

Oprócz zaproszenia w kopercie znajdował się również skreślony wiecznym piórem liścik.

Przyjedź koniecznie. Opowiedział mi, jak odesłałaś go z powrotem do mnie. Skoro nie jest jeszcze za późno na nasz ślub, to z pewnością nie jest za późno na twoją i moją przyjaźń. A.

Naturalnie, że pojedzie. Właściwie mogłaby zmienić nieco swoje plany, lecąc z Azji prosto do Francji.

Uśmiechnęła się, siadając z powrotem za biurkiem. A więc to był prywatny żarcik tych dwojga: „szansa na awans”

Andrei.

Nagle ogarnęła ją fala melancholii. Jess będzie miała dziecko. Andrea przypieczętuje swoje prawo własności wobec Marcela. Cieszyła się w ich imieniu.

A jednak, w obliczu ich spełnienia, ogarniało ją poczucie pustki. Nie czekało ją nic, poza podróżą w poszukiwaniu klejnotów - pięknych, lecz pozbawionych życia.

Rozdział szósty

Trzeba przyznać Francuzom, że wiedzą, co to jest gala, stwierdziła Pete, obserwując tłum przewalający się przez tereny położone wokół zamku Chateau d'Iveres nad Loarą, w pobliżu Tours. W kręgach arystokracji rodowej rodzina Marcela Iveresa zajmowała pozycję bardzo skromną, mimo to udało mu się zgromadzić całkiem imponującą liczbę hrabiów, baronów i książąt, z którymi łączyły go więzy krwi bądź więzy interesów. Jeśli dodać do tego liczne zastępy członków międzynarodowego świata jubilerskiego, przemieszanych z tłumem krewnych, przyjaciół z Paryża i z Nowego Jorku i przyprawić ten melanz szczyptą mieszkańców otaczającej zamek małej wioski Sanpeur, otrzymywało się w rezultacie prawdziwie huczne przyjęcie, czyli wesele Marcela Claudea Christophea Iveresa z Andreą Juliettą Scappą, które odbyło się dwunastego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku.

Nad ceremonią unosił się nastrój teatralnej ekstrawagancji. Andrea, przynajmniej na ten jeden dzień, powróciła do swego starego stylu. Wystąpiła w długiej, mocno wciętej w pasie wąskiej sukni z wiśniowej satyny, o obfitych, zgufrowanych rękawach i dekolcie dostatecznie głębokim, żeby odsłonić wisiołek z diamentów i rubinów - ślubny podarunek Marcela. Włosy miała ufarbowane i

utapirowane na złoty kask, który mógłby wzbudzić zazdrość Tiny Turner. Fryzurę wieńczyła burza różowych i czerwonych piór, z których zwisał welonik tak maleńki, że można go było uznać wyłącznie za parodię tradycyjnego przybrania panny młodej.

Zdaniem Pete, Andrea wyglądała rewelacyjnie.

Zgodnie z francuskim prawem, młoda para najpierw musiała odbyć ślub cywilny w ratuszu. Mer, przepasany czerwono-biało-błękitną szarfą, z najwyższą powagą i przejęciem wyrecytował stosowny fragment Kodeksu Napoleona, a następnie ogłosił ich mężem i żoną. Z ratusza państwo młodzi udali się z powrotem na zamek w *attelage*, otwartym powozie, wjeżdżając pod różanym pnączem siedemnastowiecznej bramy w wysadzaną rzędami majestatycznych kasztanów żwirowaną aleję, prowadzącą do prywatnej kaplicy zamkowej, w której miała się odbyć ceremonia kościelna.

Od czasu ślubu Jess i Fernanda Pete unikała jak mogła tego typu uroczystości. Zawsze na widok nowożeńców przypominała jej się koszmarna awantura z Luke'em, awantura, która przecięła wszelkie nadzieje na dalszą wspólną przyszłość.

Jednak była zadowolona, że zdecydowała się na przyjazd do Chateau d'Iveres. Miała wrażenie, że tym razem przynajmniej trafiła na uroczystość, na której będzie się dobrze bawić.

Goście kręcili się po trawnikach i pod pasiastą markizą przysłaniającą stumetrowej długości stół, który uginał się pod wszystkimi możliwymi zakąskami znanymi francuskim podniebieniom, jak również butelkami świeżego, musującego wina z winnic Marcela.

Pete, która spośród obecnych znała tylko kilka osób, podziwiała uroczystość przechadzając się po trawnikach, po ścieżkach różanego ogrodu, zaglądając pomiędzy żywopłoty. W powietrzu migały setki rąk, w podmuchach łagodnego jesienno-wiatru łopotał barwny jedwab damskich spódniczek, pół tuzina języków splatało się w mieszankę godną wieży Babel.

Przechodząc obok namiotu, w którym właśnie zaczęły się tańce, dostrzegła René Vaugillande'a z paryskiego Druot -

tęgo samego Vaugillande'a, który nie mógł czy nie chciał jej pomóc. Ruszyła prosto na niego. Musiała spróbować jeszcze raz.

Pan Vaugillande! Cóż za miłe spotkanie! - wykrzyknęła, zachodząc mu drogę. Szedł właśnie do baru, w którym szampanem raczono się tak obficie, jakby to była woda z kranu.

Pogratulowała sobie, że w drodze zatrzymała się w Paryżu i kupiła poszerzaną w ramionach zieloną sukienkę z szeroko rozkloszowaną, portfelową spódniczką, oraz wielki, kwiecisty szal od St. Laurenta. Zdawała sobie sprawę, że ze złotymi, wysadzanymi rubinami grzebykami w kruczoczarnych włosach wygląda doskonale. Posłała Francuzowi olśniewający uśmiech. Odpowiedział wprawdzie dwornym ukłonem, jednak skrzywił się lekko, wyraźnie niezbyt zachwycony spotkaniem.

- Cieszę się, że będę miała okazję z panem porozmawiać ciągnęła Pete. - Mam wrażenie, że wtedy, przed laty, w pańskim biurze byliśmy, jakby to powiedzieć, troszeczkę roztargnieni.

- Doprawdy? Zupełnie sobie nie przypominam.

- Ależ tak. W przeciwnym wypadku na pewno udałoby mi się przekonać pana o tym, jak szalenie ważna jest dla mnie moja prośba.

- *Mademoiselle D'Angeli*, odpisałem przecież na pani listy. Zna pani moje stanowisko w tej sprawie. A teraz wybaczy pani, ale jesteśmy tutaj po to, by świętować...

- Nie wiem, czy mówiłam panu, że naszyjnik z szafirów, zakupiony u was przez panią Fisk Haines, był kiedyś własnością mojej babki? Muszę dotrzeć do osoby jego sprzedawcy z powodów osobistych, które z pewnością nie zaszkodzą interesom Druot.

- *Mademoiselle D'Angeli* - oświadczył surowym tonem - jak już panią informowałem, nawiązałem kontakt ze wspomnianym dżentelmenem, który jednak nie życzy sobie ujawnienia jego tożsamości. Pozwoli pani sobie przypomnieć, że spotkaliśmy się tutaj dla uczczenia ślubu naszych przyjaciół, żeby się zabawić, a nie prowadzić interesy. Będę się czuł zaszczycony, jeżeli zechce pani ze mną zatańczyć. - Wyciągnął dłoń w stronę Pete.

Nagle straciła cierpliwość.

- Dlaczego zachowuje się pan jak pies ogrodnika, *monsieur Vaugillande*?

- Pies ogrodnika? Nie rozumiem...

- To idiom - wtrącił głęboki męski głos zza pleców Pete. - Oznacza, że ma pan coś, czego ani sam pan nie zje, ani nie da spróbować nikomu.

Pete odwróciła się i zobaczyła czterdziestoparoletniego Japoń-

czyka, który opierał się o bar ze szklanką szkockiej w dłoni. Przyszło jej do głowy, że musiał wyglądać dziwnie w Tokio, mając co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona, wąską talie i biodra, wreszcie - długie i smukłe nogi. Szyty na miarę garnitur wyglądał, jakby pochodził z Savile Row, w angielskim pobrzmiwały echa oksfordzkie, natomiast uśmiech był, po amerykańsku, szeroki. Otaczała go niemal namacalna atmosfera władzy i pewności siebie.

- Pan Kiyosaki! - wykrzyknął *Vaugillande*, obleśnie płaszczącym się głosem. - Nie wiedziałem, że zastanę tutaj pana.

- Marcel Iveres jest moim dobrym przyjacielem i znakomitym kontrahentem.

- Naturalnie - potaknął skwapliwie *Vaugillande*. - Co się zaś tyczy tu obecnej damy... - Odwrócił się w stronę Pete.

- Hiroshi Kiyosaki - przerwał mu Japończyk, wyciągając dłoń w jej stronę.

Wymienili uścisk dłoni. Nazwisko było jej znane.

- Perłowy Książę. Słyszałam o panu. Jestem...

- Pietra D'Angeli. Nie tylko słyszałem o pani - widziałem panią na fotografii. W dodatku od dawna podziwiam pani biżuterię. Doprawdy, *monsieur* Vaugillande, zawsze sądziłem, że Francuzi słyną z galanterii, tymczasem niechcący doszło do moich uszu, że w sposób przykry i grubiański potraktował pan najpiękniejszą z obecnych tu dam - zwrócił

się do Vaugillande'a.

- Nie miałem najmniejszego zamiaru obrazić panny D'Angeli. Powiedziałem tylko...

- Słyszałem, co pan powiedział. - Wysoki Japończyk z powrotem odwrócił się do Pete, lustrując ją od stóp do głów z nieukrywaniem zachwytem. - Poszukiwana informacja jest, jak sądzę, szalenie istotna dla pani, prawda?

- Szalenie - potwierdziła Pete.

Przyglądał się jej przez chwilę, po czym lekko skinął głową.

- Vaugillande - zwrócił się do Francuza - jeśli chodzi o renesansowe obrazy, które zamierzałem u was sprzedać...

Oczy Francuza zaświeciły się.

- Z najwyższą przyjemnością poprowadzimy w pana imieniu tę sprzedaż, panie Kiyosaki. Zapewniam pana, że Druot postara się uzyskać dla pana najkorzystniejsze ceny.

- Właśnie skończyłem rozmowę z Richardsonem od Christiego. Ich oferta wygląda całkiem atrakcyjnie.

- Na pewno nie tak korzystnie jak nasza - zapewnił pospiesznie Vaugillande.

- A jeżeli postawię warunek, że pomoże pan panie D'Angeli w odszukaniu potrzebnej jej informacji?

- Obiecaliśmy wspomnianemu dżentelmenowi dyskrecję, *monsieur* - oświadczył Vaugillande po chwili milczenia. -

Tego rodzaju obietnice stanowią dla nas świętość.

- Być może ów dżentelmen dałby się przekonać - zasugerował Kiyosaki, pociągnąwszy szkockiej ze szklaneczki.

Chociaż nie podniósł ani razu głosu, nie drgnęła mu brew, jednak Pete wyczuła w jego tonie starannie zawołaną groźbę. Francuz, kłaniając się w milczeniu, potwierdził słuszność jej intuicji.

- Być może. Zrobię, co będzie w mojej mocy, panie Kiyosaki.

- Będę panu bardzo zobowiązany. W związku z tym, że będzie pan teraz zaabsorbowany tą sprawą, odłożymy rozmowy o aukcji renesansowej do chwili, kiedy wywiąże się pan z pierwszego zadania. Proszę mi dać znać..

W jego głosie dało się słyszeć ton odprawy, który Francuz podchwycił bezbłędnie.

- Naturalnie, *monsieur* - potwierdził zwięźle i odmaszerował, rzuciwszy Pete oschłe *au revoir*.

- Obstawiam, że będzie pani miała poszukiwaną informację w ciągu tygodnia, najwyżej dwóch.

- Cudownie - ucieszyła się. - Jak mogłabym się panu odwdziaczyć?

- Zatańczywszy ze mną, panno D'Angeli. - Przez jego przystojną twarz o barwie klonowego drewna przeleciał

czarujący uśmiech.

- Bardzo mi będzie miło, panie Kiyosaki.

- Proszę mi mówić: Hiro.

- Pete - przedstawiła się, przyjmując podaną jej dłoń.

Rozłożony na dworze parkiet taneczny odbijał się w podłużnym basenie. Kiedy popłynęli po gładkiej jak lustro posadzce w takt którejs z powolnych ballad Aznavoura, Pete mogła przyjrzeć się z bliska twarzy Kiyosakiego: miał

oczy tak ciemne.

że dorównywały niemal granatowej czerni jego jedwabistych włosów, wysokie kości policzkowe i mocną, kanciastą szczękę.

Przypomniała sobie wszystko, co słyszała, czy też czytała na temat Perłowego Księcia. Jako nastoletni chłopak w Tokio zaczął stawiać pierwsze kroki na drodze do zdobycia majątku zbierając złom, który następnie wymieniał z zyskiem na inne towary. W okresie, kiedy zniszczona doszczętnie gospodarka japońska dopiero zaczynała stawać na nogi, największym wzięciem cieszyły się przedmioty codziennego użytku i pereł nie stały specjalnie w cenie. Mimo to Kiyosaki z pereł uczynił ostateczny obiekt wszystkich swoich transakcji. Kiedy uzbierał spory zapas, otworzył

niewielkie stoisko z perłami w hallu jednego z podrzędnych hoteli w Tokio. Wkrótce był już właścicielem kolejnych stoisk w elegantszych hotelach. Kiedy Japonia wróciła do siebie po wojennych zniszczeniach i wzrosły obroty w handlu biżuterią, Kiyosaki nabrał wiatru w żagle i poza sprzedażą pereł zajął się również pośrednictwem. Obecnie był jednym z najpoważniejszych na świecie hodowców pereł.

- Szkoda, że nie poznaliśmy się wcześniej - oświadczył, prowadząc ją bez wysiłku po parkiecie.

- Kupowałam już twoje perły od amerykańskich pośredników. Słyszałam jednak, że sam Książę jest bardziej zainteresowany hodowlą niż sprzedażą swoich pereł.

- Jako projektantka, mogłaś się była zgłosić wprost do mnie i wybrać perły, które by ci najbardziej odpowiadały.

- W mojej biżuterii nieczęsto posługuję się perlami.

- Stanowczo należy to zmienić. Być może mój najlepszy towar mógłby cię zainspirować.

- Nie wątpię w to.

Jako tancerz poruszał się z niezwykłą pewnością siebie. Pete upajała się lekkością, z jaką ją prowadził. Krążąc po parkiecie poznawała kolejne szczegóły, wzbogacające oficjalną biografię Hiro. Przyszedł na świat jako syn wytwórcy makaronu. Ojciec zmarł, kiedy był małym chłopcem. Żył samotnie, większość czasu spędzając na podróżach między Tokio a wysepką, na której miał hodowlę pereł. Uwielbia podróże, a wszystkie zęby, dodał

żartobliwie, racząc ją olśniewającym uśmiechem, ma nadal własne.

Wirując w tańcu, patrzyła w górę na jego twarz. Bardzo różnił

się od jej dotychczasowych wyobrażeń o Japończykach. Nie mówił też, jak oni, szybkim, podniesionym głosem, a jego cudzoziemski akcent był ledwie wyczuwalny. Podchwycił jej taksujące spojrzenie.

- Nie pasuje do twojego wyobrażenia o Japończykach?

- Czytasz w myślach - powiedziała, otwierając szerzej oczy ze zdumienia. - Właśnie o tym myślałam.

- Każda kobieta myśli o tym, kiedy mnie pozna - roześmiał się pogodnie. - Nawet Japonka.

Pete odniosła wrażenie, że słyszy w jego słowach cień rozzalenia, jakby czuł, że jego wygląd stawia go poza jakimś nawiasem.

- Przeszkadza ci to, że jesteś inny?

- Może kiedyś tak było. Jako dziecko chciałem być taki sam, jak wszyscy. Nie było mi to jednak pisane. Matka wyjaśniła mi, że ze strony jej rodziny w moich żyłach od paru pokoleń płynie krew gaidżina - jak utrzymywała, po którymś z marynarzy floty admirała Perry'ego. Z czasem zacząłem doceniać moją odmienność i cenić we wszystkim unikatowość. Stąd właśnie moje upodobanie do pereł, które są jedynym klejnotem pochodzącym od istot żywych. -

Onyksowe oczy Hiro błysnęły w kierunku Pete. - Dlatego też mógłbym przetańczyć z tobą całą noc.

Nie umiała nic odpowiedzieć na jego śmiałe wyznanie, jego zachwyty nie był jej jednak niemiły. Nie zareagowała odsunięciem się. Z rozkoszą poddawała się płynnym, tanecznym ruchom Hiro.

Kiedy orkiestra zamilkła, zostali ze sobą, nadal rozmawiając. Nad zamkowymi ogrodami zaczął zapadać zmrok.

- Opowiedz mi coś o tym naszyjniku, w którego sprawie zwracałaś się do Vaugillande'a.

Opowiedziała mu całą historię, opisując ze szczegółami flakonik La Colomby i własne, nieskuteczne poszukiwania skradzionej kolekcji. Zadawał inteligentne pytania i sprawiał wrażenie szczerze zainteresowanego wszystkim, o czym mówiła. Odkryła, że rozmowa przychodzi im bardzo łatwo.

- Wykorzystanie barokowej perły jako ramion figurki wydaje mi się cudownym pomysłem - pochwalił. - Czy widziałaś kiedyś figurkę Canninga?

Domyśliła się, że mówi o prześlicznej figurce mitycznego trytona - pół człowieka, pół ryby - znajdującej się w zbiorach Muzeum Wiktorii i Alberta. Oglądała ją kiedyś podczas handlowej podróży do Londynu.

- Tak, to właśnie coś w tym rodzaju - potwierdziła - chociaż flakonik mojej babki został wykonany cztery wieki później. Bardzo bym ci go chciała pokazać, bo to prawdziwy majstersztyk. Prawdę mówiąc, ten właśnie flakonik natchnął mnie myślą, żeby zostać projektantką biżuterii.

- Wobec tego, powinniśmy być wszyscy wdzięczni twojemu niegodziwemu stryjowi za to, że jednak coś wam zostawił. Świat byłby uboższy bez twoich pięknych wyrobów. Prawdę mówiąc, uważam, że przy twoim talencie i smaku moglibyśmy stworzyć znakomity tandem. Z pewnością potrafiłabyś wykrzesać z moich pereł cuda. Jak zapewne wiesz, perły są najbardziej zmysłowe wśród klejnotów.

Uśmiechnęła się. Zalecał się do niej coraz odważniej, ale nie miała nic przeciwko temu. Był naprawdę niezwykle czarujący i przystojny.

- Muszę bardziej zainteresować się perłami - przyznała. Zawahał się przez moment, sondując ją intensywnym spojrzeniem czarnych oczu.

- Jutro rano odlatuję do Tokio. Może polecisz ze mną? Obejrzysz moje perły i zadecydujesz, czy mogą cię zainteresować. Jestem tutaj moim prywatnym odrzutowcem. Moglibyśmy odlecieć rano.

- Niestety, muszę jutro udać się do Tajlandii, do Chanthaburi - powiedziała z żalem. Chętnie spędziłaby więcej czasu w towarzystwie tego dynamicznego, fascynującego mężczyzny. - Jadę kupić dla sklepu rubiny.

- Rozumiem. Wielka szkoda, ale na pewno powetujemy ją sobie kiedy indziej. - Posłał jej uśmiech, który mówił, że z pewnością może liczyć na jakieś „kiedy indziej”.

Coś huknęło z trzaskiem. Pete podskoczyła. Zapadła noc i posypały się fajerwerki, oświetlając niebo jak eksplodująca szkatuła z klejnotami. Aksamitną czerń nieba przecinały rubiny, szmaragdy i szafiry; turmaliny, topazy, ametysty i akwamaryny rozbłyskiwały pośród ciemności. Sznur diamentów rozpadł się na kawałki, które z wolna zaczęły opadać na dół. Kolejna porcja klejnotów wyleciała w niebo, ciągnąc za sobą złote i srebrne smugi w drodze powrotnej na ziemię.

Fajerwerki zawsze wzbudzały w Pete dziecinną radość. Stała pośród ogłuszających dźwięków eksplozji, w kolorowym deszczu świateł, ściskając w uniesieniu ramię Hiro. Kiedy ostatnie iskry z sykiem opadły na ziemię, uśmiechnął się do niej z góry.

Wesele dobiegło końca. Marcel, wyglądający zabójczo w tweekowym garniturze i Andrea, wyzywająca w krótkiej czarnej skórzanej spódnicy i indiańskim, pasiastym sweterku, z beretem na złocistych włosach, wskoczyli do jaguara i odjechali z zamku, wzbijając tumany żwiru. Zanim się ulotnili, Andrea uniosła w górę swój płomienny bukiet, odszukała w tłumie Pete i rzuciła go w jej stronę. Pete ledwie zdążyła nastawić ręce, żeby nie oberwać bukietem w twarz.

Hiro odprowadził Pete do wynajętego wozu, otworzył przed nią drzwiczki i ujął jej dłoń. - Spotkamy się jeszcze.

Moje perły na to zasługują.

W Bangkoku panował potworny upał. Tego rodzaju miasta na mapie Azji musiał mieć Noel Coward na myśli, kiedy pisał: *W południe na słońcu można spotkać tylko Anglików i wściekłe psy*. Jednak Pete nie zamierzała wysiadywać w zaciszu Oriental, stuletniego hotelu, który gościł Josepha Conrada i Sommerseta Maughama. W spodnie koloru khaki wsunęła najzwiewniejszą bawełnianą koszulę, założyła kapelusz z szerokim rondem i ruszyła na zalane strugami południowego słońca ulice.

Odwiedzała Tajlandię, ponieważ kraj ten był największym światowym ośrodkiem handlu rubinami. Była umówiona z pośrednikiem w Siam Center dopiero po lunchu, miała zatem czas, aby zapoznać się z gmatwaną uliczek.

Natychmiast poczuła duchowe pokrewieństwo z tym miastem, nazwanym Miastem Aniołów. Coś, jak D'Angeli. I trzeba przyznać, że aniołom musiał na co dzień dopisywać dobry humor — barwy, dźwięki, zapachy i ruch były tak intensywne, że Pete chwilami nie wiedziała gdzie podziać oczy.

Hałaśliwe, pomalowane krzykliwie trzykołowe *tuk tuk* prze-

mykały z pasażerami przez zatłoczoną jezdnię. Chodnikami surtęli mnisi w szafranowych szatach i kobiety w ręcznie farbowanych jedwabiach. Duszny dym kadzideł i swąd węgla drzewnego mieszały się z zapachami pęków świeżo ściętych orchidei, rozebranych na cząsteczki mandarynek i spalin autobusów. Dźwięczały klaksony, uliczni przekupnie zachwalali swoje wyroby, zagłuszając delikatne brzęczenie dzwoneczków na wietrze i śpiewną mowę przechodniów.

Zwiedziła Wat Fra Kio, Świątynię Szmaragdowego Buddy. Przez blisko godzinę podziwiała żywą zieleń olbrzymiego, drewnianego posągu, napawając się jego spokojem. Potem, z podniebieniem płonącym po lunchu złożonym z kurczęcia w zupie kokosowej, suma w sosie z curry oraz owoców mangostany, obojętnie wyminęła McDonalda i zatrzymała taksówkę, której lusterko oplatał haftowany z paciorków naszyjnik w kształcie wianka z lotosów.

W biurze pośrednika handlowego dzięki klimatyzacji panował na szczęście lodowaty chłód. Tajlandczyk postawił

przed Pete tacę nie oprawionych rubinów. Przeniosła tacę na stolik pod oknem, żeby przy świetle obejrzyć kamienie pod lupą.

- Zbyt brunatny - oświadczyła, odpychając trzykaratowy rubin oszlifowany brylantowym szlifem. - Za ciemny -

zawyrokowała o innym. Trzeci okazał się ładny i dosyć jasny, ale wadliwie oszlifowany. Przejrzała jeszcze pół tuzina rubinów z tacy. - Żaden z nich się nie nadaje, panie Toon. Wydawało mi się, że wyraziłam się jasno, być może jednak nie zrozumiał mnie pan. Chcę obejrzyć najlepszy towar, o czystej barwie, właściwym połysku - ładne, czyste kamienie.

- Naturalnie, *madame*. - Pośrednik wyszedł po kolejną partię towaru.

Nie była zaskoczona ani też specjalnie zdenerwowana. Z sytuacją tego rodzaju spotykała się nieomal zawsze, kiedy miała z kimś do czynienia po raz pierwszy. Jej kontrahenci zakładali, że jako kobieta, w dodatku stosunkowo młoda, przyjmie pośledniejsze kamienie, ponieważ nie będzie potrafiła ich odróżnić albo będzie zbyt onieśmielona, żeby protestować. Wyjaśniała im z miejsca, jak bardzo się mylą, i prawie zawsze otrzymywała towar, o który jej chodziło.

Następna partia kamieni okazała się o niebo lepsza, a trzecia - wręcz wyśmienita. Wybór Pete padł na dwa oszlifowane schodkowo, trzykaratowe kamienie - pierwszy o barwie leciutko podprawionego fioletem cynobru i drugi - sześciokaratowy owalny rubin, który nadawał się na centralny kamień ozdobnego naszyjnika.

- Znakomicie, panie Toon - pochwaliła, wypisując czek.

- Właśnie, właśnie, *miss* - potakiwał, wyraźnie zachwycony transakcją. - A jutro zobaczy pani kopalnie. Wszystko jest już załatwione.

Nazajutrz rano mały, chybotliwy samolot przewiózł ją o sto dwadzieścia pięć mil na południowy zachód, do Chanthaburi. Samolot wylądował na pasie wykarczowanej ziemi, położonym na skraju jednego z największych na świecie kompleksów wydobywania rubinów.

Chanthaburi okazało się przerażająco upalną połacią wykarczowanej ziemi koloru ochry. Wydobywanie rubinów odbywało się w dalszym ciągu za pomocą tych samych metod, którymi posługiwano się przed tysiącem lat. Kopalnie były zwykłymi dziurami wydrążonymi w rozległej, wypalanej równinie, które przed słońcem osłaniały wsparte na rachitycznych palikach daszki z liści bambusa. Jedynym barwnym akcentem na tle żółtej, pylistej ziemi były jaskrawe, bawełniane spódniczki i zawoje na głowach ludzi pracujących przy wydobywaniu kamieni. Ze względu na delikatność rubinowych kryształów, nie było mowy o posługiwaniu się jakimkolwiek sprzętem mechanicznym, wszystko odbywało się ręcznie - pracowały całe rodziny, złożone z mężczyzn, kobiet i dzieci.

W chacie, położonej na środku terenów górniczych, odbywała się sprzedaż świeżo wydobytych kamieni. Pete przez bitą godzinę targowała się o najlepsze z wysokokaratowych rubinów. Stało wreszcie na tym, że kamienie zostaną przesłane do urzędu celnego w Bangkoku, a Pete uiszczy za nie

opłatę, z chwilą gdy zostaną przepisane na licencjonowanego eksportera.

Po dokonaniu zakupów zapragnęła rzucić z bliska okiem na kopalnię. Miejscowy przewodnik poprowadził ją między płataniną daszków na krawędź jednego z szybów, w którym pracowała cała rodzina. Patrzyła, jak mężczyzna spuszcza się do

głębokiej na cztery czy pięć metrów jamy, gdzie prymitywną skrobaczką odłupuje kawałki żółtego piaskowca. Jego żona i dzieci wyciągali kawałki skały koszami zawieszonymi na linach i bloczkach, aby drogocenne kryształy nie doznały najmniejszych uszkodzeń.

- Chcesz spróbować? - spytał mężczyzna, widząc, że Pete obserwuje go od dłuższego czasu.

Skinęła z uśmiechem głową. Zdjęła buty, zakasała rękawy i ostrożnie opuściła się do dołu po rachitycznej drabince.

Przez chwilę musiała oswajać wzrok z ciemnościami, następnie zaczęła delikatnie odłupywać kawałki skały, tak jak pokazał jej górnik, i wkładać do koszy. Pracowała już od pół godziny, kiedy mężczyzna wskazał jej coś, co trzymała w dłoni. Spuściła wzrok i zobaczyła maleńki, czerwony jak krew kryształek połyskujący pośród piasku i żwiru.

- Znalazłam! Patrzcie, znalazłam rubin! — wykrzyknęła ciesząc się jak dziecko. Zgrzana, bosa, pokryta żółtym kurzem, z rozczochranymi włosami opadającymi na tył bawełnianej, przyklejonej do ciała koszuli, wybuchnęła radosnym śmiechem. Tyle lat pracowała z klejnotami, ale po raz pierwszy wydobyła jeden z nich własnoręcznie. Na własne oczy zobaczyła, jak ziemia składa swoje dary. Rubin był maciupeńki, miał najwyżej ćwierć karata, ale liczyło się to, że był.

Wygramoliła się z szybu i z wielką dumą podała rubin żonie górnika, która pomagała jej zejść na dół. Ci ludzie potrzebowali na życie każdego kamienia, jaki dało się wykrobać ze ścian kopalni; nie miała najmniejszego zamiaru zatrzymać swojej zdobyczy. Magia dokonana się w chwili, kiedy odkryła kamień, zobaczyła jego czerwony błysk i wydobyła go ze skały. Nie trzeba jej było niczego więcej do szczęścia.

Spróbowała otrzeć ręce o spodnie, ale były równie zakurzone, jak cała reszta, więc odgarnęła tylko włosy z czoła i zajrzała jeszcze raz do szybu.

Zza pleców dobiegł ją dźwięczny śmiech. Nie zwracała na to uwagi. Żona i córki górnika od chwili, kiedy się pojawiła, chichotały bez przerwy, zakrywając usta dłońią. Podskoczyła, czując czyjaś dłoń na swoim ramieniu i gdyby nie uchwyt mocnych rąk, poleciałaby do wykopu.

- Wyglądasz jak żółta perła - usłyszała czyjś głos tuż przy swoim uchu. Odwróciła się gwałtownie. Przed nią stał

uśmiechnięty Hiroshi Kiyosaki.

- Hiro! Co ty tutaj robisz? - zawołała, wpatrując się w niego z osłupieniem.

- Nie mogłaś przyjechać do Tokio, więc ja przyjechałem do ciebie. Zaczekam, aż załatwisz wszystko,

a potem porwę cię do Tokio.

Miała wprawdzie zwiedzać jeszcze inne kopalnie, zdecydowała jednak posłać w diabły opale i szafiry.

- Załatwiłam już wszystko! - oświadczyła z uśmiechem, błyskając zębami w zakurzonej twarzy.

Po dwóch godzinach lecieli już prywatnym odrzutowcem Hiroshiego nad wodami Morza Chińskiego.

Prysznic na pokładzie był ostry i gorący, taki właśnie, jaki najbardziej lubiła. Wyszła z wody rozgrzana i zaróżowiona. Założyła zakupiony w Bangkoku jaskrawozielony, jedwabny *cziongsam*, po czym dołączyła do czekającego w kabinie Hiro.

- Chodź, mam parę skarbów do pokazania - oświadczył, gestem zapraszając ją na fotel.

Na stoliku przed nimi stały czarne, aksamitne tace pełne pereł. Jednak słowo „perła” wydawało się zbyt prozaiczne w odniesieniu do gigantycznych, połyskliwych kul, łez i gałek. Piętrzyły się przed nią stosy olbrzymich, barokowych pereł.

- Pochodzą od małż i słuchotek, głównie z Morza Karaibskiego - wyjaśnił. - Ta natomiast została znaleziona w zatoce Morro, na południe od San Francisco. Ma trzysta dwadzieścia pięć karatów i warta jest około czterech milionów - powiedział, unosząc nieregularną, opalizującą bryłę wielkości piąstki niemowlęcia.

- Wspaniała - stwierdziła Pete wążąc perłę w dłoni i błędząc kciukiem po jej gładkiej powierzchni.

- Co byś z niej zrobiła?

Podniosła perłę do światła wpadającego przez okno samolotu i poruszyła nią parokrotnie, obserwując połysk.

- Zapewne jakiś wisiołek. Bez złota i kolorowych kamieni,

żeby nie odciągać uwagi od samej perły. Myślę, że oprawiłabym ją bardzo dyskretnie, w platynę. Być może od góry dałabym niewielki ornament z diamentów, żeby wyważyć nieco kształt całości. Skinął głową z aprobatą.

- A to są perły z mórz południowych - oznajmił, podsuwając jej tacę srebrzystoczarnych okazów. Swój unikalny kolor zawdzięczają temperaturze tamtejszych wód.

- Cudownie kontrastowałyby z bardzo kolorowymi szafirami albo z czarnymi australijskimi opalami.

Podsuwał jej tacę za tacę z piętrzącymi się perlami, jakich nie widziała nigdy w życiu - słodkowodne perły z nurtów Missisipi, czarne *Mister pearls* - wielkie jak ćwierćdolarówki perły tahitańskie o barwie jadeitu. Perły w delikatnych odcieniach jasnego i ciemnego różu, żółte, kremowe i szarobłękitne. Puściła wodze wyobraźni i zaczęła wymyślać dla nich najelegantsze oprawy, proponując dla jednych złoto, dla innych jadeit dla podkreślenia barwy, kwiat z przezroczystej emalii

wokół jednej z żółtych pereł mabe. Jeszcze inną z kolei zaproponowała obsadzić w pierścionku z ametystem. Nigdy jeszcze nie zaznała rozkoszy rozmowy z atrakcyjnym mężczyzną, który potrafiłby gawędzić z nią o jej pracy w sposób tak bezpośredni, stawiając ciekawe pytania i prowokując mądre odpowiedzi.

- Widzę, że znasz się na swoim fachu - pochwalił w końcu z uśmiechem.

- Muszę się jeszcze wiele nauczyć o perłach.

- Jestem wyśmienitym nauczycielem - zapewnił, zagładając jej w oczy.

Wyczuła wieloznaczny ton tej przechwałki.

- Nie wątpię - oświadczyła, spuszczać wzrok na perły. Przeraziła ją intensywność uczuć, których doznawała, kiedy patrzył jej w oczy.

Samolot obniżył lot nad Zatoką Jokohamską i tuż po zmroku wylądował na obrzeżach lotniska Narita.

- Możesz mnie podrzucić do Imperialu - zaproponowała, kiedy przed samolot zajechał wielki Mercedes z szoferem.

Jeżeli nie będą mieli wolnych miejsc, zadzwonię do innego hotelu.

- Hotel nie będzie potrzebny - oświadczył Hiro, pomagając jej wsiąść do samochodu. Szczekliwą japońszczyzną wydał szoferowi polecenia.

Przyjrzała mu się z uwagą, kiedy sadowił się obok niej. Na co właściwie wyraża zgodę, przystając na jego zaproszenie?

- Hiro, czy nie myślisz, że...

- Myślenie też jest zbędne - uciął krótko. - Zamieszkasz u mnie... bo u mnie są perły. - Wziął ją za rękę.

Mocna, gładka dłoń zacisnęła się wokół jej dłoni. Czarne oczy wpatrywały się w nią przenikliwie. Uśmiech Hiro tchnął ciepłem i bliskością.

- Choć wcale nie jestem pewien, czy przyleciałaś do Tokio wyłącznie dla moich pereł - dodał.

- Nie, nie tylko dla twoich pereł - powiedziała cicho. Dopiero wtedy w pełni dotarło do niej znaczenie tych słów.

Rozdział siódmy

Dom Hiro okazał się oazą spokoju i prostoty wśród szklanych ścian i chromowanej stali zadyszanej metropolii. W

progu powitała ich małeńka, pomarszczona kobieta w kimonie, która z ukłonem zdjęła im z nóg buty, a następnie podała każdemu parę *tabi*

- To jest Toshi - przedstawił ją Hiro, a staruszka skłoniła się ponownie. - Toshi będzie dbać o to, żeby nie zabrakło ci tu żadnych wygod.

Pete z uśmiechem odwzajemniła ukłon. Teraz Hiro zaprowadził ją do pomieszczenia, które tchnęło niewyobrażalnym spokojem. Pomieszczenie, o ścianach piaskowej barwy, poprzedzielane było białymi ekranami *siodzt*, pod nogami ugiwały się miękkie, sprężyste, beżowe maty *tatami* z czarną obwódka. Z sufitu zwisał biały, papierowy lampion. Jedną ze ścian zdobiło wykonane tuszem malowidło, przedstawiające kwitnącą gałązkę jabłoni.

W rogu pokoju stał seledynowy wazon z uginającą się gałęzią orchidei w różowo-brązowe cętki. Na środku stał niski stoliczek z czarnej laki, z prostokątem błękitnego brokatu na blacie. To było wszystko.

- W tym pokoju czuje się prawdziwy oddech. - Pete westchnęła głęboko.

- Miło mi. Moje biuro jest równie bałaganiarskie jak każde biuro na zachodzie: komputery, segregatory, niedopite kawy, perły poniewierające się po popielniczkach, oczywiście stale giną ołówki. Jestem produktem Oksfordu, Nowego Jorku i Hongkongu. Ale to miejsce jest mi również potrzebne. Tutaj jestem przede wszystkim Japończykiem. Pete usiłowała zrozumieć ten pokój, odczytać w nim japońskiego ducha, o którym mówił Hiro. Czwała, że zakochuje się w tym otoczeniu.

Bezszelestnie nadeszła z tacą Toshi, skłoniła się i równie cicho wyszła. Hiro rozlał zieloną pianistą herbatę do małych filiżanek bez uszek.

- Witam pod moim dachem - powiedział, podając jedną z nich Pete.

Herbata była wyśmienita, gorąca i gorzkawa, choć na dnie wyczuwało się nieznaczny słodki posmak. Pili w milczeniu. Patrzył na nią z uwagą oczami z gładzonego onyksu. Ona też przyglądała mu się w skupieniu. Miała wrażenie, że rozmawiają bez słów.

Kiedy dopiła, wyjął jej z dłoni filiżankę. Sięgnął do głowy Pete i powyciągał grzebienie z jej włosów, które natychmiast rozsypały się na ramionach. Zaczął rozczesywać włosy delikatnie palcami. Siedziała bez ruchu, pozwalając, by gładził gęste, delikatne pasma.

- Chodź - powiedział. - Kąpiel jest już gotowa.

Wstał i podał jej rękę. Rozsunął jeden z ekranów *siodzi* i krótkim korytarzem poprowadził ją do wykładanego drewnem, przypominającego saunę pomieszczenia. Podłoga była również wyłożona klepką, a na środku stała wielka, kwadratowa, drewniana wanna spowita parą.

Hiro odwrócił Pete tyłem do siebie i rozpiął suwak jej *cziong-sam*. Suknia opadła na ziemię. W parę sekund pozbawił

Pete całej bielizny. Stała naga w gęstniejących gwałtownie kłębach pary. Patrzył na nią, pieszcząc ją

wzrokiem od stóp do głów, pochłaniając oczami łagodne krzywizny, ostre występy i wklęsłości ciała.

- Usiądź - poprosił, wskazując jej niski, drewniany stołeczek. Pomieszczenie, towarzyszący jej mężczyzna, uczucia, które

w niej wzbudzał - wszystko to wydawało się Pete zupełnie nierealne. Znalazła się w innym świecie, nieznanym i niezmiernie pięknym, który wymagał od niej tylko tego, żeby mu się spokojnie poddać.

Hiro polał jej plecy gorącą wodą z drewnianego kubła o miedzianych obręczach, po czym, bez pośpiechu, wziął się za ich

namydlenie. Obracał mydło w dłoniach, aż pokryły się gęstą pianą, przesunął nimi po ramionach Pete, następnie wsunął ręce pod pachy. Kolistym ruchem obmył piersi, ważąc je przez chwilę w dłoniach i przejechał kciukami po sutkach, które wyprężyły się w odpowiedzi. Ześliznął dłonie po żebrach w dół, do płaskiego brzucha, na którym nakreślił pianą parę kółek. Długimi pociągnięciami namydlił jej wysmukłe, sprężyste uda, przesunął dłońmi od kolan aż po kostki i stopy. Niespiesznie, jak na zwolnionym filmie, namydlił jej dłonie, ramiona, plecy, szparę między pośladkami.

Nigdy nie przeżywała zmysłowych rozkoszy w równie czystej postaci.

Kiedy skończył, opłukał ją wodą z cebrzyka, a następnie pomógł zanurzyć się w parującej, drewnianej wannie. Woda sięgała jej prawie do brody. Szybko zrzucił ubranie i oczom Pete ukazało się muskularne ciało, szeroka, bezwłosa pierś, skóra koloru niemal identycznej barwy jak drewno wanny. Namydlił się, opłukał i zanurzył w wodzie, stykając się z Pete palcami stóp.

Woda była tak gorąca, że Pete ledwie mogła się ruszyć. Na górną wargę wystąpiła kropla potu. Zlizała ją.

Hiro uśmiechnął się, przełamując dotychczasową podniosłą atmosferę.

- Właśnie zostałam honorową Japonką - oświadczył.

- Rozumiem, że to tylko początek.

- Nie masz odpowiednich włosów, żeby zostać prawdziwą Japonką. Za bardzo ci się kręczą. Tutaj - powiedział, odgarniając włosy z jej czoła - i tutaj. - Sięgnął pod wodą i ledwie wyczuwalnie musnął palcami górną linię jej włosów łonowych, mimo to poczuła, że jakiś mięsień zaciska się głęboko w jej wnętrzu.

Odsunęli się od siebie i z wyrazem błęgiego zadowolenia na twarzach zaczęli pogawędkę o wspólnych znajomych, o miejscach, w których bywali, historycznych klejnotach, które wzbudziły ich podziw. Zawody mieli bardzo pokrewne. Obgadali wesele i weselników. Jeszcze raz podziękowała mu za wstawiennictwo u René Vaugillande'a.

Mimo erotycznej atmosfery, gęstej, jak kłębiąca się nad ich głowami para, Pete czuła się przy Hiro niezwykle swobodnie; był jedynym mężczyzną, z którym rozmawiało się jej równie łatwo jak z

Luke'em.

W końcu, kiedy woda nieco ostygła, Hiro ukląkł, pomógł podnieść się Pete i pocałował ją. Jego pocałunek me był

wcale delikatny. Hiro domagał się uwagi i reakcji Pete. Nie zawiódł się. Spodziewała się tego pocałunku już od chwili, kiedy przestąpiła próg jego domu. Jej ciało domagało się go, od kiedy zaczął ją mydlić. Otworzyła usta pod naporem ust Hiro. Wsunął język między jej wargi i przyciągnął Pete do siebie. Ich mokre ciała zetknęły się.

Smakowała jego język, jego zęby i wargi, ścisnąwszy dłońmi w pasie, gładziła palcami mokrą grań jego kręgosłupa.

Trzymał ją mocno za ramiona, zwiedzając najdalsze zakamarki jej ust. Wreszcie puścił ją wolno.

Wyszedł z wanny, rozpostarł wielki, biały ręcznik i owinął nim Pete, która też wyszła z kąpieli. Energicznymi ruchami osuszył ją, aż poczuła rozkoszne mrowienie skóry. Miała ochotę prosić, żeby nie przestawał. Pospiesznie wytarł się, narzucił na jej ramiona błękitno-białe kimono, sam przyodział się również. Zaprowadził ją do pokoju *tatami*

Stolik był teraz przygotowany do obiadu. Pojawiły się dwa obite jedwabiem krzesła z plecionymi oparciami i brokatowymi podpórkami pod ramiona. Krzesła nie miały nóg. Rozsunięte ekrany *siodzi* ukazywały ogród na tyłach domu, oświetlony jedynie światłem kilku kamiennych latarń. Pete była w stanie wypatrzeć ścieżkę, ułożoną z gładkich, szarych kamyków, pień drzewa, fragment ogrodzenia z bambusów. Gdzieś w ciemnościach woda sączyła się do sadzawki z cichym pluskiem.

Ledwie siedli, wyrosła przed nimi Toshi, podzwaniając cichutko uwiązany u szarfy kimona dzwoneczkiem, który miał uprzedzić o jej obecności. Klękając przy stoliku, naląła gorącej sake do stożkowatych czarek, po czym zaczęła wnosić kolejne półmiski, których zawartości Pete nie umiała zidentyfikować nawet w przybliżeniu.

- To jest *toro imo* - wyjaśnił Hiro, nakładając jej pokrojone w skośne plasterki warzywo. - Coś w rodzaju jamu, tyle że nie słodkie. A to - węgorz słodkowodny.

Pete podejrzliwie zerknęła na ociekający tłuszczem kąsek, kiedy jednak zdecydowała się go wziąć do ust, okazał się niezwykle smaczny w słodkiej, aromatycznej galarecie sojowej.

Toshi postawiła przed nimi gęstą od gryczanego makaronu

zupę *miso* w wazie z delikatnej porcelany, półmisek z czarnej laki z turbanem z bambusowych pędów okalającym wodorosty w musztardowej polewie, wreszcie talerz prażonej fasoli. Na sam koniec wniosła czerwoną tacę z laki, na której piętrzyła się, wykonana z maestrią godną rzeźbiarza, kompozycja *sasimi*, złożona z osadzonych we własnych muszlach homara i suchotki, połyskliwego biało-czerwonego leszcza, krwistoczerwonego *maguro*, błękitnopłetwego tuńczyka, wreszcie *dodzio*, „rybka, która pływa wśród ryżu”, jak objaśnił Hiro.

Toshi zniknęła. Przystąpili do uczyty zakrapianej sake. Hiro pałeczkami unosił kulki kleistego ryżu i

podawał Pete do ust. Ciągłe me mieli dosyć rozmowy.

Po dwóch godzinach uporali się ze wszystkim, co było na stole. Podał dłoń Pete i poprowadził ją do ogrodu.

Latarnie rzucały cienie wśród zarośli, odbijały się w tafli otoczonej kamieniami sadzawki. Gestem ręki zaprosił Pete na malutki mostek, przerzucony łukiem nad sadzawką. Przystanęli na środku, wsłuchując się w odgłosy wody ściekającej pojedynczymi kroplami z bambusowego czerpaka.

- Cóż za doskonałość - wyszeptała Pete. Czują, że roztopia się w nieskończonym spokoju tego miejsca, koi jego prostotą, odbijając w sobie jego nieskazitelność.

- Ty też jesteś doskonałością - powiedział, odwracając ją twarzą do siebie. Zręcznymi palcami rozsupłał szarfę, i poły kimona rozsunęły się. Zdażył też rozwiązać własne kimono, więc kiedy ją przytulił, pieścili się całymi ciałami.

Pachniał mydłem i *sake*.

- Chodź - poprosił po raz nie wiadomo który. Nauczyła się uwielbiać to słowo, które zdawało się nieodmiennie zwiastować jakąś uroczą niespodziankę.

Wrócili do domu. Chociaż nie było ich najwyżej dziesięć minut, wszelkie ślady obiadu starannie uprzątnięto.

Zniknął stół, a jego miejsce zajął gruby *juton* zasłany białymi, wykrochmalonymi prześcieradłami, miękkimi poduszkami i biało-niebieską kołdrą. Światła zostały przygaszone. Toshi zdażyła zniknąć bez śladu.

Nie spuszczać wzroku z siebie, zrzucili kimona i opadli na klęczki, zapadając się głęboko w *Juton*. Pete wyciągnęła rękę i zaczęła kreślić na jego ciele linie, które on znaczył uprzednio namydlonymi rękami na jej ciele. Miał gładką, jedwabistą skórę,

nieznacznie zroszoną potem. Pod spodem wyczuwało się żelazne mięśnie. Z gniazda delikatnych, czarnych włosów na jej spotkanie podniósł się penis, sprężysty i twardy jak gałąź. Jedną dłonią ujęła Hiro pod jądra. Nabrał

gwałtownie powietrza, poza tym jednak nie wydał żadnego dźwięku. Przyciągnął jej twarz do siebie i zsunął dłoń po podbródku, po szyi, aż do wgłębienia u styku obojczyków. Najeżyła się pod jego dotykiem. Penetrował językiem jej usta, jakby chciał doszukać się duszy. Nie pozostawała mu dłużna.

Pociągnął ją za sobą na miękki *juton* i zaczął całować ciało, palce i podeszwy jej stóp, za uszami i między palcami.

Dotykał jej tak, jak nigdy nie dotknął jej żaden mężczyzna Zachodu; zastanawiała się, czy właśnie stanęła w obliczu jednego ze słynnych sekretów Wschodu. Szeptał jej do ucha niezrozumiałe słowa, które jednak wyczuwała doskonale. A kiedy była już gotowa, kiedy jej ciało stało się już jednym wielkim błaganiem, złączył swoje włosy z jej włosami, włosy Wschodu z włosami Zachodu i podjął

rytm, który nie zna granic.

Poruszał się w niej długo i powoli, z zabójczą słodyczą, krok po kroku prowadząc Pete na wyżyny, o jakich nie śniła.

Kiedy nadszedł wreszcie orgazm, wydawał się zaczynać w wyczałowanych przez Hiro palcach u nóg, skąd promieniście rozszedł się po całym ciele, i jeszcze dalej, w najdalsze zakamarki pokoju.

- Jesteś doskonała - powiedział, kiedy uspokoili się. - Byłem tego pewien, gdy tylko zobaczyłem cię przy tym durnym żabojadzie na weselu. Od razu wiedziałem, że będę cię miał i że okażesz się wcieleniem doskonałości.

Zasnęli.

Przez następne cztery dni Hiro oprowadzał Pete po Tokio, po ulicach najeżonych dźwigami, rusztowaniami i wykopami. Miasto niestrudzenie parło ku nowoczesności, stawiając coraz wyższe i coraz większe, zwieńczone neonami domy z chromu, cementu i szkła. Prowadził ją do najnowocześniejszych galerii, gdzie wystawiano wyłowione z mórz całego świata perły wszelkich kształtów, rozmiarów i barw. Do starej dzielnicy Asakusa, poprowadził ją przez kręte zaułki, usiane sklepikami, w których

można było dostać papierowe wachlarze, pałeczki z kości słoniowej, płaszcze *happi*, koszyki herbatników ryżowych. Przeprowadził ją obok olbrzymiego, stukilogramowego lampionu z bibulek, między grubymi, czerwonymi kolumnami, zdobiącymi wejście do szesnastowiecznej świątyni Sensodzi. Powietrze świątyni przesycone było gęstą wonią kadzideł; stukotały monety rzucone do drewnianej skarbonki na ołtarzu, mnich śpiewał niskim głosem.

Odwiedzili teatr kabuki, który wywarł na Pete oszałamiające wrażenie, chociaż nie rozumiała ani słowa.

Superekspresem Sinkasen pojechali pod Fudzijamę, mknąc bezszelestnie z szybkością dwustu kilometrów na godzinę. Wdrapali się na szczyt wulkanicznego stożka, kłaniając każdemu z tuzina spotkanych po drodze turystów.

A w nocy, w kąpielni, w ogrodzie, na futonie, Hiro nie dawał zapomnieć Pete, że choć w Japonii wiele jest cudów, jakich nie można spotkać nigdzie na świecie, podstawowe rzeczy są wspólne z całym światem.

Czas przestał się dla niej liczyć. Nie obchodziło jej, że sekretarka nie wie, gdzie się podziewa, że zostawiła nie dokończone prace, że gdzieś czekają zaginione klejnoty babki. Codzienne sprawy straciły dla niej wszelkie znaczenie. Liczył się tylko Hiro i czarodziejski świat, którym ją otaczał. Nie umiała powiedzieć, czy go kocha, to nie miało dla niej znaczenia. Wiedziała, że uwielbia jego towarzystwo, lubi kochać się z nim i że myśl o rozstaniu z tym wszystkim stała się dla niej zbyt bolesna.

- Pozwól, że ci pokaże mój ogród - zaproponował piątego dnia rano.

- Zdawało mi się, że go już widziałam.

- Mam na myśli inny ogród. Chodź.

To słowo powoli zaczynało być ulubionym słowem Pete. Ilekroć Hiro chciał jej pokazać jakąś zachwycającą nowość, brał ją po prostu za rękę, uśmiechał się i mówił: „Chodź”. A kiedy kochał się z nią, doprowadzając do szaleństwa, a potem wycofywał, zostawiając na krawędzi krzyku, wracając przykładał jej usta do ucha, szepcząc:

„Chodź”. Nigdy nie odmawiała mu posłuszeństwa.

Tym razem też pozwoliła się wziąć za rękę i zaprowadzić, dokąd zechciał. Wiedziała, że znów czekają coś cudownego.

Zdziwiła się jednak widząc, że wsiadają do samochodu.

Sądziła, że ogród znajduje się gdzieś w pobliżu. Jeszcze bardziej poczuła się zdziwiona, kiedy zajechali na lotnisko, wsiadli na pokład odrzutowca Hiro i odlecieli. Na pytanie, dokąd lecą, niezmiennie odpowiadał: „Do mojego ogrodu”.

Przez dwie godziny unosili się nad okrytym białą mgłą Pacyfikiem. W końcu pociągnął ją do okna, wskazując na maleńki, zielony punkcik na tle rozciągającego się po horyzont błękitu.

- Oto mój ogród - oznajmił z uśmiechem.

Maleńka wysepka Kapingoro była ledwie czytelnym punkcikiem na mapie. Kapingoro była koralowym atolem, otaczającym turkusowe, przejrzyste wody laguny, nad którą z jednej strony wznosił się zielony garb wulkanu. Tu, u wybrzeży, Hiro hodował perły, którym zawdzięczał swoją fortunę. - Trzy albo cztery razy w roku przyjeżdżam tu na miesiąc bądź dłużej - wyjaśnił. - Żeby wszystko szło, tak jak trzeba, konieczny jest mój stały, osobisty dozór.

- Nie wątpię, że to ciężki i samotny trud, ale ktoś musi się go podjąć - zazartowała, patrząc jak wyspa rośnie pod samolotem.

- Cóż, nie każdemu dane jest pracować w raju.

Z chwilą, gdy wyszła z samolotu, otoczył ją ciężki, upajający zapach kwiatów frangipani. Jadąc dżipem, po obu stronach drogi widzieli lagunę i ocean. Dom Hiro okazał się białym drewnianym dworkiem plantatora. Otaczała go weranda z kolumnkami oplecionymi pnąciami orchidei.

Po lunchu złożonym z pieczonej bonity i sałatki z owoców tropikalnych Hiro zabrał ją na obchód hodowli. Malutkie ostrygi *Pinctada martensii* i wielkie, czarne *Pinctada margaritifera* wespół z paroma innymi gatunkami pływały w klatkach na tratwach, zanurzone w ciepłych, płytkich wodach laguny.

- Różne gatunki ostryg dają perły o różnych kolorach, większe ostrygi dają większe perły wyjaśniał.

Zaprowadził ją do pomieszczenia, w którym kobiety delikatnie rozchylały muszle i wprowadzały drobne ośrodki, pobudzające ostrygi do cierpliwiej produkcji kilku warstw ochronnych macicy, z których powstaje perła. W trzy do siedmiu lat później poławia-

cze pereł mieli wyłowić te same ostrygi. Plon połowu wędrował w ręce ludzi pokroju Pete, którzy wyczarowywali z nich piękne przedmioty.

W pomieszczeniu sortowni i w pokoju, w którym dokonywano wyceny pereł, zaskoczył Pete widok tysięcy świetlistych, połyskliwych kuleczek wszelkich barw i rozmiarów.

- Ile ich jest-westchnęła. .

- Słyszałaś o perłowym dywanie Gekkura z Barody? — zagadnął.

- To chyba żart?

- Ależ skąd, na początku naszego stulecia istniał jeszcze ten dywan, dwa metry na trzy, wykonany w całości z naturalnych, orientalnych pereł. Naturalnych, nie hodowlanych. Były tak starannie ułożone i dopasowane kolorami -

od różu, poprzez kremowy, srebrny, aż do bieli - że dywan zdawał się falować. Bardzo bym go chciał kiedyś zobaczyć.

- Ja też, ale jakoś trudno mi w tę historię uwierzyć.

- Jest niewyobrażalne to, co maharadzowie potrafili kolekcjonować w swych pałacach.

Zanurzyła palce w misie pełnej pereł. Czują się tak, jakby włożyła dłoń do gęstej śmietany. Wyłowiła garść pereł i zaczęła się im przyglądać pod światło.

- Opalizacja, którą widzisz na powierzchni, to połysk - inaczej mówiąc orient - wyjaśnił Hiro. - Pomiedzy kolejnymi warstwami macicy tworzą się szczeliny, w których światło ulega załamaniu, wywołując tęczową świetlistość. -

Wziął do ręki wielką kremową perłę i podał Pete. - Spróbuj - zaproponował.

Z lekkim wahaniem włożyła perłę do ust, obracając ją przez chwilę na języku. Od kiedy poznała Hiro, obudziło się w niej nienasycone pragnienie doświadczeń, tak cielesnych jak i umysłowych. Perła na języku wydała jej się lekko chropawa.

- Jeśli ją połkniesz, czeka cię długie życie oświadczył. - Mi-kimoto, który doprowadził do perfekcji technikę hodowli pereł, od dwudziestego roku życia połykał jedną perłę dziennie i dożył prawie setki.

- Chyba nie skorzystam - wymówiła się, wyjmując perłę z ust.

- Jutro obejrzymy ławice perłowe, ale na razie zapoznamy się z nowym łóżkiem - zapowiedział.

Nie miała nic przeciwko temu. Przebywanie w łóżku z Hiro powoli stawało się jej najulubieńszym zajęciem.

Czuła, że seksualna bestia zaczyna w niej dochodzić do głosu w stopniu, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyła. Seks z Luke'em był czymś cudownym i niezastąpionym. Kochała każde jego dotknięcie, ponieważ kochała jego samego.

Jednak z Hiro przeżywała coś jeszcze innego, nie kończącą się feerię zmysłowych rozkoszy, coraz potężniejsze uniesienia. Wyzwolił ją, pchnął do penetracji własnej, najgłębszej seksualnej istoty. W jakimś sensie nie poznawała samej siebie, a jednak w głębi duszy czuła, że jest teraz bardziej sobą niż kiedykolwiek.

Nazajutrz Hiro wręczył jej *pareo*, podobną do sarongu zakładaną spódnicę, którą nosiła ludność wyspy. Miał na sobie podobny strój.

- Nie musisz nosić nic więcej - oświadczył. Zaufała mu i bez cienia wstydu chodziła po wyspie z nagimi piersiami.

Łagodna bryza rozwiewała jej długie włosy, w oczach odbijało się migotanie oceanu.

Przyglądała się *amas*, nurkującym z drewnianych łódek po ostrygi. Woda była tak płytka, że mniej więcej po minucie wypływali na powierzchnię.

- Czy mogłabym spróbować? - spytała.

- Chodź - powiedział, z uśmiechem biorąc ją za rękę. Ciepła woda zaczęła unosić nagie piersi Pete, pieścić jej twarz. Płynąc w ślad za jednym z *amas*, zanurkowała na dno ławicy, podniosła kilka chropawych muszli, wróciła na powierzchnię i wrzuciła je do dryfującej łodzi. Zanurkowała ponownie.

- Uwielbiam to zajęcie! - krzyknęła, wypływając na powierzchnię i otrzepując wodę z włosów. - Skacz ze mną.

- Nie teraz. Zanurkuje z tobą później, w bezludnym miejscu - obiecał.

Spędziła cały ranek łowiąc perły. Po lunchu Hiro zaprosił ją na katamaran, którym pożeglowali dookoła wyspy.

Dopłynęli do zacisznej zatoczki. Latające ryby muskały powierzchnie wody, mięśnie Hiro połyskiwały w słońcu, kiedy zmieniał żagle. W maskach, z rurkami do oddychania, zwiedzali rafę. Żółto-czarne picassowskie ryby, pomarańczowe jazęgi i malutkie białe trąbiki goniły się pomiędzy gałęziami koralowca. Prze-

płynęła, falując, rozgwiazda. Gąbki i anemony leniwie kołysały się na dnie oceanu.

Pod wodą czas i przestrzeń traciły znaczenie. Włosy Pete falowały zgodnie z rytmem przyływów, unoszących jej *pareo* tak, że czuła się jakby nie miała na sobie nic. Hiro podpłynął do niej i zaczął

gładzić jej ciało pod wodą, delektując się rozkosznym kolebaniem jej piersi, pieszcząc sprężyste włosy u styku nóg, wnikając dłonią tam, gdzie była cieplejsza niż otaczające ich wody.

Wsunęła rękę pod jego *pareo* i uściskawszy go mocno, przyciągnęła do siebie. Podpłynęli w płytsze miejsce, żeby w razie konieczności nie stracić gruntu, zerwali z twarzy sprzęt do nurkowania i zaczęli się zachłannie całować słonymi ustami. Uniósł ją w górę i opuścił w dół na wyprężony w pełnej gotowości członek. Oplotła nogami Hiro, rękami wykonując powolne, pływackie ruchy, żeby utrzymać się na powierzchni wody. Poddali się rytmowi fal. Ich miłość była żywiołowa jak przyływ, pierwotna jak woda, życiodajna jak słońce. Kiedy chwycił ich spazm orgazmu zatrzepotali rękami, po czym zanurzyli się spokojnie, pozwalając, by toń morska zamknęła się na chwilę nad ich przytulonymi ciałami.

Katamaran uniósł ich z powrotem do domu. Hiro wyraźnie nie miał jeszcze dosyć.

- Nie bierz prysznic - poprosił. - Chcę zlizać wodę z twoich piersi. - Od słów przeszedł do czynu.

Dni upływały jeden za drugim na słońcu i na wodzie, na rozmowach, posiłkach i uprawianiu miłości. Kochali się na plaży, na macie pod palmą kokosową, na katamaranie. Zdeptała każdą piędź jego wyspy. Wkrótce jej skóra była spalona na brąz, a włosy nabrały granatowego połysku.

- W dodatku nie mam śladów od opalacza! - obwieściła Hiro ze śmiechem. Zarzucał ją naszyjnikami z muszli, zębów rekina i kwiatów, a ona przestała pojmować, co każe ludziom nosić perły i diamenty.

- Mów mi, po prostu, Ewo - zaproponowała któregoś ranka, zrywając z drzewa owoc mango. - Czuję, że jestem w raj.

Któregoś dnia, kiedy Hiro musiał na parę godzin odlecieć helikopterem na sąsiednią wyspę i została sama, spróbowała

przeanalizować całą sytuację i nagle zorientowała się, że myśli o Luke'u. Od kiedy go poznała, każdego napotkanego mężczyznę z którym spała, który jej się podobał, porównywała do Lukea, jedynej miłości swojego życia. Hiro był

pierwszym mężczyzną, który wytrzymywał to porównanie. Czyżby wreszcie poznała mężczyznę, który byłby zdolny wyegzorcyzować z jej wspomnień Lukea Sanforda?

Hiro wrócił i Lukę kolejny raz uleciał z jej pamięci.

Wzięli udział w tubylnych obchodach Wiosennej Pełni, całonocnej uczcie połączonej z tańcami przeplatany recytacją mitów i legend. Kiedy ceremonia dobiegła końca i kochali się w świetle księżyca, leżąc na plaży na macie z liści palmowych, przyznał się, że święto wymyślił na jej cześć i wszyscy mieszkańcy wyspy wzięli w nim udział na jego polecenie.

- Co to wszystko znaczy? - spytała go piątego dnia.

- Sam nie wiem, wszystko jakoś samo się dzieje.

- No to niech nie przestaje - poprosiła. Pocałował ją w odpowiedzi.

Minął tydzień. Siedzieli na tarasie, obserwując burzowe chmury zaciągające horyzont.

- Zostań ze mną - odezwał się nagle.

Powoli odwróciła się w jego stronę. Poczuła, że czekała na te słowa, na wpół z nadzieją, na wpół z lękiem. Była w raju. Ale czy raj może trwać wiecznie?

- Zostań ze mną - powtórzył. - Tutaj. Na zawsze.

- Mówisz poważnie?

- Pamiętasz jeszcze, gdzie się poznaliśmy?

- Oczywiście, że tak. Przecież to było raptem dwa tygodnie temu. Na weselu Andrei z Marcelem.

- Zgadza się. A pamiętasz, o czym myślałaś na ich ślubie? Zastanawiała się przez chwilę, wreszcie przypomniała sobie.

Myślała o Luke'u i o tym, jak bardzo za nim tęskni.

- Myślałam o tym, że Marcel z Andreą wyglądają na bardzo szczęśliwych i o tym, ile czasu zajęło im powzięcie postanowienia, aby wreszcie zdecydować się na ten krok.

- No to nie traćmy czasu, Pete. Zróbmy to zaraz.

- Co zróbmy zaraz?

- Pobierzmy się.

Jakiś głos w niej miał ochotę wołać: „Tak!”, nie dopuścić, żeby ta idylla skończyła się kiedykolwiek.

Czy jednak coś równie doskonałego może trwać w nieskończoność? Jak będzie wyglądało jej życie, kiedy do drzwi zastuka rzeczywistość? Czy wtedy również będzie potrafiła być żoną Hiro?

- Muszę pomyśleć, Hiro.

- Pamiętasz, że poprzednim razem nie dałem ci pomyśleć przypomnień z uśmiechem. - Czy skończyło się to aż tak źle dla ciebie? Nie myśl, Pete. Idź za głosem uczuć.

- W tym sęk, że nie jestem pewna do końca, co czuję - wyznała. Nachyliła się i pocałowała go. - Pójdę się przejść.

Kiedy wrócę, dam ci odpowiedź.

Przez wiele godzin spacerowała po plaży. Fale lizały jej stopy, wiatr raz rozwiewał jej włosy za głową, kiedy indziej smagał ją kosmykami po twarzy. Poślubić Hiro? Dożyć swoich dni na rajskiej

wysepcie zalanej słońcem?

Niewątpliwie ciągnęło ją, żeby powiedzieć: „Tak.” Niewątpliwie kochała Hiroshiego Kiyosaki. Czy jednak kochała go dostatecznie, aby pokonać pogłębiającą się z roku na rok przepaść dzielącą ich kultury, dostatecznie, aby porzucić pracę, rodzinę, całe swoje dotychczasowe życie?

Możliwe, że właśnie choroba matki obudziła w niej dojmującą - i nie wolną od lęku - świadomość, czym jest puste, zmarnowane życie. Stale dążyła do nowych przeżyć - starała się poznawać, co się tylko dało, nie cofać przed niczym, sięgać po to, na co miała ochotę.

Czy nie to właśnie pchnęło ją ku idylli z najbardziej oryginalnym i egzotycznym mężczyzną, jakiego w życiu poznała? Czyżby kierował nią pociąg do wszystkiego, co nowe i nieznane, chęć złożenia kolejnego depozytu w banku doświadczeń? A może Hiro uosabiał dla niej świat fantazji, był ucieczką od rzeczywistości, od emocjonalnej pustki jej życia? Wpatrzyła się w intensywny błękit nieba nad rajską wyspą. Co o tym sądzisz, babciu, ' spytała z głębi duszy. Może mam w sobie więcej z kurtyzany, niż dotąd sądziłam? Nie zaprzeczam, że każda chwila spędzona w świetle Hiro była dla mnie rozkoszą - zwłaszcza chwile spędzone w łóżku.

A może, pomyślała, podobnie jak Bettina, lepiej poruszam się

w świecie fantazji niż w rzeczywistości? Lukę należał do rzeczywistości - a mimo to skończyli ze sobą. Chwila - i było po wszystkim. Więc może powinna jednak zostać z Hiro? "Albo po prostu trzymać się jednej, jedynej rzeczy, która była w jej życiu niezmienna - swojej pracy.

- Przykro mi, Hiro - powiedziała, kiedy wreszcie wróciła do domu. - Nie mogę zostać tutaj z tobą. To nie jest mój świat.

- Stworzymy swój własny świat, Pete.

- Wiem, o czym mówisz, bo mam już taki świat. Ale ten świat nie jest tutaj ani z tobą. Przez te dwa tygodnie czułam się jak w niebie. Przeszłam magiczną transformację, odkryłam w sobie cechy, których istnienia nawet nie przeczuwałam, cechy, które bardzo mi odpowiadają. Życie w świecie baśni jest zachwycające, ale rzeczywistości nie da się na zawsze odstawić na bok. Prędzej czy później dopadnie nas, czy tego chcemy, czy nie. Wolałabym zachować w pamięci tę baśń w nieskażonej postaci, nie obawiając się, że jej blask zacznie kiedyś przygasać. Kocham cię Hiro, dostałam od ciebie najwspanialszy dar, jaki otrzymałam w życiu. Dałeś mi samą siebie. Teraz muszę zabrać mój dar i używać go przez resztę życia. Chciałabym jutro stąd odlecieć.

Uniósł jej twarz ku sobie i z czarnych oczu przelał całą duszę w jej błękitne oczy. Przez długą chwilę milczał.

- To znaczy, że mamy jeszcze dzisiejszą noc. Chodź - powiedział w końcu.

W srebrzystym świetle księżycy kochali się po raz ostatni. Wniósł do pokoju drewniany kubeł pełen nieskazitelnych srebrno-błękitnych pereł i powoli obsypał zawartością jej nagie ciało. Położył się na niej i perły zaczęły toczyć się między jej piersiami, obracać w zagłębieniu jej szyi, w fałdach

pachwin. Uniósł się i okrążył jej sutki perłami, aż stwardniały jak małe perełki. Zaczęła szczytować od samych pocałunków w piersi.

Potem potarł wielką perłą środek jej pożądania i znów targnął nią wybuch, od którego rozpadła się na tysiące cząstek.

Wsunął w nią dwie połyskliwe czarne perły, odczekał chwilę i sam wszedł za nimi, każdym uderzeniem wciskając je do jej muszli, wreszcie eksplodował w jej wnętrzu, jeszcze raz porywając ją ze sobą dalej niż kiedykolwiek.

Czekając na lotnisku Narita na odlot do Nowego Jorku, Pete

po raz pierwszy od dwóch tygodni wzięła do rąk słuchawkę telefonu.

Pożegnali się na Kapingoro. Hiro został na wyspie, aby nadrobić zaległości ostatnich dwu tygodni, co oszczędziło im pożegnań w realnym świecie.

- Szaleliśmy tutaj wszyscy! - wykrzyknęła Lottie z oburzeniem, słysząc głos Pete. - Właśnie miałam o twoim zaginięciu zawiadomić połowę azjatyckich ambasad. Gdzie się podziewałaś?

- Mówiłam ci, że wyjeżdżam przynajmniej na dwa tygodnie - wyjaśniła, pomijając pytanie Lottie. Prawdę mówiąc, zdecydowała, że nigdy nikomu nie zdradzi, gdzie spędziła ten czas. Niech jej romans z Hiro pozostanie tajemnicą, jak sen, którego nie opowiada się nikomu.

- Nie mówiłaś jednak, że nawet nie zadzwonisz - zganiła ją Lottie. Nie stawiała żadnych dalszych pytań. Mam kilometrową listę spraw do ciebie. Bierz ołówek.

- Tak, pszę pani.

Lottie przekazała jej wiadomości od dostawców, od Brenta Lowella, od pamiętnego przedsiębiorcy budowlanego, który stawiał wieżowiec w Los Angeles i liczył na to, że doda prestiżu obiektowi, instalując w nim nową filię Tesori, z Białego Domu od sekretarza Pierwszej Damy z pytaniem, kiedy Pete miałaby trochę czasu, żeby omówić szczegóły nowego zamówienia, wreszcie - od René Vaugillande'a z paryskiego Druot.

Odpowiedziała tylko na telefon Vaugillande'a. - Mam nazwisko, którego pani poszukuje, *mademoiselle* - oświadczył

bez zbędnego wstępu.

Po skończonej rozmowie przez chwilę nie odchodziła od aparatu, następnie odwróciła się od bramki dla pasażerów czekających na odlot do Nowego Jorku i ruszyła pospiesznie w stronę kas lotniczych.

Zdecydowała nie wracać do domu.

Rozdział ósmy

Siedzibą czternastego hrabiego Amberly było majestatyczne, wsparte na kolumnach dworzyszce położone pośród łagodnych, zielonych wzgórz Dorset. Na stacji czekała na Pete taksówka. Wjeżdżając na długi podjazd prowadzący w stronę imponującego gniazda rodu Amberlych, Pete poczuła, że tym razem na pewno uda jej się zrobić zdecydowany krok w kierunku wyjaśnienia własnych tajemnic rodowych.

Lord Amberley, jak wyjawiał w końcu Vaugillande, był osobą, która wystawiła w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim na aukcje naszyjnik z szafirów. Znając obyczaje arystokracji, wydawało się mało prawdopodobne, żeby naszyjnik był krótko w jego posiadaniu. Najprawdopodobniej hrabia miał go od wielu lat. Niewykluczone, że był

jego pierwszym powojennym nabywcą, co znaczyło, że osoba, od której go kupił, musiała mieć bezpośrednie związki z Vittoriem D'Angeli.

A może był nią Vittorio we własnej osobie.

W masywnych, dębowych odrzwiach czekał na Pete lokaj o manierach wojskowego. Poprowadził ją przez wielką, wyłożoną marmurami sień do mrocznej, zadymionej biblioteki o zakopconych ścianach, w której mężczyzna o suchej, kościstej twarzy, siedząc przy biurku, studiował klaser w padających przez okno promieniach słońca.

- Panna Pietra D'Angeli, milordzie - zaanonsował lokaj grobowym głosem.

Obserwując zabiegi hrabiego, żeby się z nią przywitać, uświa-

domiła sobie, że starszy pan siedzi na fotelu inwalidzkim. Pamiętając o jej dawnych przypuszczeniach, że człowiek, który wystawił naszyjnik na aukcję, mógł mieć profaszystowską przeszłość, Vaugillande z mściwą rozkoszą udowodnił jej, jak bardzo się myliła, informując, że lord Amberley podczas wojny brał udział w bitwie o Anglię jako pilot RAF-u. Zestrzelony i ciężko ranny, wycofał się niemal zupełnie z życia publicznego. Pete zauważyła, że hrabia ma odjętą część nogi. Uznała, że zapewne stracił ją właśnie podczas wojny.

- Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć, milordzie - oświadczyła na wstępie.

- No, cóż, panno D'Angeli, widzę, że ta historia potrafiła ściągnąć panią z drugiego końca świata w rekordowym tempie - zażartował serdecznie, podjeżdżając na wózku do Pete, żeby się przywitać. Przed dwoma zaledwie dniami dzwoniła z Tokio, pytając, czy ją przyjmie.

- Nie chciałam tracić ani chwili, sir.

- Słusznie. Z tego, co mi powiedział człowiek z Druot, wnoszę, że szuka go pani już od wielu lat. - Jakkolwiek w podeszłym wieku i przykuty do wózka, angielski arystokrata promieniował wewnętrzną mocą. Siedział na wózku prosto jak trzcina, unosząc wysoko stanowczy podbródek. Pete, która poczuła do niego natychmiast sympatię, nie mogła zrozumieć, dlaczego tak długo zwlekał z odpowiedzią na jej prośbę.

- Prawdę mówiąc, prosiłam człowieka z Durot, żeby skontaktował mnie z panem już ponad rok temu - oświadczyła, zastanawiając się, jak uzasadni swoją odmowę.

- Wiem o tym. Wielka szkoda. Pomógłbym pani prędzej, gdybym wcześniej był zorientowany, w czym rzecz.

Pierwszy list z Druot utrzymany był w tonie dość ogólnikowym. Pytano mnie po prostu, czy zgadzam się zwolnić Druot z wymogu zatajenia moich związków z naszymi. Nie napisano dlaczego, więc nie widziałem powodu, żeby się zgadzać. Obawiam się, że czasem bywam starym uparciuchem. - Uśmiechnął się przeproszająco i gestem ręki wskazał Pete fotel ustawiony przy kominku o misternie rzeźbionym, mahoniowym gzymsie. - Proszę siadać.

Czy Bannerman mógłby pani coś podać?

Zauważyła, że lokaj, milczący jak posąg, nadal czeka w pełnej gotowości.

- Nie, dziękuję.

Nieznacznym skinieniem głowy Amberley odprawił służącego.

- W porządku. Proszę mi wobec tego powiedzieć, w czym mógłbym pani pomóc.

- Chcę wiedzieć wszystko, co tylko pan pamięta na temat okoliczności zakupu naszego.

- Wszystko? - Gęste, siwe brwi arystokraty powędrowały w górę. - Niełatwa sprawa. Kupiłem go... zaraz, kiedy to będzie... prawie czterdzieści lat temu.

Nachyliła się do przodu, zsuwając nieomal z fotela. Tak, jak przypuszczała, nasz został kupiony tuż po wojnie.

- W tamtym czasie bywałem więcej w Londynie. Siedziałem właśnie w moim klubie, kiedy wprost z ulicy wkroczył

jakiś człowiek, pytając o mnie. Wyglądał na tyle przyzwoicie i miał tak nienaganne maniery, że bez skrupowania poprosiłem go, żeby usiadł i zaproponowałem mu szklaneczkę czegoś mocniejszego. Wyciągnął nasz z kieszeni i powiedział, że chce go sprzedać. Twierdził, że nasłał go na mnie Reggie Lemington, ponieważ moja żona lubi biżuterię. Nie da się ukryć, że nasz od razu wpadł mi w oko. Znam się co nieco na kamieniach i zorientowałem się natychmiast, że mam do czynienia z towarem najwyższej jakości. Reggie to najprzyzwoitszy gość pod słońcem, a moja Cassie niewątpliwie lubiła się nurzać w świecidełkach. - Powędrował wzrokiem nad rzeźbiony gzyms kominka.

Poszła w ślad za jego spojrzeniem. Nad kominkiem wisiał wielki, olejny portret. Przedstawiał piękną kobietę w błękitnej, atłasowej sukni z upiętą w ciemnych włosach tiarą. Dama stała obok tego samego fotela, na którym siedziała teraz Pete. Już miała odwrócić wzrok od portretu, kiedy jej uwagę przykuł kolejny szczegół: szczupłą, arystokratyczną szyję Cassie obejmował nasz z szafirów i szmaragdów. Nasz La Colomby.

- To moja Cassie - oznajmił lord Amberley głosem ochrypłym ze wzruszenia. - Naszyjnik stał się najulubieńszym z jej klejnotów. Dlatego właśnie wystawiłem go po jej śmierci na sprzedaż. Nie było sensu trzymać tak pięknej rzeczy pod kluczem,

a wiedziałem, że nigdy nikomu nie pozwolę go założyć. Nie ożeniłem się dotąd ponownie, skoro już o tym mowa.

- Ten mężczyzna, który sprzedał panu naszyjnik. - Pete niecierpliwie wytrąciła hrabiego z błogich wspomnień. - Czy mówił, w jaki sposób wszedł w jego posiadanie?

- Niech no pomyślę... twierdził, że to rodowe kosztowności i że bardzo trudno mu się z nim rozstać. Widać było, że potrzebuje tych pieniędzy. Ubranie w dobrym gatunku, ale trochę jakby znoszone, buty domagające się nowych zelówek, rozumie pani, o co mi chodzi? Naturalnie, w tamtych czasach wiele osób wyglądało w ten sposób. Wojna i tak dalej... Z kontynentu napływały dziesiątki takich jak on, którzy mieli przy sobie tylko to, co udało im się zaszyć pod podszewkę płaszcza. Zapewne teraz sposób, w jaki kupiłem od niego naszyjnik, może się wydać wysoce nieroztropnym, ale wtedy takie transakcje były na porządku dziennym, z korzyścią dla obu stron. Jedni dostawali potrzebne im pieniądze, drudzy mieli okazję kupić coś za przystępną cenę. Nie to, co teraz, kiedy byle drobiazg kosztuje miliony.

Pete czuła rosnące podniecenie. Amberley powiedział, że sprzedawca był przybyszem z kontynentu.

- Wspomniał pan, że mężczyzna, który odwiedził pana w klubie, był Europejczykiem. Skąd pochodził? - spytała, wstrzymując oddech.

- Nie pamiętam dokładnie... Serce zamarło jej w piersi.

- Nie jestem pewien, czy go o to spytałem - podjął jednak Amberley.

- W każdym razie mówił z cudzoziemskim akcentem?

- O, tak.

- Włoch?

- Nie. Raczej... jakby z któregoś z północnych krajów - Duńczyk, Szwed, może nawet Niemiec - choć, jasna sprawa, nigdy by się do tego nie przyznał. W każdym razie na pewno nie był Włochem. Miał też, wie pani, germański wygląd. Włosy blond. Do tego nazwisko. Żadne tam włoskie *rauiolo* czy *spaghetti* Prawdę mówiąc, nazwisko miał

angielskie...

- Jak się nazywał? - spytała niecierpliwie.

Lord Amberley zamyślił się.

- Nie pamiętam imienia, ale nazwisko miał Farmer. Uderzyło mnie to, ponieważ brzmiało z

angielska, co nie bardzo pasowało do całej reszty.

Nazwisko z pewnością było zmyślone, doszła do wniosku Pete. Włosy mogły zostać utlenione, akcent sfalszowany.

Ale Amberley sprawiał wrażenie człowieka, który intuicyjnie wyczułby tego rodzaju fałszerstwo, podobnie jak umiał odróżnić fałszywe klejnoty od prawdziwych. Mister Farmer zapewne nie był Vittoriem D'Angeli, ale z dużym prawdopodobieństwem mógł być ostatnim ogniwem w łańcuchu prowadzącym do Vittoria.

- Czy wie pan może, milordzie, dokąd udał się Farmer po sprzedaniu naszyjnika? To dla mnie niezmiernie ważne.

- Nie wiem dokąd się udał bezpośrednio po transakcji, tak się jednak akurat składa, że wiem, gdzie skończył w parę lat później. Muszę pani zdradzić, że napędził mi niezłego stracha.

- Nie rozumiem?

- Widziałem jego zdjęcie w gazetach. Został aresztowany. Okazało się, że było z niego całkiem niezłe ziółko.

Posadzili go zresztą.

- W więzieniu?

- Owszem, w więzieniu. Przestraszyłem się, naturalnie, o losy mojego nabytku. Doszedłem do wniosku, że naszyjnik mógł pochodzić z kradzieży, więc zleciłem gruntowne przebadanie całej sprawy. Okazało się jednak, że brak było jakichkolwiek doniesień na temat zaginięcia podobnego przedmiotu, me doszukano się niczego, co wyglądałoby choć trochę podejrzanie. Może sobie pani wyobrazić, jaką odczułem ulgę. Cassie zdążyła się już szalenie przywiązać do naszyjnika.

W głowie Pete kłębiły się myśli.

- Milordzie, muszę zobaczyć się z panem Farmerem i porozmawiać z nim. Czy pamięta pan może, gdzie go posadzono? - Liczyła, że nawet jeśli wyszedł z więzienia, w tamtejszych archiwach powinny być zostać jakieś dokumenty z adresem.

- W Wormwood Scrubs. Ale porozmawiać z nim, moja droga, mogłaby pani najwyżej za pomocą medium. Farmer zmarł w więzieniu.

To ostatnie rozczarowanie było ponad jej siły. Pękło ostatnie ogniwo łańcucha.

- Nie mógł umrzeć - oświadczyła słabym, łamiącym się z żalu głosem. - Nie teraz, kiedy jestem tak blisko.

- Na pewno nic pani nie jest, moja droga? Może jednak napiłaby się pani brandy?

Potrząsnęła przecząco głową. Chciała zachować przytomność umysłu. Myśl, ponaglała się. Musi być jakiś sposób, żeby na powrót złączyć zerwaną nić.

Nic jednak nie przychodziło jej do głowy.

- Milordzie, okazał mi pan wiele cierpliwości i jeszcze więcej dobroci - powiedziała wstając i wyciągając do hrabiego rękę. - Nie wiem, jak mam panu dziękować.

- Nie ma za co, moja miła, nie ma za co. Zawsze jest pani u mnie mile widziana. Od kiedy moja Cassie odeszła, me miałem przyjemności rozmawiać z równie miłą osobką.

Odprowadził ją przez wielką, marmurową sień do wyjścia. Przy drzwiach, jak spod ziemi, wyrósł lokaj. Pete podziękowała jeszcze raz hrabiemu i już miała wyjść za próg, kiedy przyszło jej do głowy jeszcze jedno pytanie.

- Milordzie, za co skazano Farmera? Za kradzież? Nie wspominał pan o tym.

- Doprawdy? Nie, nie za kradzież, panno D'Angeli. Farmer miał pecha. Niezupełnie fachowo wykonał komplet matryc do domowej produkcji banknotów. Został skazany za fałszerstwo.

W drodze powrotnej do Londynu Pete rozmyślała o znaczeniu wiadomości zasłyszanych z ust hrabiego Amberley.

Złodziej, stryj Vittorio, mógł wydobyć kolekcję La Colomby ze szwajcarskiego banku tylko i wyłącznie przedstawiając bezbłędnie wykonaną replikę górnej połowy flakonika - jednym słowem, falsyfikat. Jego twórca był

niewątpliwie wysokiej klasy rzemieślnikiem - musiał umieć obchodzić się z metalem, żeby obsadzić maleńkie klejnociki, trzymać pędzel na tyle pewną ręką, żeby nałożyć delikatną emalię. Mógł zatem być człowiekiem, który posiadał wystarczające kwalifikacje do wykonania kompletu precyzyjnych płyt drukarskich. Czy jubiler, który wykonał falsyfikat flakonika i zmarły fałszerz to ta sama osoba?

Z pewnością. Człowiek, który wykonał według wskazówek

Vittoria falsyfikat, był mężczyzną, który sprzedał naszyjnik hrabiemu. Farmer, to bez wątpienia trop do kolekcji La Colomby. Ale Farmer nie żył.

Ogarnęła ją rozpacz. Kolejny, piękny jesienny dzień przemijał za oknem, a ona nie miała głowy, żeby go podziwiać.

Była już tak blisko i znowu utknęła w ślepych zaułku. Co powinna przedsięwziąć w tej sytuacji? Nic nie przychodziło jej na myśl. Mogła przetrząsnąć większe ośrodki jubilerskie Europy w poszukiwaniu informacji o fałszerzu nazwiskiem Farmer, ale to by było tak, jakby rzuciła się do oceanu w poszukiwaniu jednej z pereł Hiro.

Tak czy owak, w tej chwili nie miała już czasu, żeby rozbijać się po świecie w poszukiwaniu zaginionego skarbu. W

uszech nadal dźwięczał jej surowy głos Lottie, kiedy Pete zadzwoniła, aby powiedzieć, że leci z Japonii do Anglii.

- Lepiej by było, żebyś do końca tygodnia stawiała się tutaj, panno D., w przeciwnym wypadku może się okazać, że nie mam ci już w czym pomagać. A bardzo lubię moją pracę. - Mała, pulchna, siwowłosa sekretarka przybrała ton surowego mentora. Co by Pete bez niej robiła?

Wiedziała, że Lottie ma rację. Była już poza Nowym Jorkiem blisko miesiąc, prawie dwa razy dłużej, niż planowała.

Teraz, kiedy wyswobodziła się z objęć Hiro i z jego magicznego kręgu, wiedziała, że ich uczucie było ulotną chimera w porównaniu z niewzruszoną opoką uczuć wobec innego mężczyzny. Hiro to były bąbelki w szampanie, czy gorzej, sam szampan - luksusowy i wyborny dla podniebienia, ale uzależniający i na dłuższą metę zapewne szkodliwy.

Skoro zdecydowała się opuścić baśniową krainę Króla Pereł, nie może już dłużej odwlekać powrotu do świata, za którym się opowiedziała.

P o odprawie celnej, pchając wózek bagażowy przez międzynarodowy terminal lotniska JFK, Pete wyminęła jeden z kiosków z gazetami. Kiedy jej wzrok padł na nagłówki gazet, myślami wróciła do rajskiej wysepki Hiro. Jakaż to ulga móc chociaż na

chwilę zapomnieć o rozmowach rozbrojeniowych, waszyngtońskich skandalach, wojnach domowych „trzeciego świata”, występkach na ulicach miast. Gdybyż tylko mogła...

Czarna gródz opadła z hukiem, odcinając przyjemne rozmyślenia. Stała jak wryta, patrząc na fotografię z pierwszej strony „Daily News”. Twarz kobiety, leżącej z zamkniętymi oczami na łóżku czy też na noszach. Z tyłu - butla kroplówki. **ŚMIERĆ ZA ŻYCIA** - głosił nagłówek nad zdjęciem.

Kobietą na fotografii była Jess.

Drżącymi rękami próbowała wygrzebać z portfela jakieś drobne. Sięgając po gazetę zauważyła fotografię na pierwszej stronie „Post”: Fernando de Moratin w kajdankach zostaje wprowadzony na komisariat.

Chwyciła również drugą gazetę, tak niezręcznie, że cieniutki papier rozdarł się w drżących palcach. Zaczęła czytać, nie zwracając uwagi na to, że, potrącana, stoi w rwącym potoku przesuwających się pasażerów. Jess znalazła się w szpitalu Lenox Hill wskutek przedawkowania insuliny. Kolana ugięły się pod Pete, kiedy przeczytała następną informację: Lekarze obawiają się, że zachodzące w organizmie zapadłej w stan śpiączki pacjentki, z powodu przewlekłego niedotlenienia mózgu, są nieodwracalne.

W pierwszej chwili nie bardzo docierało do niej, co czyta i nie mogła pojąć, dlaczego Fernando został aresztowany.

Pospiesznie przebiegła wzrokiem tekst...

Pani de Moratin od urodzenia chorowała na cukrzycę i wymagała ścisłej opieki lekarskiej, w związku z czym początkowo nie podejrzewano zamachu na jej życie. Rodzice chorej zażądali jednak dochodzenia, które naprowadziło policję na ślad przestępstwa. Aresztowany został mąż pani de Morahn. Odmawiając ujawniania szczegółów, główny ojker śledczy, John Terassi zdradził reporterom że policja podejrzewa pana de Morahn o wstrzyknięcie żonie śmiertelnej dawki insuliny. Oskarżonego czeka proces o usiłowanie zabójstwa. Odrętwiała pod wpływem szoku, wcisnęła gazety do wózka bagażowego i pospiesznie zaczęła go pchać w stronę wyjścia.

W pokoju skąpanym w białym świetle leżała nieruchomo bledziutka Jess. Jej ciało oplatała gęsta sieć najrozmaitszych przewodów i monitorów; pokój wypełniał szum i popiskiwanie aparatury pomiarowej oraz respiratorów. U wezglowia córki siedziała Sally Walsh. Na jej twarzy wyraźnie malował się każdy dzień z sześćdziesięciu trzech przeżytych dotąd lat.

Pete stanęła w progu.

- Zbudzi się, zobaczysz, Pete - zapewniła ją Sally Walsh. - Wiesz przecież, że już miała kilka epizodów śpiączki.

Zbudzi się.

Pete z litości potakiwała Sally, ale wiedziała, że rokowania są niepomysłne. Dyżurny lekarz poinformował ją, że poziom insuliny przekroczył u Jess wszelkie notowane wskaźniki, a poranny encefalogram wskazywał na bardzo niski poziom aktywności mózgu.

- Zawsze się tak strasznie o nią bałam - wyznała żałośnie Sally. - Całe życie drżałam, że wreszcie się to stanie...

Czy właśnie dlatego trzymałaś ją stale na dystans, spytała w duchu Pete, dlatego wzbraniałaś jej swojej miłości, nawet dotyku. Żeby mniej cierpieć, kiedy się to stanie? Jednak zachowała te okrutne pytania dla siebie. Komu się mogły teraz przydać?

Patrząc na spoczywającą nieruchomo postać najdroższej przyjaciółki, Pete myślami wróciła do ich ostatniego spotkania podczas lunchu w palmiarni hotelu Płaza - tuż przed wyjazdem Pete na ślub Andrei. Jess zdążyła już powiadomić Fernanda o dziecku. Podobno był równie zachwycony wiadomością, jak ona...

A jednak w pierwszej chwili zdawała się przygaszona na myśl o reakcji Fernanda. „Nando się chyba ucieszy, prawda...? Jak myślisz?” Wróciły wspomnienia żalostnej nuty w głosie Jess.

Powiedzmy, że Fernando nie był zachwycony. Czy mógł mieć jakieś powody, żeby w tej sytuacji targnąć się na życie Jess?

- Co z dzieckiem? - spytała bezwiednie, pogrążona w rozmyślaniach na temat motywów zbrodni.

Sally Walsh milczała, jakby nie dosłyszała pytania. Pete zawahała się, ale niepewność była nie do zniesienia.

- Co z dzieckiem, Sally? - powtórzyła głośniej. - Czy...

- Nie żyje - szepnęła bezbarwnie Sally. - Wczoraj je usunięto... Pete poczuła się tak, jakby ją ktoś zderzył w brzuch.

Obeszła

łóżko dookoła i przystanąła, patrząc z góry na twarz przyjaciółki.

Jess, kochanie, wołała do niej w myślach, wybac, że zawiodłam twoje zaufanie. Powinnam była cię ostrzec...

Nagle opadły ją wspomnienia z wesela Jess. Przypomniała sobie kłótnię, która położyła kres związkowi z Luke'em.

Lukę przy żadnej okazji nie ukrywał pogardy i podejrzliwości wobec Fernanda. W uszach dźwięczały jej jego słowa:

„Praktycznie przyznał się, że żeni się z Jess wyłącznie dla jej pieniędzy...” Zwrzeszczała go wtedy, wytykając mu brak tolerancji. Jess była zakochana w swoim czarującym Hiszpanie, wobec czego Pete również usiłowała wzbudzić w sobie zaufanie i sympatię do niego. Broniła go przed krytyką Luke'a.

Niestety jednak, rację miał Luke.

- Zrób sobie małą przerwę, Sally, napij się kawy. Posiedzę przy Jess. - Sally skinęła głową i wyszła z pokoju.

Kiedy zostały same, Pete przysiadła na brzegu łóżka i wzięła za rękę Jess. Zaczęła mówić, niepomma na to, że Jess zapewne jej nie słyszy.

- Ładne przywitanie w ojczyźnie, nie ma dwóch zdań. Nie mogłam się doczekać, kiedy cię zobaczę... Tyle ci chciałam powiedzieć... poza tym, jako matka chrzestna... - Zniżyła głos do szeptu. - Do diabła, Jess, wiesz przecież, że nie mogę cię stracić. Jak myślisz, ile mam najlepszych przyjaciółek? - Nagle dopadła ją wściekłość. - Co on ci zrobił i dlaczego? Czy tak się bał, że zubożeje przez dziecko, że aż musiał zabijać żonę? I dziecko? - wybuchnęła.

- Bardzo przepraszam. Czy pani jest panną D'Angeli? - spytała zniżonym szeptem pielęgniarka, wciskając głowę w drzwi. - Telefon do pani. Musi pani przejść do dyżurki pielęgniarek...

Pete puściła bezwładną dłoń Jess i ułożyła z powrotem na pościeli.

- Zapłaci za to, Jess. Przysięgam, że zapłaci za to - wyszeptała, zanim wyszła z pokoju.

Podnosząc słuchawkę stojącego na biurku w dyżurce aparatu spodziewała się, że usłyszy głos Lottie. Jej zastępczyni była

jedyną osobą, która wiedziała, że Pete ma tego dnia przylecieć do Nowego Jorku, w związku z czym tylko ona mogła przypuścić, że Pete znajduje się już u węzłowia Jess. Jednak głos po drugiej stronie słuchawki nie należał do Lottie.

- Byłem pewien, że cię zastanę...

Znała ten głos aż za dobrze. Na chwilę straciła głowę.

- Ej tam, słyszysz mnie? - zniecierpliwił się.

- Słyszę cię - wydusiła szeptem.

- Pomyślałem, że może będzie ci rażniej, jeśli pogadasz chwilę ze starym przyjacielem - wyjaśnił z troską w głosie. -

Musi ci być cholernie ciężko.

- Fakt - przyznała. - Ale kiedy cię słyszę, trochę mi lżej.

- Czy jest jakaś nadzieja?

Znów umilkła, przetrawiając znaczenie jego słów. W pierwszej chwili ucieszyła się, że pyta o nich. Zaraz jednak zorientowała się, o co w rzeczywistości mu chodzi.

- Nie sędzę - powiedziała. - Jest utrzymywana przy życiu za pomocą specjalnej aparatury.

W ciszy, która zapadła na linii, poczuła, jak łączy się z nią przez tysiące kilometrów dzielących Kalifornię od Nowego Jorku.

- Współczuję ci bardzo, Pete. Wiem, ile Jess znaczyła dla ciebie.

- To wcale się nie musiało stać, Luke. On jej to zrobił. Pamiętasz, o co się pokłóciliśmy w dniu ich ślubu?

- Jakże bym mógł zapomnieć? Po dziś dzień zastanawiam się, co mi wtedy odbiło. Gdybym siedział cicho, być może między nami nie doszłoby...

- Okazuje się, że miałeś rację. Ja natomiast nie miałam wtedy dosyć rozumu, żeby cię wysłuchać, ani dosyć odwagi, żeby powiedzieć o wszystkim Jess...

Po raz pierwszy, od kiedy dowiedziała się o wszystkim, przestała panować nad sobą i wybuchnęła płaczem. Płakała nie tylko nad przyjaciółką, która wkrótce miała rozstać się z życiem. Płakała również nad sobą i utraconą miłością.

- Pete... mogę przylecieć... jeżeli tylko chcesz...

- Czy ja chcę? Tyle czasu tęskniłam za tobą. - Nie była już w stanie dłużej hamować

powstrzymywanych przez tyle lat

uczuć. - Przyjedź, najdroższy - wołała poprzez kontynent. - Przyjedź najszybciej jak możesz.

Teraz on umilkł. Czyżby go nagle opadły wątpliwości? A może mylnie wzięła jego dyktowaną współczuciem propozycję za odbicie własnych, płomiennych uczuć?

- Luke...?

- Jestem, jestem. Po prostu przez chwilę zamyśliłem się nad naszą cholerną głupotą. Powinniśmy byli być ze sobą, tymczasem zmarnowaliśmy całe lata przez własną pychę, tchórzostwo i...

- Bogu dzięki, straciliśmy wyłącznie furę czasu - przerwała mu. - Nie mów już nic, tylko zacznij się pakować.

Chciałabym, żebyś już był tutaj.

- Daj mi czas do jutra. I jeszcze jedna rzecz, Pete...

- Tak?

- Powiem ci na miejscu.

Z uśmiechem odłożyła słuchawkę. Wiedziała już, co jej powie.

Wróciła do węzłowania Jess. Czowała, że serce jej pęka. Żal nad utratą przyjaciółki mieszał się ze szczęściem z odzyskanej miłości. Strata zdawała się podwójnie dotkliwa przez to, że właśnie jej zawdzięczała pojednanie z Luke'em.

Następne popołudnie spędziła również w szpitalu. Rano udała się do sklepu i, na ile to było możliwe po tak długiej nieobecności, pozałatwiała wszystkie sprawy bądź przełożyła na następny dzień. Nie musiała umawiać się z Luke'em - wiedziała, że będzie szukał jej u Jess, tak jak wiedział od razu, dokąd dzwonić.

Słońce było już dosyć nisko na niebie i ukośne promienie wpadały przez okno, kiedy Luke wszedł do pokoju Jess.

Spojrzał na Pete, mrużąc lekko oczy od słońca. Wyglądał dokładnie tak, jak sobie wymarzyła - silny, zręczny, opalony i w trudny do określenia sposób - nieposkromiony. Mężczyzna, z którym chciała być.

Wstała z krzesła przy łóżku Jess, przeszła przez pokój i znalazła się w jego objęciach. Otoczył ją mocno ramieniem i tuląc się policzkiem do jej włosów, stał bez słowa, patrząc długo na Jess.

- Chodźmy do domu - powiedział wreszcie. Miała wrażenie, że nigdy się nie rozstawali.

Taksówka wiozła ich do mieszkania Pete. Kiedy Luke wyraził już swoje ubolewanie z powodu Jess,

przyszła pora, aby uzupełnić wiadomości o sobie. Parę tygodni wcześniej Robby pokazał Luke'owi zamieszczony w „People”

artykuł o sukcesie nowojorskiego Tesori, w związku z czym orientował się w zmianach zawodowych w jej życiu.

Mimo to żądał wszelkich szczegółów, co było zupełnie niepodobne do niechęci, jaką dawniej okazywał jej związkom z jubilerstwem. Czy jednak starczy mu tolerancji na dłużej, niż trwa miodowy miesiąc, zastanawiała się.

Dość zwątpieniom, ofuknęła się w końcu.

Kiedy spytała go o jego sprawy zawodowe, oświadczył, jakby w odpowiedzi na jej obawy, że właśnie sprzedaje swoje przedsiębiorstwo większej firmie, która zatrudni u siebie Robby'ego. Spokojnie mógł przeprowadzić się na Wschodnie Wybrzeże.

- Cała transakcja potrwa jeszcze z parę tygodni, potem jednak będę mógł zamieszkać w Nowym Jorku.

- Naprawdę byłbyś skłonny się przeprowadzić...?

- Rozumiem, że nie możesz kierować sklepem na odległość, prawda?

Wyglądało na to, że gotów jest pójść na wszelkie ustępstwa.

Ledwie zamknęły się za nimi drzwi mieszkania, głód, który dręczył ich przez te wszystkie lata, rzucił ich sobie w objęcia. Tęskniła za dotykiem jego ciała, chciała go poczuć w sobie i wcale nie wstydziła się tego okazać. Dni spędzone z Hiro rozbudziły w niej pełnię zmysłowości; czuła, że jest to dar, który pragnie złożyć w ofierze Luke'owi

- jedynemu mężczyźnie, który był jej w życiu naprawdę pisany.

Na jej namiętność odpowiedział z równą żarliwością. Porwawszy Pete na rękę, zaniósł ją do sypialni, gdzie zaczęli zdierać z siebie nawzajem ubrania.

Niesieni wściekłym pożądaniem, kochali się jak dwa wezbrane strumienie, które zlewają się w rwącą rzekę. Dwa oddzielne, wartkie nurty zderzały się ze sobą wzbijając spienione fale doznań, zawrotne wiry rozkoszy.

Wyposzczona od jego ciała Pete nie mogła dosyć nacieszyć się jego dotykiem. Błądziła po ciele Lukea ustami i językiem, lizała jego skórę, z dreszczem

zachwytu odkrywając jej zapomniany smak. Kochali się ustami, póki nie dogadali się zgodnym szeptem, że już dłużej nie mogą. Pospiesznie wprowadziła go do siebie.

Zadał wreszcie upragnione pchnięcie, a ona wygięła się w łuk, żeby przyjąć go jak najgłębiej. Dwa wezbrane strumienie złączyły się w jeden nurt, rwący coraz prędzej i prędzej, dopóki nie

eksploдовали jednocześnie zmiećeni potężną falą, która wyrzuciła ich litościwie na brzeg pierwotnej natury.

- Kocham cię, Piętro D'Angeli - powiedział, kiedy spoczęli obok siebie i znów zaczął w obojgu wzbierać strumień pożądania. - Kocham cię taką, jaka jesteś.

Rozdział dziewiąty

Miesiące upływały jeden za drugim, wreszcie minął rok od kiedy Jess zapadła w śpiączkę. Cień smutku kładł się na życie Pete, choć pod wieloma względami była teraz szczęśliwsza niż kiedykolwiek. Po pół roku ciągłych podróży do Kalifornii, w związku ze sprzedażą przedsiębiorstwa, Luke osiadł wreszcie w Nowym Jorku. Ze sprzedaży swojej firmy uzyskał ponad sto milionów dolarów, które w połączeniu z odziedziczonym majątkiem pozwoliły mu na założenie fundacji poświęconej realizacji programów społecznych, od ratowania Puszczy Amazońskiej, po sponsorowanie badań medycznych. Bezpośrednie zaangażowanie w prace Fundacji skazywało go na częste podróże

- raz na Alaskę, kiedy indziej do Ameryki Południowej; zawsze jednak wracał do Pete. Większą część domu przy Grove Street zajmowały biura Fundacji Sanforda, w związku z czym Luke przemieszczał głównie w mieszkaniu Pete, ponieważ jednak nadal lubił pracować o najdziwniejszych porach, często wracał do domu nad ranem.

Tesori New York prosperował jak zawsze. Chociaż zdarzało się, że zaabsorbowanie Pete sklepem kłóciło się z pragnieniem Luke'a, żeby dotrzymywała mu towarzystwa skarżył się rzadko, a już nigdy nie zgłaszał żadnych obiekcji pod adresem jej profesji. Pete, ze swojej strony, starała się minimalizować jego ewentualne zastrzeżenia, znaczną część swoich rosnących dochodów pełnoprawnego współdziałowca sklepu przekazując Fundacji bądź

hojnie sponsorując wybrane przez siebie cele społeczne.

W miarę wzrostu dochodów Pete zaczęła przemyśliwać nad powołaniem do życia następnego amerykańskiego Tesori, jednak Antonio Scappa okazał się zaskakująco niechętny tym planom.

- Ma pani dosyć roboty - oświadczył przez telefon. W żaden sposób nie mogła uzyskać jego zgody na otwarcie filii w Beverly Hills, Chicago czy nawet powiększenie powierzchni sklepu nowojorskiego. Nie pojmowała jego motywów, ponieważ nieustannie otwierał kolejne sklepy w Europie; wspomniał kiedyś przy niej, że ma zamiar wykosić całą konkurencję. Była pewna, że gdyby dał jej wolną rękę, zostawiłaby wszystkich w tyle. Z czasem jej dezorientacja przeszła w gniew. Po błyskawicznym sukcesie, jaki odniosła, czuła się uprawniona do decydowania o dalszych krokach firmy. Jednak za każdym razem, kiedy dzwoniła do Genewy proponując osobiste spotkanie, Scappa wykrecał się podróżami handlowymi lub złym stanem zdrowia. Było jasne, że jej unika.

Nieznośną frustrację łagodził fakt, że dzięki tej sytuacji miała więcej czasu dla Luke'a. Źródłem kolejnego niezadowolenia był brak postępów w sprawie poszukiwań klejnotów La Colomby. Znając tożsamość fałszerza, Pete zatrudniła w Anglii prywatnego detektywa, którego zadaniem miało być przebadanie wszelkich możliwych tropów, prowadzących do osoby Geralda Farmera. Przeglądając

stare notatki prasowe na jego temat i przerzucając więzienne archiwa, detektyw dokopał się do informacji, która początkowo rozbudziła wielkie nadzieje Pete. Jednym ze świadków na procesie Farmera, zgodnie donosiła prasa, był jego rodzony syn. Ów młody mężczyzna imieniem John zarejestrowany został w archiwach więziennych jako coroczny gość Wormwood Scrubs. Ten sam syn zgłosił się po śmierci więźnia po jego prochy, informując, że zamierza je pochować w rodzinnym mieście Farmera, którym był

Amsterdam... w Holandii.

Pete niezwłocznie popędziła z wiadomością do dziadka, pełna nadziei, że Opa wygrzebie z pamięci jakieś wspomnienia o Farmerze.

- Wykonał doskonałą replikę dolnej połowy flakonu. Musiał być niezwykle zręcznym rzemieślnikiem, Opa, jego nazwisko nie mogło być nieznane w kręgach jubilerów.

Jednak Josef potrząsnął tylko przecząco głową.

- Wybacz, *schatje*, ale nie przypominam sobie, żeby w naszej branży działał ktoś nazwiskiem Farmer. W każdym razie nie w Rotterdamie...

- Farmer był z Amsterdamu - nie chciała ustąpić Pete. - Ilu takich jak on mogło być w przedwojennej Holandii?

Musiał być znaną postacią w świątku jubilerskim... - Mimo osiemdziesiątki Josef cieszył się wyśmienitym zdrowiem, jednak Pete nie była pewna, jak dalece można ufać jego pamięci. - Pomyśl chwilę, Opa. Może ktoś z twoich kolegów wspominał kiedyś...

- Nic z tego, Pete. Sama mówiłaś, że nazwisko najprawdopodobniej było fałszywe. Gerald Farmer to nie jest holenderskie nazwisko. Może twój angielski hrabia się przesłyszał. Albo nazwisko zostało przerobione z innego nazwiska - Fermer, Frommer, Foerne - w Holandii są dziesiątki tego typu nazwisk...

Nadal opłacała swojego detektywa. Odbił długą podróż do Holandii, wrócił jednak z pustymi rękami.

Proces Fernanda de Moratin odbył się dopiero zimą. Głównym punktem oskarżenia był fakt, że dokonywał

pokątnych zakupów insuliny, jak również zeznania kilku kompanów od kielicha, którym wyznał, że spodziewa się odziedziczyć po żonie majątek. Pete i Lukę wystąpili oboje jako świadkowie oskarżenia. Lukę mówił o cynicznych uwagach, jakie wygłaszał Fernando w dzień ślubu, a Pete poinformowała sąd, że Jess dowiedziała się o ciąży zaledwie parę tygodni przed przedawkowaniem. Sąd pod przewodnictwem prokuratora okręgowego uznał, że czyn Fernanda podyktowany był obawą, że dziecko zmniejszy jego prawa do majątku Jess. Za swoją zbrodnię został

skazany na osiem lat więzienia.

Zdaniem Pete było to o wiele za mało. Jej przyjaciółkę obrabowano z życia i skazano na wegetację. Niemniej wyrok był chociaż częściowym zadośćuczynieniem, zamknięciem pewnego etapu tej sprawy.

Wieczorem, po zakończeniu procesu, Pete po powrocie do domu skierowała kroki w stronę małego sejfów, który zainstalowała w tylnej ścianie szafy z ubraniami. Nadal rzadko zdarzało się jej nosić biżuterię, kiedy występowała prywatnie,

jednak reprezentując sklep, zwykle promowała coś z biżuterii sprzedawanej w Tesori, w związku z czym lubiła mieć pod ręką to i owo. Tego wieczoru jednak nie zamierzała wyjmować z sejfów biżuterii.

Lukę siedział w salonie przerzucając raporty Fundacji, kiedy wkroczyła Pete, kładąc swoją połówkę na stolniczku do kawy. Pierwszy raz widział flakonik La Colomby.

Gwizdnął z uznaniem.

- A więc to jest ten kawałek łamigłówki, który ci nie dał spocząć przez tyle lat. Piękny.

- Piękny, ale niekompletny. Całkiem jak moje obecne życie. - Przysiadła obok Luke'a na sofie i wzięła go pod rękę. -

Wiele spraw uporządkowałam w moim życiu... ale wielu nie doprowadziłam do końca. Łudziłam się, że to uczucie ustąpi, kiedy zapadnie wyrok i de Moratin zostanie skazany. Wiedziałam, że nie przywróci nam to Jess, ale liczyłam, że przynajmniej w jakimś stopniu sprawiedliwości stanie się zadość. Cieszę się, że wyrok już zapadł, ale jednocześnie jeszcze dotkliwiej odczuwam to wszystko, czego dotąd w życiu nie załatwiłam...

Zauważył, że jej wzrok spoczywa na flakoniku.

- Pete, tak już jest, że nie wszystko w życiu dostajemy przewiązane wstążeczką, w pięknym opakowaniu. Pewne rzeczy przychodzą do nas w postaci niedoskonałej i trzeba się z tym pogodzić.

- Nie umiem. Ilekroć myślę o brakującej połowie tego caczuszka, tyle razy przypominam sobie, że została skradziona mnie i mojemu ojcu. I nie umiem wtedy zapomnieć o innych rzeczach, z których nas przy okazji obrabowano.

Odebrano nam nadzieję, ufność, spokój ducha. Nie spocznę, dopóki nie znajdę winowajcy. Musi mi za to zapłacić.

- To było całe lata temu, Pete. Twój stryj zapewne już nie żyje, a kolekcja została rozproszona po całym świecie.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie - powiedziała cicho, wpatrując się we flakonik. - Wiem, że on żyje.

- Wiesz? - zdziwił się. - Skąd możesz wiedzieć? Dotknęła brzucha.

- Tutaj czuję

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- Pete... te poszukiwania miały sens, kiedy była szansa na jakiś realny trop. Jednak kontynuowanie ich w tej chwili zakrawa na czystą obsesję. Rzecz w tym, że obsesję trudno utrzymać w ryzach. Kiedy raz ją dopuścisz do głosu, rozrasta się, przyćmiewając sobą wszystko...

Uśmiechnęła się.

- Nie ma powodów do obaw. Nie dopuszczę, żeby rozmiary tej obsesji rzuciły cień na nasz związek. Prawdę mówiąc, właśnie wpadłam na bardzo prosty pomysł, który mogę zrealizować tutaj, na miejscu, powodując, że pod *signorem* Vittoriem D'Angeli zacnie się palić grunt, choćby był na końcu świata.

- Znow wzięła do rąk niekompletny flakonik. Spojrzył na nią nie bez zaciekawienia.

- Postanowiłam wydobyć go z ukrycia - ciągnęła Pete. - Jutro go wezmę do sklepu i zacznę przygotowania do ekspozycji, w której będzie stanowił centralny element, skupiający wokół siebie klejnoty Tesori... - Wstała z miejsca i krążąc po pokoju z rosnącym podnieceniem zaczęła roztaczać przed nim swoje plany. - Historia statuetki stanie się jednym z elementów ekspozycji. Przyznam nagrodę za dostarczenie informacji - milion, a może nawet dwa miliony dolarów. Cała rzecz niewątpliwie przyciągnie mnóstwo uwagi. Myślę, że wywołam prawdziwą burzę w światowych mediach. Cała historia utrzymuje się jak najbardziej w klimacie sklepu - tym razem zaprezentujemy skarb, który szuka swojej drugiej połowy. - Przystanąła, odwracając się do Lukea. - Co o tym sądzisz?

- Z pewnością jest to trafny chwyt reklamowy - będziesz miała dwa razy większy tłum niż zwykle - przyznał po chwili. Myślę jednak, że nie doceniasz rozmiarów swojej obsesji.

- Wstał, chwytając delikatnie jej ramiona. - Moja intuicja z kolei mówi mi, że powinnaś wyjść za mąż, założyć rodzinę. Mnie osobiście wystarczy taki skarb.

- Jeżeli to są oświadczenia - to zostałeś przyjęty.

- Chyba tak - przyznał z komicznym zaskoczeniem. - Nie uśmiecha mi się jednak myśl, że mogę zostać porzucony u stóp ołtarza dla kolejnej ślepej uliczki, która wyda ci się drogą na drugą stronę tęczy.

- Przynajmniej jasno stawiasz sprawę. Ale, o ile pamiętam, śluby zwykle poprzedzone są zaręczynami. Co znaczy, że do spotkania u stóp ołtarza mam jeszcze trochę czasu. Jeśli do tego czasu nie „przejdę na drugą stronę tęczy” -

zrezygnuję z poszukiwań.

Zawahał się, jakby obawiał się przyjmować od niej zobowiązania, których będzie potem żałować.

- Mówię poważnie - zapewniła.
- Nie lubię długich zaręczyn.
- Odczekaliśmy już swoje - zauważyła ze śmiechem. - Co powiesz wobec tego na... trzy miesiące?
- Zgoda.

Uścisnęli sobie ręce. Pocałował ją i po chwili kochali się już na sofie.

Następnego ranka wzięła ze sobą do pracy połówkę flakonika i w aksamitnym mieszku na jedwabnej podszewce, jakich używano do przechowywania najcenniejszej biżuterii w sklepie, włożyła przedmiot do sejfu w swoim gabinecie.

Podczas dnia zwołała zebranie dekoratorów wystaw i grafików, którzy pomagali jej wyczarowywać wnętrze, z którego słychać nowojorski Tesori.

- Potrzebuję niezwykle przykuwającej uwagę oprawy dla wyeksponowania najbardziej unikalnego przedmiotu, jaki gościł kiedykolwiek w tym sklepie - powiedziała, kiedy zgromadzili się wszyscy wokół stołu w jednym z prywatnych salonów, który służył niekiedy jako pokój konferencyjny.

- Co to jest? - spytał personel wystawienniczy nieomal unisono. Oczy wszystkich skierowane były od dłuższej chwili w stronę aksamitnego mieszka, który Pete teatralnym gestem położyła przed sobą.

Rozsupłała mieszek i wydobyła górną połówkę flakonika, popiersie figurki, wykonane w hołdzie dla urody La Colomby. Rozległy się westchnienia zachwytu.

- Rzeczywiście, przepiękne, Pete - odezwał się w końcu Phil Rosston, szef ekipy wystawienników. - Nie bardzo jednak wiem, do czego to służy. Czy to jest jakaś broszka... wisiorek?

- Chwilowo nie służy do niczego - wyjaśniła - ponieważ brakuje drugiej połowy.

Młodzi ludzie zebrani wokół stołu spojrzeli na nią ze zdziwieniem, po czym zaczęli z zaskoczeniem popatrywać po sobie.

- Może być trudno ją sprzedać, skoro nie jest kompletna

- zauważył jeden.

- Tym razem me będę sprzedawać, tylko kupować - odpowiedziała z uśmiechem.

Wyjaśniła, jakie znaczenie ma dla niej misterna figurynka i jakie nadzieje wiąże z wystawieniem jej na widok publiczny.

- Chodzi mi o to, żeby zrobić wokół niej mnóstwo szumu

- podsumowała. - Chcę, żeby kto się tylko da zobaczył figurkę i poznał jej historię - a także

dowiedział się, że może liczyć na małą fortunę w zamian za informację.

- Czemu nie dasz po prostu tej historii do prasy? - spytała młoda asystentka Phila.

- Bo nie chcę, żeby podzieliła los wzruszających opowiadań, które się czyta jednego dnia, a następnego wyściela nimi dno kubła. Chcę wystawić figurkę na widok publiczny, tak, żeby dzień w dzień oglądały ją tłumy. Cała historia może znaleźć się w prasie, ale mech to będą gazety i czasopisma na całym świecie. Chciałabym, żeby figurka została wyeksponowana w sposób, który przyciągnie również kamery telewizyjne.

- Mierzysz wysoko, Pete.

- Nie zapominajcie o tym, że wysokość nagrody również nada historii rozgłosu. Obiecuje dwa miliony dolarów każdemu, kto doręczy mi brakującą połówkę flakonika i dostarczy informacji, umożliwiających odnalezienie Vittoria D'Angeli... bądź jego grobu. Bierzcie się do roboty - rzuciła - bo chcę wystawić statuetkę w przyszłym tygodniu.

Nie zwracając uwagi na zbiorowy jęk, zamknęła zebranie i wróciła do gabinetu, chowając flakonik do sejfu. Na progu dopadła ją Lotne, zawiadamiając o ważnych telefonach.

- Po pierwsze, dzwonił twój dziadek. Sprawiał wrażenie, że ma coś bardzo pilnego.

Przeraziła się.

- Czy coś mu dolega? - spytała z niepokojem

- Raczej nie - uspokoiła ją Lottie. - Wydawał się przede

wszystkim podniecony. Kiedy powiedziałam mu, że jesteś na zebraniu i zadzwonisz do mego później, oświadczył, że to sprawa niecierpiąca zwłoki i wyrusza do ciebie osobiście.

Tego rodzaju pośpiech był u Opy czymś raczej mecodziennym. Obecnie pędził życie tak, jak niegdyś szlifował

kamienie - spokojnie i z rozmysłem. Poranki upływały mu nad gazetą w mieszkaniu przy Gramercy Park, które Pete nadal mu opłacała, popołudnia i wczesne wieczory chętnie przesiadywał w Klubie Holenderskim, spożywając obiady i oglądając filmy w gronie tamtejszych znajomych. Nigdy nie było po nim znac najmniejszego pośpiechu.

Jednak teraz miał dla niej wieści, które nie mogły czekać ani chwili.

Nagle przyszło jej do głowy, że dziadek mógł trafić na jakiś ślad związany z Farmerem, dowiedzieć się czegoś od holenderskich kolegów.

- Kiedy przyjdzie, natychmiast go do mnie przyprowadź - poleciła Lottie. - Muszę go jak najprędzej widzieć.

Lottie kiwnęła głową, po czym oświadczyła, że był również telefon od pani Iveres. Kiedy wymawiała to nazwisko, w powietrzu powiało arktycznym chłodem.

- Chyba będziesz musiała przebaczyć Andrei - powiedziała Pete po chwili namysłu. - Zmieniła się bardzo na korzyść od czasów, kiedy była twoją przełożoną.

- Nigdy nie była moją przełożoną - oświadczyła lodowato Lottie.

- Racja, byłabym zapomniała - roześmiała się Pete. - Proszę cię jednak, okaż jej wyrozumiałość, gdyby się tutaj pojawiła.

- Zrobię to tylko dla ciebie.

Kiedy dotarła wreszcie do biurka, odpowiedziała na telefon Andrei. Po powitalnych grzecznościach w swobodnym nastroju wymieniły zdania na tematy zawodowe. Wreszcie Andrea przeszła do sedna sprawy.

- Co powiesz na to, żebyśmy się spotkały? Mam dla ciebie propozycje handlową.

Z całym szacunkiem, jaki odczuwała wobec Andrei, me sądziła, żeby w biznesie możliwe było pogodzenie ich odmiennych stylów, nie chciała jednak zrywać serdecznej nici, jaka się między nimi nawiązała.

- Kiedy tylko zechcesz - oświadczyła i umówiły się, że Andrea odwiedzi Pete w biurze z końcem tygodnia.

Odkładała słuchawkę, kiedy do poczekalni wpadł jak burza Josef. Pomachała mu i wstała, żeby powitać dziadka.

Wyglądał na niezwykle podnieconego. Jego niebieskie oczy zdawały się niecodziennie ożywione, policzki czerwieńsze niż zwykle.

- Co się stało, Opa? Zachodzę w głowę, jaką masz dla mnie rewelację w zanadrzu.

- Zgadłaś, że mam dla ciebie rewelację. W dodatku pali mi się, więc do kogo się miałem zwrócić, jeśli nie do ciebie?

- wysapał, cmoknąwszy ją w policzek.

- Pali ci się?

- Muszę natychmiast kupić pierścionek z diamentem.

A więc nie miał dla niej żadnych wiadomości na temat Farmera. Co jednak znaczyła opowieść o kupowaniu na gwałt pierścionka z diamentem? Czyżby dawały o sobie już znać starcze zmiany w umyśle i fakty sprzed lat Josef brał za terażniejszość?

- Nie powiesz mi, Opa, że kupno pierścionka z diamentem jest dla ciebie sprawą niecierpiącą zwłoki. Usiądź, odetchnij sobie, a potem wyjaśnisz mi wszystko.

- Nie mam zamiaru siadać i wcale nie potrzebuję odetchnąć

- oświadczył. - Ale chętnie ci wszystko wyjaśnię - dodał z łobuzerskim uśmiechem. - Kiedy w moim wieku człowiek decyduje się zaręczyć, nie powinien zwlekać ani chwili.

- Zaręczyć? - Pete opadła szczęka. - Opa, ty chyba żartujesz.

- Tak sądzisz? - spytał, poważniejąc gwałtownie. - Naprawdę wyglądam, jakbym żartował?

Popatrzyła na niego uważnie.

- Opa, proszę cię, usiądź. Być może tobie wszystko wydaje się oczywiste, ale ja z tego nic nie rozumiem.

Rozsiadł się na fotelu.

- Zaraz ci wszystko wyjaśnię - zaczął cierpliwie. Pete poczuła się, jakby miała z powrotem sześć lat i bawiąc się u jego nóg pobierała pierwszą lekcję na temat diamentów. - Jakiś czas temu poznałem pewną wdowę. Nazywa się Mary Stone. Od śmierci jej męża często się widujemy i wczoraj wieczorem zdecydowałem się poprosić ją o rękę.

Zdecydowała, że musi

mieć noc do namysłu. Dzisiaj rano powiedziała „tak”. Więc przychodzę... kupić pierścionek. Pete kręciła głową oszołomiona.

- Mówisz... poważnie, Opa? To znaczy, widzę wyraźnie, że tak, przyznasz jednak, że to bardzo... poważny krok...

- Prawda? - roześmiał się Josef. Chcesz jednak powiedzieć, że powinienem się jeszcze zastanowić?

- Widzisz, ja... ja nawet jej nie znam. - Rozłożyła bezradnie ręce. Nie wiedziała, jak się w tej sytuacji znaleźć.

- Nie pytam się o twoją zgodę, Pete - zwrócił jej uwagę. - A Mary nie zamierza prosić cię o moją rękę.

- Przecież me o to mi chodziło...

- Poznasz ją - zapewnił serdecznie Josef. - Ale teraz wyjeżdża na tydzień do siostry, do Columbus w Ohio. Właśnie dzięki temu, że wyjeżdża, dotarło do mnie, jak wiele dla mnie znaczy. Spieszę się, żeby kupić pierścionek jeszcze dziś, zanim wyjedzie, bo wiem, że będzie jej miło się nim pochwalić.

Pete w dalszym ciągu kiwała tylko głową, oniemiała z wrażenia.

- Wiesz dobrze, że przez całe życie byłem rozważnym człowiekiem - powiedział wstając i obejmując Pete. -

Chodziłem dookoła kamieni, studiowałem je - „romansowałem” z nimi pod każdym możliwym kątem, zanim zdecydowałem się ciąć. W rezultacie popełniłem mnóstwo pomyłek. Kto wie, czy nie szłoby mi lepiej, gdybym się mniej zastanawiał. Cóż - wzruszył ramionami - teraz romansuję z kolejnym klejnotem i tym razem nie zamierzam nadmiernie myśleć. Pójdę za ciosem i już. - Roześmiał się. - Czy pomożesz mi, *schaije*? Chciałbym kupić najdroższej najpiękniejszy pierścionek świata, ale będę cię musiał prosić o rabat...

- Dostaniesz największy rabat, na jaki mogę sobie pozwolić, Opa. Możesz wziąć, co ci się spodoba, pod warunkiem, że mi zapłacisz dolara - na szczęście.

Josef upierał się przy jakiejś uczciwszej cenie, ale Pete nie chciała nawet o tym słyszeć, wobec czego ruszył na parter, do sklepu.

- Trzeba przyznać, że szczwany z ciebie lis - zauważyła Pete na odchodnym - Byłam pewna przez cały czas, że chodzisz do twojego ukochanego Klubu Holenderskiego...

- Ależ, jak najbardziej. Tam właśnie poznaliśmy się z panią

Stone. Oboje, z niezującym mężem, którego zresztą zdążyłem poznać, byli Holendrami.

- Mary Stone to nie brzmi ani trochę z holenderska.

- No cóż, naprawdę nazywa się Marijke van Steen. Kiedy jednak przyjechali z mężem do Stanów, musieli wypełniać straszliwe ilości rozmaitych formularzy, żeby dostać pozwolenie na pracę i tak dalej, tymczasem żaden z Amerykanów nie był w stanie poprawnie wymówić: Marijke i Joop - bo tak miał na imię jej mąż. Zmienili wobec tego imiona na Mary i Joe. A ponieważ chcieli wystartować tutaj od nowa, zamerykanizowali również nazwisko.

Steen to po holendersku kamień, *stone*. - Wyszedł wybrać pierścionek.

Nie było go dobre parę minut, kiedy nagle olśnienie jak grom poraziło Pete. Wybiegła pędem z gabinetu.

Josef nachylał się nad paletą z niezbyt drogimi, dwukarato-wymi soliterami, kiedy stanęła przy nim Pete, zdyszana od biegu po schodach i przez cały sklep.

- A Farmer, Opa? - spytała, z trudem odzyskując oddech. Patrzył na nią, nie rozumiejąc.

- Mówiłeś, że Steen zmienił sobie nazwisko na Stone - wyjaśniła. - A Farmer? Jak mógł nazywać się Holender, który wjeżdżając do Anglii przyjął nazwisko Farmer?

Odpowiedź zajęła mu raptem parę sekund.

W Amsterdamie znaleźli się następnego dnia.

Początkowo Josef był przeciwny podróży. Nie miał zamiaru porywać się o północy samolotem przez ocean, tylko dlatego że znaleźli nowy klucz, który trzeba będzie wypróbować na setce zamków. W holenderskim nie istniało jedno słowo, które byłoby odpowiednikiem słowa Farmer; nazwisko to można było tłumaczyć jako Landman, Boerman, Keuterboer, Fokker, Pachter; w grę również mogły wchodzić ich zniekształcenia. Sprawdzenie wszystkich wydawało się heroicznym zadaniem.

Pete postanowiła jednak wygrać fakt, że dziadek ma zamiar rozpocząć nowe życie.

- Na miejscu będzie nam o wiele łatwiej niż na odległość sprawdzić wszystko przez pośredników, Opa, zwłaszcza że bę-

dziesz moim tłumaczem. -Kiedy opierał się nadal, dodała-To nie potrwa dłużej niż kilka dni. Będziesz w domu, zanim Mary wróci z Ohio. Nie byłeś w Holandii od ponad czterdziestu lat. Nie masz ochoty rzucić okiem na ojczyste strony, zanim się „ustatkujesz”?

Zaczynał się już łamać, ale ostatnie stwierdzenie go przystopowało. Nie był pewien, czy ma ochotę wracać do miejsc, w których odebrano mu bądź nieodwracalnie zniszczono wszystko, co kochał.

Jednak Pete, widząc jak pielęgnuje holenderskie zwyczaje, czyta holenderskie czasopisma, żyje życiem Klubu Holenderskiego, nie miała wątpliwości, że Josef tęskni za ojczyzną. Wreszcie udało jej się przemówić mu do rozumu.

Z chwilą, kiedy wysiedli z taksówki, która przywiozła ich z lotniska Schiphol, Josef poczuł się jak u siebie w domu.

Nie zgodził się na rezerwację pokoju w wielkim, trzygwiazdkowym hotelu, proponując zamieszkanie w niewielkim pensjonacie przy jednym z *grachten* koncentrycznych kanałów, którym miasto zawdzięczało nazwę „Wenecji Północy”. Ledwie zameldowali się, natychmiast porwał się do wyjścia na miasto. Mimo że niecierpliwie czekała na rozpoczęcie poszukiwań, postanowiła najpierw zaspokoić tęsknoty dziadka.

- Urodziłem się tutaj - oświadczył, kiedy mijali pałac królewski na Damie. - Do Rotterdamu przenieśliem się dopiero po ślubie. Twoja babka chciała być bliżej swojej rodziny.

Pokazał Pete Walletjes, dzielnicę położoną przy murach starego miasta, w której się wychował. Wzniesiony nad kanałem ceglany dom o stromej ścianie szczytowej nie zmienił się prawie przez sześćdziesiąt parę lat od wyjazdu Josefa. Prawdę mówiąc, nie zmienił się specjalnie, od kiedy w siedemnastym wieku powstał. Jediną nowością była czerwona lampka nad progiem i młoda kobieta w samej halce, która piłując paznokcie czekała na kolejnego klienta.

Pokazał Pete swoją szkołę i budynek, w którym oszlifował pierwszy diament. Słuchali przez chwilę wielkiej katarynki na rogu; wrzucili parę guldenów do mosiężnej puszki, którą kataryniarz potrząsał w takt muzyki. Odbyli przejażdżkę łodzią po kanałach, podczas której Josef miał do pokazania więcej niż przewodnik. Chociaż wyjechał

stąd przed ponad czterdziestu

laty, w jego pamięci wszystkie szczegóły wystąpiły nagle z nieoczekiwaną jasnością.

- A teraz - zapowiedział, kiedy łódź zawinęła do przystani - zanim ruszymy na poszukiwanie naszego pana Farmera, musisz zjeść parę *poffertjes*. - Zaprowadził ją do kolorowego budynku, gdzie po chwili podano im talerze, na których piętrzyła się góra polanych topionym masłem i posypanych cukrem pudrem puszystych naleśniczków o średnicy dolarówki.

- Jak skończysz, możemy wziąć się do roboty - oświadczył Josef, z zadowoleniem odsuwając pusty talerz.

Skompletowanie na pocztę głównej listy osób, do których będą musieli zadzwonić, zajęło im raptem godzinę. Josef sporządził listę holenderskich odpowiedników słowa „farmer” i ich możliwych przekształceń. Syn fałszerza występował w Anglii pod imieniem John, co zawężyło obszar poszukiwań do osób, występujących pod inicjałem J.

być pod imieniem Johannes czy Jan.

Potem zaczęli dzwonić pod kolejne numery, wyjaśniając, że poszukują syna mężczyzny, który zmarł w Anglii pod nazwiskiem Gerald Farmer. Mieszkańcy kosmopolitycznego Amsterdamu nierzadko mówili po angielsku, więc mogła z dziadkiem podzielić się listą na pół. Kiedy miała jakieś trudności, wzywała Josefa na pomoc.

Obdzwoniła już trzydzieści parę nazwisk, kiedy doszła do Jana Boersmy, który w książce figurował jako właściciel galerii sztuki.

- Owszem, mówię po angielsku - zapewnił ją na początku rozmowy. Kiedy wyjaśniła powód swojego telefonu, zamilkł na chwilę, po czym przyznał, że mężczyzna podający się za Geralda Farmera był jego ojcem. Zgodził się przyjąć Josefa i Pete zaraz po zamknięciu galerii.

Uraleria Boersmy zajmowała parter starej, ozdobnej kamienicy wychodzącej na Herengracht - najelegantszy z kanałów. Właściciel wpuścił ich do środka i zaprosił do zajęcia miejsc w fotelach ustawionych na tyłach otwartej, prostokątnej przestrzeni, zawieszonych abstrakcyjnymi obrazami młodych, nieznanych holenderskich malarzy.

Boersma był drobnym, łysiejącym mężczyzną po pięćdziesiątce. Nosił okulary bez oprawek, a jego ruchy, pełne nienaganej precyzji, tchnęły pewnym zmanierowaniem.

Upewniwszy się ponownie, że mężczyzna, który zmarł w angielskim więzieniu był rzeczywiście jego ojcem, Pete przeszła taktownie, lecz szybko, do sedna sprawy.

- *Mynheer* Boersma, domyślałam się, że pański ojciec był wybitnym jubilerem.

- Był absolutnym mistrzem. Umiał poradzić sobie z każdym kamieniem, nie było oprawy, której by nie sprostał.

Opanował wszelkie możliwe arkana sztuki jubilerskiej. Noga powinęła mu się dopiero, kiedy się wziął za walutę obcą. - Boersma potrząsnął głową. - Nie był dobrym grawerem.

Serce zabiło jej prędeej z podniecenia. Sięgnęła do torebki, wyjęła aksamitny sącdek, rozwiązała tasiemki i wydobyła gómą połówkę flakonika La Colomby.

- Czy coś takiego potrafiłby skopiować?

- To jego robota - oświadczył ledwie dosłyszalnie Holender, wyciągając rękę po flakonik. Pete dała mu go do ręki. -

Albo bardzo wierna kopia.

- *Bent U zekef?* - zapytał Josef, dla większej pewności przerzucając się na holenderski.

- Oczywiście, że jestem pewien - potwierdził Boersma, niemal z obrazą. Jeszcze raz przyjrzał się uważnie flakonikowi, po czym oddał go Pete do rąk. - Takich rzeczy się nie zapomina. Miałem jedenaście lat, kiedy zaczął

nad nim pracować, co zajęło mu, jak pamiętam, prawie dwa lata.

Pete nachyliła się do przodu z błyszczącymi oczami.

- Proszę, mech pan spróbuje sobie przypomnieć. To bardzo ważne. Czy pamięta pan, kto wynajął ojca do skopiowania flakonika?

- Och, tak. Odwiedzał nas parokrotnie w okresie, kiedy mój ojciec pracował nad tą figurką. Nie lubiłem go, bo był

arogancki i łatwo wpadał w złość. Ale mój ojciec nie mógł znaleźć innej pracy - wyjaśnił. - Po wojnie nikt nie chciał

go u siebie zatrudnić.

- *Een coUaborateur* - zjadliwym tonem podsunął Josef.

- Owszem, był kolaborantem - przyznał Boersma, któremu głos zadrżał nieznacznie. - Należał jednak do tych, którzy szczerze wierzyli, że hitlerowcy są dla Holandii prawdziwym

wybawieniem. W rezultacie nie miał wyboru. Musiał przyjąć zamówienie od człowieka, który *zazędał* kopii statuetki.

- Jak on sie nazywał? - spytała Pete bez tchu. Boersma po raz pierwszy zawahał sie.

- Przyznam, że nie wydaje mi sie, żebym słyszał kiedykolwiek jego nazwisko. Ojciec zawsze nazywał go po prostu Włochem.

To musiał być Vittorio, pomyślała. Nikt inny, tylko on.

- Proszę, mech się pan zastanowi lepiej, *mynheer*. Nigdy me padło żadne nazwisko...?

Siedział przez jakiś czas w milczeniu, po czym potrząsnął głową.

- Przykro mi...

- Czy pamięta pan, co się potem stało z flakonikiem? - wtrącił Josef. - Czy Włoch zjawił się po niego osobiście, czy pana ojciec musiał go gdzieś dostarczyć?

- To akurat bardzo dobrze pamiętam. Flakonik został przekazany w Szwajcarii, w Lugano. Pamiętam, bo towarzyszyłem ojcu w podróży. W tamtych latach jazda pociągiem z Amsterdamu do Lugano była nie lada atrakcją.

Z Lugano pojechaliśmy do Genewy, do banku. Stamtąd wróciliśmy do Holandii, a po miesiącu mniej więcej przenieśliśmy się do Anglii.

Tyle potrafił powiedzieć. Mimo nalegań Pete nie umiał w żaden sposób określić, gdzie mógłby się podziewać aktualnie Vittorio D'Angeli.

Z galerii wyszli po zmroku. Josef zaprosił Pete na obiad do Café Américain przy Leidseplein, przepięknej secesyjnej restauracji, w której odbyło się przyjęcie weselne Maty Hari. Pete jednak nie była zdolna do zachwyty nad urodą tego miejsca.

- To już koniec, Opa - poskarżyła się, ściskając w dłoni kieliszek, z którego nie upiła ani łyka. - Zbyt zręcznie się zamaskował. Jestem pewna, że nigdzie nie spotkam nikogo, kto znałby Vittoria D'Angeli. Na Boersmie ślad się urywa...

- Niestety, też mi się tak wydaje, *schage*.

Kiedy bez przekonania zaczęła skubać deser, przeprosił i wyszedł zadzwonić. Nie było go bardzo długo. Pete domyślała

się, że dzwoni do kobiety, której nazwisko pchnęło ich do ostatniego etapu chybionych poszukiwań.

Wrócił z uśmiechem na twarzy, co przekonało Pete, że jej domysły były trafne.

- Możemy wracać jutro, jeżeli tęsknisz za przyszłą małżonką, Opa. Nie widzę żadnego powodu, żeby tutaj siedzieć dłużej.

- Ja za to widzę - oświadczył. - Pozwolisz, że cię odwiozę na lotnisko, *schatje*?

- Odwiesz mnie... Opa...?

- Nie wracam z tobą do Nowego Jorku, Pete. Dopiero teraz, po przyjeździe do kraju, zobaczyłem jak bardzo tęskniłem za Holandią.

- A co z Mary?

- W tej sprawie właśnie dzwoniłem - wyjaśnił, uśmiechając się jeszcze szerzej. - Mary przylatuje do

mnie jutro z Columbus. Poprosiłem, żeby przyjechała sprawdzić, czy poczuje to samo co ja - że nasze miejsce jest tutaj. W starym kraju.

- Tutaj? Chcesz powiedzieć, że zamierzasz się tutaj przenieść, Opa?

- Owszem, zamierzam przenieść się do kraju, w którym wszyscy będą umieli wymówić imię mojej Mary. Marijke.

Ma--raj-ke - wymówił z namaszczeniem. - Nie uważasz, że to brzmi o wiele bardziej poetycko?

Patrzyła oszołomiona na dziadka. Po latach ostrożności

i rozsądku najwyraźniej odkrył w sobie drugą naturę. Być może jego plany były ryzykowne, jednak nie można im było odmówić głębszego sensu.

Mimo przygnębienia bezowocnością poszukiwań, wybuchnęła nieoczekiwanie śmiechem.

- Jesteś cudowny, Opa, naprawdę cudowny.

- Kawał zucha, chciałaś powiedzieć. Kto wie, czy życie naprawdę nie zaczyna się dopiero po osiemdziesiątce.

Następnego ranka, kiedy wyściskawszy dziadka wsiadła w samolot do Nowego Jorku, poczuła się pogodzona z myślą, że jej poszukiwania utknęły w martwym punkcie. Klejnoty La Colom-by nie wydawały jej się już tak ważne, jak poprzedniego dnia.

Zastanawiała się wręcz, czyby nie zaproponować Luke'owi skrócenia okresu narzeczeństwa.

Rozdział dziesiąty

Andrea zaproponowała lunch w La Grenouille, położonej w pobliżu obydwu sklepów. Pete zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna zaproponować innego miejsca. Bała się niezręcznej sytuacji, jeśli Andréa przypomni sobie, że ta właśnie restauracja była przed laty areną ich krótkiego flirtu z Marcelem. W końcu jednak rozmyśliła się.

Małżeństwo z Marcelem stanowczo uspokoiło Andreę.

Pete zjawiała się punktualnie o pierwszej. Andréa czekała na nią. Przestała się już ubierać tak wyzywająco, jak niegdyś, mimo to kłuła w oczy połyskliwym, niebieskim kostiumem od Claude'a Montany. Nie uszło uwagi Pete, że włosy Andrei nabrały bardziej stonowanego odcienia i miękko kładą się na ramionach. Sama miała na sobie kolorową, wzorzystą sukienkę od Ungara. Czowała, że dobrze się komponują z Andreą.

Od pierwszej chwili zawiązała się przyjacielska atmosfera. Andréa nalegała, żeby koniecznie napić się szampana.

Dawna niechętna rezerwa wobec Pete ulotniła się bez śladu. Kiedy na pytanie, co słysząc, Pete

wspomniała o podróży z dziadkiem i jego małżeńskich i emigracyjnych planach, Andréa okazała się wdzięczną, skłoną do śmiechu słuchaczką.

- Kolejny dowód na to, że nigdy nie jest za późno - oświadczyła, wznosząc toast za ich spóźnioną przyjaźń. - Tak się składa, że oboje z Marcellem też myślimy o przeprowadzce - dorzuciła - w związku z czym przyszło mi do głowy, że mogłybyśmy ubić interes. Przeszła do rzeczy. Marcel nigdy nie zadomowił się do końca w Stanach. Przyjechał do Nowego Jorku jako przedstawiciel ojca, po czym został, ponieważ Claude zmarł. Przed powrotem do Paryża powstrzymywała go obawa, że przyjdzie mu żyć w cieniu legendy ojca. Jednak z dnia na dzień czuł się coraz nieszczęśliwszy w swoim zawodzie, aż uznał wreszcie, że jego związki z branżą jubilerską są nieszczęsną pomyłką, którą zawdzięczał pochodzeniu.

- Doszedł do punktu, w którym gotów jest przekazać mi zarządzanie firmą, o czym zawsze marzyłam - stwierdziła Andrea popatrując w kieliszek z zadumą. - Jak na ironię okazuje się jednak, że w tej sytuacji odechciewa mi się pracować. Zawsze podniecała mnie walka, rywalizacja o to, kto okaże się lepszy. Czy potrafisz to zrozumieć, Pete?

- Chyba tak.

- Dlatego właśnie chcemy zlikwidować sklep.

- Zlikwidować sklep? - powtórzyła Pete w osłupieniu.

- Tylko w Nowym Jorku. Dufort & Iveres dalej będzie działać w Paryżu, gdzie firmą kieruje kuzyn Marcela. My natomiast zamierzamy wyprowadzić się na wieś. Czy widzisz mnie w roli *madame* Iveres, dziedziczki rodzinnego *chateau*?

Pete zrozumiała nareszcie przyczyny tajemniczej transformacji, jakiej uległa Andrea. Jej przyjaciółka szykowała się do przejęcia sterów w Chateau d'Iveres.

- Sądzę, że za cokolwiek byś się wzięła, odniesiesz sukces - oświadczyła absolutnie szczerze Pete.

- Wyobraź sobie, *chateau* posiada własną winnicę - wyjawiała Andrea z błyskiem przekornej ambicji w oku. - Wino zawsze mieli nienajgorsze, ale daleko mu było do doskonałości, w dodatku nawet za Napoleona nie chciało im się nigdy produkować więcej niż parę tysięcy butelek rocznie. Zamierzam postawić to miejsce na nogi. - Nachyliła się konspiracyjnie do Pete - Dajcie mi pięć lat, a zamienię Chateau d'Iveres w następne Chateau Mouton, które będzie zarabiał czterdzieści milionów na samym eksporcie.

- Jeżeli komuś się to uda... - roześmiała się Pete.

- Tylko nie mów nic Marcelowi. Świącie wierzy, że zamierzam osiąść na wsi wychowując dzieci, a nie hodując winogrona.

- Dochowam sekretu aż po gilotynę - zapewniła ją Pete. - Nie

sądzę jednak, żeby Marcel był specjalnie zdziwiony, kiedy zaczniesz działać.

- Przyszło mi do głowy, że może cię zainteresować odkupienie biżuterii, którą mamy na składzie. - Andrea zdradziła wreszcie swoje zamiary względem Pete. - Paryski sklep jest już zapchany po dziurki w nosie, nie sądzę też, żeby udało nam się wiele sprzedać przed likwidacją. Dufort nigdy nie potrafi upłynniać tak szybko swoich towarów jak Tesori. Nie udało mi się odwieść D & I od ich przestarzałych metod.

Pete zastanowiła się nad propozycją Andrei. Przypuszczała, że uda jej się wynegocjować korzystną cenę, a zakup biżuterii wystarczającej do wyposażenia sklepu mógł przełamać patową sytuację z Antoniem Scappą w kwestii otwarcia następnej filii Tesori w Stanach. Zawsze była zdania, że w Beverly Hills szłoby jej równie dobrze, o ile nie lepiej, niż w Nowym Jorku.

- Interesuje mnie. Wpadnij po lunchu do mojego biura. Podzwonię do banków, sprawdzę, czy zechcą wypłacić na ten cel, i możemy podpisać umowę.

Sprawy interesów miały już z głowy i mogły spokojnie, jak dwie stare przyjaciółki, rzucić się w wir konwersacji, plotkując na temat najnowszej mody i obgadując te z kobiet siedzących na sali, które udało im się rozpoznać.

Po powrocie do biura Pete zastała już personel działu wystawienniczego oczekujący na dyspozycje w kwestii ekspozycji flakonika. Kazała im wrócić za pół godziny, kiedy dokończy interesów z Andrea.

- Cóż to za nadzwyczajny eksponat, o którym w kółko się tutaj mówi? - zaciekała się Andrea.

Dawniej Pete nie czuła się dostatecznie zaprzyjaźniona z Andrea - ani też nie ufała jej dostatecznie - żeby rozmawiać o zaginionych klejnotach La Colomby. Nawet podróż do Amsterdamu zbyła określeniem „podróż sentymentalna”.

Teraz jednak przyszło jej do głowy, że wśród kontaktów, które Andrea poczyniła przez te wszystkie lata, może znaleźć się trop prowadzący do Vittoria.

Zdecydowała opowiedzieć całą historię Andrei i wyjaśnić motywy wystawy. Z sejfu wyjęła aksamitny sącze z połówką flakonika.

- Druga połowa - zakończyła swoją opowieść - znajduje się w posiadaniu mojego tajemniczego stryja - razem z falsyfikatem mojej połowy... oraz kolekcją klejnotów, której wartość na dzisiejszym rynku powinna wahać się między trzydziestoma a czterdziestoma milionami dolarów.

- Interesująca historia - oświadczyła bezbarwnie Andrea. - Wybacz, że cię poganiam, ale sama mam mnóstwo roboty. Czy mogłabyś sprawdzić pokrycie finansowe i przygotować odpowiedni dokument?

- Naturalnie - oświadczyła Pete. Odłożyła flakonik do sejfu, przeszła do biurka i zadzwoniła do banku, z którego usług sklep najczęściej korzystał.

Mimo wszystko nie mogła powściągnąć zaskoczenia czy wręcz rozczarowania reakcją Andrei. Nie spotkała się dotąd z równą obojętnością wobec swojej historii - naturalnie zdawała sobie sprawę, ile Andrea ma teraz na głowie.

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że Andrea Scappa mimo wszystko zawsze stawia na pierwszym miejscu własny interes.

Przez następne kilka dni, a potem przez cały weekend, Pete przygotowywała ekspozycje flakonika, który miał zostać wystawiony w następnym tygodniu. Prawdę mówiąc, niespecjalnie wierzyła w skuteczność tego przedsięwzięcia, skoro tyle innych sposobów na przestrzeni wielu lat zawiodło. Niemniej ekspozycja powinna ściągnąć tłumy i nadać sklepowi rozgłos. A kiedy będzie już po wszystkim, ze spokojnym sumieniem, że wyczerpała wszelkie środki, Pete będzie mogła pomyśleć o ślubie.

Kiedy w niedzielę wieczór, po całym dniu spędzonym w sklepie na ostatnich przygotowaniach, pojechała do Luke'a, ten wręczył jej... zaręczynowy pierścionek.

W parę godzin później ciszę jej domu rozdarł dźwięk dzwonka alarmowego.

Późnym przedpołudniem w poniedziałek policja była już w stanie dostarczyć pewnych wyjaśnień. Włamanie bez wątpienia było dziełem profesjonalistów, obdarzonych ogromną zręcznością i znajomością obsługi i rozłączania podobnego typu urządzeń alarmowych. Kardynalnym dowodem na to, że w napad był zamieszany ktoś ze współpracowników Pete, stanowił fakt kradzieży jednej, jedynej, niekompletnej figurki, przechowywanej w osobistym sejfie Pete. Złodziej musiał dobrze wiedzieć, że figurka tam się właśnie znajduje.

Na liście podejrzanych znaleźli się Lottie, personel wystawienniczy, pracownicy sklepu i ludzie z ich otoczenia. Po kolei wzywano ich na przesłuchanie.

- Nikt z nich nie wydaje mi się specjalnie podejrzany - zwierzył się Pete główny oficer śledczy. - Klną się, że w życiu me zrobiliby czegoś takiego pani, panno D'Angeli. Jak dotąd, nie udało nam się znaleźć nawet najdrobniejszego dowodu na to, że którykolwiek z nich ma jakiegokolwiek konszachty ze środowiskiem przestępczym. Czy mogło się tak zdarzyć, że obca osoba, przechodząc obok otwartych drzwi pani gabinetu, zobaczyła panią z flakonikiem? A może zamówiła sobie pani sandwicha do gabinetu i doręczyciel podpatrzył...

Nie przychodziła jej do głowy żadna sytuacja, w której wyciągałaby flakonik z sejfu w obecności osób postronnych.

Dopiero kiedy oficer wyszedł z gabinetu, przypomniała sobie lunch z Andream i jej późniejszą wizytę.

Usiłowała nie dopuścić do podejrzeń. Jakież Andream mogłaby mieć motyw? Kto jak kto, ale ona nie potrzebowała kraść klejnotów - miała dość własnych. Czy mogła połakomić się na flakonik ze względu na jego unikatowość?

Niepełny, zdekompletowany?

A może kradzież była aktem czystej złośliwości - przyjaźń miała być tylko parawanem dla patologicznej zazdrości i nienawiści, których nigdy nie udało jej się w sobie zwalczyć?

Nie... Serdeczność Andrei wydawała się jak najbardziej szczerą.

Podejrzenie wydawało się absurdem. Nawet gdyby Andrea zapragnęła flakonika, w jaki sposób mogłaby go zdobyć?

Dzięki pomocy profesjonalistów.

Sama będąc właścicielką wielkiego sklepu jubilerskiego Pete dobrze wiedziała, że policja wspólnie z przedsiębiorstwami ubezpieczeniowymi rozsyła umożliwiający natychmiastową identyfikację na terenie sklepów listy, zawierające nazwiska, rysopisy i niejednokrotnie fotografie mężczyzn i kobiet, którzy mieli kradzież biżuterii na swoim koncie. Jednak lista taka umożliwiała również szybkie skontaktowanie się z kimś, kto potrafiłby na przykład zdobyć flakonik.

W dalszym ciągu pozostawało jednak pytanie: po co?

Zdecydowana uwolnić się nawet od cienia niesłusznych podejrzeń, złapała za słuchawkę i wykręciła numer D & I, który знаła na pamięć jeszcze z czasów, kiedy pracowała w firmie.

- Bardzo nam przykro, ale pani Iveres nie ma - usłyszała po drugiej stronie.
- Mówi Pietra D'Angeli. Prosiłabym, żeby zaraz po powrocie do mnie zadzwoniła.
- Nie będzie jej już dzisiaj, panno D'Angeli. Pani Iveres wyjechała w podróż służbową.

Podróż służbową. Jakże Andrea mogła mieć interesy, skoro łądz dzień mieli z Marcelem likwidować sklep?

- Czy zastałam pana Iveresa?
- Tak. Zaraz panią połączę.

Marcel prześcigał się w uprzejmościach pod adresem Pete. Andrea zdążyła już mu powiedzieć, że Pete zamierza uwolnić ich od biżuterii.

- Marcel, gdzie jest Andrea? - doszła w końcu do głosu Pete.
- Musiała wyjechać za granicę.
- Bez ciebie?
- Pojechała zobaczyć się z ojcem. Moja obecność nie byłaby mile widziana.
- Nie sądzę, żeby jej obecność była również mile widziana...

- Fakt, że nie są w dobrych stosunkach ze starym, jednak oświadczyła, że czuje nieodpartą potrzebę spotkania się z nim. Wyglądało, jakby przeczuwała jego śmierć, czy coś w tym rodzaju. Wyjechała zupełnie niespodziewanie.

- Marcel - Pete zawahała się - miałam u siebie włamanie. Z mojego sejfu zniknęła bardzo cenna rzecz. Ja... chciałam się spytać Andrei, czy może wie coś na ten temat.

- Coś wie? - powtórzył Marcel powoli. - Co chcesz przez to powiedzieć, Pete? Skąd Andrea mogłaby cokolwiek...

Jej podejrzenia znów wydały się trącić absurdem. Czy fakt, że Andrea przebywała kilka dni wcześniej w gabinecie Pete, miał ją od razu pasować na główną podejrzaną?

- Nic już, nic. Nie powinnam ci była w ogóle zawracać głowy tą sprawą. Kiedy Andrea wróci?

- Jutro albo pojutrze. Mówiła, że jedzie na dzień lub dwa.

Odłożyła słuchawkę. Oczywiście, że Andrea wróci. Czy zdarzało się, żeby złodziej wziął coś, uciekł, a następnie wrócił poddać się przesłuchaniom?

Musiała ufać Andrei. Flakonik został skradziony, Andrea wyjechała zobaczyć się z ojcem. Dwa wydarzenia, które nie miały ze sobą nic wspólnego.

Z wiekiem Vittorio sypiał coraz mniej, a to dlatego, że był Vittoriem i kiedy leżał w łóżku wpatrując się w sufit, czy rzucając od czasu do czasu spojrzenie na śpiącą u jego boku kobietę - wspominał dzieje Vittoria.

Przyszły jednak czasy, kiedy zaczął się gorzej czuć jako Vittorio niż jako Antonio, w związku z czym wstawał coraz wcześniej i coraz wcześniej ruszał do swoich zajęć, które od lat stanowiły dla niego znakomity parawan.

Przyszedł czas spojrzeć prawdzie w oczy. Vittorio był człowiekiem przegranym. Musiał ratować swoją skórę, zagrożoną oskarżeniem o ciężkie przestępstwo i współpracę ze zbrodniarzami.

Antonio natomiast był człowiekiem sukcesu, który nigdy nie musiał kryć się przed nikim.

Kiedy Antonio zjawił się u wrót Tesori, ulice Genewy ciągle jeszcze spowijała mgła. Podniósł pancerne zasuwy, specjalnym kluczem wyłączył alarm, otworzył drzwi frontowe, wszedł i zamknął je za sobą. Do otwarcia sklepu pozostało jeszcze wiele godzin. Miał zamiar spędzić ten czas przeglądając rachunki, doniesienia agentów, którzy w innych krajach rozglądali się za dogodnymi miejscami do założenia kolejnych filii, oglądając wykonane w sklepowych warsztatach projekty biżuterii; lubił również pogrzebać trochę w gablotach i poprzestawiać to czy owo.

Czasem też, kiedy bardzo wcześnie przyszedł do sklepu, zdarzało mu się zejść do wielkiego sejfu w podziemiach i otworzyć przegrodę, do której tylko on znał szyfr. A potem napawał

się widokiem klejnotów La Colomby. Kolekcja, z wyjątkiem paru sztuk biżuterii, które dostał Boersma, była nietknięta. Vittorio musiał zapłacić Boersmiej naszyjnikami, ale Antonio nie był już tak przyciśnięty do ziemi; kolekcją musiał posłużyć się jedynie w charakterze zastawu pod sówite pożyczki bankowe, które umożliwiły mu budowę sklepu i zakup pierwszych towarów. Wystarczyło, że pokazał zaledwie fragment kolekcji urzędnikom banku.

Tego ranka jednak Antonio nie miał zamiaru schodzić do sejfu. Prawdę mówiąc, od dawna nie oglądał już swojej kolekcji. Choć pokrzepiała go świadomość, że należy do niego, nie miał z mej wiele pociechy. Jego żona nigdy nie założyła na siebie choćby jednej sztuki z biżuterii La Colomby. On sam bał się nawet pokazywać biżuterię rzemieślnikom, co byłoby nieodzowne, gdyby zechciał rozłożyć ją na części i ponownie oprawić kamienie.

Antonio skierował kroki do swojego gabinetu. Podchodząc do drzwi, spostrzegł sączącą się spod framugi smugę światła. Doszedł do wniosku, że musiał zostawić zapaloną lampę na biurku.

Ruszył przez gabinet, ale nagle stanął jak wryty, tak jakby zobaczył zjawę. W samym środku kręgu światła padającego z lampy stała górna połowa flakonika - ta sama, którą sfalszował.

Jakim cudem znalazła się poza sejfem?

Małeńkie popiersie kobiety wydawało się obdarzone życiem. Figurka patrzyła na mego oskarżycielskim spojrzeniem, jakby tkwiła w niej część duszy La Colomby. Rzucił się w jej stronę, instynktownie pragnąc ukryć ją natychmiast.

Z głębokich ciemności pokoju w półcień otaczający lampę wysunęła się kobieca postać. Antonio zamarł. To była ona. Duch La Colomby.

- Więc to tak - odezwała się. - Antonio Scappa to Vittorio D'Angeli - złodziej, zbrodniarz wojenny, hańba ludzkości...

Dopiero teraz zobaczył wyraźniej kontur postaci.

- To ty! - warknął niechętnie. Podeszedł do biurka i chwycił najpierw statuetkę, a dopiero potem odwrócił się do córki.

- Jak się tutaj dostałaś? Jakim cudem wydostałaś to z sejfu?

- Zgadza się, zawsze byłam odsunięta od wszystkiego - przemówiła Andrea z ciemności. - Ale Franco miał komplet kluczy. Poszłam prosto do niego. Zgodził się natychmiast, kiedy mu wyjaśniłam powód mojego przyjazdu... kiedy powiedziałam mu, kim jest nasz ojciec. - Antonio nie spuszczał wzroku z córki. Andrea weszła w krąg światła. - Jeśli chodzi o przedmiot, który trzymasz w dłoni, to nie musiałam wcale wydobywać go z twojego sejfu. Wykrałam go w Nowym Jorku z sejfu twojej bratanicy. Słyszysz, co mówię, drogi ojcze? Wykrałam. Jestem taką samą złodziejką jak ty. - Usta Andrei wykrzywił grymas gorzkiej ironii.

Antonio odetchnął z ulgą. Nie odczytał słów córki jako oskarżenia, przeciwnie, wydały mu się ułaskawieniem.

Wreszcie zrozumiał powód jej wizyty.

- Teraz już wiesz - powiedział obojętnie. - Ile chcesz za swoje milczenie? Udział w firmie? Proszę bardzo, dowiodłaś, że dasz sobie radę, a ja już i tak mam za dużo wszystkiego na głowie.

Powoli pokręciła głową.

- Nie, tatusiu - powiedziała kpiąco - nie zależy mi na tym ani trochę.

- Czego więc chcesz - ponaglił ją niecierpliwie. - Mów. Wiesz, że nie chcę zostać zdemaskowany i zapłacę każdą cenę. Nie musimy tego przeciągać w nieskończoność. Powiesz, zapłacę, i każde z nas będzie mogło pójść w swoją stronę.

Andrea przyglądała mu się z wściekłością przemieszaną z politowaniem.

- Żałuję, że nie wiedziałam wcześniej - powiedziała cicho. - O ile łatwiej przysłoby mi wybaczyć sobie to, że cię nienawidzę.

- Gadaj! - wrzasnął Antonio. - Gównu mnie obchodzi, co sobie o mnie myślisz. Przysłaś mnie szantażować i jestem gotów ci zapłacić. Załatwmy to i niech już będzie po wszystkim.

Znów przez dłuższą chwilę Andrea przyglądała mu się z pogardą. To straszne mieć kogoś takiego za ojca, myślała. A potem uświadomiła sobie, że tak naprawdę Antonio wcale nie jest jej ojcem, tylko obcym człowiekiem, którego nigdy nie знаła i z którym spotykała się wyłącznie w sprawach interesów.

- Bardzo dobrze - oznajmiła. - Oto moje warunki...

Olśniło ją w samym środku nocy. Tym razem nie zbudził jej alarm, lecz nagły błysk zrozumienia, który wyrwał ją z objęć niespokojnego snu.

Śpiący obok Lukę przebudził się również. Przez okna mieszkania na dachu zaglądał księżyc w pełni, widział więc wyraźnie zarys nagiego ciała Pete, aż po delikatne drżenie jej piersi.

- Co się dzieje, kochanie? - Objął ją, kładąc ciepłą dłoń na jej plecach.

- Antonio - wyszeptała wpatrując się w ciemności. - Na pewno Antonio - dodała głośnie. - Andrea ukradła flakonik po to, żeby go zawieźć do mego.

- Po cóż by miała to robić?

- Widocznie nigdy nie zapomniała... tak jak ja. Potrząsnął bezradnie głową. Nic z tego nie rozumiał. Odwróciła się twarzą do niego. Pospiesznie zrelacjonowała

mu historię o tym, jak będąc dzieckiem znalazła flakonik, jak powiedziano jej, że jest to czarodziejski amulet z bajki.

- Andrea też mogła widzieć flakonik w dzieciństwie. Z pewnością by go nie zapomniała. Nawet gdyby go nigdy nie oglądała, musiała znać jakieś inne fakty, które złożyły się w jej głowie w uporządkowaną całość. Zajadłość, z jaką ojciec walczył o naszyjnik, być może coś związanego z matką... Musiało do niej dotrzeć, że Antonio to Vittorio.

Byłby to jedyny sensowny powód, który mógł skłonić ją do kradzieży figurki.

- No więc już wiesz, gdzie jest twój stryj... Wiesz, że kolekcja musi być u niego. Co w związku z tym masz zamiar zrobić?

- spytał Luke.

Zamyśliła się. Czy miała jakieś szanse, żeby zmusić Antonia do oddania klejnotów La Colomby nie udowodniwszy przedtem, że zdobył je nielegalnie, drogą fałszerstwa? Czy miała szansę zakwestionować tożsamość Antonia?

Naturalnie, mogła dochodzić swoich praw, ale jej szanse były niemal żadne. Co mogła zrobić w sytuacji, kiedy dowody zostały wywiezione za granicę, zamknięte w sejfie? Proces mógł ciągnąć się latami.

W dodatku była współniczką Antonia. Jakby to wyglądało, gdyby osoba, która za jego pieniądze powołała do życia znakomicie prosperujący sklep, wystąpiła nagle przeciwko Scappie

- mając za cały dowód jedynie nieprawdopodobną opowiastkę?

Wszczęłaby jedną z nie kończących się publicznych kontrowersji

- wyśmienity materiał na artykuł do „People” i któregoś z telewizyjnych odcinków „Sixty Minutes”. Kobieta, która zawzięła się, żeby pogrążyć znanego biznesmena.

- Sama nie wiem, co robić - wyznała. - Na szczęście mam czas do namysłu. Nigdzie mi już nie ucieknie.

- Fakt - przyznał Luke. - Mamy czas. - Objął ją i pociągnął z powrotem na łóżko. Jego pieszczoty działały na nią kojąco. Wszelkie problemy rozplynęły się w fali słodczy.

- Może to zresztą nie ma żadnego znaczenia - szepnęła.

- Kiedyś nie potrafiłam żyć bez klejnotów. To było jednak kiedyś, zanim uświadomiłam mi mój własny blask i ogień.

Z cichym śmiechem wziął ją pod siebie. Połączyli się.

Rozdział jedenasty

Kiedy nazajutrz odwiedzili ją oficerowie śledczy, oświadczyła, że wie, kto stoi za włamaniem, jednak nie zamierza wnosić oskarżenia, w związku z czym odwołuje śledztwo.

- Nic z tego nie kumam - wyznał prowadzący śledztwo. - Ma pani zamiar przełknąć taką stratę?

- Z pewnością dostanę niestrawności, poruczniku - odparła, rozbawiona jego określeniem - ale trafnie pan odgadł.

Mam zamiar przełknąć tę stratę.

Nastąpiła pewna konsternacja. Policja nie lubi ludzi, którzy ją „wodzą za nos”, wzywając do sprawy, którą następnie decydują się tuszować. Mimo to, o piątej po południu po całej historii nie było już śladu. Sklep został starannie wysprzątnięty, wstawiono nowe witryny, włączono zreperowane systemy alarmowe. Tesori był gotów na przyjęcie klientów.

Szykowała się do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon.

- Witaj, kuzynko - odezwał się głos z drugiego końca linii. Minęła chwila, zanim Pete otrząsnęła się z wrażenia.

- Skąd dzwonisz?

- Z lotniska Kennedy'ego.

- A flakonik?

- Zobacysz. - Andrea dodała, że będzie w mieście za niecałą godzinę i koniecznie chce się z nią spotkać.

- Będę czekać w domu - zapowiedziała Pete.

- To świetnie. I jeszcze jedna rzecz... czy mój stryj też mógłby być obecny przy naszym spotkaniu? - spytała Andrea, zanim odwiesiła słuchawkę.

O szóstej wszyscy czekali już zgromadzeni w salonie Pete. Luke i Pete, Steve i Anna. Maddy dostała wolny wieczór.

Steve krążył nerwowym krokiem po pokoju, w kółko opowiadając o zdradzie Vittoria i podniecając się opowieściami o tym, jakie kroki ma zamiar przedsięwziąć przeciwko złodziejowi teraz, kiedy miał go już w garści.

Minęło kolejne pół godziny, a Andrei jak nie było, tak nie było.

- Bawi się z nami w kotka i myszkę - zniecierpliwził się Luke.

- Spokojnie. Zaraz tu będzie - zapewniła Pete.

W dziesięć minut później zadzwonił portier, anonsując panią Iveres.

Zadzwiećczał dzwonek. Pete otwarła drzwi po to, żeby zamiast Andrei i Marcela zobaczyć spiętrzoną stertę skórzanych kufrów ze złotymi okuciami.

- To wszystko twoje - odezwała się z boku Andrea. - Twoje...

i twojego ojca. Przyjmij moje gratulacje połączone z przeprosinami.

To były skrzynie z klejnotami, dotarło dopiero teraz do Pete. Kolekcja La Colomby.

Postawiwszy kufry na progu, Andrea, niepewna uczuć Pete, szykowała się z Marcelem do odejścia.

Pete jednak wciągnęła ich do środka. Cokolwiek by mówić, byli kuzynami. I przyjaciółmi.

Nad kieliszkiem szampana Andrea opowiedziała o targu, jaki ubiła z Vittorioem. Żeby ratować swoją przybraną twarz i interes, który zbudował na kradzionym depozycie, gotów był nie tylko oddać całą kolekcję, ale również przekazać na ręce Pete amerykańską filię Tesori.

Z początku Steve nie chciał się na to zgodzić. Jego zdaniem Vittorio powinien również odpowiedzieć za masakrę dziesiątek partyzantów w wiosce, do której pchnął krwiożerczego teścia.

- Zastanów się dobrze, czy rzeczywiście chcesz rozgrzebywać tak bolesne rany - zwróciła się do Steve'a Pete.

Steve spojrzął na Annę. W odpowiedzi wzięła go za rękę.

- Może rzeczywiście powinienem pogrzebać tę sprawę - przyznał w końcu. - Właściwie nie wiem nawet, czy Vittorio w jakikolwiek sposób był z tą sprawą związany i oskarżałem go tylko dlatego, że... potrzebowałem jakiegoś winowajcy.

Przystąpili do otwierania skrzyń i w końcu cały pokój rozjarzył się tęczowym blaskiem tysięcy klejnotów. Jak dziewczynki, które przebierają się dla zabawy, panie przymierzały kolejne sztuki biżuterii, a panowie, wstrzymując oddech, bili brawa. W końcu wszyscy wybuchnęli szaleńczym śmiechem na widok bezcennych bogactw, w których się pławili. Widząc niektóre klejnoty na Annie i Andrej, Pete wiedziała od razu, że da im je w prezencie. Wiedziała też, że na pewno podzieli się kolekcją z Andrea. Żadna kobieta - poza La Colombą - nie byłaby w stanie udźwignąć tylu klejnotów.

W świetle płonącej na toalecie świecy Pete podziwiała swoje odbicie w lustrze. Była naga, a jej jedynym okryciem był naszyjnik z nieskazitelnych diamentów z Golkondy, najcenniejszy eksponat w całej kolekcji. Czowała, jak duch jej babki uśmiecha się do niej przez ramię - wydało jej się, że drzemie w niej tamta Pietra. Piękna kurtyzana wielokrotnie musiała studiować swoje odbicie w zwierciadle, mając za cały przydziewek swoje kosztowności.

- Chodź do łóżka - zniecierpliwiał się Luke.

Wstała i ruszyła w jego stronę, a diamenty migotały przy każdym jej stąpieniu. Wyciągnął do niej rękę. Zaczęła iść do niego, jednak zawróciła i zdjęła naszyjnik.

W objęciach ukochanego ozdoby są zbędne. La Colomba bez wątpienia musiała wiedzieć o tym, myślała Pietra D'Angeli, kładąc się obok Luke'a. Ich miłość jaśniała własnym blaskiem i pięknem - jak drogocenny klejnot, który wspólnie powoływali do istnienia.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)